

2419

# DZIEŁA

## MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

WYDANIE JEDYNIÉ PRAWNE

OGŁOSZONE Z WIEDZĄ MATKI AUTORA.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Miejska  
W POZNANI

BIBLIOTEKA PŁ.  
im. JANA ZAMOJŚCIEGO  
w Poznaniu

TOM I.

3055

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

6148

ALFANI

WYSTAWA KARTOWIENIOWYCH I INNYCH

BEWAARTE BYMSEL 3121000

**BIBLIOTEKA PUBLICZNA**  
**Miejskiej Rady Narodowej**  
**w Zamościu**

1347-5 943.8

943.8:856 3P

MCC

Dzie

I

6208

13345/P

3413

CZYTALNIA PAJÓWA  
H

~~BIBLIOTEKA PAJÓWA  
im. JANA ZEM  
w Zamosciu.~~



*Podług fotografii w zbiorze  
wzrostu w rodzinie.*

*opracował na podstawie  
S. Lubomirski*

*Maurycy Mechnacki.*

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO  
W POZNANIU.

3654

3413

# LISTY

## MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

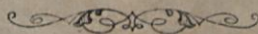
I

**BRATA JEGO KAMILA**

WYSZYCH Z WOJSKIEM POLSKIEM DO FRANCJI

w roku 1831.

PISANE Z PARYŻA, METZ I AVIGNON DO RODZICÓW SWOICH W GALICJI.



~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
IM. JANA ZAMOŚCICKIEGO  
W ZAMOŚCIE~~

CZYTELNIA KRAJOWA  
Hc za 20.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

1148

Księgozbiór BP



10081276

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

1347

w roku 1931

ЧИТАЛЬНЯ КВАДРА  
№ 20

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

ПОЗНАНЬ

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

3413

LISTY  
MAURYCEGO MOCHNACKIEGO  
i  
BRATA JEGO KAMILA.



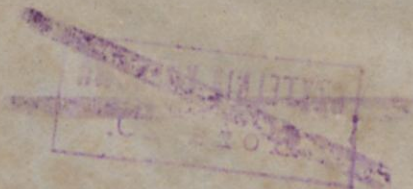
3142

W. H. ... the Library of ...  
... the first edition of the ...  
... 1789, ...  
...  
...

1857

MAURYŃEGO MOCHNAKIEGO

BIŁTA JEGO KAJHA



## WSTĘP.

**D**la uzupełnienia wiadomości o pracach i życiu Maurycego Mochnackiego, znakomitego pisarza polskiego i publicysty, postaraliśmy się z niemałym trudem wydostać z rąk familii listy jego pisane do rodziców, mieszkających w Galicyi. Obok listów Maurycego Mochnackiego są i listy brata jego Kamila i ich przyjaciela Michała Podczaszyńskiego, które do wyjaśnienia faktów historycznych ówczesnej epoki, szczególnież zaś emigracyi polskiej wielce się przyczyniają. Kto zaś był ten Michał Podczaszyński, każdy o nim zasięgnąć może wiadomości u właściwego źródła. Te listy w emigracyi pisane, były przedmiotem powszechnej ciekawości, zajęcia ogólnego były porywane, wyjaśniając charakter, wyrobując duszę, wzniosłą tego człowieka, którego całe życie dla miłości ojczyzny jedynie poświęconém było. Matka Maurycego skrzętnie je zbierała, do-

gadząc sercu własnemu. Uwagi swoje nad niemi dla siebie saméj w notach poczyniła, nie miała nigdy zamiaru ogłaszać ich drukiem. Przydała w końcu myśli własne o młodocianym wieku, charakterze, skłonnościach, obyczajach i sposobie wychowania Maurycego. Nareszcie pozbierała z pism rozmaitych i zapisywała sobie co o nim było gdzie mówiono i pisano. Wszystko więc co matka Maurycego Mochnackiego dla pamiątki familijnéj, ku zadowoleniu serca macierzyńskiego, zaspokojenia własnéj ciekawości zebrała, to na wszechstronne żądanie osób interesowanych wiernie drukiem tu ogłaszamy.

Maurycy Mochnacki był synem Bazylego, szlachetnie urodzonego Polaka z Galicyi. Bazyli Mochnacki pobierał nauki w Podolińcu, we wsławionym swojego czasu konwikcie u księży Pijarów, gdzie występował już jako mówca na obchodach, do czego przez starszyznę wybierany bywał. W roku szesnastym życia swojego udał się do Krakowa wraz z inną młodzieżą do powstania Kościuszki, w którym tyłe się odznaczył, że przez samego Kościuszkę ozdobiony był krzyżem żelaznym; ztamtąd powrócił do domu rodzicielskiego w krakusce i o kuli, jak go na portrecie koledzy odmalowali. Następnie w akademii lwowskiéj dokończył nauki. Najulubieńszém późniéj zatrudnieniem Bazylego była literatura i nauka pra-

wa, ku czemu miał tyle zdolności i szczególniej trafnego poglądu obok nieskażonej prawości charakteru, że najważniejsze interesa i najbardziej zawikłane w Galicyi najpierwszych panów i magnatów polskich jako Radziwiłłów i Potockich, powierzane mu były skwapliwie, pomimo że nie był nigdy adwokatem. W roku 1809. podczas poselstwa Ignacego Miączyńskiego do Napoleona I. w Wiedniu, użyty był Bazyli jako sekretarz legacyi, za co ozdobiony został krzyżem legii honorowej. Ożeniony z Maryą Pałgowską, zacnej rodziny panną, zostawił pięcioro dzieci: Maurycego, Klementynę, Kamila, Olimpię i Tymoleona. Obok licznych nauczycieli i mistrzów we Lwowie, po największej części trudnił się osobiście kształceniem umysłu i serca swych synów, szczególniej Maurycego i Kamila, a jako pełen zapału młodzieńczego, obdarzony wielką pamięcią, posiadający nauki encyklopedycznie, potrafił tak dalece ich usposobić, że Maurycy bez uczęszczania do szkół publicznych, jedynie z domowej edukacyi potrafił złożyć *examen maturitatis* w Warszawie w r. 1820. Było wielkiem podziwieniem ówczesnego rektora Lindego, że Maurycy z domowej edukacyi mógł tak wysoko posiadać język łaciński. Wszystko więc co Maurycy umiał i posiadał, pochodziło od jego ojca Bazylego, który dla edukacyi synów nietylko ogro-

mną praktykę prawną porzucił, ale nadto i cały swój majątek poświęcił. W Bazyli Mochmański w r. 1818. porzuciwszy majątek dziedziczny Bojaniec, w cyrkułej żółkiewskim położony, oraz prawne interesa, pojechał z całą familią dla dalszej edukacyi dzieci do królestwa Polskiego. W Warszawie otrzymał niebawem posadę assessora w prokuratury królewskiej, a następnie radzcy prawnego w komisyi oświecenia. Tu odznaczał się szczególnemi zdolnościami i prawością charakteru, za co przez ministra oświecenia przedstawiony był na najpierwszego z kolei referendarza stanu, co jednak wielki książe Konstanty wykreślił, mówiąc, że synów chować nie umie; na tym go też urządzie rewolucya r. 1830. zastała. Po rewolucyi zawikłany w sprawy polityczne, lubo sam nie brał nigdzie czynnego udziału i do żadnych ważniejszych wypadków rewolucyjnych zaplątany nie był, gdy jednak wpływał na umysły piśmem i mową, gdy miał dwóch synów w rewolucyą zawikłanych, tym sposobem skompromitowany, bojąc się o własną osobę, uchodzić musiał roku 1831. do Lwowa. Tu pozbawiony całego mienia, bez najmniejszych dochodów, znosił cierpliwie wraz z całą familią biedę i tułactwo pomiędzy swoimi przez lat cztery. Gdy zaś mu przyjaźniejsza gwiazda przy-

świecać poczęła, gdy pracą i staraniem przychodzić znowu zaczął do majątku i wziętości, skołatanego burzami politycznymi, dręzonego tyłu przeciwnościami losu śmierć zaskoczyła. Umarł roku 1844., w 67. roku życia w skutek wyczerpania sił żywotnych i choroby piersiowej chronicznej. Pochowany w Czartowcu, cyrkule kołomyjskim, w majątności swojego syna najmłodszego Tymoleona.



*znając poczęła, gdy braci i sędziów przycho-  
 dzie znówi wzięła do majtku i wzięłości, skołata-  
 nego burzami politycznymi, dręconego tyła przeci-  
 w nosicieli losu śmieć zakoczyła. Umierając 1844.  
 w 67. roku życia w skutek wyczerpania sił i zwol-  
 nych i chorób pierścionej chronięcej. Pochowana  
 w Czarstowcu, cżykułe kolonijiskim, w majtkości  
 swojego syna najmlodszeo Tymoleona.*

### **Maurycki Mochnacki do matki.**

Metz, dnia 14. Stycznia 1832. Place de Chambres. Hôtel de Victoire.

**K**ochana Mamo! List, który mi Kamil przysłał w Paryżu, list, z którego dowiedziałem się tyle rzeczy smutnych, zajmujących całą duszę moją, zarazem pociesznych o zdrowiu Ojca, o zdrowiu polepszającym się kochanej Mamy, o życiu i bezpiecznym schronieniu Rodziców, których całe życie moje czciłem jak dobroczynne bóstwa, jak aniołów w niebie, jak świętych błogosławionych, list ten jest nieocenionym skarbem moim. Pierwszy to moment od wzięcia Warszawy do téj chwili, że spokojnie odetchnąć mogę. Myśl jakiegokolwiek nieszczęścia, broń Boże śmierci, niebezpiecznej słabości rodziców moich, których szanuję i nad życie kocham, myśl ta niepokoila mnie we śnie, zasmucała na jawie, prześladowała i ściagała w długiej podróży, na wielkim świecie, na ustroju i w najpiękniejszej kompanii. Myśl ta, to przeczuć, instynkt sprawowały, że najpiękniejsze widowiska Paryżkie, gościnność sama cudzoziemców, żadnego dla mnie powabu nie miały. Wszak Mama wiesz to dobrze, że w mojem sercu nikt nie mieszkał prócz Rodziców moich, że tylko ich obraz moją duszę napełniał od lat dziecinnych, że tylko ich szczęście było mojem szczęściem. Inszego nie znałem i nie znam zajęcia. Zestarałem się za młodu w namiętnościach politycznych. Ale

dom Mamy, familia nasza była zawsze całym moim światem i piosnką całego życia mojego, wszystkich dni moich. Chociaż nie mam honoru znać pani Cieńskiej, proszę Mamy, żebyś raczyła wynurzyć jój najtkliwszą wdzięczność za jój dobre serce, za jój grzeczne przyjęcie. — Cóż ja napiszę Mamie? Sam nie wiem od czego zacząć i na czém skończyć. Historia moja jest tak długa, tak dziwna, jak romans, a na parę tygodni przed wyjazdem za granicę, tak zawikłana, jak kabała w hiszpańskiej tragedyi. — Odpowiedział pewno Kamil na wszystkie pytania, jakie Papa czyni w swoim liście. Ja to tylko dodaję, bo nie wiem co on tam popisał, że Krukowiecki szkaradnie mnie oszukał i wszystkich nas rewolucyjnych patryotów. Przed nocą 15. Sierpnia widywał się zemną dosyć często, grał rolę poczciwego człowieka. Zapewniał, że jeżeli weźmie władzę, rozwinie natychmiast wszystkie środki ratowania kraju, jakie mu podawaliśmy. Te środki były następujące: 1. usunąć od rządu całą partją Czar-toryskiego i Skrzyneckiego; tudzież nieznośniejszą jeszcze partją de juste-milieu, partją Niemojewskich, którą opano-wała mania władzy nieusprawiedliwiona żadnym ta-lentem, żadną mocą ducha i głowy. W momentach krytycznych Krukowiecki przyrzekł, że nikt z tych hreczko-siejów Kaliskich doktrynerów i magów nie wejdzie do rządu. 2. Zaliwskiego, który miał więtość u ludu, uczynić naczelnikiem straży bezpieczeństwa, a Zwierzchow-skiego, popularnego i poczciwego człowieka, komendan-tem gwardyi narodowej. 3. Poruczyć główne funkcyje rządowe ludziom młodym rewolucyjnym, pełnym zasług i zdolności. 4. Obwarować barykady, podłożyć wszędzie prochy, żeby w razie przemocy Moskale razem z brukiem w powietrze wylecieli. — Rewolucya przywiedziona do rozpacy niedołężnością sejmu, niepojętymi ideami księ-cia Adama i zgubną nieczynnością Skrzyneckiego, pod ta-kiemi tylko warunkami w układy wchodziła z Krukowie-

ekim, który jój wszystko to obiecywał i któremu ona nawzajem ofiarowała cześć i sławę. Stary lis pochlebiał młodzieży, od której wszystko zależało. Zyskał popularność przywarami złego rządu, który sprawę naszą do upadku widocznie nachylał. Nieszczęście publiczne, błędy Czartoryskiego i upór Skrzyneckiego nadawały Krukowieckiemu przewagę. Rozjątrzenie umysłów było wielkie. Lud się rozdał, Moskale coraz ściślej nas otoczyli. — Zjawia się noc 15. Sierpnia, noc straszna jak wszystko to, co nosi na sobie cechę zemsty i złości ludu. Noc ta nie była ani moją ani Lelewela dziełem. Było w naszej mocy terroryzmem wydzwignąć sprawę polską z przepaści, ale myśmy o innej rozmyślali nocy, o innym terroryzmie. Nie mogłem pojąć, na co się to przyda wieszając szpiegów nioboszczyka Konstantego, szpiegów bezbronnych i uwięzionych, których kat mógł za dekretem sądu powiesić. Nie mogłem pojąć, na co się toprzyda wtenczas, kiedy tyle innych daleko szkodliwszych ludzi i niebezpieczniejszych wysokie sprawowało urzędy. Nie Makrot i Szlaja, ale naczelnicy władzy z generałami zdrajcami, powinni byli pokutować na latarni za wszystko złe, jakie nabroili, po części z nierozumu, po części ze złej woli. Noc ta jednak nie była moją sprawą, bo ja sam co tylko nie byłem powieszony w skutek intryg pewnego księdza, który rozumiał, że ja się z arystokracją przeciwko rewolucji połączyłem. Lecz ostrzegł mnie służący Jędrzej, który był u nas przed rewolucją, który mnie sprzyjał. Ale noc ta równie i Moskali sprawą nie jest. Tę plotkę roznieśli po Europie stronnicy Czartoryskiego. Była to tylko nieumiejętnego ludu zemsta źle kierowana, z której jednak trzeba było umieć korzystać. Lud się skompromitował w obliczu nieprzyjaciela, mógłże ten lud nie bronić się do upadku po takim rozlewie krwi zaprzędanej carowi? Mógłże zyskać przebaczenie po nocy 15.? Ja z tej tylko strony tę noc widziałem i dla

tego tak chłostałem Dębińskiego w Dzienniku powszechnym, że to moskiewską nazywał robotą, co przeciwko Moskalom z taką korzyścią użyte być mogło. Plotek i bajek bez miary.—Krukowiecki pokazał się ludowi w nocy 15. pod pozorem ukrócenia nieładu, rzeczywiście dla zalecenia siebie samego popularnym względem. Obwołano go najprzód gubernatorem, nazajutrz został wszystkiem, gdyż rząd z pięciu złożony rozsypał się. Czekałiśmy niecierpliwie naszego systematu, lecz wszystka nadzieja została omylona. Stary intrygant ogarnąwszy władzę, rozdzielił ją między Kaliszanów, gdyż na to, co mu dała noc 15. imieniem ludu, chciał zyskać sankcyą od sejmu, ani jednego warunku nie dotrzymując rewolucyi. Zaliwskiego pod marnym pozorem z stolicy oddalił, komendę gwardyi narodowój dał Żubieńskiemu. Chrzanowskiego, najpodlejszego z generałów, utrzymał na gubernatorstwie, prochów nie podłożył, barykad nie umocował, żadnego nawet rozporządzenia nie zrobił do obrony ulic i domów. Warszawa powinna była być drugą Saragossą. Ale co gorsza, pod pozorem opatrzenia stolicy w żywność, wyprawił Ramoryna z najlepszą piechotą w liczbie 18000 i najdzielniejszymi pułkami jazdy. Ludu nie uzbroił, mostu zwiniętego na placu broni nie kazał przenieść na Pragę na przypadek rejterady; młodych rewolucyonistów, żeby mu nie zawadzali, starał się oddalić. Na to wszystko Kaliska partya będąca u steru rządu obojętnie patrzyła, a tém samém dzieliła winę z Krukowieckim. Kaliszanie swoim obyczajem bawili się, biesiadowali bezpiecznie, kiedy sprawa rewolucyi upadała. Mógłżeby Krukowiecki tak postępować, gdyby u rządu znajdowali się ludzie rewolucyjni? Byłżeby zdradził? nie — ja temu nie wierzę. Bylibyśmy go kazali powiesić lub rozstrzelać, gdyby był czémkolwiek publiczną sprawę naraził na niebezpieczeństwo. Paszkiewicz byłby nigdy nie zdobył Warszawy, albo byłby się zagrzebał

w gruzach tego miasta razem z całą jego ludnością. Inaczej los zrządził, gotując nie nam, ale carowi zwycięstwo przez Krukowieckiego i partya Kaliską, która o tyle w téj mierze podpada zarzutowi, o ile jawnej zdrady nie pojmowała albo przed narodem ogłosić nie chciała. Z głębokim żalem w sercu chodziłem i jeździłem po ulicach téj Warszawy, która wkrótce miała się dostać w moc nieprzyjaciela. Napróžno patryotów namawialiśmy, aby się porozumieli między sobą. Niezgoda, ta jedyna przyczyna słabości rewolucyjnej partyi, wstrzymywała młode głowy w niechęci i rozdziele. Napróžno pod przewodnictwem Zwierzchowskiego zawiązało się w domu pani Chłędowskiej towarzystwo tajne. Nic zguby naszej odwlec nie mogło. Napisałem wreszcie do Krukowieckiego list pełen wyrzutów. Odpisał mi natychmiast po swojemu, to jest: niegrzecznie, własną ręką swoją podarł nominacyą, którą mi napisać kazał na referendarza czyli radcę stanu, czego już nie pamiętam, a co już dzienniki rozgłosiły. Zacząłem wojować z Kaliszaniem w Dzienniku powszechnym, i jeżeli Papa chce dowiedzieć się jaka była moja konduita od nocy 15. do wzięcia Warszawy, niechaj czyta artykuły w téj gazecie z moim podpisem umieszczane. W wilią szturmego pojechałem do Wysockiego, komendanta najważniejszego stanowiska na Woli. Ale 10 tylko dział broniło tego punktu, choć szanice 27 dział potrzebowały. Mówił mi dowódca, że w nocy spodziewa się więcej dział i piechoty. Nazajutrz ani jeden żołnierz nie przyszedł mu w pomoc. Cóż dziwnego, że Wolę wzięto za dwie godzin. Trudno wypowiedzieć, co się ze mną działo w ostatnich chwilach ataku. Była godzina czwarta z południa. Od huku dział domy się trzęsły. Już pierwsza linia szaniców zdobyta została. Kamila z końmi, rzeczami, Wojciechem posłałem na Pragę, gdzie się wszyscy udawali, sam zaś dla pilnego interesu na chwilę poszedłem do kommissyi wojny. Tam

spotkałem gubernatora Chrzanowskiego, który zawsze był moim nieprzyjacielem, z czego się chlubię. Powiedział mi impertynencyą. Nie zwykłem niegrzeczności zostawiać bez odpowiedzi. Powiedziałem mu te słowa w największym uniesieniu i wobec całego sztabu: „Generale! widać że cię już zalatuje dziegieć moskiewski, kiedy śmiesz obrażać zasłużonego oficera polskiego, lecz pamiętaj, że jeszcze Moskale nie weszli do Warszawy.“ Wyrazy te niesłychanie obraziły Chrzanowskiego. Zawołał na swego adjutanta: „Zawieść tego pana na Wolskie rogatki, weź dwóch żołnierzy, niech zginie od granatów nieprzyjacielskich.“ Odpowiedziałem natychmiast: „Tak się nie godzi. Pan już nie jesteś gubernatorem. Jeżeli masz do mnie urazę, strzelać się z nim będę lewą ręką!“ Ale już Chrzanowskiego nie było w sali. Dał znak, żeby rozkaz jego wykonano. Wsiadłem więc na konia z kapitanem od służby i dwoma żołnierzami, którzy mnie i siebie i Chrzanowskiego przeklinali. Jechałem powoli wstrzymując konia. Towarzysze moi z prawicy i lewicy mnie otaczali. Kapitan jechał przedemną, żałując i mnie i siebie i żołnierzy, albowiem już na ulicy Elektoralnej prochnas krztusił, tuż koło nas pękały granaty. Przyszła mi dobra myśl. „Kapitanie, rzekłem do mojej straży, obydwaj zginie, nim dojedziemy do Wolskich rogatek, gdzie się już tyraliery moskiewskie z naszymi ucierają. Daję słowo honoru, że sejm przed dwoma godzinami dał dymissyą Chrzanowskiemu. Rozkaz jego nieważny, bo już nietylko gubernatorem, ale i generałem nie jest.“ — „Co mówisz, kolego,“ przerwał mi kapitan. — „Tak jest,“ odpowiedziałem, zбочmy na inną ulicę, a dowiesz się wszystkiego. Usłuchał mię. Kłusem wróciliśmy na ulicę Senatorską. Spotkaliśmy kilku znajomych. Opowiedziałem wszystko; prosiłem, aby się natychmiast udali do Chrzanowskiego i nastraszyli go, że zginie, jeżeli niesprawiedliwego nie odwoła rozkazu. Jak przeczuwałem, tak się

téż stało. Za kwadrans przyleciał goniec na koniu od Chrzanowskiego z rozkazem, aby mnie w placu aresztowano. Oddano mię pod straż. Chrzanowski tymczasem pobiegł do Krukowieckiego dla zasiągnięcia wiadomości, co ma ze mną zrobić. Wystaw sobie Mama, jaką instrukcją dał Krukowiecki Chrzanowskiemu, ten to przyjaciel naszego domu, nikt temu nie uwierzy, ale mi to naoczni powiadali świadkowie na Pradze i w Płocku. „Vous livrerez Maurice Mochnacki aux Russes, ou mieux faites le fusillier sur le champ. Il m'outragea aussi moi-même. Il m'a écrit une lettre pleine des injures.“ Chrzanowski chciał wykonać to zlecenie, ale mnie już nie zastał w więzieniu. Po co się tak troskliwie o mnie wypytywał? Po co groził oficerom w placu? Gdy się zmierzchać zaczęło, gdy wszystkie ulice dymem były zapelnione, gdy ogień artylerji zapalił przedmieścia, wtenczas jakaś niewidzialna ręka, bo nie wiem kto, otworzył drzwi ciemnego pokoiku na ratuszu, gdzie byłem zamknięty. Porwałem się z miejsca i bocznemi schodami wyszedłem od nikogo w zgielku niepoznany. W tyłu krwawych bitwach się znajdowałem, ale nigdy większym cudem pewnej nie uszedłem śmierci albo wygnania nad brzegami lodowatego morza. Jakiż widok na ulicach Warszawy? Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpacz. Żołnierze rozpierchnieni bez ładu; artylerja, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno jak w wilczej jaskini. Tylko luna na niebie od pożarów naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała. Zapłakałem wśród tego zgielku. Wszystko to zdawało mi się być strasznym snem, utworem gorączki, która mnie wtenczas trawiła płodem ognistój imaginacji. — Zbliżyłem się do mostu, osłabiony bólem nieznośnym w prawém ramieniu od blizny, która się rozjątrzyła, upadający prawie na sile. Wchodzę do domu przy ulicy i rzucam się na krzesło w pokoju niewiedzieć czym.

Lampa drżąca dogorywające rzucała światelko. Postrzegam koło siebie dzieci i kobiety zapłakane. Los dziwny zrządził, że między niemi znajdowała się pani Lubinowa.<sup>1)</sup> Dla czego się tam znajdowała, nie wiem, zapewne z Leszna musiała się tam schronić. Dla czego ja tam trafiłem? tego także nie wiem. Ta dobra, ta kochana kobieta, prawdziwie igrzysko losu, nie chciała wierzyć, że mnie widzi przed sobą. Płakała jak dziecko. Cóż się z nią teraz dzieje? i z Klimką naszą?<sup>2)</sup> z którą się nawet pożegnać nie mogłem. Nazajutrz cała Polska na Pradze już się znajdowała. I wojsko, i sejm i wszyscy uczciwi ludzie. Rozum dyktował połączyć się z Ramoryną bez żadnego namysłu, a potem rzucić się albo do opuszczonej Litwy, albo przejść Wisłę między Rachowem a Józefowem dla połączenia się z Rożyckim. O tośmy wszyscy błagali generałów i ludzi wpływ mających. Ja sam ze łzami zaklinałem marszałka sejmu, żeby téj ostatniej nadziei polskiego narodu upaść, ostatniej mocy rozchwiać się nie pozwolił. Jeżeli jeden gran dobrej wiary pozostał w sercu Władysława Ostrowskiego, nie zaprzeczy, że go o to usilnie, do naprzykrzenia molestowałem. Ale nadaremnie, co się chwiać zacznie, tego żaden filar nie wesprze. Władysław Ostrowski, poczciwy człowiek, dobry Polak, nie miał téj mocy temperamentu, żeby nie uleż zdaniu generałów, którzy już na Pradze wszystko według woli cara i pożytku Rossyi nastroić chcieli. Dla tych małych ludzi grube epolety stały się siecią szatańską. Żeby je zachować, zawczasu skarbili sobie łaskę imperatora podawaniem złój rady. Drobnostki uwodzą młode niedoświadczone kobiety. Francuzi za trufle duszę i ciało Burbonom przedawali, jak mówi mój kochany Michał w Paryżu,<sup>3)</sup> zalecając mi trufle, które

<sup>1)</sup> Ciotka Maurycego, wdowa. <sup>2)</sup> Rodzoną siostrą. <sup>3)</sup> Podezaszyński.

w rzeczy samęj są wyśmienite. Nasi generałowie, kreatury rewolucyi, za szlifę całą Polskę oddali w moc cara. Poruszeniem z Pragi do Modlina, z Modlina do Płocka, w tęj materyi pisałem list obszerny do Mamy pod adresem pana Sagatyńskiego, rozumiejąc, że się Mama we Lwowie znajdujesz. List ten musi być we Lwowie.

Z Płocka udaliśmy się do szpitala wioski pani Rutkowskiej. Pełno było szpiegów w obozie naszym, a za obozem pełno Baszkierów i Kirgizów, którzy chwyтали zmierzających do granicy pruskiej. Dzięki obywatelom, którzy mnie i Kamila manowcami i lasami do granicy bezpiecznie doprowadzili. Nie mieliśmy żadnych prawie pieniędzy od rządu, którego członkowie nie życzyli sobie *par une raison très puissante*, żebym ja dostał się do Francyi i pisał za granicą. Mieli racją. Wiedzą Kaliszanie, jaką rolę grać będą w piśmie o rewolucyi polskiej, nad którym obecnie pracuję, widzieli że przy takich świadkach nie będą mogli fanfaronować w Paryżu, dla tego w mądrości swojej ułożyli, żebym ja przez W. Księstwo Poznańskie udał się do Galicyi z Polski, ale ja dla tęg samęj przyczyny zwyciężywszy mnogie przeszkody, udałem się do Paryża. Rybiński sprawiedliwszy od Niemojewskiego, kazał mnie i Kamilowi wypłacić z kassy wojskowej po 20 #. Na kwarantannie w Gólu-biu obadwa wygraliśmy po 20 #, azatém mieliśmy 80 #. O tych pieniądzech udaliśmy się w dalszą drogę pod obcemi nazwiskami. Byliśmy w rzeczy samęj u Kalstayna ale nie wiem zkąd się mógł dowiedzieć, jakich gości przyjmuje u siebie. Trzeba nam było wstąpić do niego dla braku koni. Dla uniknienia kwarantanny postanowiłem udać się do Sztetyna z Bydgoszczy, tam wsiąść na okręt i popłynąć do Francyi albo do Anglii. Na nie-szczęście nie było w Sztetyni okrętów, któreby zaraz odpływały. Kazano nam czekać dni 12. Ja się niezmiernie spieszyłem i miałem racją; bo trudno było dowie-

rzać aliantom Rossyi. Prócz tego przeprawa przez Sund w tój porze roku zdawała się najbieglejszym marynarzom niebezpieczną i zawodną małemi statkami, które burza aż na brzegi Norwegii zanosi. Dalej więc z Sztetyna do Saxonii ruszyliśmy. Tu trzeba było znowu odbywać kwarentannę przez 20 dni. Dziesięć dni bawiliśmy w wiosce na ustroniu koło pomnika Gustawa Adolfa na polach Lipska. Zabrakło mi cierpliwości. Przerywając kwarentannę znowu w górę przez Hallę do Hanoweru ruszyliśmy; ztamtąd do Bruxelli, przez Bruxellę i Valenciennes do Paryża. Całą tę podróż trzeba było odbywać extra-pocztą, co niezmiernie wiele kosztowało, tak dalece, że w Bruxelli już ani grosza ze 80 # nie było. Przejeżdżający tamtędy poseł Wołowski Franciszek, pożyczył nam 150 franków, z których połowę już mu oddałem. Niemcy na rękę nas nosili. Gdybym był chciał, byłiby mnie zbogacili jak Krezusa; nie potrzebowałem pieniędzy i od wszelkich wymówiłem się darów, *które dumie wygnança, dobremu tonowi tułacza uwolaczają*. Oberżyci na drodze nie chcieli rachunku podawać. Polacy tak wszystkich interesują, że aby nie być celem ciekawości i utrudzających pytań, w Niemczech udawałem Francuza, a we Francyi Niemca. — Paryż jest to cudowne miasto, dla mnie nigdy nie ocenione. — Emigracya polska przeszkadzała mi pisać o rewolucyi w Paryżu. Komitet polski wyprawiał Michała Podczaszyńskiego do Metz w interesach swoich. Udałem się więc do Metz z rękopismem mojem i tu cztery do pięciu tygodni zabawię, póki go nie skończę. Na wydaniu tego dzieła w Paryżu wszystko zależy. Tym tylko sposobem położyć zdołam kres plotkom, bajkom, obmowie. Sprawę naszą broni historyczna prawda, którą napróżno u obcych zaćmić usiłują ułamki różnych stronnictw polskich za granicą. Wreszcie będę miał dużo pieniędzy za to pismo, pieniędzy potrzebnych mnie i Kamilowi do odbywania dal-

szych podróży i do przyjęcia Papy w Paryżu, jeżeli się da namówić do podróży. Przysiągłem sobie, że będę w Anglii, w Szkocyi, we Włoszech. Wielkiego potrzebuję ruchu, żeby nie myśleć o Polsce, długich wojażów na morzu i na lądzie. Bogu dziękuję, że kochany mój Papa wyzdrowiał. Jego zdrowie jest elementem mojego życia. Jego życie jest powietrzem, którym oddycham za granicą. Jeżeli go przeżyję, czego Boże nie dopuść, czuję, że na ten czas dostanę pomieszania zmysłów i długo żyć nie będę. O moja Mamo kochana! Gdzie się podziały te czasy, kiedyśmy razem byli, w jednym domu? Któż był nademnie szczęśliwszy w ten czas? Pierwszy głos przez ścianę, który mnie ze snu budził, był to głos ojca, tak dobrego, tak kochanego, jakim niebo żadnego na świecie syna nie uszczęśliwiło. Cała rodzina przed rankiem u Mamy się zgromadziła. — Mama żywiłaś swoje dzieci, moja Mamo kochana! Kiedy się te czasy znowu wrócą? czasy patryarchalne, sławione od poetów jak urojenie.... Może nigdy. — Na to potrzeba Polski; ażeby Polska była, na to trzeba rewolucyi w całym świecie. Za lat kilka może ja przyjdę do Mamy z dalekich stron, żeby znowu porzucić ojczystą ziemię. Któż to wie? kto przewidzi?

Metz jest bardzo przyjemne miasto. Ludzie uprzejmi, przyjaciele Polaków. Michał mój w wielkich względach zostaje u dam tutejszych, do których się umizga bez końca i bez miary, a które go, jak wieść złośliwa biega, wzajemną zaszczycają uprzejmością. Codziennie go zapraszają na obiady, na wieczory, których ja jako przyjaciel jego uczestnikiem być muszę. Osobliwie jest jedna pani, której cnoty, dowcipu i rozumu pan Michał wychwalić się nie może. Nie powiem, jak się nazywa, bo nie chcę zdradzać cudzych sekretów. Już jest w pewnym wieku i dosyć poważna. Michał taki sam, jakim był zawsze, poczciwy, dobry, przyjacielski, znacznie wyłysiał;

kazał sobie modną sporządzić perukę, w której ładniejszym będzie chłopcem, niżeli był kiedykolwiek. Naprawdę mu wystawiam, że Czacki i Ossoliński był jak on łyśy, że Platon peruki nie nosił, że Juliusz Cezar łyśinę laurowym wieńcem zdobił, on woli jedno spojrzenie pięknych dam w Metz, jak sławę Czackiego i Cezara. — Kamil w Paryżu przykłada się do nauk wojskowych, ale jednego razu znalazłem na jego stoliku korespondencyą z rozmaitemi niewieściami podpisami, — miniaturę, niewiem czyją? Całe nieźle wygląda, list na wpół dokończony, pełen tkliwych wyrazów. Komu odpisywał Kamil nie wiem. — Cóż robić moja mamó droga? Młodzi muszą być młodzi wszędzie i zawsze, ja tylko może tój słabości nie podpadam, co ztąd pochodzi, że mną inne nie-mniej mocne i powszechne namiętności władają. Kamil niezmiernie lubi opery, szczególnie włoską, nad którą nie masz nic cudowniejszego na świecie. Pani Malibran, Pryma Donna tój opery Rossyniego przez niego kierowanej w Paryżu, daleko przechodzi pannę Sontag, a Lablász i Rubini są największymi śpiewakami w Europie. Do tych trzech głosów przydać należy talent pani *Szreder-Devrient*, a wyobrazić sobie nie podobna coś bardziej zachwycającego nad to połączenie najpierwszych talentów. Paris c'est une des passables retraites, dla takich jak my rozbitków rewolucyjnej nawy. — Gurowski, dobry chłopiec, rozgniewał się na mnie, żem z Paryża wyjechał bez uwiadomienia go o tém; ale ja go przeproszę. Dużo jest Polaków w Paryżu. Los ich nie najgodniejszy zazdrości. Wielu nie zna języka, nudzą się i obmawiają jeden drugiego, dla tego wyjechałem z Paryża. Jak każda emigracya tak i nasza ma swoje gorycze. Prędzej czy później wszyscy oficerowie potrzebujący wsparcia od rządu, będą go musieli przyjąć pod pewnemi warunkami, to jest: wyjadą do Awinionu lub Chateau-Roux. Gdzie jak utrzymuje Michał Podczaszyński

BIBLIOTEKA PEŁNA

III

w Zamościu.

kura z oliwą prowanską jest najwyborniejszym przysmakiem. Z Awinionu do Algieru, a w Algierze grób! Mam jednak dobrą nadzieję, że Kamil mój kochany w Awinionie kur z oliwą jeść nie będzie. Znajdźmy sposoby utrzymania się w Paryżu bez łask rządu, który jest w całej Francji znienawidzony, a który w Paryżu chwieje się i trzęsie jak trzcina nadłamana. — Tymoleona<sup>1)</sup> do Awinionu wyprawiać nie radzę, bardzoby tego żałował. Ztamtąd nigdyby nie wrócił do ojczyzny.

Pomimo ostrój pory roku śmiem papy prosić, żeby bez żadnej zwłoki przyjechał do nas. W Paryżu tanięj jak w Warszawie żyć można. Policzę coby kosztowało papę na jeden miesiąc: 25 franków pokój bardzo pięknie umeblowany z łóżkiem, pościelą i wszystkimi wygodami; obiad 60 fr. wytworny z winem, nasz tylko 30 na miesiąc kosztuje; kawa i inne mniejsze potrzeby 30 fr., co wszystko razem czyni na miesiąc sto kilkanaście franków. A tylko na 4 lub 6 pierwszych miesięcy niechaj przywiezie z sobą pieniędzy, potem żadnego ambarasu w tej mierze mieć nie będzie. Ręczę na duszę moją, że damy sobie radę. Podróż nietylko nie osłabi go, ale owszem, przyczyni zdrowia. Eilwagienny są to bardzo wygodne powozy, w których spać można.

Najusilniej proszę papy, aby mnie jakimkolwiek sposobem przysłał: 1. Numera Dziennika Powszechnego od 15. Sierpnia do wzięcia Warszawy. 2. Rękopism mój drugiego tomu o literaturze, który ma Felix Miaskowski, znany Klementynie<sup>2)</sup>. 3. Dwa exemplarze pierwszego tomu pisma mego o literaturze. 4. Broszurkę moją wydaną podczas rewolucyi. — Te pisma, osobliwie dziennik Powszechny, bardzo mi są potrzebne do dokończenia rzeczy o rewolucyi polskiej, która w Paryżu wyjdzie po polsku, po francuzku, po niemiecku, po angielsku.

<sup>1)</sup> Trzeciego brata. <sup>2)</sup> Siostrze.



Przewiduję, że z tego mnóstwo osób cieszyć się nie będzie miało żadnej przyczyny. Ale prawda powinna być znaną całemu światu, żebyśmy na przyszłość odnieśli korzyść z doświadczenia. — Gdyby Ludwik N. mógł pisać do mnie, bardzooby dobrze było. Jeżeli przyjaciel Skrzyneckiego, były minister spraw zagranicznych Ho... znajduje się w Galicyi, powinienby dla sławy i dobra sprawy naszej wejść z zemną w korespondencyą.

Kochanej ciotki Zosi zasyłam serdeczne uściśnienie, jako i Olimpce i Klimce Głogowskiej, ale ją proszę, żeby miała w pamięci co jej potylekroć mówiłem w Warszawie. Jej tylko jeden zarzut zrobić można: że jest nadto dobra. Kamil nie wart jest takiego przypisku, jaki w liście Papy czytałem jej ręką kreślony. To trzpiot. — Że mąż Klementyny nie ma żadnej posady w Warszawie, z tego się bardzo cieszę. Kto teraz w służbę wchodzi, niewart być Polakiem. — Uwaga polityczna kochanego Papy: „że łatwiej jest despotie podnieść się z upadku, jak Rzeczypospolitej skorzystać ze zwycięstwa,“ bardzo mi się podobała. Ja tego dowodzę w całym piśmie mojem, że Europa błądzi mniemając, jakoby wojna i rewolucya nasza rozbiły urok moskiewskiej potęgi; tylko małkie umysły tą się nadzieją pocieszają. Rossya jest teraz niebezpieczniejszą, niżeli była przed naszą rewolucyą. — Przystępuję teraz do wyjaśnienia zapytań papy:

a) Nie pojechaliśmy do Krzeszowic, bo z dnia jednego na drugi ociągających się zaskoczyły wypadki woj-skowe, a Kamila rzecz sądu zatrzymała. Wkrótce potem przecięta została wszelka komunikacya.

b) Na to pytanie o sędzie, Kamil jako członek jego niechaj odpowie sam. Relacya była; wyrok zapadł, ale go nie wykonywano. Lud oburzony zdradami szukał ofiar i poświęcił je swojej zemście. Noc ta była głupstwem, gdyż nie miała politycznego charakteru i skutków. Pro-

sze Papy, żeby czytał Dziennik Powszechny, w którym tłumaczę przyczynę na to i skutki tej rzezi.

c) Nie była to sprawa ani Moskalów, ani Lelewela, ani Prądzyńskiego, jak już miałem honor nadmienić, ale to był skutek słusznego gniewu ludu warszawskiego, którego Krukowiecki może bardziej jeszcze podburzył, a następnie nie uzbroił do obrony. Jakże mogli Moskale widzieć stolicę, która zkompromitowana do zaciekłości, trudniejsza do opanowania była. Tę bajkę, jak wiele innych, zmyślili i za prawdę przedali nieprzyjaciele rewolucyi, stronnicy Czartoryskiego i Skrzyneckiego.

d) Na to w ciągu listu odpowiedziałem. Jest rzeczą niewątpliwą, że mnie w nocy 15. Sierpnia powiesić chciano, że mnie Chrzanowski chciał wydać Moskałom, a Krukowiecki rozstrzelać. Wszyscy z naturalnych pobudek. Nie masz ani jednego stronnictwa w polskiej rewolucyi, któreby mnie nie ścigało. Prześladował mię Konstanty i więził, a potem Chłopicki i Szyrma, a potem arystokraci, a potem Kaliszanie, którzy na fundamencie pisma z muru od Karmelitów więzionego pod okiem Hankiewicza i Nowosieltowa, głosili i głoszą dotąd, że ja byłem zaprzędany Moskałom, ja, w którego pokoju zrobiona była noc 29. Listopada... Prześladował mię ksiądz z Towarzystwa Patryotycznego. Wszyscy czernili, a nikt nie wspierał, od początku do końca, chociaż skutek zawsze pokazywał, że miałem rację.

e) W Zakroczymie byliśmy. — Co tam robiono, jak wszędzie i zawsze, nic. — Grali w karty i upijali się żołnierze, oficerowie i panowie radni. Gazety tam wydawanéj byłem w części redaktorem. Duch w niej dobry.

f) Że Romaryno był konwojem Czartoryskiego do Galicyi, to prawda.

g) W Frankfurcie nad Odrą nie widzieliśmy Wąsowicza.

h) Urlopy, dymissye mamy. Dwa miesiące temu jak

przybyliśmy do Paryża. Ja piszę i gram na fortepianie, Kamil także pracuje i bawi się. Tymczasem komitet główne nasze zaspakaja potrzeby. O nikiem nie myślimy, tylko o Papie. — Zdrowie nasze dobre. — Ręka boli kiedy deszcz pada, co nigdy w Paryżu nie ustaje.

;) Interes Radomińskiego zrobiony jak Papa kazał. Wziął papier 200 złt. i gazety, resztę chętnie czekać przyrzekł. O folwarku tyle razy pisaliśmy do Papy, że go za wiedzą pułkownik Pałowski wziął w administracyą. Andrzej Krzyżanowski za Plutarcha winien nam 120 złtp., które raz zapłacił za książki sprowadzone z Niemczech. Ale poczta odchodzi. Kończę prosząc o drugi list do Paryża pod adresem Michała Podczaszyńskiego: Par l'entremise de Monsieur Cassin, membre du Comité Polonais. Rue Jaran No. 12. à Paris.

*Maurycy Mochnacki.*

Daléj pisze Michał Podczaszyński.

Metz, 20. Stycznia 1832.

Kochana Pani! Po tak długim niewidzeniu, niepisywaniu, z radością czytałem list Pani do Maurycego; polepszające się jéj zdrowie, odzyskana spokojność umysłu, wszystko mnie to cieszy. Miło mi zawsze było zwracać myśl ku ojczyźnie; ale téj ojczyzny nikt nie był reprezentantem dla mnie, prócz moich przyjaciół, a tych przyjaciół na palcach jednej ręki za wiele byłoby liczyć. Maurycego kochałem zawsze — kochałem jego rodziców. Każdego z Polski przybywającego o nikogo więcéj nie pytałem.

Dziś jesteśmy razem z Maurycym i niepodobieństwam żądać nie możemy, abyście Państwo byli z nami we Francyi, poprzestać musimy na ich listach tylko. Te li-

sty przyszedł po długim oczekiwaniu. Maurycy nie posiada się z radości i ja dzielę jego ukontentowanie. Od Państwa zależy przedłużyć nasze szczęście. Wam tylko będzie szło o poświęcenie kilku momentów. Muszę się śmiać z Maurycego, widząc jakie dzieciństwa robi ze zbytnej radości. Czyta i odczytuje listy, nad każdym słowem robi uwagi, objaśnienia. Ale wierzaj mi Pani: nie wolno ci na los się uskarżać. Pani masz synów godnych jej uczuć. Nikogo człowiek tyle kochać nie może i szanować jak oni swoich rodziców. Maurycy ten sam co był, a jeżeli się w czem zmienił, to na korzyść. Jeżeli był dla mnie dawniej kochanym, nietylko nic mu nie ujął czas z tego, co mi go kochać i szanować nakazywało, ale dodał nowe dary, które obok zasług jego dla ojczyzny położonych, obok chlubnych dowodów mężstwa, stawiają go w najmiłszej i najpożądanej dla serca mego postaci.

Takim jest Maurycy, — ale ja takim nie jestem jak mnie on w swoim liście określa. Robi parodię ze mnie, wszystko co mówi trzeba na odwrót czytać, oprócz jednej łysiny, która rzeczywiście chłodzić mi zaczyna głowę. Ale o peruce fałsz wierutny, równie jak o starych i młodych kochankach. Być może, że nie jestem taki dziwak jak dawniej, ale za to nic mię nie bawi, unikam więcej ludzi, jak się im zalecam. Jeżeli w Metz chodzę na obiady i wieczory, czynię to raczej z musu, towarzysząc innym Polakom. Od przyjazdu Maurycego do Metz w wielkim jestem ambarasie; wszystkim się on podobał, wszyscy go rozrywają. Młodzi go szanują, starzy poważają. Nikt w całym Metz nie gra jak on na fortepianie. Wszędzie odbiera oklaski. — Damy już zrobiły sobie na niego projekt. Chcą aby grał na koncercie dla ubogich.

*Michał.*

### List Kamila Mochnackiego do rodziców.

Paryż, dnia 14. Stycznia roku 1832.

List najdroższego Papy, Mamy i innych osób, zawsze drogich naszemu sercu, pisany pod datą 27. Grudnia r. 31., zastał mnie samego w Paryżu. — Po raz pierwszy od sześciu miesięcy ujrzałem pismo mojego Ojca.... Poznałem je o 10 kroków, gdy bryftregier wszedł do mojego pokoju. Byłem tak uradowany, tak uszczęśliwiony, że długi czas minął nim zdołałem list otworzyć. Dosyć mi było na adresie, dosyć na pierwszej literze, którą kreśliła tak szacowna, tak droga dla mnie ręka! Minął przecie ten sześciomiesięczny, długi jak wiek cały czas, którego potrzeba było przeżyć pośród ustawnej obawy, dręczącej niepewności o los, o życie nawet najlepszego z Ojców! Lecz minął już. Oby nigdy nie wrócił. W liście, którego wczoraj odebrałem, znalazłem to wszystko, czego dusza moja pragnęła, od czego zależał mój byt, moje szczęście na teraz i na przyszłość. Tak szczęśliwych dni może nie wiele naliczę w mojem życiu. Lecz nie troszczę się o to, bo widzę pewien porządek w naturze i czuwanie Opatrzności. Żądałem zdrowia dla moich rodziców, nie więcj tylko zdrowia. W dzień i w nocy modliłem się o to do Boga, on wysłuchał mojej prośby. Niech mu będzie wieczna chwała! Powtarzam, że to jest pierwszy list i pierwsza pewna wiadomość po rozstaniu się mojem z Ojcem, pierwszy téż raz odetchnąłem wolniej i myśl moja odetchnęła po raz pierwszy po tylu trudach, niepokojach wewnętrznych! Uprzedzam, mało porządku będzie w tym liście, bo téż taki sam nieporządek panuje w mojem sercu. Nie jestem zdolny zebrać wszystkich myśli; cisną się wszystkie na raz tłumem bez ładu, bez kolei, a ustawne przerywają łyzy, lecz łyzy radości, najwyższego szczęścia. — Oprócz jednego listu od Gr.....ej, który do Paryża przyszedł dnia 18. Grudnia

1831, nie odebraliśmy ani jednej literki od czasu wstąpienia na ziemię pruską, ani z Warszawy, ani z Krakowa, ani z Galicyi, ani z żadnego innego miejsca. W liście od Gr.....ej znaleźliśmy bardzo mało wiadomości, a i te, które znaleźliśmy, to tak kuse i niedostateczne, że zamiast zaspokojenia naszej troskliwości, pomnożyły niepokój i obawę. Ustne więc tylko dochodziły nas wieści, to o niebezpiecznej słabości Mamy, to o ścisłych poszukiwaniach patriotów w Krakowie, to o tém, że Rosyanie wywieźli Papę z Krakowa; to znowu, że Papa znikł gdzieś, i nikt nie wiedział, co o tém myśleć. Na nieszczęście żaden z opowiadających nie podawał tego co mówił za pewne, donosili nam tylko to, co z wieści słyszeli. Ta niepewność z jednej strony, a z drugiej wielkie do prawdy podobieństwo w rozniesionych pogłoskach, o mało nam rozumu nie odjęło. Pisaliśmy do Lwowa, do pana Jana Henryka po cztery razy, w różnych epokach, lecz na żaden odpowiedzi nie odebraliśmy. Pod tymże samym adresem, w pierwszej połowie Grudnia, pisał Maurycy list bardzo obszerny, w którym donosi o tém wszystkiém prawie, co się z nami działo przed kapitulacją, po kapitulacji, aż do wstąpienia na ziemię pruską. Lecz czy te listy nie dochodziły do Lwowa, czy też pana Jana Henryka nie znajdowały w tém mieście, dosyć, że żadna, a żadna odpowiedź się do nas nie dostała. Na list Gr.....ej odpisałem natychmiast, to jest 17. Grudnia; nie nie pisałem nawet takiego, coby mogło utrudnić jego przyście do Warszawy, a jednak dwudzie sty siódmy dzień już mija dzisiaj, a odpowiedzi nie ma, choć na każdy list pisany z Paryża, powinna odpowiedź najregularniej z Warszawy przychodzić we dwadzieścia dwa dni. Mogą sobie więc wystawić najukochańsi moi Rodzice, jakie smutne nasze było położenie, jak przykro było czekać i czekać bez końca, liczyć dni i godziny, lecz liczyć zawsze nadaremnie. — Nim odpowiem

na wszystkie pytania i na wszystkie kategorie w liście Papy, niech mi wolno będzie zapytać przedewszystkiem, czy Galicya jest pewnem schronieniem dla Papy; czy w miarę ostrzejszych poszukiwań ze strony naszych nieprzyjaciół, nie dopuści się rząd Austryacki pogwałcenia najświętszych praw narodów, a jeszcze świętszych praw gościnności i czy można dostatecznie ufać przyjaciołom naszych nieprzyjaciół? i tej nieufności czy nie usprawiedliwią przykłady po rewolucyi 94. roku? Ta myśl mię zabija. Cóż może być świętego dla dzisiejszej europejskiej polityki; gdyby nie jej chytróść i egoizm i podstępny, czyż bylibyśmy upadli? W całej Europie niemasz dla nas pewnego przytułku. Polaków wszędzie się boją, zewsząd ich odpychają. Odrętwienie, ślepotą, wszystkich opanowała; otworzą oczy, ale wtenczas, kiedy już będzie za późno. — Piszę to z miejsca, które komuś podobało się nazwać rajem, siedliskiem wolności. Trzy kolory w firmie są dziś parodyą. Naród woli swej niema; w izbach podłość i niedołężność; a wszędzie obok głupoty, zapomnienie własnego interesu. Najwięcej egoizm, którego popierają czcze, drobiazgowo formy i doktryna Burbońska. Pan Casmir Perier, rzucił carowi pod nogi trzydzieści milionów Francuzów, a trzydzieści milionów Francuzów zapomniało o swojej sławie, wielkości i potędze dawniej. O tém wszystkiem obszerniej będę pisał, w tym liście dla tego czynię wzmiankę, żeby zwrócić uwagę Papy na niebezpieczeństwo jego położenia. — Niedowierzajmy, bo nikt w Europie niedowierza.

Aby pierwszą ciekawość zaspokoić, wróćę do interesu, który nas bliżej dotyczy. Nadmieniałem z początku listu, że list Papy mnie samego w Paryżu zastał. Maurycego tu nie ma, wyjechał przed kilku dniami do Metz z Podczaszyńskim; dla czego zaś wyjechał, wyjaśni się w ciągu opowiadania. Przyjechaliśmy do Paryża dnia 2. Listopada r. p. Ponieważ drogę spiesznie odbywaliśmy,

nigdzie się nie zatrzymując, przybyliśmy więc prawie pierwsi do Paryża. Byli jednakże już Bonawentura Niemojewski, ex-prezes rządu Morawski, minister Biernacki, kilku posłów i kilkunastu innych rodaków, którzy po największej części należeli do partyi Kaliskiej. Wiadomość o naszym przybyciu uderzyła Kaliszanów, a szczególnie Niemojewskiego, który wcale sobie tego nie życzył, nie spodziewał się, i nawet w Płocku, gdy porzucił kraj i interesa, wyraźnie oświadczył: „Dobrzeby było, żeby panowie Mochnacy nie udawali się do Paryża, lecz żeby szukali schronienia gdzie na wsi w kraju lub w Galicyi, bo ich wszędzie wydadzą.“ Dla tego, abyśmy nie byli w stanie piechoto nawet dojść do Paryża, kazał nam wyliczyć po dwieście złotych z kassy. Na nic się nie przydały zabiegi pana Niemojewskiego. Naczelnny wódz Rybiński od kilku dni upominał nas, abyśmy myśleli o sobie. Poczciwy człowiek nie mógł być prawdą naczelnym wodzem, ani się przydał na zwierzchnika wojskowej władzy w owym krytycznym czasie, lecz cnoty jego prywatne, których dał dowód w owój epoce, na całe życie zaszczyt mu będą przynosiły. Wiedział o tém, jak mocno byliśmy skompromitowani, wiedział także, jakie mnóstwo szpiegów pod koniec namnożyło się w obozie polskim, jakie zewsząd otaczały nas niebezpieczeństwa; przestrzegał więc ustawnie, kazał się mieć na ostrożności, a w końcu, gdy zdecydowano się przejść granicę pruską, zawołał nas do siebie, z własnej szkatuły dał nam po dwadzieścia dukatów i paszporta pod cudzém imieniem; najchlubniejsze dymissye dla odniesionych ran. Mnie w nagrodę mojej dziesięcioletniej służby z podwyższeniem stopnia (to jest w stopniu majora), bo na kapitana awansowałem przedtém, przechodząc do pułku 10. Powiedział do nas: „Bóg nie poszczęścił naszej świętej sprawie, nachylamy się co chwila do grobu, może już za kilka godzin Polski nie będzie. Postanowiłem wejść z wojskiem

do Prus. Wy macie wiele nieprzyjaciół, nie chcę was mieć na sumieniu, ratujcie się jak możecie, tylko w Paryżu będziecie mogli odetchnąć.“ Uściskał nas i pożegnał. Dobrze mówił, że tylko w Paryżu będziemy mogli odetchnąć. Podróż nasza trwała 30 dni, lecz jakie jój niebezpieczeństwa towarzyszyły, jakim dziwnym sposobem przedarliśmy się pomiędzy Baszkierami i Czerkiesami przez granicę, opowiem później. — Wracam do Paryża. — Nie było więc miło Kaliszanom, gdy się dowiedzieli o naszym przybyciu. Wiedzieli o tém, że ich czynności będą rozbierane i wykazywane w prawdziwém świetle; wiedzieli, że wiele rodaków wyznaje nasze zasady i że będą popierać nasze usiłowania. Nie mieli przeto czasu do stracenia. Szło im o to, aby jak najprędzej uformować komplet w Paryżu, stanąć na jego czele, zebrać wszystkie fundusze skarbu polskiego, które były przy ambassadorze, toż samo fundusze ze składki zebrane, i rozrządzać pieniędzmi podług upodobania i woli, bo Kaliszanie lubią rządzić krajem, choć ich Pan Bóg nie powołał do tego zawodu; lecz jeszcze więcej lubią rządzić pieniędzmi, to ich najmilsza jest zabawka. Ochota więc rządzenia i mienia pod swoją dyspozycyą wiele pieniędzy, nie opuściła wcale naszych dygnitarzy po upadku nawet ojczyzny. Nie mogli oni rządzić Polską i opuścili ją, a przyjechali do Paryża, bo tu jeszcze coś było do zyskania. Były kapitały, jak mówiłem wyżej, przysłane z Polski dawniej na wydatki ambassady; były fundusze, któremi zarządzał Jelski w Londynie; dalej inne, przez agentów przysłane na zakupienie broni. To wszystko razem uregulowane i w jedną sumę zebrane, mogło być Bóg wie jak długo służyć sprawie naszej i bez żadnej cudzej łaski na wyżywienie nieszczęśliwych wygnańców. Lecz panowie nasi przyjechawszy do Paryża, tak zrećznie umieli się z sobą porozumieć, że teraz tylko sława chodzi po Paryżu, że były niegdyś znakomite polskie

sumy. Ale gdzie są? gdzie się podziały? w czym znajdują się ręku? Tego nikt nie wie i w Bogu nadzieja, że nikt nie będzie wiedział. My za naszym przybyciem do Paryża w dość krytycznym znajdowaliśmy się położeniu. Poczta w Prusiech niesłychanie droga i kwarantanny, które nas do rozpaczy przyprowadzały, wypróżniły ze szczętem nasze woreczki. Stanąwszy w Hotelu, nie mieliśmy ani jednego grosza. Zaledwie zdołaliśmy poszukać Podczaszyńskiego, który zawsze ten sam, zawsze poczciwy, nie zmienił się na jotę, o mało co nie oszalał z radości, gdy nas zobaczył; niechciał sam sobie wierzyć. Śmiał się i płakał i skakał razem pod sufit. Ścisnął Maurycyego, swego przyjaciela od młodości, nie można było z nim przyjść do mowy. Tysiąc pytań zadawał, na żadne nie czekał odpowiedzi, o Mamie, o Papię, o Cioci Zosi, w najczulszych wyrazach się rozwodził. Zawsze mu na myśli stało przypomnienie dawnych rzeczy, pobyt jego w naszym domu w Warszawie, obowiązki wdzięczności, przywiązanie prawdziwie synowskie, zgoła nic go Paryż nie zepsuł, doskonały chłopiec, ale trudno z nim dojść do ładu; trzpiot, roztrzepaniec, a nieznośny gaduła. Nakoniec zdołaliśmy zwrócić uwagę na nasze interesa. Fundusze Michała nie mogły na długo wystarczyć, stanęło tedy na radzie, aby przykładem innych rodaków pójść do Niemojewskiego, w którego ręku znajdowały się pieniądze, i wziąć na pierwsze nasze potrzeby. Nie łatwa ekspedycja. Maurycy nie mógł iść, bo w sporach politycznych nieraz go upokorzył, tak w Warszawie, jak też i w Modlinie i w Zakroczymie i w Płocku, i choć nie potrzeba było prosić o łaskę, zawsze jednak nieprzyjemneby mu było spotkanie z człowiekiem, którego niechęć wyrażała się tak jawnie ku nam. Padł tedy wyrok, abym ja, en ma qualité d'ancien militaire, poszedł do Niemojewskiego i zrobił interes. Poszedłem więc. Nikt sobie nie wystawi co go nabawiłem kłopotu

moją wizytą. Nie miałem żadnej potrzeby oszczędzać go, mówiłem wyraźnie co rozumiałem o wszystkich jego rządach w ogólności i w szczególności o tém, co się działo pod jego kierunkiem po kapitulacyi. Krztusił się dygnitarz i wykręcał jak wąż. Nic nie pomogło, wypowiedziałem wszystko, nie zapomniawszy w końcu gorzko mu wymawiać, że szczerze pragnął, abyśmy się nigdy nie dostali do Paryża. Kiedy oni razem skarb Polski rozrywali na wszystkie strony i ładowali pełne szkatuły złotem, aby w Paryżu w rozkoszach i dobrém winie mogli utopić żal po stracie ojczyzny, wtenczas ludziom ubogim, lecz poczciwym i mocno w rewolucyi skompromitowanym, których wszędzie zemsta dzikiego pognębiiciela dosięgnąćby potrafiła, dawano jakoby z łaski w nagrodę poświęceń po 200 złtp. Pot wystąpił na czoło ekspresowi. Student z najwyższej klasy lepiejby się tłómaczył jak ten nieuk polityczny. W każdym słowie prawie się zaciął, trudno go było zrozumieć, ledwom mógł zebrać treść tego co powiedział. Składał wszystko złe na Rybińskiego i na jego wówczas nieograniczoną władzę w wojsku, nie wiedząc o tém nic, że nam samym Rybiński w ostatku oświadczył: „Gdyby nie Niemojewski i jego głupie pryncypia, Polska by była ocalona.“ Nakoniec powiedziałem mu, że potrzebuję zasiłku na pierwsze potrzeby. Żądałem trzysta franków dla siebie i dla brata. Bez najmniejszego oporu wyliczył, aby się tylko pozbył niemiłego gościa, dodał jednak, że to daje z funduszu skarbu polskiego. Od tego momentu przekonał się Niemojewski, że nasza obecność w Paryżu może być szkodliwą jego dalszym zamiarom. Już było do trzydziestu Polaków w Paryżu, mając przeto na myśli uformowanie komitetu i objęcia naczelnictwa nad nim, zaprosił wszystkich Polaków do siebie, aby utworzyli komitet i obrali członków i prezesa, a uczynił tę inicjatywę *ex re* dawnego swojego prezesostwa. Nim jednak

Polacy się zebrali, biegał do wszystkich, ujmował dla siebie różnemi sposobami, według wszystkich prawideł sejmikowych, zbierał głosy dla siebie i dla swoich przyjaciół Kaliszanów, i tak dobrze wszystko przygotował, że na zebraniu ogólném został obrany większością głosów prezesem, a przyjaciele i krewni członkami. Przewidywaliśmy, jakie będą skutki i jakie rządy tego komitetu, lecz nie można było na samym wstępie wojny rozpocząć, tegośmy tylko dowiedzieli, że ten komitet i prezes jego przyjął nazwisko *tyczasowego* aż do zebrania się większej ilości Polaków, i że nie wolno mu będzie wdawać się w żadne czynności polityczne. O ten warunek szło nam najwięcej i to z następujących powodów: Wiadomo nam było, bo to wiadome całemu światu, jaki jest stan wewnętrzny Francyi i jój ministerstwo; wiadomo całemu światu, jaką hańbą ten rząd okrył się i jakiej niedołężności dał dowód, dopomagając upadku Polski, swojej najwierniejszej siostry na północy, dla której zapomniał nawet najpierwszych obowiązków wdzięczności. Wykrywa się nawet teraz szereg nieprzeliczonych podłości, których panowie Perier i Sobestiani używali, aby odwrócić Skrzyneckiego od jedynych i najpewniejszych środków zakończenia wojny z Rosyją, to jest za pomocą oręża i bitew. Wykazuje się tedy, że rząd francuzki nietylko nie miał myśli pomagać Polakom, ale owszem szczerze sobie życzył, aby sprawa ich upadła i to jak najprędzej. Łatwo sobie pomyśleć, dla czego takie jego było życzenie. Filip wstępując na tron rewolucyjny, obiecał być królem rewolucyjnym; nazwał się Roi - Citoyen; obiecał odzyskać przewagę w Europie i oderwać się od przymierza świętego. Obiecał protegować system liberalny, obiecał żyć skromnie, zmniejszyć podatki, podać rękę nieszczęśliwej klasie, która zdziałła rewolucyą, posadziła go na tronie *des baricades*. Tego wszystkiego nie dotrzymał Filip, owszem otoczy-

wszy się ministrami, z których niezgrabnej polityki cała Europa się śmieje; zapomniał czém jest i na jakim tronie siedzi, nadto zachciało mu się uznania od świętego przymierza. Cała Francya mówi, że trzeba pobić przymierze, a uznanie się znajdzie. Pan Perier zaś mówi, że trzeba pokój zachować, a nie dawać złego przykładu, a mocarstwa uznają Filipa. I w skutek tego systematu policya niesłychane popełniła gwałty. Szpiegów mnóstwo, podatki nic niezmnieszone, lista cywilna króla ogromna, robotnicy z głodu umierają, *une detresse générale* opanowała umysły wszystkich Francuzów. Rząd francuzki wszystko jest gotów poświęcić, aby tylko utrzymać się na téj rutynie i niezawodnie poświęci. Dla udowodnienia świętemu przymierzu, że czuwa u siebie wewnątrz nad porządkiem, podżega sam potajemnie komploty *des emeutes*, które potem oczywiście bardzo łatwo za pomocą policji i żandarmów uspakaja. Po odegraniu takiej komedyi a), wszystkie dzienniki ministryalne przez kilka dni opisują ze wszystkimi detalami zdarzenia, wykazują niebezpieczeństwo jakie zagrażało państwu i stolicy, a kończą zazwyczaj wielkim panegirykiem na chwałę rządu, który *par de grandes mesures et sa profonde sagesse* potrafił przewidzieć i uchronić kraj od nieszczęść. Rzadko kiedy takie sceny odbywają się bez krwi rozlewu. Ponieważ trzeba przyznać, że wszyscy prawie są usposobieni do zmiany rzeczy, ze zgrozą patrzą na zbrodnie rządu, więc posłyszawszy o jakimś rozruchu, nie wiedząc że to sidła, lecą w dobrą myśl i radziby rzeczywistą uskutecznić rewolucyą, lecz wtenczas oddziały zbrojne i policya zaczajona wypada zawsze w przemagającej sile i nielitościwie zabija, rąbie, strzela, i w oka mgnieniu wszystko się kończy, znikają z sceny winni i niewinni, na placu boju zostają tylko żandarmy, kilku rannych lub zabitych, smutne ofiary podstępny i nikiżmości rządu. — Również dla udowodnienia świętemu

przymierzowi, że rząd obecny nie trzyma się bynajmniej zasad rewolucyi lipcowej, pozwolił upaść Włochom, Belgom, a Polakom, ponieważ byli mocni i własnymi środkami mogli byli pobić Moskali, nietylko że nie chciał pomagać, jak to wyżej powiedziałem, ale owszem za pomocą oszustwa, nie drogą officyalną, lecz potajemnie przez agentów potrafili opanować Czartoryskiego i Skrzyneckiego; obiecywali Bóg wie co, pokazywali gruszki na wierzbie, byle tylko dać czas Paszkiewiczowi do przejścia Wisły i zajęcia korzystnych pozycji. Czartoryski z upodobania słuchał podszeptów agentów, Skrzynecki zwlekał do ostatka, bo mu powiedziano: *Je ne ferme encore deux mois sans livrer une bataille décisive, Votre patrie sera sauvée, nous en sommes!* Widzieliśmy jak się to skończyło, jak nasza ojczyzna była sauvée. Upadliśmy — zostały spełnione życzenia ministerstwa francuzkiego.

W takim tedy stanie rzeczy, przyjechawszy do Paryża przewidzieliśmy, że Polacy wygnańcy nie mile będą widzeni przez rząd; prosty więc interes i rozum nakazywał nie żądać nic od niego, żadnej łaski; trzymać się jak najdalej pod zasłoną instytucyi i praw krajowych; utrzymywać się w Paryżu tak długo, póki własne fundusze i składki przez naród złożone wystarczą, a przez ten czas impozycyą i szlachetną wytrwałością zmusić rząd, aby przez wzgląd na usługi, jakie uczyniliśmy Francyi, przez wojnę naszą z Rossyą, przez proste obowiązki wdzięczności i ich własny interes, uczynił to dla nas, co było zgodne z naszym honorem narodowym i z sprawą, którą podnieśliśmy w Polsce i bronili ją z takim poświęceniem przez dziesięć miesięcy. Chcieliśmy po prostu odwołać się do ludu francuzkiego i przez powszechną opinią to wymóżyć na rządzie, czegoby on z własnej woli nie uczynił. Jakaż była natura naszego żądania? Żeby dobrze być zrozumianym, muszę zwrócić

uwagę Papy na niektóre prawa francuzkie. Konstytucya francuzka odmawia każdemu cudzoziemcowi praw obywatelstwa. Kto chce używać tych praw musi się naturalizować, a to nie może inaczej nastąpić jak przez pobyt pięcioletni w kraju. Nikt nie może wejść do wojska francuzkiego, kto nie jest Francuzem. Ponieważ zaś według dawnego zwyczaju z wszystkich krajów wygnańcy znajdowali schronienie na ziemi francuzkiej, żeby tedy obmyślić dla nich sposób do życia, a nie sprzeciwić się ustawom, uformowano nie wiem w którym czasie *Legią Cudzoziemską*, *Une Legion Etrangère*. Ta legia pobiera żołd taki jaki i armia francuzka i składa się z rozmaitej klasy cudzoziemców. I tak Włochów, Hiszpanów, Niemców, Moskalów, Anglików. Zgoła banda łotrów z całego świata. Ta legia z natury swojej tak różnorodna, nie używa żadnej reputacyi militarnej, a musi wysługiwać się za żołd, który pobiera, najprzykrzejszą i najcięższą służbą. Jeżeli potrzeba pobić Beduinów w Afryce, posyłają legią cudzoziemską; potrzeba gdzieś dopełnić osady na drugim końcu świata, posyłają legią. Zgoła na pierwszą potrzebę i na każde zawołanie musi być wszędzie i zawsze w pogotowiu legia. Ani tam zrozumieć nie może jeden drugiego, ani podobna zaprowadzić karności wojskowej. Co żołnierz to inny obyczaj, inne wyobrażenie; dezercya ustawna; niesforność, złodziejstwo, pijaństwo bezprzykładne. W takiej tedy legii rząd francuzki przeznaczył miejsce dla wygnańców Polaków. Łatwo sobie wystawić nasze oburzenie, gdyśmy się dowiedzieli o tém postanowieniu. Ja sam odebrałem inwitacyą od generała komendanta, który proponował mi wejście do legii z zachowaniem stopnia sztabs-oficera. Odpowiedziałem, że nie przyjechałem służyć widokom rządu i nie myślę zaprzedać się jemu za 4000 franków rocznej pensyi; jeżeli jestem w Paryżu to dla tego, że niemogę być w Polsce, lecz i w Paryżu nie przestanę myśleć o Polsce.

Wracając do opowiadania o komitecie naszym, pokazuje się, iż mieliśmy słuszność domagać się aby ten komitet w żadne nie wdawał się porozumienia z ministrami, bo wiedzieliśmy, że ztąd wypadłyby skutki, jakich sobie życzył rząd. Jednak pomimo przyrzeczenia exprezesa dawnego rządu a prezes tymczasowy tymczasowego komitetu *poussé par la manie de gouverner*, zaraz na drugi dzień zameldował się w przedpokoju pana Perier. Nigdy nikt mocniej nie był ukarany za swoje głupotę. Minister nie przyjął prezesa. Wizyta ta jednak nie została w utajeniu. Zaraz dowiedzieliśmy się, a opierając się na niedotrzymaniu warunków, zapowiedzieliśmy zmianę komitetu i prezesa. Tymczasem większa część Polaków zebrała się już w Paryżu. Niemojewski nie tracił darmo czasu, chciał koniecznie utrzymać się na prezesostwie. Dalejże znowu do sejmikowych reguł. Zapraszał do siebie jednych, do drugich sam chodził i już prawie był pewnym, że na powtórny obiorze zostanie potwierdzonym. Niebezpieczeństwo było wielkie, trzeba było stanowczego kroku. Zwołaliśmy radę prywatną w celu obmyślenia środków uniknięcia złego, lecz przekonaliśmy się, że Niemojewski już zanadto wielu porobił sobie przyjaciół. Zostawał tylko jeden środek zwrócić opinią przez jawne publiczne ocenienie niedołężności dyplomatycznej exprezesa i szkód jakich się stał przyczyną podczas swoich rządów. Maurycy, Gurowski wzięli się do roboty i przez jeden wieczór napisali o tém broszurę, którą wydrukowali po polsku i rozdali wszystkim Polakom. Nagle otworzyły się oczy! O ile ktoś dobrze mówił i chwalił Niemojewskiego, o tyle po przeczytaniu broszury ganił, narzekał na niego. Odnieśliśmy najkompletniejszy tryumf. Nie mam miejsca opisanie co się działo na obiorze komitetu stałego, to tylko powiem, że nikt nie był tak upokorzonym jak Niemojewski i partya kaliska we własnym mieszkaniu, bo tam wszyscy Polacy się zebraли

a było ich ze stu. Musiał siedzieć w przedpokoju, bo w salonach obradowaliśmy nad organizacją komitetu stałego, wyboru prezesa i członków. Jednomyślnie Niemojewski zrzucony z prezesostwa, ustąpił miejsca Lelewowi. Komitet nowy nazwany *Le comité permanent national*, ma porządną organizacją swęj ustawy i prawo obmyślenia środków egzystencyi Polaków wygnańców. Lecz umiał się Niemojewski zemścić za zniewagę sobie wyrządzoną; funduszów skarbowych nietylko że nie oddał, ale nadto wyparł się najuroczyściej jakoby je kiedy miał pod swoim rozporządzeniem. Lecz ponieważ wymówił się przedemną, jak to zapisałem wyżej o wizycie mojej, że mi z funduszów skarbowych daje trzysta franków, napisał więc natychmiast po obiorze nowego komitetu list do mnie, w którym domaga się zwrotu trzystu franków, oświadczając wyraźnie, że te pieniądze nie były wcale z funduszów skarbowych, których nigdy nie miał i nie ma, ale z funduszów jego własnych. Dodał w końcu, że jeżeli mi mówił o jakich funduszach, to się miało rozumieć o funduszach komitetu francuzkiego. b) Tym sposobem znikły wielkie summy polskie. Otóż to pod zarządem takich ludzi miała rewolucya polska się utrzymać, i takim sposobem skarb 94 milionów powierzony jednemu z Kaliszanów spelzł na niczém! Nie dosyć na tém: posuwa dalej swoją zemstę już nie na nas, ale w ogólności na wszystkich Polaków prawie przytomnych w Paryżu, do piekielnych udając się środków. Z ministrami ma porozumienie, obczernia, obgaduje rodaków, ochrzcił ich jedném nazwiskiem zbrodniarzy nocy 15. Sierpnia. Wyperswadował ministrom, że wszyscy Polacy, którzy znajdują się w Paryżu, umoczyli rękę w krwi niewinnój, a sam Lelewel mordował dzieci i bezbronne niewiasty w czasie téj pamiętnój nocy. Ministrowie wierzą i tém mocniej się nas boją i tém nienawistniej na nas patrzą. Już była nawet kwestya *d'un coup d'état*,

to jest żeby jednej nocy porwać wszystkich Polaków i wywieść do Awinionu. Lecz głos ludu odezwał się z daleka jak głos gromu i zadrzał tron Filipa, a ministrom jego okazało się widmo Polignaca i los jego współpracowników. To pewna, że najmniejszy gwałt Polakom wyrządzony ze strony rządu, stałby się przyczyną odrodzenia Francji. Nie wiem jak dalej będzie i o ile Lelewel odpowie naszym życzeniom. Mam jednak nadzieję, że Izby pozwolą Polakom przez excepcyą naturalizować się, albo postanowią uformować legią polską<sup>d)</sup> zupełnie odmienną od legii zagranicznej, któraby żadnych stosunków z nią nie miała. W takim tylko razie syn Papy Kamil pokręciwszy wąsa, przypasze szablę i założy szlify.

Obok tych wszystkich zamieszkań, kłopotów i nieporozumień, Maurycy rażno się wziął do opisywania rewolucyi polskiej, lecz ustannie mu przeszkadzano. Nic nie pomogła nawet praktyka z dawnego warszawskiego czasu z zamykaniem się na klucz. Wybijano drzwi nielitościwie, zabierano czas, jeszcze nielitościwiej wypalano tytuń; fajek, stambulek, których tu trzeba strzedz jak oka w głowie, bo niesłychanie drogie, a takie słabe, że za najmniejszym uderzeniem tłuką się, niepodobna było nastarczyć. Często nawet zdarzało się, że gość pod pretekstem naradzenia się o dobru ogólném, przyszedłszy z rana, wypijał moją bez miłosierdzia lub Maurycego porcyą kawy. To wszystko o mało nas do desperacyi nie przyprowadziło. Maurycy, któremu pierwsze już rozdziały Historji rewolucyi udały się nad wszelkie oczekiwanie, postanowił tedy potajemnie wynieść się z Paryża dla dokończenia swego dzieła, a ponieważ Michał Podczaszyński siedzi w Metz, posłany od komitetu dla ułatwienia Polakom dostania się do Paryża, więc tamże i Maurycy zmierzył swoje kroki. Utrzymuję jednak z nim prawie codzienną korespondencyą. Zakres tego listu rozciągnął się dłużej jak rozumiałem z początku, nie

opisałem jednak jeszcze bardzo wiele rzeczy, które koniecznie muszą dojść do wiadomości Papy, a dopełnią odpowiedzi dopiero na jedno z 12 kategorii w liście Papy. Żeby więc odpowiedzieć na wszystkie, przynajmniej 12 razy więcej trzeba napisać. Uczynię to częściowo, i tak w przyszłym liście dokończę opowiadania o tém, co się tu dzieje z nami w stosunku do rządu, a potem zacznę od 14. Lipca, to jest od rozstania się z Papą.

Do mojej najdroższej Mamy.

Pośród radości i szczęścia nieopisanego, którego doznaję po odebraniu wiadomości, że już nie ma niebezpieczeństwa ze słabością Mamy, z boleścią napotkałem na wyrazy ręką Papy kreślone, że Mama jeszcze często zapada. Miałooby takie być przeznaczenie, aby po stracie najpiękniejszych nadziei i po upadku ojczyzny, niewolno nam było cieszyć się najpiękniejszą i jedyną pociechą zupełnego zdrowia naszej dobrej Mamy. O nie! Ja wierzę w Opatrzność i w rządy Boskie. On nas nie stworzył dla tego aby nas ustawnie dręczył i martwił. On zleje na mamę wszelkie pomyślności i zupełnem zdrowiem obdarzy. A któż tego więcej godzien? Kto na to więcej zasłużył? Nie ten święty, co za wiarę dał się ukamienować, ani ten co ostrą pokutą całe życie dręczył ciało, ale ten, kto w powołaniu matki nie ustąpi żadnej z matek na całym świecie. Ja nie mam nic, tylko takiego ojca i taką matkę, jakże jestem bogaty! Tego skarbu nie chcę stracić aż z mojem życiem. Oczekuję z największym upragnieniem przez najpierwszą pocztę wiadomości własną ręką Mamy pisaną o jej zdrowiu. Mam nadzieję, że będzie dla mnie pocieszająca. Jaka będzie moja przyszłość, tego nie wiem; ale czy uczyniliśmy zadosyć przestrogom, które czytam w liście Mamy, niechaj zaświadczy nasza przeszłość. Zawsze jednak święte będą dla mnie wszystkie przestrogi i wszy-

stkie napomnienia mojej najdroższej Mamy. Jakbym rad je słyszeć z własnych ust Mamy i za każde słowo ucałować stopki najukochańszej Mamy! Co się zaś tyczy *opery i baletu*, te są wszędzie jednakowe na całym świecie, a jeżeli w Paryżu są złośliwsze i szkodliwsze jak w Warszawie, za to też Kamil w Paryżu jest rozumniejszy jak był w Warszawie, a zresztą niech mi przebaczy kochana Mama że powtórzę przysłowie: *!Nie taki diabeł straszny jak go malują.*

#### Przypiski do listu.

a) Sam przed kilkoma dniami byłem świadkiem podobnej sceny przy Notre-Dame. W czasie ciemnej nocy pokazał się ogień na wierzchu wysokiej wieży; kilku agentów zebrało się na dole, jeden wystrzelił, a drudzy zaczęli krzyczyć: *aux armes! aux armes!* W momencie zebrała się garstka ludu, nim ci zniknęli, a na ich miejscu wysunął się z ciasnej uliczki szwadron mocny żandarmów, wpadli na tłum, tratowali, strzelali, w moment wszystko się uciżyło.

b) Komitet francuzko-polski pod dyrekcją Lafayette'a uformował się w początku rewolucji polskiej; istnieje dotąd; zbiera składki i oddaje je naszemu komitetowi narodowemu, który reguluje wydatki. Każdy Polak wygnaniec w Paryżu pobiera z tych funduszów dotąd pensyą wyrównyującą pensji podporucznika w Polsce.

c) Mówię to o Paryżu, bo wiadomo zapewne Papie, że Polakom wyjeżdżającym do Francji, pod żadnym pretextem nie wolno przyjechać do Paryża. Za paszportem odsyłani są do Awinionu albo do Chateau-Roux; lecz kto przedtem ordynansem przyjechał do Paryża, ten jest już nietykalny. Ukradkiem jednak przemykają się do Paryża, a dosyć tylko minąć rogatki, aby utopić się w tém mieście jak w morzu.

d) Dotąd utrzymuje pan Perier, że uformować legię i nazwać ją Legią Polską, byłoby to samo, co wypowiedzieć wojnę Rosyji. — Co za nonsens!

**List (drugi) Kamila Mochnackiego.**

Paryż, 20. Stycznia 1832. r.

Zapomniałem w ostatnim liście moim (który z Paryża wyszedł dnia 14. Stycznia, to jest nazajutrz po odebranych liście od Papy najukochańszego) wspomnieć, iż list Papy, datowany pod dniem 24. Grudnia 1831. roku, powinien był z Polanki przyjść do Paryża w 10 lub 11 dni, to jest dnia 6. lub 7. Stycznia. Dla czegoż ja go odebrałem dopiero 13. Stycznia? to jest później o całe 6 dni? Może choć datowany d. 27. Grudnia, nie wyszedł zaraz z Polanki? Raczy najukochańszy Papa tę wątpliwość wyjaśnić, spodziewam się zaś listu od Papy 3. lub 4. Lutego, to jest we 20 lub 21 dni po wyjściu mego pierwszego listu z Paryża. Niecierpliwie będę oczekiwał tego dnia, a lękając się, żeby moje listy nie przyszły już po wyjeździe Papy z Polanki, spieszę z dokończeniem opisu tego, co się dzieje w Paryżu a ma związek z nami. Opisałem już co zaszło między Polakami zebranymi w Paryżu, a partją Kaliską; dodam tylko teraz z których ona członków rzeczywiście się składa i z kąd się wzięło to nazwisko. Nazwisko to nie jest przez nas wymyślone, ma swój początek historyczny, który zasięga pierwszych dni naszej rewolucyi. Przypomni sobie Papa posiedzenie Kuryera Polskiego, którego Maurycy stworzył 1° dla spopularyzowania tego pisma popularnemi imionami, 2° dla podsunienia się pod wpływ Wincentego Niemojewskiego, 3° dla wyzondowania i ocenienia dyspozycyi rozmaitych fakeyi, których naczelnicy tam się znajdowali. Na posiedzeniach tych, Kaliszanie najmocniej upierali się przy zachowaniu dawnych form konstytucyjnych przy rządzie monarchicznym, i dali nawet początek tej śmiesznej deklaracyi sejmu, że rewolucya nasza nie ma nic a nic w sobie republikanckiego, i że reprezentanci przyrzekają w obec Europy

nie myśleć o innéj formie rządu, tylko o formie konstytucyjno-monarchicznéj. Trzymali się więc Kaliszanie najściślej teoryi Benjamina Constant (notabene teoryi tylko dwóch pierwszych tomów tego pisma, więcéj nie czytali bo za długie). Tych uczniów Benjamina Constant nazwać chcieliśmy Benjamistami; lecz Wincenty Niemojewski, szef partyi, dowiedziawszy się o tym przydomku, postanowił, aby jego i prozelitów jego nazywać partyą Kaliską. Od tego czasu partya ta exystuje i składa się po większej części z samych pokrewnych bliższych i dalszych w linii pokrewieństwa, których nadto stosunki majątkowe, sąsiedztwa i miléj dawnéj przyjaźni nienaruszonym połączyły węzłem. Z rozmaitem szczęściem wojowała ta partya w ciągu całej rewolucyi. Mocna przed dyktaturą, jeszcze mocniejsza po dyktaturze, najmocniejszy prawie w owym czasie wywierała wpływ na opinią powszechną. Nie lubiła zawsze asociatów publicznych, towarzystwa patriotycznego; nie cierpiała członków, nazywała sans-culotami, Jakubinami, ludźmi sprzedajnymi, którzy względem swojej ojczyzny nigdy prawych zamiarów nie mieli; ale za to sama nie przestała myśleć o dobru ojczyzny, rozebrała między siebie najwyższe urzędy, a niższe magistratury dalszemi w linii pokrewieństwa obsadziła członkami. Rządzili więc Kaliszanie zawsze i wszędzie, przed dyktaturą i po dyktaturze, za Radziwiłła i za Skrzyneckiego i po Skrzyneckim, i przed Krukowieckim i po Krukowieckim; zgoła od dnia 29. Listopada aż do dnia 22. Września, w którym to dniu Bonawentura Niemojewski, widząc, że nie ma już co robić w Polsce, wziął co było do wzięcia i przyjechał do Paryża. — Nie ma miejsca wyliczać wszystkie przymioty i wszystkie wielkie korzyści, jakie rewolucya polska odniosła z egzystencyi téj zacnéj kongregacyi. Znane są Papie aż nadto dobrze jéj pryncypia, z których zawsze śmieliśmy się w Nowéj Polsce (gazeta tak nazwana).

Najlepiej z nich wszystkich miał w głowie i w sercu Wincenty głuchy, ale w Płocku wyraźnie oświadczywszy bratu Bonawenturze et Companie: „że wolałby już z Jakobinami i demagogami mieć do czynienia, niż z takimi nieukami politycznymi, nie mógł już dłużej i nie chciał wglądać w ich działania“; a gdy mu brat począł dokuzać, poczciwy starzec bez eskorty i podobno bez pieniędzy uciekł z Polski. Złapali go też natychmiast Czerkasy, którzy i na nas mieli apetyt.

Inni Kaliszanie oprócz zaciętości, uporu, przywiązania do pieniędzy i nieograniczonej ochoty do urzędów, żadnej innej nie posiadali zalety.<sup>a)</sup>

Wodzi rej między nimi obecnie Morawski, ex-minister spraw zagranicznych. Ten przechodzi ich wszystkich w zawodzie intryg i obmów. Od początku rewolucyi aż do Sierpnia siedział w Paryżu, niby użyty do ambasady. Przez ten czas cały ani o Polsce, ani o rewolucyi myśleć nie chciał; pod koniec, kiedy powodzenie oręża polskiego rokowało szczęśliwe zakończenie wojny, zaczął Morawski głosić swoje wielkie zdatności i talenta; zrećznie zalecał siebie jako człowieka, bez którego Polska obejść się nie może. Nic jednak na los położyć nie chciał, i dopiero jak mu z Warszawy na piśmie zagwarantowano prezesostwo w banku, wyjechał z Paryża i przybył do Warszawy. O mało co się nie zawiódł w swoich rachunkach, bo nim zdołał objąć prezesostwo w banku, zleciał Skrzynecki, a potem Czartoryski abdykował. Byłby dyplomatyk osiadł na lodzie, lecz Kaliszanie nie zapomnieli o kuzynie i sprzymierzeńcu. Wakowało ministerstwo interesów zagranicznych; oddali więc je Morawskiemu. Bolesno jest wspomnieć na te czasy; opiszę je w następnych listach. — Wspomniałem je dla tego tylko teraz, że Morawski, który jak się wykazuje, nie położył najmniejszych zasług, tutaj w Paryżu odgrywa rolę wielkiego patryoty, bez przestanku intryguje i pełną garścią

rozsiewa między Polakami niezgody. Z tego źródła wyszła znowu wzmianka o piśmie Maurycego u Karmelitów, jego pobyt w cenzurze i znajomość z Szaniawskim. Wszystko to po tyle razy wznawiane, dziś już najmniejszego nie czyni efektu, a chlubna przeszłość Maurycego podczas rewolucyi i rany jego trzykrotnie odniesione, są dostateczną tarczą, o którą rozbijają się wszystkie potwarze i nikczemne usiłowania tych pigmejczyków. Też rodzaju napaści doznaje także Gurowski. Dobrze umiał Morawski wiadomości o jego dziadku, który z Katarzyną, czyli téż z Pawłem, miał w Petersburgu porozumienie, rozsiewać i inne plotki, to o opuszczeniu przez niego wojska, to o krzyżu, to o osobistych jego widokach w rewolucyi, zgoła nie ma nic pod słońcem, czego by nie wymyślił i nie rozgadał; lecz Gurowskiemu sprzykrzyło się refutować, i kiedy to piszę, może już jeden z nich nie żyje, bo w lasku Boulogne ma się rozstrzygnąć, kto się mniej boi umrzeć.

Więc tedy partya Kaliska, do której należy: Bonawentura Niemojewski, Aloizy Morawski, Działyński, Tymowski, Wołowski Franciszek b), Platerów 5, Plichta, Kaszyc, Kunat, Chłapowski, lecz nie generał, Zenowicz poseł, wielu jeszcze innych, zaraz po wywróceniu tymczasowego komitetu (o którym w przeszłym liście) uczynili protestacyą, w której oświadczyli, że nie chcą mieć nic wspólnego z tymi, którzy go wybrali (obierających było 100). Że komitet wybrany przez naszą wolę nie ma prawa egzystować, nie powinien mieć politycznych celów, i że kiedy Polska już wróciła do dawnego porządku, więc nikt nie ma prawa na całym świecie protestować przeciw temu co się dzieje, oprócz jednego sejmu i rządu, który wszakże tego nigdy nie uczyni, bo to się może nie podobać ministrom i królowi francuzkiemu, a nadewszystko panu Pozzo di Borgo i panu jego w Moskwie. Naśmialiśmy się z téj protestacyi i na ogólném

zgromadzeniu zebraném, postanowiliśmy ogłosić przez wszystkie pisma publiczne egzystencyą komitetu, jego członków, celów, widoków, praw i t. d., a do tego czasu już na całym świecie wiedzą, że Polacy nietylko ratując życie udali się na ziemię francuzką, lecz udali się także tam, aby mogli czuwać nad dobrem ludu polskiego i za najmniejszą sposobnością wrócić na ziemię ojczystą z bronią w rękę, którą nam wytrąciła zdrada i nikiemność własnych naszych rodaków. — W takim tedy stanie stały rzeczy w Paryżu, gdy przyszła wiadomość, że kolumna z 10 lub 12,000 żołnierzy polskich złożona, nie chcąc wracać do Polski z Prus, mają przyjść do Paryża, że generał Bem tę kolumnę prowadzi. Komitet polski wysłał natychmiast emissaryusza z 50,000 franków naprzeciwko téj kolumny; lecz zaledwo upłynęło dni kilka, przybył Bem sam do Paryża z dwoma adjutantami. Niemojewski, który się najpierwszy dowiedział o jego przybyciu, poleciał natychmiast i wystawił mu w najfałszywszém świetle i komitet i Polaków zebranych w Paryżu; zaklął go na wszystko, aby nie miał do czynienia z takim komitetem, tylko aby się najprędzej udał do ministrów, którzy mu dadzą wszelką pomoc, jakiej zażąda do sprowadzenia wojska do Francji. — Bem usłuchał, lecz mocno potém tego żałował. Komitet Narodowy ze swojej strony znowu najgrzeczniejszym listem zaprosił Bema (nie wiedząc nic o intrydze Niemojewskiego) do siebie na posiedzenie, celem wspólnego naradzenia się o sposobach sprowadzenia żołnierzy; lecz Bem, zamiast przyjścia sam na sessyą, taką odpowiedź przysłał:

*Do komitetu polskiego.*

„List komitetu odebrałem wraz z jego ustawami. Z boleścią serca wyczytuję, że komitet ten przywłaszcza sobie władzę, której mu tutaj nikt nadać nie mógł i nie

może. W imieniu narodu mogą tylko działać posłowie i deputowani, zebrani za granicą podług ustaw konstytucyjnych; w imieniu wojska tylko wybrani od wojska; takim jest w Paryżu generał Kniaziewicz. Jeżeli zaś niektórzy Polacy chcą żyć w Paryżu pojedynczo, niech się utrzymują z jałmużen, które wyciskać umieją, niech rozszarpują summy, które szlachetne narody na dobro nieszczęśliwych przeznaczają; ale niech się nie odważają przemawiać w imieniu narodu. Jako żołnierz oświadczyć tu muszę, że ta garstka wojowników, z którymi tu do Francji przybywam, jest złożona z ludzi, co krew swoją za wolność i niepodległość narodu przelewali i przelewać będą; co wszystko dla kraju poświęcili i poświęcą, a nie mając na celu jak tylko najświętszą sprawę narodową, z upragnieniem czekają momentu, w którymby do kraju z bronią w rękę powrócić i życie swoje dla dobra nieszczęśliwej ojczyzny poświęcić będą mogli. Wszystko to czuć będzie tymczasem nad sławą krwawo nabytą, a biada temu, któryby ją niszczyć odważył się. Nie chcą oni mieć żadnych stosunków z tymi, co tylko po brukach paryzkich i warszawskich, dalecy od wszelkiego niebezpieczeństwa, czas swój tracili i tracić umieją, a korzystając z okoliczności, najświętsze poświęcenie narodu i chwałę oręża sobie przywłaszczają i na dobro osobiste używają.“

*Generał Bem.*

Komitet odbywa zawsze posiedzenia przy drzwiach otwartych. Znajdowaliśmy się właśnie w towarzystwie kilkunastu oficerów właśnie w owej chwili, kiedy ten list przyniesiono i w głos odczytano. Wypisałem dla tego co do słowa ten list Papie, żeby w całej obszerności dać wyobrażenie o duchu partyi Kaliskiej, która raz dla pomszczenia się za różne zniewagi i znowu dla osłabienia powagi i znaczenia komitetu c) wtrąciła Bema w ta-

kie błoto, że, aby wyjść z niego, długo potrzebował czasu i zachodu. Oczywiście Bem o niczem nie wiedząc, łatwo dał się usidlić. Napisał ten list pod wpływem Morawskiego i Niemojewskiego i zaadresował do komitetu polskiego; nie napisał on nie sam z siebie, tylko to, co mu kazali napisać; lecz bynajmniej nie wiedział, jakie to pociągnie za sobą skutki. Partya Kaliska toż samo wprawdzie powtarzała zawsze, ale to tylko ustnie i dobrze się strzegąc, żeby ją ktoś nie uchwycił au flagrant delit i nie pociągnął do odpowiedzialności osobistej; lecz osiodławszy Bema, mocno była z tego kontenta, że go jako organ swój do zemsty użyć mogła. — Przeczytaliśmy więc ten list z największym oburzeniem. Jeden człowiek, pan Bem, nie wchodząc z jakich to uczynił powodów, poważił się zhańbić komitet, ciało reprezentacyjne, wołą ogółu postanowione, zarzucił rozszarpanie sum, a co największa, dotknął anteriorów rodaków oficerów, zebranych w Paryżu, jakoby bruki ślufowali w Warszawie i dalecy byli od niebezpieczeństw, ma się rozumieć wojny. — Takięj obrazy oczywiście żaden oficer nie mógł znieść, jakoż oczywiście, który tylko posłyszał słowa listu, lub go sam przeczytał, porwał natychmiast za pióro i w imie obrażonego honoru wojskowego napisał do generała Bema, wzywając go do honorowej rozprawy. W okamgnieniu zobaczył Bem na swoim stole list, opatrzony podpisami 30 oficerów, z których kaźden pragnął krwią zmasać hańbę, którą go okrywały słowa listu pana Bema. Nie byłem tam, lecz mi mówiono, że Bem przeczytawszy kartel zbladł jak trup. Taki kartel niczem więcęj oczywiście nie jest, tylko wyrokiem śmierci; niepodobna żeby z 30 kul jedna go nie trafiła. Trzeba było prędko zdecydować się. Zostawał mu wybór między śmiercią a upokorzeniem się nikczemnym; jednakże tak był zmieszany, że nie był w stanie nic stanowczego odpowiedzieć. W tym stanie stagnacyi przepędził cały

dzień; żaden z Kaliszanów nie przyszedł wydzwignąć go z przepaści, w którą wtrąciła go ich intryga. Nazajutrz dzień, gdy się nikt nie zgłosił od pana Bema, ja i Maurycy napisaliśmy osobny bilet następującej treści:

#### Do Pana Bema.

„Na wyzwanie wczorajsze nie Pan nie odpowiedziałeś; milczenie to uważamy za powtórzenie obrazy, którą wyrządziłeś naszemu honorowi. Nie byliśmy dalecy od niebezpieczeństw, i niezbijaliśmy bruków w Warszawie, to zaświadcza rany, któremi jesteśmy okryci, i krzyże które nam dano w nagrodę zasług wojskowych. Przed 29 Listopada, kiedy pośród największych niebezpieczeństw układaliśmy rewolucyą, Pan właśnie wtenczas daleki byłeś od niebezpieczeństw i zbijałeś bruki po Lwowie. W dzień 29 Listopada, kiedy my niepomni na przemoc i wyraźne niebezpieczeństwo, nieśliśmy życie nasze dla oswobodzenia ojczyzny, Pan wtenczas zbijałeś bruki po Lwowie. Kiedy później, my tylko dobro ojczyzny mając na celu, w niebezpiecznych wyprawach pojedynczo rzucałiśmy się w obozy nieprzyjacielskie, Pan wtenczas zbijałeś bruki po Lwowie. Nakoniec po rozpoczęciu wojny my już staczaliśmy krwawe boje, i sztandary nieprzyjaciołom odbieraliśmy, a Pan jeszcze daleki od niebezpieczeństwa zbijałeś bruki po Lwowie, czekając na którą stronę przeważy się zwycięstwo. Przyjechałeś nakoniec wtenczas do Polski, kiedy same korzyści z rewolucyi osiągnąć mógłeś. Biłeś się pan dobrze, wyznajem, ale któryż żołnierz polski nie bił się dobrze? Dopełnienie obowiązku nie jest jeszcze zasługą. Był czas kiedy oddawano panu naczelné dowództwo, nie przyjąłeś go pan, choć więcej do tego miałeś zdatności niżeli inni. Mógłeś Pan kraj uratować pod Warszawą, mógłeś toż samo i w Modlinie i w Płocku. Dla czegoż pan tego nie zrobiłeś? bo naczelnemu dowódcy towarzyszyło niebezpieczeństwo.

Teraz kiedy ani wojska niema, ani niebezpieczeństwa, ani nieprzyjaciela, narzucasz się na wodza i odmawiasz zasług oficerom, którzy chyba dla tego są mniej zasłużeni, że zawsze poczciwie myśleli o dobru ojczyzny, i że z rewolucyi nie wynieśli szlif generalskich. Jutro o godzinie 12 z południa stawisz się pan w lasku Bulońskim z swoim sekundantem, inaczej za obelgi jeszcze większe cię obelgi spotkają.“

(podpisano) *Maurycy Mochnacki.*

Były porucznik wojsk polskich.

*Kamil Mochnacki.*

Były major wojsk polskich.

Oto jest przysmaczek, który musiał zjeść pan Bem, w skutku swojej nierozwagi i zbytnej swojej powolności, i nadstawienia ucha podszeptom nędznej fakcji. Może za obelżywy był ten list, i istotnie nie należałoby tak surowo karać kroku, który nie pochodził ze złego serca i z występnych zamiarów. Lecz wiedzieliśmy, że taką tylko impozycją będziemy mogli wykazać nikczemność i bezsilność zabiegów partyi kaliskiej. Otworzył oczy Bem przeczytawszy list, sam sobie wierzyć nie chciał, że do niego pisany. Wreszcie po długiej rozprawie powiedział do swojego sekundanta „słusznie jestem ukarany, niepowinienem się być dać uwieść; wystawiono mi rzecz w inném świetle. Nawet nie wiedziałem kto z Polaków znajduje się w Paryżu, nie miałbym sumienia bić się z oficerami których tak mocno obraziłem. Idź, proszę cię do p. Mochnackich, powiedz im, że nigdy nie miałem na myśli odmawiać zasług, które nabyli. Młodszego cenię i cenilem jako towarzysza broni, dobrego żołnierza, o starszym dziwne rzeczy mi powiadano to prawda. Ale ponieważ bił się z Moskałami, już ma prawo do szacunku, a o opinie polityczne rozumiem,

że się ze mną nie będzie strzelał.“ Co do słowa nam to powtórzył sekundant, dodał, że jeżeli nie dosyć na piśmienném przeproszeniu, Jenerał Bem gotów jest zawsze i wszędzie podać rękę i rzecz tę publicznie odwołać, aby wszyscy ci którzy się w jego liście obrażonemi widzieli, dostateczną i zupełną mieli satysfakcyą. Maurycy odpowiedział: „że miło mu jest w ten sposób widzieć rzecz załatwioną. Co się zaś tyczy opinii politycznych, o te nie ma do nikogo żadnych pretensyi, i z nikim się o nią strzelać nie będzie.“ Bem zaraz nazajutrz wyjechał z Paryża, bo niepodobna mu było znieść wszystkie *propos*, które na konto jego łatwowierności w Paryżu puszczano. Wiem tylko, że przed wyjazdem mało nie obił Morawskiego. Lecz cała ta awantura była dowodem, że komitet Polski nie stoi jeszcze na mocnych zasadach. Każdy za siebie indywidualnie mógł się upomnieć i Bema do odpowiedzialności pociągnąć. Lecz komitet, ciało moralne, jakże potrafi odbić cios? Radziliśmy więc Lelewelowi, aby rzecz całą przez pisma publiczne ogłosił, i zbił te fałszywe mniemania, że my nie mieliśmy prawa tworzyć komitetu, i że utworzony przez nas komitet nie ma prawa egzystować. Już się nawet skłonił był Lelewel do tego kroku, ale też sama niepewność w postępowaniu, też sama nieśmiałość, która cechowała prezesa towarzystwa patrijotycznego w Warszawie, ministra oświecenia i członka rządu, cechuje też samo prezesa komitetu polskiego w Paryżu. Lelewel nigdy nie odpowiedział naszym oczekiwaniom w rewolucyi, a teraz tę samą musimy naganiać powolność. Ale cóż mam Papie pisać co to jest Lelewel i komu on winien reputacją pierwszego w rewolucyi członka? Lecz on téj reputacyi nie utrzyma. Sam bezsilny nigdy stanowczego kroku nie robi, słuhać innych nie chce; bo rozumie że sam wszystkiemu podoła, a do ludzi którym wyższości umysłowej zaprzeczyć nie można, wyraźną okazuje nie-

chęć i szkólną prawie zazdrość, dał tego najlepsze dowody co do Maurycego. Już to od samego przyjazdu do Paryża, wiedział bardzo dobrze, że jeśli go opuścimy, on będzie musiał ustąpić przed nimi. Chodził więc co dzień, szeptał do ucha, czynił maleńkie obserwacje, drwin-kował, ale zawsze po cichu, zawsze w kąciku. Kiedy się pisały broszury mające zadać cios Kaliszanom, był w najwyższej radości, podskakiwał Himcio, i krztusił się w naszym pokoju, w którym pełno było dymu od fajek. Sam nawet egzemplarze pieczętował i rozpisywał adresa. Ale jak tylko broszury uczyniły swój skutek, i on zajął miejsce w komitecie Niemojewskiego, począł utrzymywać że broszury zanadto mocno persyfłowały Kaliszanów, i że niegodziło się znowu tak źle o nich sądzić. Utworzyliśmy potem towarzystwo literackie na kształt towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Obraliśmy Lelewela prezesem, Maurycego wiceprezesem. To się niepodobało Himciowi, zdaje mu się, że ustawnie Maurycy stoi mu wszędzie na drodze. Nawet zerwał raz posiedzenie, ponieważ Maurycy i my inni nie chcieliśmy przyjąć jego projektu w pewnej materii literackiej. To wszystko dowodzi słabość charakteru i niepolityki jego, dowodzi także że nie takiego człowieka potrzebowała nasza rewolucya, a teraz że byt nasz w Paryżu nie pewną ma w nim gwarancją. Ale cóż począć? wiek ten tak obfity w wypadki jakże jest ubogi w ludzi prawdziwie zdatnych i godnych takich zjawisk politycznych! Lelewel jakby na złość nie pojmuje swego własnego interesu; ani jest w stanie ocenić tego wielkiego powołania, do którego go przeznaczyła rewolucja! Ustawnie zbacza z drogi, którójby się powinien trzymać z poświęceniem wszystkich względów. Przez swoje drobiazgowość o rzeczach sądenie, nie raz psuje moralnie przez nas zbudowane dzieło, nie raz nawet kompromituje siebie i nas. Nie dziwno gdy się toczył interes z Bemem. Postano-

wiliśmy uczcić Zaliwskiego, który właśnie wtenczas przyjechał do Paryża publicznym obiadem, i ofiarować mu pałasz z napisem. Nie dla tego chcieliśmy to uczynić, aby Zaliwski rzeczywiście był wart takiego zaszczytu, lecz aby pokazać Bemowi i innym generałom tu przytomnym, również Niemojewskiemu i innym, że umiemy cenić zasługi, i że choć Zaliwski nie wielkie ma zdolności, położył jednak dla kraju zasługi większe jak oni. Na ten obiad złożyli się wszyscy Polacy. Lecz ani Bem ani inni jenerałowie, ani Niemojewski nie miał być wcale proszonym na tę uroczystość. Lelewel poszedłszy po rozum do głowy, potajemnie uczynił inwitacją do Niemojewskiego zapraszając go na obiad. Godnie został za ten krok ukaranym, bo Niemojewski et Comp. odpisali mu, że nie przyjdą, bo lękają się aby Polacy popiwszy się na obiedzie, nie zrobili jakiej burdy. Nie koniec na tém. W ciągu obiadu zamiast skromnego przymówienia się przy ofiarowaniu pałasza, Lelewel wystąpił z oracją długą jak kazanie, w której wystawił Zaliwskiego większym i sławniejszym, niżeli którykolwiek z bohaterów wieków starych, i średnich, i nowych. Zrobił go największym wojownikiem, największym politykiem, prawdziwym i jedynym reprezentantem rewolucyi i rękojmnią przyszłego bytu Polski. Rozumieliśmy, że żartuje sobie z Zaliwskiego. Sam Zaliwski słuchał za stołem z największym podziwieniem, i sam nie wiedział nawet, że go mają za tak sławnego człowieka. Słowem Lelewel przewybornie dopełnia swojej missyi, nic nie opuszcza coby mogło i jego poniżyć, i nam szkodzić. Lecz któż nam winien? to nasze dzieło własne. W téj chwili pocieszna mię dochodzi wiadomość. Niemojewskiemu i wielu bardzo Kaliszanom kazano natychmiast wyjechać z Paryża. Niewiem jak to tłumaczyć, lecz to zapewne jest dzieło Lafayette'a i pana Maugin wielkich przyjaciół Polaków, którzy już dawno myśleli tym sposobem zatamo-

wać niepokój między Polakami, i w samym źródle zle uleczyć. I istotnie tym tylko sposobem skończą się niezgody; dałby tylko Bóg, żeby to jak najprędzej przyszło do skutku. Na tym kończę opis wypadków zaszłych w Paryżu, a teraz wracam do familii. Dziś z rana odebrałem list od Gr.....ej z Warszawy. O mój Boże! cóż to za nieszczęśliwy stan i jakie okropne położenie tej kobiety. Rzewnymi łzami oblałem list kochanej Klimki, jej los jest daleko smutniejszy niżeli nasz i nas wszystkich, a tém smutniejszy jeszcze, że jej na razie tak pomóc nie można. A do tego ten mąż, z którym ona nie była i nie może być szczęśliwą, czyż nie korzysta może z oddalenia familii i nie pogorsza tego nieszczęśliwego pożycia? Pisze mi, że jest chora, że nawet z łóżka nie wstaje, a od trzech miesięcy nie bierze żadnej pensyi, dopiero mąż będzie pobierał po 100 złt. miesięcznie. Czyliż będą w stanie za to się utrzymać? Z tego listu wycytuję, że najukochańszy Papa zamyśla przybyć do nas, i że to nawet niedługo nastąpi. Jakże już prędko? w którym miesiącu? w którym dniu? czemu ani wzmianki o tym nie ma w liście najdroższego Papy? Nic nie może być stósowniejszego, nic wspanialszego jak ten plan. Zawsze jeden z nas będzie przy Papie, dałby Bóg, żeby mnie był przeznaczony ten zaszczyt pielęgnowania najlepszego z Ojców. Czy byłby kto w stanie godniej dopełnić tego świętego obowiązku? Jakich potrzeba Papie objaśnień? Jakie poczynić przygotowania na przybycie Papy? Radzę jednak nie odłączać się od przedmiotów do wygody służących, wszystko, wszystko z sobą wiaść, bodaj nawet więcej zapłacić za *porto*, zawsze się to opłaci na miejscu. Czy nie lepiej swoim powozem przyjechać i tylko konie najmować, albo téż swoim powozem i swojemi końmi; konie ogromnie płacą w Paryżu. Więcby się koszt powrócił. Bez służącego Papa się nie obejdzie, a tu ten artykuł jest najważniejszy i najkosztowniejszy. Ale bio-

rac z sobą człowieka trzeba mieć wielkie zapewnienie o jego uczciwości i wierności, bo najwięcej się zdarza, że aby zjechał tylko do Paryża to porzuci, wszystko to trzeba będzie najskrupulatniej roztrząsać jak lepij, jak tanij, obrachować koszt poczty na siebie, na człowieka i rzeczy, i czyli nie lepij będzie za to kupić wóz mocny kryty i konie, nie zapominając o wyżywieniu przez drogę koni. Ja rozpytawszy się dokładnie napiszę instrukcje, i przysię do użytku Papie najukochańszemu. Czyby niemożna wydobyć z szafy Maurycego z Warszawy plan na wielkim arkuszu, który ja zaraz po nocy 29 listop. narysowałem, a bez którego nie można dokładnie opisać poruszeń wojskowych. W liście Klimeczki dowiaduję się że Tymek <sup>1)</sup> jest w wielkich zamysłach, sam pisze, że kupuje kocz i cztery konie, i że jedzie starać się o jakąś Duchesse. Szczęść mu Boże, tylko żeby się nie potknął na tój śliskiěj drodze. Czy w Polance nie ma żadnych wiadomości pewnych o tём co sądzicie w Warszawie? Czy to prawda że Wysocki umarł po amputacji nogi? jeżeli są o nim jakie wiadomości, czekamy na nie z największą niecierpliwością. Rozumiem że Papa zbiera troskliwie materiały do opisu czasów ostatnich, i że sam pracuje nad historją rewolucyi, nikt tego tak dokładnie nie dokona jak Papa. Ja troskliwie pracuję nad częścią strategiczną, ale wiele mi jeszcze brakuje objaśnień i faktów, które potrzeba zbierać po gazetach, po raportach, czego tu wszystkiego nie ma i nie będzie, póki ktoś w Polsce wyszukaniem tego się nie zatrudni i nie przywiezie. Relacją sądową w sprawie jenerała Jankowskiego i Bukowskiego, którój tylko trzy egzemplarze wyszło na świat, bo resztę Krukowiecki kazał spalić, pożyczylem na dwa dni przed kapitulacją Warszawy kasztelanowi Bieńkowskiemu. Prosiłem Klimeczki

<sup>1)</sup> Brat najmłodszy.

aby ją *coute qui coute* odebrała i przysłała do Paryża, albo Papie oddała, to jest ważny autentyk i potrzebny do historii. Co się też dzieje z wojskami które wstąpiły na ziemię Galicyjską? Gdzie się podziało takie mnóstwo oficerów, czy powrócili do Polski? Jakie pułki znajdują się jeszcze w Austrii, a które wróciły? Czy wielu jest oficerów we Lwowie, i Piotruś Mochnacki czy wrócił już do matki? Stryaszek i synowie jego gdzie się teraz znajdują? Na co wszystko spodziewam się znaleźć odpowiedź w pierwszym liście, który przyjdzie z Polanki, a szczególnie o zdrowiu najdroższej mamy, która koniecznie swoją własną ręką o tém nam doniesie. Proszę cioci Zosi pisać jak najobszerniej, jak najdłużej, co porabia, na czem całe dnie schodzą i wieczory zimowe, i o tym wojażu z Warszawy do Krakowa. Czy nie zażdości mi Paryża, opery włoskiej, na której teraz jakby umyślnie dla Polaków, zebrali się najslawniejsi śpiewacy i śpiewaczki? Czy nakoniec Klimka Głogowska szczerze postanowiła nic więcej nie pisać do swojego brata, tylko jak się masz i bywaj zdrów. Ja na to jeszcze lakoniczniej odpowiem, a odpowiedź tę ciocia za mnie uczyni i pocałuje ją w same oko (jeżeli pozwoli), Olimpkę ściskam serdecznie.

Szanownej pani Cieńskiej i całej zacnej rodzinie zasłałam wyraz mego prawdziwego szacunku.

Kamil.

#### Przypiski do listu.

a) Bonawentura Niemojewski przyjechawszy do Paryża oddał wizytę Lafayetowi, siedział u niego przez pół godziny, i wyszedł nic nie powiedziawszy oprócz znanego frazesu: „J'ai l'honneur d'être votre ect.” Nazajutrz dzień Lafayet oddał jemu wizytę, Niemojewski znowu nic nie powiedział tylko: „J'ai l'honneur d'être votre ect.” Lafayet rozumiejąc, że Niemojewski dla wielkiego żalu i smutku po stracie ojczyzny z ludźmi rozmawiać niechce powróciwszy do siebie z rozrzewnieniem rzekł do swego przyjaciela pana Mercier:

„Je viens d'arriver de monsieur Niemojewski. A, mon ami! quelle tristesse! quelle profonde douleur. Le désastre de l'infortune Pologne s'expriment sur le visage de son digne Representant! et qui ne dit rien, mon general.“ Odpowiedział pan Mercier: „Je le connais bien ce digne Representant. Il ne dit rien, parceque il n'a rien á dire.“

b) W komitecie prezyduje Lelewel, członkami są Sołtyk i Zwierkowski, Chodźko i kilku innych posłów. Organizacją ogólnych zebrań i wyboru członków komitetu, napisał Lelewel z Maurycym, i ustawy te jednomyślnie przyjęte, są wydrukowane.

c) Tymowski i Wołowski zkađ inąd bardzo szanowni, dali się uwieść Morawskiemu i przeszli pod sztandar kaliskiej partyi, lecz choć wyznają ich zasady, nie mieszają się do niczego.

### List Michała Podczaszyńskiego.

Metz, 21. Stycznia 1832. r.

Wypowiedzieć nie mogę, jaką nam sprawił radość list pański, Maurycemu się zdawało, że się nowo na świat narodził, mnie, że mój ojciec zmartwychwstał; i rzeczywiście jeżeli kiedy zazdrościłem komu szczęścia, to panu D. że masz takie dzieci, a im, że mają takiego ojca. Wiele smutnych szczegółów dowiedziałem się z listu pańskiego, ale smutniejsze wiadomości, wszystkim znajome, musiały we mnie osłabić ich skutek. Dzieliłem dziś radość nieocenionego mi przyjaciela, i z pomyślnych wiadomości z nim się cieszyłem.

Pisze pan, że rozsądny i mądrze przewidujący nadal rząd austryjacki, bynajmniej nie utrudza korespondencji Polaków z Polakami. Wierzę temu i w zupełnej ufności ten list oddaję na pocztę. Wiem bowiem, że tylko *bezduszne* Moskale targają związki przyrodzone lub towarzyskie między ludźmi i naigrawają się z najświętszych uczuć, i karzą rodziców, żony i dzieci, za winy synów,

mężów i ojców. I nic tyle w duszy mojej nie pragnę, jak żeby Austria namyśliwszy się kiedy uznała tę niezaprzeczoną prawdę: iż bez Polski nie ustali się nigdy pokoju w Europie, i że nic pomyślności ucywilizowanych państw tyle się nie sprzeciwia, jak owe mocarstwo bez duszy i serca, które w nikim przyjaciela widzieć nie może, na każdego głowę spiski knuje, i różne przybierając maski, nikomu tyle nie szkodzi swoją ambycją jak Austrii, naszej odwiecznej aliantce. We Francyi rzeczy idą najgorszym trybem, lada dzień spodziewamy się wejścia wojsk obcych, sama pora roku temu się tylko sprzeciwia. Wojna na wiosnę jest nieochybna. Filip dla uniknienia jój wtrącił nas w przepaść, a dziś wygnańców na ziemi przyjaznego nam narodu przesładuje. Bał się wojny, w którejby wyszedł zwycięzcą, i na długie wieki utwierdziłby tron swój rodziny z zasadami monarchicznymi, i zyskałby popularność w narodzie, który zapomina nawet o swoich niezgodach domowych, gdy idzie o sprawę Polski. Tego naocznym byłem świadkiem po tysiąc razy. Znienawidzona u Francuzów Austria, ze czcią była wspomianana, ilekroć kłamiwy głos dzienników o opiekowaniu się jój Polską doniósł. A dziś jeśli wojnę wyda Filipowi w imieniu tych samych zasad, które rozbiór Polski zdeptał i zniweczył, jeśli uznawszy swój błąd dawny wskrzesi Polskę; wierz mi pan, że znajdzie we Francyi i Niemczech niezliczonych przyjaciół, upadnie Filip z Mikołajem razem. Francya rządzona dobrze nie lęka się swych nieprzyjaciół. Niemasz walki, w którejby natura sama nie obiecywała jój zwycięzkiego lauru; ale tak rządzona jak teraz, i tak łudzona przez obcych dyplomatów nadzieją powszechnego rozbrojenia, choć zwyciężyć może zewnątrz, nie uniknie największych nieszczęść, najsroższych kolei domowej wojny. To co głos publiczny roznosi po Paryżu o projektach drobnej i wzgardzonej garstki republikanów, zgrozą przejmuje serce,

wzdryga się umysł na wspomnienie szkaradności, któreby z piekła tylko wydobyć było można. Rząd o tém wie i drzy, sztuczniemi i przestarzałemi środkami usiłuje się zabezpieczyć. Nieufność powszechna zabija handel, dręczy umysły przywykłe do innego widzenia rzeczy, śmiech politowania wzbudza w rozsądnych, umysły twarde do fanatyzmu podnieca, słowem widzieć teraz Francją i porównać ją z Francją przed 25 Lipc. 1830 r. jest to pojąć dwa wyobrażenia, które abstrakcyjne tylko umysły bez faktów mogą przypuścić. Nie jeden z boleścią serca musi zawołać: dla czego było Karólowi X. gwałcić konstytucyą? ale tak jest i tak być musi. Przeszłość zwrócić ani zmienić nie można. Oby oczy moje nie oglądały, co bliższa przyszłość gotuje kochanej mojej Francyi!

Rewolucya polska nie jest tu dobrze znana, ale dały się upowszechnić pewne zasadnicze myśli, które lubo intryga jadem fałszu usiłuje ustawnie skazić, znajomość pewnych kardynalnych faktów próżnemi czyni te marne intrygi. Sprawa Leduchowskiego na sejmie o zwaleniu rządu narodowego, jakowymś przypadkiem z największemi szczegółami była ogłaszana w dziennikach niemieckich, a z nich w Paryzkich gazetach. Leduchowski imieniem intrygantów był uczczony, zła i dobra strona naszej arystokracji połączyła się przed oczami cudzoziemców afektem. I to jedno prawie podnosi zasłonę polityki Czartoryskiego i Skrzyneckiego, lecz za to dzień nie wyjaśnił jeszcze nocy 15. Sierpnia. Jest to forteca, którą zdobyć trudno, i byle Maurycy do reszty dał sobie wyperswadować, że pisząc jak on historią lepiej zbłądzić jak skłamać, byle wyznał, że i on i jego towarzysze dali się oszukać przez Krukowieckiego, i że Kaliszanie są tylko ludzie nikczemni, ale nie zdrajcy, mniemam, że pokonawszy nieprzyjaciół na głównych strategicznych punktach, łatwo zwyciężkim orężem zdobędziemy całą krainę prawdy, nad którą panowania nie bez racyi za-

przeczają nam nasi nieprzyjaciele. Czartoryski gardłuje za sobą w Londynie, i nie zasypia wieczorów u księżnej Leaven, która jak mówią rządzi bardzo Graiem. Żona jego w Paryżu, skrętnie także pracuje chcąc oswobodzić z pod konfiskaty dobra mężowskie. Nie masz obelg jakich nie miota na rewolucyą. Ale cóż, kiedy ja roztrąbiłem po Paryżu rzecz bardzo ważną, o której się jeszcze przed rewolucyą lipcową dowiedziałem, a to z najpewniejszych źródeł. Książę Adam Czartoryski przewidując zamieszki w Europie (o co mu było nietrudno gdyż znosił się z malkontentami wszystkich krajów), wziął w Styczniu 1830 na kontraktach kijowskich 4 miliony rubli, tytułem pożyczki od rządu rossyjskiego, a oprócz tego miał długów prywatnych bez miary. Czyż niemam racyi mniemać, że każdy kmiotek polski więciej stracił przez rewolucyą, jak ten mąż szanowny, który nawet i imie patrioty zyskał, nie mając do niego przedtem żadnego prawa, chyba że mówić będziemy o intrygach jego w celu otrzymania od Aleksandra namiestnikostwa, o intrygach które znam od wielu znakomych Moskali! Wszystko to w swoim czasie i na swoim miejscu powie się pokrótce, jasno, bez namiętności, i z należyтім uszanowaniem. W Paryżu teraz teatr Cirque Olympique wystawia od dwóch miesięcy co dzień bez przerwy sztukę pod tytułem les Polonais, w której wszystkie fakta wojenne naszój ostatniej rewolucyi obrazowo są wystawione. Teatr ten jest dramatyczno koński, a jego kawaleria szarżuje, strzelają z armat, z karabinów, rzucają bomby, sypią kartaczami. Panna Platerówna ze dwadzieścia razy bije Moskalów na czele swoich ułanów, (szkoda że niezasłużone imie Platerów na tym zyskuje.) Wystawiony jest i pan Joachim Lelewel w jaratacce i czapce rogatěj, z czego niechybnie się rośmiał patrząc z parteru. Le Nonce Lelewel jest żwawy junak z podkasanemi połami, bije się jak lew z Moskalami, a sam

wzrok jego zabija biednego Dybicza. Szarlatany Francuzi inaczej wielkich rzeczy pojąć nie mogą jak przez trywialne czyny, wszystko u nich powinno być namiętnością. Piękna w nagości swojej prawda nie wzrusza ich, łagodny i boski promień jój spojrzenia nie oświeca i nie rozwesela ich duszy, serce ich bije dla Polski, ale rozumieć, co ona jest, znać skromną jój wielkość, to przechodzi granice ich rozumu. Odradziłem był kiedyś damie jednój polskiej, aby nie tłumaczyła na francuzki język pana Podstolego, i sądzę, że tém zrobiłem przysługę krajowi.

Mój długi pobyt w Paryżu był mi o tyle przyjemnym, o ile mógłem niepatrzyć na to co się działo w Warszawie przed rewolucyą. Później chciałem pojechać, ale nie miałem pieniędzy, a z lichą sumą nie śmiałem narażać się na pruskie areszta. Potem i nie żalowałem tego, gdym spostrzegł jakiś magowski patriotyzm panujący w Warszawie, gdym widział, że ta wielka myśl całej naszej historii „niemasz Polski bez Litwy, ani Litwy bez Polski“ choć nie była obcą naszym panom, nie mogła jakoś stać się duszą ich myśli wszystkich. Pewny byłem upadku naszej sprawy, choć o tém w druku nie pisałem. Umysł mój tak był niespokojny, że często kilka myśli związać nie byłem w stanie, a gdy przyszła wieść o klęsce 7 Września, ani płakałem, ani się smuciłem. Owszem odetchnąłem.... bo mam ślepą wiarę od dawna, iż nie sobie samym, ale innym mocarstwom winni będziemy naszą niepodległość; że się nasi nieprzyjaciele muszą o nas pokłócić; że despotyzm mądry i systematyczny Austrii nigdy nie potrafi żyć w zgodzie z szalonym i najmniejszej korzyści nieprzedstawiającym ludowi despotyzmem moskiewskim rządzonemu. Gdybym był w Warszawie, pewnobyłm był czynnym w rewolucyi a wtenczas... ale z daleka patrząc beczynnym wolno było tak myśleć, wolno i błędzić. Żyłem samotny....

Wspominasz pan w swoim liście o *Revue de deux mondes*; miałem niejaki udział w jego redakcyi, i podług materiałów bardzo nielicznych skreśliłem w niej obraz naszej rewolucyi do nominacyi Skrzyneckiego. To pismo podobało się publiczności z oryginalnego jak mówiono ducha. Przyszłę panu jak się zdarzy sposobność. Prócz tego przez cztery miesiące pisałem artykuły o Polsce do dziennika *Temps*, który prócz przychylności do Polski nie miał czystego ducha, a potem zupełnie spłowił z najpięknniejszego jakim był przed rewolucyą. Więcej pisać o Polsce pewno nie będę; bo prawdziwi jój autorowie są we Francyi. Ale się zawiązało w Paryżu *towarzystwo naukowe tulańców polskich* do tłumaczenia dzieł polskich i do robienia z nich wyjątków. Ma to być zbiór z 50 tomów. Księgarze funduszy na druk dostarczają. Mnie się dostało zrobić dykeyonarz sławnych ludzi i rys ogólny literatury. Lelewel tak wybrał, ale żąda niepodobieństwa, bo nie mam materyałów dostatkem. Jeżeli możesz pan przez Kraków zgłosić się do kogo do Warszawy do Leona Żubieńskiego syna jenerała, zechciej mi przypomnieć, że mi darował eksemplarz *Niesieckiego*, który nieodbicie był, jest i będzie potrzebny w Paryżu. Ja go złożę bibliotece królewskiej, a więc publiczność cała będzie z niego mogła korzystać. Maurycy bardzo usilnie prosi o pisma, które w swoim liście wyliczył. Co do mnie prosiłbym o dwa numera gazety podobno z miesiąca Maja 1828 r. w którym był mój artykuł: Rozmowa z Lafayetteem o arystokracji w Polsce. Chciałbym go mieć, bo nie mam kopii tylko zły brullion, a radbym czytać przypisek Lelewela, który ma być dowcipny. Porządnie tam schłostałem naszą arystokracją i rozbroiłem ją w imieniu hrabiego. Sprawę Birbauma mamy w Paryżu, ale tak jak jest tłumaczyć nie można. Radbym, abyś pan obszerniej tę rzecz wyłożył, suche fakta z akt urzędowych brane wcielił w pismo swoje, całkowicie lub

w części, a resztę do przypisków wpakował. Chciałem to sam zrobić, ale nie wiem wiele drobnych rzeczy do objaśnienia cudzoziemców koniecznych. Pismo to pańskie będzie niesłychanie ważném i interesującém, ale, powtarzam, trzeba ażeby było dłuższe, bo tak jak jest utworzy tylko sporą broszurę. We Francyi zaś księgarz nie chce drukować dzieł, które temu utworzyć nie mogą. Jest to źle, ale oni twierdzą, że broszury nie są dziełami, mało kto je czyta, nikt nie szanuje, giną w przepaści codziennych panfletów. Maurycy odradzając Tymoleonowi, aby nie jechał do Francyi, exagieruje prześladowania, którym cywilni raczej Polacy, nie wojskowi podlegają. Prześladowania na tém zależą, że niedają Polakom paszportów tam gdzie chcą, i że ogólnie zbyt lichą jałmużnę dostają; bo tylko półtora franka na dzień, kiedy wojskowi biorą żołd podług swych stopni, tak zupełnie jak wojskowi francuzcy. Ale ja sam Tymoleonowi nie radzę jechać, w wojsku umieścić będzie niepodobna tylu polskich oficerów, a jeżeli legią utworzą, cztery razy będzie więcej oficerów, jak potrzeba.

Uklon mój jak najpiękniejszy zasylam kochanej Panie Zofii i dziękuję jój za wzmiankę o mnie w liście do Maurycego. Pannie Olimpii podobniez piękny uklon zasylam. Pani Głogowskiéj i Pannie Klementynie moje uszanowanie. Tymolka ściskam. Pisałbym więcej, ale miejsca już nie mam. Ściskam cię więc serdecznie mój najdroższy Panie! i proszę cię, pozwól mi przez wzgląd na Maurycego zasłać ci jak syn ojcu moje ucałowanie.

*Michał Podczaszyński.*

**Kamil Mochnacki do Maurycego.**

Avignon, 27. Lutego 1832.

Mój najukochańszy Maurycku! Opuściłem Paryż bez twojej wiedzy, twojej rady i twojego zezwolenia. Widzę zachmurzone czoło i gniewem pałające oko: jaki nierozum, jakie szaleństwo! Lecz niestety, nie zawsze możemy być rozumni i nie zawsze jesteśmy w stanie silną dłońią trzymać w pokorze wolę losów i zawziętej przeciwności. Rozumiałem, że się już nie rozstaniemy po tylu niebezpieczeństwach, po tylu wspólnie przecierpianych nieszczęściach, po tylu niespodziewanych dziwnych wypadkach. Gdyśmy nakoniec stanęli w Paryżu w Hotelu Navarry, sądziłem, że już na przyszłość jedna czeka nas kolej i jedna będzie prowadzić nas gwiazda, gwiazda szczęścia lub nieszczęścia! Marna myśl — płochy sąd — ty na północy, ja na południu — sto mil nas rozłącza, i to dziś, a może jutro, może za godzinę oceany nas będą rozłączać, przedzielać; wtenczas w cóż ty się dla mnie obrócisz! w wspomnienie! w przeszłość! — Jak to? mój Maurycy dla mnie wspomnieniem... tylko wspomnieniem? O nie, zanadto nas wiele łączy stosunków, zanadto mocne powiązały nas ogniwa, abym był w stanie przyzwycząić się do tego nieszczęścia i tę ostatnią, najboleśniejszą ponieść ofiarę. Wierzę, chcę wierzyć, i mocne, stałe mam przekonanie, że jeszcze z tobą się zejdem i z tobą się połączę, aby się już nigdy nie rozłączyć. Póki to nie nastąpi, cieszymy się i pokrzepiamy nadzieją. Nie wiem czy jeszcze jesteś w Metz; list ten więc lub dojdzie lub nie dojdzie ciębie, dla tego nie posyłam w oryginale listów od naszych rodziców, które tu odebrałem 25. Lutego, jednakże posyłam dosłownie przepisane. Zrobisz mi największą uciechę, jeżeli mi odeszlesz pierwszy list od Papy i innych osób, które ci posłałem do Metz;

może ty sam co odebrałeś z Polanki, przyslij, zaklinam cię na wszystkie obowiązki. Nie uwierzysz, z jaką rozkoszą odczytuję te listy. Cała to moja pociecha i cała ulga w utrapieniach. Położenie nasze tutaj coraz krytyczniejsze. Zrzucił rząd maskę; już zapadła decyzja, w skutku której porucznik nasz powinien się utrzymać za 41 franków na miesiąc. Jeszcze mnie jako tako; bo do mojego stopnia większa przywiązana płaca, ale tylko sobie wystaw, biedni nasi oficerowie niższego stopnia, czyż podobna aby wyżyli za 41 franków? Tu drożej jak w Paryżu, bo za sam obiad na miesiąc 50 franków potrzeba płacić. Nie wiem, czy ci co pisali z Paryża o mnie i czy wiesz, dla czego wyjechałem. Gdybyś był w Paryżu zemną, możebyśmy się nie dali, ale sam nie byłem w stanie się oprzeć. Lub nieprzyjaciele tę sztukę wyrządzili, lub téż losy się sprzysięgły na moją swobodę, której używałem po waszym wyjeździe w moim ciemnym pokoiku; to jednak pewno, że les autorités locales paryzkie żywo mi już dokuczać poczęli. Kazano mi najprzód zgłosić się po paszport wolnego pobytu w mieście. Poszedłem na policję; tam mi powiedziano, że policja miejska oficerom polskim nie daje paszportu wolnego pobytu i że do sztabu głównego oń zgłosić się trzeba. Odpowiedziałem, że do sztabu nie pójdę, ponieważ sam cywilny, z władzą wojskową nie mieć nie chcę do czynienia. Powróciwszy do siebie, zastałem już list od pana Gazana, szefa sztabu, w którym bardzo grzecznie uprasza, abym się stawił do sztabu. Odpisałem panu Gazanowi, że jeżeli prywatny ma do mnie interes, to wie, gdzie mieszkam, bo list do mnie adresował; jeżeli zaś urzędowy, to mnie powinien zawiadomić w sposób urzędowy, abym wiedział a quoi s'en tenir. Niedługom czekał; zaraz nazajutrz odebrałem urzędową inwitacyą i poszedłem do sztabu. Szef sztabu

z uprzejmą grzecznością powitawszy mię, prosił siedzieć i taką z nim miałem rozmowę:

*G.* Vous-êtes donc M. Camil Mochnacki, major polonais?

*Ja.* Oui M., à vos services.

*G.* Le ministre de guerre m'a chargé de vous demander M., à quel titre restez-vous à Paris, si vous-êtes un officier polonais?

*Ja.* Vous me pardonnerez M.! mais je ne comprends pas votre question.

*G.* Eh-bien M., pas la note que vous voyez (pokaż mi notę), le ministre vous demande pourquoi vous restez ici à Paris, etant un officier polonais.

*Ja.* Monsieur, votre question, ou la question de votre ministre, me parait bien extraordinaire, si je ne dirais pas drolle; peut-être serait plus convenable pour moi et pour l'honneur de ma nation, de ne pas répondre; mais pour ne pas manquer aux convenances et à la délicatesse, je repondrais, mais je vous previente M., que je le ferai d'autant plus que je parle avec un militaire. Vous me demendez donc M., à quel titre je reste à Paris? c'est à dire de quel droit je reste à Paris? où encore autrement, quel droit ont-ils les Polonais de rester à Paris? Eh bien M., repondez-moi le premier, quel titre et quel droit faut-il avoir pour pouvoir rester libre de sa volonté et de ses actions? Est ce bien en France, dans cette France autant vantée par ses institutions liberales et ses grandes idées liberales, qu'on m'adresse une telle question? Il faut donc avouer que la grande pensée et la haute opinion de votre independance n'était pour nous qu'une illusion qui des notre arrivée dans votre payé est tout-à-fait deçue. Quand à moi j'ai l'honneur de vous dire M., que je n'ai pas d'autres titres et ni des autres droits pouré rester a Paris, que les titres et les droits d'un malheureux, qui a perdu momentanément sa

patrie, et qui s'est sauvée sur votre sol, fuyant l'oppression et le vengeance d'un sauvage Tiran. Je ne veux pas des secours de votre gouvernement. Je ne suis pas venue mendier votre pain, je ne veux pas prendre des engagements avec un gouvernement, qui n'a pas jamais pensé sincèrement avec la Pologne, et qui s'est fletri au temps de notre guerre, de crimes politiques....

*G.* Vous m'embarrassez M. un peu par ce langage, vous-êtes un militaire, vous conesez bien ma position.... Nous autres, nous ne sommes que les executeurs des ordres des nos autorités. Mon devoir me prescrit de se tenir dans des droites limités de l'obeissance, je ne fait donc rien de ma propre volonté — je respecte votre malheur, mais cela n'empêche pas de vous repeter que le ministre a droit de vous demander si vous voulez servir dans la legion, qui sera composée des militaires polonais, et dont le depôt se forme apresent à Avignon?

*Ja.* Je vous ai dit M. que jusqu'a un certain temps, je ne peux pas entrée en aucune service.

*G.* Vous aurez donc la bonté de fair une déclaration par écrit.

*Ja.* Très volontier.

Napisałem, że nie chcę i nie mogę wchodzić w służbę wojskową w obecnym czasie, podpisałem i dałem mu. Przeczytał i oddał mi, mówiąc:

*G.* Il ne s'agit pas de cela M., vous aurez la bonté de faire une autre déclaration. Vous ecrirez, que vous renoncez au grade, et que vous ne voulez pas servir dans la legion pour apresent et pour l'avenir.

*Ja.* Comment je dois renoncer au grade que je possède au prix de mon sang. Renoncer au grade, dont m'a doné ma patrie? O Monsieur, ne vous degradez pas par de telles demandes, ou je cesserai de croire que je suis en France, que je parle avec un Français....

*G.* Mais M., vous vous trompez sur moi. Soyez en

sûr que je vous veux tous le bien et tous le bonheur que votre malheur mérite, je sent que votre position est bien penible, mais que faire, il faut pourtant se decider.

*Ja.* Je ne me decide à rien, j'ai besoin de quelques jours pour réfléchir. Mais soyez sûr que jamais je ne renoncerais à mon grade, ni je me vendrai à votre gouvernement.

Wyszedłem, i od tego czasu co dzień lub w sztabie, lub u komendanta miasta takie zjadałem przysmaki. Co dzień prawie przychodzili policyanty po paszport wolnego pobytu; a tu o paszporcie ani słyhać. I byłbym nakoniec wybiegał sobie pozwolenie, ale dowiedziałem się, że przeszło 500 oficerów już do Awinionu się zebrało. Nie sądząc przeto za dobre, być wtenczas w Paryżu, kiedy wszyscy moi koledzy i całe prawie rycerstwo w Awinionie. Wziąłem rozkaz i opuściłem Paryż. Miałem jeszcze i inne, daleko ważniejsze powody do tego kroku; ale tych papierowi nie powierzę. Opowiem, jeżeli się kiedy zejdziemy; a teraz czytaj list Papy, Mamy, nie opuściłem ani jednéj literki.

*Kamil.*

### **Maurycy Mochnacki do Matki.**

Metz, dnia 4. Marca roku 1832. Place de chambres. Hôtel de Victoire.

Kochana Mamo! Już cały miesiąc upływa, jak pisałem z Metz do Polanki, przez Wiedeń, Wadowice, pod adresem pani Cieńskiéj, którój i teraz miło mi jest posłać wyrazy najtkliwszój wdzięczności, że zacnym Rodzicom moim w losie przeciwnym podała tak gościnną i przyjacielską rękę. Trzeba na to nieszczęścia, żeby dwa ogromne listy moje, zawierające tyle szczegółów, nie doszły. Tém bardziej mnie to zasmuca, że listy Kamila z Paryża dochodzą, azatém zdawaćby się mogło,

że on odemnie troskliwszy i pilniejszy w pisaniu do Mamy, na co ja się żadną miarą nie zgadzam. — Ten Kamil niepocziwy, bez mojej wiadomości, nie napisawszy nawet do mnie, z Paryża pojechał do Awinionu, gdzie dawniej papieże mieszkali; z Awinionu napisał do mnie list, który Mamie posyłam. Przyzwolicie wyłajalem go za projekta o Ameryce i myśli o *kabankach* nad rzeką Orynoką, które mu niekiedy do głowy przychodzą. Obawiam się jednak, żeby rzeczywiście tego do skutku przywieść nie chciał, tém bardziej, że kiedy ja go upominam i powagą starszego brata nastaję, on w to bije, że jest starszy stopniem odemnie, bo ja porucznik, a on major wojsk polskich. Cóż robić, moja Mamo, z tymi młodymi ludźmi. Proszę jednak i Mamy i Papy i ciotki Zofii, a szczególnie panny Klementyny, żeby listem z Polanki, Kamila od tego projektu wojażowania po nowym świecie odwieść raczyli.

Już drugi miesiąc w Metz siedzę z Michałem. W Paryżu nie mogłem tak spokojnie pisać o rewolucyi naszej, jak w tém dobrém i przyjaznym mieście, gdzie wszystkie nienawidzące siebie na wzajem stronnictwa polityczne w tém tylko są zgodne, żeby Polaków kochać i poważać. Nic grzeczniejszego na świecie jak Francuzi w ogólności, ale Francuzi w Metz są wzorem dobroci, gościnności i patryotyzmu. Michał ma tu charakter urzędowy jako delegowany z komitetu centralnego Lafayette'a; ja zaś bez żadnego charakteru dyplomatycznego, dla tego tylko w Metz zostaję, żebym był razem z Michałem, którego zawsze kocham, bo pocziwy chłopiec, wreszcie dla tego, żeby w Paryżu nie kłócić się z różnemi szczątkami rewolucyjnych partyi, które mnie znudziły i pisać mi nie dozwalały. Nie masz ani jednego znakomitszego domu w Metz, któryby nas obudwóch ciągle nie zapraszał, to na obiady, to na wieczerze, to na bałe. — Co do obiadów i wieczorów wszędzie bywamy, a na balach

nigdzie, bo nie wypada takim emigrantom. Jak w całej Francyi, tak i tu są patryoci, to jest republikanci, *juste milieu*, to jest wybrani rządu; urzędnicy, generalowie i t. d., a nakoniec Karliści, to jest przyjaciele Karola X. i Henryka V. Pierwsi chcą wojny z całym światem, drudzy chcą wiecznego pokoju, trzeci chcą Burbonów, a wszystko dla interesu. Pierwsi rozumieją, że Wagram otworzy szerokie pole ich talentom, drudzy myślą, że wojna przywiedzie ich do ubóstwa, bo mają do stracenia i urzędy i majątki, naostatek Karliści chcą Karola X., Jezuitów, pieniędzy i urzędów. Możeż być zgoda między tymi ludźmi? Lecz to nas bynajmniej nie obchodzi; my ze wszystkimi żyjemy w zgodzie, w istocie zaś najmocniej sprzyjamy republikanom, nieprzyjaciółom rządu i Karola X.; bo jeżeli kiedykolwiek Polska ma egzystować, to pewnie nastąpi w skutek powszechnej wojny, a w tę wojnę nikt nie uwikła Francyi, tylko republikanie, którzy są silniejsi, jak się komu zdaje, bo mają lud za sobą. — Pyta mi się ciocia Zosia, co ja sądzę o damach francuzkich. Są równie przyjemne i ugrzejme jak Polki, ale nie są tak piękne. Co do innych zalet, na to niech Michał i Kamil odpowiedzą, bo oni lepiej jak ja znają charaktery dam francuzkich. Domy w których często bywamy, są najpierw pani Buchot, pani Walat, pani Dornes, pani Bardin, pani Gonial, Soyo, Genira i Poltier, który był w Polsce, i bardzo jeszcze wiele osób znakomitych. W Metz zabaw takich jak w Polsce nie ma; nie ma takiej wesołości. Tańce są bardzo wytworne, ale nudne, bo jednostajne i nie bardzo podskoczne: Kadryl, Menuet, Anglez. Wieczory rzadko kiedy tańczące, najczęściej tak tu jak w Paryżu, albo prowadzą dyskursa polityczne, albo grają na fortepianie i śpiewają, albo grają w karty i nudzą się śmiertelnie. Obiady nieznośnie długie, ale w Metz jeszcze dłuższe jak w Paryżu: od godziny piątej do dzie-

siątej trwają; sam obiad składa się z kilkunastu potraw, a *desser* z drugich kilkunastu; wytworność kuchni francuskiej daleko przechodzi niemiecką. Ja jednak wolę naszą polską, bo nie jest tak rozmaita. — Jednego razu w Paryżu wszyscy redaktorowie dzienników (prócz Karlistowskich i *juste-milieu* paryzkich) i wszyscy członkowie *marquants* opozycyi w Izbie dawali wielki polityczny obiad, na który zaprosili Lelewela, Gurowskiego, Chodźkę i mnie; Lafayette przydował. Dla czego nikogo z Niemojewskich partyi nie prosili, tego nie wiem; to jednak pewna, że to była sławna uczta, bo o niej wszystkie gazety francuskie, a z francuzkich angielskie, a z tych niemieckie szeroko pisały. Lafayette jest to miły starzec, nie tak nudny jak Niemcewicz, ale jak on, już bez żadnej energii; daleko tylko większy polityk, większy dworak, wzór niewypowiedzianej dobroci i przyjemności. Byłem u niego w domu kilka razy z Lelewelem i Romanem Sołtykiem, którego bardzo kocham i z nim razem pamiętniki moje wydam. Gdyby nie burzliwe umysły emigrantów naszych, gdyby nie częste pojedynki, od których trudno się wykręcić, byłbym nie wyjechał z Paryża. — Jenerał Bem, tegi żołnierz, ale nie polityk; przyjechawszy do Paryża zrobił porządne głupstwo; zdawało mu się zapewne, że jest w głównej kwaterze Skrzyneckiego! Napisał list pelen impertynencyi i do Lelewela i do komitetu. Ubliżył wielu oficerom, między innymi i mnie i Kamilowi. Nie żartem tedy ja i Kamil poszliśmy do hotelu Bema, a nie zastawszy go, napisaliśmy do niego list u portiera, jeszcze niegrzeczniejszy, wyzywający go na pojedynek. Toż samo uczyniło przeszło 25 oficerów. Bem nazajutrz wszystkich nas przeprosił i wyjechał z Paryża. Sekundanci jego mówili, że cierpi czasem pomieszanie zmysłów. — Łubiński pojedynkował się z Tańskim, Gurowski Adaś z Morawskim, Leduchowski z młodym Gurowskim i t. d., a wszystko za opinię po-

lityczną. Szczęściem kula rozumniejsza od nich, nikogo nie zabiła i nie raniła. Skutek naturalny każdej emigracji. Taką jak nasza, jest także emigracja włoska, hiszpańska i portugalska. Nieszczęścia umysłów nie ostudzają, nie mitygują, ale je owszem rozjątrzają. Jeden drugiemu przypisuje upadek kraju, wtenczas, kiedy go już nic uratować nie może. Jeden drugiego obwinia, chociaż wszyscy winni. — Tak zwani arystokraci polscy obwiniają Kaliszanów; Kaliszanie rewolucjonistów; rewolucyoniści Kaliszanów i arystokracją, to jest: Skrzyneckiego i Czartoryskiego. A ja utrzymuję, że wszystkie trzy partye zawiniły, *bo wszystkie trzy były słabe*. Ja do żadnej nie należę, mnie wszystkie prześladowały i obgadywały. Ja wiem tylko, że kiedy one się wodzą, ja tymczasem piszę. I tak je wystawię nie tylko przed współczesną Europą, ale i potomnością jak zasłużyły. Co do mnie niechaj ludzie jak chcą mówią, nikt jednak nie odsądzi mnie od tego, że w gruncie rzeczy zawsze miałem rację. Chciano mię zabić, kiedym powstawał na Chłopickiego. A w kilka tygodni przekonała się cała Polska, że dyktatura niezmiernie zaszkodziła narodowi zwłoką czasu, bo nie korzystaliśmy z chwilowego osłabienia Rosyi, a gdym wrócił z prowincyi do Warszawy, na rękach mię noszono nazywano prorokiem. Cóż to pomogło? Po upadku dyktatury Sejm, większość w Izbie począł bruździć. Powstawałem w pismach publicznych na Izbę, czegoż się można było spodziewać od Izby, którą albo Małachowski z Leduchowskim albo Niemojewski rządził podług upodobania, która wszystko czyniła po niewczasie. Z początku gniewano się na mnie, zem powstawał na Izbę, w końcu atoli przed nocą 15 Sierpnia generałowie Horodyski i Skrzynecki dzielili ze mną to zdanie, że z Izbą *à la Cromwell* postąpić należało. Namawiałem do tego Skrzyneckiego, ale nie jego to głowy robota. Dzielnie się bił pod Dobrem, pod Ostrołęką; ale żadnej nie ma

politycznej edukacji. Ksiądz Puławski dowiedziawszy się o tych moich stosunkach i projektach z Skrzyneckim, myślał że ja za pomocą arystokratów dążę do władzy, i tylko com nie padł tego mniemania ofiarą w nocy 15. Sierpnia. Żeby nie poczciwy Jędrzy, który jak mama pamięta służył u mnie przed rewolucją, byłbym pewno zginął téj nocy albo następnéj. Po upadku arystokracji kaliska partya opanowała władzę pod Krukowieckim, i wszystko uczynić mu pozwoliła, czego tylko trzeba było do oddania Warszawy w ręce Moskali. Powstawałem na Kaliszanów. Cóż ztąd za korzyść? Oto Chrzanowski chciał mię wydać Paszkiewiczowi, a Krukowiecki rozstrzelać kazał. Prawie cudem uniknąłem tych niebezpieczeństw. Jeżeli znowu będzie kiedykolwiek rewolucya w Polsce, z daleka będę patrzył na nią. W tym jednym roku przeżyłem długi wiek doświadczenia, i z bliska widziałem ludzi. W tym jednym roku zestarzałem się za młodu, a historia moja nie jednemu zdałaby się bajką wymyśloną dla dzieci. Lecz wierz mi mama, że te wszystkie kłopoty, polityczne namiętności, nieszczęścia prywatne i publiczne za nic ważę, zapominam o nich, ile razy pomyślę sobie, że Mama jesteś zdrowa, że Papa w bezpiecznym schronieniu się znajduje. Martwi mię tylko i niepokoi Klementyna <sup>1)</sup>). Czemu ona nie chce pojechać do Zułkwi? Boże! oświeć radą swoją tę kobietę. Niechaj jéj Mama napisze, że ją nie będziemy kochali, jeżeli nie postara się o to, żeby wyjechać mogła z téj przekłętéj Warszawy. Teraz proszę kochanego Papę, żeby miał na względzie następujące słowa moje. Od przybycia do Francyi ciągle pracuję nad pismem o rewolucyi, do téj chwili rękopism mój już jest tak wielki, że go ledwo na 20. arkuszach druku zmieszczę. Pismo to albo ku końcowi Maja albo w połowie Lipca zacznie się druko-

<sup>1)</sup> Siostra.

wać w języku francuzkim. Jeżeli będziemy mieli z Soltykiem tyle pieniędzy ile trzeba, to zarazem i po Polsku w Paryżu druk się zacznie. Ale mi wiele jeszcze rzeczy braknie. Wszystko co piszę, piszę z pamięci, która mi nie zawsze wiernie dostarcza tego co trzeba do skreślenia całego obrazu. A zatem o co już w pierwszych listach prosiłem Papę to znowu jego względności zalecam. Potrzeba mi koniecznie i nieodzownie następujących materyałów:

Najprzód, broszurka pod moim imieniem wydana w początkach rewolucyi. Powtóre, dziennik powszechny od 15 Sierpnia do wzięcia Warszawy. Przez ten czas albowiem dziennik powszechny był moim organem. Cóż bym za to nie dał, aby można zebrać cały komplet tego dziennika od początku rewolucyi do końca! Nie podobna, żeby tego dokazać nie można we Lwowie albo w Warszawie za pomocą K..... albo Jana Henryka Sagatyńskiego albo Lelowskiego, gdyby się Klimka do niego o to udała. Dla mnie byłby to skarb nieoceniony. Czyby o to stryja nie można obligować? Po trzecie, cały kurier polski. Dla szczegółów, dla rozkazów dziennych nieoceniony materyał. Poczwarne te numera gazety Staats-Zeitung, które zawierają raporta Dybicza, raporta Paszkiewicza, artykuły jakiegokolwiek dotyczące naszej sprawy. Miaskowski wziął w opiekę swoją rękopism mój drugiego tomu dzieła o literaturze polskiej. Proszę tedy Papę o przesłanie mi tego rękopismu i kilka eksemplarzy pierwszego tomu o literaturze. Klementyna zna Miaskowskiego. Nie wiem jakim sposobem Papa przyśle mi to wszystko? czy przez okazyą, czy deliżansem, czy rularzem? To pewna jednak, że bez tego nie dam sobie rady. Bardzo wiele zależy nam na wydaniu tego pisma. Konekcye moje we Francyi są takie, że jeżeli wyjdzie z druku, pewnie całą Europę przebiegnie. Piszę Papa o plotkach, o potwarzach na rewolucją miotanych. O! nie

to co bają, plotą albo szykanują w Galicyi, w Krakowie, w Warszawie, ale to co my tu, a raczej co ja tu w Paryżu powiem o rewolucyi polskiej, to będzie miało swoje europejskie znaczenie, prawdę i odgłos. Niechaj będzie sto razy więcej plotek i potwarzy, my na to mamy wyśmienite lekarstwo. 1000 dzienników, opinią Europy co dzień nastrajających, jak nasz dziadunio w Bużańcu zegar swój nad kominem nastrajał codziennie. Że których błęd uwodzi, albo sumienie za złe sprawy niepokoi, sądzą może, że teraz tak będzie jak po rewolucyi Kościuszkowskiej, że i cnoty i błędy i zdróżności milczenie ze strony emigrantów polskich, a obojętność ze strony opinii ludów zasłoniły. Bardzo się myślą. Pierwój nikt nie pisał, a teraz kto może to pisze, a to co napiszemy będzie czytane. Z nocy, z zacczajenia ukryte wypłyną na jaw sprawy. Potwarcy i plotkarze zawstydzeni będą, a co gorsza umilkną pod kolosem opinii powszechniej, której oszukać nie podobna. Tego wymaga honor sprawy narodu polskiego. Najusilniej proszę Papę żeby się zajął przysłaniem tych materyałów do Metz pod adresem: A Monsieur Dornes Avocat, Place d. Louis No. 36. Jeżeli z Metz za parę tygodni pojedę do Paryża, Dornes mi to przyśle do Paryża. Listy do mnie w Metz najlepiej pod imieniem Michała adresować: Place de Chambres. Hôtel de Victoir. Niecierpliwie ich oczekujemy.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Michał Podczaszyński do matki Maurycego.**

Metz, 6. Marca 1832.

Dwa listy od państwa odebraliśmy, nie wiem czy to wszystkie, ale widać, żeście dwóch naszych nie odebrali, ostatni zwłaszcza z Metz był bardzo obszerny i z ró-

żnemi szczegółami. Jaką nam radość sprawiają wasze listy, nie potrafię tego wysłowić. Niebo błogosławi wam i niejedna familia może wam zazdrościć. Cała familia prócz kochanego Łosia z największych niebezpieczeństw ocalała. Porąbani... pokłuci... postrzelani... wygnańcy nakoniec bez pieniędzy, ale dzięki Bogu zdrowi, i nie oplakujecie straty niczyjój. A wewnętrzne uczucie daje każdemu z was najpiękniejsze świadectwo, i za szczęście prawie każe poczytywać z całym narodem prześladowanie. Ach jak jest wielki ten naród polski, upokarzać się musi umysł przed nim, dawniej szczęśliwe powodzenie laury odbierało, a dziś niedolę. Niemcy z grobów powstają. Co żyje, idzie cześć oddawać Polakom, ich przyjaźń jest dla nas raczej szalem jak uczczeniem. Dziwy tu z wygnańcami wyrabiają. Ameryka północna i południowa szle haracze swoje wygnańcom. I wyspy na oceanie spokojnym nie zapominają nawet o nich i zewsząd brzmi chór uwielbienia. Co to będzie jak cudem jakim nasi opiekunowie pokłucą się i wskreszą Polskę? w tém jedném mam tylko nadzieję. Na Francją nic nigdy nie rachowałem i nie rachuję; bo choć ten rząd upadnie, choć Filip uciecze do Ameryki, gdyż już co miesiąc szle miliony zawczasu, choć naród ten odzyszcze swoją godność, czy czas będzie staczać wojnę po stracie tak silnej podpory jak była Polska? Zostaje nam tylko albo wyrzec się nadziei, albo w urojeniach pociechę znajdować. Wolę urojenia. Rząd francuzki jest naszym wyraźnym nieprzyjacielem. Ale my mamy naszego alianta w całym narodzie. Żadna niesprawiedliwość tak go nie oburza jak barbarzyńska zniewaga najniewinniejszych i najpopularniejszych uczuć jego dla Polski. Cieszyć się więc trzeba raczej niżeli smuć z prześladowań Polaków we Francyi. Prześladowania te są zbyt małe obok najgorętszego entuzjazmu całego narodu, a tę korzyść przynoszą, że do reszty zabijają rząd. Całe

miasta w Lotaryngii, Burgundyi, Delfinnii i Provancyi wychodzą na spotkanie naszych obdartych wygnańców. Zewsząd się wznoszą przekleństwa na rząd bezbożny, i przy witających okrzykach: Niech żyje Polska! sztandar dwukolorowy obok trójkolorowego powiewa w miastach i wsiach. Gwardye narodowe w szeregach cześć oddają, strzelają z armat i śpiewają marsylijskiego marsza. Dziewczęta w białych sukniach rzucają kwiaty pod nogi Polakom, a to wszystko dzieje się mimowolnie, bez przygotowania bez namysłu. Coby to było, gdyby jeszcze dyrekcyja jaka nadana była tym protestacjom przeciw zbrodniom Filipa?

Filip i cała rzesza oprawców Polski zgrzyta zębami na taki widok; chciałby ale nie może oprzeć się, jest bezsilny, razi go ten blask, ustępuje przed nim, ucieka się w najochydniejsze jaskinie, z których może bezpiecznie szkodzić nam. Wypędza tych co są w Paryżu, odmawia paszportów innym. Usiłuje posłać kogo może do Algieru na rzeź. A teraz postanowił, aby nie dawać więcej oficerom polskim żołdu oficerów francuzkich, ale tylko w stosunku 500 franków na rok, to jest: żeby najpierwszych nawet potrzeb zaspokoić nie mogli; bo sam stół w Avignon wynosi na osobę w stosunku 720 franków na rok. Z tego wszystkiego bardzo się cieszę, długo to nie potrwa. Ministerium upadnie, a wojna na wiosnę jest prawie niewątpliwa. W Paryżu było ostatnią razą 180 Polaków utrzymywanych kosztem komitetu centralnego. Teraz wszyscy musieli się rozjechać, prócz wybranych pięćdziesięciu. Bo pieniędzy już zabrakło komitetowi. Wojskowi jadą do Avignon, Besançon i Lunel. Cywilni do Chateauroux, Tuluzy, Bayony, Bordeaux, a najwięcej rozjeżdża się po wsiach do domów prywatnych. Ja mało się z tego nie smucę, owszem przedstawiałem zawsze komitetowi że przyjdzie kryzys; lepiej było dawniej wysyłać ich do depot, żeby brali pieniądze

od rządu, a tylko im cokolwiek dodatków płacić. Teraz mądry Polak po szkodzie, oszczędzają kiedy goli. Co też tu się działo w Paryżu, kiedy tyle było Polaków. Plotki, komeraże, łajania, potwarze, czuby, pojedynki, słowem same brudy i brudy. Przyjechawszy tam z Metz na trzy dni tylko, szczęśliwie wyprawilem z téj paszczy Maurycego. Teraz pracuję sobie spokojnie, wolny i niepodległy, i błogosławi mię za to. Żeś Pani wyczytała w Constitutionnel, że my jesteśmy w komitecie. Była to lista członków towarzystwa naukowego tułaczów. To towarzystwo upadło i rozwiązało się, a my już nie jesteśmy członkami. Komitetów polskich w Paryżu jest dwa. Jeden centralny pod prezydencją Lafayetta; złożony z samych bałwanów członków izby z lewej strony i z dziennikarzy. Polaków w nim niemasz. Drugi pod prezydencją Lelewela, ma tytuł narodowego; obrany jest przez Polaków bawiących w Paryżu i zgromadzenie swoje mieszkających. Członkami jego są: Zwierzchowski, Chodźko, Węgrzyn, Kraysir, posłowie litewscy Hłuśniewicz, Przeciszewski, Putkiewicz, tudzież dwaj klubiści, krzykały, intrygant, zawieruchy, Adam Gurowski i Kępowicki, tak zwany Katonem polskim, z powodu sposobu mówienia powabnego, czulego i tchnącego niby to miłością ojczyzny. Roman Sołtyk był także, ale się odrzekł wszystkiego, i teraz czas podziela między pracami nad historią rewolucyi i miłostkami, których ma bardzo wiele, według dawnego zwyczaju. Na jego miejsce wszedł do komitetu Erazm Rykaczewski. Leleweł z klubistami do ładu trafić nie może; tak mu stanęli kością w gardle swemi intrygami, że twierdzi, iż w Warszawie nie miał tyle zgryzot. Gurowski okulbaczył był Maurycego, korzystając z jego talentów i zdolności i wszędzie go na sztych wysadzał. Maurycy dobry jak anioł, zbyt towarzyski, nieumiał się odczepić od niego i chcąc nie chcąc brnął z nim razem. Dopiero kiedy do Metz wyjechał, nikomu

nie nie mówiąc; wszyscy się zdziwili, a Gurowski do wściekłości przyprowadzony, najhaniebniejsze kłamstwa na niego rozsiewał, a będąc w stanie zaszkodzenia mu, to intrygami swemi zrobił, że go pozbawił funduszu utrzymania się. To dopiero przekonało Maurycego, że Gurowski wcale nie jest szlachetny; boję się jednak, żeby się z nim znowu nie pobratał jak przyjedzie do Paryża. Krzywda, jaką mu ten podlec wyrządził, z największą łatwością da się naprawić, śmiejmy się z tego. Nigdy ja tego człowieka nie lubiłem. Bez planu w działaniach, bez zdania o ludziach i rzeczach, nic nie ma stałego, wszystkiego żąda czego nie masz, a że wiele rzeczy nie masz, więc się czasem zdaje, że ma rację, ale dobrą rzecz nie żąda dla tego, że dobra, tylko dla tego, że jej nie ma, jak prędko chwyta, tak prędko porzuca, do żadnej myśli stale się nie przywiązuje, w żadnym żądaniu wytrwać nie może, bredzi, tumani, poniewiera wszystko, czego najlepszego się tknie, to znikczemni i spodli w swoich rękach. Namiętności jego zapalone nie wiodą do niczego dobrego, szlachetnego, ani rozumnego. Jednym słowem, właściwsze mu miejsce w kozie, lub u Bonifratrów, jak w radzie. Obecność jego i Krępowickiego w komitecie hańbi ten komitet w oczach wszystkich prawie wygnańców. Oficerowie tędy przechodzący ciągle mi to śpiewali.

Ja tu wysłany zostałem przez komitet centralny. Komitet narodowy przysłał mi upoważnienie do działania w jego imieniu. Komitet w Metz jest najrozumniejszy ze wszystkich. Sam jeden potrafił oszczędzić i przesłać na sprowadzenie żołnierzy 16,000 franków. Prócz tego zawiązał się tutaj komitet dam, który już kilkunastu oficerom uszył najpiękniejszą bieliznę i jako prezent od sióstr ofiarował. Teraz gotuje 1600 koszul, gatek, chustek i szkarpetek, dla tych, co szli przez Sztrażburg. Kiedy gdzieindziej z wydatkiem kassy komitetowi się

uszczuplają, tu w miarę ubytku przybywa, tak, że może jeszcze ze 30,000 posyłamy dla Maćków. Na sesjach komitetu dam, żaden z mężczyzn, prócz mnie i Maurycego nie może bywać. Po sessyi dopiero przychodzą mężowie i bracia. Pani Bauchotte, prezydentka, zasiada z Maurycem do fortepianu, toż czynią i inne członki, tak iż posiedzenie wcale nie bywa nudne, a talent Maurycego jest jednozgodnie uwielbiany. — Maurycek zawsze charming, teraz zrobił się wielkim elegantem. Zawsze uczesany, ogolony. Ja mu chustkę zawieszuję, ja mu większą połowę faworytów i podbrodek obcinam. Do niepoznania chłopiec; zawsze wesoły, gadatywus, a nadewszystko kochany. Rzadziej się z sobą kłócimy jak dawniej, bo nie mało ostygł, sprzeczamy się często, ale i zgadzamy często, daje sobie każdą rzecz wytłumaczyć, słowem, odmienił się. Ma on tu słabość do jednej osóбки, panny Klementyny S..... Wypiera się, kłamie, ale ja mam wprawne oko. Gdyby to nie on, pewno przyszłoby z nami do rozprawy, bo panna bardzo piękna, najczulsza ze wszystkich Francuzek, a gra na fortepianie z taką duszą, że pan Maurycy w głowę zachodzi. Nic piękniejszego jak sobie zaczął komplementa prawić. — Ah, jak pan grasz! mówi panna. Ah, pani! to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Pani czarujesz swoją grą... — Panna się wypiera, kawaler toż samo, a my drudzy patrzmy tylko i czekamy, aż oboje zasiądą do fortepianu. Panna niesłychanie czuła i ma brzydki zwyczaj wzdychać przy fortepianie, i kawaler się uśmiecha, stara się trącać przez omyłkę — a w końcu z rozognionemi oczami i sentymentalną buzią oboje wstają od fortepianu. Wtedy ja z całej siły biję w ręce, brawo! brawo! a Maurycy wypiera się wszystkiego. — Chcecież państwo wiedzieć jak wygląda owa panna? Kibić wysmukła, niewysoka, nóżka tak drobna, że ją ledwo widać, rumieniec lekki, na drobnych ustach dziecinna niewinność igra. Oczy cza-

rowne, wielkie, żywe jak ogień, ale zawsze z daleka od przedmiotu, na który patrzą; swawolna trochę. Ale że panna lekliwa jak młody jelonek, trudno się jęj przy- patrzyć. Cała zaś postać tak jest ujmująca, że sądziłby kto, że to coś wyższego od kobiety. Francuzi się na nięj nie znają. Ja sam nie dostrzegłbym wiele rzeczy, gdyby nięj nie wiodło elektryczne światło pana Maurycego, którego pierwszy raz usłyszałem uwielbiającego wdzięki kobiece. Co to będzie? co to będzie! Onegdaj byli- śmy na wieczorze Valetier. — Posyłam Pani drukowany wyjątek z *Courier de la Moselle*. Doczytasz się tam Pani, co świat mówi o Maurycem i o jego paniencie. Proza i wiersze do nich się ściągają. Pan Maurycy mści się na mnie i bez względu na to, że ja stary i łysy, po- sądza mnie o afekta, to jednak prawda, że w tym cie- niu prawdy nie masz. Nasza przyjaźń z Maurycem w po- dziwienie tu wprawia Francuzów, bo u nich tego nigdzie nie widać. Sądzą więc, że to nie musi być bez racyi. A jaka racya! — Oto wypadło mi z dyskursu, że Mau- rycy ma bardzo piękną siostrę, a to więc jest racya. O pani Gr.....ej mówić nie wolno!!! A panna Olimpia niech sama powie, czy te podejrzenia są sprawiedliwe. Pan Maurycy tyje, bardzo mu z tém dobrze, kuchnia francuzka tuczy. Wczoraj byliśmy u pani Bauchotte na obiedzie. Lucullus, Cambaures i pan Sagatyński nie wstrzymaliby się od pochwał, tak wszystko było wyborne. Uważam, że panu Maurycemu najbardziej smakowały ryby morskie. Nakoniec, jaki dano desser i wino Bor- deaux! Ostrygi ja go nauczyłem jeść; w Paryżu jeszcze zaprowadziłem go z Kamilem do traktyerni i kazałem dać sześć tuzinów ostryg i trzy butelki białego Burgunda. Kamil trzy ostrygi zjadł i ustał. Maurycy fanfaronował, że je lubi, że je jadał w Wiedniu, co jest farsa; parłem go więc i zachęcałem moim przykładem. Jadł więc, aż mu oczy się wielkie robiły, ale miłość własna przemo-

gła i zjedliśmy oba wszystko co było na stole i zapiliśmy winem dla strawności żołądka, a odtąd Maurycy został amatorem ostryg i tak się zna na nich, że mnie samego zawstydza. Kamil miał w Paryżu romans z panną Klementyną R.... (Na tym padole płaczu same Klementyny my wszyscy spotykamy.) Ona mówiła, że go kocha..., major Tarczyński o tém się dowiedział przed kilkoma dniami, a ja jeszcze pierwej. Tarczyński się chwali przed Kamilem, Kamil go miał za fanfaroną i tylko milczał, a ja z nich obu i z panny się śmiałem. Ale raz przynosi służąca list Kamilowi od panny Klementyny, ten daje jęj czekać, a nas wyprawia. Zaraz mówi służąca, tylko odniosę na górę list panu Tarczyńskiemu. Czyj to był list? panny Klementyny. Złapana tedy została na gorącym uczynku. Ztąd gniewy. Ja na trzy dni wtedy z Metz przyjechałem. Panna skarżyła mi się na niesprawiedliwości tych ichmościów majorów. — Sens moralny: nie wierz Paryżankom. — Takie prawie wszystkie Francuzki. Maurycy twierdzi, że na prowincyi są lepsze, a Kamil wzdycha do Polski. — Żebym nie obraził niczyj jęj skromności, nie powiem o czyj jęj osobie on najwięcej myśli. Napróżno Maurycy radzi mu, żeby się ożenił tutaj z jaką bogatą kobietą, a to dla tego, żeby on mógł mieć przy tém małżeństwie pokoik z wygodkami. Kamil jest głuchy na te namowy; a kiedy go znudzi swemi kazaniem, to tak czasem go wyłaje, że ten musi umilknąć. I mnie podobne rady daje.

Proszę nam przysłać dokładny swój adres, żeby listy nasze pewniej dochodziły. W Topoczyżku koło Wadowic u pana Wilkoczewskiego był w Listopadzie, może jest dotąd, oficer polski Józef Jaśkie....; przed kilku dopiero dniami odebrałem list jego, datowany 9. Listopada. Ma mnie za wuja swego i myli się pewnie; myśli, że ja jestem z tęg familii, która toż samo nazwisko nosi co ja; ani jego, ani tęg familii nie znam. Pieniędzy żadnych przy-

ślać nie mogę bo nie mam. Ale niech stara się dostać do Lipska; ztamtąd da mu komitet na drogę do Francyi. Ja za nim, jako za siostrzanem moim, pisałem do Lipska do Karóla Schneidera.

My tu w Metz przyjemnie czas przepędzamy na pracy wspólniej; po południu czasem idziemy wizyty oddawać; o piątój na obiad, potem na wieczory lub na teatr idziemy. Teatr nas nic nie kosztuje, dyrektor jego ofiarował nam łożę. Mieszkania są wygodne we Francyi, tylko bardzo zimne i pieców niemasz, jeno kominki i trzeba grzać się przy nich jak robią u nas cyganie, z jednéj strony aż się piecze przy ognisku, a z drugiej marznie. Ja już do tego przywykłem, ale biedny Maurycy parawanami i płaszczami się zakrywa, a czasem pisze przy stoliku okryty koldrą. Mrozów wprawdzie niemasz téj zimy nad trzy stopnie; nie było zimno, ale temperatura jest nieznośna. — Bądźcie Państwo zdrowi; kochajcie, jakeście dotąd kochali, to jest jak syna waszego. Ja na to jedynie starać się będę zasługiwać. — Pannie Zofii, panie Olimpii, panie Klementynie, pani Głogowskiej i całemu domowi najpiękniejszy zasylam ukłon.

*Michał Podczaszyński.*

**Nota.**

Jakim był ów Michał P., nieoceniony, niezrównany przyjaciel Maurycyego i Kamila, list ten świadczy, a ile lekkością swoją w osnowie tego pisma chciał zrobić roztargnienia w smutku w jakim byliśmy po rozłączeniu się z synami, tyle drogimi sercom naszym! Bytność doświadczonego i starszego, przytém rozsądnego i światłego, już od kilku lat zamieszkałego w Paryżu przyjaciela, kochanka synów moich, stała się rękojmnią, słodką pociechą dla nas i stanowiła naszą spokojność. — Składaliśmy dzięki Opatrzności, która tak zrządziła, że Michał z domu naszego w Warszawie w skutek prześladowania rządu, oplakany od nas, uleciał z pośro-

dka nas do Francji; o, ile to leż kosztowało Maurycego! a jak w przyszłości stało się dogodnym czyli najszczęśliwszym w całym naszym położeniu wypadkiem! Równie doskonałego obrazu, jakim był w istocie Michał, trudno skreślić: młody, postawą i figurą piękny, fizyonomia znacząca, wesoła, łagodna, uśmiechająca się, oczy wielkie, niebieskie, ni blond, ni brunet, ni chatin. Dusza wielka, głowa otwarta, serce najlepsze, kochające. Kochał moich synów dla ich serc dobrych i dla niepospolitych uzdatnień. Listy Michała z Paryża do nas były nam pociechą. Trzebaż było o Boże, aby i on wkrótce po moich synach również na suchoty umarł!

*Marya M.*

*Wyjątki z „Courier de la Moselle“: pochwały talentu Maurycego na fortepianie, oraz wiersz do owjej Panny, o której Michał wspomina, a z którą grał na 4 ręce. Działo się to 4. Marca 1832. roku.*

**Concert de la Société Filharmonique de Metz, au benefice de Pauvres.**

Artykuł niepodpisany, z którego wyjątki te są:

„Ce jour-là je faisais de l'aristocratie, car je savais quelle devait avoir un resultat avantageux pour la classe souffrante. J'avais donc superbement loué pour ma femme pour un vicil amateur et moi, une modeste baignoire. Je compté bien y entendre incognito et le concert et les observations de mon amateur, mais le lux d'eclairage de la salle, ne me laissait pas ce plaisir...”

„Mon amateur s'ussit dans le fond de la loge les yeux fermés, le menton appuyé sur la pomme de sa canne. On a chantait le cantique de Moïse. Il nous supplia de ne pas l'interrompre, il nous dit à voix basse et du plus grande serieux du monde; ils peuvent chanter a présent cet admirable cantique; me voilà dans les cieux! Il y resta se bien que long-temps après que les dernières voix eurent répété. Benissons le Seigneur! Il n'avait encore ouvert ni les yeux, ni la bouche., s'avez vous, me dit-il, en se levant tout à coup. Que cela est parfaitement executé, faut-il vous dire pourquoi? C'est par ce que vos amateurs ils ont de l'ame. L'ame monsieur, me dit-il en se rasseyant, l'ame c'est tout le musique. Notre homme avait le malheur pour une dilettante d'avoir l'onion un peu dure, et pas un son de la harpe, sur laquelle on execu-

tait en moment une fantaisie fort rémarquable ne put faire vibrer son tympan. Il ne cessa d'accuser la nature de l'avoir traité en marâtre....“

„Mais-il voulut aller embrasser le proscrit polonais, qui avait tenu le piano pour le concerto de Hummel. Cet homme là me disait-il est artiste jusqu'au bout du doigts. Je ne m'étonne pas qu'il se soit sacrifié pour son pays. Ces gens le sentent. Je les aime, allons le voir, il excusera ma démarche. Nous parleron, musique, gloire, liberté, il accueillera un vieuil artiste, qui a commencé par chanter avec enthousiasme il y a 40 ans les vers de Chémin. la musique de Gossek, et qui depuis ce temps s'enflamme pour tout ce qui est beau, grande, généreux!

„J'ai peine à le retenir un moment pour lui apprendre que cet officier polonais avait voulu retarder son départ de Metz afin d'acquitter, disait-il envers nos concitoyens une partie de la dette d'hospitalité que ses compatriotes avaient contractés parmi nous....

„A peine se mourait l'accompagnement final du chœur du siège de Corinthe, a peine mon amateur avait-il crié son dernière bravissimo! Qu'il se dirigeait vers la demeure du proscrit polonais. Je le laissai fair sa visite à dix heur du soir, et je reviens chez moi où j'écrivis, tel qu'on vient de la lire ce compte rendu d'une agréable soirée. — Puis je me dis. Je demenderai pour tout ceci une place dans quelque journal. Et si la famille voyageuse parvient malgré la Prusse, l'Autriche en quelque lointaine ville en Gallicie, si elle tombe sous la main de quelque famille polonaise. Si la Mère que aura peut-être un fils en France à Metz y jette les yeux; alors elle aura aussi sa part des plaisirs de cette soirée, et les applaudisements qui ont accueilli son savant et modeste fils, ma feuille les lui raporterà, et le fera retentir dans son coeur de Mère!...“

Jaką przyjemność uczuło serce matki, gdy istotnie kartkę tę gazety dostałam; jak cudownie zgadł ów dobry, który instynktem się rządząc, dowiedziawszy się, że rodzice owego Proscrit Polonais mieszkają w Galicyi, zrobił tak trafny przypisek. W istocie w Galicyi, w cyrkule wadowickim, we wsi Polanka mieszkaliśmy w kuzyny naszej Cieńskić, właścicielki owych dóbr. Radość z odebranej téj gazetki; pewność, że to mowa o moim Maurycym; chęć nakońiec naszego nieznanomego, aby matce zrobić udział w przyjemności, którą jój syn w Metz sprawił, wszystko to wywołało uczucia tak wdzięczne, tak przenikające, które się opisać nie dadzą. Są tam jeszcze wyrazy w téj gazetce tyżące się Maurycego, gdy był

przy fortepianie w Metz: „La sublime harmonie qui s'échappe en ce moment du piano, c'est un combattant d'Ostrołęka, qui chante en s'accompagnant le marche de Dombrowski, ou qui varie avec un talent remarquable le chant si grandioso de notre Marseillaise...“

### Kamil Mochnecki do Rodziców.

Avignon, 7. Marca 1832.

Listy najukochańszych Rodziców z dnia 29., 30., 31. Stycznia nie zastały mnie w Paryżu, odesłano je tu do Avignon, gdzie się obecnie znajduję. Stało się więc to, czego się najmocniej obawiałem; musiałem wyjechać z Paryża; gdybym był razem z Maurycym, możebyśmy się we dwóch nie dali, ale sam, napastowany bez ustanku od władz miejscowych, sztabów wojskowych, wszelkiego rodzaju urzędników paryzkich, nie mogłem się oprzeć woli rządu i wyjechałem z Paryża. Wszelkiego rodzaju sztuk użyto: groźby, podchlebstwa, namowy; wręście, gdy wszystko na nic się nie przydało, udano się do piekielnych środków: nakazano władzy policyjnej, aby się domagała odemnie paszportu wolnego pobytu w mieście; przysyłano mi więc codziennie żandarma, który mnie ze snu z rana budził, a gdym poszedł na policję po paszport, odmawiano, że nie mają prawa udzielić oficerom polskim paszportów, i że pó nie trzeba do sztabu wojskowego się udać; w sztabie zaś mówiono mi, że oficerowie polscy nie Paryż, ale Avignon na miejsce pobytu mają przeznaczone. Protestowałem publicznie, krzyczałem na cały głos, że nie jestem oficerem; że w kraju moim był oficerem, lecz wziąłem dymisję; teraz chcę być uważany za obywatela, któremu prawa miejscowe tak dobrze służą, jak każdemu cywilnemu Francuzowi. „Zgoda,“ odpowiedział

z całą flegmą generał komendant, „możesz być pan cywilnym, złoż deklaracją na piśmie, że się wyrzekasz swego stopnia i wszelkiego prawa służenia wojskowo w legii, którą rząd na korzyść przyszłości waszej chce uformować.“ Ja mu odpowiedziałem, że oni nie mają prawa domagać się téj ofiary odemnie, bo ja nie we Francyi, ani od rządu francuzkiego nabyłem tego stopnia; lecz z ochotą, bez najmniejszej zwłoki opuszczę Paryż. Wyrzekam się nawet swój rangi i prostym żołnierzem będę służyć w legii; ale niech rząd da na piśmie także zapewnienie, że ta legia rzeczywiście w interesie i na korzyść naszej przyszłości będzie uformowaną. Tu najczęściej milczał i z ręcznie z jednej strony mi ukazując, że takiego zapewnienia nie żądają wszyscy oficerowie polscy, którzy są już w liczbie kilkuset zabrani w Avignon; z drugiej znowu strony grzecznie i uprzejmie ścisnął mi za rękę w dowód przyjaźni swojej ku mnie. Ukazał mi konfidencyonalną notę ministra wojny, w której miało być polecone szczególną bacność na mnie zwrócić; oraz jak najprędzej mnie wyprowadzić do Avignon; albo wymóć na mnie takowe zrzeczenie się. „Wchodzę w pańskie położenie,“ mówił mi dalej, „nie pojmuję sam, co może ministra do tego kroku względem pana przywieść, ale sam pan przekonasz się, że taka jest jego wola. Et vous savez que nous autres, nous ne sommes que les executeurs des ordres de nos autorités.“ — „Ale dla czego ja sam jeden z pomiędzy tylu oficerów stałem się przedmiotem troskliwości ministra i czy mi będzie wolno zapytać się go, czy ma prawo żądać odemnie deklaracji, która mi odbiera możność służenia mojemu krajowi? Czy nie dla tego istotnie ją wymyślił, że najprzód był pewnym i najmocniej przekonany, że jój nigdy nie podpiszę. Godził się takich podstępów używać, które nietylko ministra, ale was wszystkich, całą Francją, wstydem i hańbą pokrywa?

Powiedz pan swemu ministrowi, żem dobrze zrozumiał całą tę rzecz; chcę wierzyć, że legia ma być uformowaną na korzyść przyszłości naszej, i z tą wiarą jadę do Avignon; ale jeżeli rząd nie ma uczciwych zamysłów względem nas, jeżeli zastawił sidła tylko, jeżeli rozumie, że zgromadziwszy nas w Avignon, sto mil od stolicy, w kraju nieprzyjazytnym, między nieprzyjazytnymi ludźmi, będzie nas już trzymał w swojej mocy i na wszystkie żądania powolnymi uczyni, to powiedz mu pan, niech się nie myli. Polacy nigdy, nigdy nie przystaną żadną służbę, na żadne warunki, sprzeciwiające się ich interesowi i ubliżające ich godności narodowej.“ — Wyjechałem więc z Paryża. To mnie wszelako pocieszało, że jadę dzielić los wszystkich ziomków i towarzyszków broni. Zastąpiłem w Avignon przeszło 800 oficerów, wszyscy w największej niepewności i trwodze. — Okolica cudna, prawdziwy raj, ale mieszkańcy niegodziwi; charakter i temperament meridjonalny, niesłychanie gwałtowny. — Cała ludność prawie jak w Wandei do dawniej dynastji przywiązana i do dawnego we Francji porządku. Zawistnym okiem spojrziała na Polaków, obrońców i męczenników nowych wyobrażeń i sprawy liberalnej. Publicznie wyrażają ducha zawiści i niechęci ku Polakom. Co większa, biega wieść o morderstwie, popełnionem na jednym z naszych kolegów, znikł gdzieś nagle, a policya ma wiadomość, że w mieście gdzieś ukryto trupa. — Przelatując jeden Francuz przez ulicę zmrokiem, sięgnął pugiuałem, przesył rękaw i zadrasnął rękę Polakowi, potem umknął i śladu po nim nie ma. Wszystko to dla osłodzenia nam losu wygnania i przyniesienia ulgi naszemu oplakanemu położeniu. Lecz nie dość na tém. Świat się zadziwi. — Przed kilkoma dniami przysłało ministeryum decyzję, na mocy której żołnierz polski będzie pobierał dziennie po 3 sous, a oficer niższego stopnia 40 franków miesięcznie. Z powszechnem oburzeniem i ze wzgardą nie

przyjeśliśmy tych pieniędzy i jak najprędzej napisaliśmy adres do Izb, który, ponieważ dobrze maluje nasze położenie, przesyłam. Od odpowiedzi Izb będzie zależało jak sobie dalej postąpić. Teraz żołnierzy utrzymujemy ze składek, a sami z dawniejszych oszczędności żyjemy. Zostałem więc w Avignon 800 oficerów; ponieważ zaraz prawom dyscypliny wojskowej poddać się nie chcieliśmy, przestano nam więc już perswadować, że musimy słuchać rozkazów władz wojskowych. Radzimy się więc sami. Z tych 400 oficerów zostałem już wybraną radę czyli komitet, czyli reprezentacją, która rzeczywiście jest areopagiem naszym i najwyższą władzą między Polakami bawiącymi we Francji. Istotnie też komitet narodowy w Paryżu będzie teraz tylko wykonawcą naszych postanowień i poleceń. Jeszcze dotąd nie postanowiono stanowczego. Jednakże zaczynamy regulować pierwsze i najważniejsze potrzeby, i tak, ponieważ nie daliśmy się podciągnąć pod zarząd władz miejscowych, więc postanowiła rada statut karny dla tych, którzyby wykroczyli w rzeczy samej przeciw przyzwoitości lub honorowi. Bardzo to było potrzebne. I strzegą się oni mocno, ażeby w czem nie uchybić jeden drugiemu i nie sformalizować Francuzów, którzy nakoniec muszą nam oddać sprawiedliwość, i sami nienawidzą rządu dzisiejszego, sami narzekają na te niegodne jego z nami postępowanie. Skoro przybyłem do Avignon spotkał mnie niepospolity zaszczyt. Rada na mocy prawa sobie udzielonego, mianowała mnie członkiem honorowym i zaprosiła do zasiadania w swoim gronie. Skorom się znalazł między nimi, zarzucili mnie różnego rodzaju pracą, żem przez trzy dni od stolika nie wstał. Musiałem redagować adres do Izb, pisać statut karny, organizacją Rady, listy do Lafayeta, Mangena i innych przyjaciół naszych w Paryżu. W tém dowiaduję się, że ktoś z boku wniósł projekt na radę do usunięcia wszystkich członków honorowych. Nie mogłem

oczywiście przenieść tego na siebie, abym nie dał uczuć Radzie, że nie prosiłem się o to, aby mnie wezwała do podzielania prac. Niemilo mi przeto słuchać że jest kwestya o usunięcie członków honorowych. Napisałem w téj treści list do Rady i prosiłem o spieszne udzielenie mi dymissyi. Wcale nie spodziewałem się tego co nastąpiło. Nietylko że Rada mi dymissyi dać nie chciała, ale owszem do powtórnego zasiadania w gronie swém zaprosiła. Bóg da, że połączywszy nasze siły, do jednego celu zmierzyszy wszystkie nasze usiłowania, będziemy w stanie postawić mocne czoło przeciwnościom, i stałością naszą, wytrwałością wywalczyć tutaj godne i uczciwe postanowienie, które nas nie pozbawi przynajmniej wszystkich nadziei powrócenia do kraju. — Nie wiem czy list mój drugi, w kilka dni po pierwszym z Paryża wysłany, doszedł do rąk najukochańszego Papy. Czy Papa więcej listów nie pisał po tym, który jest datowany 29, 30., 31. Stycznia? Lękam się bardzo, żeby mnie teraz nie miały listy Papy. Jednakże śmiem prosić, aby od-tąd kochany Papa i szanowna Rodzina listy wprost do Avignon pod tym samym adresem poste restante przysyłali, a przysyłali jak najczęściej. To cała moja uciecha w téj nieszczęśliwej epoce. Cóż tu było radości, jakem odebrał list ostatni, który mi z Paryża przysłali! A jak dostateczny! Co w nim wyrazów sercu memu ulgę przynoszących! Nie mogłem się zdecydować posłać go Maurycemu do Metz. Już był na poczcie zaadresowany do niego, ale tak mi się potem przykro zrobiło, że poszedł na pocztę i odebrał go, przepisałem co do słowa (oprócz kilku wierszy, które wcale do niego nie należą) posłałem go w kopii. Wiem że się będzie gniewał i dąsał, ale to darmo, ja dalej od Polanki jak on. Bóg wie kiedy mnie dojdzie znowu jaki list, będę się przynajmniej tym pocieszał, który mam w ręku. Jednakże broszurki mu nie posłałem; jestem tak uszczęśliwiony, że

ją mam w ręku, iż nikomu, nawet bratu rodzonemu nie  
 powierzę wykonania poleceń Papy najukochańszego. Po  
 polsku drukować ją prawie niepodobna. Lecz już się  
 wzięłem do tłumaczenia, wiernie przełożę na język fran-  
 cuski i pod imieniem Papy kochanego wydam tu na  
 na miejscu w Avignon albo w Lionie. To mi przyjdzie  
 z największą łatwością. Spodziewać się należy, że ko-  
 szta druku sama pokryje. Proszę tylko kochanego Papy  
 o dalszy ciąg i o objaśnienie, czy będzie wolno w Ga-  
 licyi czytać ją w publiczności. Jest to prawdziwy skarb.  
 Ja wiem, że Maurycy nie posiadałby się z radości, gdyby  
 ją w swoim miał ręku, ale na to nie ma sposobu, chyba  
 każe przepisywać i w miarę tego jak będę miał nadsy-  
 łane, będę jemu komunikował. Proszę także najdroż-  
 szego Papy, aby w dalszym ciągu tego krótkiego rysu,  
 kiedy przyjdzie mówić o samej rewolucyi naszej, naj-  
 mniejszego, najdrobniejszego nie opuszczać detalu, za-  
 dnego nazwiska nie zataić, a jeżeli są w ręku Papy  
 dowody autentyczne, raporta z gazet, listy, wszystko to  
 umieścić, nawet w rzeczach militarynych śmiało decy-  
 dować. Zdanie Papy publicznie szanowane i cenione  
 ustali prawdę i niezgodną kwestyą rozwiąże, od czego  
 zależy nadanie prawdziwego kierunku opinii, oraz wy-  
 kazanie w prawdziwej istocie natury naszej rewolucyi.  
 Obiecałem ją wprawdzie w ostatnich moich listach nad-  
 syłać częściowo rys zdarzeń i wypadków zaczętych po  
 wyjeździe Papy z Warszawy. Teraz jednak tak jestem  
 zajęty, zarzucony raczej rozmaitemi nagłemi pracami, że  
 jest mi prawie niepodobna z tego przyrzeczenia się ui-  
 ścić. Niemniej jednak o tém myślę i o wszystkiém na-  
 piszę, a szczególnie o sprawie obwinionych o zdradę  
 kraju, o rewolucyi 15. Sierpnia, o łotrystwie nieprakty-  
 kowanym Krukowieckiego, o oblężeniu i szturmie War-  
 szawy, dalej o kapitulacyi, wyjściu wojska, o obozach  
 pod Modlinem, Płockiem i Szpitałem, o Niemojewskim,

Rybińskim, a nakoniec o wejściu w granice pruskie. O tém wszystkiém z detalami napiszę i mogę to uczynić, ponieważ w tych epokach i sam figurowałem i starałem się wtajemniczyć w najciemniejsze skrytości, ale do tego potrzeba i czasu i wolnej myśli. Jaki jest los naszego dobrego i nieszczęśliwego L., tego trudno się dowiedzieć; dobra przynajmniej i ta wiadomość, że się nie znajduje w ręku nieprzyjaciół. Nie wiem, czy Maurycy zadosyć uczyni żądaniu Papy co do zamieszczenia wiadomości stósownej w gazetach. Ale ja lękam się, czy on sam nie szkodowałby na takim demarszu. Ludwik Nabelak przybył tu do nas i odetchnął na chwilę po niebezpieczeństwach, które go spotykały po drodze; sam będzie pisał do Galicyi, a tymczasem zasyła uszanowanie mojej kochanej rodzinie i prosi, by o nim nie zapominać. W poprzednim moim liście donosiłem, iż z listu Klimeczki (siostry) wiem o projekcie Papy względem przyjechania do Paryża. Czy można się spodziewać, że ta myśl będzie zrealizowaną? Nie pojmuję jednak, dla czego w liście najukochańszego Papy najmniejszej wzmianki o tém nie ma. Życie w Paryżu niesłychanie mało kosztuje, a nakoniec, gdy Papa przyjedzie, może już będziemy uregulowani, a klimat boski, pod niebem francuzkiém małóżby się przyczynił do zachowania w dobrym stanie zdrowia kochanego Papy? Ja się powoli pozbywam wszystkich kaszłów i bólów piersi w tej rajskiej krainie. Ale prawie niepodobna dla nas mieszkańców północy oswoić się z tem południowém słońcem w Avignonie. Już od półtora miesiąca najpiękniejszą wiosną, a teraz już gorąca dokuczają! A jakie położenie! Alpy jak na dłoni, tylko końca ich okiem dojrzeć nie można, a wierzchołki białe odwiecznym śniegiem pokryte, szklnią się od słońca i błyszczą w niedoścignionej przestrzeni jak lampa wieczności. O jakby to miło było mieszkać w tym raj, ale w innych okolicznościach, nie w tak

smutnej dla nas epoce. Gdyby tak z Polski naszej wyjechać z pod słomianych strzech naszych i biednych chałek, przenieść się na niejaki czas do tych grodów wspaniałych, do tego kraju zamożnego, gdzie słomianego dachu nie obaczy, choćby z latarnią po całym kraju szukał, a potem powrócić na ziemię rodzinną i znaleźć się wśród rodziny, znajomych i przyjaciół!... O jakby to miło było, ale darmo, Bóg inaczej zrządził! Woli jego słuchajmy, a żyjmy nadzieją. Od wyjazdu mego z Paryża nie miałem żadnej jeszcze wiadomości od Maurycego. Tak nagły i prędki był mój wyjazd, że nie mogłem mu dać znać o tej zmianie. Ztąd jednak mój list już go musiał dojść. Spodziewam się więc niedługo od niego wiadomości, może mi razem przyśle co z Polanki, bo wiem, że on od siebie pisał do najukochańszego Papy długi i obszerny list, w którym wiele detaliów miał umieścić. Pismo jego o rewolucyi musiało już do tego czasu się powiększyć. Czekają jego wyjścia na świat z największym upragnieniem. Sam doczyta się w liście Papy żądania, aby było częstkowo przesyłane do Polanki, rozumie, że się będzie starał zadosyć uczynić woli najukochańszego Papy. Od Klimeczki Gr.....ej już bardzo dawno żadnej nie mieliśmy wiadomości. Zbieram się pisać do niej, wspomnę także, żeby przyjęła ofiarowane mieszkanie w zamku Żółkiewskim. Biedna nieszczęśliwa kobieta! Jak się też jęj nie wiedzie. Bóg da, że się to niedługo zmieni. A teraz proszę przeczytać adres, który z woli ziomeków napisałem do Izb, będzie on drukowany po wszystkich pismach:

*Reprezentanci Narodu Francuzkiego!*

Gdyśmy broń podnieśli przeciwko ciemnocyielowi naszemu, zdumiał się świat cały. Ludy umiejące cenić niepodległość i myśl wolności, poklaskiwały z daleka naszej odwadze i śmiałości naszych przedsięwzięć. Francya sama

od lat niepamiętnych węzłem przymierza braterskiego z nami spokrewniona, ujrzała w tym czynie, w tej wielkiej, uroczystej rezygnacyi narodu polskiego, najmocniejszy, najjawniejszy dowód tożsamości uczuć i charakterów. Była mocna wówczas Polska, choć zewszęd nieobliczone groziły niebezpieczeństwa, nie uległa się. Groźne postawiła czoło najstraszniejszemu w Europie mocarstwu, bo ją krzepiła myśl waszej przyjaźni, jej ducha zasilalo wasze tchnienie. Od stóp do wierzchołka zatrzęsał się kolos północy. Zachwiała się w swoich posiadach strażnica barbarzyństwa i ciemnoty. Lecz także od brzegów Wisły do Niemna i Bugu rozplynęła się krew polska i w niespełna 8 miesięcy na brzegach Wisły, Niemna i Bugu zaległy mogiły stu tysięcy braci naszych Polaków. Lecz ich skonaniu przyświecała gwiazda swobody europejskiej. Europo wolna odpowiedź: czyśmy mało w twój sprawie położyli zasług? Francuzi! odpowiedzcie, wiele naszych braci przed niedawnym czasem pod waszemi znakami poległo; za waszą całość i niepodległość? odpowiedzcie, czy teraz przed kilku miesiącami w okamgnieniu Polska uzbrojona, zapalona duchem wolności i swobody, nie była przedmurzem, o które się wyszczerbił miecz wspólnego nam nieprzyjaciela.

Lecz Bóg nieposzczęścił naszemu dziełu! W jego niezgłębionych wyrokach jeszcze raz naszą ziemię miała pokryć żaloba. Skonała Polska w Polsce, lecz w naszych sercach byt Polski nie skonał. Z bólem w duszy pożegnaliśmy ziemię rodzinną. Z powszechnym żalem rozstał się z naszemi znakami i oddaliśmy krew naszą i łzami rzewnymi obmyte działa; jedyny i ostatni zakład rzeczywistej naszej egzystencyi! Lecz z pełną wiarą, z całą ufnością myśl naszą podnieśliśmy ku wam. Jeden okrzyk wielki, uroczysty, jak wielkie nasze nieszczęście, rozległ się między Polakami. Francya! Francya! powtarzały ostatki plemienia, napiętnowanego niełaską Boga,

Francya naszą ojczyzną, Francya powróci nam nasze znaki! Ona osłodzi los wygnania, pokrzepi nadzieją, za krzywdy nasze przed światem się upomni.

Na skrzydłach téj nadziei przybywamy do granic Francyi. Zbiega się zewsząd życzliwy lud; rozrywają między siebie poczciwi mieszkańcy nieznanych przyjaciół z dalekiej krainy, tulą na swém przyjaznym łonie nasz płacz i naszą żalobę. Ah, Francuzi! wtenczas pojęliśmy waszą wielkość, wtenczas po pierwszy raz rozjaśniły się nasze skronie, i w téj chwili dopiero po raz pierwszy żalować przestaliśmy, żeśmy to życie nasze unieśli z pogromu bitew i tylu niebezpieczeństw. Lecz nie długo trwała nasza radość. Gwiazda nieszczęścia, która śmiertelnym kirem powlekła koniec naszej rewolucyi, pobytowi naszemu na ziemi francuzkiej miała przyświecać. — Przybywamy do Awignonu, jak z rajy na ziemię, jak z ziemi do grobu. Obojętność, niechęć, nieżyczliwość otoczyły nas w około. Odnowiły się rany serc naszych, bo postrzegliśmy, że nie wszyscy Francuzi jednemi ku nam tchną uczuciami. Wieści głuche, posępne, bez ustanku się szerzą, powolność, zwłoka, niejasne rządu z nimi postępowanie, do reszty rozbroiły urok, w którym rozkołysał się nasz umysł przy wstąpieniu na ziemię francuzką. Wreszcie kto uwierzy, kto się nie zdziwi? Ostatnia decyzja ministeryalna pozbawia nas wszelkich sposobów utrzymania życia we Francyi. Żołnierzowi polskiemu naznaczono 3 sous, aby wyżywił się dziennie w okolicy, gdzie mieszkaniec więcej zysku pragnie, niżeli jest zdolny przynieść ulgi jego położeniu. A więc ten żołnierz, szukając przytulku na ziemi francuzkiej, cóż znalazł? oto nędzę i co gorsza, nabył tego przekonania, że rząd o nim pamiętać niechce. — Atoli rząd wasz jest pelen cnót i patryotyzmu. Jest on tłumaczem i wykonawcą waszój woli i najsłabszych wa-

szych myśli. Rząd wasz uczynił to, co było w jego możności co rozumiał być zamkniętém w swoich atrybucyach.

Reprezentanci Narodu! Garstka wolnych ludzi przybyłych na waszą ziemię, głos swój do was podnosi. W naszym bycie jest zamknięty byt wielkiego ludu co wam zawsze był przyjazny. Reprezentanci! czy myślicie, że nam to życie tak miłe i pożądane? Wyrzeknijcie z wysokości waszego majestatu: Polacy, wasza Polska powstanie, ale wy poświęćcie wasze życie. O, Francuzi! Głos ten ostatniego z nas nie dojdzie jeszcze, kiedy pierwsi z kolei dobrowolnie z największą uciechą za swobodną myśl wstąpi do grobu. Wyrzeknijcie ten miły, ten święty dla nas głos. Lecz póki na to się nie zgodzicie, nie dajcie nam przynajmniej z głodu umierać, utrzymajcie nasz byt; może wam jeszcze na co się przyda, może niejedną wyrządzi przysługę. A jeżeli bogata Francya udzieli szczątku swoich żyznych plonów na wyżywienie garstki nieszczęśliwych, są jeszcze w Polsce bogate krainy i serca w niej poczciwe biją; nasi ojcowie starzy i matki nasze szczerze wam odplacą dług przez nas zaciągnięty, ale nie żądacie tego, późne wieki i sąd historyi odda wam sprawiedliwość. Sąd potomności wyrzeknie — cześć i sława Francyi, cześć i sława wielkiemu narodowi, co umiał pojąć nieszczęście braterskiego ludu, podał mu rękę i od wiecznej zagłady ochronił.“

*(Podpisy.)*

Ten jest adres, który posłaliśmy do Izb. Rozumiałby kto, że potrzebaby się spodziewać bardzo pomyślnego skutku, albowiem od odpowiedzi będzie zależało utwierdzenie przyjaźni dwóch ludów, albo wieczny rozbrat między nami. Ja jednak nie wielką mam nadzieję. Nic sobie dobrego nie rokuje. Z tego tylko jestem rad, że to postępowanie rządu z nami rozdrażnia coraz mocniej

lud francuzki, a szczególnie w północnej i zachodniej Francji. Ze wszystkich stron miasta domagają się w petycji spiesznej zmiany obecnego położenia naszego. Domagają się legiów polskich i znaków naszych, zastrzegając, abyśmy nie byli użyci na Arabów i Beduinów. Rząd więc albo nie uczyni żadnej a żadnej koncessyi i wtenczas zmusi nas do opuszczenia Francji, albo też ulęknie się i uczyni zadosyć woli narodu, a wtenczas będzie nam dobrze. Wkrótce to bardzo, bo za kilka dni musi się rozstrzygnąć. O każdej zmianie nie omieszkam zawiadomić najukochańszą rodzinę moją, którą raz jeszcze upraszam o przysłanie listów wprost do Avignonu poste restante pod tym samym adresem; przybędzie wprawdzie trochę pracy najukochańszemu Papie, bo osobno do jednego, osobno do drugiego syna wypadnie pisać, ale w rozdzieleniu tej łaski niechaj sprawiedliwość Salomona towarzyszy. Nadto domagam się, aby najukochańszy Papa swoim ojcowskim rozkazem zobowiązał Maurycego do kominikowania mi wszystkich od familii listów, u mnie nic nie zginie, żadna literka się nie straci i dochowa się do czasu, w którym Bóg pozwoli nie same listy, ale i osoby które je pisały do serca przycisnąć. — Po raz pierwszy dopiero z listu drogiej mojej Mamy doczytałem się niektórych bliższych wiadomości co do kłopotów i trosków, jakiemi serce naszej dobrej Mamy przez cały rok było rozdrażnione. Teraz przynajmniej pisze Mama, że jęj jest dobrze, że spokojne i szczęśliwe prowadzi życie w domu szanownej pani Cieńskiej... O! jak ja czezę i szanuję tę panią Cieńską, choć nieznam, może nigdy nie będę znał, jak jednak ją kocham z całej mojej duszy! jak wielbię jęj cnoty i dobre serce! Jakże to mało takich ludzi na tym świecie. Wdzięczność nasza dla niej i szacunek do śmierci w sercach naszych nie wygaśnie. — Mamie, kochanym ciotkom Zosi i Zuzi najserdeczniej dziękuję za ich listy i Klimeczce dziękuję za

przypomnienie mi niektórych wspomnień, które i tak aż nadto dobrze były mi pamiętne, czasem nawet gniewam się, że pamiętam. Na cóż zdała się ta pamięć coby na zawsze powinna być zapomniana? — Czy Tymolek często pisuje do Polanki? Jeżeli kochane rodzeństwo będzie do niego pisać, proszę mu nakazać, aby pod tym adresem pisał do Avignonu; nie pięknie jest, że zapomina o braciach, którzy go tak szczerze kochają i wszelkiego szczęścia życzą w górnołotnych jego antrepryzach. Jeżeli się zrealizują nasze nadzieje, pewno lepiej dla niego będzie, jeżeli przyjedzie i z nami się połączy — lecz potrzeba jeszcze zaczekać; — niech tymczasem siedzi, jeżeli mu tam miło i dobrze.

Na znak, że tu nie próżnuje, posyłam rodzinie wzwanie Rady Polaków do mnie uczynione, abym jej grona nie opuszczał. Widać, że mam znaczenie i w znakomości niepospolitą przepędzam życie. — Ściskam rączki, nóżki najukochańszego mego Papy, Mamy, Ciotek, Sióstr i proszę o jak najwcześniejsze wyexpedyowanie do mnie listu.

*Kamil Mochnacki.*

**Rada Polaków w Avignonie  
do Pana Majora Kamila Mochnackiego,**

*Członka honorowego Rady.*

Odpowiadając na prośbę Pana o udzielenie mu dymissyi dla objawiającej się opinii między kolegami, niechętniej przeciwko członkom honorowym, podaną, ma honor oświadczyć Panu, że ta opinia jest tylko szczególną kilku kolegów. Pochodzi ona zapewne ztąd, że dzielący ją nie wiedzieli powodów, jakie miała Rada na uwadze, wzywając niektórych kolegów na członków ho-

norowych. Nie widzi więc Rada potrzeby, abyś się Pan z jój grona usunąć miał i owszem wzywa go, abyś na posiedzenia ciągle uczęszczał i w sprawie ogólnego dobra naszego z nami prace podzielał.

Avignon, 4. Marca r. 1832.

### Maurycy Mochnacki do Matki.

Metz, dnia 9. Marca 1832 roku. Place de Chambres. Hôtel de Victoire.

Kochana Mamo! — Nie będąc pewny czy listy które adresowałem do Polanki przez Wiedeń dójdą, piszę wprost do Lwowa pod pewnym adresem. Już czwarty list; oby był szczęśliwszy. Kamil w Paryżu otrzymał dwa listy. Ja w Metz drugi miesiąc siedzę, żeby zatrudnień moich paryzkie niepokoje nie przerywały. Być może że za kilka dni pojedę z Michałem do Paryża, dla wydania pisma o rewolucyi, które koniecznie wydać muszę: najprzód dla tego aby różne bajki i plotki ustały, a po wtóre aby ztąd finansową korzyść odnieść. Cieszę się niezmiernie że kochani rodzice moi są zdrowi i bezpieczni. Nie mam wyrazów do wynurzenia najtkliwszój wdzięczności dla pani Cieńskiéj, że tak dobra jak anioł w rozbiu nieszczęśliwym naszój ojczystej nawy użycza przytułku. O co w pierwszych listach prosiłem kochanego Papy, o to proszę i dziś; od tego koniecznie zawisł cały los mojej literackiej antreprzy. Potrzeba mi do wydania wspomnionego już prawie skończonego dzieła o rewolucyi polskiej materiałów następujących:

1. Dziennik powszechny cały od początku do końca rewolucyi. Gdyby to było niepodobna więc przynajmniej numeru od 15. Sierpnia do wzięcia Warszawy przez nie-

przyjaciela. W tym czasie dziennik był moim organem, artykuły z moim podpisem zawierają ogólną charakterystykę narodowego powstania. Rzecz bardzo mi potrzebna do mojej historii.

2. Kurier polski cały, pisemko to od początku do końca rewolucyi, nie tak dla ducha jako raczej dla szczegółów, bardzo ważne dla mnie.

3. Broszurka moja pierwsza w początkach rewolucyi wydana.

4. Zjednoczenie całe.

5. Te numera z gazet Stats-Zeitung, które zawierają urzędowe raporta moskiewskie dotyczące ogólnych poruszeń wojskowych.

6. Proszę Papy o wiadomości szczegółowe z pewnych źródeł opisane, dotyczące się poruszeń naszego wojska od bitwy pod Ostrołęką aż do 15. Sierpnia. Przez ten czas ranny chorowałem, i nic nie wiem. Mnie się zdaje, że najlepiejby było te wszystkie wiadomości i materiały albo Delizanssem albo Rularzem, albo jeżeli się zdarzy pewna okazała posłać do Metz pod adresem a Monsieur Dornes Place St. Louis numero 36. z Metz przysłał mi to wszystko wielki nasz przyjaciel i opiekun Adwokat Dornes, jeżeli w Paryżu będę się znajdował.

Gdyśmy z Kamilem polski obóz nad granicą opuścili, oddałem mój rękopism Felixowi Miastkowskiemu, którego Klementyna zna w Warszawie, drugi tom o literaturze polskiej. Dobrzeby było, bym i ten rękopism mój i kilka egzemplarzy tomu pierwszego mego o literaturze mógł tu otrzymać. Co do powyższych materiałów osobliwie dziennik powszechny i Kurier polski to Ku... wynajdzie w Warszawie albo Jan Henryk.

Niezmiernie się martwię, że Klementyna <sup>1)</sup> nie opu-

<sup>1)</sup> Siostra.

ściła dotąd Warszawy. Niech z sobą co chce robi, ale niechaj w tem przekletém mieście nie siedzi.

Kamil jest w Avignon. Listy do mnie proszę jak wyżej pod adresem Michała do Metz pisać, z Metz przysłane będą do Paryża. Ja i Michał napisaliśmy kilka obszernych listów do Polanki, które widać nie doszły.

Jeżeli Horodyski, były minister spraw zagranicznych znajduje się w Galicyi, powinienby wejść ze mną w korespondencyą, mającą na celu Skrzyneckiego. W Konduicie Skrzyneckiego prócz jawnych błędów są takie zawilności, że je tylko Horodyski osobiwie po bitwie pod Ostrołęką roztrząsać może. Ponieważ poczta odchodzi nie mogę dłużej pisać. Całuję rączki Mamy.

*Maurycy Mochnacki.*

Ja także za każdym razem nie pomijam sposobności, pisania do państwa. Odwołuję się więc do dawnych moich listów, a ponieważ będziecie państwo posyłali Maurycemu wiele druków, proszę przysłać zarazem i dla mnie dwa numera gazety polskiej z miesiąca Maja 1831 w którym się znajduje mój długi artykuł z przypiskami Joachima Lelewela, pod tytułem: O arystokracji w Polsce, rozmowa z Lefayetem.

*Michał Podczaszyński.*

### **Kamil do brata Maurycego Mochnackiego.**

Lyon, 30. Marca 1832.

*Najukochańszy mój Maurycy!*

Jestem w drodze do Paryża, lecz wątpię, abym dojechał, tak to jest dziwne i nadzwyczajne co mnie tam prowadzi. Polacy w Avignonie w liczbie 1000 jedną wołą i jedną myślą wywrócili komitet Paryzki. Utworzyli na-

tomiast inny, ale jaki? Świat się zadziwi! ale co robić? fiat voluntas! Nowa rada centralna, która ma zastąpić komitet narodowy, składa się z Kniaziewicza, pana Sierrawskiego, Lelewela, Czartoryskiego, Ostrowskiego, Zwierkowskiego, Chodźki, Bema, Mycielskiego, Goreckiego, nakoniec z Kamila Mochnackiego i Stolcmana. Nadaremne były moje protestacje, wymówki i uchylania się. Trzy razy podawałem się do dymissyi od obowiązków członka rady w Avignionie, trzy razy wzywałem moich ziomków, aby kogo innego w moje miejsce posłali do rady centralnej Paryżkiej; nic nie pomogło, za każdą razą większością absolutną z tysiąca wybrany, musiałem przyjąć tytuł. Jadę teraz zasiąść w gronie wspomnianych dygnitarzy. Tylko zważ, jakim okiem będą na mnie patrzyć. Śmiech mię bierze i rozpacz, gdy wspomnę co o tém ludzie powiedzą? i jak mnie będą sądzić. Opatrzyłem się jednak w wyciągi z protokołów rady w Avignionie, w których jasno i wyraźnie tłumaczyłem się: co myślę o tój proponowanej radzie centralnej. Ja zupełnie nie pochwalam składu jój osób, ja jestem za utrzymaniem komitetu narodowego dotąd egzystującego, ja przewiduję, że rząd centralny proponowany, nie tylko że nas zdepopularyzować może, ale nadto złożony z osób które postarzały się w próżniactwie, żadnego kroku nie uczyni któryby mógł polepszyć nasze położenie. Jestem wszakże zdecydowany natychmiast z tój rady się usunąć, gdyby panowie członkowie zatwardzieli w przesądach absolutnie rządzić chcieli interesami Polaków i pogardzali wolą tych, którzy mi los swój powierzyli. A zatem dwie mogą nastąpić ostateczności, albo mnie będą się starali pozbyć sami, co ja spostrzegając natychmiast wezmę dymissją, albo tóż uląklszy się władzy, którą nadała mi wola wszystkich, będą musieli tak robić, jak ja zechcę i uważać we mnie: le vrai Représentant du peuple. Ale któż może liczyć na tę moc i na tę władzę?

Dziś Polacy w Avignionie wynieśli mię na sam szczyt, uwierzyli we mnie, bezwarunkową położyli we mnie ufność, a jutro może mnie będą wieszać, infamią obłożą. Chciałbym zasięgnąć twojego zdania w tém trudném mojem położeniu, a raczej chciałbym dysponować jedną cząstką twego głębokiego rozumu i nieporównanej mądrości abym się nie potknął, i nie uczynił nic takiego, coby mnie skompromitować i naszą sprawę na szwank narazić mogło. Proszę cię więc pisz do mnie niezwłocznie, ale już do Paryża. Rue Marais Sainte Germaine. Hôtel Pont des Arts Nr. 3. Proszę cię także, abys natychmiast Papie o tém doniósł i uprzedził, że jego listy w Avignionie mnie nie zastaną. Przepróż że nie piszę, ale uczynię to jak tylko chwilkę czasu znajdę wolnego. Michała ściskam serdecznie.

*Kamil Mochnacki.*

### **Maurycy do ojca.**

*Kochany Papo!*

Pierwszy do mnie list pisany pod datą 10. Marca 1832. z niewypowiedzianą radością otrzymałem z Polanki. Więc państwo przekonaliście się, że ja równie jak i Kamil w pisaniu listów jestem czynny, i żadne zatrudnienie miłsze i pożądańsze dla mnie nie jest. Skończyłem pracę moją w Metz, to jest historją rewolucyi, i dziś z Metz do Paryża wyjeżdżam. Michał w kilka dni po mnie wyjedzie. Kamil z Avignonu jako delegowany od tamtejszych oficerów przybył do Paryża, a zatem obaczę się z nim prędkiej nad spodziewanie. Dla czego się opóźnił w korespondencyi z szanownemi rodzicami, to najlepiej pokazuje jego list pisany do mnie z Lyonu, który załączam. Posłać Papie odpis mego dzieła arku-

szami w listach jest rzecz niepodobna. Czyż nie łatwiej i nie lepiej to uskutecznić będzie można, jak już pismo wydrukowane będzie? Żeby wyszło to pismo w języku francuzkim, do tego trzeba jeszcze trzy miesiące czasu. Praca ogromna ale niezmiernie potrzebna. Jeżeli można dostać z komitetu Galicyjskiego forszus na edycją, byłoby bardzo dobrze. Taby mnie postawiło w możności zawarcia bardzo korzystnych układów z księgarzami paryzkimi. Taby mnie wyrwało z potrzeby sprzedania za bezcen mego rękopismu, albo w pisaniu i drukowaniu stósowania się do woli, a częstokroć do kaprysów edytorów. Ja tylko jeden jestem we Francyi, który chcę i mogę tę przysługę wyrządzić narodowi. Po rewolucyi kościuszkowskićj nikt nie pisał. Nikt nie pisał z czasów barskićj konfederacyi. Nikt z czasów wojen napoleońskich. Dla czego? Rzecz naturalna, bo jak Sallustius mówi: trudno jest działać, ale trudnićj jeszcze działanie opisać jak należy. Po upadku sprawy naszćj alientostwo w tem najużytecznićj i najchwalebnićj wyrazićby się mogło żeby się Galicianie przyłożyli do druku tak potrzebnego. Znam i poważam Eufrazego Miączyńskiego. Proszę Papy aby był łaskaw list który do niego piszę i załączam jak najspiesznićj osobiście oddać. Skutek będzie nieomylny; bo Eufrazy Miączyński bardzo mnie kochał i cenil. Mojm zdaniem niechaj Papa kilka tysięcy franków za jego pośrednictwem weźmie na ten użytek, i przyjedzie do Paryża, jabym niebu za to podziękował, gdyż najwięćj mi idzie o to, abyśmy razem byli. Niezmiernie dziś jestem zatrudniony, bo się wybieram w drogę do Paryża. Azatem z Paryża list obszerniejszy napiszę. Ten zaś do dokończenia zostawiam Michałowi, polecając się względom i pamięci kochanych rodziców.

*Maurycy Mochnacki.*

Wyprawilem dziś Maurycego do Paryża, a sam zostanę w Metz, tylko dopóki od niego nie odbiorę listu. Pojechalibyśmy byli razem, ale ja na żaden sposób nie mogłem porzucić Metz, a on w niem dłużej pozostać. Adres pod mojem i Cassina imieniem jest dobry. On odbierze i mnie odda lub odeszle gdzie będę. Spodziewam się zawsze tam być, gdzie i Maurycy. Zresztą tu taki zwyczaj adresowania do osób, o których się nie wie z pewnością, gdzie mieszkają. Że listy nasze długo zalegają na poczcie, że może dotąd ostatniego z nich Państwo nie odebraliście, w tém nie nasza wina; trzeba w każdym liście powtarzać najdokładniej swój adres. Francuzi tak robią i dobrze się dzieje. Piszę teraz podług adresu Kamila. — Maurycek na wyjeźdźnym kazał mi obszernie napisać, czy dobrze czy źle, byle obszernie, o dobroć nie zaręczam, ale o obszerność nie tak trudno, niechże więc będzie i obszernie. Żałuję bardzo, że się wypaplał w poprzedzającym liście z miłośkami majora Kamila. Słowo daję że nie wiedziałem że to może komu przykrość zrobić w Polance, a jeszcze komu, osobie tak interesującej. Odwołuję więc; co powiedziałem był fałsz i plotka, pogłoska zbita od dawna, a nigdy bym nie śmiał tego pisać, gdyby mię ten wietrznik Maurycy objaśnił o stanie rzeczy. Z politycznych wiadomości nie wiele mogę państwu donieść, bo czytuję Constitutionela. Zły to dziennik teraz zaprzędany ministrom, choć jak może ukrywa się z tém. Lepszy już National, ale prawdziwie dobrego nie masz we Francyi. Zawsze tak sądziłem, ale nie mnie tak nie utwierdziło w mojem przekonaniu jak mój kilkomiesięczny pobyt na prowincyi. Paryż ze swoją centralizacją władzy reprezentacyi i opinii publicznej odrodził się w potwór. Co się dzieje na prowincyi to ledwo zasługuje na uwagę Paryża. Potrzeba chyba krwawych scen, jak w Wandei, w Lyonie, Grenoblu, Nimen itd., inaczej ledwie wiedzą,

że jest 86 departamentów. Strzeżmy się takiej centralizacji, jeśli doczekamy się niepodległości. Sprawa polska ściśle jest połączona we Francji ze sprawą narodu. To tylko szkoda, że kiedy departamenta wschodnie gorzą miłością dla niej, Paryż nikczemnik zasypia. Nie uczucia ja jego obwiniam, ale zawsze centralizacją z której gdy siła ruchu da fałszywy działaniu kierunek, nie w mocy jest indywiduum oprzeć się sile odpierającej. Umysły wszystkie jak planety jakie obracają się około myśli fałszywych. I chyba zewnętrzna jaka potęga, niby kometa obcego systematu, przybywszy zbija ją z toru i inną myśl wskazuje. Nasi wygnańcy w znacznej części umieszczeni w Avignon, stolicy prawie złego ducha przestali się już uskarżać na mieszkańców, którym się bardzo podobało, że wielu z nich chodzi do kościoła, kiedy żaden liberalista francuzki pod karą uchodzenia za Jezuitę lub Karlistę, nie śmie się tam pokazać. Rzeczywiście jest, że Polacy z natury swojej są przyjaciółmi wszystkich partyi we Francji, prócz tej, która panuje, a tej ani liberaliści, ani Karliści nie cierpią. Co teraz rząd zrobi z wygnańcami w Avignonie, o tem się państwo dowiedzie z listu drukowanego. Nie smuć się z tego, ale radować potrzeba, nie odstręczać, ale zachęcać Polaków do jechania tutaj. Dziś jest źle, a jutro będzie dobrze, bo musi tak być. Ani głowa Filipa, ani potęga jego, ani szczekania partyi du juste-milieu, nic w tem nie poradzą. Tą a nie inną drogą zwykły dążyć do upadku wszystkie systemata polityczne we Francji. Filip gwałtem łączy nasz interes z interesami Francuzów, i jeszcze parę takich aktów, a albo on poleci, albo z gruntu wywróci system Periego. Nasi do Ameryki nie pojedą. Kamil jest autorem tego projektu, a ja go za to nie ganię; bo bez podobnego rozumowania nie podobna działać jak rozum i honor rozkazuje. Z listu Kamila, który tu w oryginale

załączam, dowiedcie się państwo o utworzeniu nowego komitetu narodowego przez Polaków będących w Avignonie. Wybór tych osób czy będzie potwierdzony przez wygnańców w innych miastach, tego nie wiem; to tylko wiem i to pewna, że akt ten jest wyraźną reakcją arystokratyczną, która koniecznie musiała wyniknąć z obecności w komitecie narodowym dwóch klubistów, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, najgorzej jednak widzianych w wojsku. Ja przewidywałem tę reakcją, wciąż pisywałem do komitetu narodowego, jak źle jest widziany przez Polaków na prowincyi, i że potrzeba żeby dwie osoby z niego ustąpiły. Nic to nie pomogło i same intrzygi panowały w Paryżu. Potrzeba było gwałtu i reakcyi do wyrzucenia dwóch ludzi kompromitujących sprawę narodową. Ci ludzie widząc przychodzące ze wszzech stron protestacye przeciw sobie, postanowili gwałtem rządzić wygnańcami, i nie ustąpić aż gdy cały komitet upadnie i gdy zgromadzenie ogólne Polaków w Paryżu rozwiązaniem nie zostanie. Żądali, aby komitet narodowy w obec Europy oświadczył się za rzeczpospolitą, żeby wydał wojnę wszystkim królom. Mieli przez parę dni 30 krzykaczów w swojej partyi. Potem liczba tych ostatnich na 14 zesza, a wreszcie gdy od razu 318 protestacyi przyszło z Besançon, partja ich do trzech się zmniejszyła, i to są Katony, Wasyngtony Polskie. Porzucili tedy komitet Gurowski i Krępowicki, a widząc że co żyje powstaje na nich, usunęli się nawet z ogólnego zgromadzenia Polaków w Paryżu razem ze trzema swemi podporami Płuząńskim, Pułaskim i Janowskim. Czyński zrobiłby to samo, lecz wysłany został do Niemiec w ambasadzie. Wstydu nawet nie mieli wszyscy pięciu swój postępek ogłosić w gazetach. Francuzi się dziwili i litowali. Teraz mniemana partja republikańska złożona ze dwóch Mechesów, z jednego księdza i jednego warjata i z jednego nieznanomego mi.

Chcą oni władzę najwyższą ogarnąć nad wygnającami, w potrzebie lby im ścinać na przypadek rewolucyi w Paryżu, a potem jeśli da Bóg doczekać w oswobodzonej przez nią ojczyźnie, szczęśliwie i spokojnie włądać całym narodem. O wy Różnieccy Lubowidzcy! nie-robiliście tyle złego narodowi. Rzecz idzie o ułożenie z tych osób konwencyi polskiej, czy czegoś innego w Paryżu. Ale dosyć już o tem; Maurycy poleciał do Paryża i narobi im bigosu. Ja za tydzień najdalej pojedę, także mu będę pomagając.

Maurycy dzieło swoje już ukończył, pojechał tylko do Paryża, aby tam z materiałów jakie są korzystać, a przed przyjściem z Galicyi dzienników, o które prosił, trudno mu będzie do druku podać rękopism. Są myśli ogólne, w których się z nim zgadzam, są w których przeciwnego jestem zdania, są wreszcie zupełnie moje. Co do pierwszych całe klamantes przeciw nieudolności partyi rewolucyjnej, przeciw Lelewela słabemu charakterowi. Sprzeciwiam się zaś jemu, i będę pisał moje przeciw jego dziełu za to, że ciągle panegiryki sadzi władzy despotycznej, którą samą uważa za zdolną ratować naród niechcąc rozumieć, że czy despotyzm, czy arystokracja, czy sejm, czy klub, czy konfederacja, mogą zbawić lub zgubić kraj, jeżeli władza celu narodu nie pojmuje, jeśli nie rozumiewa jego życzeń. Zresztą zabijam go tą uwagą, iż despotyzm dyktatorski zfałszował rewolucyą u nas, a zcentralizowana i prawie despotyczna władza Krukowieckiego zupełnie ją zabiła. On jest przeciw sejmowi, ja tylko za zawieszeniem działań jego w czasie rewolucyi. Dużośmy się w téj mierze kłócili; ma on swoje racje, mam i ja moje, ale sprzeciwiam się także jego sposobowi uważania potęgi Rossyi za bardzo straszną teraz. Jeśli się objaśniemy wzajemnie, ja mu dorobię rozdział o narodowości władzy najwyższej, i o dążności Rossyi od 19 wieku. Będzie to krótko, jasno

i w wielkim związku z przedmiotem. Jeśli zaś nie zgodzimy się, to nie napiszę o tém. Moje postrzeżenia w téj mierze już były częścią drukowane w Revue Encyclopedique i zasłużyły na pochwałę tych osób, o których zdanie dbałem, częścią są jeszcze w moich notatkach. Przyrzekłem mu także napisać rozdział o chłopach naszych, nie wiem czy mi się to uda, choć mam dosyć materiałów. Wreszcie Maurycy zupełnie przyjmuje moje myśli o arystokracji, którą lekko tylko dotknąłem w mojej rozmowie z Lafayetteem, które później w Revue des deux Monde nieco rozwinąłem, a które dziś wyraźniej dla Maurycego wykładam. Udziału w dziele Maurycego mieć nie będę, i co sam zrobię to on powie w przypisku że jest mojej ręki, co weźmie z pism moich to zacytuje że jest moje. Zresztą niech sam za siebie odpowiada, tak jak ja za siebie. Sołtyk Roman ma mu wygotować niektóre rzeczy, i za to go za współautora swego na tytule dzieła przybiera. Bardziej zaś uczyni to dla imienia, bo dosyć znać Sołtyka, żeby wątpić o jego zdolnościach autorskich. W każdym względzie będzie to bardzo ważne dzieło, takie nawet, jakiego żadna epoka naszej historii nie miała. Maurycy choć bredzi często, ale bredzi rozumnie, a tysiące prawd które wyklada, sowicie nagradzają zboczenia w ogólnych widokach. Wydziwić się nawet nie mogę, zkąd mu się wzięła bezstronność; jemu, co od czasu jak go znam, zawsze mu ganiłem duch stronniczy. Jeśli w przeciągu trzech miesięcy mógł on zacząć i skończyć swoje dzieło, nie ulega wątpliwości, że w przeciągu drugich trzech zupełnie wygotuje do druku, pierwój nawet w miarę jak się zacznie tłumaczyć, będzie drukować, ale żeby opóźnienia nie było, żeby nie stracił na spekulacyi, potrzebuje pieniędzy. Wiele tam państwo dostaniecie tyle weście, połowę lub dwie trzecie, niech weźmie ojciec autora na podróż do Paryża, a resztę autorowi przysze. Jadąc do Paryża

proszę nie brać ani bryczki, ani koni, ani człowieka. Przed kilku dniami, węgryzyn jeden z wojska polskiego przyjechawszy dwoma końmi, musiał je za bezcen sprzedać, nie dla tego żeby tu konie nie popłacały, ale że trudno od razu znaleźć kupca. Francuzi są jak żydzi, nie opuszczają sposobności korzystania, czekać zaś aż się kto nadarzy, niepodobna; bo koszta utrzymania koni są niezmierne. Człowieka nie brać, bo w Delizansie koszt podwójny. Jadąc, koniecznie starać się przejeżdżać przez Metz, zgłosić się tam do pana Dornes adwokata, Place St. Louis Nr. 36., tudzież do pana Woizhayé adwokata rues des Cleres. Pierwszy z nich mnie szczególnie, drugi Maurycemu szczególnie się podobał, oba zaś są nasi najwięksi przyjaciele. Kamil fałszywie wystawił koszta pobytu w Paryżu. Obiadu dobrego za franka nie dostanie, ja sam pięć lat żyłem, więc wiem o tém lepij. Jadałem był przez kilka miesięcy za franka, ale się rozchorowałem, dziewięć miesięcy kawęczałem z tego. Doktor mi wyraźnie zabronił tanio jadać, bo dają mięso stare, któremu chlorkiem zły odór odejmują, dają koty zamiast królików, tłustość stara bez odoru zamiast masła, zupom kolor i smak mięsny nadają za pomocą smażonej cebuli etc. Przymuszony więc byłem jadać za 50 franków miesięcznie i to nie w traktierni, ale à table d'hôte, bo w traktierni wszystko piękniej za tę cenę, ale wszystko złe, trzeba chyba drogo zapłacić żeby jeść dobrze. Przypadkiem tylko, na kilkanaście dni przed przybyciem do Paryża Emigrantów, znajomy mi od dawna pocziwy Niemiec jeden nazwiskiem Szteinhauser, otworzył prywatnie table d'hôte na 30 franków miesięcznie, ubogo to, kuso, ale uczciwie, tak jednak mało że bez dobrego śniadania nie obejdzie się. Potem że tam sejmiki polskie wciąż się odbywają, niepodobna więc jadać spokojnie. Trzeba z pewnością na 50 franków rachować dobry obiad gospodarski, bez wymysłów układ zrobimy

uczciwie. Jeżeli droga do Paryża wypadnie na Frankfort nad Menem, życzę tam uprowadzić się w drobiazgi angielskie, bo tego nie masz we Francyi. Dla mnie proszę kupić trzy szczyryki podwójne lub poczwórne, byle dobre. Jeden ja zatrzymam, drugi Maurycy, a trzeci będzie dla złodzieja. Sprowadziłem sobie z Londynu żelazstwa, ale mi wiecznie kradli oddawający wizyty. Wolę więc mieć na zapas jeden szczyryk dobry, wydatek na to zwrócę. Pobyt nasz w Metz był najprzyjemniejszym. Maurycy twierdzi, że nigdy w życiu tak szczęśliwym i tak swobodnym nie był. Żyje on jak żył dawniej, tylko mniej jada, o jednej kawie czeka cierpliwie do piątej obiadu. Ja przeciwnie, i śniadanie jem odlewane i obiad z apetytem, polskich obyczajów nie zapominam, a na późne obiady się krzywię. Bywaliśmy bardzo często na zaproszonych obiadach, ale nieznośny jest zwyczaj we Francyi, po obiedzie kilka godzin z damami się bawić. Kiedy muzyka jest to jeszcze dobrze, ale kiedy jej nie masz, zmykam bez ceremonii zostawiając Maurycego, albo jeżeli można wymykamy się obydwaj do bliskiej jakiej kawiarni, i tam sobie palimy cygara. U Maurycego zawsze język jak na kołowrotku, wciąż gada i ma o czem. Każdemu dogodzi, każdemu się podoba, nawet i Karlistom. W poprzedzającym liście doniósłem był o sympatjach miłosnych pana Maurycego do panny Klementyny S... wszystko była szeszera prawda... dodać tu tylko winienem, że wyjeżdżając nie jedną, ale trzy zostawił. Pani B. młoda i ładna mężatka najszacowniejsza z dam tutejszych, która z twarzy i z charakteru wiernym jest obrazem Francuzek, chociaż konduity ich nie ma. Trzecia zaś jest panna jedna, której ani imienia ani pierwszej nawet litery nie wymienię. Te trzy oblubienice nazywam trójcą miłości Maurycego, czego bowiem która niema to zawsze w dwóch drugich znajdzie. Przymioty mają jednakowe, ale zalety odmienne, różne charaktery

różne talenta. Zawsze atoli panna Klementyna ma potężną przewagę, straciła tylko łaskę, kiedy gotując się na koncert przyszedł do niej z rana przed ósmą, panna blada w papilotach źle wyglądała, ostygł więc nieco dla niej, ona to spostrzegła, a że niesłuchanie czuła, więc biedna kilka nocy nie spała i była jeszcze bledsza. Matka się skarżyła przed Maurycym, a ja mu śpiewałem z rodziny szwajcarskiej, a nikt tego nie zgadnie dla czego smutną bywa! Przeszedł nakoniec dzień koncertu. Maurycy miał wybrać dla siebie fortepian, wiele dam oświadczyło mu się ze swemi instrumentami, bo tutaj jak na całym świecie damy szukają zaszczytu nie z siebie ale z tego co do nich należy. Czy to mąż, czy kochanek, czy pies, czy fortepian, i Maurycy wiele miał do wyboru doskonałych fortepianów, ale wahał się w wyborze między dwoma tylko i to najgorszymi, ponieważ jeden był pani B. a drugi panny Klementyny S. Pierwszy nie równie był lepszy, wszyscy amatorowie to przyznali, wniesiono go nawet na teatr, ale Maurycy po długim wahaniu odesłał go nazad, a dał pierwszeństwo fortepianowi panny Klementyny! Pan Solleral major stary od Saperów, wielki oryginał, człowiek co się uczy polityki z Monitora, dyrygował Orkiestrą. Na próbach gdzie brakło instrumentu chrapliwym głosem przez nos dośpiewywał solo. Nakoniec tak się umachał rękami, tak się kręcił, że nazajutrz dostał kurczu, w prawej ręce drgania, w nogach boleści, głowy bólu, gorączki i niestrawności żołądka. Myśleliśmy że to cholera morbus. Zaczął się koncert od Symfonii, chorów, ouvertur. Pani B. także śpiewała w chórach, a trzecia osoba trójcy, osoba którą nie wymieniam ani pierwszej litery nazwiska, choć lepiej śpiewa jak panna Sontag, nie chciała z siebie robić widowiska. Maurycy to ganił, a ja pochwalałem, bo ta panna jest bardzo piękna, a jak śpiewa jeszcze piękniejsza. Nie wiadomo czy wdziękom,

czy talentom dawano oklaski, a ona tak skromna, tak lękliwa, że kiedy w pokoju ma śpiewać, ziębnie od strachu i czarną kawę pić musi. Po śpiewach, po symfoniach, po solach na arfie i klarynecie, pan Solleral wyprowadził na scenę naszego delikwenta. Tysiąc oklasków, tysiąc lorynetek błyszczały zewsząd przy rześistém świetle, powitali go z tysięcznymi okrzykami, a ile było łóż, tyle baterii perspektyw. Za nic Grochów, za nic Ostrołęka, co tam było strachu dla Maurycego. Ale się nie zląkł i grał koncert Humla. Tak się zaś wyelegantował, żebyście go państwo nie poznali. Pozwolił mi z sobą zrobić co chciałem, obciąć włosy, faworyty, ogolić cały podbródek etc. Wszystko było jak można najpiękniej. Kto powiedział że on nieładny chłopiec, grubo się pomylił. Tak zaś dobrze elegancją poznał, że niewiedzieć dla czego cały dzień fajki nie palił, kazał nakupić dla siebie wódek pachnących, pomady do włosów, do faworytów, w życiu tego nie miał w zwyczaju. Że grał doskonale, to nie nowina, że po każdym solo, po każdym pasażu rześiste sypano brawo, to nic dziwnego. Wszystko mu się udało dobrze. Pan Solleral stojąc za nim nieraz o mało nosem o fortepian nie uderzył, tak się nachylał, wykreczał, raz nawet wybijając takt w ferworze muzycznym wyciął w głowę Maurycego, szczęściem że mało kto to widział. Maurycy 23 Marca był królem dnia w Metz; o nikim nie mówiono tylko o nim. Posyłam państwu artykuł jednego z tutejszych dzienników, mowa tam jest i o Maurycem i o Polance. Rzeczywiście to dziwny chłopiec, obywatel znakomity. Znają go tu wszyscy z gazet, żołnierz dobry, bohater Grochowa i Ostrołęki i dnia 29. Listopada chlubnemi ranami okryty, pisarz wyborny, mówca rzadki nawet we francuzkim języku, literat, filozof, polityk, artysta, a co lepsza nad wszystko że kochany najukochańszy. Ja tu aż hardym się zrobiłem, widząc, że mówiąc o nim i mnie téż wspo-

minają „Musi to być nielada człowiek kiedy ma takiego przyjaciela,“ tak mówiono o mnie, „tylko że zimny, roztargniony tetryk, potem nieznany.“ Przypomniałem sobie nieraz ów wiersz Szubrawski o X. Laterna: „Sprawa mizerna bo X. Laterna, ni u herbarza, ni u księgarza, ni u drukarza, ni dziennikarza nieznany etc.“ Po koncercie pani B. przysłała Maurycemu exemplarz koncertu Humla i napisała własną ręką czyli rączką jak Maurycy mówi, że mu na pamiątkę daruje. Co się działo w czasie koncertu z biedną panną Klementyną, o tém proszę się domyśleć. Miałem dobrą perspektywę i nie spuszczałem jęj z oka. O królu Salomonie! jakżeś ty mądrze powiedział, żadne oko nie dostrzeże drogi ptaka na powietrzu, drogi łódki na wodzie i drogi miłości. Dostyc o tém. — — Jeśliście państwo nie odebrali dotąd ostatniego listu naszego, proszę się zgłosić po niego czy do Lwowa czy gdzieindziej. Przez generała Rożyckiego proszę przesłać co tylko można. Posyłam tu list Maurycego do Miączyńskiego, i mój list urzędowy. Proszę aby jeden i drugi skutek swój otrzymały. Pani Głogowskiej, pannie Zofii, pannie Olympii, pannie Klementynie moje najniższe ukłony i uszanowanie. Państwu zaś samym nic więcej powiedzieć nie mogę nad to, że was kocham i cenię sercem syna.

*Michał Podczaszyński.*

Z Metz dnia 27. Marca 1832. Place de Chambres  
hôtel de Victoire.

### Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż dnia 18. Kwietnia 1832. Rue d'Anjou D'aufine hôtel de Navarre Nr. 5.

*Kochana Mamo!*

Od pierwszego Kwietnia tu siedziemy, z Kamilem razem zjechaliśmy się do Paryża, on z Avignon, ja z Metz, gdzie skończyłem rzecz o rewolucyi polskiej. Wiele mi jednak do czynienia zostaje, trzeba tłumaczyć, tłumaczenia francuzkie dawać Francuzom do poprawy, zbierać materiały les pieces justificatives i t. d. a szczególnie potrzeba pieniędzy na druk, gdy to wszystko skończone będzie; inaczej bowiem nicbyśmy nie zarobili. Wiem, że wróca się koszta edycyi, ale kłopotę sobie głowę zkąd na to wziąć pieniędzy. W tym celu pisałem do Eufrazego Miączyńskiego, i proszę Mamy, żeby także napisała do niego w interesie pomienionym. Komitet galicyjski bardzoby dobrze zrobił, gdyby wszedłszy w położenia nasze, posłał dwa do trzech tysięcy franków do Paryża pod adresem Podczaszyńskiego na ten tak ważny interes, z wyrażeniem w liście, żeby na ten a nie inny cel pieniądze przysłane obrócone były. Najmniejszego niemam wyobrażenia o tym komitecie. Więc nie wiem co Miączyński zrobić może; wiem tylko z pewnością że dla mnie uczyni co będzie mógł po dawniej znajomości. Czy Papa nie wrócił jeszcze od czasu jak ostatni list Mamy odebraliśmy? Czy zdrow? Czy wszyscy, Mama, Ciocia Olímpka, pani Cieńska, cała moja kochana familia zdrowa? Proszę Mamy o najdokładniejsze wiadomości w téj mierze. My jak możemy opieramy się cholerze, która dziwy w Paryżu wyrabia. Widać że ta choroba tem dzielniejsza im większa atrakcja massy. Co za postrach, jaka trwoga w tym ludnym, ogromnym Paryżu, od 29. Marca do dnia dzisiejszego 14,000 ludzi umarło. Quelle mortalité imposante! Buletyny urzędowe

jak mogą tak kłamią, aby zmniejszyć obawę, ale to nic nie pomoże, bo na ulicach tylko trumny i karawany, albo łózka osłonięte płótnem pokazują się. Bładość i smutek tak rozpostarty na twarzach ludzi, że jak cienie chodzą i tak wyglądają, a w nocy jeszcze gorzej. Mój Boże! co się to z Paryżem stało, dawniej do pierwszej godziny po północy pełno świstu, hałasu pojazdów, ludzi na wszystkich placach, niezliczonym rozsypanych się gminem. Śpiewy, tańce, gry, krotofile, a teraz o godzinie 9. w wieczór żywego ducha nie spotkać, umarłych tylko wożą a wożą, już nie w karawanach, ale po kilkunastu trupów na jednym wozie. Postrzegłszy raz w nocy taki wóz, dostałem kataru, zdawało mi się że zamiast woźnicy siedzi na wozie pierwszy minister cholery, która teraz tyle znaczy dla Francuzów, ile największe mocarstwo na świecie, tak się jój wszyscy boją, że osobiwie francuzka, a przedewszystkiem wielkie panie paryzkie umierają z samego strachu. Izby przekłete Justemilieu uchwaliwszy najniegodziwsze prawo dla cudzoziemców, uciekło z Paryża. Czemuż nie siedzieli w Paryżu? możeby doktrynerów przerzadziła cholera. Kto w Boga wierzy, umyka z zapowietrzonej stolicy. Ale gdzie się kto schroni przed cholera, która jak czarownica po powietrzu wojażuje. Lud Paryzki nie chciał z początku wierzyć temu i zbuntował się naprzeciwko władzy rozumiejąc, że go oszukują. Ogromne massy pospólstwa oblegało *Quais*, mosty St. Denis. Musiało ministerstwo użyć siły. Przypuszczono szarżę do ludu przez kilka dni. Lud uwolnił więźniów w St. Palagie, już się zanosilo na coś okropnego, gdy w tém nagły postęp cholery, której wszelka irytacja sprzyja, uwolnił massy od supozycyi pod tym względem, a rząd od potrzeby przekonywania ich bagnetami, że rzeczywiście cholera zabija ludzi. Ja i Kamil kilka dni byliśmy także słabi, ale nie na cholere tylko na cholerynę, to jest na początki cholery.

Lecz wyzdrowieliśmy nie jedząc, prócz rosolu i mięsa, a szczególniej pijąc bardzo wiele herbaty z czerwonym winem i paląc wiele tytoniu, to jest jedyne lekarstwo. W skutku prawa przez izbę ustanowionego *Perier* może z nami zrobić co mu się podoba, zupełnie teraz Polacy od jego woli zależą. Pozzo di Borgo wygrał więc sprawę z emigracją polską, nie bez porozumienia się z takimi ludźmi jak *Plater*, *Jelski*, *Lubiński*. Ci prawdziwi agenci cara w Paryżu zostają w ścisłym porozumieniu z Kniaziewiczem starym, który ich słucha, i popularność imienia swego na złe dla emigracyi naszej używa. Rzecz się do tego nachyla, że ministerstwo francuzkie emigracją polską za pomocą Kniaziewicza, albo odda w moc Moskalów, albo wyszle czy do Algieru, czy do Martyniki, czy do Gwadalupy, byle tylko we Francyi tyle Polaków nie było, bo to kole w oczy cara. Bo ta emigracja we Francyi jest na kształt korony drzewa, mającego korzenie swoje szeroko rozpostarte w ziemi polskiej. Każdy z nas cośmy tu przybyli zostawił w kraju ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, znajomych. Ten stan owdowienia ojczyzny, ten stan narodowego sieroctwa dziwnie sprzyja interesowi przyszłej Polski, i nie dozwoli zabić się głębokim ranom, które ostatnie powstanie wznowiło i zakrwawiło, utrzymuje emigracja każda pozostałych w nadziei, w oczekiwaniu, w niespokojności. Otóż tego właśnie car sobie nie życzy, a pełnomocnik jego co może robi, żeby pobyt we Francyi Polaków stawał się coraz nieznośniejszy. Za jego to przyłożeniem się Izba nous a déclaré hors de loi, to jest wszystkich cudzoziemców, a zatem i Polaków. Teraz zależymy nie od praw krajowych, ale od administracyi. Za jej przyłożeniem się coraz zmniejszają gażę oficerom naszym, tak że już teraz nie tylko ubrać się, ale nawet jeść co nie mają. Nareście za sprawą Moskwy przerzucają Polaków z miejsca na miejsce, aby mieszkańcy

którzy ich kochają nie mogli im życzliwości swojej okazać. Słowem Ludwik Filip et le Gouvernement d'Epiciers są uniżonymi sługami cara, który szpony swoje jak djabel z Petersburga aż tu rozciągnął, żeby nas ztąd porwać i na stepach lodu osadzić. Co się z nami dalej będzie działo, tego nie wiem; to pewna jednak, że kiedy cholera przeminie, nieobejdzie się bez scen, bez podburzeń w imieniu krzywdy, którą rząd dla dogodzenia carowi emigracyi naszej wyrządził. Bil reformy przeszedł w Anglii. To straszne skutki za sobą pociągnie. Ja się do niczego nie wdaję, siedzę cicho zajęty pracami które mi coś przyniosą w swoim czasie. Lecz jak będziemy żyli z Kamilem trzy czy cztery miesiące w Paryżu, tego nie wiem, z Paryża się nie ruszę, bo mi idzie o moje dzieło. Dzieło to wydać muszę, żeby się plotki w Europie nie szerzyły. Zresztą wypowiedzieć Mamie nie mogę co to jest emigracja. Daj Boże żebyśmy w kraju życie nasze skończyć mogli. Nie mię bardziej nie martwi jak straszne głupstwo szanownych współziomków naszych. W rewolucyi wierzyli Chłopiickiemu, który był po prostu instrumentem Lubeckiego, tu wierzą Kniaziewiczowi, który jest (choć sam nie wie o tém) instrumentem Pozzo di Borgo, nastraja za pomocą Platera, Łubińskiego, Jelskiego, wszystko co chce car, lecz wkrótce przekonają się co jest Kniaziewicz. Zostawiam Kamilowi miejsce, ściskam rączki kochanej Mamy i całemu domowi, Pani Cieńskiéj zasyłam moje ukłony.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Kamil Mochnacki do Matki.**

Najukochańsza moja Mamo! Na ostatni list, który pisałem z Avignon do Polanki, żadnej jeszcze odpowiedzi nie odebrałem; wiem jednak, że doszedł, bo to z o-

statniego listu Mamy, pisanego do Maurycego, dowiedziałem się. Jeżeli Mama pisała do Avignon, to mnie list zawsze dojdzie, bo zostawiłem w tej mierze stósowne polecenia. Nie pisałem zaś do tego czasu dla tego, że mocno jestem zatrudnionym i nigdy w takich kłopotach się nie znajdowałem jak teraz. Donosiłem w ostatnim liście, że byłem zmuszonym wyjechać z Paryża przez władze miejscowe, które podmówione przez nieprzyjaciół, koniecznie domagały się mego wyjazdu. Pojechałem więc do Avignon i bez przykrości nawet żadnej to uczyniłem, bo natura ciągnie wilka do lasu, i mnie też ciężko odzwyczaić się od życia i towarzysztwa wojskowych; miło mi zawsze znajdować się między tymi, z którymi przepędziłem moje młode lata. — Niedługo jednak siedziałem w Avignonie. Podobało się ziomkom i towarzyszący broni, zaszczycić mię swoim zaufaniem i mianować Członkiem Rady Centralnej, której w Paryżu kierunek interesów polskich ma być powierzony. Nadaremne były moje wymówki i oświadczenie, że nie czuję się na siłach odpowiedzieć tak wysokiemu zaufaniu i że położenie Polaków w obecnej epoce zbyt jest trudne, aby każdy przyjmujący na siebie obowiązek opiekowania się i czuwania nad ich losem, nie miał przed oczyma całej odpowiedzialności, jaka spadnie na niego, jeżeli się pomyli, lub nie wykona poruczeń, lub też wpadnie w sieci zręcznie zastawione przez mnogich nieprzyjaciół. Wykręcałem się jak mogłem; nic nie pomogło. Utrzymano mię, czyli raczej narzucono urząd, który, jak powiedziałem, niezliczonych przykrości dla mnie staje się przyczyną. Już musiał Maurycy poprzednio donieść, którzy są ci, których Polacy zwołali do Rady Centralnej. Są to ludzie znani już ze swego nieugiętego uporu w przesądach i zastarzałych zdaniach. Za nic nie poświęcą swoich zasad. Ale noszą imiona, które magiczny wpływ wywierają na naszych ziomków. Nic

więc u Polaków nie może się obejść bez Czartoryskiego, bez Niemcewicza, Kniaziewicza i t. d. Może sobie więc Mama wystawić, jak trudno dla mnie i zadosyć uczynić temu co Polacy żądają i zostać w zgodzie z dygnitarzami, którzy nic nie mogą dokładnie pojąć, tém mniej, wykonać woli ziomków. Jest więc wielkie niebezpieczeństwo, bo *Perier* każdego z nich oszuka, zrobi to z Polakami, co mu się będzie podobało, a wina spadnie na nas, żeśmy pozwolili dać się oszukać. W miarę tego jak się pogorsza nasze położenie i ja też jaśniej zaczynam się tłumaczyć przed tymi, którzy mnie swoim reprezentantem zrobili, a nakoniec powiem wyraźnie, że za nic dopóty nie ręczę, dopóki będą wpływać do naszych interesów ludzie, którzy potylekroć już nas zgubili i teraz jeszcze na emigracyi polskiej nie omieszkają wytłoczyć pieczęć swój zarozumiałości i niedołężności aż nadto znanej. Mam wszakże nadzieję, że co bądź się stanie, ja jednak z honorem wyjdę z téj sprawy i nikt nie będzie miał prawa obwinić mię o niedopełnienie powinności, bo jestem bardzo czynny, na wszystko patrzę, wszystkiego przesierzgam i z każdego kroku przed Polakami najskrupulatniej zdaję sprawę.

Jest więc teraz wielka różnica między mną i Maurycym. Ja z natury mego urzędowania w Paryżu jestem ustawicznie zajęty w pracach; on przeciwnie zeszedł do najprywatniejszego życia; nic go nie interesuje, i oprócz książki, którą chce drukować, o niczym nie myśli i nie spekuluje, tylko o sposobach wydrukowania jęj, lecz małej rzeczy mu braknie, bo tylko 3000 franków, już nawet postanowił nakoniec zakochać się i ożenić z jaką bogatą wdową, ale także mu małej rzeczy brakuje, bo takiej bogatej wdowy któraby się w nim zakochać chciała. Jest więc w największej desperacyi, przy tem cholera go strasznie niepokoi, non par excellence nie lubi cholery i granatów, więc twierdzi że jeszcze kampanii nie

skończył, i dopóty nie skończy, dopóki będzie się znajdował w stanie obronnym przeciwko tój drapieżnej cholerze, broni się więc od niej ustawnie, to jest: pije niezmiernie kawę i herbatę, ale tak nieznośnie że ani kawy, ani herbaty, ani wina nastarczyć nie można.

Muszę tu oskarżyć brata przed kochaną Mamą. Napisał on podobno coś bardzo złośliwego na mnie i považył się nawet dotknąć w swoim liście mojej kochanej siostry Klimki Głogowskiej. Dowiedziałem się o tём wszystkim z listu Mamy który, mu podkradłem; bo nie dosyć, że się dopuścił występku obmowy, ale nadto miał serce schować przedemną tę część listu Mamy, w którym o tём była wzmianka, i wyparł się wszystkiego. Choć śmiem sobie tuszyć, że to co powiedział o mnie niegodziwy Maurycy, nie znajdzie wiary u szanownej rodziny; jednak na usprawiedliwienie moje nic więcéj nie powiem jak tylko to, że choćbym rzeczywiście dopuszczał się takich zdrożności, o które mnie obmawia, zapewneby o tём ludzie nie wiedzieli, a tём mniéj on, który odwieczne ma upodobanie wtrącać się w to co do niego nie należy, domyślać się, wpadać w dowcipne wnioski, zabawiać się plotkami. Lecz wszystko to darowałbym mu, i porachował na karb jego troskliwości braterskiej gdyby sam zachowywał: un stricte regime de la retenu et de modestie precieuse, ale na nieszczęście doszły do mojej wiadomości takie rzeczy, które wcale o czém inném świadczą. Bawiąc w Metz tak się przysiadł do jednej młodej Karlistki, dopóty jéj szeptał w ucho przy fortepianie, że aż za nim owa Karlistka przyjechała do Paryża, i nie małego go, nabawia kłopotu; teraz wywija się jak wąż między cholerą a Karlistką. Lecz o tём wszystkim niech Mama nie wspomina przed ludźmi, i ta moja prośba niech będzie dowodem, że ja nie jestem tak złośliwy jak on. Siostrę Klimkę przepraszam za wszystkie inkonwenanse które Maurycy

popisał, i proszę niechaj wierzy, że pan Maurycy oprócz wielu innych złych nałogów, łączy nałóg najszkaradniejszej zazdrości, który mocno jest zaszczerpiony w jego duszy.

Z największą niecierpliwością oczekujemy téj epoki, w której już z pewnością będziemy mogli spodziewać się przyjazdu naszego kochanego Papy. Teraz jednak tak niebezpieczny jest pobyt w Paryżu, że nigdybym sobie nie życzył przyjazdu Papy w tym miesiącu, ani dopóty, dopóki zupełnie cholera nie ustanie, co jednak sądzimy, że niezadługo nastąpi. Pisaliśmy do Klementyny Gr..... niedawno, i prosiliśmy aby pan Jan Henryk kilka słów nam przysłał, co się dzieje z Tymoleonem? Czy jest już w Galicyi; bo według tego co piszą o Polsce i Galicyi, nie sądzę, aby tam dla niego było bezpiecznie. Jak tylko zorganizują się Polacy we Francyi i już coś stalszego z nami się stanie, nie zapomnę obmyśleć środki do sprowadzenia go tutaj; bo gdzie tyle oficerów żyje i utrzymuje się, tam i on by mógł się utrzymać, ale jeszcze trzeba poczekać. Ja tu w Paryżu zapewne będę jakiś czas bawił. Nie źle mi z tem bo jestem au courant de choses, o wszystkim naprzód wiem, i w każdej potrzebie mogę sobie zaradzić i o utrzymanie życia zupełnie się nietrwożyć, bo to co skarb daje oficerom mojego stopnia pozwala mi być bardzo à mon aise.

Czytałem w jednym z ostatnich listów przypisek do mnie nieznajomój kuzynki, której dobroć serca umiem ocenić i szanować. Te kilka słów jój własną ręką pisanych świadczą to wszystko co wiedziałem dobrego i zaletnego o szacownej kuzynce z opisów mojej rodziny. Proszę Mamy w imieniu mojem podziękować i zaręczyć nieznajomą moją kuzynkę, że będę usilnie starał się zasługiwać na jój względy, i że mnie nigdy większy zaszczyt spotkać nie mógł. Czy mama jeszcze długo za-

bawi w domu pani Cieńskiej? Czy jeszcze Klimka z panią Głogowską tam się znajduje? Na jak długi czas Papa wyjechał? Co ciocia Zosia porabia? Zapewne się nie nudzi wśród tak miłych i uprzejmych osób, i tak dobrych Polek.

Proszę Mamy napisać do Klimeczki Gr..... że od lutego żadnego od niej listu nie odebraliśmy; dla czego to? Niech nie pisze nic takiego, co by mogło utrudnić przechód listu, lecz niech napisze że jest zdrowa, że jej córki rosną i gotują pociechę matce, czy będzie mieszkać w Żółtkwi? co się z jej mężem dzieje? Ja rozumiem, że da sobie radę. Papa przysłał tylko dwa poszyty swego pisma o rewolucyi, czekamy z niecierpliwością na resztę. Maurycemu jest ono wielką pomocą, a ja przetłumaczę na francuzki język i wydam tu. Całuję rączki i nóżki Mamy dobrej, kochanej i całemu domowi, Pani Cieńskiej zasylam moje uszanowanie.

*Kamil Mochnacki.*

### **Maurycy Mochnacki do rodziców.**

Paryż, dnia 12. Lipca 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la  
Terasse Nr. 50.

Przyczyna żeśmy prawie od półtora miesiąca nie pisali, azatem żadnego nawzajem listu nie odebrali z Polanki, było ciągle oczekiwanie ważnego jakiego zdarzenia, w skutku którego możnaby napisać coś stanowczego, i wziąć jaką radę. Zacząłem był pisać na dniu pogrzebu *Lamarka* 6. Czerwca wśród wielkiego hałasu w Paryżu, ale siódmego podarłem list. Te dwa dni 5. i 6. Czerwca, w których mnóstwo warjatów zginęło dla rzeczy pospolitej, w których Polacy żadnego udziału nie mieli, zaszkodziły jednak tak nam, jako i całej sprawie euro-

pejskiej wolności. Wojsko liniowe i gwardia narodowa, to jest: siła zbrojna nie myśląca i majątek uzbrojony myślący, to wszystko szczerze się biło z republikanami, których mężstwu heroicznemu wydziwić się nie można, ale których porywczosć niepohamowana żadnemi względami wszystko zepsuła, wszystko skompromitowała. Widziałem stósy trupów samej młodzieży, wystawionych do rozpoznania nad Sekwaną. Miły Boże! nikt się do nich przyznawać nie chciał! Żadnego nie było starszego nad lat dwadzieścia, a rany, to w głowę to w piersi. Władza upoiła się rokoszą zwycięstwa. Mierni, ale przeznorni przyjaciele monarchii, która w błocie Paryzkim się urodziła, myśleli że wielkich rzeczy dokonali zwyciężając garstkę młodzieży, garstkę desperatów wielkimi massami jazdy i piechoty liniowej. Po tém zwycięstwie władza wybiegła z granic swoich, ogłosiła się za nieograniczoną, absolutną w Paryżu, to jest: w całej Francyi, bo system administracyi jest centralny. Oblężenie stolicy żadnego wrażenia nie sprawiło na jój massach. Nie dziwię się, że Francuzi rzeczypośpolitej niechcieli, to rzecz bardzo naturalna. *La republique n'est pas pour des Epiciers.* Ale że po zwycięstwie nad rzeczypośpolitą, którą utłumić pomogli rządowi, dali sobie odjąć wszelkie swobody prawem zabezpieczone, że najnikczemniejszemu ministerstwu pozwolili dopełnić aktu tak arbitralnego, na któryby się Napoleon nie zdobył w chwilach potęgi swojej; że taki stan rzeczy mógł trwać w Paryżu dni kilkanaście, to przechodzi moje pojęcie. Tysiąc kilka set osób aresztowano, między niemi dwóch Polaków: Rykaczewskiego i Sz wajgiera, których lud na dni pięć postrzegłszy w entuzjazmie swoim dla Polski, porwał, uzbroił i na czele iść kazał; przekonano się o ich niewinności, i przed kilku dniami uwolniono. Sąd kassacyjny z samych prawie Karlistów złożony uznał wszystkie wyroki sądów wojennych za nieprawne. Uczynił to nie

z patriotyzmu, ale dla uratowania Karlistów uwikłanych w tę sprawę. Ta decyzja sądu kassacyjnego postawiła ministerium w osobliwszej pozycji. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy powinni oni głowy swoje oddać pod gwilotnę za przełamanie arbitralne ustaw, których Francya przez lat trzydzieści walki nabyła. Przyrządzają się więc straszne rzeczy. Znowu ma nastąpić trzęsienie ziemi. Filip boi się zwołać izby. Karliści intrygują, księżna Berry ciągle bawi w Wandei i organizuje wojnę domową. Lipcowi rewolucjoniści postanowili wytepić Karlistów, Paryż zburzyć, monarchią Filipa w powietrze wysadzić, Europę wyswobodzić finalnie. Rząd przewidując to wszystko, ogromnemi massami wojska otacza stolicę. Nie wiem, jak się to wszystko skończy; to pewna jednak że po śmierci Periego władza straciła głowę. Z tym człowiekiem runął filar du juste milieu. Młody Montalive nie da sobie rady. Soult wyjechał do wód. Dupina wyintrygowano, nie podobały się dworowi jego maniery, jego trzewiki kute gwoździami, jego flamendzka facjata. Trwa więc ciągle anarchia w gabinecie Tuileryjskim.

Mieszkamy w najpiękniejszej quartier Paryża. Hotel nasz wytworny, ale żeśmy Polacy, więc tani, za dwa pokoiki i gabinet do pisania, za usługę, bieliznę do łóżek, płacimy tylko 40 franków na miesiąc, to jest rzeczą niesłychaną na ulicy Rivoli; o dwa kroki od hotelu mamy ogród Tuilleryjski, codziennie o godzinie 4. do 5. parę tysięcy kobiet, parę tysięcy mężczyzn przechodzi się po alejach tego ogrodu. Tu się zbiega arystokracja finansowa de la Chossé d'Antin z cząstkami feodalnej de St. Germain. Publiczność pochmurna, mało mówiąca, straszna. O kilka kroków mamy plac wielki Ludwika XVI. gdzie mu głowę ucięto, Sekwanę i pola Elizejskie. W tyle hotelu Bulewary i ulica Castiglione, gdzie także są przechadzki bardzo liczne. Nic piękniejszego jak kli-

mat Paryżki w tej porze, jest to ciągle wiosna. W tym samym hotelu mieszka nasz kochany Nastuś Dunin, a o kilkanaście kroków od nas poważny jego generał i bardzo sławny nawet w Paryżu Dwernicki w hotelu Vindrowskim. Ja bardzo jestem zatrudniony, piszę wiele i bardzo wiele gram na fortepianie, zostanę artystą z potrzeby. Historia moja, której dotąd wydać nie mogłem, wyjdzie niezawodnie w języku francuzkim. Pojednałem się ze wszystkimi moimi antagonistami rewolucyjnymi, prócz z szczytkami towarzystwa patriotycznego, które mnie bardziej nienawidzi teraz jak kiedy, dla tego właśnie że nic nie chcę mieć z nimi do czynienia. Ni ztąd ni z owąd przyszło coś do głowy Sultowi dać rozkaz Kamilowi, aby we 48 godzin wyjechał z Paryża do Avignonu. Domyślamy się, że ten rozkaz był inspirowany przez Kniaziewicza, którego Kamil wyłajał za dziwactwo i kaprysy, jakie okazywał w ciągu negocjacji z emigrantami. Mocno się to nam nie podobało; bo jak to od razu wyjechać z Paryża z najlepszego hotelu tak bliskiego ogrodu Tuilleryi, i pędzić 180 mil do Avignonu, gdzie tak gorąco, do tego potrzeba najprzód wiele pieniędzy, a potem bardzo wiele ochoty, nareście rozdział między dwoma braćmi zakrwawił serca nasze. Postanowiliśmy tedy wykręcić się z tego, ale cóż? przychodzi komisarz policji z quartier de Tuillerii i oświadcza najgrzeczniej Kamilowi, że pan musisz wyjechać, a jeżeli nie pojedziesz będziesz wytransportowany. Kamil tedy rad nie rad gotuje się do podróży. Złość mnie porwała niesłychana; pobiegłem do Kniaziewicza, do Platera i wystawiałem im, jakie skutki wynikną w zakładzie z arbitralnego ich postępku względem pełnomocnika emigracji w Avignon i Lunel; bo zawsze Kamil w tym tu zostaje charakterze. Nie wiem jaki to skutek sprawiło, wszakże przypadek odwłócił wyjazd Kamila. W nocy zachorował on na zwyczajną swoją słabość piersiową, kaszlał i pluł krwią.

przez trzy kwadrance. Z rana doktor Rostkowski, który to Papię tyle winien dobrego, puścił krew Kamilowi i skazał go na tak straszną djotę, że Kamil nieborak przez osiem dni nic a nic nie jadał, prócz poziomek i truskawek z ulicy du 29. juillet i ciągle prawie w łóżku leżał. Napisałem o tym wypadku panu Gisquet Prefektowi policyi i nikt się już nam nie naprzykrza. Kamil przychodzi do zdrowia, i namawia mnie, żebym z nim razem pojechał do Baden, gdzie się chce kąpać, żeby raz na zawsze pozbyć się tego przekłętego defeku w pierśsiach. Plan Kamila, według którego ten projekt uskutecznić mamy, jest taki: pojechać najprzód z Paryża do Lyonu. Kamil ma bardzo wielu możnych protektorów i przyjaciół, spodziewa się zatém, że za ich pomocą, ja będę mógł dać koncert i zarobić tyle pieniędzy, ile potrzeba do wód Badeńskich. Projekt nie zły, ale ambarasowny dla mnie, boby mnie to na czas niejaki z Paryża wyrwało, nie bez uszczerbku dla pisma o rowolucyi, któremu teraz wszyscy radzi dopomagać. Wszakże muszę to zrobić; bo wolę żeby Kamil mój przewietrzył się trochę i przestał pokaszliwać, niżeli żeby pismo wyszło do druku.

Rękopism kochanego Papy mam u siebie; dalszego ciągu niecierpliwie oczekuję i artykułów moich z dziennika powszechnego. Listy do nas trzeba adresować tak: A Monsieur Monsieur Maurice, Camille, a Paris. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terrasse Nr. 50. Gdybyśmy nie byli w Paryżu, dojdą nas za pośrednictwem gospodarza, mającego instrukcją jak postąpić w tój mierze. Zostawiam teraz miejsce Kamilowi.

*Maurycy Mochnecki.*

### Kamil Mochnacki kontynuuje w tym samym liście.

Aby taka długa przerwa w korespondencji nadal nigdy miejsca nie miała, postanowiłem każdego dnia dziesiątego pisywać do najukochańszych rodziców najregularniej i najniezawodniej. W tej przerwie zaszło wiele wypadków, lecz te znane są już przez pisma publiczne całemu światu; a co do Polaków tym zawsze jednakowo się dzieje po prowincjach, a w stolicy mocniej ich teraz przesładują niżeli kiedy. Nie wchodząc w żadne powody i tłumaczenia, kazał rząd wielu emigrantom wyjechać, między tymi jestem ja, kolega mój w urzędowaniu i misyi Karól Sztolcman, wojewoda Antoni Ostrowski, Lelwel i t. d. Antoni Ostrowski postanowił nieusłuchać rozkazu, a nadto tak przyzwoicie znalazł się na audyencji u Montaliveta, że ten się aż przeląkł i rozkaz odwołał. Ja mógłbym zostać w Paryżu, ale o to się nie staram, zwłaszcza że dla słabości zdrowia koniecznie muszę pojechać do Baden. Wody te mają pomódz mojej słabości, tak przynajmniej mówią doktorowie, ale mnie się zdaje, że tylko czas może mnie wyleczyć i niesłychanie umiarkowane życie. Nie są to suchoty; bo już od dwóch lat przeszło kaszlę prawie ciągle. Po kilkanaście razy w tym przeciągu miałem gwałtowne napady krwi, a jednakże nie umarłem jeszcze, więc musi to być słabość, która mnie się będzie trzymać do czasu, a potem sama opuści. Podług ostatniego listu Papy datowanego z dnia 4. Maja z Nowosiołek, musi teraz Papa znajdować się w Szczawnicy, może i cała familia tam się znajduje; lecz nie możemy sobie wytłumaczyć dla czego przez tak długi czas nie odebraliśmy żadnej wiadomości z Polanki, nawet Maurycy nie odebrał tego listu o którym Papa wspomina z Nowosiołek że osobno do niego pisze. Była téż dość głośna wieść, że wszystkim Polakom emigrantom kazano wyjechać z krajów austry-

jackich. Nie sędzę, aby ten rozkaz stósował się także i do Papy, gdyż w liście ostatnim z wielką pociechą wy-  
czytaliśmy, iż Papa uzyskał naturalizacją i wolność wy-  
jechania dla interesów za granicę, skoro tego będzie  
sobie życzył. Dotąd jeszcze jesteśmy razem z Maurycym,  
a nie wiem jak dalej będzie. Chciałbym żeby zemną po-  
jechał do Lyonu, zkąd alboby wrócił do Paryża, albo  
zemną pojechał do wód. Tam przez cały Wrzesień my-  
śle bawić, a na zimę wrócić do Avignon albo do Paryża.  
Ale to wszystko jest projekt, licznym zmianom może  
uledez; a czy można w naszym położeniu na coś stałego  
liczyć? Los Emigrantów tak zmienny, tak niestały, dziś  
tu, jutro tam, pojutrze znowu gdzieindziej; i lepiej jest  
z tém, bo w ustawnym ruchu, w ciągłych niepewnościach  
nie ma czasu ważyć i zastanawiać się nad ogromem nie-  
szczęścia które nas spotkało. Ale czyż my to pierwsi  
tułacze na świecie, małoż to królów pomazańców wałę-  
sało się po tym świecie, tak jak dziś Polacy? a może  
téz przyszłość ta, do której wzdychamy bliższa jest niżeli  
nam się zdaje! Dobrze tutaj jest, jeżeli dobrze być może  
na wygnaniu, ale lepiej byłoby w rodzinnym kraju, sto-  
kroć lepiej razem z osobami, do których przywykliśmy  
od dzieciństwa, bez których żyć trudno tak jak bez pó-  
wietrza! Człowiek młody na wygnaniu bez lat starzeje  
się. Słowo w słowo tak się dziać miało po rewolucyi  
Kościuszki. Cała arka rozbita zbiera się powoli we Fran-  
cyi, w Paryżu mało kto żyje z Polaków, wszystkich jest  
zaledwo kilkadziesiąt, i ci co są, myślą wyjechać na pro-  
wincję; bo Paryż cudne miasto, ale to miasto dla Emi-  
grantów, albo raczej dla każdego ubogiego człowieka  
jest najnudniejszą pustynią, a przydać do tego, że wła-  
dze zawsze się naprzykrzają i strzegą jak ludzi niebez-  
piecznych dla porządku publicznego. Więc lepiej sobie  
siedzieć na prowincyi i wyglądać cierpliwie końca. Ja  
jestem bardzo kontent, że z powodu tego rozkazu

opuszczenia Paryża, misja moja i urzędowanie się skończyło. Święte były słowa Papy w ostatnim liście, niejedną musiałem połknąć przykrość i niemało zażyłem trudu, a jednak nic nie dało się uczynić dobrego dla Emigracyi polskiej. W rządzie licznych przywar i zastarzałych nałogów najdobitniej wyraża się u nas choroba imion, Polacy zawsze zostawali pod magią imion, i teraz jeszcze nie są rozczarowanemi zupełnie. Wierzą w znakomite imiona, bo ci znakomici mężowie, co je noszą, nie przestają jasno tłumaczyć i dowodzić, że byli jacyś Jakóbini, co zgubili Polskę, że gdyby nie ci Jakóbini, i nie noc 15. Sierpnia, Moskale nie weszliby nigdy do Warszawy, nareszcie że gdyby ci Jakóbini nie odebrali im w kraju władzy, Polacy nie potrzebowaliby się tulać po całym świecie. Lecz nie dosyć tego co przeszło, starają się oni teraz wyperswadować całej Emigracyi, że nikt położenia ich nie polepszy tylko oni, że nikt Polski nie wskrzesi tylko oni. Lecz cóż to jest wskrzesić Polskę według nich? Oto ubłagać Mikołaja, aby raczył najłaskawiej przebaczyć wszystkie przestępstwa, bunty szaleńcze młodzieży niedoświadczonej zdziałane, aby powrócił osiem województw z konstytucją; ta jest meta, do której dążą, choć nader cicho i ostrożnie, aby się nie zdradzić. Czartoryski, którego charakter Papa tak cudnie skreślił w swoim liście, przesiaduje sam w Londynie, czasami tylko zjeżdża do Paryża. Wtenczas pokoje jego otwarte, życie wystawne, zabawy i wieczory sute. Każden ciekawy idzie po nowiny, i wychodzi obładowany najlepszymi na przyszłość widokami, najpiękniejszymi nadziejami. Żudzi, mami, mówi, że wszystko od niego zależy, że wszystko zrobi dla Polski, a rzeczywiście jemu o to idzie, aby we Francyi Emigracją rządził, a na ósmiu województwach został namiestnikiem. Kniaziewicz z Bemem gorliwie mu tu w Paryżu służyli, taili się oni ze wszystkim przed nami, i uwodzili wszelkiemi sztukami,

ale przekonawszy się, że ani arbitralnie rządzić, ani oszukać emigracyi niemożna, usunęli się od wszelkiego uczestnictwa w rzeczach dotyczących się dobra ogółu, i cały gniew swój wywierają na nas. To zdziałali w rządzie, że nam wyjechać z Paryża kazano. Mniejsza o to; ja o Paryż nie stoję, a wszyscy na tém zyskali, że przecie ten Kniaziewicz śmieszny sługa arystokratów, nadęty dumą i przesądami, przestał opiekować się sprawą, którą dawniej w Paryżu zgubił, a teraz chciałby jój jeszcze w tym samym Paryżu pogrzeb sprawić.

Mowa Fergusona w parlamencie angielskim, o której Papa musiał czytać w gazetach, niesłychanie nas wszystkich uradowała. Nie sama rzecz, bo któż chce myśleć o Polsce kongresowój, ale sposób wysmienity, w którym ta rzecz przełożona została. Pierwszy to głos publiczny za nami podniesiony w Europie, i to jak śmiało, z jaką dumą a pogardą dla cara! *Monstre à face humaine*, to były jego wyrazy. Za ten jeden tytuł powinien car wojnę wydać.

Tymczasem rząd francuzki bynajmniej nie naśladuje swojego sprzymierzeńca sąsiada, uciska jak może Emigracyą polską, jedynie dla przypodobania się temu carowi. Śmierć Periego w niczem nie polepszyła stanu naszego, a rewolucja piątego i szóstego pogorszyła go. O niczem też Polacy nie myślą i niczego więcej nie pragną, jak jakiego stanowczego poruszenia, czy to w kraju, czy za granicą, któreby pociągnęło zmianę systemu obecnego narodowego. Rząd chce formować legiony w Afryce, uczynił już prepozycje, ale żaden z oficerów polskich, tak mi się przynajmniej zdaje, służby w Afryce nie przyjmie. Mówią że będą gwałtem przymuszać, i żołnierzy już podobno porwali. Ale jest na to jedyny sposób wyjść z Francyi. Ale gdzie? na to trudno odpowiedzieć.

Wiadomości żądane w liście ostatnim względem Lubeckiego będą Papie nadesłane, toż samo lista szkoły

podchorążych, po którą do Avignonu i Besançonu posłałem, zkąd mnie także uwiadomią, kto żyje, a kto zginął. Bardzo to miło będzie moim dawnym kolegom, że taki znakomity historyk jak Papa o nich wspomni. Lecz także warte wspomnienia te osiem imion, którzy pierwsi zaprzysięgli Moskali wygnać z kraju. Nie jest to małe faktum, bo z tego małego związku utworzyła się konspiracja, a z konspiracyi rewolucja 29. Listopada. Imiona te są wspomniane w raporcie Wysockiego.

Co też Tymolek porabia? czy mu się niechce do Francyi? i radbym i nierad, żeby przyjeżdżał. Największa zawada jest ta mała gaża, z której niepodobna prawie się utrzymać. Podporucznik bierze na miesiąc czterdzieści kilka franków, wszyscy też podporucznicy w nędzy żyć muszą. Ale jeżeli nie osiądzie w Austrii, to cóż będzie robił? Czemu też nie napisze choć parę liter do nas? Od cioci Zosi spodziewaliśmy się bardzo długich i obszernych listów, zwłaszcza że ma o czém pisać, a tymczasem niema nic, C'est impitoyable!

Czytaliśmy z uciechą listy braci Januarka i Edwarda; ściskamy ich serdecznie, równie stryjenkę i stryja Alexandra. Ale ten Januarek co za flegmatyk! Od czasu jak w Zimnie koziołki razem wywracaliśmy, dopiero cztery wiersze do mnie napisał.

Pani Cieńskiej i całej szanownej rodzinie zasyłamy nasze uszanowanie. Oczekujemy z największą niecierpliwością na listy od Papy, Mamy, Cioci i t. d. kochający syn

*Kamil Mochnacki.*

**Kamil Mochnacki do Rodziców.**

Paryż, dnia 24. Lipca 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la  
Terasse Nr. 50.

*Najukochańsi Rodzice!*

Wydziwić się nie możemy, dla czego żadnego listu nie odbieramy, już blisko od trzech miesięcy! Z każdym dniem jesteśmy niespokojniejsi. W tych dniach dopiero oddano nam listy od Krzyżanowskiego i Łagowskiego, które jeszcze w Maju były pisane. Nie wiemy także czy nasz ostatni list doszedł do Polanki; nie wiemy zupełnie co się dzieje z naszymi w Polsce, co także w Galicyi, nawet nie jesteśmy pewni czy szanowna rodzina jeszcze znajduje się u pani Cieńskiej. W przeciwnym razie upraszamy najpokorniej ukochaną panią Cieńską o odesłanie tego listu do miejsca, w którym się familja nasza znajduje, i o pisanie do nas kilku liter, zawiadomających nas czy list przed dziesięciu dniami posłany doszedł, i co się dzieje z naszą rodziną? U nas nie dobrego nie słyhać. Czterysta kilkadziesiąt żołnierzy zaambarkowanych w Gdańsku, rząd francuzki przeznaczył do Algieru do legii cudzoziemskiej, którą tamże uformować zamierzył. Wydał także odezwę do oficerów naszych konsystujących po zakładach, aby kto chce ciągał się do téj legii. Usilne nasze starania i zabiegi zdziałały to, że dotąd jeszcze nikt nie przyjął służby w Afryce; lecz niewiadomo jak będzie dalej. Bo władze zęcnie po zakładach intrygują, osłabiają ducha i dwoją umysły. Tém łatwiej dojdą do celu, gdy w niektórych naszych znakomitych panach mają stronników gorliwie popierających zamiar wypędzenia nas do Afryki. Nie dosyć nikczemności ze strony rządu francuzkiego, potrzeba jeszcze, żeby i swoi w złośliwości swoich dusz pomagali nieprzyjaciołom do pogorszenia losu tułactwa. Względem

żołnierzy przeznaczonych do Algieru napisaliśmy petycją do ministrów, którą generałowie nasi im wręczyli. Ale w odpowiedzi odebraliśmy od ministra wojny te oświadczenie „Que la décision du Gouvernement à l'égard de refugies polonais soldats destinés pour Algerie ne peut pas changer.“ Zostaje jeszcze droga do króla, ale ten zapewne decyzji ministerstwa swego nie zmieni. Jest więc jedyna nadzieja w oczekiwanej zmianie systemu polityki gabinetu Tuileryjskiego, do czego go koniecznie powinna zmusić groźna postawa przymierza świętego, którego armie coraz bliżej mają się ku granicy Francji, które to przymierze już wyraźnie oświadczyło przez swój organ: sejm konfederacji niemieckiej, co myśli we względzie systemu dominującego we Francji. Nie znać wszakże w Paryżu, aby rząd przewidywał i lękał się wojny. Dziennik ministerialny, a szczególnie Monitor który jest najurzędowniejszy, ustawnie zbija wszystkie pogłoski rozchodzące się na wojnę, i zapewnia Francją że nigdy mniej nie było podobieństwa do wojny jak dzisiaj. Jeden Soult, który instynktowym sposobem poczuł Austryjaków i Prusaków, nie dowierza coś zapewnieniom pokoju, krzając się zaczyna koło siły zbrojnej, chce 400 batalionów gwardyi narodowej zmobilizować, i pod tym tylko warunkiem chce podobno zostać w ministerstwie. Mówią, że otrzyma dymisję.

Ja bawię dotąd w Paryżu, i zapewne dopóty będę bawił, dopóki nie będę mógł wyjechać do wód. Doktor dworu Baron Broussais wydał mi świadectwo, iż w mojej słabości nie byłbym w stanie odbyć podróży do Avignonu. Tém świadectwem zastawiam się przed policyją, która często nawiedza moje mieszkanie. Zapewniają nas także generałowie, że za pomocą tego świadectwa, ponieważ pan Broussais jest bardzo znakomitą personą, wyrobi odwołanie rozkazu ministerialnego. Takie odwołanie już zyskali wojewoda Ostrowski i Lelewel, z któ-

rego Emigracja jest coraz bardziej niekontenta, i słuszny jest pod tym względem sąd Emigracyi polskiej, bo nikt tyle nie zdepopularyzował nas we Francyi przez niestósowne użycie środków, jak Lelewel ze swoim komitetem. Lecz Lelewel nie chce w to wierzyć, i kto chce mieć w nim największego nieprzyjaciela, to niech mu powie, że jest lepszym antykwariuszem, profesorem jak politykiem. Z tego powodu mieliśmy nieszczęście wypaść z łaski szanownego Himcia. Przyjechał tu generał Chrzanowski, Bóg wie, z jakimi instrukcjami. Przyjęli go Polacy jak zasłużył, ma jednak przyjaciół. Niedawno generał Dębiński, Xenofont naszej rewolucyi, wystąpił publicznie w dziennikach z jego obroną. I powiedziałyby kto że w tym wieku już cuda się nie dzieją! Co też się z Tymolkiem dzieje? Jesteśmy wszakże pewni, że z Polski oddawna już wyjechał, gdyż tam wcale nie byłoby bezpiecznie dla niego siedzieć, po tych ukazach które obowiązują do wojska moskiewskiego, tych wszystkich dawnych wojskowych polskich, którzy przed rewolucją lat piętnaście nie wysłużyli, lub stopni oficerskich nie mieli. Prosimy o uwiadomienie nas najspieszniejsze o Tymoleonie. Posyłamy pismo wydane przez Michała Podczaszyńskiego dla użytku Emigracyi polskiej. Są w niem ważne wiadomości, i tém ważniejsze, że z akt urzędowych czerpane.

*Kamil Mochnacki.*

Z mojej strony zasyłam państwu zapewnienie, że ani jednej minuty nie ma w naszym życiu terażniejszym, w którembyśmy kochanych rodziców, i całej szanownej rodziny nie mieli w żywej pamięci. O listy prosimy, bo to jedyna pociecha emigrantów. Zapewne Papa musi się kąpać w tej porze. Ja także myślę Kamila do Baden wyprawiać, bo tego on potrzebuje. Proszę Papy, o przysłanie dalszych pamiętników, które będziemy drukowali.

Już od dwóch miesięcy żadnej nie mamy wiadomości z Polanki. Upraszamy o odesłanie załączonego listu do Józefa Krzyżanowskiego od jednego z jego przyjaciół, który lękając się go skompromitować, życzyłby sobie aby ten list przez okazyją mu był posłany, jeżeli to być może do rąk własnych oddany. Powiadają że listy do Krakowa pocztą przybyłe są otwierane.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Maurycy Mochnacki do Rodziców.**

Paryż, dnia 7. Sierpnia 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

List kochanej Mamy i Cioci z dnia 28. Lipca odebrałem dzisiaj, i odpisuję. Bogu dzięki, Kamil mój wyzdrowiał. Kiedy minęło niebezpieczeństwo, mogę Mamie teraz opisać jak było wielkie. Schudłem ze strachu; wszakto on kaszlał krwią przez tydzień cały, a przez miesiąc bez krwi, ale bardzo gwałtownie. Lecz dzisiaj jest zdrow, wesół, i pojutrze wyjeżdża do Baden, gdzie kąpać się będzie przez sześć tygodni. Jego słabość ten przynajmniej dobry skutek wzięła, że tytuniu nie pali, i że otrzymaliśmy obadwa od Souлта Permis de sejour w Paryżu z gażą, on dla bólu w piersiach, a zatem dla niemożności wyjechania do Avignon, a ja jako garde malade. Broussais, doktor Souлта, widział Kamila, i dał mu takie świadectwo, że zacny nasz i kochany generał Dwernicki, gdy się Soult oddalił na kilkanaście dni z Paryża, wyjednał nam u Rygniego który go zastępował, Permis de sejour. Dwernicki nie tylko jest wielkim wojownikiem Polski, ale najlepszym, najgodniejszym szacunku człowiekiem w prywatnych stósunkach. Niechaj to Mama rozpowie w Galicyi, że Emigracja w nim je-

dnym tylko ma rzetelnego opiekuna. Kamil jako major bierze 100 franków; ja jako porucznik mam 60 franków na miesiąc. C'est pour tant quelque chose, choć mało, ale to jest stała. Taki jest stan naszych interesów. Niezmiernie się cieszę że Tymolek jest w Galicyi. Biedny chłopiec musi się bardzo martwić że nie może być z nami. Ale ja mu po bratersku radzę, niechaj nie myśli o Francyi. Nie wszystko dobre co daleko, a doświadczenie nasze niech mu służy za naukę; że największe nieszczęście jest być wygnańcem między obcymi. Niemasz żadnej perspektywy dla Polaków we Francyi; rozproszą się, bo po roku zabraknie funduszów. Rząd się z tém nie tai, że tylko do roku codziennie po 6000 franków na Emigracyą Polską wydawać będzie, a potem przymusi ją do służenia w Legii Zagranicznej w Algierze. Jabym umarł ze zgryzoty, gdyby to którego z braci moich spotkać miało, bo ja wiem co to jest Legia Zagraniczna i wiem co jest afrykańskie niebo. Dzisiaj w naszych Depot nic niema prócz samych plotek, pojedynków i niedostatku. Niedawno Szlegla zabito, jednego z najdzielniejszych oficerów. Czy niema sposobu dostania z Polski całego dziennika rewolucyjnego: Dziennika Powszechnego? Bez tego pismo moje z druku wyjść nie może. — Tak mię nudzą niezgody między Polakami, że nie o tych komerażach nie napiszę; powiem tylko, że Lelewel jest wszystkich plotek źródłem, jak i był. Łatwiej z każdą koteryą jak z jego stronnikami. Proszę Papy o dalszy ciąg manuskryptu, przerwanego w liście z miesiąca Maja. — Niechaj Mama będzie łaskawa uwiadomić mię, czy doszła do Polanki książka o Literaturze Polskiej, z przypisem moim do Pani Cieński. Ja i Kamil nigdy nie przestaniemy dziękować niebu, że dla Mamy naszej w tak zacnym domu u tak dobrej siostry, a tak kochanej kuzyny, schronienie przeznaczyło. Proszę Mamy, niechaj ta ciotka nasza to wie od Mamy, że obok

wdzięczności dozgonnej za przytułek dla rodziny przesładowanej od losu, mamy obydwaj największą admiracją dla jej cnót tak rzadkich, tak niepojętych w czasach powszechnego egoizmu na świecie. Wszystko co Mama pisze o cioci Cieńskiej, takie czyni mi o jej charakterze wyobrażenie, że prawdziwie nie widzieć mamy i nie móżd ustnie wyrazić co czujemy dla tej, która jest teraz aniołem naszej Mamy, jest dla nas równem nieszczęściem. Niechaj jej to Mama wszystko powie i zarazem odda list, który tu do niej osobno załączamy, i niech Mama podziękuje za łaskawą pamięć o nas.

Je m'en vais vous dire, chère Maman, que je me suis réconcilié avec tout le monde ici exépté Lelewel, personne ne me garde aucune, pas même le Prince Adam Czartoryski, qui avec toutes ses faiblesses politiques est encore plus traitable, que ce pedant de docteur, qui au lieu d'agir dans le vrai internet de l'émigration ne fait qu'embrouiller les idées et rendre notre position de plus en plus hostile vis-à-vis du gouvernement, par ses miseries. — Si on a de la confiance en lui chez vous en Galicie on à tort. Ses beaux jours sont passés, il ne lui reste qu'une morgue insupportable, une humeur acuriâtre, et tous les défauts d'une ambition personnelle mal dégnisée, et service chez nous plus mal encore. Lelewel est ici ce qu'il avait été à Varsovie, un adversaire russe de tout ce qui ne peut lui servir d'instrument. Il veut être le premier personnage de l'émigration. — Pour faire se personnage il employe toutes les moiens même les plus abjects. Il ne se lasse nullement d'egarer le jugement de nos jeunes gents aux dépôts. Il espere de devenir le président du Conseil de nos réfugiés. Mais il ne réussira pas. Le Comité qu'il préside actuellement nous à fait trop de mal, pour que cela puisse demeruer comme eu. C'est ce que je peut vous predir chère Maman. C'est que je n'aurai pas

d'ennemie plus acharné, plus implacable que lui, si la Pologne renaîtra un jour. Nous venons de l'apprendre qu'il exerce une certaine influence dans plusieurs parties de la Pologne le serait fâcheux. Il s'entourera des personnes, qui le flattent qui n'ont rien faits pour la Pologne. — Comme je lui parle toujours sans détour: il comencé a me haïr et a me dénigrer. Il a fait imprimer par ses agens des bien vilaines choses ici et en Allemagne sur mon compte. Je suis sûr qu'il fera parler mal de moi et de Camil chez vous en Galicie. — Si cela arrive jusqu'a vous Maman, il est important que vous sachiez d'ou partira le coup. Je ne manquerai pas de vous envoyer si l'occasion se présentera les brochures qu'on publie ici. De la reste tout va assez bien et si nous parviendront à déjouer les petites intrigues de Lelewel, nos ne serons que mieux encore. Votre Niece, ma très chère Maman, est une personne extrêmement aimable. J'ai regret de n'avoir pas en le bonheur de la connaître en Pologne. C'est encore un motif de plus de desirer le prompt rétablissement de notre patrie. Dites Maman à Mademoiselle Zenon, que nous proscrits nous sommes infiniment sensibles a l'honneur qu'elle nous a fait en nous adressant quelques petits mots. — L'éloge quelle a fait de mon ouvrage est plus beau, que le livre que j'avais écrit, quand je n'avais rien mieux à faire. C'est plus que je n'avais pas mérité. Enfin je vois ma très chère Mère, que vous vous trouvez au sein de la plus aimable de toutes les sociétés, au sein d'une famille qui vous aime jusqu'a s'intéresser au sort de vos enfants, qui errent dans le monde. Dites Maman aussi à notre très chère tante Sophie, que dans la journée il y a toujours de moments, que nous consacrons à elle, uniquement à elle, et qu'après avoir vu tant de monde, nous n'avions jamais recontrai une personne qui lui soit comparable, pour la bonté du coeur, pour la

douceur du caractère, pour l'agrément des manières et la culture d'esprit. Je donnerai, je ne sais quoi? pour pouvoir la voir et vous Maman à ce moments. J'aurais mille choses à vous dire, en attendant je veux rever cette entrevue; il est impossible que je ne soit avec le temps un peu plus riche, que je ne le suis aprésent, si mes affaires ainsi que je l'éspera iront mieux cet hiver. Alors je n'irais pas, je ne partirai pas. Mais je m'envolerai pour vous voir, pour passer quelques moments avec vous, et puis pour retourner en France. Ces instantes seront le plus précieux de ma vie. Il y a une place, un vide immense dans le coeur humain, que rien au monde ne peut remplir, que la maison des parents; que l'affection d'une mère comme Vous chère Maman; comme les regards d'un père comme notre cher Papa, que Dieu nous à donné, sans doute pour nous faire oublier l'horreur de notre position, et de la solitude au milieu de la foule. Qui osera nous dire que nous ne sommes de Anachoretés sans vous? Quel autre lieu nous ratache à se monde, qui est cependent ci grand, si magnifique et si plein de vie? — Je laisse à Camille le soin d'achever cette lettre.

*Maurice Mochnacki.*

NB. Dla czego Nastasia umarła? Co Klementyna<sup>1)</sup> robi? Dla Boga, po co ona siedzi w Warszawie? Wolałbym ją widzieć umarłą, jak w tém mieście. Ztąd nic dobrego nie wyniknie. Moja najdroższa Olimpio<sup>2)</sup>, tyle razy Ciebie całuję, ile jest liter w twoim krótkim liście. Pewnie żałujesz że mnie niema, bo nie masz się na kogo gniewać.

<sup>1)</sup> Siostra.

<sup>2)</sup> Także siostra młodsza.

### Kamil Mochnacki do Rodziców.

Jestem na wyjeźdném. — Wody, które mają dokończyć moją kuracyą, leżą w księstwie Badeńskim w Niemczech. Wszyscy powszechnie doktorowie przepisują mi te wody za jedyny środek odzyskania zupełnego zdrowia. Skoro przyjadę na miejsce, natychmiast będę pisał do najukochańszej Mamy i uwiadomię jak adresować i w które miejsce, bo teraz sam nie wiem jeszcze, która będzie najbliższa poczta od moich kąpiel. — Wyjeżdżam z Paryża na te kilka tygodni z największą uciechą i nigdy bym tam nie powrócił, gdyby to odemnie zależało, gdyby Maurycego zatrudnienia literackie nie zatrzymywały go koniecznie w tém mieście. Lelewel ze swoim orszakiem jest prawdziwą przyczyną wszystkich niepokojów, wszystkich rozdwojeń, które dla emigracyi naszej są zgubniejsze, niżeli wszystkie przykrości tułactwa. Chce koniecznie, aby świat w nim uznał pierwszą osobę rewolucyi, choć do tego żadnego nie ma prawa. Otoczył się ludźmi, którzy mu służą za narzędzia do zawracania głowy naszej walecznej młodzieży. Szerzy pomiędzy niemi opinie niestósowne, ani do miejsca, ani do czasu. Jest dla nich rewolucyjnym w całym znaczeniu tego słowa. Sto razy jest rewolucyjniejszym, aniżeli był w rewolucyi. Utrzymuje w ciągłej nienawiści przez podszepty i plotki jednych względem drugich, zawsze to mając na względzie, że gdzie dwóch walczy, tam trzeci zyskać musi, a przy tém wszystkiém jest zawsze tak pokorny, tak potulny, ustawnie biedujący, lamentujący, że nazwano go tutaj Jezusem Litewskim. Nie poczuwa się nigdy do złego i jest nakształt un renard modeste et honteux qu'une poule aurais pris. Pan Januszkiewicz o którego Mama w ostatnim liście tak się dopytuje, jest jednym z najgorliwszych agentów Lelewela. Pan Januszkiewicz postrzegłszy, że ja, jako pełnomocnik moich

kolegów w Avignonie mieszkających, mam najłatwiejszy sposób oświecenia ich w względzie chytrój polityki Lelewela, starał się wszelkimi sposobami zgubić mnie w ich opinii, a nie znajdując prawdy, kłamał bez litości. Lecz ten spór nie wyszedł mu na dobre. Rada w Avignon przekonawszy się, że pan Januszkiewicz rozsiewał bajki dla swoich własnych widoków i widoków Lelewela, złożyła sąd na niego, który pana Januszkiewicza publicznie mianował potwarcą. Z tych to zapewne przyczyn pan Januszkiewicz w swoich listach do pani Larysse nie wspomina nigdy o nas, i dobrze robi; ja mu tego za złe nie biorę. Otóż to takie, kochana Mamo, są roskosze na wygnaniu. Zazdrościmy tym naszym rodakom, którzy po stracie ojczyzny w gościnnych domach w Galicyi znaleźli schronienie i pociechę w dobrych sercach naszych ziomków Galicyanów. Zazdrościmy po tysiąc razy Mamie i Cioci Zosi pobytu w domu najukochańszej Cioci Cieńskiej, a dobrego serca w tym czasie zepsucia i egoizmu nigdy dostatecznie nie możemy ocenić. Wieleż to razy obadwa z Maurycem przenosimy się w tę szczęśliwą przyszłość, kiedy będziemy mogli osobiście wynurzyć to wszystko, co czujemy dla téj nieocenionej Cioci i stopki jej po tysiąc razy ucałować za przechówek udzielony Mamie w nieszczęściu; a jej córka, kuzyna Zenonka, cóż to za dobroć, jakże miłe wyrażenie się w przypiskach do ludzi nieznanym, którzy na takie względy nigdy sobie nie zasłużyli. — Proszę Mamy i Cioci Zosi utrzymywać w téj opinii Ciotkę Cieńską i jej córkę Zenonkę, że my nie jesteśmy tak źli jak o nas złośliwi ludzie i nieprzyjaciele rozsiewają w kraju i za granicą, i że wdzięczność uważamy za najpierwszą cnotę.

Więc Tymolek uszedł przecie szczęśliwie ze szponów drapieżnych cara. Chwała Bogu! Lękałem się tego bardzo. Na nieszczęście nie tak prędko z nim będziemy się mogli połączyć; pod tym względem niechaj zupełnie na

mnie się spuści, ja najlepiej będę wiedział kiedy go tu ściągnąć. Teraz to w żaden sposób nie może nastąpić; bo prawie niepodobna utrzymać się z pensyi przywiązanej do jego stopnia. Zapewniam go wszakże, że przy każdej formacyi legionów polskich nie zapomnę o nim i dla niego o miejsce niezawodnie się postaram. Będę to mógł zrobić, ponieważż generał Dwernicki, który w emigracyi najpierwsze trzyma miejsce, jest z wielką ku nam przychylnością, nie jedną już zrobił nam przysługę i zapewne jeszcze nie jedną zrobi. Nic Mama nie pisze o zdrowiu Papy. Czy jeszcze kaszli? i jak mu pomagają wody szczawnickie. Czy już zapomniał zupełnie o projekcie odwiedzenia Francyi na jesień. Za wielkie to szczęście żeby nas tak łatwo spotkać mogło.

Przepędzę teraz bardzo przyjemnych kilka tygodni u wód. Miejsce ma być bardzo mile. Mieszkańcy życzliwi. Liczne zgromadzenie przybywających do wód. O niczém tam myśleć nie będę tylko o Polsce i o Szczawnicach. Nie wiem czy nasz list ostatni datowany 25. Lipca z trzema numerami pisma wydawanego przez Michała Podczaszyńskiego doszedł do Polanki. Jak się dowiemy że doszedł, pošemy dalsze numera; bo nie chcemy na darmo posyłać. Olimpię ściskam serdecznie.

*Kamil Mochnacki.*

Jako przytomny téj korespondencyi i wspólnie dzielący nas terażniejszy wojaż z synami Pani Dobrodziejki, mam za największą przyjemność złożyć jój moje uszanowanie wraz z moją córką. Żona moja z córką jest w Poznaniu.

*Józef Borzęcki, Pułkownik.*

### Maurycy Mochnacki do matki.

Montmorency, Eaux bonnes, dnia 20. Sierpnia r. 1832.

Nie z Paryża piszę do Mamy, ale z miejsca, gdzie Rousseau dziewięć lat mieszkał. Kamil nie mógł wytrzymać drogi do Baden<sup>1)</sup> i z Chalons o 40 mil od Paryża wrócił. Podróż delizanssem jest niezmiernie gwałtowna. Jazda prędką, prawie bez odpoczynku dzień i noc, słabowitym nie służy. Wreszcie w Szampanii, którą przejeżdżać trzeba, jest tak zwany proch żółty, la poussier jaune, od którego konie w powozach padają. Bardzo to Kamilowi zaszkodziło. Zaczął znowu krwią kaszleć i według rady doktora z Chalons powrócił do Paryża czwartego dnia po swoim odjeździe. Lecz że powietrze w Paryżu jest zbyt ciężkie, więc uradziliśmy by mieszkał parę miesięcy na wsi, kiedy się do Baden dostać nie mógł. Teraz tedy znajduje się on w Montmorency a raczej Eaux bonnes, jedną milę od Montmorency a 5 mil od Paryża. Ja go czasem odwiedzam, bo codziennie kilka publicznych powozów idzie z Paryża do Montmorency i wraca. Jest to prześliczne miejsce, powietrze szczególniejsze i zawsze wiosenne. Kamil uczuł tu znaczną ulgę w piersiach i już nie kaszli i na osłach jeździ. I ja także pokochałem to niewinne a bardzo pocziwe stworzenie. Lecz wystaw sobie Mama, że i nasz pocziwy Longin Michał wsiada na osła i razem z nami po górach tutejszych wojażuje. Jest modą jeździć na osłach w Montmorency. Mnóstwo kobiet, mnóstwo elegantów paryzkich przybywa tu codziennie, i wyszedłszy z pojazdów, siada natychmiast na osłów. Z Paryża w półtora godziny za 30 sous mogę się dostać do Montmorency, więc często się widuję z Kamilem. Codziennie wieczorem w tej wiosce zbierają się chłopcy, dojrzały ludzie, dziewczęta,

<sup>1)</sup> Dla chorujących na piersi niestosowne są kąpiele w Baden.

matrony i tańczą przy odgłosie muzyki umieszczonej na rusztowaniu, albo raczej na galeryi okrytej dachem. Taniec zawsze jednakowy jak był przed wiekiem kadryl. Nic zabawniejszego jak widzieć te wszystkie dos à dos, chasses, wykonywane przez najstarszych i najmłodszych ludzi. Czasem tylko galopada przerywa monotonią tego narodowego tańca.

Michał Podczaszyński dziękuje Mamie za pamięć o sobie; napisze sam do Mamy. Teraz jest bardzo zatrudniony, został bowiem dziennikarzem emigracyi. Posyłam wyjątek z jednego numeru jego pisma, gdzie umieściłem list do Hubego w materyi pisma w karmelickim klasztorze. Przekonasz się Mama, że obmowa, komeraże nie ucichły z upadkiem narodowej sprawy. Czy kochany nasz Papa kąpie się ciągle w Szczawnicy? Czy długo tam będzie bawić? Czy jest zdrowszy? O tém niech Mama będzie łaskawa napisać szeroko. Czy pan Jan Henryk S. długo jeszcze zabawi w Tręczynie? Pismo, które Podczaszyński wydaje, całe będzie w Galicyi. Wtenczas wszystkie numera dojdą do Polanki. Mamy więc we Francyi Polskę en abregée, której polityczne interesa Dziennik ten i sławę i plotki wyraża. Dziś z Montmorency wracam do Paryża, żałuję bardzo, że tu ciągle z Kamilem bawić nie mogę. Widziałem tu Èrémitage Roussa: dwa małe pokoiki, gdzie przez dziewięć lat mieszkał, stolik przy którym pisał swoją Heloizę i Emila, lampę, którą zapalał w ogrodzie, szczątki łóżka, na którym sypiał. Te pamiątki dziwne wrażenie czynią. Jak teraz cicho w mieszkaniu ubogiego filozofa poety, który tyle hałasu narobił. Jak ta Francya jest zachwycająca na wsi, może jeszcze piękniejsza jak w Paryżu, chociaż powinniśmy przestać ludzię się nadzieją, że ztąd coś dla Polski wyniknie.

*Maurice M.*

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. JANA ZAMOŚCIE  
w Zamościu.

## Kamil Mochnacki kończy ten list.

### *Najkochańsza Mamo!*

Od czasu jak oddycham powietrzem wiejskiem, tak zdrowie moje się polepsza i piersi tak się znacznie wzmacniają, iż zupełnie nie powątpiewam o zupełnem przyjsciu do zdrowia, co może jeszcze przed zimą nastąpi. Tu dopiero najlepiej przekonany jestem o różnicy klimatu Francyi i Polski. Dnie schodzą najmiliej na przechadzkach, na czytaniu książek i na rozpamiętywaniu różnych pomyślnych i niepomyślnych okoliczności. Do tych przyjemności, których prawdziwie po rozłączeniu się z rodzicami i po upadku kraju, pierwszy raz doświadczam, nie mi już nie braknie, tylko mojej Mamy, Papy, Cioci i całej rodziny, która myśl moją i serce jedynie zaprzęta po całych dniach i nocach. Listy z Polanki są bardzo rzadkie. Nie wiemy o Papie od 4. Maja, o jego zdrowiu, o jego planach na przyszłą zimę. Spodziewamy się, że o tém wszystkiem dostateczne odbierzemy objaśnienie wkrótce, a tymczasem prosimy przyjąć zapewnienie naszego najszczerzego synowskiego przywiązania.

*Kamil Mochnacki.*

## Michał Podczaszyński do matki Maurycego.

9. Września 1832.

### *Kochana Pani!*

Wiele dziwnych rzeczy slyszalem i czytalem, ale nie mnie tak nie zadziwilo, jak powatpiewanie w liście Pani i Panny Zofii, czy może z Maurycem nie zadarliśmy kozła. Wiesz Pani, że nawet w małżeństwie, które jest

WARSZAWA  
BIBLIOTEKA  
M. J. PIŁA  
WARSZAWA

zwykle wzorem jedności, zachodzą czasem nieporozumienia, a cóż dopiero w przyjaźni? Lecz my z Maurycem zawsze jesteśmy na dawniej stopie, a jeżeli gniewamy się, to jest, jeżeli ja się gniewam, nie trwa to dłużej nad 4, 5, a najdłużej 6 minut. Potem już starsi jesteśmy jakżeśmy byli, a w myślach naszych daleko więcej mamy zbliżone wyobrażenia jak dawniej. Dawniej kochałem Maurycego, dziś go jeszcze więcej Kocham i szacuję. Kamil był wtenczas dzieckiem. Dziś Kamil, pan major, ma więcej taktu w głowie jak my obadwa. Że nie mieszkamy w jednym domu, to pochodzi z tego, że ja nie chcę opuszczać choć lichego domu i lichego gospodarstwa, bo od czterech lat tam mieszkam, bo dla mnie mają szczególniejsze względy, bom przywykł jak do złej żony, bo wreszcie mogę przez rok mieszkać na kredyt. Maurycy i Kamil nie znajdując się w tych samych okolicznościach, wynieśli się na lepszą ulicę, gdzie w porządniejszym sto razy domu, mniej płacą za piękne pokoje. Próżne były rady, prośby i groźby Maurycego, przykrém doświadczeniem nauczyłem się szanować dawny kredyt, a że nie jestem w stanie zacząć pracować gdzieindziej na nowy, wolę codzień o milę do Maurycego chodzić, jak opuścić mój stary kącik. Wydaję pismo, a w każdym prawie jego numerze umieszczam artykuły Maurycego, co dostatecznym jest dowodem, że się z sobą nie gniewamy. Potem coby mi przyszło z gniewu; tyle razy byłem zwiedziony w przyjaźni, że gdyby nie Maurycy, powiedziałbym że jój nie masz i że jój nie może być na świecie. Zerwać mogę stosunki z takimi tylko przyjacielami, którzy do Maurycego nie chcą być podobni w tej mierze. Słowem Maurycek mój jest bardzo ważną figurą w mojem życiu, a tak go Kocham jak jeszcze nikogo. Nie mam ani rodziców ani rodziny, ani żony ani kochanki, bo jak żyję się nie kochałem, a na starość z łysiną zapóźno już o tém myśleć. Przyjaciele

mnie zdradzali zawsze i zawodzili, korzystali z mojej dobroduszości i ludzie mi zbrzydli. Przed przyjazdem Maurycego, słowo daję, że improwizowałem sobie przyjaciół, wmawiając w nich przymioty, których nie mieli. Jakże mi musi być bolesno czytać w listach z Polanki powątpiewanie o mojej dla Maurycego przyjaźni. Dla Maurycego, który podobno prędkiej mnie pochowa jak mnie zobaczy dla siebie obojętnym. Z Lelewelem inaczej się rzeczy mają. Nie był on moim przyjacielem ale bożyszczem (idole), o tyle go kochałem o ile wielbiłem w nim wielkość. Ale w emigracyi przekonałem się czém on jest; teraz zwłaszcza tak się zepsuł, że ani cienia dawnego charakteru, dawnego rozumu w nim nie masz. Nie przewiduje nigdy jutra, i tak stracił rozsądek, że nawet dla własnego interesu nie chce zmodyfikować swojej konduity. Bóg moim świadkiem, że mi ten człowiek nic złego nie zrobił, i że bynajmniej przez moje usta nie przemawia osobista uraza. Moja niechęć ku niemu wszczęła się w Metz przez korespondencye, kiedy wiernie i szczerze pracując dla sprawy ogółu, postrzegłem że Lelewel w urzędowych działaniach swoich wbrew interesowi ogółu działa i nie chce służyć emigracyi, ale raczej żąda, aby ona jemu służyła. Nie będę tu wyliczał jego grzechów, bo o tém w swoim czasie z dowodami w rękę historycznie rzecz wyłożymy, a tu miejsca na to niema. Z Metz mu najostrzejsze urzędowe listy pisałem. Przyjechawszy do Paryża, chciałem go objaśnić, sądząc że błędzi, że w imię ojczyzny da się przekonać; lecz nietylko to skutku pożądanego nie sprawiło, ale go obraziło do najwyższego stopnia. Lelewel stał się moim nieprzyjacielem. Urząd Kamila jako Delegowanego z Avignonu, dał mi jeszcze lepiej poznać Lelewela, tak, że mogę zaręczyć, że jeżeli są niezgody i nieporozumienia w Emigracyi, Lelewel do nich nie mało się przyczynia. Nie wiem czy takim był w rewolucyi; to jednak pewno, że się zupełnie

odmienił, z powolnego, wyrozumiałego, stał się fanatykiem zapalonym, co moment w ferwor niezwykle sobie wpada, unosi się, nie daje sobie słowa powiedzieć; ślepy jest i nie widzi, że go namiętności w prawdziwym świetle ludziom okazują. Derezonuje, bredzi, bluźni, a zawsze we własnym interesie. Wychudł, wybladł, oczy ma dwa razy większe jak miał krwią zalane; chorował niedawno, żółcią womitował. — Niemasz już miejsca pisać w tym liście, całuję więc rączki kochanej Pani — jako syn, jako brat Maurycego. — Proszę mi nie odmawiać drogiego imienia Matki.

*Michał Podczaszyński.*

**Nota.**

Poginęły listy poprzednie z Sierpnia, opisujące wypadek osłabienia Kamila, jadącego do Baden, który tak strasznego dostał ataku krwioplucia, że go bez przytomności przywieźli z Chalou do Paryża, list o tém sam biedak pisał swoją własną ręką do Matki. Charakter zwykle humorystyczny Michała Podczaszyńskiego, w jego ostatnim liście dowodzi także zmianę w jego zdrowiu. W rzeczy samęj tetryczał coraz bardziej, jako téż w roku 1835. w miesiącu Lipcu po długiej chorobie w suchotach on trzeci po Kamilu i Maurycem zakończył życie.

*Marya M.*

### Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, 16. Września 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terrasse Nr. 50.

*Kochany Papo!*

Pospieszam z odpowiedzią na list Papy z daty 27. Sierpnia z Szczawnicy, który mnie wraz z listem naszego kochanego i nieocenionego Józefa Krzyżanowskiego doszedł. Obadwa z Kamilem uczyniliśmy tę uwagę, że w powodzeniu o przyjaciół nie trudno; ale szczęśliwy, komu los nadarzy mieć takiego przyjaciela w rozbięciu zwłaszcza powszechném. Cieszy mię pewność otrzymania funduszu na druk mojego pisma o rewolucyi, nad którym od przybycia do Francyi ciągle pracowałem. W innym czasie staranoby się o człowieka, mogącego zdać sprawę narodowi z tego, co naród uczynił w jednej z najważniejszych epok swego bytu; dzisiaj, aby to przekazać potomnej pamięci w prawdziwém świetle, trzeba niemal wpraszać się i narzucać; tak jakby wielu było konkurentów. Powiedział Sallustiusz: „Nie wiedzieć co trudniej, czy działać, czy opisać co się stało.“ Nikt mniej nie dba o własną sławę jak Polacy. Dopuszczają żeby cudzoziemcy z podmuchów albo domowych fakejonistów, albo z wrogów zewnętrznych, opacznie wystawiali naszą sprawę; a rodakowi, któryby gruntownie starał się zbadać i wyłożyć rzecz jaśnie, żalują lichego wsparcia, żeby dzieło tak potrzebne dla kraju mógł ogłosić. Wierz mi Papa, że ta materya rozżaliła mię do najwyższego stopnia. Kogo tylko z możniejszych Polaków spotkałem za granicą, każdemu niemal czynilem propozycyę, aby się przyłożył do edycyi mojego pisma; każdy chciał się podjąć bez wyjątku, ale z warunkiem, żeby to co wyjdzie, jemu pochlebiało. Cóżby na tém zyskała prawda? Potworyczy czyli towarzystwa niby literackie, mają fundusz

i pretensye do pisania historyi; lecz cóż napisali? Jedni drukują paszkwile, drudzy panegiryki, każdy — *pro domo sua*, albo płacą obcych bazgraczy w Niemczech i Anglii.

W ostatnim liście swoim piszesz mi Papa o 3000 złotych polskich. To nie mała różnica! Manuskrypt mój urosł do wielkości ogromu. Polaków drukarzy w Paryżu nie masz. Francuzi składając text obcy, daleko drożej płacić sobie każą niżeli zwyczajnie. Księgarstwo podpadło; w miarę bankructwa tylu entrepreneurów wszystko podrożało. Jakożkolwiek bądź, podejmują się wydrukować dzieło moje w Paryżu, ale za trzy tysiące franków, nie zaś za trzy tysiące złotych polskich. I tak nie obejdzie się jeszcze bez zaciągnięcia długu w drukarni, który mi jednak przyjdzie łatwo zapłacić, bo jestem pewny, że całą edycyę w lot rozkupią Polacy. Nie masz familii, którójby to dzieło nie interesowało, nie masz miejsca w całej Polsce, gdzieby go przemysł księgarski nie dostawił. Od momentu jak otrzymam wexel na rzeczoną summę, dzieło wyjdzie za 8 najdalej 10 tygodni. Transport jego do Galicyi, to jest: do Lwowa, odbędzie się z łatwością, za pośrednictwem tych samych komunikacyi, które zwykle dotąd podobne komunikacye ułatwiają. Główny skład Kuna i Milikowskiego. Dołożę wszelkiego starania, żeby edycya była bardzo porządna, ale przez wzgląd na ułatwienie transportu, dalej na zmniejszenie wydatków na papier, druk będzie bardzo drobny i skoncentrowany. Zawsze proszę Papy, żeby dla słabego wzroku, tego pisma sam nie czytał, ale mocniejszym oczom czytać je sobie kazał. Za jaką cenę egzemplarze sprzedawane być mają, później to z sobą ułożymy, mała być nie może.

Co do wydania téj historyi w języku francuzkim, rzecz ta pójdzie swoim trybem. Tłumaczę i w Anglii mój rękopism; żeby go nie skrzywdzono, sam pojedę w tym

albo w przyszłym miesiącu do Londynu. W piśmie mojem jest wstęp obszerny, poświęcony polityce Carskiego Sioła. Ta materya Anglików najwięcej interesuje. Jeżeli mi się powiodą moje muzykalne spekulacye w Londynie, będę mógł wydać w języku angielskim ważną rzecz pod tym względem dla sprawy polskiej.

Opinie moje bardzo wielu mają przeciwników. Nie wszystkim miło będzie czytać obraz kreślony przez świadka, który sam na wszystko patrzył, a w najważniejszych epokach był czynnym. Z tej przyczyny sama roztropność radzi nie rozgłaszać przed czasem, że ma wyjść pismo moje; wszakże z obawy, żeby po francuzku nie wyszło, nie jeden raz, ale kilka starano mi się nawet za pośrednictwem rządu francuzkiego pobyt w Paryżu uczynić niepodobnym. Trzy razy kommissarz policji du quartier de Tuillerie, gdzie mieszkam, przyniósł nam rozkaz ministryalny opuszczenia stolicy w 48 godzin. Ten rygor był wymierzony naprzeciw historykowi narodowego powstania, z podszeptu takich ludzi, którzy mi w oczy tysiąc grzeczności prawią, a w duchu najgorzej życzą. Nie chcę do żadnej koteryi należeć, więc wszystkie w całej emigracyi mam przeciwko sobie. Ale czyżbym mógł być bezstronnym w całym mojem dziele, gdybym nie stanął na punkcie, z którego wszystkie opinie widzieć można, nie dzieląc żadnej? Co innego działać, co innego pisać; w działaniu trzeba być koniecznie w jakiejś partyi, bo trzeba siły i wpływu, w opisywaniu trzeba być nad wszystkimi partyami, żeby zachować zimną krew i flegmę historyczną. Proszę Papy zalecić mnie szanownemu panu Boguszowi, i zapewnić o mojej wdzięczności. Czyn jego jak przyjdzie do skutku, będzie czynnem prawdziwie obywatelskim. Przyłożyć się do wyjaśnienia prawdy dotyczącej ostatniego powstania narodowego przez ułatwienie druku dzieła jedynie prawdę mającego na celu, jest to zapobiedz fałszom, które ją każą

dzisiaj; a gdyby nie zostały wyświecone, skaląby ją może na długi czas. Nie bez obawy naprzykrzam się kochanemu Papię i ponawiam prośbę o Dziennik powszechny od początku rewolucyi aż do wzięcia Warszawy. Niechaj kosztuje co chce transport, pismo to *koniecznie* mieć muszę. Potrzebne mi jest pour les pièces justificatives. Wyjątki jakie raz odebrałem, nie zaspokoją tój potrzeby. Roulażem możnaby go wyprawić ze Lwowa albo z Krakowa pod adresem do nas, jak zwyczajnie: a Monsieur Maurice Kamil.

Przypominam także obietnicę co do dalszego ciągu uwag Papy względem rewolucyi naszój, dzisiaj z nich korzystam, później oddzielnie wydrukuję i poszlę do Galicyi. Ostatni półarkuszek Papy zawiera charakterystykę rządu kongresowój Polski. Papię przyrzekł dalszy ciąg administracyi Lubeckiego i charakterystykę figur rewolucyjnych. Z niecierpliwością tego oczekuję.

Kamil z Eaux-bonnes, 5 mil od Paryża pod Montmorency, gdzie już cały miesiąc przebywa, wróci pierwszego Października do Paryża. Wyszedł wprawdzie z niebezpieczeństwa, ale zupełnego zdrowia jeszcze nie odzyskał. — Tymoleon niechaj będzie cierpliwy, niechaj się powoli uczy języka francuzkiego. Niezadługo, tego niemal pewny jestem, tak się obróćą interesa nasze prywatne (o emigracyjnych nie ma co i wspominać), że z największą przyjemnością dla nas, a z wielkim pożytkiem dla niego, będziemy mogli, nie mówię wezwać kochanego braciszka listownie, ale może nawet sami pojechać po niego; a przynajmniej, że to jeden z nas będzie mógł uczynić. Lecz dzisiaj, dzisiaj, z żalem to piszę, to być nie może. Do przyszłój wiosny, może do połowy zimy. Wszystko to zależy od mojej wycieczki do Londynu. Jeżeli wrócę z funtami szterlingami, Tymoleon będzie w Paryżu, gdyby w tym czasie poduczył się języka. Znam ja generała Peltier w Metz; tam doskonała

szkoła wojskowa, możeby mi się udało tam go uplacować. Pobyt Tymoleona we Francyi koniecznie musi być poświęcony nauce; próżnować on w zakładzie nie powinien, gdyżby był tak nieszczęśliwy, iżby, jak tylu naszych współbraci, zlorzeczył tylko losowi. Wieluż to Polaków z Francyi wraca do kraju! Od Nowego Roku nikomu żołdu płacić nie będą. Cóż się stanie z nami? Pójdziem w ostatnią rozsypkę!! Będzie nas pełno we wszystkich częściach świata. Zgroza mnie bierze, gdy o tém pomyślę. Azatém Tymoleon będzie we Francyi, być powinien i musi, ale nie na żołdzie francuzkim. — Piękny mi żołd, 40 franków, gdzie wszystko tak drogo, że przy największej ekonomii za 100 franków miesięcznie wyżyć nie podobna; wreszcie i tego żołdu od nowego roku odmówić obiecują. Człowiek obrotny, znający język, świat, artysta, rzemieślnik, wreszcie mogący pisać w języku francuzkim, może sobie dać radę, z wielką jednak trudnością, musi walczyć z niesłychanemi przeciwniństwami, pracować od świtu do zmroku; bo tu natłok ludzi wszelkiego gatunku, we wszystkiem niesłychana konkurencya. Zdaje się, że tu świat jest dyliżansem, albo przewozem, gdzie się każdy ciśnie. Każdy punkcik przestrzeni społecznej tak jest zajęty, że go prawie szturmem zdobywać trzeba. Ztąd egoizm wygórowany i przebiegłość, o jakiej w Polsce ledwo pojęcie mieć mogliśmy. — Ale cóż ja się wdaję w takie opisy? Czyż nie dosyć powiedzieć, że tu massy, krocie Francuzów powstają, nie dla sprawienia jakiej metafizycznej zmiany w kształcie rządu, ale jedynie dla tego, żeby nie umrzeć z głodu, *mourir pour travailler*. Pod tém tylko godłem robi się tu rewolucya, ale będzie krwawa — ostateczna — bo już nie idzie o głupie pryncypia, ale o realność, o *Chleb*. Pod tym względem Polska nasza, w dzisiejszém nawet spustoszeniu, jest Edenem w porównaniu z tą bogatą Francją, za którą niedoświadczona młodzież tak tęskni.

Zkąd inąd cóż to za pożycie z ludźmi? Jakże ci sami Francuzi ze sobą żyją? Strach powiedzieć — lud rozwydrzony, pospólstwo dzikie, w Boga nie wierzy. Dwie są rzeczy okropne w naturze: kobieta bez religii i lud bez religii. Jak pierwsza, tak ostatni, dla własnej ułomności potrzebuje wiary mocnej i pomocy z nieba. W jednym miesiącu 30,000 Francuzów wymarło na cholereę. Z ulic cmentarze się porobiły. Żeby to żywego ducha w kościele zobaczyć. Pospólstwo w téj katastrofie upijało się. W wyższych klassach nie masz nic prócz manier, społeczność rozprzęgła się. Dla wszystkich zobojętnieli, wszystko za nic mają oprócz zarobku, a zarobek lubią dla małych uciech. Un homme comme il faut jest ten tylko w Paryżu, kto ma 100,000 franków docho-  
du, et à Londres ten jest pauvre diable, kto nie ma 20,000 funtów szterlingów. — Całuję rączki kochanego Papy.

Kamil pisał przed kilku dniami obszerny list do Polanki do Mamy, względem którego obadwaśmy się naradzali. — Zamiast pisać osobno do kochanego Józefa Krzyżanowskiego, proszę Papy, żeby z braterskiem od nas pozdrowieniem list ten jemu komunikował. Jeżeli Papy w Polance nie masz, niechaj Mama będzie łaskawa ten list wprost do Krzyżanowskiego odesłać, a od niego dojdzie do Papy. Raz Mama wspomniała o Piotrze Mochnackim w taki sposób, że obawiać się o los jego słuszne mamy powody. Prosimy obadwaj o wyjaśnienie gdzie jest i co się z nim stało? Maxymiliana ściskamy serdecznie; cieszymy się, że ma ładną żonę. Pani Cieńskiej, Mamie, Pannie Zenonie, Cioci Zosi, Olimpce, zasyłamy nasze ukłony. Od Klementyny żadnej nie mamy wiadomości. Tymoleon niechaj do mnie koniecznie długo pisuje, ale na cieńkim, cieniuteńkim papierze; bo listy okropnie drogo kosztują. Z kochanym naszym kuzynkiem Hudziewiczem co się dzieje, i z Stasiem i maleńkim

Teodorem i z Pannami, o które się pan Kamil straszliwie wypytuje? Czy téż żyje kanonik Frazowski i Sufnowski we Lwowie; z Nowosielek co słytać? o Arturze Pawłowskim wiecznie mnie się wypytuje Ledóchowski.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Kamil Mochnacki do Rodziców.**

Paryż, dnia 12. Listopada roku 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

List kochanych rodziców odebraliśmy na dniu 3. Listopada. Numera Dziennika powszechnego były bardzo potrzebne. Zapłaciliśmy za tę ekspedycję przeszło 30 franków od granicy francuzkiej, to jest przeszło 50 złotych polskich. Co do reszty dziennika powszechnego, jeźliby się znalazł, listami pocztą posyłać będzie trudno gdyżby to przeszło 800 franków kosztowało. To najlepiej da się uskutecznić rulażem. Kupcy w Krakowie i we Lwowie wiedzą co to jest za operacya. Interes z Panem Boguszem jeźliby można było pospieszyć, toby bardzo dobrze było. — Nietylko interes publiczny, ale honor nasz wymaga spieszego wydrukowania Historji Rewolucyi, która, jak tylko wyjdzie w Paryżu, całkowicie przesłana będzie tam, gdzie Papa zechce, porozumiawszy się z Panem Boguszem i Krzyżanowskim. Projekt Londynu musi pójść w odwłokę, póki to uskutecznione nie zostanie. Prosimy Papę, żeby bez odwłoki listy trzy adresowane do Krzyżanowskiego posłał wraz z broszurami, w których się znajdują listy o rewolucyi polskiej. Zamykają one ducha téj historyi, która ma być drukiem ogłoszona w Paryżu. Niepewność poczty krakowskiej zmusza nas uskutecznić tę ważną ekspedycję przez Po-

lankę. Szanownej Ciotce Cieńskiej, Mamie i Pannie Zenonie, Cioci Zosi, Olimpcie i całej familii zasyłamy nasze ukłony. Cieszymy się niezmiernie z tego, że Papa poznał się we Lwowie z kanonikiem Frazowskim. Rzadko tak godnego człowieka na świecie. Ja się zaczynam mieć coraz lepiej. Da Bóg, że na wiosnę jeszcze będzie lepiej.

*Kamil Mochnacki.*

### **Maurycy Mochnacki do Ojca.**

Paryż, dnia 25. Listopada r. 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terrasse Nr. 50.

*Kochany Papo!*

Na nas przyszła kolej uskarżać się na nieregularność korespondencji. Już przeszło miesiąc nie mamy żadnej wiadomości z Polanki. Co moment może się zmienić los Europy. Wielkie armie koalicji rozpoczynają strategiczne poruszenia. Prędzej może, jak się spodziewamy Emigracya polska ruszy w awangardzie rewolucyi. Dla téj przyczyny nie wiem, jak wiele wolnego czasu mieć będziemy. Możnaby zaręczyć na zimę, ale co najdalej w Marcu nastąpić może. Zdaje się, nie podlega wątpliwości. Ludwik Filip długi szereg figłów swoich starał się zakończyć wystrzałem z pistoletu. Pokazało się, że ośmnastoletnia dziewczyna, panna Burry, z namowy ministra strzeliła do niego na wiatr. Strzeliwszy, zemdlła naumyślnie, mówiąc, że ten kto strzelił uciekł; aleć go nigdzie złapać nie mogą, bo tym mniemanym mordercą jest panna Burry, którą pan Thiers wziął w swoją opiekę. Ten wystrzał spowodował krocie adresów, tego też żądano.

Przeciwno dziennikowi Emigracyi Polskiej Michała

Podczaszyńskiego Lelewel inne pismo Januszkiewicza wykoncypował. Galicya powinna wiedzieć zawsze, że w tém pisemku mnóstwo fałszów, brudów i potwarzy będzie. Jak téż stoi interes Pana Bogusza? Projekt Papy przepędzenia zimy w Krakowie, napełnia nas największą niespokojnością, bo tam zupełnie niebezpieczno. Kamil obszerniej napisze, a ja zasylam moje ukłony.

Maurycy M.

### Dopisek Kamila Mochnackiego.

Dwa numera następne broszurek Podczaszego posyłamy szanownej familii. Wiadomości w nich zawarte najlepiej obznajmniają z bieżącymi interesami, tyczącymi emigracyi naszój. Jest tam także ważny artykuł, stwierdzający okrucieństwa, których car dopuszcza się w zabranych prowincjach. U nas wojna jest *à l'ordre du jour*. I rzeczywiście nigdy nie było większego podobieństwa do najważniejszych zmian jak teraz. Francuzi niby się cieszą, niby smucą; to wszakże pewna, że małym kosztem nie wybrną z tego błota, w którém ich zanurzył nierozum i egoizm. Opozycya pobita. Niewiadomo jeszcze kogo oszukuje Duppin, lecz bez żadnej kwestyi, w jego ręku są losy Francyi, a tém samém losy całej Europy. Cieszy się także i emigracya nasza z bliższej niżeli kiedy wojny; ale po chwili zastanowienia uciechę zastępują nieprzeliczone kłopoty, których nawet wojna, owe magiczne słowo, przyszlój egzystencyi naszój usunąć nie może. Czy będą formować legią? kiedy ją będą formować? Kogo użyją, a kogo nie? czy zostawią stopnie? czy dadzą znaki polskie legiom? Oto są pytania, które każdy czyni i na które nikt jeszcze stanowczo odpowiedzieć nie może. Największa jest trudność we wzglę-

dzie żołnierzy. To co mamy w zakładach, za ledwie starczy na jeden pułk, a oficerów wystarczyłoby na armię 40,000. Po umieszczeniu w jednym pułku kilkudziesiąt oficerów, cóż się stanie z resztą? Wszystkie te trudności dałyby się usunąć, gdybyśmy mieli po sobie króla i ministerstwo; ale niechęć ich, a prawie nienawiść ku nam, jest tak wyraźną, iż śmiało rzec mogę, że jeżeli z rozpoczęciem wojny Francuzi nie zwałą i doktrynerów, sami niezawodnie upadną przed potęgą koalicji, a emigracja nasza zmarnieje bez żadnego pożytku, ani dla Francji, ani dla Polski. Nie dawno był Pac i Czartoryski z wizytą u marszałka Soult'a, który traktując interes naszej emigracji, z największą obojętnością rzekł im nakoniec, że Polacy liczą na jaką wojnę generalną, o której on nic nie wie, lecz bardzo się mylą w swoich nadziejach; a choćby była wojna, to ich nie użyje. — I czegoż się nie mamy spodziewać po szatańskiejszej polityce dzisiejszego rządu? Izby francuzkie mają podobno przec króla w adresie, aby wyrobił amnestyą u Mikołaja dla Polaków, co wskazuje, że mają myśl, inne dać przeznaczenie w budżecie dwom milionom, przeznaczonym na utrzymanie naszej emigracji. Niewątpliwie teraz jest czas bardzo ciekawy, i spodziewam się, że w bardzo krótkim czasie będę mógł donieść famili, quelque chose de plus positive względem naszego położenia. Teraz jest jeszcze wszystko jak było; siedzimy w Paryżu i zapewne póty będziemy siedzieć, póki nam nie dadzą innego przeznaczenia. Ja, choć wojskowej służby robić nie mógłbym, wsiądę jednak z ochotą na konia, bo nieczynnym być nie myślę. — W gospodarstwie domowém naszym nastąpiła zmiana. Michał Podczaszy sprowadził się do Maurycego, a ja ztamtąd się wyniosłem. Unikam wrzawy dziennikarskiej i nigdy niewychodzącego z ich pokoju dymu od fajek. Stoję jednak w tym samym hôtelu i to zyskałem, że nie chodzę teraz na trzecie piętro, co mnie

z największą trudnością przychodziło; nie polykam dymu, którego teraz moje piersi nie mogą znosić i mam jeden z najpiękniejszych pokojów na pierwszym piętrze z widokiem na ogród, z wszystkimi wygodami i kominkiem, na którym ogień rokoszny wynagradza nieznośną mgłę, która w tej porze nigdy nie ustępuje z Paryża. — Cioci Cieńskiej i całej familii zasylaam moje ukłony.

*Kamil Mochnacki.*

Rozumiem, że poprzednie 5 numerów broszurek Michała w ostatniej ekspedycyi zasłane, były komunikowane kochanemu Krzyżanowskiemu. Odtąd będziemy osobno do niego, osobno do Polanki posyłać, bo o to sam najusilniej prosił.

### **Maurycy Mochnacki do Matki.**

Paryż, dnia 8. Grudnia roku 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terrasse Nr. 50.

*Kochana Mamo!*

Wydziwić się nie możemy, dla czego od miesiąca przeszło z Polanki nie mamy żadnej wiadomości, kiedy dotychczas korespondencya szła zawsze jak najregularniej. Nie spodziewamy się, żeby jakie nadzwyczajne nieszczęście zaszło. Stan rzeczy odmienia się tu bardzo. Od dwóch dni rozpoczęła się kanonada pod Anvers. Prusacy stoją na odwodzie. Paryżanie, to jest ci, którzy nie wierzą w długowieczność rządu Filipa, spodziewają się wojny, która pewnie będzie powszechną i o Wisłę się oprze. — Czy projekt Papy zimowania we Lwowie ustalił się? jeżeli tak, tobyśmy prosili o wiadomość jak adresować do Lwowa. Czy Państwo odebraliście wszystkie numera dziennika Michała? Teraz posy-

łamy nowych dwa egzemplarze; z tych jeden dla Krzyżanowskiego. — Życie nasze w Paryżu teraz pełne jest zatrudnienia. Sejm nasz ma się ukonstytuować w ciału polityczne. To zaelektryzuje Polskę. Nieprawdaż? Sejm ten może wiele dobrego zrobić, byle był zgodnym. Mógłby nawet w części naprawić to złe, które zrzędził w rewolucyi swoją słabością; lecz na nieszczęście dzisiaj się na partye dzieli, a mało jest nadziei, aby te partye dla dobra ogółu się uciszyły. My, jak dotąd, ze wszystkiemi partyami zostajemy w największej zgodzie. Ale żadną miarą nie możemy przyjsć do końca z Lelewelem i demokratami, którzy coraz większe głupstwa robią. Kompromitują sprawę naszą za granicą. Oczernili się zupełnie przed cudzoziemcami. Rocznicę 29. Listopada w obecności Lafayette'a znieważyli członkowie Towarzystwa Patriotycznego: Puławski, Czyński, Krępowicki, Saniański. Za to też mają być wymazani z listy emigrantów przez Komitet Centralny Emigracyi Polskiej.

Proszę Mamę, żeby była łaskawa przysłać mi dzieło moje o Literaturze; bo niemasz ani jednego egzemplarza w Paryżu. Można to zrobić rulażem krakowskim albo lwowskim. Ten rodzaj transportu jest najtańszy i najpewniejszy. — Kamil jest zdrow, zawsze jednak pokaszluje, tak jak i Michał, tamten z rana, ten z wieczora. Przyczyną tego jest ustawiczna wilgoć i mgła paryzka. — Czy też wody szczawnickie pomogły Papie? Czy Mama, szanowna Pani Cieńska i wszyscy w domu są zdrowi? Czy nie możnaby namówić Pana Sagatyńskiego, żeby do nas napisał, a szczególnie do Pana Ledóchowskiego, który się codziennie o niego wypytuje. Ledóchowski, wojewoda Ostrowski, Zwierkowski, Trzciniński, Jełowicki, Grabowski, syn znajomego Mamie posła, exkanonik w Jaratacce, Kamil i Dunin, zgromadzają się zawsze w jedno miejsce do hotelu *Vauban* na obiad, gdzie nie masz żadnego cudzoziemca. Ja i Michał by-

wamy tam czasem, ale nie zawsze, bo nie lubimy się trzymać jednej godziny. — Czy Ciotka Zofia już jest w Warszawie? Niechaj Mama będzie łaskawa napisać do niéj, żeby za pomocą K..... zabrała cały dziennik powszechny do 15. Sierpnia, bo od téj daty Papa już go nam przysłał. — Tymoleonowi posyłam braterskie uściśnienie; niechaj będzie cierpliwy, a przekona się, że ma braci, którzy go kochają i codziennie o nim myślą, żeby się z nim połączyć. Gdzie jest Klimka i co robi? a Pani Głogowska i jéj Klimka?

*Maurycy Mochnacki.*

#### Nota.

Tak się zakończyła ta droga sercu mojemu korespondencya z roku 1832., pełna podówczas pociechy, żalu, często smutku i trwogi. Wiele listów zaginęło z powodu, że mąż mój komunikował je różnym osobom, że nie siedział z nami w Polance, że jeździł to do Lwowa, to aż za Lwów do wód w Szczawnicy; listy więc rozpiezchły się. Kamil udawał zdrowego, chociaż coraz bardziej czuł się niebezpiecznym, a dla mnie tém większy smutek rozdzierający moję duszę, że i wielka odległość i niepodobieństwo mienia pieniędzy, pozbawiały mnie wszelkiej pociechy — gryzłam się. Również i Maurycy dręczony słabością Kamila, brakiem funduszków na wydrukowanie już ogłoszonego dzieła, oraz wiecznemi niesnaskami naszych emigrantów, dogorywał w ogniu życia swojego, wypalając się powoli jak lampa, do której nie dolewano nowego żywołu. We Francyi pomiędzy emigrantami była to wojna wszelkich namiętności: rozpacz, zazdrość, złość, zemsta, drażniły na przemiany cnych ludzi, z których każdy razem czy z osobna, gotów był nieść życie swoje w ofierze dla ojczyzny: wyprowadzeni z własnej ziemi bez ładu, bez steru i pieniędzy, puszczeni na tułactwo i nędzę, byli na ostatku tak krzywo i niedołącznie rządzeni, gubieni, chociaż wiemy, że można było kassy nie oddawać, ludzi zaś i żołnierzy w porządku utrzymywać przynajmniej czas jakiś. Prawdziwe było nasze nieszczęście, żeśmy nie mieli ani jednej głowy, któraby zachowała charakter stały, mężny,

wytrwały i rozumny aż do końca; czuł to najbardziej może syn mój Maurycy, który żył całą siłą duszy w tej jedynie naszej wielkiej sprawie. Nauczony najsmutniejszym doświadczeniem, pozbawiony wszelkiej illuzji co do osób i charakteru ludzi i dręczony losem rodziców, którzy wszystko dla tej sprawy poświęcili i wszystko w niej stracili, ulegał powoli, czyli raczej nachylał się ku upadkowi i taka była istotna przyczyna jego śmierci. Szczególna rzecz i osobliwsza, przepełniająca miarę boleści serce matki, dla czego śmierć nie tylko samych synów moich zabrała, ale nadto sięgnęła i tych młodych ludzi, którzy połączeni byli z nimi najmocniejszym łańcuchem przyjaźni od dzieciństwa, przez miłość ich wzajemną ku sobie, przywyknienie, nierozdzielność, szacunek wzajemny i stosunki. Anastazy Dunin, donosząc mi o śmierci Michała Podczaszyńskiego w jednym ze swoich listów, tak do mnie pisze: „Ja Ci więc, droga Matko nasza, zostałem sam jeden jako ostatnie ogniwo z łańcucha, który mię tak silnie wiązał do Maurycego, Kamila i Michała....“ Niestety! i ten prawdziwy przyjaciel mego Maurycego zszedł z tego świata, utonął na morzu, podług doniesienia gazet, płynąc z Anglii do Francji. Zdaje się, jak gdyby wola Stwórcy naszego najwyraźniej jawiła się z tej poczwórnej śmierci tych młodych ludzi. Tu więc skłaniam głowę moją; tu święta rezygnacja jest cnotą błogosławioną, jest bronią naprzeciw samej rozpacz.

*Maryja M.*

### **Maurycy Mochnacki do Matki.**

Paryż, dnia 31. Stycznia 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la  
Terasse Nr. 50.

*Najukochańsza Mamo!*

List ostatni kochanych Rodziców bardzo nas tu prze-  
raził; nie tyle co do stanu interesów, bo to być inaczej  
nie mogło, ale co do niebezpieczeństwa, które Papie  
zagraża. Ponieważ Papy nie masz w Polance, więc pro-  
szę Mamy, żeby ten list bez zwłoki do Lwowa posłała.  
Z daleka może ja daleko lepiej pojmuje moskiewskie za-  
biegi. Niewątpliwie opuszczono w liście proskrypcyjnej

nazwisko Papy, żeby go zwabić do Warszawy, uwięzić i tym sposobem nas wszystkich przymusić do powrotu. Zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, żeby nie pomyślił nawet o podobieństwie udania się do Polski celem zakończenia interesów. Niechaj folwerek na Czersku przypadnie, jak powrócimy, odbierzemy go z bronią w rękę. To jest tylko pułapka. Z drugiej strony po tém wszystkiém co się stało, nie widzę bezpieczeństwa dla Papy i w Galicyi. — O mój Boże, có tu robić? Ja się zarówno dla Papy obawiam Polski jak Krakowa i Galicyi. O Krakowie ani myśleć; umarłbym, dowiedziawszy się że tam jest Papa. To być nie może żadną miarą. Prosimy więc Papę w Imię Boga, żeby o Krakowie nie myślał; tam nie masz żadnej gwarancyi. Najlepiejby było we Francyi; ale jakże się tu dostać, osobliwie teraz. Mój plan więc jest taki, od którego odstąpić nie mogę: Ponieważ Papa ani w Polsce, ani w Krakowie, ani w Galicyi bezpiecznie znajdować się nie może, więc pomimo wszelkich trudności, pomimo nawet pozornych niepodobieństw, nie gdzie indziej, ale tylko we Francyi razem z nami być musi. Jak tego dokazać, nie wiem, to wiem tylko, że to jest jedyna kombinacya, która nas uspokoić może. Niechaj Papa nasz kochany koniecznie bez *zwłoki* doloży wszelkich starań dla puszczenia się w tę drogę z Tymoleonem. — Wierz mi Mama, że myśl co do Bużańca, Czerska, co do własnego gospodarstwa, to tylko romans! To tylko jest prawdą w tym labiryncie tak wielkich nieszczęść, że Papa z Galicyi wydanym być może Moskalom! Co dalej we Francyi będziemy robić, to ja biorę na siebie, *za to moją głowę, mojem życiem, mojem sumieniem odpowiadam*. Niechaj tylko Papa przyjedzie, już my sobie damy radę. Jeżeli cokolwiek wiary miałem w przekonaniu Mamy kochanej, niechże Mama przez wzgląd na swoją własną i naszą spokojność popiera ten projekt zbawienny. Gdy Papa przyjedzie,

zapewne nie będziemy siedzieli w Paryżu dla trzech przyczyn: najprzód klimat paryzki dla Papy i Kamila jest niezdrowy przez całe pół roku; powtóre, że drożyzna w Paryżu jest wielka, po trzecie, że łatwiej na prowincyi pomódz sobie. Obraliśmy w najpiękniejszym kraju w J... w Bordeaux koło Toulouzy, albo Perpignan miejsce pobytu. Tymoleona umieścilibyśmy w zakładzie którym, a potem gdzie w instytucie naukowym. Wreszcie jest to chłopiec młody, nie tak jak my starty przez burze polityczne, azatém łatwiej jeszcze jak my móglby znieść twardą szkołę doświadczenia i niepowodzeń. Wierzaj mi Mamo! pomimo tego wszystkiego, co się zemną działo na tym świecie, czuję jeszcze w sobie tyle mocy ducha, i tyle energii charakteru, jak gdybym nigdy nie miał do czynienia z przeciwnościami, jak gdybym dopiero miał lat 17, a nie 30; bo podobno już zacząłem rok 30. Azatém z tego wszystkiego wypada, że damy sobie radę we Francyi. Ten jest mój plan, od którego odstąpić nie mogę. — Póki nie masz Polski całej i niepodległej, żaden z nas nie powinien być w Polsce. — Ta zima była dla nas wszystkich trzech, dla Kamila, dla Michała i dla mnie bardzo niedogodna. Kamil zapadł był znowu na piersi, a teraz jest w kuracyi sławnego doktora Marcinkowskiego, który kaszel jego widocznie zmniejszył; na wiosnę zalecił jemu południowe kraje. Michał jeszcze kaszle, i nieborak bardzo pracuje; redaguje dziennik swój, któremu nie źle się powodzi. *Ja sam, co mi się jeszcze nigdy w życiu nie trafiło, choruję przez 20 dni na bicie krwi do piersi*, ale teraz wszyscy mamy się lepiej. Ucieszyła mię niezmiernie wiadomość o zdrowiu Papy. To większe dobrodziejstwo, jak gdybym cały Buzanec z Czernskiem odzyskał. Zapewne nie potrzebuje prosić Mamy, żeby była łaskawa ucałować od nas rączki Pani Cieńskiej, téj wielkiej Polki, téj prawdziwej dobrodziejki naszój, którą my razem z Mamą uwielbiamy.

Żadne słowa nie wyrażą wdzięczności mojej i Kamila! Posyłam 5 numerów broszur, z których się Państwo dowiecie tego wszystkiego, co się u nas dzieje. Dla dyrektora Chłopickiego posyłałibyśmy osobno jeden numer, gdyby sobie tego życzył. Niechaj mu Mama każe powiedzieć przez kogo, że chociaż w początkach rewolucyi nie umiał odgadnąć czego chciałem, ani zrozumieć, czego odgadywać nie potrzeba było; nigdy jednak nie przestałem w nim widzieć znakomitego żołnierza i dobrego, choć oszukanego Polaka przez tego niegodziwego Lubickiego. Jeżeli co chce napisać do dziennika Michała, niechaj to napisze, a pewnie wydrukowane będzie. — Przyjechał w tych dniach Nabelak z Szwajcaryi; znowu wszyscy razem jesteśmy. Jakie są partye w emigracyi i o co idzie, wszystko to broszury wyjaśnią. Portretów naszych nie posyłam Mamie, dla tego najprzód, że teraz bardzo pobrzydliśmy i wychudli przez różne zgryzoty polityczne emigracyi, azatém możeby się Mama przestraszyła własnych synów. Kamil jest tak chudy i blady jak upiór; a ja, którego apetyt, sen i dobry humor nigdy nie odstępował, tylko co na upióra nie wyszedłem w tych 20 dniach, gdzie dla tego, aby mnie apoplexya nie uderzyła, nic a nic jeść nie mogłem. Azatém wtenczas dopiero poszliśmy Mamie nasze portrety, kiedy cokolwiek odmłodniejemy, i to pod warunkiem, żeby ich Mama nikomu nie pokazywała. — Gurowski, o którego się Mama tak pytasz, jest waryat; nie żyje ja z nim dla tego, że oprócz Michała, Nastusia Dunina, Nabelaka i jenerała Dwernickiego, wszystkich Polaków unikam, choć z wszystkimi, oprócz Lelewela, jego partyi i byłego Towarzystwa Patryotycznego, jestem bardzo grzecznie. Nieprzyjaciół mam tyle, ile ich miałem zawsze, z tą tylko różnicą, że ci, którzy dawniej najmocniej przeciwko mnie powstawali, zaczynają się przekonywać, że ja miałem racyą, a ci, co to niby moimi byli

stronnikami, którzy w istocie byli tylko hipokrytami, dzisiaj, jak mogą, starają się mnie obmawiać; lecz ja nie dbam na to wszystko. Ja i Kamil daleko więcej możemy w zakładach jak oni. Zakład w Avignon i w Bourges ma prawdziwie godnych wojskowych, na których teraz wszystko zależy. Nasi panowie du *haute parage* znowu się zaczynają ludzi dyplomatycznymi romansami. Jest tu cała dyplomatyka co wierzy w Austryę. Chciałaby wynegocycować 8 województw, ale to się nie uda. Niedawno admirał minister Rygni powiedział: „Jeżeli dzisiaj coś się nie wykluje dla Polski z interesów wschodnich, to nigdy.“ — Ja zawsze utrzymuję, co gabinety o nas bez nas uradzą, to natychmiast się rozchwieje, ale co rewolucya powszechna może dla nas zdziałać, to na wieki zostanie. Lecz mniejsza o politykę, w której my tu jesteśmy zanurzeni, która mnie już nudzi. Cóż robi Klimka (siostra), czy zawsze jest wesola? Czy zawsze będzie siedziała u podkomorzyny Zielińskiej? List Mamy niezmiernie ucieszył Michała. Nie posiada się z radości, że on sierota na tym wielkim świecie, znalazł rodziców i został ich synem. Zawsze Michał tak piękny jak był, tylko szkoda że łysy i że tak lubi ostrygi, które rzeczywiście wyborne są w Paryżu. Gdyby nie ostrygi i łysina, gdyby nie nałóg palenia tytoniu, gdyby nie namiętność niczém nie powściągniona do rosbeefu angielskiego i ryb morskich, nie masz ani jednej panny na świecie, któraby go od biedy kochać nie mogła. Dodaj Mama do tych wszystkich niegodziwych przywyknień naszego najstarszego Paryżanina niepospolite zamiłowanie do Bordeaux à 40 sous, a będziesz Mama miała obraz tego samego Michała, który był w Warszawie. Najgorsza rzecz, że się widocznie starzeje, a myśli że jest młody. Powiada, że się ożeni i to w Polsce, gdy będzie cała. Dziennik jego czyni mu wielką renomę w emigracyi i jest od wszystkich poważany. Z tego dziennika kupuje

drzewo, które tu jest tak drogie, jak szafran w Polsce; co większa, z tego dziennika wyprawia czasem takie zbytki, o jakich tylko u Wefura au petirocher de local, albo w sławnej restauracyi au Boeuf à la mode, wyobrażenie mieć można. Z tém wszystkiém życie nasze jest bardzo przykładne, skromne i pełne zatrudnień. — Ale Paryż jest to otchłań, świat, i dla tego gdyby Papa przyjechał, jabym przynajmniej wolał gdzie indziej mieszkać. — Cioci Zosi i Panu Sagatyńskiemu do Warszawy zasylam ukłony. Więc Maxymillan Fredro znowu w Petersburgu..... Bardzo dobrze, niechajże przynajmniej nie zapomina o sierotce naszym Porfirku. Mój Boże! ten chłopiec jak odłamek zgruchotanéj nawy, jak dźbło na pustyni — sam jeden, jak listek. Cóż się z nim dzieje? Moja Mamo, dla czego nas tak burze rozerwały? Dla czego tyle łez, tyle krwi upłynęło od 29. Listopada? O zapewne i ja jestem tego zdania, gdybyśmy mogli być, ale wszyscy, razem, w cichym domku, daleko za światem! Ale to niepodobna i być nie może. *My już tylko podobno na tamtym świecie będziemy razem.*

Przypuśćmy, że znowu Polska powstanie z woli ludów, czyż od Renu do Odry, od Odry do Wisły z pomiędzy miliona kul ani jedna nas nie trafi? Widzę ja dobrze przyszłość naszą. Przekonanie, że koniecznie będzie potrzeba zginąć w téj sprawie, tak się we mnie utwierdziło, że się zfamiliaryzowałem z ideą śmierci, jak z dzieckiem, i nielepiejże to tak umrzeć na starość? — W Polsce nie życzyłem sobie tego, w tyłu bataliach będąc; ale teraz sam widzę, że ci, co zaczęli rewolucyę, powinni i muszą dla niej umrzeć. Całuję rączki Mamy.

*Maurycy Mochnecki.*

Olimpkę tysiąc razy całuję i dziękuję jéj, że tak dobra i nie zapomina o mnie.

## Nota.

Jakiż to duch wieszczu dyktował te ostatnie wiersze mego syna Maurycego. Istotnie i w tym liście i później zdawało się, że śmierć swoją przeczuwał, że nawet ją widział. Lecz ja, matka nieszczęsna, bynajmniej tej katastrofy ani przeczuwałam, ani nigdy przewidywać nie mogłam. Maurycy był tak zbudowany dobrze, młody, silny, bez najmniejszego defektu, młodość jego tak zakonserwowana; jednakże zgryzoty rozprządż potrafiły ten organizm pełen życia.

*Marya M.*

### Kamil Mochnacki pisze dalej w tym samym liście.

Nigdy u nas nie było takiego smutku jak po odebranych ostatnim liście od kochanych szanownych Rodziców. Mieliliśmy wprawdzie przed odebraniem tego listu rzeczywisty stan interesów Papy przed oczyma, ale namyślnie przez próbę i przymus oddalaliśmy od siebie opłakany widok nieszczęść, które tak blisko nasze serca dotykają, a na których zaradzenie nie było żadnego środka. Teraz niepodobna już zostać w tym nieszczęsnym stanie dalej, w dłuższem oczekiwaniu czas tracić, a przez to na większe jeszcze tysiąc razy narażać się niebezpieczeństwa, byłoby to samo, co naigrawać się z Opatrzności, która pomimo tylu klęsk zachowała Papie najdroższy skarb, to jest: zdrowie, a nam dla tego przyświeca piękną przyszłością, że chce, abyśmy jęj doczekali i używali razem z wzorem najlepszych ojców. Co bądź można powiedzieć, wymyśleć, wyrozumować, wyargumentować, wykonceptować w materji dzisiejszego naszego położenia, zawsze na końcu ten wypadnie wniosek, że Papa w Galicyi dłużej pozostać nie może, więc we Francyi musi. Kraków, Galicya, Prusy, Austria, kraje i kraiki książąt i książątek niemieckich są dzisiaj dla pewnych osób obładowanych odpowiedzialnością rewolu-

cyi tém samém, czém jest Warszawa pod dozorem Paszkiewicza, albo i sam Petersburg z sądami wojennemi. Prawdziwie dziwić się trzeba tęgości charakteru Papy, że tak długo dotrzymuje placu. Nigdybyśmy nie odważyli się namawiać Papę do kroku na pozór tak lekkiego, do téj awanturniczéj wyprawy, ale są pewne pozycje, które nie do namysłu nie zostawiają, w których się wahać nie można; bo wybierać nie ma w czém, a potem wiele téż to Polaków w takim wieku jak Papa emigrowało do Francyi i żyją przecież jako tako, choć nie mają trzech synów, których w ostatniéj potrzebie sprzedaćby można za jakie takie pieniądze Ibrahimowi egipskiemu, aby nimi straszyl Moskali jak mu przyjdzie z nimi zadrzeć. Lecz nie ma co żartować z Baszą. Bodaj czy pierwsza zorza dla młodéj Polski nie błysnie z Egiptu. To wszakże prawda, że jeżeli Basza weźmie Stambuł, nigdy Polacy nie będą mieli lepszéj okazji odezwać się o swoje. Mając list kochanego Papy przed oczyma, nie mogę pojąć, dla czego dzienniki niemieckie tak często głoszą o łaskawości cesarza austriackiego dla emigrantów polskich i łatwości otrzymania obywatelstwa galicyjskiego. Czy te prześladowania są wymierzone na wszystkich Polaków skompromitowanych w rewolucyi? czyli téż tylko na niektóre osoby uprzywilejowane od nieszczęścia? Lecz niepodobna przypuścić nawet, aby Austriacy odważyli się wydać kogo w ręce Moskali, a czy pozwolą zostać w kraju lub nie, wszystko to jedno dla tych osób, które nietylko pozwolenia zostania w Galicyi, ale i funduszów na utrzymanie familii potrzebują. Uważam przeto za rzecz zupełnie zdecydowaną, projekt przybycia Papy z Tyrolkiem do Francyi. I tę decyzją opieram na tym najważniejszym argumencie, że pobyt Papy w Galicyi, teraz szczególnie po odpadnięciu interesów Czerska i Bużańca, nietylko że nie ma żadnego celu, ale nadto jest niebezpieczny i uciążliwy. — Tutaj we Francyi budżet nowy nie

zapomni o emigracyi, a dołożymy wszelkiego starania, abyśmy mogli być razem, dopóki nas ważne wypadki polityczne lub konieczna potrzeba nie rozłączy. Najlepiejby było dla nas siedzieć w Paryżu, ale ten klimat jest dla mnie nieznośny i doktorowie nie radzą mi w nim żyć. Nadmorskie południowe prowincye będą najzdrowsze dla mnie i dla Papy, więc w nich się ulokujemy. Tymolek, byle tylko chciał, bardzo może korzystać z nauk, jakie są teraz z rozkazu rządu otworzone dla Polaków w Dijon i w Montpellier, będzie tam trochę kuso; bo pensja bardzo szczupła, ale cóż robić, któż jest teraz szczęśliwy, a nasz ród par excellence skazany jest na kłopoty, do tego potrzeba się przyzwyczaić, a co mnie w tém wszystkiém poucza, to ów nieoszacowany dar ekonomizowania w Tymolku i przyjaźń jego do zleżałego grosza, z którym się nigdy nie lubi rozłączać. Jest wprawdzie jeszcze jedna kwestya tycząca się kosztów podróży, i ta już przechodzi mój rozum, choć z drugiej strony wiem, iż ta nie jest tak straszną, jak się na pozór wydaje. Czy wszyscy o swoim koszcie przybyli do Francyi, tego nie wiem, ale to pewna, że niesłychana liczba Polaków zawsze zjeżdża do Francyi z Galicyi, i że po drodze komiteta niemieckie wszędzie ułatwiają polskim emigrantom zręczność dostania się do granic francuzkich. Prosimy tylko Papy, aby po odebraniu tego listu napisał do nas co sam myśli o tym projekcie i o czém stałem nas uwiadomił. Tę wiadomości będziemy oczekiwali z największą niecierpliwością, ponieważ mnie doktorowie wypędzają gwałtem z Paryża na południe, a nie mógłbym się teraz zdecydować, nie wiedząc, jakie będzie rozporządzenie w tej mierze Papy. Mamie mojej najukochańszej za pamięć i troskliwość o moje zdrowie jestem bardzo wdzięcznym. Prawdziwie lżej jest chorować, jeżeli jest ktoś taki, co żałuje chorego. I ja też mam najpewniejsze przekonanie, że z tej mojej przekle-

tęj choroby wyjdę. Oszaleję z tymi doktorami. Jeden mnie kurował przez siedm miesięcy i nic mi nie pomógł. Teraz drugi przyszedł i znowu zaczyna na nowo kurację, oświadczać zaraz z góry, że cała poprzednia kuracja była zła, niestosowna. Wprawdzie ten doktor ma wielką reputację, powiadają nawet że jest szczęśliwy, ale niepodobna nawet temu wierzyć co on powiada. Sądzi, że ja mam zapalenie płuc źle kurowane, a więc oczywiście leczy mnie teraz podług swojej metody na zapalenie płuc, kuracja jest nieznośnie męcząca. Wizykatorye tak mnie zniszczyły, że ani smaku ani apetytu do niczego nie mam, choć z drugiej strony znaczną czuję ulgę w kaszlu i gorączki już nie mam. Proszę kochanej Mamy obszerniej nam napisać o cioci Zosi, co porabia w Warszawie i jak się ję tam wydaje postać rzeczy. Czy tam ciągle będzie bawić? Czy nie wie co o Piotrze Wysockim? Dobręj cioci Cieńskiej zasyłam moje czółobitność, toż samo kuzynie i Olimpce.

*Kamil Mochnacki.*

### **Michał Podczaszyński do Maryi M.**

Paryż, 2. Lutego 1833.

*Kochana Pani!*

Piszę ten list w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej po kilkumiesięcznym milczeniu. Dziś jest pół zimy, u nas w Polsce mówią, że dzisiaj niedźwiedź po kilkumiesięcznym śnie zimowym obraca się na drugą stronę. Bojąc się, żeby Pani nie zrobiła jakiej alluzji z przerwania snu znanego z lenistwa zwierzęcia, wykręcałem się jak mógłęm z listem, chciałem jutro pisać, ale Maurycy zagroził mi wyexpedyowaniem swojego listu dzisiaj.

Nie chcąc więc, abys dłużej Pani myślała, że przez lenistwo nie pisywałem, z radością bez względu na alluzją piszę. Długośmy oczekiwali na wiadomość z Polanki, i Maurycy był bardzo niespokojny, a lubo w ostatnim liście Państwa były niepocieszne nowiny, to żeście zdrowi zaspokoilo nas i cieszyło. My tu żyjemy dawnym trybem, tylko że się mniej kłócimy. Pocieszamy się jak możemy i pracujemy po całych dniach. Przybył tu do naszej familii zacny Nabelak, bardzo rad jestem ze znajomości z nim. Mieszka teraz w jednym domu z nami, ale się za kilka dni wyprowadza. Kamilek i kaszli i kaszli i krokiem z domu nie wychodzi. Zmienił teraz lekarza, wziął Marcinkowskiego, który od dziesięciu dni znacznie polepszył stan jego zdrowia. Maurycy także przez tydzień chorował, nawet w łóżku leżał. Naśmiałem się do woli z jego słabości, której przyczyną nic więcej nie było tylko *kluski*. Jakaś baba polską kuchnię założyła. Maurycy tam był kilka razy, ale po nieszczęśliwych kluskach już więcej nie poszedł. Kamilowi do domu noszą jedzenie, my z Maurycem zawsze razem jadamy, zmieniając kuchnię to na angielską, to na francuską. Zatrudnienia nasze nie są także bez przyjemności. Ja jednak sam jeden zatrudniony wydawaniem mojego pisma, nie mało mam ambarasu. Pismo to nie źle idzie, dałem przykład innym. W Avignon zaczęto coś wydawać, ale ta antreprzyza upadła. Lelewel Januszkiewiczza wysadził, żeby wydawał pismo w Paryżu. Aristokraci zaczęli coś nowego wydawać od Marca. Litwa swoje pismo za kilka dni zacznie ogłaszać. Meyzner w Besançon już dwa numera swego dziennika wydał. Gurowski wydał cztery numera pisma zwanego demokratycznym. Ja z tego rad jestem nietylko jako Polak, ale dla tego, że moje broszurki mogą być porównywane z innemi, a z tego porównania to wynikło, że o 100 osób powiększyła się liczba moich prenumeratorów.

Komitet Lelewela rząd rozwiązał. Od tego czasu lepiej się z Polakami obchodzi i ma im żółd podwyższyć. Maurycy radby wiedzieć co się dzieje z jego rękopismem drugiego tomu o Literaturze w Polsce i czy nie masz sposobu wydobyć ją z Warszawy i przesłać do Paryża; wydałby ją tutaj. Kamil gotuje piękne rzeczy do mego pisma, wkrótce będziecie je czytali Państwo. Posyłam Bolesława 5, Bolesława 6, Konrada, Leszka czarnego i Henryka P..., nadal regularniej będziecie Państwo odbierali moje broszurki. Maurycyego artykuły z największym uwielbieniem są tu czytane, i mogę to powiedzieć że jego pismo mojemu wielką nadaje reputację.

Ja od pół roku ciągle jestem niezdrów i kaszlę, ale nie bolą mnie piersi. Maurycyego w nocy często budzę mojem kaszleniem. W ogóle klima tutejsze jest niezdrowe dla mnie. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Nic ani trochę nie mogę przywyknąć do tego kraju, choć już siódmy rok w nim bawię, mieszkańców nie lubię. Polska jedna jest dla mnie. Zawsze się chce tego co jest trudne, a może i niepodobne, chociaż ani na chwilę nie tracę nadziei. Z Polakami wcale nie żyjemy. Lelewel tak ich porozdzielał i tak przyuczył do podejrzliwości, do potwarzy, że dawni znajomi unikają siebie nawzajem, jeżeli chcą uniknąć kłótni, pojedynków i t. d.

Maurycyego wszyscy w ogóle się boją, nawet milczenie jego i niekommunikowanie się z nikim, mają za dowód jakiegoś zamysłu. Lelewel szczególnie w Bóg co o nim wygaduje. Największe głowy powiadają o nim, że człowiek zły i przewrotny etc. Ja przynajmniej tego nie widzę i nieraz się z tego śmiejemy. Jabym wolał jego serce jak głowę, żeby mi przyszło koniecznie jedno z dwójga wybierać. Ale z tego gadania dobre skutki wynikają, bo Maurycy niezmiernie imponuje wszystkim półgłówkom, a pisma jego w moich broszurach umieszczane jedną mu najpiękniejszą reputację w zakładach. Jeżeli była

jeszcze nadzieja mieć dwa numera gazety polskiej, o które dawno prosiłem, powtórzyłbym moją prośbę. Portret Maurycego każe zrobić. Radbym żebyś go Pani widziała w jego kostiumie pokojowym, muszę go nawet tak kazać odmalować, ale nie dla Państwa tylko dla siebie. Sprawił sobie jakąś kurtkę zimową niezmiernie długą i szeroką, chustkę białą ogromną zawieszuje na szyję jak doktor Bartholo, a przytém dostał z kąd jakąś czapkę wysoką i w tył zagiętą, że wygląda jakby był człowiekiem z średnich wieków. Ukłon mój pannie Zofii, pannie Olimpii i Tymolkowi. Pani zaś rączki całuję i matczyńskiemu błogosławieństwu polecam się.

*Michał Podczaszyński.*

### **Maurycy Mochnacki do matki.**

Paryż, dnia 14. Lutego. Rue Rivoli Nr. 50.

Od czasu jak odebraliśmy ostatni list kochanej Mamy zaszły co do nas nie małe odmiany. Doktorowie Kamila udecydowali, że dla odzyskania zdrowia musi koniecznie pojechać w okolice najbardziej południowe Francyi, to jest do tego cypla, gdzie się kończy Francja południowo-wschodnia do Nièce, gdyż to miejsce naokoło prawie góry zasłaniają od wiatrów. Klimat tamtejsze rokoszne i ciepłe. Ale jakaż odległość? Oto 230 lieu francuzkich od Paryża, czyli naszych przeszło 120. Zgodzono się jednomyślnie, że bez téj odmiany klimatu Kamil zdrów być nie może. A nikt nie chce pamiętać na to, że Kamil w obecnym stanie słabości swojej nie może odbyć tak dalekiej drogi w tym i przyszłym nawet miesiącu bez narażenia się na większe niebezpieczeństwo w drodze, niżeli żeby jeszcze parę miesięcy przeczekał w Paryżu do cieplejszej pory. Jestem w niesłychanym

smutku, i od upadku sprawy naszej nigdy mnie nie tak mocno nie przerażało. Kamil wierzy w to, że mu klimat pomoże, a więc trzeba jechać jak najprędzej. Ja z nim pojedę, ale lękam się sloty, wiatrów nieustannych w tym czasie; bo to wywiera fatalne skutki na jego piersi bardzo już osłabione. Ta podróż będzie trwała ze dwadzieścia dni, bo Kamil nocą jechać nie może, bo mu tego doktorowie zabraniają. Wystaw sobie Mama położenie moje! My jesteśmy prawdziwe dzieci nieszczęścia. Muszę z jednej strony codziennie patrzeć na to, że Kamil w Paryżu zostawać nie może i nie powinien, z drugiej strony mam równie mocne przekonanie, że ta podróż w tym czasie jest dla niego bardzo niebezpieczna, a jednak pojedę z nim razem, bo on tego sobie życzy. — O moja Mamo! nie tracę ja nadziei, że on będzie zdrowy, ale co się zemną teraz dzieje, to tylko Bóg świadkiem być może. Słabość jego jest alarmująca, teraz wszystkiego obawiać się zaczynam. Proszę jednak Mamy, aby tych słów a la lettre nie brała, a szczególnie żeby Mama ani słowa o tém nie wspominała w listach swoich, które Kamil czytać będzie. Dnia 21. Lutego do kaszlu i bólu w piersiach przyłączył się wielki ból w boku, który oddech Kamila skraca i nieznośne cierpienie sprawuje. Użyto gwałtownych środków, wizykatorja na piersiach, synapizma na boku, pijawki i lekarstwa rozwalniające skutkowały nad wieczorem, ból w boku ustał i kaszel jest wolniejszy. Cała słabość przybrała charakter hemoroidalny, taki sam jak Papa miał. Wszystko redukuje się do tego, że Kamil ma podrażnienie płuc i cierpienia hemoroidalne, z czego wyjść może przy starannej kuracji.

Dnia 22. Lutego. Dzisiaj Kamil ma się daleko lepiej, mamy nadzieję, że przy dyecie coraz lepiej poprawiać się będzie stan jego zdrowia. Jest jednak bardzo osłabiony, ale ciągle trwa w przedsięwzięciu wyjechania na południe, nie wchodząc w to, że nie

wytrzymałby dwustu mil drogi w Marcu. Posyłam Mamie karteczkę którą on sam pisał, nie czytając tego co ja piszę, bo mu nie pokazałem; gdyż prosił mnie, żeby ani słowa nie wspominać o jego terażniejszym aktualnym stanie słabości. Dzisiaj nie ma żadnej obawy, pomimo zatrważających symptomatów. Naturalny rozsądek każe mi wierzyć, że nie ma suchot. Gdyby to były suchoty, czyżby był dawno na nie nie umarł? Trzeba także wiarę mieć w Boga! Dla czego by nas chciał wśród tylu nieszczęść dobijać tém nowém, najokropniejszém nieszczęściem? Wreszcie i doktorowie są zdania różnego. Jedni tak, drudzy inaczej mówią o téj samej słabości. Brussaix jest zdania Rostkowskiego, który w tém wszystkiém widzi tylko cierpienia hemoroidalne i afekcją płuc. Spólność naszego losu; spólność niebezpieczeństw, któreśmy razem przetrwali, dzisiejszy stan spólnego osierocenia, odległość od Rodziców, których nie tak prędko obaczymy, a może nigdy, wszystko mi to każe uważać Kamila za jedyne i ostatnie dobro na tym świecie, które mi zawistny los jeszcze nie wydarł. Tak nauczyłem się być z nim razem, iż najodleglejsza myśl, że go stracić mogę, rozdziera całą duszę moją i czyni mnie niezdatnym do niczego; nawet do zniesienia reszty życia, któreby bez niego upłynęło.

Moja najdroższa Mamo! Nie w domu Mamy, ale tu dopiero można się było przekonać, czym jest brat dla brata. Kamil i Michał, otóż wszystko co mi zostaje z pomiędzy tysiąca ludzi, których znałem i poważałem. Michał Podczaszyński jest to tak poczciwe i kochane stworzenie, że sprawiedliwie przyjąłś go Mama za swego syna. Nic delikatniejszego, nic lepszego, nic zacniejszego i nic lepiej wychowanego na świecie nie widziałem. To jest pierwszy rozumny człowiek, u którego najlepsze serce z najlepszą głową zostaje w harmonii ścisłej. Manuskrypt Papy kochanego odebrałem, proszę o dalszą

kontynuacją. Niebezpieczeństwo pobytu Papy w Gelicji czyni mnie coraz niespokojniejszym. O powrocie Papy do Polski, o pobycie jego w Krakowie, we śnie nawet nie chciałbym myśleć. Papa tylko we Francji razem z nami być może. Posyłam broszury. Całemu domowi, państwu Cieńskiemu zasylam moje wyrazy prawdziwego szacunku i uszanowania.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Kamil Mochnacki pisze dalej w tym samym liście.**

20. Lutego.

Ja wybieram się w drogę, to jest, mam projekt z nieodmienną woli moich najmiłościwszych doktorów opuścić Paryż i o 230 lieus w nadmorskim południowym departamencie Varskim na granicy Sabaudyi się ulokować, dla tego, aby już nie lekarstwami, ale powietrzem tych uprzywilejowanych okolic się leczyć. Nic ja nie mam przeciw temu, zwłaszcza, że i nasi francuzcy doktorowie co do mojej słabości na to się zgodzili jedno, że mi klimat pomódz może; mówię że tylko na to jedno, albowiem co do metody traktowania, co do lekarstw i co do prawdziwej istoty mojej choroby, kaźden ma inne zdanie i kaźdy podług swojej wiadomości radby mnie widzieć leczonym. Ja tylko jeden na tém najwięcej cierpię, a możebym jeszcze więcej później cierpiał, gdybym przez prędki wyjazd z Paryża nie pozbył się od jednego razu i doktorów i ich uprzedzeń i zawiści jednego względem drugiego, i wszystkich zwad, za które najczęściej pacjent pokutuje. Nie mam przeto nic naprzeciw zmianie klimatu, ale jak ja ten projekt wykonam i czy potrafię dwudziesto-dniową podróż odbyć w tém osłabieniu, do

którego mnie przywiodły nadzwyczajne środki Marcinkowskiego, tego nie wiem. I w tym jeszcze jest wielka trudność, że we Francji nie ma innego sposobu podróżowania tylko dyliżansem. Tylko książęta krwi i durowie i extra-pocztą jeżdżą, reszta wszystko pakuje się w dyliżanse, które jak wiatr po kraju we wszystkich kierunkach latają. Lecz czasem cztery i pięć dni z pojazdu się nie wysiada, czegobym ja nie zdołał wykonać, bo ani w nocy, ani w dnie dżdżyste podróżować nie mógłbym bez pogorszenia stanu zdrowia. Nie wiem więc jeszcze, jak się ta podróż urządzi, a kontent jestem że się zwleka, bo może i Papy się jeszcze doczekam w Paryżu. Od czasu kiedy po przeczytaniu listów Papy i po długiej walnej naszej naradzie, zostało zdecydowanem, aby Papę skłonić do połączenia swego losu z naszym, ustawnie o niczem innem, jak tylko o tej szczęśliwej chwili rozprawiamy, w której naszego najukochańszego Papę już między sobą mieć będziemy. Michał i Nabelak gotują także Papie swoje posługi i usługi jako rodzonemu ojcu. Do tego szczupłego ale wypróbowanego grona dołączył się jeszcze Łagowski, któremu trudno znaleźć równego pod względem charakteru i cnót. W ostatnim liście z Polanki nie znaleźliśmy ani jednego słowa od Mamy, co nas mocno zgorszyło i zasmuciło. Spodziewamy się, że za to w najpierwszym liście dubeltowa miara familijnej pogadanki nam się dostanie, a najbardziej w jaki sposób przyszedł do skutku rozwód Klementyny? Co teraz porabia i co dalej pocnie ta nieszczęśliwa kobieta? Z tym wszystkim mocno mię ucieszyła wiadomość tego rozwodu. A on czy wszedł w służbę? — Co się dzieje z pułkownikiem Pągowskim? Klements i Felix są w Avignonie, ale gdzie Walery? a Franuś Łoś? Czy się też godzi, aby do nas ani słówka nie napisał, i czy podobna tak mocno zamysleć się o jednym, żeby o wszystkim innem zapomnieć na wieki? Od Cioci

Zosi z Warszawy jakie są nowiny? Całuję rączki Mamy, Cioci Cieńskiej i Panien.

*Kamil Mochnacki.*

**Nota.**

Te dwa listy kochanych synów moich zastanawiają mnie w sposób najboleśniejczy. Bolesć, smutek Maurycego i trwoga o życie drogiego brata, wyrażone są z całą siłą jego wielkiej duszy. Już on wiedział, że Kamil żyć nie może..... Podróż niby mająca stanowić nadzieję życia, była niepodobna do skutecznego: biedził się Maurycy, zrywał siły swoje, które też i stargał od owego czasu nielitościwym sposobem. Mówiono, że ludzie zawistni zatruli pasmo życia Maurycego trucizną powolną, ażeby w ich politycznych stosunkach nie brzdził swoją wielką zdolnością i talentem pisarskim; nie mylono się też, bo kto list ten ostatni przeczyta, pozna, czy mógł Maurycy przeżyć ukochanego brata, którego dla wielkich przymiotów jego wielbił i adorował. Tęsknota po tak wielkiej stracie i sieroctwo zabiły mego Maurycego. Są ludzie, którzy nie byliby w stanie przeżyć tak wielkich nieszczęść jakie nas spotkały; takim też był mój Maurycy. Po jego śmierci ojciec Maurycego ugodzony w samo serce ciosem tej boleści, tarzając się od ucisku i smutku, wyrzekł te pamiętne słowa z największym żalem: „Wstydem jest przeżyć takich synów“. Co on powiedział, to ja czułam w głębi mojej duszy, wstydziłam się w istocie tych nieszczęść naszych, nie rozumiałam siebie: zdawało mi się, że mię niebo upokorzyło, że wycisnęło pieczęć swęj niełaski na czole mojem, że napiętnowaną zostałam na całe moje życie, a tém samem przeklętą. Bóg się ulitował nademną; gorące modły i łzy w kościele księży Dominikanów zrządziły rodzaj cudownego uspokojenia się, sprowadziły świętą rezygnacyę dla mnie. Powoli nauczyłam się uważać w tej śmierci synów moich wyraźną wolę Boga, pewno zbawienniejszą dla nich, niż sądzić i wyobrazić sobie byłam w stanie podówczas. Oddałam ich Bogu w całej świetności ich najpiękniejszych uczuć. Pamięć ich nie skalana żadnym czynem! Prawi synowie ojczyzny! Prawi synowie kochający nadewszystko rodziców, zostaną dla potomności wielkiem wspomnieniem, przykładem wielu cnót i przymiotów duszy i serca.

*Marya M.*

## Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż, dnia 6. Marca r. 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la  
Terasse Nr. 50.

### *Kochana Mamo!*

Ostatni list Mamy z dnia 21. Lutego dzisiaj o godzinie czwartej z południa odebrałem i natychmiast odpisuję. Jak zapewne Mama musiała już wyczytać z ostatniego listu, który wraz z nowemi broszurami posłałem przed dziesięciu dniami, *Kamil był w bardzo wielkiem niebezpieczeństwie*. To niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło! Obowiązek sumienia i miłość braterska każą mi być szczerym. — Niechaj Rodzice dzielą moją obawę, bo ja jęj znieść sam nie jestem w stanie! Dla Kamila nie masz innego ratunku, tylko powietrze południowe. Same tylko klima może zagoić rany w jego płucach i wstrzymać gwałtowny kaszel, często ze krwią zmieszany, który go piętnaście przeszło dni utrzymuje w takim stanie, że ani na jeden kwadrans, ani na jedną minutę zasnąć nie może... To złe, które fizycznie młodego człowieka atakować może, zdaje się *wysilać na Kamila* całą moc swoją. Bezsenność nieustanna od dwóch tygodni. Wizykatorye, apertury, pijawki, synapizma, niestrawność ciągła, ból głowy chwilami tylko przerywany, dalej cierpienia honoroidalne z boku do krzyżów przechodzące, oddech ciężki, duszący, oto obraz niesłychanej męczarni przez tak długi czas. Ten tylko znieść może, kto jak mój Kamil kochany ma lat 27. Trzeba mojej olbrzymiej konstytucyi, żeby nie umrzeć natychmiast z żalu i desperacyi. Nie będę nic tań przed Mamą. Kamil jest na kształt cienia, a ja nakształt szyldwacha, który z bronią w ręku stoi na warcie przy łóżku tego cienia i strzeże, żeby się jak para w powietrzu nie rozpląnął. Położenie moje okropne i humor tak zmieniony, że samego siebie

nie poznaję. Może też dla tego i głupstwa piszę. Ale Mama, która jesteś tak dobra jak anioł, wybaczysz, wybaczysz mi to wszystko. Sama myśl, że Kamila podług opinii doktorów — którym jednak nie wierzę — stracić mogę, przekonywa mnie, że jest jeszcze jedno nieszczęście, którego nie znałem ze wszystkich innych nieszczęść mnie znajomych, najnieznośniejsze. Z tém wszystkiem, pomimo opinii lekarskiej, nie zgasła jeszcze ostatnia nadzieja w mojej duszy. Jeżeli to prawda, co doktorowie mówią, że *pluca Kamila są w stanie toczenia*, w takim razie tylko w tym nadzieja, który z wysoka króluje nad światami i widzi myśli nasze i sądzi skrytości serc naszych. W takim razie ani powietrze mu nie pomoże i musi umrzeć — ten Kamil, którego zawsze kochałem, ale który dopiero za granicą zaczął być drugim mną i jestestwem mojego jestestwa. Jeżeli zaś podług opinii innych doktorów rzeczy nie doszły do tego stopnia w piersiach Kamila, pomimo niebezpiecznych symptomatów, w takim razie za życie jego ledwo by zaręczyć nie można; w takim razie klima południowe Francyi, temperatura, obora krowia, mleko osłe i powietrze go wykuruje. Dla doświadczenia skutków tego ostatniego sposobu uważania jego choroby, musimy wyjeżdżać z Paryża, im prędzej tém lepiej, o 230 lieus aż pod *Nièce*. Z jaką to trudnością ta podróż przychodzi. On jest tak słaby, że z łóżka prawie ruszyć się nie może, a tu ustawiczna ślota, albo wichry wiosenne. Jakże go wsadzić do powozu? jak się odważyć wyjechać z Paryża i wystawić go choć na kilka godzin na to powietrze?

Tymczasem robią się wszelkie przygotowania do podróży, w którą Kamil instynktem wierzy jak w zbawienie. Niechaj Mama nigdy nie pisze o miniaturach naszych, ta myśl jest dla Kamila niebezpieczna. Od kilku dni ciągle mi mówi: „Proszę cię, każ przyjść panu S... malarzowi znajomemu. Niechajże zrobi moją miniaturę;

poszłę ją Mamie do Polanki, bo niezadługo umrę, czuję, że żyć nie mogę, desorganizacya jest w moich pierśsiach (to jego ulubione wyrażenie), a trzeba żeby Papa widział mój portret przed śmiercią.“ Te wyrazy Kamila na wskrós mię przeszywają i są dla mnie powolną trucizną. „Kamilu,“ odpowiadam mu zawsze, „nie bądź dzieckiem, żaden suchotnik jeszcze nie myślał o śmierci. Ty właśnie dla tego, że ciągle myślisz, że żyć nie będziesz, nie umrzesz. Gdybyś miał suchoty, suchoty prawdziwe, tobyś zawsze miał nadzieję wyzdrowienia, ale że takie dzieciństwa roją ci się w głowie, więc to jest znak nieomylny wyzdrowienia; a kiedyśmy oba szli na Moskalów pod Okuniowem, pod Wawrem, pod Liwem, pod Prytyczą, czemużeś wtenczas nie kazał robić portretu twego i mego, chociaż obadwa tysiąc razy na godzinę zginąć mogliśmy!“ Tylko co mu wyperswadowałem myśl miniatury, która u niego jest połączona z myślą śmierci, z myślą pamiątki dla Rodziców, gdy wtém przychodzi list Mamy, a w tym liście znowu mowa o miniaturach. Nowy ambaras. „Każ zrobić miniatury,“ mówił mi dzisiaj przeczytawszy list Mamy. „Ale Kamilu kochany, ty tak źle wyglądasz, przestraszysz Rodziców twojemi zapadłemi rysami. Każę zrobić miniaturę, ale nie teraz; potém, gdy się będziesz miał lepiej.“ Ledwo go tém uspokoiłem. Niechaj Mama nie pisze o miniaturach. Ja wierzę, że Kamil przyjdzie do siebie, wtenczas każę go odmalować.

Dnia 9. Marca. — Dzisiejsza noc i ranek utwierdzają mnie w tém mniemaniu i przekonaniu. Od dni kilkunastu Kamilek spał pierwszy raz pięć, sześć godzin w nocy; dzisiaj mało co kaszlał; jest daleko weselszy i cały zajęty podróżą. Upadł śnieg marcowy i powietrze nadzwyczaj zimne, lecz darmo go nakłonić do cierpliwości. On o niczém nie myśli, tylko o najprędzszym wyjeździe z Paryża. — Szanowny i kochany Lafayette jest głównym

protektorem tój całej niezmiernie kosztownej entrepryzy. On Kamilowi dostarcza pieniądze, on protekcyę swoję zaręczył mu w rządzie, chociaż, prawdę mówiąc, Lafayette u Soulta nie wiele może, ale za to bardzo wiele u jego podkomendnych. Słabość Kamila była ciągle i jest tak kosztowna, że bez interwencyi tego prawdziwego protektora naszego we Francyi, nigdybyśmy z kłopotów naszych wybrnąć nie zdołali. Nie możemy ruszyć z miejsca, bez zapłacenia w hotelu 400 franków; droga będzie kosztowała drugie 400 franków, trzecie 400 franków potrzebne są na uetablizowanie koło Nièce i na powrót dla mnie; bo ja dla moich interesów koniecznie, odwiózłszy Kamila na południe i osadziwszy go tam, do Paryża wrócić muszę; słowem, bez tysiąca przeszło franków nie mógłbym uskutecznić tój ogromnej drogi. Ale to są realne fraszki w porównaniu z niebezpieczeństwem Kamila, i nie masz tak trudnej rzeczy, którejby za pomocą przyjaciół naszych zrobić nie można. Najtrudniejszy sęk w tém, żeby wyrobić u rządu 1. paszport i pozwolenie wyjazdu z Paryża, z zaręczeniem powrotu do Paryża po wyzdrowieniu; 2. powiększenie gaży dla Kamila; 3. pobieranie tój gaży na miejscu. To są tak trudne entrepryzy, że mi głowy nieraz braknie, co począć z tymi przekłętymi urzędnikami, którzy, jak wszędzie tak i we Francyi, są najnieznońszymi figurami. Rząd tak dalece jest niechętny Polakom, że wszelkiemi sposobami się chce pozbyć emigracyi. Używa do tego wszelkich środków. Kilka dni temu, ofiarował interwencyą swoję do Prus i Austryi, żeby dla Galicyanów i Poznanianów wyrobić amnestyę, to jest, pozwolenie powrotu do tych krajów dla tych, którzy są albo z Księstwa Poznańskiego albo z Galicyi; ponieważ zaś trudno będzie dobrowolnie skłonić do tego Galicyanów i Poznanianów, więc rząd postanowił ich zmusić przez zmniejszenie, a następnie przez odjęcie żołdu. Od 1. Kwietnia mamy być tedy wszyscy razem

oddani pod zarząd kommissyi spraw wewnętrznych. Dotychczas bowiem zależała emigracya od ministerstwa wojny, a to się znaczy, że emigranci Polacy porównani zostaną z emigrantami włoskimi, portugalskimi i hiszpańskimi, co na jedno wychodzi, że będą brali bez różnicy stopnia po czterdzieści pięć franków miesięcznie. Azatém Kamil jako major brał sto franków, a ja jako porucznik sześćdziesiąt franków, razem stosześćdziesiąt; będziemy pobierali od 1. Kwietnia tylko po czterdzieści pięć, a razem dziewięćdziesiąt franków, azatém odbiorą nam siedmdziesiąt franków. Cała moja usilność zależy na tém, żeby co do Kamila tę modyfikacyę zmienić. Muszę to uczynić przez wzgląd na jego słabość, a szczególnie przez wzgląd na moje natarczywe przełożenia, któremi nie daję pokoju ministerstwu. Zresztą mało mnie to obchodzi. Ta cała pensya bez zmniejszenia jest niczém prawie w porównaniu z naszymi terażniejszymi, bardzo wielkimi wydatkami, którym tylko kochany Michaś swoim dziennikiem zadosyć czynił i czyni, którym tylko starania Lafayette'a poradzić mogą. Co do tego punktu jestem zupełnie spokojny i dam sobie radę.

Nierównie więć mię obchodzi los mojego pisma o rewolucyi, które w stanie obecnym wypracowania i zbieranych przezemnie materyalów, jest *une affaire d'état* dla całej Polski, a którego po polsku w Paryżu bez kilku tysięcy franków żadną miarą wydrukować nie mogę. Niezmiernie mi się podobał projekt Mamy, zbierania na ten cel prenumeraty. Trzeba, żeby się tem zajęły osoby z pewnymi koneksyami. Kontrakty lwowskie byłyby do tego najwłaściwszą epoką. Nie idzie tu o mój interes, ale o rzecz publiczną. Galicyanie pokazaliby się największymi cymbałami pod słońcem, gdyby mi nie przysłali na druk kilku tysięcy franków, które im w egzemplarzach za pomocą literackich kommissyonerów w Paryżu, Lipsku, Dreźnie, Wrocławiu, Wiedniu, jak najpункtualnięj zwrócę. Co to za oby-

watelstwo u tych ludzi! Niedosć że dotychczas ani gro-  
sza nie posłali emigracyi, której byt bez ogromnych  
funduszków, bez milionów może tu być podkopany, ale  
nie mogą się zdobyć na druki wyświecające interes re-  
wolucyi? Więc my mogliśmy powstać, stracić dla wspól-  
nego interesu wszystko, cośmy mieli; mogliśmy krwawe  
bitwy staczać z najpotężniejszym mocarzem kuli ziem-  
skiej, a oni dzisiaj nie mogą nam nawet dopomóc do  
ogłoszenia w ojczystym języku tych wszystkich dzieł. Co  
to za polityka! Gdybym był nie tak pewny Polaków jak  
jestem i sam nie był prawym Polakiem, tobym po fran-  
cuzku albo po niemiecku przywary rządów naszych po-  
dał do wiadomości europejskiej. W takim razie nietylko  
bym nie potrzebował pomocy galicyjskiej, alebym mógł  
bardzo wiele zarobić, mógłbym nawet bardzo sławnym  
zostać między obcymi, którzy mnie gwałtem ciągną do  
wydania mego rękopismu po francuzku. Dotychczas nie  
chciałem tego uczynić, rozumiejąc zawsze, że polityczniej  
jest swoim po polsku pisać prawdę, aniżeli całą Europę  
uwiadomić o nieskończonych głupstwach, które nas do  
dziesięjszego stanu przywiodły. Jak widzę, nie umięją  
tam ocenić w Galicyi tój roztropnej polityki. Jakożkol-  
wiek proszę Mamy, żeby ten list Papie komunikowała.  
Do Krzyżanowskiego piszę osobno w tój materyi. Papa  
i Krzyżanowski nie potrzebują z mojej strony żadnego  
formalnego aktu do upoważnienia rozmaitych osób, aby  
prenumeratę zbierali. W tym interesie dosyć jest kazać  
wydrukować kartki z moim podpisem tój treści: „Hi-  
storya politycznych i wojskowych wydarzeń ostatniego  
powstania narodowego, ze źródeł autentycznych, we  
dwóch tomach z mappami; cena dukata z kosztami trans-  
portu, z zastrzeżeniem, że ci, co nie prenumerują teraz,  
będą musieli dwa razy tyle zapłacić po wyjściu dzieła.  
Z broszur Michała mogą mieć ideę, co w tём dziele  
znajdować się będzie. Szpazier wydał po niemiecku trzy

tomy, w których tyle jest fałszów i plotek, że to dzieło za kompilację bajek bez żadnego sensu uważać można. Wszystkie koterye inspirowały po kolei tego głupiego Niemca, który o mnie samym tyle dzieciństw nabajał. Jeżeli tedy żadne prawdziwe pismo nie wystawi tego, co się u nas działo, cóż się stanie z całą chwałą naszą? co późniejsze czasy będą o nas rozumiały?

Piszesz mi Mama o Załuskim w takich wyrazach, jakby to był najlepszy człowiek, a ja mam honor uprzedzić państwo, że się potrzeba mieć z nim bardzo na ostrożności. Nie chcę nic złego o nim mówić; to wiem tylko, że jego konnekcye sięgają ledwo nie bieguna północnego. Bardzo mi się to nie podoba, że on, jak Mama piszesz, czatuje na wszystkie wiadomości z zagranicy. Bóg wie jaki on użytek robi z tych wiadomości. Powtarzam raz jeszcze, nie posądzam nikogo, ale radzę mieć się na ostrożności — *il faut être sur le qui vive!* z takimi ludźmi. Z tém wszystkiém ja się mylić mogę. — Dzisiaj Kamil napisał do Mamy na osobnej karteczce; mego listu czytać mu nie dałem i proszę kochanej Mamy, aby w listach, które obydwaj razem czytamy, najmniejszej wzmianki nie zrobiła, że ja jego słabość za tak niebezpieczną wystawiłem. — Dokończę na ćwiartce Kamila.

#### 8. Marca 1833 Kamil pisze:

List najukochańszéj Mamy datowany 21. Lutego doszedł nas 6. Marca b. r. Zasmucił on mnie o tyle, o ile Mama w nim tak niepotrzebnie alarmuje się moim stanem zdrowia. Ja tak się przyzwyczałem do cierpienia, że mnie już prawie nie dotykają, a co będzie nadal, o to niedbam i to sędzę być najmędrszą polityką. — Im prędzej i naglój wypadałoby mi wyjechać z Paryża, tém większe choroba zdaje się promadzić przeszkody, aby utrudnić albo przynajmniej odwlec wyjazd. Przyłą-

czyła się pleura, na którą ciężko leżałem przez kilkanaście dni; dotąd jeszcze kolek w płucach pozbyć się nie mogę. Zresztą abym tylko cokolwiek był mocniejszy, natychmiast ruszę; bo czuję przez instynkt, że mnie tylko klimat pomódz może, a może później w lecie wody badeńskie. Doktorowi mojemu wypowiedziałem posłuszeństwo co do lekarstw, któremi mnie zalewał; od trzech dni nic nie biorę wewnątrz; jest mi lepiej, i choć kaszlę i nie śpię, ale przynajmniej nie doświadczam mdłości, osłabień itd. Zaklinam Mamę, aby się bynajmniej nie troszczyła tą słabością; ani nie wątpię, że z niej wyjdę; a jeżeli się jeszcze cokolwiek ponudzę, to dla tego, aby potem czerstwiejszego używać zdrowia. Maurycy obszerniej pisze, a ja całuję stopki Mamy i całej familii.

*Kamil Mochnacki.*

### Maurycy kontynuuje tę ćwiartkę.

Tymoleona ściskam serdecznie. — Jakie ja teraz smutne rachunki zaczynam czynić z sobą samym w dzisiejszym niebezpieczeństwie Kamila. Jużby mi więc ten jeden tylko brat pozostał? — Klimce Głogowskiej zasylałam moje ukłony. Zasmuci ją ten list; ale wierz mi Mama, ja chcę, aby wszyscy, co znali i kochali Kamila, podzielali zemną całą moją obawę. Dla czegoż ja sam miałbym dźwigać cały ciężar żalu, który nas spotkać może? Może kiedy będziemy wszyscy razem wzywali pomocy nieba. Niebo nas prędzej wysłucha. Kamil jest tak błady i dziwny teraz, że zdaje się, iż w połowie należy do tamtego świata, a w połowie do nas. Trzeba mu tedy prawdziwie chrześcijańskim sposobem zagrozić drogę do śmierci, *modlitwą*. Nie! wierz mi Mama, Pan Bóg nie zechce mi wyrządzić tej ciężkiej krzywdy. Los

targuje się zemną; zdaje się, że mówi do mnie: a jeżeli ci go zachowam, czém mi się za to odwdzięczysz? — Szanownej Cioci Cieńskiej i Cioci Zosi zasylam moje ukłony. — Listu od kochanego Papy oczekuję z największą niecierpliwością. Choć wyjadę z Paryża, adres ten sam. Michał mi listy odeszle.

### Maurycy Mochnacki.

#### Nota.

Jakie okropne położenie Maurycego! Żał swój jak czule wyraża! Co za ambaras straszny, wywozić brata, prawie umierającego; bez sił, bez wygod potrzebnych, bez pieniędzy. Wszystko się paliło w jego głowie; razem i podobieństwo jechania *coute qui coute* i żal cierpiącego, schodzącego Kamila, tego tak miłego, tak drogiego, kochanego, poważanego, pełnego cnót i przymiotów prawdziwie męzkich. Nie był to już ów Kamil, młody chłopiec, który niegdyś marzył po cichu pod płaszczykiem munduru saperów w szkole podchorążych. Marzył i milczał, rumienił się lub bladł, lecz milczał, bo musiał. Był to już Kamil, mąż dzielny, determinowany, charakteru niezłomnego; głowa dobra, zdatności niepospolite; żołnierz w całym znaczeniu; a jaki syn! Poznać to można w jego wyrażeniach się. Silił się z łoża swego boleści, gdzie zwątpił o swoim życiu, a pocieszał swoją matkę choć kilku wierszami swojej ręki. Słowem, Kamil był to człowiek niepospolitego charakteru w każdym względzie. Nadto był on potrzebny Maurycemu i do rady i do działania; był on jego filarem, podporą, jego pociechą i jego wszystkim. Miał bowiem wyraźne, przeważne znaczenie. Styl jego pisma był szczególnie miły, choć prosty; serce najlepsze; powierzchowność szczególnie ujmująca. Kamil był piękny chłopiec co się zowie, a przytém oficer. Wzrostu miernego, lecz nie mały, szczupły, nie nadto cieniutki, zupełnie proporcjonalny; płeć biała, bladawa; zawsze zakrawał na kogoś bardzo delikatnego. Oczy niebieskie, duże, wypukłe, coś tak łagodnego i słodkiego jawiły; uśmiech częsty igrał na tych ustach niezmiernie pięknych; twarz okrągła, włosy czarne dość, ni blad, ni chatin, z boku we włosach mały wicher; ucho małe, bardzo ładne; figurka jak utoczona.

Szybki, zwinny; gdy chodził, zdało się, że leci jak kula. Pamiętam, podczas rewolucyi prosił mię z sobą, by robić sprawunki, bo miał z wojskiem na Litwę odechodzić. Poszłam z nim, lecz niepodobna mi było nastarczyć kroku, zgubiłam go i sama wróciłam. Kamil mój był szczególnie miły, mało mówiący, ale czynny. Lubił czytać, pisał nawet do dzienników, lecz mu to, jako podchorążemu, zakazał pułkownik. Mówiono mi podówczas, że muzyka i piśmienictwo, do czego Kamil miał wielką ochotę, psuły mu zasługi u wielkiego księcia Konstantego, który chciał tylko posłusznych żołnierzy i nic więcej. Można sobie wyobrazić czem tak odmalowany Kamil mógł być dla Maurycego za granicą. Tracąc takiego brata ile cierpiał! Powtórę, jakże go oburzała niepodobna do wyekwowania myśl drukowania jego dzieła o rewolucyi. Z jednej strony widział najistotniejszą potrzebę, aby odkryć światu prawdę dla wsparcia chwały narodu, dla nauki i przykładu tój to ojczyzny, której poświęcił wszystko; z drugiej strony zażalony na Galicyą, że tak obojętna, że nie dopomaga do wykrycia prawdy nażytek narodu. To uniesienie się jego nie było słuszne, bo w istocie nie było komu chodzić za tēm, a tak w tych wielkich zgryzotach niszczył Maurycy powoli swoje siły i nic dziwnego że musiał umrzeć w 31. roku życia swego.

*Marya M.*

### Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, dnia 5. Kwietnia 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la  
Terasse Nr. 50.

*Najdroższy, najukochańszy Papy!*

List ostatni Papy z dnia 18. Marca b. r. zamiast zamucenia mnie i Kamila, przejął nas owszem najżywszą radością. To wszystko, co Papie pobyt w Galicyi czyni nieznośnym, jest według mego zdania prawdziwem szczęściem dla nas; bo przyspiesza chwilę, w której znowu razem będziemy i już się nigdy nie rozłączymy. Od tego com dawniej napisał w tój mierze, nie odstępuję. Nie masz dla Papy pobytu nigdzie na całym świecie, tylko z nami, tylko we Francyi. Tego wymaga nasza wspólna

spokojność, a prawdę powiedziawszy, zarazem i honor nasz. Razem poświęcaliśmy się dla sprawy publicznej, razem powinniśmy znosić jej konsekwencye. To wszystko, co Papa pisze o tułactwie między swymi, jest ewangieliją. Nic prawdziwszego, Polska musiała zginąć! Dzieło swego wyjarzmienia rozpoczęła od prześladowania ludzi najzacniejszych, najrozumniejszych, a upadek swój, swoje nieszczęście piętnuje tém, że ich szanować nie umie, nie rozumie w tułactwie. Inny kraj chlubiłby się takimi ludźmi, jak darem Opatrzności, gdyby miał sposobność ocenienia, wspierania, wynagradzania takiego człowieka zasłużonego, jak nasz Papa kochany! Papa jesteś tém, czego Polska nie pojmuje, i wierz mi, kochany Papo, nie masz tak złego losu za granicą i nie masz takiego niedostatku, któryby mógł iść w równą mierze z *tułactwem między swymi!* Ja nie wrócę do Polski, choćby była niepodległą! Najprzód wiem, że ludziom tak uczciwym, jak my jesteśmy, nigdy się tam powodzić nie będzie. Przyjdzie jednak czas i to niezadługo, w którym ziomkowie nasi inaczej nas uważać będą; ale wtenczas staniemy się ostrożniejszymi. Wrócą do Polski ci sami ludzie, którzy ją zgubili, którzy ją znowu zgubią, choć ją Bóg wskrzesi! Tacy tylko są tam uważani, ale nie my. Nam zostać na ustroni i umrzeć na obcej ziemi przystało. Czyż mógłem ja się kiedy spodziewać, abyś Papa był w Galicyi tułaczem — to mi się w głowie zmieścić nie może, choć to jest rzeczą tak naturalną. W którymże kraju dobrze się działo tym, co rewolucyą zaczęli? Najszcześniejsze rewolucyje gnębią twórców swoich; a cóż dopiero tak nieszczęśliwa jak nasza.

Francya jest jedyny kraj na świecie, gdzie my sobie coś zarobić możemy. Pytasz się Papa, jakie są nasze widoki, jakie nadzieje? Co poczniemy, żeby z głodu nie umrzeć? Na to odpowiem, a zacznę najpierw od

ogólnego stanu emigracyi. Rząd francuzki niczego nie zaniedbuje, aby przymusić emigracyę w największej części do powrotu. Od 1. Kwietnia o połowę zmniejszył żołąd, który Polacy dotychczas pobierali. Kamil jako major brał 100 franków na miesiąc, a ja jako porucznik 60 fr.; teraz Kamil 60, a ja 40 brać będziemy. Lecz czyż Papa sądzisz, że to mnie i Kamilowi jaką dyferencyą czyni? Broń Boże! Jak tamten, tak ten żołąd jest niedostateczny, i we Francyi na żadną uwagę nie zasługuje. Kamil rok przeszło choruje, a kuracya jest tak kosztowna, że nie było miesiąca, żebyśmy 300, 400 franków nie wydali, a jednak najwięcej 200 fr. długów mamy. — Piszę to w willię wyjazdu naszego do *Hyères* nad morze śródziemne, gdzie doktorowie Kamilowijechać kazali dla powietrza. Wystaw sobie Papa, że ten wyjazd przeszło 900 franków nas kosztuje. Dotychczas więc dziwny los nam sprzyjał. Prawda, że dotychczas nie miałem czasu obrócić na użytek finansowy moich środków; ale też, jeśli mam prawdę powiedzieć, nie było potrzeby do tego. Niedostatek wcale nas nieuciskał. Kochany Michał ciągle nam dostarczał pieniędzy, które mu przychodziły z jego Pamiętnika. Z tego źródła nie tylko sam swoje potrzeby zaspakajał, ale i mnie utrzymuje w najściślejszym rozumieniu tego wyrazu. Dotychczas więc, jak powiedziałem, nie było potrzeby dawania lekcyi i koncertów na fortepianie; fortepian tyle dla mnie znaczy nie w Paryżu, ale na prowincyi, gdzie muzyka jest jeszcze zupełnie obcą, ile dobra wieś w Polsce. W Metz przeszłego roku dawałem koncert na fortepianie z amatorami koło Wielkiej Noey, wywdzięczając się zacnym mieszkańcom tego miasta za gościnność, z jaką kolumny polskie, tamtędy maszerujące, przyjmowali. — Michał Papie napisze, cobym był mógł zarobić, gdybym był chciał, w tém mieście. — Dzisiaj, ponieważ żołąd nam zmniejszyli, ponieważ może go zupełnie odejmą dla

przypodobania się moskiewskiemu ambassadorowi, rzucam się tą drogą, która we Francyi nietylko wielki zaszczyt czyni politycznym oficerom, ale przynosi im wielkie zyski. Nigdybym nie śmiał narażać mego najdroższego Papy na tak wielką podróż, gdybym nie był pewnym, że w jednym z departamentów południowej Francyi uczciwie i wygodnie żyć będziemy. — Jutro wyjeżdżamy. W Chalons, w Lyonie, w Tulonie, w Marsylii, w najpiękniejszym kraju na świecie, po drodze nawet rozpoczynam moje muzykalne zabiegi. O sobie bez pochlebstwa i jedynie dla zaspokojenia Papy powiedzieć mogę, że we Francyi nawet z Juste-milieu, z rządem, z Karlistami, zawsze mi się szczęściło. Posiadam język tak dalece, że mogę nim w każdej kompanii płynnie mówić i pisać bez żadnej trudności. Związki gdzie tylko zechcę porobię sobie. Wszędzie człowiek młody i czynny, wszędzie artysta da sobie radę; jest to kraj przemysłu, kraj sztuki, kraj zarobku; daję Papie słowo honoru, że na miesiąc w samych zaraz początkach będę mógł mieć 100 do 150 franków z fortepianu, dając tylko lekcye po trzy franki na godzinę, mówię to na samym początku; bo jeżeli Bóg da, że się uetablizujemy w miejscu przyzwoitem, to łatwo będzie można powiększyć tę sumę.

Listu tego już nie mogłem skończyć w Paryżu, kończę go tedy w Auxerres, o 40 lieus od Paryża, dnia 7. Kwietnia na drodze do *Hyères, departament de Vos*, gdzie Kamil mieszkać będzie.

Adaś Gurowski jest w Londynie; wariat, ale dobry człowiek, z najlepszym sercem i zawsze do nas przywiązany. Dałem mu polecenie, żeby w Londynie porobił kroki do zrealizowania dawnego mego planu. Napisze mi, jakie porobił znajomości we względzie koncertu, gdzie go dać najlepiej? Czy na którym z wielkich przedmieść londyńskich, czy na prowincyi, n. p. w Birmingham, Manchester, Glasgow, i t. d.? Myślą moją jest, zebra-

wszy cokolwiek we Francyi pieniędzy, a potrzeba mi koniecznie mieć na ten cel 1500 franków najmniej, pojechać do Londynu. Tam za pomocą komitetów i przyjaciół naszych dać koncert, z którego najmniej, najmniej mówię, 500 funtów szterlingów mieć mogę. Gurowski, który już raz był w Londynie, powiedział mi, że ze wszystkich zarobków ten jest najpewniejszym w Anglii, on mi radzi grać koncert dla ludu na przedmieściu. — Zaręczam kochanego Papę, że to nie są romanse. Jak żyję, tak dobrze nie grałem na fortepianie jak teraz, a ponieważ idzie o zrobienie pieniędzy, z całym poświęceniem rzucę się tą drogą, i nie wątpię, że w Anglii za parę lat przyjdę do pewnego nawet majątku. Reassumuję się. Fortepian jest naszą fortuną. Ja i Kamil bierzemy teraz od rządu 100 fr. Dla Papy wyrobimy 60 fr. na miesiąc; przyjdzie to z trudnością, ale nie masz takiej rzeczy, którejby za pomocą wpływów zrobić nie było można. Będziemy więc mieli 160 fr. na trzech. Nie może być, żebym 150 fr. z lekcyi nie miał, to jest na prowincyi. Będzie więc 300 fran. na miesiąc dla nas trzech; jest to bardzo mało, ale wyżyć można na prowincyi. Czyż to ja nie wiem jak Papa mało potrzebuje? Ta bieda długo nie potrwa, albowiem ja proszę Papy żebyś bez żadnej zwłoki kroki następujące poczynił do ułatwienia projektu londyńskiego:

1. Myśl zbierania prenumeraty jest zbawienna. Pułkownik Łagowski napisał już w tym interesie do brata swego. On, Papa i Juzio zajmą się tym przez pełnomocników swoich.

Zbliżają się kontrakty Lwowskie. Posyłam Papie kilkanaście prospektów drukowanych z moim podpisem. Prenumerata na 2 tomy 15 fr. wynosi. Żleby było gdyby forsując we trzech, nie sprzedało się najdalej we dwóch do trzech miesięcy 450 do 500 biletów. Niechaj Papa część prospektów moich poszle do brata pułkownika,

prosząc go, aby pieniądze zbierane posłał do brata pułkownika do Paryża wiadomemi sobie drogami, niechaj się podejmie sprzedać 150 biletów. Przyjaciele nasi przedadzą we Lwowie 200 na kontrakty, Jozio przeda 100 z punktu swego. Papa pieniądze za te 200 i za te 100 niech weźmie i przyjedzie do nas. Jan Henryk którego serdecznie ściskam, nie odmówi swój pomocy w czasie kontraktów. Przedaj pójdzie prędko i łatwo. Za te pieniądze nasz kochany Papa przyjedzie do Francyi. Dzieło się wydrukuje i przyniesie nasze zyski. Nakoniec będzie można coś przedsięwziąć w Londynie. Wszystko zależy na tém, żeby można znaleźć osoby chcące się tém interesować. Duch mojej historyi znany już jest w Polsce z fragmentów umieszczonych w broszurach Michała.

2. Niechaj Papa z uwagą przeczyta list Michała tu załączony. Od powiększenia i tak już znanej i znacznej liczby prenumeratorów tych broszur wiele zależy. Przedewszystkiém idzie o to żeby Michał miał do czynienia wprost z którym księgarzem we Lwowie n. p. z Milikowskim, a nie przez pośredników, którzy go okropnie zdzierają zarazem i publiczność polską. Już ta entrepryza koniecznie się utrzyma. Wychodzi trzeci tom pamiętnika Emigracyi, który coraz więcej nabywać będzie powagi. Najlepiej jednak Michał się wyrazi względem środków polepszenia stanu finansowego dziennika.

W ogólności byt najdroższego Papy, nasz byt, i kochanego Michała, zależy na forsowaniu prenumeratorów mojego dzieła, na entrepryzie muzykalnej, która jest daleko pewniejsza jak prenumerata w Galicyi, na staniach handlowych w kraju, dla ustalenia pamiętnika Emigracyi. Te trzy spekulacje żadnej zwłoki nie cierpią. Dwie drugie, to jest pierwszą i ostatnią Papa z Józkiem, z Janem Henrykiem, z Milikowskim, z bratem pułkownika, przedsięwzięmie z zachowaniem potrzebnej ostrożności i tajemnicy. Są to czasy kupieckie, bądźmy ku-

pcami. Może nam się lepiej powodzić będzie, jak na urzędach w ziemiach i w polityce. Sądzę, że biletów prenumeraty drukowanych posyłać nie potrzebuję; niechaj je Papa według wzoru przysłanego przez Michała w tym liście wydrukować każe. Wszakże to nie ulega cenzurze Lwowskiej, tak sądzą. Gdyby zaś ulegało, to niech Papa pisze do Michała pod naszym adresem, a on w takim wypadku poszle i więcej prospektów, i kilka set drukowanych biletów drogą sobie wiadomą, i o tém Papę uwiadomi. Pod żadnym pretekstem, w żadnym zamiarze, nigdy my dwaj nie wrócimy do Polski, chyba nagle nasz kraj cudem opatrności z grobu powstał cały, wielki, i był rządzony jak my myślimy! Jeżeli Papa nasz drogi przyjedziesz do nas za pomocą Bożą, wtedy prócz żalu za kochaną Mamą, za familią, nie będzie żadnej nadziei, żadnej ponęty, któraby nas mogła zwabić na ojczystą ziemię, prochy i kości nasze nigdy tam spoczywać nie będą. Przysięgam to na wszystko co mam świętego na ziemi i w niebie. Tak znam nasz naród, tak znam ludzi, którzy na niego działają i działać mogą. Tak jestem przekonany, że nigdy się w kraju naszym nie zmieni co do politycznego głupstwa, intryk nikczemnych panów i ich służalców. Tak wielką impressją uczyniła na mnie ostatnia rewolucja, że postanowiłem być wygnańcem do śmierci, a sposób, jak się tam obchodzą z Papą, utwierdza mnie w tym zamiarze. Gdybym dzisiaj wrócił do którejkolwiek części Polski, ręczę żebym się stał za dziesięć dni celem ogólnej potwarzy i powszechnego prześladowania. Za granicą nikt mnie nie stara się szkodzić prócz swoich. Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami. Na miłość Boską zaklinam Papę! niechaj myśl pobytu naszego w ojczyźnie nie bierze góry nad temi konsyderacjami w opinii kochanego Papy. Tu damy sobie radę, w kraju nigdy. Gdyby się nic z tego wszystkiego com napisał nie udało, to wten-

czas będziemy w Paryżu siedzieli. Ja, Papa i Michał będziemy dostarczali potocznych wiadomości do dzienników. Kto umie po niemiecku i po łacinie, nie dozna niedostatku we Francyi i w Anglii. Są i inne środki. Wszystko jest otwarte przed nami za granicą, w kraju zaś nie.

Od dnia dzisiejszego za trzy miesiące będziemy mogli powitać Papę we Francyi, Tymoleona niechaj Papa nie bierze ze sobą. Rząd czyni co może dla pozbycia się emigracyi, zamknął listę emigrantów, nikogo z Polski nie przyjmuje. Papa przyjedzie pod cudzoziemskiem nazwiskiem, Tymoleona potem gdy się urządzi interesa nasze, sprowadzimy, teraz nie masz środka dla niego. Piszę to ze łzami w oczach, z zakrwawioném sercem, bo gdyby było podobieństwem wyrwania z kraju tego chłopca, i utrzymania go tu za granicą, tobym połowę mego życia za to oddał.

Słabość Kamila straciła swój zatrwajający charakter. Ujechał bez odpoczynku 40 lieus i nie jest zmordowany. Nocujemy tu w Auxerres, jutro pojedziemy o dziesiątej do Dijou, ztamtąd do Lyonu, z Lyonu do Hiers.

List ten posyłam do Paryża na ręce Michała. Z drogi pisać będziemy. Całujemy rączki, nóżki stryja, stryjenki, Edzia Januarka, Maxymiliana, Piotrusia; Kamil także swój list załącza.

*Maurycy Mochnacki.*

#### Nota.

W tym liście wykazuje się cały duch Maurycyego. Nie lękał się bynajmniej sprowadzić do siebie ojca, bo ufał swojej głowie, swojemu talentowi do muzyki, w czem miał zupełną słuszność. Muzykę posiadał w najwyższym stopniu, gra jego na fortepianie była pełna. Oburzała go myśl, że człowiek równie godny jak zasłużony, człowiek wielkiego charakteru jakim był ojciec Maurycyego, nie

doznał w Galicyi i najmniejszych względów; nikt go nie szukał, i nikt o nim wiedzieć nie chciał, chociaż przed 12. laty w tój samej Galicyi był znany, szanowany, i kochany jako obywatel, jako człowiek z sercem i głową, pełen zdatności; teraz zapomniony musiał cierpieć niedostatek i tulić się u poczciwych ludzi, lecz najmniej mogących osłodzić mu wszelką niedolę po stracie ojczyzny, własnego mienia, swego bytu pięknego i synów! — Można nazwać duchem wieszczym Maurycego w tём miejscu, gdzie pisze, że oba z bratem nie wrócą już nigdy do Polski, która ani kości, ani popiołów ich nigdy mieć nie będzie; bo i w rzeczy samej byli obadwa na drodze ku bliskiej śmierci. Pisali z Auxerres: Niestety! Kamil w pięć miesięcy żyć przestał w obcym ustroniu z Hyères dokąd właśnie podążył z taką trudnością, gdzie się wybrał z Paryża pomimo tak wielkiego niepodobieństwa i użył ostatnich sił swoich do tój wyprawy. A Maurycy po nim w rok jeden i miesięcy cztery w temże samem mieście Auxerres, gdzie nigdy mieszkać nie myślał, umarł, zstępując powoli do grobu od śmierci ukochanego brata. Pamięć jego uczcili przyjaciele postawiwszy mu pomnik w tём mieście; okazali przez to że Maurycy zasługiwał w całym życiu na lepszy los, aniżeli doświadczać go musiał przez zbieg najfatalniejszych okoliczności. Jako Maurycy pełen był życia, pełen energii, pełen miłości synowskiej, kiedy to pisał! Można powiedzieć że do lat 30 miał zakonserwowane uczucia: życia był skromnego, żadnego zbytku, żadnego excessu nie zrobił, był w całej sile, ufał przyszłości. Lecz mocno się pomylił na swoich widokach w Galicyi, żadnej ztamtąd pomocy nie doznał. W ów czas już zdemoralizowali się Galicyanie, stracili wiarę we wszystko; ze złego na coraz gorszy stopień postępowano. Rząd prześladowanie rozpoczął, już niewolno było zbierać prenumeraty, już się wszystko niepowodziło, a ci do których przemawiałam jako matka, nie wszyscy odpowiedzieli staraniom moim, zawód na zawód na wszystkie strony, z pieniędzy albo bardzo mało, albo nic. Ta właśnie jest przyczyna, a nie inna, że owe dzieło Maurycego wyszło tylko w dwóch tomach, kiedy wsparte stałoby się kompletnem, byłoby skarbem narodowym, wieczną pamiątką błędów i cnót naszych. Właśnie do wszystkich fatalności, które nas spotkały, i tę szkodę policzyć jeszcze można, że nie dopomóżono temu młodemu człowiekowi o tyle zdolnemu jak się przecie przekonano, by ogłosił światu wszystkie prawdy bezstronnie, których był świadkiem, poczęści autorem i współuczestnikiem. Pisano, i pisało wielu w tój materii, lecz nikt nie przewyższył, ani zrównał jemu nawet w wyjaśnieniu charakterów, wyłożeniu powodów, dla czego upadła ta

wielka sprawa narodu naszego, która już stała na tym stopniu, z którego po zasłużone, a sprawiedliwe pożytki dla siebie, śmiało już sięgać można było.

Nigdy dość odżałować nie można, że Maurycy nie dokończył przedsięwziętego dzieła; wszakże w listach swoich przy końcu do nas pisywanych donosił, że ma gotowe materiały na cztery tomy. Kiedy człowiek takich zdolności jak on, poświęci się całą duszą swojej pracy, jakże okropnie być musi dla niego, gdy widzi, że mu ręki podać nie chcą! Nie można powiedzieć żeby nie ufano jego zdolnościom, gdyż miano czas go poznać i że potrafi niemal wszystko co zechce, wszakże w Warszawie świat literacki przemawiał już najpochlebniejszymi wyrazami za tym młodym człowiekiem; już pismo jego o literaturze zadziwiało pomysłem i sposobem nowych prawie wyrażań się; już recenzje po gazetach i rozmaite artykuły pisane z taką łatwością i trafnością sądu, przepowiadały w nim znakomitego autora swego czasu. Nie można też zamilczeć, że Galicyanie podobno najwięcej zbłądzili w tém, że za lekko rzeczy traktowali w tej mierze; mieli sposobność zawiadzać ojca będącego pomiędzy nimi, rozmówić się, jak przystało zrobić dla dobra przyszłości i terażniejszości; nie raczono zastanowić się nawet nad tem; cudów od Twórcy żądać nie mamy prawa. Mamyż my jakikolwiek charakter? Gdzież się rozeszły ofiary owe serc prawych, kiedy zapomniano na jaki użytek najwłaściwiej potrzebaby je obrócić? Te wszystkie myśli dręczyły nas i Maurycego, którego dusza czysta i wyniosła, serce bijące zawsze dla dobra ojczyzniego, geniusz szczególny i talent nadaremnie się wysilały; nikt a nikt dopomagać mu nie chciał.

Więcejby można robić jeszcze uwag nad temi listami; jedna myśl spycha drugą...

*Marja M.*

### **Kamil Mochnacki do Ojca.**

Niedziela Wielkanocna. 1833.

*Najukochańszy Papo!*

Już przecie wyrwałem się z tego niegodziwego Pa-ryża, jedyne i niezaprzeczonego źródła moich wszystkich słabości. Dokazałem sztuki, która niemało zadziwi

moich doktorów. I rzeczywiście jest się czemu dziwować. Zalecali mi oni najstaranniej abym z miejsca po kilka lieus na dzień i to ze wszelkimi wygodami robił, nigdy się niepoważyl w nocy jechać, a jeszcze mniej w słołę. Ja sam miałem szczerą intencją wykonać te przepisy, bo w Paryżu przedwczoraj jeszcze po sześciomiesięczném prawie niewychodzeniu z pokoju, czułem się tak słabym iż nie byłem dość pewnym czy będę wstanie 10 lieus ujechać. Tymczasem inaczej się stało. Ruch powozu, świeże powietrze, posłużyły mi zaraz w kilku pierwszych godzinach podróży, z czego ja korzystając, wszystkie doktorskie przepisy na bok odrzuciłem, i od razu na kamiennej drodze w twardym powozie dniem i nocą 42 lieus uleciałem. Teraz kiedy to piszę czuję się nawet mocniejszym jak w chwili kiedyś siadał do powozu w Paryżu. Ale dość o sobie, wracam się do przedmiotu, który dla mnie jest milszy i droższy nad moje zdrowie, nad moje życie, nad świat cały. Po tem co wyczytaliśmy z pierwszego i drugiego Papy listu, i po tem co Maurycy w obecnym liście Papie donosi, nadzieja niedawno jeszcze bardzo wąta połączenia się z Papą, zamienia się dla mnie w pewność. Wierzaj mi najukochańszy Papo, że ta sama myśl mię uzdrawia, a czegoż się nie mam spodziewać jak się zrealizuje? Co do środków utrzymania się za pomocą talentu Maurycego, bez żadnego zaślepienia, z najzimniejszą rozważą odważam się Papę zapewnić, że są niezawodne. Ja nie jestem łatwowierny, i to co podaję musiało być przez wzgląd na konsekwencje bardzo pilnie rozważane, od samego początku przyjazdu naszego do Paryża jeszcze w roku 1831. Możliwość zarobienia pieniędzy we Francyi na drodze artystowskiej miałem za bardzo podobne do zrealizowania. Maurycemu nieraz nagadywałem o tem, lecz potrzeba napisania historyi o rewolucyi i popierania dziennika Michała, odrywała go nieustannie od oddania się kultywowaniu téj

myśli. Teraz nie posiadam się z radości że cały jest zajęty tą myślą, i za dobre myśli można ręczyć. Co do zawodu literackiego, i tu nie są wyschnięte wszystkie źródła do zarobkowania, choć są daleko trudniejsze i mozolniejsze: dowodem tego jest dziennik Michała, który jemu i Maurycemu do tego czasu, prawie wszystek czas zajmował. Choć wyznać potrzeba z drugiej strony, że nie małe pieniądze przyniósł. Jednym słowem, najukochańszy Papo, materya ta jest wyczerpnięta. Obawa, abyśmy tu z głodu nie pomarli, niechaj będzie dla drogiego Papy jedną z najdrobniejszych przeszkód do połączenia się z nami. Czego sami nie dokażemy, Bóg dopomoże. Proszę najukochańszego Papy donieść Mamie, że listy jój do nas doszły 15. Marca, i że na nie z drogi albo z miejsca odpiszemy. Prosimy wszystkie listy do nas adresować, jak dotychczas bez żadnej zmiany, dojdą nas przez Michała. Całuję serdecznie ręczki i stopki najlepszego z ojców przywiązany syn.

*Kamil Mochnacki.*

### **Maurycy Mochnacki do Michała Podczaszyńskiego.**

Auxerres, dnia 7. Kwietnia 1833. Godzina 1. z południa.

Piszę o 40 lieus od Paryża, kochany Michasiu! Kamil cudów dokazał. W Melun zjadł obiad i dalej do Monterau pojechać umyślił ztąd bez odpoczynku do Sens, z Sens do Auxerres; bez odpoczynku czterdzieści lieus bez przypadku, bez fatygi, z mniejszym kaszlem jak w Paryżu, z przedsięwzięciem zrobienia drugiego takiego kursu do Chalons. Wątpię tedy, żeby nas w Chalons two broszury zastały; adresuj je do Lyonu. — Posyłam ci list od Papy. Pisz do niego obszernie w materyach tam wskazanych i co żywo je odsyłaj. — Ruch powozu

Listy.

i powietrze oczywiście w coupée służą Kamilowi. — Nastusia Dunina uściskaj. List Chłędowskiego, tu załączony, pokaż mu. — Tu nocujemy. Jutro dalej o dziesiątej z rana. Jeżeli tak będą szły rzeczy, prędkiej może wrócić, jak spodziewałem się. — W Lyonie pewno dam koncert. — Dziś mnie głowa okrutnie boli, dla tego kończę. — Pułkownika uściskaj odemnie; powiedz mu, że Kamil większy zuch jak sądziliśmy; lecz on sam bierze pióro do ciebie.

*Maurycy.*

*Kochany Michale!*

Pożegnałeś mię nieboszczykiem suchotnikiem i kandydatem do Powązek, a ja ci donoszę, że żaden z Cześników na całej kuli ziemskiej tego nie dokazał po takiej chorobie co ja. — Już doświadczałem w tych 24. godzinach wszystkich niewygód podróży: zimna, gorąca i powietrza, a jednak nie umarłem, i owszem czuję się silniejszym, niżeli kiedyś wyjechał. — Proszę cię, kochany Michasiu, powiedz o tém Marcinkowskiemu, a kochanego pułkownika uściskaj odemnie po tysiąc razy.

*Kamil.*

**Michał Podczaszyński do Bazylego Mochnackiego,  
ojca Maurycego.**

Paryż, 14. Kwietnia 1833.

Parę dni, jak mi Maurycy przysłał z Chalons sur Saône list do Pana, posyłam go wraz z listem Kamila i z czterema ostatnimi numerami Pamiętników. — Co przewidywałem, to się ziściło. Kamilowi droga pomogła. Odebrałem wczoraj znowu list, w którym mi donosi Mau-

rycy, że Kamil jeszcze się lepiej ma; że kaszel prawie zupełnie ustał, że sen ma spokojny, apetyt dobry. Było to więc nie co innego, jak hemoroidy. Pod tym więc względem proszę być zupełnie spokojnym. Nikt nas nie straszył, tylko doktorowie; a teraz jak na złość, wszystko to co przepowiadali o skutkach podróży, nietylko się nie sprawdziło, ale zupełnie inne, przeciwne symptomata widzimy.

Co Maurycy pisze, że może żyć z fortepianu, jest prawdą. Sam tego byłem świadkiem w Metz. Tak grających, jak on, bardzo jest mało na świecie. Ale to, co pisze, jakobym ja ponosił wydatki na nich, jest bajką; ponosiłem, ale tylko przez parę miesięcy; nie wydałem więcej, jak parę set franków. Tylko Maurycy lubi exaggerować. Gdybym miał, pewniebym nie żałował; ale dochody z prenumeraty właściwie do autora tak pięknych artykułów o rewolucyi, a to w największej części należą. Gdyby nie Maurycy, mój Pamiętnik byłby lichotą; bo nikt pisać nie chce, kto umie; albowy może zupełnie ustał. To tylko dobrze, że i Polacy pierwszy raz dowiedzą się prawdy, i Maurycy pokazuje, że w swoim czasie to samo mówił i pisał co i teraz. Nikt już odtąd nie będzie mu śmiał czynić zarzutów z jego życia politycznego. Wyjaśnił charakter partyi naszych. Honoratkę zbił na miazgę; Lelewela do czubków odesłał; Kaliszaków przekonał, że są głupcy; arystokratów że niedołęgi i t. d. To wszystko szło powoli, plan się rozwijał bardzo leniwo. Dopiero teraz Kaliszanie otworzyli oczy, ale już nie czas. Biorą się już na sposoby. Pod prezydentcyą niby Xawerego Bronikowskiego, Plichta, Kunat et Comp. zaczęli wydawać pisemka; już dwa numera wyszły. Rozpisali listy do Drezna i w Poznańskie, żeby roznoszono wieści, jakoby mój Pamiętnik był najszkodliwszy dla kraju. W Dreźnie Adolf Cichocki, Krurzyński i Bansemer złożyli przeciw mnie kommissyę i posta-

nowili systematyczne plany prześladowania mnie exekwować. Ja pisałem do Drezna, żeby mi o tém dokładnie doniesiono, bo chcę tu wszystkie szczegóły wydrukować.

Wiesz pan D. zapewne że prawie cały zakład w Besançon poszedł do Niemiec. Stało się to w skutek prześladowań nowych, które przyobiecał w Izbie deputowanych minister d'Argout, i w skutku obelg jakiemi Polska, czyli Emigracja nasza była znieważona przez reprezentantów Francyi. Ten postępek braci besansońskich może mieć gorsze skutki dla Francyi jak się spodziewano. Francja widocznie z Moskwą trzyma, Austrii się to nie podoba, Aponyi sprawiedliwie się przelękł Polaków, którzy w rewolucyi niemieckiej mogą bardzo wiele złego narobić. Dzienniki mówią, że to dla tego Aponyi Paryż opuszcza, ale chyba żartują. Jakkolwiek bądź wczoraj na radzie ministrów była wielka wrzawa o naszą Emigrację. Soult szczerze nas bronił, powiadał, że nigdy nie pochwalał systematu prześladowania emigrantów. Przyszło do tego, że z jednej i drugiej strony miano żądać dymissyi. Ja z tego wszystkiego wnoszę, że może coś dobrego wyniknie dla naszej sprawy, jeżeli tylko Austria nie będzie ślepą na to, co Moskwa robi na wschodzie, tem gorzej dla niej jeżeli nie widzi. Piszesz nam Pan D. abyśmy oszczędzali Austryą w pamiętnikach, a ja powiadam, że i ja i Maurycy chybabyśmy byli niesumiennymi, gdybyśmy mogli Austryą drażnić. Owszem pisałibyśmy może podchlebne dla niej artykuły, gdyby to nie narażało pamiętnika na szczekania półgłówek, którzyby nas za arystokratów ogłosili. Ja inaczej uważam wewnętrzną politykę krajów, a inaczej zewnętrzną. Z tego wynika, iż sądzę że my którzy jesteśmy zewnątrz systematu politycznego Europy, nie skąd inąd możemy na teraz się spodziewać czegoś, tylko z klutni Austrii z Moskwą, a ta klótnia musi nastąpić choćby stu Meternichów nie chciało. Wielu z naszych rachuje na rewolucją

ogólną europejską, ja także rachuję, ale tylko tak że ta rewolucja będzie przytłumiona na teraz, i że to może przyspieszy nasze wskrzeszenie. W tej chwili dowiaduję się, że telegraf doniósł, iż nasi w Schwarzwaldzie wzięli broń i amunicją dla nich przygotowano, że wysłane przeciw nim dwa pułki Badeńskie, połączyły się z nimi. Nikt nie może przewidzieć wypadków.... Jeżeli mają być dla nas pomyślne, niech się dzieje wola Boża! Czy moje przewidywania polityczne się sprawdzą, czy się przekonam, że były urojeniem, zarówno rad będę wyznać błąd, jak przyznać się do proroctwa.

Chłędowski wczoraj przyjechał do Paryża, żona w Dreźnie została, ma i ona także przyjechać. Nabelak uklon zasyła. Ja roztargniony mniej mojemu zatrudnieniami, jak tém co się dzieje, przepraszam że tak nieporządny list piszę, może w następnym liście doniosę coś ciekawego o naszych, coś pociesniejszego lub smutniejszego. Tymczasem polecam mię pańskiej pamięci i ojcowskiemu jego błogosławieństwu.

*Michał Podczaszyński.*

### **Kamil Mochnacki do brata Maurycego w Paryżu.**

Hyères, dnia 5. Maja 1833.

List ze stoma frankami odebrałem wczoraj. Gdyby kto kamień węgielny wyjął z budynku, nie szkodziłoby to tyle, ile zaszkoził wszystkim moim prospektom i projektom zawód 50 franków. Wczorajszy list zastał mię o 3 sous, które pozostały z owych 13. franków i obdłużonego w hotelu za dni 18 po 6—8, 115 franków; dodać do tego należy mleko osłe 10 franków, więc całego długu 125. Dłużej stać w hotelu w tak niewygo-

dnęj stancyi było niepodobna, a wynieść się także niepodobna, bo dług większy niżeli wexel. Mocno się zmartwiłem. Czekając w takiej niespokojności i przez tak długi czas funduszów z Paryża, rozumiałem, że kiedy przyjdą nakoniec, wydobędą mnie ze wszystkich kłopotów, a tu właśnie przeciwnie się stało. Byłem przymuszony udać się do pana Denis, z którym zaledwo od kilku dni się poznałem, i który mnie w swoim domu przyjął bardzo uczciwie, poniżyć się i prosić po tak krótkiej znajomości o pożyczanie 50 franków. Nie dziwuję się, że przyjął tę propozycję z miną tak oziębłą, że gdybym był nie wspomniał na mój stan desperacki, natychmiastbym cofnął żądanie. Przez cały wieczór traktowałem mnie z tą samą oziębłością. Straciłem znajomego i dom bardzo przyjemny. Gdybym był prosił pana Denis o 100 franków, wiem pewno, żeby mi je dał; ale co sobie myśli o mnie, to nie ciężko zgadnąć. Zapłaciłem dług w hotelu i przeniósłem się do domu wiejskiego z 25 frankami. Nie będę dopóty spokojnym, dopóki nie oddam tych 50 franków panu Denis. Liczyłem, że z żołdu potrafię się mu uiścić; ale cóż, kiedy ten pan Dufort z policyi taki oszust jak i wszyscy Francuzi, napisał w książeczce od wypłaty czegośmy nie spostrzegli, że już pensją za Kwiecień wziął naprzód w Paryżu; zamiast napisać, że wziął forszus jednomiesięczny; ztąd tedy kwestya, czy mi zapłacą, czy nie, choć jeszcze o tém prefekt nic nie wie. — Piszesz mi Maurycy, abym robił długi, w miarę jak mi potrzeba. Otóż przekonaj się z tego przykładu, czy można robić człowiekowi obcemu długi, żyjąc w nieznaném mieście z Francuzami; a zwłaszcza w takim mieście, które przyzwyczało się drzeć bez litości cudzoziemców, i tę metodę do wszystkich przybywających na kurację zastosowało. Na 1. Maja jeszcze leżałem w łóżku, kiedy gospodarz Hotelu des Ambassadeurs wszedł do mnie z księgą i oświadczył,

że jest zwyczajem u nich de régler les comptes avec les voyageurs, le premières jours de chaque mois. Wystawcie sobie jakem się musiał czerwienić; jednak wpadłem na koncept i odpowiedziałem mu, że właśnie wczoraj posłałem wexel fourir sur une maison de banque à Marseille, spodziewam się przeto, że pieniądze zmieniane przyjdą jutro. Mais vous avez surement de la monnaie et votre compt n'est pas fort, le voici ce n'est que quatre-vingt quinze francs! Oui j'ai un peu de la monnaie, mais j'en aurai besoin pour de petites dépenses, que j'aurai à fair aujourd'hui et demain. Zamknął książkę i wyszedł, dziwiąc się mocno, że się znalazł przecie cudzoziemiec, który mu nie zapłacił na jego żądanie i na czas w którym zwykle od wszystkich bierze pieniądze. Otóż to takich rokoszy ja tutaj zażywam i zapewne nadal będę używać; bo tu nie znają, co to jest żyć na kredyt. — W mieście będzie mnie dzień kosztował 4 franki 10 sous; tanięj nikt nie jest w stanie wyżyć; lecz cóż taka kuracya warta, kiedy dla braku pieniędzy potrzeba sobie odmawiać najdrobniejszej bagateli. Otworzyła się w tym miesiącu pora fruktów. Wszyscy zażywają się poziołkami, ale ponieważ są jeszcze trochę za drogie, więc ich kupić nie można. Wchodzę w te detale, abyście dokładnie pojęli całą lichotę mojego tutejszego życia; a to jest największe nieszczęście, że ani w tył ani naprzód posunąć się nie można; raz dla tego, że bez sum ogromnych wyruszyć ztąd i w inném miejscu się etablizować jest niepodobna, a po drugie, że ten klimat pomimo wszystkich prywacyi mi służy. Żałuję mocno, iż w skutek zaszłych okoliczności straciłem dom pana Denis. Jest on burmistrzem miasta Hyères, a zarazem jedynym człowiekiem, z którym można było żyć i uprzyjemnić pobyt w najszkaradniejszym i najnudniejszym mieście. Wiele nawet ressoursów przez to straciłem. U niego miałem książki, u niego konie wierzchowe; u niego się

często frukta zagraniczne się pożywały. Teraz to wszystko jeszcze mógłbym mieć, ale nie mam czoła już pokazać się, zwłaszcza że w domu pełno kobiet, a między niemi zapewne plotek bez miary. Pan Denis miał ściśle stosunki z panami polskimi, umiał popolsku i pracował wiele w literaturze. Było mu więc bardzo miło mieć w swoim domu Polaka, któryby mu przypominał dawne czasy, które przeżył między samymi Polakami... Teraz jest bardzo bogaty, ma 60,000 dochodu i najpiękniejszy pałac w całym mieście. To wszystko wniosła mu żona, panna Sztulz, z którą się na dwa dni przed moim przyjazdem ożenił. — Pytasz mnie Maurycy, co za dług został u Zdziennickiego; pytasz jakbyś nie wiedział, że po nas w Paryżu tak mnóstwo zostało długów; a ten, o który się Zdziennicki upomina, jeszcze się liczy do przeszłego roku, z tą różnicą o ile mogę zapamiętać, że nie 24 franków, ale 21 franków mu się należy. Michałowi nie posyłam komplementów za jego braterską pamięć o mnie. Co wszystkie komplementa w porównaniu z tém co serce czuje i co chciałoby wyrazić dla okazania całej wdzięczności przyjacielowi, który stał się prawdziwym bratem?

Maurycego milezenie przez dni 12, które przesiedział w Paryżu, nim się wziął do napisania listu, jest nie do darowania. Dalibóg, myślałem żeś kark skręcił z bankiety na dyliżansie w drodze, i że już nigdy nie będę miał o tobie wiadomości. Nadal wcale przestanę pisać, jeżeli z Paryża tak rzadko będą przychodziły listy. — Czy pisałeś do Papy po przyjeździe z Lyonu, i czy trwasz w projekcie połączenia się? Pan Dessaix czy pisał do ciebie? Książeczki twojej w żaden sposób sous bande nie mogłem posłać, a to dla tego, że w środku jest pisane; musisz więc ponieść koszt porto w liście, co wyniesie pewno kilka franków. Dałby Bóg, aby redukcya nie przyszła do skutku, jak donosisz, toby nie mało po-

prawilo moje interesa. O przyslanie regularne broszur upraszam; ostatnia u mnie ma tytuł Kapet.

Do Szanownego Pułkownika Łagowskiego.

Miło mi było odebrać prawdziwy dowód przyjaźni Pułkownika w liście, który odczytałem z największą przyjemnością i uwagą. Nim odpiszę na niektóre punkta instrukcyi kochanego Karóla, którego brak tutaj nieraz mi się czuć daje; muszę się uskarżyć przed szanownym Pułkownikiem na brata, którego w najpierwszym moim liście pisanym z Hyères obligowałem o doniesienie mi o zdrowiu szanownego Pułkownika. Nie uczynił tego, oświadczając mi, że mi Pułkownik sam o tém doniesie najlepiej w swoim liście; a ponieważ w liście Pułkownika nie znajduję żadnej wzmianki o zdrowiu, proszę więc, aby w najpierwszej jaka nastąpi ekspedycyi panów Pułkownik rozpowiedział mi o stanie swego zdrowia. Chciéj wierzyć szanowny Panie, że wszystkie kłopoty i zmartwienia nie są w stanie zatrzeć w mojej pamięci zacnej osoby kochanego Pułkownika, i że wiadomość o twojem wyzdrowieniu wiele może posłużyć do mojej spokojności. Kochany Karól wymaga takich niektórych rzeczy, których ja wykonać nie mogę. Na wsi mieszkać nie mogę, bo jéj w całej prowincyi nie masz! Są tylko ogrody, a w nich domki, w których mieszkają sami właściciele, ale w nich zaledwo familia się pomieścić może, a potem tamby potrzeba z głodu umrzeć, bo chłopcy prowancekie żyją gorzej od naszych żydów, czosnkem i cebulą; lecz wszystko jedno dla mnie. Ja mieszkam teraz tak jak na wsi, bo w oddaleniu od miasta u podnóża gór i prawie między samemi ogrodami. Stan mojego zdrowia zdaje się, że się polepsza, choć kaszel jest jeszcze zawsze tak gwałtowny jak i był, ale w expektoracyi znajduję ulgę, a potem, co mnie najbardziej cieszy, to reperacya żołądka, który po dwuletnich obstrukcyach i bólach zaczyna

teraz przychodzić do regularności. Z drugiej strony całe moje ciało, szczególnie nogi i ręce, które się ciągle trzęsą, tak są słabe, że z największą trudnością przychodzi mi odbywać spacer. Zdaje się, jakbym na pożyczanych nogach chodził. Proszę Karola, żeby mi wytłumaczył ból nieustanny w boku lewym, ale daleko niżej niżeli ten, którego miałem w zimie. Jest on poniżej bioder i zdaje się, że od żołądka idzie; bo wiele razy lub nadto jem, lub coś niezdrowego, to się powiększa, w kaszlu nie odzywa się, a uważałem, że w przechodzie rozchodzi się. Nocy moje są zawsze bezsenne, daleko nudniejsze jak dni. Najmocniej mnie się przykrzą poty, które są niepraktykowane; zaczynają się od północy i trwają aż do chwili, w której wstaję z łóżka. Jeżeli nie śpię to się nie pocę; ale bylebym tylko zmrużył oko, wnet występują w rzesistych kroplach. Czasami trzy razy w nocy muszę zmieniać koszulę. Ależ to te poty, zdaje mi się, które muszą być przyczyną takiego osłabienia w mojem ciele. Apetyt mój nie wielki. Jadłbym frukta, ale nie ma jeszcze takich, któreby mi nie szkodziły. Pomarańczy jest pełno w Hyères, ale to tylko sława, że to są pomarańcze, bo tak kwaśne, że najzdrowszemu człowiekowi wykrzywają usta. Zawłoki ani wizykatoryi nie noszę, bo nie czuję bolu w piersiach. Piję dużo mleka oślego, choć jest tak drogie jak w Paryżu, to jest, za franka filizankę; ale ja sobie wypatrzyłem daleko od miasta oślicę i mam też samo za 10 sous. Nie wiem jak długo to potrwa. Piję także i mleko krowie, prosto od doju; ale mój żołądek bardzo trudno przyzwyczać do tych wszystkich mleczyw; zawsze prawie powstają jakieś wiatry i parcia, które mnie czasem po całych dniach męczą. — Żegnam szanownego Pułkownika Karola i proszę, żeby o mnie nie zapomniał.

*Kamil Mochnacki.*

**Kamil Mochnacki do brata Maurycego w Paryżu.**

Hyères, dnia 14. Maja 1833.

*Kochany Bracie!*

Mieszkam teraz w domu partykularnym, który się nazywa Hôtel d'Angleterre, dla tego, że nigdy istotnie był hotelem. Mieszkanie tanie, dwa pokoje z terasem, z kuchnią, ze sprzętami i z nakryciem srebrnym do stołu, puszczone mi za 20 franków miesięcznie. Zgoła apartament bardzo wygodny. Do czego nie mało się przyczynia existencja kuchni, albowiem wszyscy mi mówią, że u siebie gotować jeść daleko taniej wynosi, niżeli stołować się w Hotelach à table d'hôte. Ja jednak dotąd nie rozpocząłem gospodarstwa, albowiem przybyłem do nowego mieszkania z 25 frankami, które w tej chwili już są tylko dziesiątkiem, a chcąc gotować u siebie trzeba mieć na codzienny expens pewną sumkę, któraby wystarczała na miesiąc, albo przynajmniej na pół miesiąca naprzód.

Wszystko mi się coś zdaje, że będę musiał opuścić Hyères, pomimo najdobroczynniejszych skutków jakie tujszy klimat wywiera na moje zdrowie, i udać się do Avignońskiego Depot, którego szkaradny klimat dobrze mi się już raz dał we znaki. Ale cóż mam robić? to jest zapewne krok ostateczny. Ale Avignon jest najbliższym odemnie zakładem, i tam mam najwięcej przyjaciół. Nie będę przynajmniej dbał o to, co pocznę jak mi zabraknie grosza, bo będę żył jak inni. Tu przeciwnie, jak wyjdzie ostatnie sous tak śmiało można sobie zaśpiewać exekwie, bo prędzej ci głowa pięknie niżeli skąd dostaniesz pieniędzy. A to wszystko tem mocniej aplikuje się do mnie, który jestem nieznan, nie mam znajomości, i wyczerpałem niejedno źródło, z którego można było coś wyczerpać. To jest stan którego żaden z was nie-

pojmuje; bo żaden się jeszcze w nim nie znajdował. Nic łatwiejszego jak żyć w Paryżu bez pieniędzy, wszak téj sztuki dokazywaliśmy przez całe miesiące, kredyt dostarczał wszystkiego, co potrzeba było do utrzymania się aż do zbytku. Ale tutaj nie żyjąc w hotelu gdzie się płaci epokami, i to zależy od kaprysu gospodarza, trzeba mieć zawsze w ręku pieniądze gotowe, choć niewielkie na wydatki dzienne. Gdybym się raz mógł tylko wydźwignąć, opłacić długi i mieć nadto w gotówce 100 fr. jużbym sobie dał rady potem na całe lato. Ale ponieważ to jest tak dobre jak niepodobne, i ja nigdy do takiej summy nie przyjdę, bo wiem aż nadto jak sami jesteście ubodzy, a ja z nikąd inąd tych pieniędzy dostać nie mogę, więc mój dłuższy pobyt w Hyères byłby Donkiszoteryą, i naraziłby mnie w końcu na głód albo na infamią. Czekam z największą niecierpliwością na wypłatę mojej pensyi, której dotychczas jeszcze nie odebrałem. Tą pensją zapłacę stancją; dług pana Denis będę się starał spłacić z Avignonu. Proszę cię Maurycy udaj się jak najprędzej do ministra spraw wewnętrznych, i przypomnij tym panom w biurze des Refugiés, że jeszcze do dziś dnia nie jestem zapłacony za miesiąc Kwiecień, i że to jest nadużycie za które minister już był strofowany w Izbie. Jakżeż stoi rzecz z redukcją? Jak wam zapłacono tą razą? Napisz mi to, bo w tym nieporządku administracyjnym może redukcya nie przyszła do skutku, a mnie podług oniej zapłacą. Nie opuszczę jednak Hyères wprzód, aż mi odpiszecie na następujące kwestye? Czy podpadłszy Lafajeta, niemożnaby go zmusić do zobowiązania, aby komitet francuzki przysyłał mi pensją taką jaką dawniej dawał Polakom w Paryżu, miesięcznie to jest 75 franków. Jeżeli funduszów nie ma, co jest wierutna bajka, cóż łatwiejszego byłoby komitetowi zebrać co miesiąc składkę wynoszącą tę sumę. Byle Maurycy chciał jeszcze koło tego

pochodzić, wiem pewno, żeby się za pomocą Leduchowskiego udało. Drugi projekt jest taki: egzystuje towarzystwo wzajemnego udzielania pomocy pieniężnej tym, którzy się zechcą kształcić w jakiegokolwiek gałęzi naukowej. To towarzystwo, mówią, że ma spore fundusze, niech mi da pensją i każe obeznać się z gospodarstwem krajów południowych. Tylko jeden punkt, to jest Hyères, w całej Francji ma temperaturę Włoch, Hiszpanii i innych krajów. Dowodem tego jest, że tylko na tym jednym punkcie rosną i dojrzewają bez żadnej sztuki rośliny i frukta najcieplejszych krajów, pomarańcze, migdały, figi, cytryny, kawa, wino, muszkat itd., a z drzew cyprisy, palmy, cedry itd. Azatem to czegooby szukać potrzeba w dalszych krajach, znaleźć można wszystko w Hyères. A zresztą jeżeliby się to nie podobało, dla niepodobieństwa zaprowadzenia południowych plant w Polsce, mam port pod nosem półgodziny marszu przy wyspach Hyérskich, a większy i najslawniejszy może w Europie w Tulonie. Mogę się nauczyć w przeciągu pewnego czasu marynarki, albożby to było bez pożytku dla Polski? Ten ostatni projekt popierajcie. A nie widzę dla czegooby się towarzystwo sprzeciwiało. Gdyby chorobę moją dawali za powód niemożności przeznaczenia mię, ja im obowiązuję się zdawać miesięcznie raporta z tego czegoom się nauczył...<sup>a)</sup> Najwięcej potrzeba z téj strony ten interes przedstawiać towarzystwu, że dwojako się zasłuży, raz że uczyni zadość obowiązkowi ludzkości, podając mi sposobność pozostania w Hyères, a tym samym odzyskania zdrowia, albowiem jestem pewnym, że w Avignionie w tak gwałtownym klimacie, stan mojej choroby teraz znacznie polepszony, pogorszyć się musi; a drugi raz iż załatwi potrzebę ojczystą, bo przecie kiedyś musi być Polska, a Polski bez marynarki nie rozumiemy. Może towarzystwo przeznaczy mię do jednej tylko sekcji, to jest może polecić abym się doskonalił

w jednej tylko sekcji n. p. w konstrukcyi okrętów, do tego miałbym niewypowiedzianą łatwość. Zgoła jest to projekt dla mnie pożyteczny i dla kraju, azatem wykonaniem onego polecam waszój gorliwości o dobro kraju, i temu widokowi, że gdyby przyszedł do skutku zbylibyście się mnie sobie z głowy. U nas tu najpiękniejsze pogody, powietrze jest tak przyjemne i tak zdrowe, że ja czuję z jaką radością płuca wewnątrz je przyjmują i oddają. Tę restauracją płuc nieraz już obserwowałem, i doktor tutejszy mówił mi że to nie jest złudzenie, ale że rzeczywiście to powietrze jest lekarstwem na zbolale albo skałeczone płuca. Poziomki teraz są najobfitsze, w końcu mają nastąpić figi, a w Czerwcu już winogrona muszkatołowe. Co za roskosz żyć w takim kraju! Ale co za dekonfitura nie mieć pieniędzy! To prawdziwie tantalowskie męki. Co też porabia szanowny nasz pułkownik? Teraz już i w Paryżu muszą być piękne dni, już musiał pozdrowieć, musi biegać po ogrodzie tuleryjskim za piękną płcią. Ja jednak radzę statek, pauza znaczna po słabości nie zaszkodzi. U nas pleć piękna jest płcią szkaradną, kobiety prawie wszystkie jak beczki, wysokie, szerokie, okrutnie mocno zbudowane, i zdrowe jak konie, ale twarze brzydkie. Donieście też co o Nastusiu Duninie, i co Łaski porabia rzuciwszy w świat przeWyborny artykuł o szkole podchorążych, musi strasznie nosa do góry zadzierać. Co tam mówią o tym artykule w Paryżu?

Dla wiadomości waszój, tylko proszę nikomu niekomunikować, wam dwóm tylko mogę się zwierzyć, w jakiej istotnie sytuacji teraz się znajduję. Wiecie że mi z przysłanych przez was pieniędzy, i z pożyczonych od pana Denis, zostało tylko na dalsze utrzymanie 25 fr. Do tych pieniędzy musiałem moje życie zastósować, bo znikąd się już nie spodziewałem zasiłku, azatem od

4. Maja to jest od dnia jak się przeniósłem na moje nowe mieszkanie, żyję tylko mlekiem, które pod różnemi formami kilkakrotnie na dzień pożywam. Nie mam ja głodu i owszem ten rodzaj pożywienia bardzo mi się podoba, zawsze jestem syt. Cóż może być przyjemniejszego jak mleko, poziomki, jaja i chleb, ale to pozbawia mnie reszty sił które miałem w ciele tak dalece, że nie jestem w stanie kwadrans na własnych nogach się utrzymać, chodzić prawie mnie niepodobna. Ja ekonomię utrzymuję dla tego że nie wiem cobym począł, gdyby mi teraz, kiedy na kredyt nic nie mogę dostać, zabrakło aż do ostatniego sous. Mam jeszcze 10 franków, ale dreszcz mnie przechodzi gdy wspomnę że mogą bardzo prędko wyjść, nawet nie będzie za co mleka kupić. Przedałbym z ochotą mój frak, ale komuż się zwierzyć, komu dać ten interes w komis? kiedy nikogo nie znam, a potem Hyères jest tak podła miejscina, że 20 franków nie daliby za niego. Zaklinam was więc obydwóch poruszcie wszystkie wasz rozum w głowie i wystarajcie mi się o 100 franków na życie, nie czekajcie aż ja przyjdę do ostateczności. Maurycy niechaj przypomina Dronirowi przyrzeczenie przysłania mi 100 franków na każde zawołanie, niech więc je teraz przyśle, nigdy mi lepiej nie usłuży. Albo proś po prostu Leduchowskiego, niech sam pożycz, albo wystuka od Lafayeta, powiedz im że mi pensyi nie dali. Bóg wie kiedy dadzą, przecie nie można dozwolić aby mnie w chorobie jeszcze i nędza dokuczała. Zgola zkąd chcecie dostać pieniądze bez zwłoki, bo u mnie tylko 10 franków.

#### Nota.

a) O mój Boże jaki to piękny charakter Kamila! Myśleć o przyszłości i pożytku kraju, w tak cierpkiej pozycji dla siebie jeszcze chcieć być użytecznym, jeszcze pracować kiedy już wszystkie siły fizyczne tego młodego człowieka były wycieńczone. Niepodobna

by się nie czuł bliskim śmierci. Jemuż to uczyć się okręty budować? Jemu zdawać raporta? Kamilowi nie było równego młodziana. Jaka zdolność? Te dwa listy rozdarły moje serce, wydzieły duszę. Wylałam potok łez, wysączyłam je do kropli. Widzieć pozycją tak trudną Kamila oddalonego, samego jednego bez żywej duszy znajomej w obcym zupełnie kraju. Rozpacz mnie wzięła. Mąż mój ukrywając list następny od Maurycego, oddał mi tylko te dwa Kamila, mówiąc że natychmiast posłał 20 dukatów Kamilowi. Była to prawie reszta pieniędzy, które miał dla siebie. Sam tulając się i potrzebując grosza na życie, a widział że mu go we Lwowie nikt nie da, bo i cóż o pożyczce myśleć kiedy kto stracił fundusze oddania, niemal wszystkie. Pocieszylam się na moment wysłanemi pieniędzmi, lecz kalkulując że one nie prędko dojdą do Kamila, widząc że się ojciec rady dać, wylałam się z bólu a z nikąd pociechy nie doznałam. O Boże! zgrzeszyłam i byłam ukarana. Dla czegoż nie padłam na oblicze w Domu Twoim, i nie poszłam Ci ofiarować stan mój boleści, złożyć niespokojność moją u stóp Twoich, dla czegoż nie poleciłam się Twój Opatrzności? Ja nawet nie wiem gdzie była moja głowa, rozpacz robiła sobie ze mnie igrzysko. Działo się to we Lwowie, stałam u jednej damy ze szlachetnemi uczuciami, ze sercem najlepszym, lecz ona sama w ogromnych potrzebach nie mogła mnie ratować. Co za pozycja moja: jako matka nie umiałam, nie śmiałam tego listu pokazać nikomu, choć był to czas zjazdu panów Galicyjskich na kontrakty Lwowskie, prosić nie umiałam, a nie było ani obcego, ani krewnego żeby się raczył zapytać o istotny stan nasz, a było bardzo wielu takich co przez dawne stósunki z nami i znajomość cośmy stracili w rewolucyi, mogli byli ratować nas bardzo małym kosztem. Nie umiano nas wprawdzie, ale my nie umieliśmy szukać nikogo. Tak pozerając siły nasze, prowadziliśmy życie między swymi podobne jak nasze dzieci za granicą między obcymi. Sama nie wiedziałam czego się bardziej lękać, czy śmierci Kamila, czy tój oczywistej nędzy niedostatku który ostatnie mu siły zabierał. O mój Boże! kiedy te drogie dzieci były z nami, mogłamże myśleć, że będą w niedostatku kiedy lub nędzy, że Kamil mój miły, ta piękna istota w ostatnich chwilach życia frasuje się tak silnie o jutro, i że bez żadnej pociechy umierać musi....

*Marya M.*

### Maurycy Mochnacki do ojca.

Paryż, dnia 18. Maja 1833. r. Rue Rivoli Nr. 50.

List kochanego Papy z dnia 30. Kwietnia odebrałem dnia 15. Maja. Na dniu 16. Maja zaraz posłałem Papie bilety ogólne prenumeraty w liczbie 30, z których każdy zawiera 10 egzemplarzy. Każdy z tych ogólnych biletów jest opatrzony moim podpisem. Dzisiaj posyłam 30 prospektów, na których mój podpis jest wydrukowany. Można tedy ludziom pewnym, patryotom życzliwym dziełu i autorowi, te ogólne bilety porozdawać. Każdy z takich kollektorów niechaj od siebie szczególne z swoim podpisem daje bilety. Innego nie masz sposobu w wyborze osób, którym Papa bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem przyjaciół naszych kolektę powierzyć będzie raczył. Nie można być nadto ostrożnym; każdy z tych zbiorowych biletów znaczy 150 franków. Nietylko więc trzeba charakteru politycznego, ale i moralnego, na któryby się zupełnie spuścić można. Azatém uczynilem dwom głównym desideratom, które Papa wymieniłeś w ostatnim liście swoim, zadosyć. Posłałem bowiem 300 biletów i prospekty. Co do trzeciego desideratu, to jest: co do ogłoszenia w pismach francuzkich i broszurkach prenumeraty, niczy mi łatwiejszego nie było jak to uczynić, ale toby raczej zaszkodziło niżeli pomogło entrepryzie naszój. Ambassador moskiewski tyle tu może, że gdyby przeczytał coś podobnego w dziennikach paryzkich, mógłbym dostać rozkaz opuszczenia Paryża, a nawet i Francyi, a wtenczas dopiero musiałbym uleść pod ogromem niedoli. Wreszcie podobne ogłoszenie utrudniłoby tak kochanemu Papie jak i przyjaciółom naszym w Galicyi wykonanie tego delikatnego przedsięwzięcia. Co do rękojmi w odbiorze dzieła, porozumiem się w tej mierze z Milkowskim, który list do mnie pisał, że za kilka dni będzie w Paryżu. Ulegnie to dostarczenie na

miejsce tego dzieła nie małym zapewne trudnościami. Wszakże dzisiejsze położenie naszego kraju powinniśmy uczynić tych, co prenumerować zechcą, wyrozumiałymi na tę prawdę, że opóźnienie dui kilkudziesięciu nic nie znaczy. Zawsze Lwów będzie głównym punktem, gdzie to pismo prenumeratora dojdzie. Wątpię zresztą, żeby promulgacya podobnego dzieła, które Austrii nie obraża, przez rząd tamtejszy bardzo czynnie *tamowana być miała*.

Bilety i prospekty które posyłam, są tylko dla Galicyi; dla Polski, Rossyi i Krakowa osobno Papie pošę. Teraz przystępuję do wystawienia Papie moich terazniejszych ambarasów, albo inaczej powiem, mojego prawdziwego nieszczęścia, większego aniżeli wszystkie które dotychczas przebyłem! Idzie tu o Kamila. Słabość jego okropna, albo raczej nie słabość, lecz ciągła bezprze-stanna olbrzymia walka ze śmiercią, która co tylko może czyni, żeby go sobie przywłaszczyć... dręczyła mię od końca przeszłego lata, przez całą zimę i do téj chwili pogłębia. Niestety! przyszło do tego, że ja już żadnej nie mam nadziei. Policzone są dnie jego.... Za miesiąc, za dwa, za trzy najdalej.... a) już kochany Papo będzie nas tylko dwóch: ja i Tymoleon! Wierzaj mi kochany, najdroższy Papo, trudno przeżyć śmierć naszego Kamila, lecz jeszcze trudniej żyć obok jego choroby. Ja się w tym ostatnim znajduję przypadku. Kiedy kaszli, dźwięk jego kaszlu jest miedziany, a piersi zdają się być stalowe. Zdaje się że pumpa metaliczna wyczerpuje z niego jeden atom życia po drugim. Tu kres sztuki lekarskiej. Tu się kończą ludzkie starania. Pisząc to, wyrażam całą sumę moich zgryzot i oddaję w słowach to, co lepiej płaczem tylko mógłbym wyrazić... Pisząc to, stawiam Papie taką kategoryczną kwestyę: co lepiej, czy widzieć na dwa, na trzy miesiące naprzód, że kochany nasz Kamil umrzeć musi, czy dowiedzieć się o tém niespodzianie gdy umrze? Tę pewnośc, która w takim

stopniu galopujących suchot jest nieomylna, ukrywałem póki mogłem sam przed sobą. Dzisiaj nie powinienem jęj ukrywać dłużej kochanym Rodzicom. Trzeba się na to przygotować, co chybaby cud i miłosierdzie Boskie odmienić mogło.

Niechaj Papa nie sądzi, jakobym ja chciał przygotować do tego kochanych Rodziców co się już stało! Broń Boże. Kamil żyje jeszcze, i podług opinii wszystkich lekarzy jeszcze kilka miesięcy żyć może, lecz w tym stanie słabości nadzieja wyzdrowienia jest iluzją. Podróż odbył bez przypadku aż na miejsce. Mniej kaszlał w pojeździe, jeszcze mniej na statku parowym. Podróż ta wyczerpnęła wszystkie nasze fundusze, przeszło 1000 franków. Hyères leży w departamencie Var, 230 lieus od Paryża, nad mörzem śródziemnym. Jest to miasteczko małe, biedne i niesłychanie drogie, z powodu nacisku w ten jeden punkt górami otoczony wszystkich na piersi słabych Francuzów, Anglików, Niemców, Hiszpanów, ludzi bogatych, którzy przyjeżdżają wypraszać się tam od śmierci przez polykanie powietrza, o którym Kamil powiada: iżby w niém umarli z grobu powstawać powinni. Tak jest balsamiczne, tak wonne i łagodne. Żeby utrzymać Kamila w tém miejscu, musiałem natchmiast powrócić do Paryża. W Paryżu co mogę czynię, żeby mu dostarczać pieniędzy, gdyż dzień kosztuje go tam 10 franków bez lekarstw, bez oślego mleka, bez osła do przejażdżki, bez człowieka, którego do usługi koniecznie mieć musi. Filzanka oślego mleka kosztuje w Hyères 1 franka, stancya na dobę 3 franki, stół 3 franki. Lecz tu jak na nieszczęście w tój oto chwili zaczynają się urywać wszystkie moje środki. Prenumerata Pamiętnika, z której Michał dotychczas okrywał prawie wszystkie koszta utrzymania naszego i koszta słabości Kamila, nagle upadła w emigracyi dla dwóch przyczyn: 1. przez zmniejszenie żołdu, 2. przez ruszenie z miejsc

wszystkich zakładów, przez rozbitcie ich na takie cząstki, że Polacy rozproszeni są teraz po całej Francji w odległościach o 300, o 400 lieus jeden od drugiego. Ten ostatni przeciwko nam rygor wymógł znać poseł moskiewski. Co tu począć? Przyjechałem do Paryża dla tego, żeby pomódz Kamilowi; żeby wrócić do niego z pieniędzmi, bo nie mogę mu dać skończyć o 200 mil od siebie. On tego żąda, tak być musi. Przeto zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, ażeby był łaskaw dołożyć wszelkich starań do sprzedaży 100 do 150 biletów na dzieło moje, (coby licząc po 15 franków, uczyniło do 2000 franków) i tę sumę bez zwłoki posłać do Paryża, za pośrednictwem jakiego bankiera we Lwowie. W drukowaniu dzieła nie uczyni to żadnej diferencji. Jest to jedyny środek którym do skutku przywieść mogę drugą podróż moję do Hyères. 2. Opłacenie długów Kamila w Hyères. 3. Zawiezenie go ztamtąd do Baden ku końcowi Czerwca, gdyż ten jeszcze środek proponowali doktorowie Kamilowi. Muszę kupić osła albo konika, żeby się po górach przejeżdżał, gdyż chodzić nie może. Tego ruchu każe mu zażywać nasz sławny Marcinkowski i Larray. Pókiśmy wszyscy byli zdrowi, mogliśmy się jako tako utrzymywać. Michał nasz, kochany pułkownik Łagowski, który jak drugi ojciec zawsze się opiekował Kamilem, zapobiegali wszelkim jego potrzebom. Ale dzisiaj słabość tak niesłychanie kosztowna, ale dzisiejsze środki rządu przeciwko emigracyi postawiły mnie w potrzebie użycia prenumeraty dzieła mojego dla uczynienia zadość obowiązkom braterskim. Na teraz nie ma innego środka wyjścia z tak krytycznego położenia. Jeżeli to być może, jeżeli uda się w czasie jak najprędzszym po odebraniu tego listu, czy to przez rozprzedanie tych biletów, czy przez forszus od kogo wzięty zrealizować te 4000 franków o których Papa pisałeś, to w takim razie zaklinam Papę, przyjeżdżaj sam. Żadne lekarstwo nie pomogłoby

tyle Kamilowi! Nie więcej jak obecność Papy nie zdołałoby ubiegające jego chwile przedłużyć. Gdyby to być mogło, to w takim razie niechaj Papa, żeby ani minuty czasu nie uronić, przez Szwajcaryą, bo tędy najbliższej, wprost do Kamila jedzie! Ja z Paryża przybyłbym i razem z nim, o Boże! dzielilibyśmy jego ostatnie momenta. Jeżeli to zaś być nie może, to trzeba przynajmniej część tych biletów sprzedać i przysłać mi najmniej 2000 fr.

Posyłam Papie listy Kamila z daty 5. Maja. Maluje on dokładnie jego położenie w Hyères, a moje w Paryżu. Maluje on także stan jego słabości, symptomata są okropne! Jego listu nikomu się komunikować nie godzi, a tém mniej Mamie. Słabość Kamilla, stan obecny naszych interesów, nic to nie zmienia mojego przekonania, że nie gdzie indziej tylko we Francji Papa żyć możesz. Będziemy razem. Damy sobie radę. — Będziemy razem płakali. — Alboż w tém przynajmniej nie doznamy pociechy? — Jutro, po jutrze nowy list z nowym transportem biletów i prospektów odeślę.

*Maurycy Mochnicki.*

**Nota.**

a) Zapowiedzenie Maurycyego przez zdania doktorów względem wyznaczonego czasu ciągnięcia się egzystencji drogiego Kamila, w istocie spełniło się co do godziny prawie. Od 18. Maja za trzy miesiące do 18. Sierpnia Kamil akurat życie swe pełne męczarni zakończył.... Tego ostatniego listu Maurycyego mąż mój nie komunikował mi aż po jego śmierci. Biedny ojciec sam jeden musiał dźwigać to brzemie tak bolesne, tak rozdzierające serce. Smutek jego tylko widziałam, kiedy przychodził do mnie, bo dla braku funduszków każde z nas osobno tuliło się pod dachem obcym. Ja zaś wówczas nadto cierpiałam, abym mogła czego jeszcze gorszego się lękać, nad te dwa listy Kamila. Zdawało się, że nic mu prędkiej nie potrzeba, jak sukursu pieniężnego. Traciłam głowę, rozum

mię odstępował. Nie miałam się komu powierzyć w zamęcie tych i rozmaitych zgryzot, które nas podówczas dotykały, miał długi czas, listu nie było od dzieci, nakoniec oto ten przyszedł.

*Marya M.*

### **Maurycy Mochnacki do Ojca.**

Marly le Roi, 28. Lipca 1833. r.

*Kochany Papy!*

Na list Papy z dnia 1. Lipca i poprzednie dwa, późno odpisuję, lecz nie mogłem wcześniej, bo przez pięć tygodni ciągle bardzo ciężko chorowałem nie wstając z łóżka. Konstytucya moja krwista przy ciągłym moim siedzeniu i pracy w domu, sposobila mnie do tego. Krew zaczęła bić do serca i do głowy, tak że niebezpieczeństwo było wielkie. Natychmiast jednak zaradził złemu ten sam Rostkowski, który względów Papy dla siebie zawsze pamiętny i z życzliwości dla ojca, stał się największym przyjacielem i nieodstępnym towarzyszem synów. On mnie zaczął kurować i przez upuszczenie dwukrotne wielkiej masy krwi i przez pijawki zapobiegł dalszym atakom. Ścisła trzytygodniowa dyeta i nagłe zmniejszenie krwi woluminu osłabiło mnie zupełnie, została tylko skóra i kości, tak schudłem, ale też tego właśnie życzył sobie moj doktór kochany, który mnie nigdy nie odstępował. Gdy przeszła kryzys osłabienia, zaczął on mnie powoli restaurować i odżywiać. Nakoniec kazał z Paryża pojechać na wieś dla powietrza, fruktów i mleka. Od tygodnia przeto siedzę razem z Michałem i Rostkowskim u chłopca na wsi w Marly, od Paryża mil parę. Z tém wszystkiém niechaj Papa będzie łaskaw wszelkie listy po dawnemu adresować do naszego mieszkania w hotelu Rue de Rivoli Nr. 50. W tym hotelu mieszkać nie będziemy, ale nim znajdzie się nowa stancya, zawsze ten

sam adres zostaje, nim kochanego Papę o innym uwiadomiemy. Ja tu w Marly zaczynam prędko przychodzić do zdrowia i sił, codziennie wielkie kursa piechotą odbywam. Rostkowski każe mi codziennie po parę lieu chodzić i to po górach. Jest to może najpiękniejsze miejsce we Francyi. Żaden malowany pejzaż nie jest tak zachwycający jak Marly. W tym samym czasie kiedy ja chorowałem, Kamilowi polepszać się zaczęło. Stracił on jednak, jak pisze do mnie, zwyczajną mowę jaką miał, i tylko po cichu do ucha innym ludziom szeptać może. Żałuję żem list jego zostawił w Paryżu. Pisze on, że oddech jego stał się łatwiejszym, kaszel nie tak gwałtownym i poty mniejsze; ale za to powiada, że otworzyło mu się wielkie cierpienie w uchu lewém, Ja z tego zaczynam nabierać wielkiej nadziei! Może téż ta nieszcześliwa choroba weźmie kierunek inny! Wszak wiadomo, że on od najpierwszej młodości cierpiał bóle w uchu, a gdy w uchu złe ustało, wtenczas dopiero przeniosło się do piersi, teraz z piersi przeniesie się znowu do ucha. Tak mniema i Rostkowski. Kamil napisał do mnie list pelen wyrzutów, żem Papę uwiadomił o naszych okolicznościach, a szczególniej żem Papie jego listy posłał. Zły humor jego powiększyły szczególniej owe dwadzieścia dukatów, które mu natychmiast odesłał Michał z listem Papy. Mówi on, że zabrać najlepszemu z ojców ostatni grosz, jest to zarabiać sobie na gniew Boga. Ale ja mu na to w czasie słabości mojej odpisałem przez Michała, że to jest tylko forszus, który Papa odbierze sobie z prenumeraty mego dzieła. I w rzeczy samej zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, ażebyś te dwadzieścia dukatów odebrał z pierwszego transportu prenumeraty mego dzieła, o której Papa piszesz w liście z dnia 1. Lipca. Potrzeba to koniecznie uczynić kochany Papo. Potrzeba to nawet wyrazić w najpierwszym liście co Papa do mnie napiszesz, inaczej ani Kamil, ani ja

nie będziemy spokojni. Jakkolwiek skutkiem niepowodzeń emigracji wpadliśmy w położenie krytyczne, nie jesteśmy tak nikczemni, ażebyśmy naszym kochanym rodzicom, równie jak my prześladowanym od losu, równym jak my tułaczom, i jeszcze nieszczęśliwszym od nas, bo między swymi się tułać muszą, zabierać mieli ostatni zasiłek. Azatém, drogi Papo, te dwadzieścia dukatów są długiem świętym, który Papa natychmiast będzie łaskaw odliczyć sobie z prenumeraty. Ja o to proszę imieniem mojem i Kamila.

Postęp prenumeraty mocno mnie cieszy, powoli zaczęte dzieło drukować, a gdy wyjdzie, będziemy mieli, zdaje mi się, ze sprzedaży jego w różnych częściach Polski, fundusze dostateczne do utrzymania się za granicą, co nawet przyjazd Papy do Francyi znacznie ułatwi.

Egzemplarze dzieła przysłane niezawodnie będą do Lwowa za pomocą tutejszych bardzo już pewnych komunikacyi. Koszta transportu egzemplarzy zaprenumerowanych aż na miejsce ponosi autor.

Milkowski, z którym mi Papa każesz wchodzić w układy co do tego dzieła, nie jest negocjant. Przyjechał do Paryża pod pozorem kupowania manuskryptów, a zaczął od majaczenia i okazał widoczną chęć korzystania, myślał, że tu nas wszystkich w pole wywiedzie. Nigdy nie widziałem człowieka, z którymby szedł trudniej interes. Pamiętnika Michała nie wziął ani jednego egzemplarza. Za bezcen chciał wziąć moją historią, ale i od tego co dawał, 2400 franków, cofnął się, widząc, że ja zachorowałem. „Autor może umrze, jest tak blady,“ mówił, i wywinął kominka, a lepiej daleko się stało, bo dzieło wydrukujemy naszym kosztem. Chciał także kupić manuskrypt od Mickiewicza, jest także blady i słabowity. Przedsięwziął więc zawrzeć z nim umowę na przypadek jego śmierci. Mickiewicz rozgniewał się za to i odprawił z niczém tego wyrafinowanego dziada. Z tém wszy-

stkiem nie zaniedbam zawrzeć z nim potrzebnych układów co do przyjmowania prenumeraty i dystrybucji dzieła.

Forszus 300 franków w ostatnim liście Papy także odebrałem i rączki Papy i Mamy całuję.

*Maurycy Mochnacki.*

### **Michał Podczaszyński kontynuuje ten list.**

Marly le Roi, 28. Lipca 1833.

*Szanowny Panie!*

Nikt nie winien tyle temu że dotąd nie mieliście Państwo listu, jak ja. Maurycego słabość trwała właśnie trzy, cztery dni, upuszczenie krwi zabiło ją od razu, ale tylko osłabienie ze trzy tygodnie trwało. Rostkowski codziennie mówił, że się ma lepiej Maurycy, sądziłem, że lada dzień sam będzie mógł pisać. Potem nastąpiły przenosiny na wieś i tak się to odwlekło. Przepraszam więc. Niebezpieczeństwa nie było żadnego z Maurycem, ale pewny jestem, że kto inny jak Rostkowski mógłby był tę małą słabość bardzo niebezpieczną uczynić. Dość żeby chorobę krwi za słabość gorączkową poczytano. Rostkowski jest bardzo dobry lekarz i nienawidzi prawie łaćnińskiej kuchni. Maurycemu, prócz kilku proszków Digitalis, żadnego lekarstwa nie dawał, i tylko régime jego regulował na osłabieniu, zalecał dyetę, a na wzmocnienie dobre rosoly. Trudno żeby który lekarz tak szczerze i gorliwie koło chorego chodził. Teraz nawet na wieś do niego się sprowadza. Nic mnie nigdy nie przekona, że Kamil dla tego tyle cierpiał, że porzucił Rostkowskiego, a wziął Marcinkowskiego. Wszystkie skutki, jakie z tego leczenia mogły wyniknąć, od roku blisko przepowiedział mi Rostkowski. Uważał on słabość Ka-

mila za podrażnienie płuc, Marcinkowski za słabość daleko większą. Teraz pokazuje się, że pierwszy miał rację, a słabość Kamila najpewniej z hemoroidów pochodzi. Co się tyczy bólu w uchu, i Rostkowski mówi że może to wrzód, który jeżeli pęknie od razu, zupełnie zdrów będzie Kamil. Jak Maurycy odzyskuje siły, dość gdy powiem, że wczoraj po górach przez pięć godzin chodziłem z nim w upał do St. Germain au Laye i nazad. Nietylkośmy chodzili, aleśmy biegali i przez godzinę na osłach jeździli w parku. Ja po tém wszystkiém tak się zmęczyłem, że prawie nie jadłem obiadu, kiedy Maurycy nawet nie spotniał na upale i jadł za czterech.

Trzeci tom Pamiętnika Emigracyi już skończyłem; nie wiem jakich numerów państwu nie posłałem; ostatni jest Henryk Walezy. Może téż i lepiej, że nie posłałem, bo to na wielkie koszta Państwo naraża. — Polecam się pamięci Pańskiej i proszę, żebyś przyjął raczył odemnie synowskie uściskanie.

*Michał Podczaszyński.*

**Nota.**

Po długiém nieodbieraniu listów od moich synów, nie spodziewając pociechy żadnej, z sercem uschniętém, nie chciałam, ani żądałam nic się dowiedzieć. Bawiłam to w Wybranówce, to we Lwowie, to w Żółkwi, znowu we Lwowie. Zebrałam na prospekta Maurycyego od godnych, pocziwych ludzi, lecz bardzo niewielką ilość grosza, którą posłał ojciec synowi. Ja byłam ciągle zdesperowaną; na koniec oddano mi list z poczty. Spotkałam na wzrokiem okropnego przestרחu; wzrokiem najmniej życzliwym. Nic nie wyrzekłam; ani go się dotknąć, ani czytać chcę. Dzieci moje oddawna stały się źródłem boleści mego biednego serca, i cóż mogę się spodziewać nad ostatni cios śmiertelny? Nie chcę tego listu. Wysłałam z domu obcego; działo się to u najpocziwszych ludzi, Muszyńskich. Poszłam do mego mieszkania; natenczas staliśmy z moją kochaną kuzyną Cieńską w oberzy Hofmana Hôtel de Russie; nie-

siono list zamną; mąż mój szedł obok mnie milczący i równie nie brał się otwierać tego listu. „Przez litość, kochana siostró,” rzekłam do Cieńskiej, „weź ten list, czytaj, mnie nic nie mów.“ — Wzięła go drżącą ręką ta najczulsza, najlepsza kobieta, poszła z nim do innych pokojów. Ja zostałam, lecz nie umiem powiedzieć czym była martwą bardziej jak żywą. Blisko miesiąc upłynął od ostatniego listu. Choć w ostatnim były słowa pociechy, lecz moje serce już nie mogło być pocieszone; chociaż nie czytałam przedostatniego listu Maurycego, jednakże wieść o Maurycego chorobie, którą Michał Podczaszyński, jako pocieszyciel, starał się zmniejszyć, zostawiła wrażenie głębokie, podobne do przecucia, że ta słabość jest bardziej złośliwą, jak ją obaj malują. Weszła nakoniec, uśmiechając się, z otwartym listem, dobra moja kuzynka. „Czytaj,” rzekła, „Kamil nie ma się gorzej, Maurycy lepiej; to Michał pisze o nich. Weź, czytaj, nie bój się kochanko!“

*Maryja M.*

### **Michał Podczaszyński do ojca Maurycego.**

Marly-le-Roi, dnia 7. Września 1833.

*Szanowny i kochany Panie!*

Odebraliśmy i list Pański i pieniądze w całości. Taki sposób przesyłania pieniędzy jest podobno lepszy i pewniejszy, jak przez wexel; azatém drugi transport tą samą drogą i przez tę samą osobę można posyłać. Od dwóch miesięcy mieszkamy z Maurycem w Marly-le-Roi i podobno na zimę tu zostaniemy. Mieszkanie wygodne, życie tanie, spokojność, unikanie niekończących się w Paryżu, chyba z północą wdzięcznych wizyt, próżniaków, którzy nam bez litości czas zabijali. Oto są korzyści pobytu na wsi. O 1 lieu mamy miasto St. Germain, o 1½ Versailles, o 5 lieu Paryż. Dyliżans o ¼ lieu od Marly co pół godziny idzie między Paryżem i St. Germain; cena miejsca w nim 25 sous, to jest tyle, ile wynosi w Paryżu kurs kabrioletów. W lecie okolice Marly

są cudowne, przynajmniej nie ma piękniejszych koło Paryża. Górki, wzgórze, park, las i codzień coś nowego widzieć można. Królowie francuzcy bardzo lubili Marly, ale Paryżanie wszyscy je chwalą, a ani jeden z nich tu tego lata nie mieszkał, chyba ci, którzy mają tu grunta własne i domy. Wszyscy się cisną na lato do miasteczek wokół Paryża rozszerzonych, i to zowią wsią, kiedy rzeczywiście wsi nie lubią. Maurycy bardzo sobie podobał pobyt w Marly. Prócz mnie mieszka z nim doktor Rostkowski. Trzymamy człowieka, Polaka, który nam służy i jeść robi. Kiedy tu przyjechał Maurycy tak był osłabiony, żeśmy musieli go pod rękę prowadzić; ale w tydzień odzyskał siły, teraz zaś jest tak zdrow, tak silny, i taki ma apetyt, jak wtenczas, kiedy z nim w Warszawie mieszkałem; otylszy nawet na twarzy wygląda aniżeli kiedykolwiek. Rostkowski przepowiedział, że może miesiąc lub dwa będą mu się odzywały ataki krwi, lecz zapewniał, że to nie będzie szkodziłe. Pokazało się jednak, że ani razu już mu się nie odzywało. Żadnych lekarstw nie brał i nie bierze; ale kawę raz tylko na dzień i to mleczną bardzo, piwo słabeckie, wina bardzo mało i to najlepszego, wódki i ponczu nigdy. — Teraz czas winogronów; je więc ich po kilka funtów na dzień. Słabość jego była niebezpieczną i rozsądnemu tylko leczeniu bez lekarstw Rostkowskiego winniśmy to, że Maurycy zdrowszy jest nawet teraz, jak przed swoją słabością. Przyczyną jej było najwięcej zmartwienie ze smutnego stanu zdrowia Kamila. Oswajałem go jak mogłem ze złem, które czeka Kamila. Ojcu też samą radę muszę udzielić. Nie masz czasu się ludzić; zdrowie tego chłopca ustawicznym odmianom podlega i symptomata słabości coraz bardziej się odmieniają. Teraz jest chwila przesilenia. Rostkowski mówi, że niezadługo kryzys się skończy; albo Kamil zdrowy będzie, albo umrze. Potrzeba być przygotowanym

na ten cios; jeżeli taka jest wola Opatrzności, poddajmy się jój... Nic na umyśle Maurycego nie czyni takiego wrażenia, jak położenie moje, które mu bardzo często wystawiam przed oczy. — I ja mam serce, i ja jestem do kochania stworzony, jednakże przeżyłem śmierć kilku braci, matki, ojca, i sam jeden zostałem na świecie, tak nawet, że już ani istoty, ani punktu na ziemi nie masz, do którychbym mógł myśli moje zwrócić. Wszystko straciłem. We wszystkich jakie miałem kiedy zgryzotach, nie pociechy szukałem, ale uspokojenia umysłu. Lecz nie go tak nie uspokajało jak ta myśl, że nie jestem najnieszczęśliwszym, i że jeżeli podobało się opatrzności dotknąć mnie boleścią, bluźniłbym, gdybym mniemał, że jestem najnieszczęśliwszy. Strata jaką może ponieść familia, przyjaciele, ojczyzna, jeżeli słabość Kamila zły obrot weźmie, będzie wielka i jedna z najdotkliwszych i nigdy nie odżałowana; ale tym, co go kochają, trzeba się przygotować na wszystko. Może też opatrzność ulituje się nad strapioną rodziną, może jój powróci najdroższą istotę; tylko w jój roku spoczywa jeszcze cała nadzieja. Już blisko miesiąc upływa, jak mieliśmy ostatni jego list, bardzo krótki. „Nie wymagajcie,“ pisze nam, „żebym do was często pisywał, bo mi każde pisanie drogo kosztuje.“ Od przyjaciela jego w Hyères dowiedzieliśmy się, że już teraz kryzys nastąpiła. Codziennie czekamy nowój wiadomości, która zdecyduje podróż Maurycego. Chce on Kamila przywieść do Marly, dawnoby pojechał po niego, gdyby miał pieniądze. Teraz, kiedy ma trochę, łatwo tego dokaże, chociaż Rostkowski wyraźnie mówi, że mu ta podróż może zaszkodzić, i że lepiej, jeżeli po przejściu kryzys na awantaz pozostanie jeszcze przez miesiąc w Hyères. — Co będzie, najwierniej doniosę; dla tego proszę codziennie się spodziewać odemnie listu. Nic nie zataję. Maurycy czy tak, czy tak, pojechać chce koniecznie; ledwo parę dni czasu

wyprosilimy od niego do przyjścia nowój wiadomości, która, jak mi mówił Rostkowski, albo powrót do zdrowia, albo śmierć nam zwiastuje; nie więc nie obwijam w bawełnę, piszę jak jest, proszę się nie poddawać próżnemu żalowi, który może jeszcze na radość się zamienić!

Przyszły list proszę adresować albo à Monsieur Maurice albo Michel à Marly-le-Roi Baulien, Rue Dufour Nr. 5., par Paris.

Tymczasem kończę te kilka słów, powtarzając moję prośbę, abys, szanowny Panie, raczył spokojnie, cierpliwie i z rezygnacją oczekiwać na mój list następny.

*Michał Podczaszyński.*

#### Nota.

Nie zrobiły na mnie wrażenia słowa pociechy mojej dobrej kuzyny. Zacięta w smutku nie mogłam czytać sama tego listu, czytano go nam jak rozumiano, że trzeba dla utrzymywania mię jeszcze w nadziei. Ja nie chciałam wchodzić w rozbiór tak bolesny, ani w domysły, wszakże żebym go tylko była sama czytała, domyśliłabym się że mój kochany Kamil już nie żył, że to był list pocziwego Michała przygotowawczy tak wyraźnie że dość było najmniej go przeczytać, aby się nie zapewnić że już się skończyły wszelkie łudzenia strapionych rodziców. Biedny Maurycy, brak pieniędzy trzymał go o 230 mil od umierającego Kamila w obcym miejscu bez znajomych, bez najbliższych, bez brata czulego, bez Michała najwierniejszego, najdawniejszego przyjaciela. Okropna pozycja umierającego Kamila zabijała Maurycygo, pozbawiła go nakoniec sił i zdrowia, dla tego Maurycy się rozchorował, dla tego Kamil w tak opłakanėj sytuacji bez żadnej pociechy musiał umierać, a serce moje, serce ojca czuło to, widziało w naszej bezsilności zaradzenia temu. Było nam niepodobna mieć pieniądze i pojechać ratować te drogie dzieci, najgłębsza boleść i smutek opłonał nas. Byliśmy bardziej dwiema statkami z kamieniami aniżeli istotami życia, bo życie nasze było ciągłym cierpieniem, boleścią. Nie wiem czy minęło parę dni po owym liście, kiedy z rana

mąż mój który odwiedzał nas w hotelu po kilka razy na dzień, kazał powiedzieć że słaby bardzo na oczy, że nie będzie u nas. Natychmiast pomimo mego zwyczaju dysponowania i czasem i ludźmi i końmi mojej kuzyny, wydałam decydującą odpowiedź że po obiedzie będziemy obydwie o czwartej u niego stojącego w mieszkaniu Muszyńskich na bocznej ruskiej ulicy. Niespokojna, niecierpliwa, bez przecucia chodząca, pilnowałam godziny, wychodzę do ludzi, każe zaprzęgać, ciągnę moją kochaną kuzynkę Cieńską do pojazdu; ona milczy, powoduje się, ale nic nie rozumie dla czego tak niecierpliwa i porywca jestem. Wysiadamy, u Muszyńskich znalazłam jak powszechnie kilku emigrantów, między nimi zacy marszałek Barszczeski z Wołynia, mąż siedzi błądy, smutny, oczy widocznie cierpiące, siadamy z kuzynką na przeciwnej kanapie. Mąż milczy, wszyscy milczą, stoją, obserwują nieszczęśliwych rodziców. Czy nie było listu nowego z Paryża? pytam się męża, milczy, a w krótkce mówi: był; był, odrzekłam, w ten moment jakby zasłona spadła mi z oczu, jakby się kurtyna podniosła, wyrzekłam jakbym widziała własnymi oczyma: Kamil mój już umarł! już nie żyje! Zacięłam się, w żalu zamilkłam, oczy stanęły mi słupem, bo krew cyrkulować przestawała. Kamil już nie żyje, wyjęknął strapiiony ojciec, lecz głosem determinowanym.

Długi czas milczeliśmy, było tak cicho jak w grobie naszego pięknego, kochanego Kamila. Ta była cześć rodziców dla takiego syna, w pół kwadransa natura udzieliła sama ulgę uciśnionemu sercu; łzy puściły się strumieniem, słodkie i pełne religijnej uwagi słowa mojej kuzyny: owa wola Twórcy naszego, owa święta rezygnacja, ów stan męczenia się już tak długo mego dziecka, dozwalały łzom robić mi jakąś ulgę. O mój Boże! zawołał mój mąż, z kilku tysięcy wychodźców naszych potrzeba aby syn mój tak młody musiał najpierwszy umierać! Marszałek poważnie się odezwał: „Panie niech ci to przynajmniej służy za pociechę, której żaden z nas nie dostąpi, że stratę twoją tak bolesną jak jest, podzieli z tobą cała nasza ojczyzna. Tak jest, twoi synowie są pełni chwały. Ojczyzna straciła na wielkich zdolnościach i charakterze twego syna, płaczmy go razem.“ Rzuciłam się w ręce nieszczęśliwego męża. Wyprowadził nas marszałek. Płakałam wróciwszy do hotelu, rzuciłam się na kolana za parawanem u łóżka mego, ukryłam twarz w dłonie z głową zwieszoną i tak modliłam się, skarzyłam się Bogu mojemu ofiarując jemu i syna mego i żal mój, błagałam już nie o żadne dobro nasze, lecz o zbawienie tego młodego męczennika. Istotnie ból piersi i początek suchót Kamila wzięły swój zaród owej nocy 29 Listopada, trudy dni kilku bez

odpoczynku, z bronią w ręku, z piersiami otwartemi, w lekkim płaszczyku, bez żadnej wygody w tak okropnych okolicznościach wywołały chorobę: odtąd kaszel i napady krwi, ból piersi wziął swój początek. Nazajutrz dopiero mąż mój oddał mi list następujący.

*Marya M.*

### **Maurycy Mochnacki do Rodziców.**

Marly-le-Roi. Près St. Germain en Lay. Rue Dufour Nr. 5.  
Dnia 8. Września 1833.

Spieszę się ze złą nowiną, bo i cóż to pomoże jeżeli ją odwołkę? Wreszcie to już nie jest w mojej mocy. Kamil już nie żyje! na dniu 17 Sierpnia skończył życie okropne, połączone od miesiąca Stycznia ze strasznemi i ciągłemi cierpieniami. Ja jeszcze pierwój, jeszcze przed Styczniem z jego kaszlu i krwiotoków niczem niepochamowanych miarkowałem nieszczęście. Były chwile na dzień krótkie, po nich następowały chwile wielkiego smutku z choroby która w jego piersiach czyniła gwałtowne postępy. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to ja przez dziewięć miesięcy pasowałem się z pewnością jego zgonu tak prędkiego, tak niezasłużonego od losu, dla mnie tak okropnego, ale na suchoty nie masz ratunku w mocy ludzkiej, dyspozycją do tego miał nasz kochany Kamil jeszcze przed kampanią. Niechaj Papa nie sądzi że mnie napoje ostre, albo jakie pokarmy sprawiły ostatnią moją słabość, ja chorowałem ze zgrzyzoty jedynie, z zapewnienia się że Kamil żyć nie może!

Ten Kamil to był tylko miły sen naszego życia, zawsze zamknięty w sobie, daleki od domu, od rodziców, ledwo przy końcu dni swoich wszedł w ściślejszą znajomość z familją. Jakże ja byłem dumny kiedyś z nim uchodził z kraju, zdawało mi się przy nim że nieszczęścia nasze publiczne były lżejsze o połowę. On miał

tyle przyjaciół wszędzie, ale po cóż nam to sobie przypominać! Czyż nie jest napisano żeśmy się oba urodzili tylko dla nieszczęścia! Za granicą jest do czterech tysięcy Polaków, ledwo ósmiu umarło, ale między nimi Kamil znajdować się musiał. Wreszcie nikt prócz niego nie umarł w takim kwiecie wieku i z taką stratą dla nas i dla ojczyzny! Papo kochany, Kamil był niepospolity człowiek.

Suchoty jest to słabość tak znana, tak niewątpliwie śmiertelną, że nie masz ojca, nie masz matki i brata któryby nie musiał sobie wyperswadować. Jednakże ja wiele razy pomyślałem, że ten chłopiec umrzeć musi, odchodziłem prawie od rozumu. Ostatnia chwila kiedym go żegnał na wieki zostanie w mojem sercu: dniem pierwszym w wilią mego odjazdu płakaliśmy obydwaj jak dzieci. Kamil stetryczał był przez ciągłą chorobę, zrobił się fantastykiem i dziwakiem. Ale tego dnia, było to w połowie Kwietnia, widząc, że ja odjeżdżać muszę do Paryża, aby go w Hyères utrzymać, zaczął mówić bardzo wiele, gdyż od dawna był milczący i ponury, rozrzewnił się, nareszcie rzucił się mi na ręce i zaklinał na wszystkie obowiązki, żebym się wcale od niego nie oddalał! „Ja już nie długo pożyję, wolę umrzeć przy tobie Maurycy.“ To mi powiedział, ale ta scena między nami dwoma braćmi jest nie do opisanania; Kamil płakał jak małe dziecko, i ja się nie mogłem wstrzymać od gorzkiego płaczu. Mój Boże! pomyślałem sobie, skąd jemu ta pewność śmierci, kiedy zwykli suchotnicy myślą, że żyć będą. Żeby się mu nie sprzeciwić powiedziałem na to, że dobrze, zostanę z tobą, wtenczas Kamil począł obrachowywać nasze pieniądze, liczyć dochody i wydatki w Hyères. Z tysiąca fr., o które się wystarałem na tę wielką podróż, zostało tylko 25 fr.; jak zaczęliśmy rachować tak pokazało się, że w miasteczku tak drogiem jak Hyères jemu samemu najmniej 100 fr. na miesiąc

trzeba było. Ta racja przeważyła, radziliśmy obydwą całą noc i zapadła decyzja, abym odjechał do Paryża a za miesiąc powrócił. O piątą godzinie z rana 14. Kwietnia poraz ostatni uściśnąłem Kamila, twarz jego przy rannym księżycu była tak blada jak upiora, odprowadził mnie do statku parowego. To był już tylko szkielet Kamila, matka, siostra rodzona nie poznałyby go, tak suchoty wycieńczyły tę twarz szlachetną i piękną. A ja co tyle nieszczęść przeżyłem, tę ostatnią chwilę z Kamilem znieść nie mogę; obraz takiego już Kamila nad Rodanem kiedy poraz ostatni był u mnie, wybija mnie ze snu, truje mnie wolną trucizną.

Z Paryża do niego pojechać nie mogłem, najprzód że jakiegokolwiek miałem pieniądze, wolałem jemu posłać po 50 po 100 franków jak stracić to na podróż i powiększać koszta utrzymania się w Hyères, a powtóre że kilka razy zapadłem tego lata z powodu jego słabości. Nabawił mnie Kamil defektu, którego nie miałem, *drzenia w sercu*, i rozwinęły się od żalu początki aneuryzmatu, z których Rostkowski wyprowadził mnie przez gwałtowne upuszczenie krwi. Ja więc albo słaby, albo bardzo zapracowany, albo bez pieniędzy, żadną miarą nie mogłem jechać, a do tego dodać trzeba niezmiernie wielką trudność wyrobienia sobie pozwolenia, bo tu nam jak się podoba któremu jeździć nie pozwalają. Kamil ciągle korespondował ze mną, wiele razy był w ambarsie pieniężnym pisał. Zawsze po takim liście posyłał mi choć nie wiele, ale dosyć często, ja, Michał i kochany nasz pułkownik Łęgowski, raz nawet chociaż o tém nie wiedział generał Dwernicki. Najtrudniej było kiedy Papa był łaskaw 20 ₰ przysłać, wtedy przez pięć tygodni ciągle w łóżku leżałem na aneuryzma. Po posłaniu tych pieniędzy odbierałem częste listy od Kamila, w których mię zobowiązywał na wszystko, ażebym Papie oddał tę sumę z prenumeraty, i zawsze powta-

rzał te wyrazy: „Pamiętaj że mi Bóg nie pobłogosławi i w ostatnim momencie, jeżeli najlepszemu i najdroższemu ojcu ostatni grosz zabiorę,“ gniewał się w tych listach na mnie, że m Papie jego słabość i stan nasz opisał. Z niektórych jego listów błyskała nadzieja, że się mu poprawi, na początku Lipca ustały były poty co go zalewały, i zmniejszył się ból w piersiach; lecz tę iluzją rozwiały natychmiast opinie doktora, z którym korespondowałem. Ten chwilowy przestanek był tylko przepowiednią bliskiej już śmierci, Kamil wypluł resztę płuc, które wywiózł z Paryża, a choroba w ostatnim stopniu swoim poszła do ucha i w gardło, przy tém dysenteria go napadła. Wiedząc o każdym postępie choroby, chciałem w Lipcu pojechać żeby przynajmniej ostatnie momenta z nim podzielić, aby na mojem ręku skonał. Gdy w tém z wielkiego żalu padłem na łóżko i dostałem gwałtownego klucia w sercu, że m po wielkich tylko upuszczeniach krwi mógł przyjść do siebie. Ah kochany Pape! żal to straszna słabość, krew bije w serce jak młotem, a głowa ledwo nie rozpeknie się od bólu, doktor kazał mi pojechać na wieś dla powietrza, pojechalśmy do Marly le Roi z Michałem. Tu już tylko dwa listy odebrałem od Kamila. Okropna, straszna jego rezygnacja.

Tydzień temu przyszedł list Papy z dnia 17. Sierpnia. Postanowiłem zamiar mój przywieść do skutku, zaraz posłałem 300 franków Kamilowi z pieniędzy które Papa przysłał, a wzięwszy drugie 300 choć z uszczerbkiem druku wybierałem się w podróż, prosząc Boga żeby mi choć godzinę pozwolił widzieć brata, gdy w tém nadchodzi okropna wiadomość! — Los pozazdrościł mi tego szczęścia, byłbym dał połowę życia mego za jedną minutę przy łóżku Kamila! ale cóż robić, na tę jego chorobę nie było środka.

Data 17. Sierpnia jest bardzo ważna w téj okoli-

czności, jest to ostatniego listu Papy data. Ojciec cieszył się nadzieją że mu syn nie umrze o tój właśnie chwili, kiedy on umierał. Ja także dnia 17 Sierpnia miałem osobliwszy przypadek: jechałem z Paryża do Marly, było to wieczorem, koło Malmaison postrzegam domek nad ramieniem Sekwany przy zachodzie słońca, w przysionku stała trumna obita kirem z lichtarzami w około. To na mnie taką impresją zrobiło, że mając nabitą głowę niebezpieczeństwem Kamila przeczułem jego śmierć. a) Przyjechawszy do Marly nie mogłem sobie dać rady, tylko co zasnąłem Kamil w bieli cały stanął mi przed oczyma, obudziłem się natychmiast, zapaliłem świecę, zbudziłem Michała i doktora, mówiłem im że Kamil już umarł, oni się śmiali ze mnie, ale zanotowali ten dzień. Potem tój nocy zaczęły mnie boleć zęby trzonowe, a pamiętam, że Mama mówiła iż kiedy ten ból nadchodzi, to pewno ktoś z rodziny umrze. Jakoż rzeczywiście umarł dnia tego Kamil, jak się pokazało o tój samej godzinie jak postrzegłem trumnę około Malmaison.

Stan i charakter suchot Kamila był tak gwałtowny w Kwietniu jeszcze gdyśmy wyjeżdżali, że tylko cudownemu niebu południowej Francyi w Hyères, tylko łagodnemu i czystemu powietrzu prowincyi, winniśmy przedłużenie dni jego do 17. Sierpnia. Lecz z drugiej strony i tego zataić nie mogę, że samotność narobiła wiele złego; pewny jestem, że gdybym był nie zachorował i pojechał do Hyères, Kamil, którego przywiązanie braterskie było nadzwyczajne, byłby może cokolwiek dłużej pożył. Jego serce było tak jak koncha zamknięta dla całego świata, która się tylko dla mnie otwierała; co myślał i czuł z tem tylko się nie tał przedemną, dla innych był zimny, bo znał świat za młodu. Jego iluzją, jego całym marzeniem było to, że Papa przyjedziesz i że razem na ustroniu żyć będziemy po tylu kłopotach, lecz od Kwietnia przekonawszy się, że żyć nie może, stetryczał bar-

dzo. Tego tylko pojąć nie mogę, skąd mu się ta pewność wzięła! lecz zawsze mówił gdym się go starał zapewnić że ozdrowieje: „Co ty mi gadasz, alboż to ja nie czuję dezorganizacyi w piersiach? Kto tak jak ja kaszli po 16 godzin na dobę, powinien uważać każdą minutę życia swego za ukradzioną śmierci, która nie wiem dla czego ma tyle cierpliwości ze mną i tylko mi się męczyć każe.“ W rzeczy samój życie jego było tylko męczarnią, w nocy najwięcej jak godzinę spał, ale drzymał, resztę przekaszał. O mój Boże! wiele razy przybiegłem do niego z rana w hotelu naszym, nie mogę dostatecznie powiedzieć Papie, co się ze mną wtedy działo, każdego poranku oczy od gwałtownego kaszlu podsiniałe, twarzyczka tak malutka jak na portrecie, zapadła, blada, straszna! cały dzień milczący, ponury, kaszlał a chrzęst tego kaszlu był miedziany, i zdawało mi się że jego piersi były machiną stalową. W drodze na noclegu w Auxerre przebudził mnie tym kaszlem tak gwałtownym, że się aż od niego zachodził, wstałem, zapaliłem świecę, przybiegłem do łóżka, dla Boga! Kamilu co to jest? zawołałem, „To muzyka śmierci“ odpowiedział z zimną krwią, „Widzisz Maurycy jakie nie-szczęście Pan Bóg zesłał na mnie.“ Wierzaj mi Papo, że te wyrazy na wskroś mnie przeszywały, nie mogąc pokonać żalu, począłem głośno płakać, oh najdroższy Papo to było nad siły moje. „Widzisz Maurycy, rzekł znowu Kamil, więc i ty jesteś pewnym, że ja umrę koniecznie a tylko mnie łudzisz; gdybyś nie wiedział tobyś tak nie płakał.“ Lecz ja mógłbym cały tom zapisać takimi scenami, nie było miary we wzajemném przywią-zaniu naszym, które powiększały przebyte razem nie-bezpieczeństwa: wygnanie, niepewność przyszłego losu, i oddalenie od całej rodziny.

Posyłam Papie kochanemu list Pana Peccard przy-jaciela Kamila, prezesa komitetu w Avignon, mnie do-

brze znanego, w którym donosi mi o jego śmierci. Do tego listu dołączył Piccard kopią listu od pana Denis, prezydenta *Maire* miasta Hyères, który miał mowę na pogrzebie Kamila, kazał wystąpić gwardyi narodowej z bronią artyleryi wojska dla oddania czci zwłokom polskiego oficera. Pogrzeb odbył się z największymi honorami. Dziennik tamtejszy *l'Eclair du Midi* opisuje go szczegółowo, posyłam i ten dziennik. Te akta powinny zostać w rodzinie. Pewna dama francuzka posiada portret Kamila i jego włosy, będę się starał dostać od niej ten portret i każe go przekopiować. Pojadę sam do Hyères gdzie mnie ciągnie jakaś nieznana siła, otworzę grób i utnę włosów dla Mamy! Muszę widzieć miejsce, gdzie został pochowany. Idzie mnie także o jego papiery i korespondencje, które nie chciałbym aby się dostały do jakiego Polaka. Portret Kamila będzie miała rodzina.

Mamie mojej najdroższej od razu o tém wszystkiém mówić nie trzeba; zaklinam Papę żeby na kilka tygodni Mama była do tego przygotowana, trzeba powoli z symptomatów prowadzić tę bolesną historją. Ja ten list dla samego Papy piszę, niechaj go Mama nie czyta na miłość Boską!

10 Września. — Trzy dni ten list piszę i nie mogę skończyć. Właśnie odbieram wiadomość z Paryża, że owa dama u której miał się znajdować portret Kamila, czyni trudności i powiada, że nie ma portretu. Nowy powód żalu dla mnie. Gdybym umiał malować, tobym go z pamięci odrysował. Przed odjazdem do Hyères Kamil jednego dnia powiedział mi, abym kazał zrobić jego miniaturę i posłał Papie, bo mówił mi: „Umrę niedługo, przynajmniej niechaj mój portret będzie u Mamy.“ Naturalna rzecz że kazać go było wtenczas malować, byłoby to utwierdzić go w pewności, że żyć nie może. Sprzeciwiałem się temu najmocniej kładąc za powód że do tego będzie jeszcze dosyć czasu gdy ozdrowieje. Jest

tu kolega szkolny Kamila, malarz Kondratowicz, który może go z pamięci zrobić, ja się z nim skombinuję i portret przyjdzie do skutku. Trzeba kochany Papo znieść ten cios mężką duszą. Niechaj nas jedna rzecz pociesza w téj stracie niepowetowanej, to jest to: że śmierć ta była dla Kamila równém dobrodziejstwem Opatrzności, jak dla nas jest klęską i nieszczęściem dla Emigracyi, dla kraju który mało ma synów jemu podobnych. Niechaj nas to pociesza, że każda chwila któraby przedłużyła zgon jego, przedłużałaby zarazem jego męki! Cóż po życiu połączoném z przekonaniem o bliższej śmierci, cóż po życiu którego każdą minutę Kamil nasz okupować musiał okropnemi cierpieniami? Co do mnie; jabym był wolał żeby był zginął w bitwie jankiej, jedynie dla tego żeby był tyle nie cierpiał. Lecz jest Bóg nad nami, który wszystkiém rządzi!

Kamil miał tyle przyjaciół ile ja przeciwników. Póki był zdrow, prawie nic się nie działo w Emigracyi bez jego rady, woli i wpływu. Jak się zaczęły formować zakłady, został pełnomocnikiem zakładu najliczniejszego avignońskiego. W tym charakterze kierował z przecznością i taktem ogólnemi sprawami naszemi. Kreował i wywraçał komitety. Uległ wpływowi Lelewela na Lafayetteta i pozyskał sobie u Lafayetteta takiego protektora, że kiedy intrygi Platera i Kniaziewiczza obudwu nas z Paryża wyrugować zamierzały przeszłego roku, Lafayette zaradził temu. A potem gdy Kamil dla słabości miał wyjeżdżać do Hyères, a pieniędzy nie było, Lafayette ich dostarczył. Swary, kabały emigracyjne nie zwichnęły go z prawdziwego toru. W jego przekonaniu emigracya nie powinna była zostawać ani pod wpływem księcia Czartoryskiego, ani pod wpływem Lelewela. Unikając tych obudwu ostateczności, wspierał stronnictwo Dwernickiego. I komitet pod generała Dwernickiego prezydencją zaproponował zakładom i utrzymał. Liczne korresponden-

cye, ciągle prace z tego powodu znacznie nadwreżyły jego siły. Zawsze prawie, dopóki mógł, pisywał do późnej nocy, a to wszystko co pisał, było nacechowane pojęciem rzeczy jasnym i widziane z dobrego punktu. Nie podpada zaprzeczeniu, że gdyby był z Avignonu ku końcowi Marca roku zeszłego nie przybył do Paryża w interesach emigracyi, suchoty nie byłyby się rozwinęły w jego piersiach, a przynajmniej nie tak prędko, i byłoby się skończyło na astmie, na dychawicy, która także zabija, lecz powoli w kilku leciech. Suchoty zaś w atmosferze mglistej Paryża, dla ludzi młodych mających do nich usposobienie są zabijające i rzadko kiedy który Francuz w tém mieście lat 27 przeżyje. Cała ludność ma tu wejrzenie suchotne. Mężczyzni chudzi, wysmukli, kobiety bez piersi, szczupłe jak lalki. Dzieci nawet z suchotami się rodzą. Starca podeszłego, otyłego człowieka prawie tu nigdy widzieć nie można. Kamil z niewątpliwą skłonnością do suchot wpadł w tę atmosferę i zaraz dostał ich w wysokim stopniu, czego mógłby był uniknąć, gdyby był wiek swój krytyczny, rok 28., 29., 30., w Avignon przetrwał. Podróż naszą wielką i gwałtowną z Gołubia do Paryża, w szerz i w dłuż całych niemal Prus, odbył zemną w najlepszym stanie zdrowia. Gdy przybył do Paryża był rozkwitający, mężny jak nigdy. Lecz pi-szę to dla wiadomości samego tylko Papy, który wszystko wiedzieć powinien. Tak piękny chłopiec, między żołnierzami prawie wychowany, zatrzymał z koszar pewne dla zdrowia jego szkodliwe narowy, które rzadko który z wojskowych naszych zaniedbuje, zwłaszcza w Paryżu. Nie mogłem go od razu odzwyczaić od ponczu wieczorem, którego najmniejsza dozys była dla niego niebezpieczna, ani od tytoniu, który dopiero na dziewięć miesięcy przed śmiercią palić przestał, i był jego niezbędną potrzebą. Tysiące tedy przyczyn wpływało

na to złe i dozwalały się rozwinąć dyspozycjom, które już w szkole podchorążych były niewątpliwe.

Prosiłem Michała, żeby napisał do pana Denis Maira miasta Hyères, o przysłanie rzeczy, papierów i sepultury Kamila. Ostatnią w jednym z następnych listów prześlę famlii. W Paryżu przyjaciele i nieprzyjaciele nasi czynią przygotowanie do egzekwii za duszę nieboszczyka Kamila. Ja się na tém nabożeństwie znajdować nie będę. Nie mam siły do tego. Śmierć Kamila, chociaż byłem tego tak pewny, jak że jutro słońce zajdzie, uczyniła mnie niezdolnym do dalszej pracy. Z tego powodu zaczęta już w drukarni *Historia narodowego powstania* dozna pewnej przerwy. Jediną moją pociechą jest teraz cudowna natura w Marly, gdzie zimować zamysłam; bo mi zbrzydł Paryż i hotel w którym mieszkałem. Nic mię do życia nie przywiązuje po tylu burzach, które jego jesień przyspieszyły, tylko ta myśl, że kochany Papa nasz nie będzie dłużej zwlekał swego tu przyjazdu. Nie wiem co się stanie w polityce, to wiem tylko, że ostatni promyk mojego szczęścia na ziemi zajaśniałby z przyjazdem najdroższego Papy do Francyi, b) poczem już nas nic nie rozdzieli. W Marly, o dwie godzin jazdy od Paryża mamy już pewien rodzaj własnego gospodarstwa, pewien rodzaj własnego domu, z tego względu, że sami sobie jeść gotujemy i że tu trzy razy wszystko tanięj jak w Paryżu, azatém prawie tanięj jak w Polsce. Za dwa pokoje z meblami, łózkami, kuchnią i wszystkiemi potrzebami kuchennemi, z piwnicą i pokoikiem dla starego wiarusa Franciszka, kucharza naszego, płacimy na dzień jednego franka, co czyni po sześć i pół sous na osobę. Za dwa franki na dzień możemy tu żyć wygodnie. Przybycie Papy ani grosz jeden tych wydatków nie powiększy, ale owszem powiększy dochody nasze wspólne. Ponieważ ja biorę 45 franków miesięcznie, Michał 45 fr., a Papie bez trudności 60 wyrobię za po-

mocą Rybińskiego, który teraz wszystko może, a dla nas jest najprzychylniejszy jak i był zawsze; za 150 fr. będziemy żyli w Marly jak królowie, a co pobocznie przez spekulacją zyskamy, to swoją drogą. Dla tego, kochany Papy, nasz projekt trzeba przywieść do skutku, Kamil umarł w tej nadziei, ja i Michał w niej tylko żyjemy. Tysiąc razy znośniejsze będzie dla Papy i tułactwo i nieszczęście z powodu straty syna między nami na obcej ziemi, jak tam gdzie tak głucho i strasznie. Projekt tedy mój jest taki. Dzieło moje zaczęło się drukować; te 1500 fr. które Papy przysłał przez Rougemonta i drugie 1500 fr. które Papy prześle taką samą drogą, pokryją albo wszystkie koszta, albo daleko ich większą część; z trzecimi tedy 1500 franków trzeba żeby Papy sam przyjechał i użył to na wydatki swęj podróży. Główną naszą kwaterą będzie zawsze Marly, ztąd tylko, gdy Papy przyjedziesz, będziemy oddawali wizyty Paryżowi. Zaręczam Papie za najlepszy rosół w świecie, za dobrą kawę i kartofle; więcej nam nie potrzeba. Może być nawet wisk, jak Papy zachcesz, bo w bliskości o kwadrans drogi w St. Germain mamy zanego sąsiada, wojewodę Ostrowskiego, u którego zawsze ktoś z Paryża bywa. Wreszcie i do nas do Marly przyjeżdżają bardzo znakomici ludzie; a jeżeli to się Papie będzie podobało, to kogo zechcę mieć będę na wisku dla Papy; jedném słowem, zaręczam, że wola Papy będzie panująca między nami. O! żadnej przykrości, żadnego zmartwienia, żadnego niedostatku nie będzie, a rozkazy Papy najdroższego będą dla nas świętsze i punktualniej wykonywane, jak rozkazy samego Ludwika Filipa. Ja to czuję, że razem potrafimy przeżyć Kamila, ale w oddaleniu to trudno będzie dla mnie i dla Papy. c) Z rana będziemy pracowali, po obiedzie będziemy chodzili i jeździli, a wieczorem będzie wisk; jeżeli posłużą spekulacye, to zwiedzimy kawał kraju; na-

koniec leży to już w naturze rzeczy, żebyśmy razem byli. To co Papa piszesz, że dopiero po dystrybucyi mego dzieła o zbliżeniu się do Francyi czynione będą starania, mocno mię zmartwiło. Trzecią część prenumeraty trzeba obrócić na podróż, umocować kogo we Lwowie do korespondencji z nami i dystrybucyi dzieła. Trzeba kochany Papo, porozumieć się w tój mierze z którym księgarzem, z samym nawet Milikowskim; chociaż zresztą są tu nieomylnie sposoby dostarczenia ztąd do Galicyi wszelkiego podobnego transportu. Niejedno dzieło będziemy drukowali, azatém i to, które ma wyjść najdalej za trzy, cztery miesiące, już powinno być w systemie naszych spekulacyi, tak, aby rzecz odbywała się bez obecności kochanego Papy.

Otoż to jest wszystko, co mi teraz napisać siły moje dozwoliły. Adres ten sam zawsze, à Maurice Camille Mochnacki, Rue Rivoli Nr. 50, Hôtel de la Terrasse; bo chociaż pozbywamy się tój stancyi, zamówiliśmy jednak sobie zawsze chwilowy pobyt na przypadek przyjazdu z Marly i odbieranie listów. Wexlów w liście niechaj Papa nie przesyła, żeby czasem nie przepadły; tylko anons do Rougemonta, jak teraz. Proszę Papy, żeby o tём napisał do Józefa Krzyżanowskiego, a jeżeli można, list ten jemu komunikował z tysiączném uściskaniem odemnie. Kamil go tak kochał jak brata.

*Maurycy Mochnacki.*

#### Nota.

a) Maurycy robi uwagę nad datą dnia 17. Sierpnia. Ja muszę jeszcze dodać, że właśnie d. 17. Sierpnia będąc w Żółkwi w zamku u mojej kuzyny generałowej Kempelen, zachorowałam mocno; noc i dzień cały w boleściach ogromnych przeżyłam, ciągle marząc o słabości Kamila, i dopiero trzeciego dnia mogłam wstać

z łóżka. Ta słabość tak niespodziewana przerażała mnie trwogą, ale nie mogłam siebie rozumieć.

b) Maurycy wieszczym duchem pisze, że może jeszcze ostatni promyk jego szczęścia zabłysnąć na ziemi dla niego z przybyciem ojca. Niestety! życie Maurycyego już było nader bliskie swemu końcowi. Nie było nawet czasu ziścić jego najgorętszych chęci sprowadzenia ojca. Nieszczęśliwy ten młodzian umierał bez żadnej pociechy.

c) Maurycy zapraszając ojca pisze: „Ja to czuję, że razem potrafimy przeżyć Kamila ale w oddaleniu trudno będzie dla mnie i dla Papy. Zgadł; bo w istocie sam zostawszy, tego ciosu nie przeniósł, choroba jego, owe bicia krwi do serca były zaś ciągłą Maurycyego słabością. Umarł ze zgrzytot wielkich, umarł z żalu za bratem, ojcem i rodziną. Mówi: „że burze zbliżyły jesień jego życia.“ To prawda, Maurycy był tak silnej konstytucji, tak zdrow zawsze bez najmniejszego defektu, ale czuł wszystko całą siłą najwyższej energii, wyczerpał to uczucie, potargał swoje życie. Gdyby ojciec mógł być pojechać do niego, Maurycy byłby żył jeszcze, Maurycy tak był czuł i kochający, że sam, bez brata, bez rodziny, bez nadziei powrotu do kraju, wygnaniec, tułacz egzystować nie mógł: czuł to i pisał o tem. Ojciec nie był w stanie pojechać do syna by go ratować, chociaż było to jego chęcią. Zebrałi razem po tylu niebezpieczeństwach, na które byliśmy narażeni pod czas rewolucyi, za całe nasze szczęście mieliśmy, że nikogo z nas nie ujęto, nie uwięziono, nie umęczono; że żadne z nas nie umarło, chociaż ja okropną żółciową gorączkę przeżyłam w Krakowie, rozdzielona od męża. Jakże więc mógł ojciec porzucić na los resztę rodziny? Ta myśl zabijała nas, każdego z osobna nade wszystko że żadnych funduszów, żadnych pieniędzy nie było, ani ich nadziei. Wszystkie projekta Maurycyego były tylko marzeniem. Te pieniądze które mu ztąd ojciec posyłał był to grosz ostatni zawsze; bo prenumerata rzeczywiście bardzo szła tępo i na niczém się skończyła; rząd albowiem nie dozwalał i coraz bardziej zabraniał wszelkich pism zagranicznych.

*Marya M.*

**Pan Picard do Maurycego Mochnackiego.**

Avignon, le 30. Août 1833.

*Monsieur!*

C'est avec le plus vive douleur que je viens vous transmètre la triste nouvelle, que je reçois l'instant de Monsieur Denis, maire d'Hyères, à qui j'avais recomande votre frère Camille. La copie ci jointe de sa lettre contient le seul renseignement que je possède sur le triste événement que je deplore avec vous. D'après l'état désespéré dans le quel se trouvait ce malheureux jeune homme à sont départ de Paris, vous étiez sans doute préparé à cette perle douloureuse, mais votre affliction n'en séra pas moins vive de ceux, qui l'ons connu, pleurerons avec vous le fin prématurée d'un homme si digne d'un meilleur sort. Puissent les régrets qu'il inspire de le souvenir que consera en ses amis des hautes qualités de son coeur et de son esprit fournir quelque consolation à Vous et à ses autres parents.

Agréez Monsieur avec l'expression de ma douleur celle de ma haute consideration. Votre dévoué serviteur.

*August Picard.***Pan Denis, prezydent miasta Hyères, do Augusta Picard do Avignon.**

Hyères, le 28. Août 1833.

*Monsieur!*

Nous venons de perdre Monsieur Camille Mochnacki et je m'adresse à Vous pour que Vous apprenier cette triste nouvelle à son frère et aux autres personnes de sa famille dont j'ignore entierement le demeure. J'ai fait mettre sous clef ses vêtements quelque livres et sa vo-

lumineuse correspondance. Son frère voudra bien m'indiquer ce que je devrai en faire. Le journal du département du Var *l'Éclair* Vous fera connaître quels honneurs ont été rendu à la dépouille mortelle du brave jeune homme que Vous m'aviez presque confié, et que je n'ai pas pu voir aussi souvent que l'aurais voulu faire, que j'ai été de passer une partie de mon temps à Greouls et ailleurs. Mais avant mon départ, j'avais pourvu à ce que rien ne lui manquât, et depuis mon retour je lui ai adressé mes offres de service de toute espece. Offres, que son extrême délicatesse, lui avait fait refuser. La Pologne perde en lui un de ses plus nobles enfans. Et quoique sa perte m'ai profondément attristé, je ne vous en rémercie pas moins de m'avoir fourni l'occasion de connaître un homme aussi distingué que Monsieur Camille Mochnacki et de lui être utile. Usez de moi Monsieur dans toutes les circonstances où il y aura de nobles et patriotiques infortunées à assister et Vous me servirez selon mon coeur.

Un de mes vifs désirs est de fair un jour Votre connaissance. Si jamais Vous venez à Toulon et Hyères n'oubliée pas que Vous y avez un serviteur tout dévoué.

*A. Denis, maire d'Hyères.*

*Artykuł wyjęty z gazety francuzkiej pod tytułem: „l'Éclair de la Méditerranée“, 27. Août 1833., dołączony w liście Pana Denis.*

**Journal de Toulon et de Midi.**

Hyères, 19. Août 1833.

Aujourd'hui a sept heures du soir ont un lieu dans cette ville les obseques de Monsieur Camille Mochnacki,

major polonais. Cette pieuse cérémonie s'est fait avec toute la solennité possible: le maire de la ville, quelques membres du conseil municipal, un détachement de la compagnie d'artillerie gardes-côtes, quelques notables et le gendarmarie suivaient ensemble dans le plus parfait récueillement le convoi du pauvre réfugié. Une nombreuse population venait en suite. A voir la tristesse profonde du cortège on compranait vite, combien grandes avaient été les infortunes de Monsieur Camille Mochnacki! Combien vifs et amers étaient les regrets qu'il laissait à Hyères, qui à pein arrivée à peine connu. Sa mort était à la fois une haute douleur et un grande enseignement. Pauvre enfant, si jeune, si loin de sa patrie, si longtemps sans frères, sans amis. Seul livré a toutes les engoisses du mal et de la proscription et condamné à mourir sur la terre étrangere. Car dans son isolement sa pensée venait souvent à rétombr sur lui-même. Sur lui Hero de vingt-six ans. Frapper déjà trois fois dans une seul campagne! Lui déchu de toutes les illusions de la vie, et rendant le dernier soupir à six cent lieus de la terre natale!

La terre natale! cette Pologne héroïque sanglante opprimée veuve de ses braves et de ses libertées. Cette Pologne poursuivie dans ses enfants dispersées au milieu de gouvernement ennemi demandant à tout un asyle, et ne rencontrant le plus souvent exepté en France, qu'une main qui menace ou qui repousse. Mais heureusement que Monsieur Camille Mochnacki comprenait la sainteté des esperances, qu'il avait fait aux-choses du ciel, et qu'il savait du fond de ses douleurs, lever et fixer longtemps ses yeux sur cette patrie, ou la vertu, l'héroïsme, le malheur trouvent une juste recompense. Ces esperances sublimes ont consolé jusqu'à la fine le noble proscrit et l'ont aidé a fair le noble sacrifice de l'existence.

Ici bas dont tout est finé, pour l'infortuné Camille Mochnacki; ecoutez ces chants lugubres qui retentissent dans les airs. Voyez cette bière qui renferme tout ce qui resté du major polonais Camille Mochnacki. Entrez dans la demeure des morts. Voici l'heur des adieux!!!

Les pretres achevents les derniers prieres. Les flambeaux ce veritable symbole de la vie humain s'éteignent, et la plus morne silence succede à cette funebre cérémonie.... Jusqu'à ce qu'enfin une voix amie et fortement émue celle du maire Monsieur A. Denis s'élève pour adresser aux dépouille du Polonais quelques paroles touchantes qui excitent le vive sympathie des assistance.

Et la foule se retire ensuite triste silencieuse et livrée à d'ameres pensées.

#### Nota.

Otóż wszystko co do nas doszło o zgonie Kamila syna mojego, syna, który był chlubą naszą, a mógł spełnić w przyszłości najpiękniejsze nadzieje! bo charakter jego nieugięty, stałość umysłu rzadka, odwaga szczególna, krew zimna, serce gorące, głowa otwarta, oczytany niezmiernie, pracowity z natury, a piękny jak Adonis. Takiego to straciłam syna; podobało się Bogu zabrać tę naszą chlubę.... Podobało się wkrótce odebrać i Maurycego.... Boże, wyroki twoje niedocieczone! korzemy się przed nimi. Lecz ta próba straszna, ciężka, okropna, niech będzie zasługą przez naszą rezygnacją, przez naszą wiarę dla pozyskania innym dzieciom moim i nam szczęśliwej przyszłości.

Dzięki autorowi artykułu w Journalu de Toulon et de Midi w Hyères. Cóż można czulszego, co sprawiedliwszego, co nareszcie pochlebniejszego napisać dla uczczenia zwłok Kamila, dla chwały jego w potomności, dla wielkiej i tak pięknej pamiątki familijnej, nakoniec dla ulgi żalowi matki i ojca, brata i siostr. Jak pięknie odmalował nieszczęście, cierpienie i smutne położenie Kamila osieroconego między zupełnie nieznanymi ludźmi. Jaką mu honorową cześć wyrządzili ci kochani Francuzi, nic więcej nad to

żądać nie można, nie nawet więcej wymyślić nie można. We własnym kraju, ani w gronie najczulszych przyjaciół niktby więcej nie napisał, nie powiedział, ani wydrukował dla mego Kamila. Dzięki, dzięki raz jeszcze tobie nieznanomy autorze artykułu przesyła matka, ojciec i cała rodzina.

*Marya M.*

Pełna najokropniejszego żalu i smutku najgłębszego, pielęgnowana przez moją kuzynę i anielską jej córkę młodą Zenonę, trawiłam dnie jak musiałam w pośród roztargnień wówczas familijnych z powodu zawierającego się małżeństwa kuzyna mego Juliana Łosia. Wszystko w Hotelu de l'Europe. Hałas, zamieszanie, odmiany, narady, wieczery u nas dla państwa młodych. Ośłupiała byłam, żyłam nie wiedząc o tém. Wyjechaliśmy do Wybranówki, tam w ogrodzie pięknym rozwodziłam moje boleści, Zenonka obok mnie zawsze, ona płakała zemną. Był to anioł.

### **Maurycy Mochnacki do Matki.**

Dnia 2. Listopada 1833. Marly le Roi Bauliée. Rue Dufour Nr. 5.

*Kochana Mamo!*

Że oddawna nie pisałem wprost do Mamy pochodziło to w części stąd, iż nie wiedziałem gdzie się Mama znajduje: czy w Wybranowce u hrabiny Łosiowej, czy w Żółkwi u krewnych, czy w Polance? ale najbardziej stąd że nawet nie życzyłem sobie aby i te listy które do Papy pisałem, były Mamie znane w ich całej, tak okropnej treści. Słabość Kamila struła moje życie, napełniła mnie goryczą i smutkiem. Cóż innego mógłem napisać Mamie jak nie to że on umrzeć musi? Lecz z drugiej strony, czy mógłem o tem pisać do Mamy bez bojaźni zakrwawienia jej serca? Jeżeli mnie co zaspokajać może, to zapewne to jedynie, że Mama od Kuleszy dowiedziała się, że on z Warszawy wyjechał z początkami

suchót. a) Ale mógłbym ja jemu oszczędzić téj drogi do Paryża? Czyż nie byliśmy otoczeni przez Moskali? A w Prusach mógłbym brata zostawić, albo go stamtąd posłać do Galicyi? Wreszcie gdybym był mógł, czy Mama sądziłaby żeby był Kamil na to zezwolił? Nigdy, Kamil tylko żył w téj nadziei że wróci do Polski z wojskiem; „Jestem major, mawiał, gdy się zaczęła tworzyć legiony, wejdę do nich w stopniu pułkownika, zostanę generałem.“ Nasi wojskowi rewolucjoniści tem tylko mają nabitą głowę, jeżeli mam prawdę powiedzieć Mamo kochana! to i ja tak myślę, że lepiej tułać się za granicą a do kraju tylko z bronią w ręku powracać, z rewolucją i obcym wojskiem. Co się tyczy detalów śmierci Kamila, które Mama chcesz wiedzieć, jakież to smutny dla mnie obowiązek opisywać te detale! dla mnie który nadaremno odchorowałem okoliczności, które towarzyszyły jego śmierci, bo wiele razy o nich pomyślę tyle razy obmieram z żalu. O kochana moja Mamo! co to za smutek pomyśleć sobie że ja miałem brata który był do mnie tak przywiązany, a który odemnie 200 mil umarł nad morzem Śródziemnym między obcymi. Lecz Bogiem się świadczę, że gdyby nie dwómiesięczna słabość moja tak niebezpieczna że nie mogłem wstać z łóżka, byłbym poleciał do Kamila, i moją własną ręką zamknął jego powieki. Kamil umarł w Hotelu d'Angleterre dnia 17. Sierpnia o godzinie 7. wieczorem. Od kilku dni przestał mówić, bo go chrypka oniemiała. Na parę dni przed śmiercią i do ostatniego momentu był najprzytomniejszym. O swojej śmierci nie raz jeden ale sto razy mówił, pisał, że jój życzy sobie, bo ona go tylko uwolnić mogła od cierpień, których widoku ja znieść nie mogłem. Niedostaku nie doznawał, bo co tylkośmy mogli, tośmy posyłałi jemu. Pan Denis i pani Denis mieli o nim staranie, ale Kamil był tak ambitny, że żadnej grzeczności od nich przyjąć nie chciał. Prócz

tego nad zdrowiem Kamila czuwał pan Desai doktor, którego ja poznałem w Lyonie, który kochał Kamila, bo go jeszcze dawniej znał. Czy się spowiadał Kamil, tego nie mogę jeszcze wiedzieć z pewnością, ale zaręczam Mamę że pomimo zepsucia dzisiejszych czasów był pełen religii, wiary i rezygnacyi. Straszna choroba, którą Bóg na jego młode lata dopuścił, dała mu czas do głębokiego namysłu, wiedział że umrze i zawsze od ziemi się odrywał. Lecz ja niechęć, nie mogę o tém pisać. Jest zapewne rząd wyższy na świecie, ale musi być bardzo ostry, kiedy nas tak ciężko karze za nasze przewinienia. Listów Kamila nie wiele było, trzy, cztery najwięcej, lecz nie wiem gdzie są teraz, bo się gdzieś zapodziały w mnóstwie innych papierów, korekt i dzienników, podczas przenosin naszych do Marly: jak tylko się wynajdą zaraz je poszlę Mamie. Co tylko Mama kochana pisała do nas to wszystko Kamil odczytywał z największą uwagą i chował. Listy Mamy dopiero przyjdą z Hyères z jego rzeczami. Pewnie musiał coś pisać przed śmiercią do mnie, albo do rodziców ale tego jeszcze nie mam. W tém całym zdarzeniu nie mogę tego ani odżałować, ani odplakać, żem nie był przy nim w ostatniej godzinie. Któż temu winien jeżeli nie przekłęci doktorowie, którzy mi tam kazali zawieść Kamila aby przy nich nie umarł? Za dowód jego przytomności to poczytuję że przed samą śmiercią w wilią dnia 16. Sierpnia wstał z łóżka, ubrał się i chciał wyjść nad morze, które z okna jego widać było, ale natychmiast osłabł i znowu się położył. Noc przebył bezsenną, ranek dnia 17. Sierpnia zastał go bez sił, ale przy pamięci, napisał coś na ćwiartce papieru po polsku, a na wierzchu po francuzku, i tę ćwiartkę oddał młodej kobiecie, wdowie jednego francuzkiego oficera, która go nigdy nie odstępowała w słabości. W napisku francuzkim kreślonym ołówkiem było tylko to, żeby mnie ta ćwiartka była od-

dana, ta kobieta przyrzekła mu to. Zeszło południe w coraz większej słabości, przyszedł pan Denis razem z doktorem i jednym Włochem emigrantem który bardzo kochał Kamila. Już się miało ku wieczorowi, pan Denis i doktor chcąc pocieszyć Kamila zaczęli mu mówić że to kryzys, która przejdzie, po czém będzie się miał lepiej. Kamil się tylko uśmiechnął wziął zegarek do ręki i pokazał na godzinę, potem wziął ołówek do ręki i napisał te słowa: „*Je cesserai d'exister dans deux heures,*“ pan Denis, doktor i Włoch odeszli. Poczem, a już była godzina 6. wieczorem, Kamil zdjął z szyi łańcuszek z krzyżykiem i oddał go tój Francuzce i napisał znowu ołówkiem: „*C'est ma dernière heure.*“ prosił ją także, żeby łóżko jego kazała zanieść do okna, skąd był widok na morze. Uczyniono to. Ostatnią prośbą było Kamila, żeby go zostawiono samego. Francuzka odeszła myśląc że chce spać, wróciła za godzinę i znalazła go w rzeczy samej śpiącego, — ale na wieki. — Tak zgasł ten młody człowiek. Wszystkie te detale wiem od Bogdana Zaleskiego, który podróżując w tamtych stronach, skłoniony mojami prośbami, wstąpił z Marsylii do Hyères i o wszystkiém się dowiedział. Mnie to opowiadanie do płaczu pobudzało. Na nieszczęście nie mógł Zaleski wydostać tój ćwiartki papieru którą Kamil zapisał. W żalu gdzieś ją zapodziała ta Francuzka, ale obiecała ją przysłać mnie jak się znajdzie. Przed samą śmiercią odebrał także Kamil mój list ostatni, który do niego pisałem z Marly; przeczytał i położył na stoliku. Wierz mi, droga kochana Mamo, że żadne zmartwienie tak jeszcze głęboko nie wzruszyło mojej duszy, nic mię tak nie rozżaliło na świecie, ani przeszłe nieszczęście, ani terażniejsze potwarze, które znowu z największą zaciętością naprzeciwko mnie miotać się zaczynają. b) Wycytuję z listu Mamy pewne nieukontentowanie, że ja Papę tak ciągnę do siebie. Zapewne byłoby to źle z mo-

jéj strony, gdybym przez to czynił krzywdę reszcie familii. O projekcie bibliotecznego ulokowania się nic nie wiedziałem. Jeżeli Papa ma nadzieję uplacowania się tym sposobem, to samo przez się rozumie się, że ja byłbym najgorszym synem, gdybym go chciał oderwać od téj nadziei. Ja tylko pod tym przypadkiem rozumiem przyjazd Papy do Francyi, jeżeliby tam żadnego sposobu nie miał utrzymania przy sobie Mamy i całej familii w oddzielnym domu. Ale o tém nieraz jeszcze mówić będziemy. Ja radzę ulokowania się w bibliotece nie zaniedbywać, ale także jedno oko mieć obrócone ku nam. Jeżeli Papa umieści się we Lwowie, to nie tak prędko się zobaczymy. Lecz najmiléj mi będzie zostawać w dalszém od Papy rozdzieleniu, jeżeli przez to kochana nasza familia będzie się lepiej miała, jeżeli przestanie się przenosić z miejsca na miejsce. Pomimo różnych utrapień, pomimo słabości Michała mego, którego kaszel coraz mocniejszy kwalifikuje na kandydata do suchot. c) Pomimo odnowienia się kabał w Emigracyi, intryg, plotek, ja przyszedłem do zupełnego zdrowia, i do téj energii temperamentu która mnie tylko w chorobie odstępowała Kamila. Mama piszesz mi że z tych pieniędzy które Papa przysłał nic nie mogłem na druk obrócić; zaręczam Mamę słowem syna, który nigdy nic nie tał przed Mamą, że dzieło się już drukuje i za 15 dni najdalej pierwszy tom skończony będzie. Ten tom I. zaraz poszlę Mamie ażeby Mama różnym plotkom położyła koniec. Jak dalej drukować, pomyślę o tém. Po skończeniu tomu pierwszego będę oczywiście w niesłychanym ambarasie, gdy prenumerata tak źle idzie. Może pójdzie lepiej gdy pierwszy tom przyjdzie do Lwowa. Nie czekając każę 200 egzemplarzy posłać. Na wyjściu tego dzieła wiele mi zależy. Nie idzie mi bynajmniej o zarobek, bo jak się pozbędę téj pracy, to ani mi myśl nie przyjdzie, abym się nie mógł utrzymać za granicą. Przy

mojej czynności, przy moich latach jeszcze nie zbyt starych, przy moim charakterze już tak wypróbowanym, przez zmiany losu nie masz nic podobnego. Mam ja także coś w sobie awanturniczego. Pojadę do Anglii, tam nawet z samego fortepianu, przy różnych protekcjach zrobię sobie kawałek fortuny. Ale teraz całą usilność przykładam do druku, mój honor jest w tym interesowany. Mama pisze żebym się ożenił. To być nie może... już zapóźno. Wreszcie bogate mnie nie zechcą, ubogiej nie wezmę. Nie uniem się podobać kobiecie. Wreszcie nie staram się o to. Moją myślą jest myśl wybiegająca daleko: pracować jako artysta po wydaniu mego dzieła, z pracy zebrać tyle pieniędzy żeby można kupić kawałek ogrodu warzywnego i domek we Francyi, i sprowadzić Mamę, Olimpią, Klementynę i Tymolka i ciotkę Zosię. Jeżeli to przyprowadzę do skutku, wtenczas powiem o sobie jak *Chenier* na rusztowaniu: „Il y avait quelque chose dans cette tête.“ Jeżeli zaś tego nie zrobię to powiem: „Il y avait rien du tout.“ Wierz mi Mama: burze przeszły przez moje lata, i wszystko w nich wytrawiły prócz przywiązania do rodziców. Całą moją dumą jest że mam Ojca i Matkę, których ubóstwiam jak Świętych. Całem mojem szczęściem będzie, jeżeli resztę mego życia z nimi przepędzę, daleki od tego wszystkiego coby moją spokojność zakłócić mogło. Śmierć Kamila wzmocniła wszystkie naturalne węzły które mnie łączą z rodzicami. On umarł, myślę sobie, ale oni żyją, i ja jeszcze doczekam się tego że będę z nimi razem nie w Polsce, ale we Francyi. Mam więc cel mego życia i metę do której dążyć będę. Położywszy w to całe staranie żeby sobie coś zrobić, może i dokażę tego. Niechaj Mama częściej do mnie pisuje. Kiedy przyjdzie list Papy albo Mamy, to wielka dla mnie uroczystość. Zatrudnienia moje teraz są nie małe. Dzieło drukuję, ale po wyjściu pierwszego tomu nie będę miał pie-

niędzy na drugi i trzeci tom. To się pokazuje z listu Mamy. Wszakże *il faut faire face à tout*. Ja tu będę biegał za interesami i kredytem u drukarzy w Paryżu, lecz Mamę proszę aby prenumeratę dalszą miała w swojej łaskawej pamięci. Cioci Cieńskiej i Głogowskię rączki całuję.

Maurycy Mochnacki.

#### Nota.

a) Niestety! suchoty Kamila wzięły początek w Warszawie, już w roku 1830., kiedy z rozkazu wielkiego księcia Konstantego przetrzymano szkoły pływania aż do Października, do czasu zwykłe u nas chłodnego i nieprzyjaznego zdrowiu. Kamil podówczas jako podoficer szkoły podchorążych, musiał nie tylko sam pływać, ale i drugich uczyć pomimo delikatnego składu ciała, słabego zdrowia i kataru w który był popadł. Uważając to doktor Kulesza radził, ażeby Kamil wziął urlop na pewny czas i przestał robić służbę tak ostrą. Wówczas Kamil który marzył o przyszłej rewolucyi i działał już w tym duchu, począł się śmiać z Kuleszy mówiąc: „Czy w rzeczy samej sądzisz być rzeczą tak potrzebną, bym ja teraz zamiast pływania siedział w domu? cha! cha! cha! wybornie myślisz doktorze! a nie wiesz o tém, że Wielki książę piecuchów nie lubi; wziętoby mnie za pieszczocha, gdybym innych w szkole pływania pozostawił, a sam poszedł do domu, pomimo że to przykra jesień.“ Nieco później bo już w Styczniu 1831. r. podczas rewolucyi Kamil jako oficer był na warcie przy rogatkach. Razu pewnego słyszę raptem szcęk broni, głośnie chodzenie koło drzwi moich; przestraszona wychodzę i spostrzegam jak żołnierze na poszach okrytych płaszczami, niosą mego kochanego Kamila do pokoju Maurycego. Co to jest? co się stało? Oto pani napad krwi.. słabość.. zapalenie nagle.. krew wyrzuca ustami.. O wielki Boże! Puszczono mu krew zaraz.. położono na łóżko.. skazano na dyety. Już zaledwo parę tygodni upłynęło, a już Kamila nie zatrzymać w domu nie mogło. Czém prędzej się ubrał, zameldował że zdrow zupełnie, poszedł służbę robić, a nawet przeniósł się na swoją kwaterę. W następnym roku 1832. przebywając w Paryżu był jeszcze dosyć zdrow, gdy począł mieć potém znowu napady krwi ustami. Doktor Kulesza z Warszawy w je-

dnym liście pisze do mnie: „Wiadomo pani, że Kamil z początkami suchót wyjechał“ itd. O mój Boże jakże mnie to zabolalo mocno! uraziłam się jak mógł do matki napisać, że jej syn ma suchoty! gniewałam się, a w pełni żalu napisałam gorzkie wymówki Kuleszy, co potem stało się przyczyną wielkiego nieporozumienia.

b) Maurycy pisze o potwarzach, które znowu z całą zajadłością na niego rzucił poczęto. Te to złośliwe namiętności emigrantów naszych polskich, nieustanne swary, zazdrość, zawiść bez granic przeistoczyły się w zajadłość i wściekłość, ztąd też wszelkie przyjazne stosunki Maurycyego zamieniły się w zazdrość i największą nienawiść ku niemu. Jakże biedny Maurycy sam jeden własnymi siłami mógł odeprzeć tyle pocisków na raz? Poczęto go prześladować na wszystkie strony: partja demokratyczna zagniewana na Czartoryskiego, Skrzyneckiego i na posłów, mogła mieć rację prześladować Maurycyego, w którym jakoś nie znajdowała swojego zwolennika, nie dla tego aby on kochał arystokracją dla jakichś widoków, lecz właśnie dla tego że Maurycy był łagodny dla nich przez właściwe sobie położenie rzeczy, nie miał sposobności znosić się i żyć w partyi demokratycznej. Lubo nie rościł sobie żadnego prawa do arystokracji, nie dążył do niej, a nawet w duszy pogardzał śmiesznymi jej prawami. Jednakże stosunki domu naszego sięgały więcej tych ostatnich aniżeli pierwszych, co spostrzegłszy zawzięci demokraci powzięli między sobą to postanowienie, aby prześladować najniewinniej Maurycyego. Co też istotnie przyłożyło się do skrócenia dni jego życia w kwiecie wieku, w sile młodości, co jaśniej jeszcze wykaże list gospodyni domu po śmierci Maurycyego pisany.

c) Pisze Maurycy: że Michał Podczaszyński kwalifikuje się do suchót. I w rzeczy samój ten zacny przyjaciel, ta trzecia osoba synów moich nie pozbył się już więcej tego kaszlu. Jak mu przykro być musiało myśleć, że Kamil z tagiegoż samego kaszlu umierać musiał. Biedne chłopcy! tak się kochali jak gdyby znali wspólne swoje przeznaczenie. Michał Podczaszyński umarł ostatni w Czerwcu 1835. r. Zaledwie miał czas napisać i to bardzo już niedo-  
 łącznie bijografią Maurycyego.

*Marya M.*

Bieg tej korespondencyi przerwany został z różnych powodów, a najbardziej dla tego że dla różnych zaszłych i dość zgryźliwych

okoliczności ja nigdzie długo na jednym miejscu nie mieszkalam; a były niektóre i takie, które równały się albo może i przewyższały swoim rodzajem i swoją złośliwością, nawet boleść śmierci Kamila... Z Wybranówki pojechałam z moją kuzyną Cieńską na Podole do jej córki, do wsi Medwedowce. Przez Styczeń r. 1834. jeszcze tam bawiłam, na początku Lutego gdy śniegi, lody i wody z rzek wystąpiwszy stawiają nieprzebyte trudności podróżnym, ja pędzona fatalnością losu wyjechałam o mil 18. do Wybranówki, i wkrótce po tem, bo jeszcze w początkach Lutego, znalazłam się we Lwowie na placu Bernardyńskim, w oficynie domu, w nędznej stancyjce, wilgotnej, ale już u siebie z mężem, siostrą i córką, i na własnym chlebie. Łzy ściśnionych serc ustawały powoli, bośmy byli razem, sami ze sobą rozumieliśmy się i cieszyli pospołu żeśmy byli razem i stancje i żywności zapłacone na miesiąc, oprócz tego miałam całego majątku cztery dukaty, a sofę do siedzenia przysłała poczciwa pani Muszyńska. W tym czasie przyszedł list z Paryża od Maurycego lecz takowy zaginął, pisze że sprowadził się znowu do Paryża, że się układa o drukowanie swego dzieła i nie pamiętam co więcej. Potem długo listu nie było: bo prawdziwie my sami doświadczając losu tułactwa we Lwowie, owszem w Galicyi straciliśmy wszelką iluzję; zajęci byliśmy jedynie tém jak dzień przepchnąć przed sobą, jak go przeżyć, gdzie mieszkać, na czém spać, skąd mieć opał. Z dobroci stariej jenerałowej Poniatowskiej dostaliśmy w jej domu na Lyszanowie stancyjkę pod dachem, z której byliśmy bardzo szczęśliwi. Na wiosnę ja się bawiłam ogrodem; jenerałowa przyjeżdżała do swojego domu, mąż mój codziennie do nas przychodził, piliśmy ze sobą kawę, jadaliliśmy świeże mleko, a miałam z dobroci pewnych osób 20. r. m. k. na miesiąc. W takim położeniu rzeczy doczekaliśmy się listu od syna.

*Marya M.*

### **Maurycy Mochnacki do Ojca.**

Paryż, dnia 25. Lipca 1834. Champs Elisées. Rond-point Nr. 4.

*Najdroższy Papo!*

Nie wiem jaki los ten list który piszę spotka, bo już dawno bardzo od kochanych rodziców, od pół roku

przeszło nie mam ani słowa odpowiedzi na listów kilka które pisałem. Tylko z Drezna przysłano mi karteczkę od Mamy, a potem w Czerwcu widziałem słów kilka od Papy w liście nie do mnie ale do Ludwika N., gdzie Papa czynisz wzmiankę o pieniądzach 500 franków które odebrałem, i o liście który był adresowany do Marly, gdzie go jednak szukając na pobliskich pocztamtach w St. Germain i Louvelancé nie znalazłem, ani na wielkiej poczcie w Paryżu. Być może iż zmiany pomieszkania mojego są tego przyczyną, że na pocztach pośrednich ulicznych te listy się ze mną minęły. Ale mnie niepokoją listy moje które pisałem pod dawnym adresem: czy doszły? czy coś nie dzieje się z nimi po drogach? czy w ogólności korespondencja z Francją nie doznaje tam utrudzenia? bo bardzo wiele osób skarży się tu na to. Powtórzę więc w treści com parę razy w listach moich nadmienię. Po napisaniu ostatniego listu mojego przeniósłem się z Marly le Roi do Paryża na rok nowy dla druku drugiego tomu dzieła mojego, i stanąłem na ulicy Dauphine Hôtel Dauphine bardzo blisko drukarni, tam mieszkałem aż do 3. Maja, to jest do czasu, w którym się skończył druk tomu drugiego mojej historii. Zamtąd przeniósłem się na Champs-Eliséés gdzie teraz mieszkam, i mieszkać ciągle zamierzam. Upały niezmierne tego roku zmusiły mnie szukać lepszego powietrza w tém miejscu jak na ulicy Dauphine. Mieszkam między drzewami, cokolwiek dalej od miasta ale taniiej i zdrowiej. Upały i ciągle prace sprawiły, że dla krwi łatwej do zapalenia się i uderzenia w głowę, musiano mi parę razy stawiać pijawki, tak że przez kilka tygodni byłem znowu słaby, nie tak jak przeszłego roku przed śmiercią Kamila, zawsze jednak niebezpiecznie. Teraz po długiej dyecie i lekarstwach znowu chwala Bogu mam się lepiej, ale czuję że to nie jest to zdrowie które miałem dawniej. W ogólności skutki rany

z pod Ostrołęki dają mi się czuć ustawnie przy ziewaniu, która całą kolumnę pacierzową wstrząsa, przy kichaniu i śmianiu się. Doktorowie nie mogą na to nic poradzić, bo nawet kąpiele nie pomagają, których wziąłem 60 i kilka bez skutku. Opisawszy stan mojego zdrowia, proszę kochanego Papy żeby mi o swoim doniósł, oraz o zdrowiu kochanej Mamy, mojej cioci Zofii, kochanej Olimpki i Tymoleona. Mnie teraz kiedy sobie przypomnę że miałem tyle braci i sióstr, tyle rodziny, że mieszkałem w domu drogich moich rodziców, zdaje się że to był sen tylko, a każda taka myśl głębokim smutkiem rozdziera duszę moją, osobliwie po śmierci Kamila. Już niema dla mnie żadnej pociechy za granicą. I tylko to jedno że bardzo jestem zatrudnionym, to jedno życie moje czyni cokolwiek znośniejším. Mógłbym tu jeszcze dodać, że tylko nadzieja iż się z Papą obaczę, dodaje mi sił i ducha, bo zresztą nie byłoby warto żyć na tym świecie.

Tom trzeci Powstania równie gruby jak dwa pierwsze, 30 arkuszy, będzie skończony w przyszłym miesiącu; lecz historii nie kończy, będzie więc i tom czwarty. Ogromne dzieło! Trzy razy większe jak myślałem, bo wszystkiego będzie 100—115 arkuszy. Pokazuje się więc kochany Papo, że miałem racją wejść w entrepryzę z Chełmickim; bo skądżebyśmy byli wzięli tych 8—9 tysięcy franków, jakich cały nakład wymaga. Prenumeratorom obiecałem arkuszy 40 w prospekcie moim posłanym do Galicyi, lecz teraz już jest wydrukowanych arkuszy 64 w tych dwóch tomach, które wyszły, a jeszcze dwa tomy dostaną. Więc za 15 franków, które zapłacili, nie taniiej nabyć nie mogli. Tę rzecz warto rozważyć, kochany Papo! Tom pierwszy, drugi i trzeci wyexpedujemy do Papy w liczbie 300 egzemplarzy. Nastąpi to ku końcowi Sierpnia; nastąpi z niesłychaną trudnością; bo transport taki, to rzecz nie mała. Te trzy

tomy każe tedy Papi rozdawać moim prenumeratom; ale inna rzecz będzie z tomem czwartym. Za ten tom gdy przyjdzie, będą musieli prenumeratorowie moi zapłacić osobno; będą musieli dopłacić po 10 franków; a to wszystko, co się z téj dopłaty uzbiera, będzie własnością Papy kochanego! Będzie to fundusz na drogę do Paryża; bo ta idea głęboko leży w mojej duszy. Choćby nawet Papi niechciał długo zabawić w Paryżu, to przecie z sobą widzieć się musimy. Całe moje szczęście na tém zależy. — Praca, którą podjąłem, jest wprawdzie wielka, ale poprawia ona niezmiernie i interesa i położenia moje. Jakkolwiek pójdą interesa ogólne kraju, zaręczam kochanemu Papi, że autorowi Historii Powstania źle nie będzie. Biorąc miarę z wrażenia, jakie to dzieło czyni w Emigracyi, łatwo mogę przeczuć skutki jego w kraju sprawić mogące. Tu przyszedłem do respektu u ludzi, tak, iż powiedzieć mogę, że teraz dopiero coś mogę, i niemal z pewnością zaręczycybym mógł, że droga, którą sobie otwieram, którą sobie otworzyłem, zaprowadzi mnie daleko. Wszak to, kochany Papi, jak żyję takich nie odebrałem honorów, od wielkich i małych, od największych do najmniejszych. Nie piszę dla tego, żeby się chwalić, ale dla tego, że wiem, iż to kochanego Pape cieszyć będzie, że mu tu wstydu za granicą nie robię. Interes więc téj historii nie jest zły wcale. Mam jeszcze wiele do zrobienia, lecz niewątpliwie koło Listopada wszystko będzie ukończzone i posłane do Papy. — Michał jest bardzo słaby; słabość ta sama co Kamila. Wyjedzie on pewnie na południe; nie daj Boże, aby po to samo co Kamil. Stetryczał i zrobił się wielkim nerwowym fantastykiem, co przy kaszlu jego i krótkim oddechu nic mi dobrego nie zwiastuje.<sup>a)</sup>

Adres mój, kochany Papi, jest ten sam: Maurice Camille, Champs Élysées, Rond-point-Nr. 4. — Pomieszkanie moje jest śliczne i tanie między drzewami w alei;

która do bariery Étoile prowadzi. Codziennie widzę z okna kilka tysięcy pojazdów i kilkanaście tysięcy ludzi. Teraz w czasie lipcowej uroczystości jest to hałas i gwar niepodobny do opisania. Francuzi zdają się być kontenci, ale to pozór tylko. — Głową tego rządu nie chciałbym być za nic w świecie; lecz mniejsza o to. — Adam Mickiewicz ożenił się tu z panną Szymanowską, córką pani Szymanowskiej, sławnej fortepianistki. Jest on niezmiernie szczęśliwy i kontent; przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy był u niego na obiedzie w *Severs*. Teraz mieszka z żoną w Paryżu. On nic nie ma i ona nic nie ma; ale ona ma za sobą protekcją klasy, która kontenta, że posiada poetę, nie da mu uczuć biedy i składać się na niego będzie. — Przyjechał tu i nasz kochanek, minister Lubecki... Oświadcza i każe oświadczać, że ma najsurowszy zakaz od cara widzenia się z kimkolwiek w Emigracyi. Ale to pozór tylko, aby się pod gwarancją tajemnicy ze wszystkimi mógł widzieć. Ta missya jest pod tytułem likwidacyi summ należnych Polsce. Likwidacya, o której ani chcą wiedzieć Francuzi. Jest to zamach na nas. Krok ten kompromituje cara, bo dowodzi, że mu niezmiernie wiele na Emigracyi zależy. — Oczekuję z najwyższą niecierpliwością listu od Papy, listu najobszerniejszego, jaki tylko być może, wypełnionego szczegółami o zdrowiu Rodziców moich i całej familii, listu pożądanego odemnie tak jak niczego więcej nie pragnąłem. Osobliwie Mama, moja Mama! która przedtém tak wiele i często do mnie pisywała, zapomniała o jedyném dziecku swoim za granicą. Ciotka Zosia, która także pierwój, kiedy Kamil żył, pisała, teraz już nic pisać nie chce. Co ja z tego wszystkiego mam wnosić? chyba to, że źle jest być z daleka od domu; bo niezmiernie idziemy w zapomnienie. — Co się z Klimką dzieje? czy już poszła za mąż? także nic nie wiem. — Wczoraj widziałem Ludwika Filipa na *Quai*,

wśród ogromnego zbioru ludzi; kłaniał się wszystkim, albo raczej miał ciągle kapelusz zdjęty z głowy, a sprawił sobie perukę czarną, bo mu w troskach monarchii lipcowej wszystkie włosy powyłysły. Synowie jego i on nie teraz nie robią, tylko ciągle na koniach objeżdżają Paryż i kłaniają się pospólstwu, jakby im dziękować chcieli za koronę. W Kwietniu kazali strzelać do tego pospólstwa; zabijali na ulicach kobiety i dzieci nawet; ostatnie na własne oczy widziałem. — Całuję rączki i nóżki kochanego Papy.

*Maurycy Mochnacki.*

#### Nota.

a) Biedny Maurycy! pisze o kochanym swoim Michale Podczaszyńskim i przewiduje jego stratę, widząc też same symptomata słabości co i u Kamila. Prawdziwie jakby się losy usadziły piec na wolnym ogniu, męczyć, dręczyć na wszystkie strony i stopniowo mego Maurycego; on zaś, który głęboko czuł wszystko, przyplacił zdrowiem, a w końcu życiem tak srogie dolegliwości. Lecz z jaką cierpliwością z jaką wytrwałością, to wszystko widzieć się daje w tej jego korespondencji. Jakie zajmujące położenie tego młodego człowieka. Tułacz rozłączony od rodziców raz pierwszy, od tej pewnej, tak naturalnej ich pieczołowitości. Sierota całą duszą kocha brata, tak mu nawet strasznie potrzebnego w każdym względzie, i traci go. Nawet nie może dla własnej spokojności oddać mu ostatnich usług. Dręczą go zajadli, zaciekli tak zwani patryoci. Tęskni za ojcem i matką, których czci i kocha i widzi, że są zupełnie zrujnowani. Tu znowu dzieło o Historji Powstania, o Rewolucyi, które tak mocno go zajmuje; spieszy się całą usilnością, brak pieniędzy przymusza go, że posłowi Chełmickiemu zbywa swoją pracę. Układa się jak można, aby się tylko ucieszyć raz mógł wydaniem na świat tych prawd, które on tylko sam jako naczynny świadek, jako współdziałający, jako rozpoznawca głębokiej uwagi ogłosić mógł Europie. Czuł w sobie wielki talent opisywania dziejów tak mocno interesujących każdego Polaka. Ostatnie jego dobro, jedyny przyjaciel Michał Podczaszyński, i tego widzi już gasnącego; a to wszystko w przeciągu lat dwóch do trzech za

granicą. Nigdy spoczynku, nigdy pociechy, zmian mnóstwo, lecz zawsze na gorsze. Widzi, że go prawie wszyscy przyjaciele dawniejsi, zwaśnieni o zdania polityczne, odstąpili i stali się zawistnymi nieprzyjaciołmi. Okropne, ciężkie do zniesienia położenie samemu jednemu Maurycemu. Dla tego ostatnie listy Maurycego są szczególniejsze, ale boleści straty Kamila i bojaźń o życie Michała były niepokonanemi aż do śmierci Maurycego, która uprzędziła wszystko i była najmniej przewidzianą.

*Maryja M.*

### **Maurycy Mochnacki do Rodziców.**

Paryż, dnia 2. Września 1834. Champs-Elisées Rond-point. Nr. 4.

*Szanowni i Najdrożsi Rodzice!*

List kochanych Rodziców z 19. Sierpnia odebrałem dnia 28. Sierpnia. Chciałem zaraz tego dnia odpisać, ale nie miałem sił, bo to właśnie było w czasie najmniejszej słabości mojej, która mnie od Maja trapiła. Lecz teraz zaczynam z téj nowój recydywy zupełnie do siebie przychodzić. Historia téj nowój epoki słabości mojej jest taka. Z dnia trzeciego na czwarty Sierpnia dostałem gwałtownej gorączki, miałem klucie w boku i bicie krwi do serca jak przeszłego roku. Widząc że polscy doktorowie nie mogą mi dać rady, wezwałem jednego z najslawniejszych lekarzy, pana Riccard, który natychmiast przybył i oświadczył, że mnie wykuruje bez żadnej zapłaty, i że jest szczęśliwy, że mu się nadarza pora dopomódz Polakowi. Kazał on mi przystawić 100 pijawek we trzech dniach, leżeć w łóżku i jeść tylko pół funta winogron na dzień, pić filiżankę lekkiego bulionu. Tym sposobem żyłem dni dwadzieścia nie ruszając się z łóżka i nie biorąc żadnej medycyny wewnątrz. Po dwudziestu dniach nowe pijawki, ale już tylko trzydzieści, i ta sama dyeta. Nareszcie słabość moja zła-

mała się właśnie wtenczas, kiedy przyszedł list od Papy, list, od którego zdrowemu człowiekowi można było zachorować, tak jest smutny i rozdzierający duszę! Dziś, to jest 2. Września, tak się mam dobrze z łaski nieocenionego pana Riccard, że mogę wstać pisać, co większa, być pewnym, że słabość nie powróci. Na nowo więc odczytałem list kochanych rodziców. Wiadomości zrobiły na mnie nadzwyczajne wrażenie. Cóż to za upór losu! Co to za nieprzewidziane nieszczęścia! Scena z Tymoleonem najdotkliwiej mnie obeszła, a smutny koniec pani Lubinowej<sup>1)</sup> rozrzewnił aż do płaczu. Wszystko to jest tragiczne i głęboko mnie porusza! Ale nieszczęścia tamtejsze prywatne nasze przypadają w porę tak nieszczęsną dla emigracyi w ogólności, że nie wiem czy to jest skutek słabości mojej, ale prawdziwie że nie mam sił do wyrażenia co czuję. Nie wiem nawet co mnie mocniej boli, czy domowa niedola, czy klęski które nam tu zagrażają? Król z Moskwą w zмовie, o niczem bardziej nie myśli, jak żeby przymusić Polaków do powrotu. Pocco-di Borgo odebrał przed 15. dniami instrukcyą następującą: „Ktobykolwiek zgłosił się do ambassady po amnestyą, oświadczyć mu, że jeżeli jest żołnierzem wojskowym, będzie musiał odsłużyć lat 15 w wojsku rosyjskiem w głębi Rossyi, a jeżeli jest cywilnym, to odsiedzi lat 15 w gubernii Permskiej albo w Jarosławskiej. Czy dasz Papa temu wiarę? Oto zaraz 200 przystało na tę kondycyą. Z tego można widać miarę, jaki jest okropny dla Polaków pobyt we Francyi. Książę Lubecki jest tu przysłany na rekonesans. Jego działanie tajemne może pociągnąć za sobą ruinę emigracyi. Nie widzi się on z nikim i nie chce się widzieć z nikim. On tu jest przysłany po to, aby wyjednać u rządu uchYLENIE ŻOLDU na rok jeszcze *ostatni* zapewnionego Polakom.

<sup>1)</sup> Ciotki w Warszawie.

Po czém naturalnie cała emigracya będzie musiała przyjąć amnestya, jaką się będzie podobało dać carowi. Zważyć trzeba, że gdyby emigracya nawet po uchyleniu żołdu nie chciała wracać do kraju, rząd na mocy prawa z dnia 21. Kwietnia ma moc wyrugować ją przemocą. Wszakże amnestya jest tylko dla emigracyi w ogólności, bo co do 200 osób, między którymi i ja jestem, skazanych już na śmierć, dla tych nie będzie już nigdy żadnej amnestyi. Te osoby muszą już albo umrzeć za granicą, albo wrócić do kraju kiedyś z bronią, ale tylko z bronią, inaczej nie! Emigracya cała jest zakłócona, zaszargana, rozerwana. Nie masz 10 Polaków, którzyby byli zgodni ze sobą. Jest to wojna domowa najokropniejsza, o jakiej tylko pomyśleć można. Jenerałowie bez powagi, szulery, umykają z Paryża, żeby ich za długi w St. Pelagie nie osadzono. Pełno duchów i pieniędzy moskiewskich po zakładach. Gazeciarze pod pozorem rewolucyi i patryotyzmu rozszerzają niezgody za pieniądze moskiewskie, bo i za cóż mogliby drukować tyle bezeczeństw, tyle potwarzy, których tu nikt ani chce, ani może kupować? Zawrót głowy opanował większość. Znak ogólny dekompozycyi, która w biedzie okropnej, jeneralnej, koniecznie nastąpić musi. Nie poznaję moich najlepszych przyjaciół. Wszystko to wybiegło ze swego naturalnego kresu, jest do najwyższego stopnia zirytowane, podejrzliwe i zgłupiało w nieszczęściu. a) Ja zupełnie żyję oddzielony od tego wszystkiego. b) Pisząc Historią powstania, musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucyą rządili i zgubili, z dawnymi nieprzyjaciołmi mymi. Ci ludzie, licząc w to całą partya, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcej zimnej krwi, taktu, zdrowego rozsądku i sumienia jak rewolucyoniści. Oni jedni z całej emigracyi nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobrej harmonii, bo potrzebuję od nich materyałów; co jednak

żadnego wpływu na dzieło moje nie ma, mieć nie będzie, ani może, bo ja piszę bezinteresownie. Ze wszystkich moich przyjaciół został mi tylko jeden Nastuś Dunin i Michał Podczaszyński. Pierwszemu szkodzi i dokucza zła reputacya jenerała Dwernickiego, szulera, marnotrawcy; drugi jest tetryk ze słabości i wielkiego niedostatku.

Donoszę tedy kochanemu Papie, że emigracya może być rozbitą w skutku położenia, które opisałem, ale że to na mój los żadnego wpływu mieć nie może; bo nie masz kombinacyi, w której mógłbym wrócić do kraju, jako należący do skazanych na śmierć w Warszawie. Mnie, jako takiemu, nic innego nie pozostaje, jak tylko siedzieć w Paryżu, pracować i zarabiać sobie na dobre życie i dobre imię u ludzi, i nadto starać się, żeby kochany Papa, dla którego nie masz bezpieczeństwa w Galicyi; połączył się zemną. O moich interesach to jeszcze donoszę Papie: Tom pierwszy i drugi, według życzenia Papy, wyexpedjuję drogą najpewniejszą, bez skompromitowania kochanego Papy. Za tom trzeci i czwarty prenumeratorem moi niech zapłacą drugie 15 franków. Z tych pieniędzy ja ani jednego grosza nie potrzebuję. Wszystko co tylko się zbierze jest własnością kochanego Papy. Jest to święty fundusz na drogę dla Papy, na drogę, którą wpływ Moskwy w Austrii czyni konieczną i niezbędną. Expedyeya tomów jest bardzo trudna, jednak jest podobna. Słabość moja wstrzymała postęp tomu trzeciego. Ledwo za dni 20 będę mógł pracować. Riccard zakazuje mi sedenteryi zupełnie teraz, pod karą recydywy; ale zabrania także i wielkiego ruchu. Tak być musi czas niejaki. Wiele razy dom nasz spotka jakie nieszczęście, po tylekroć od dzieciństwa mego spostrzegam około niego rękę przyjacielską kochanego i drogiego mojemu sercu pana Jana Henryka! — On jeden zawsze tę naszą skołataną nawę podpierá

w burzy i do reszty upaść nie pozwala. Jakże to pięknie z jego strony i jak szlachetnie!! To co mi Papa teraz o nim piszesz, do łez mnie pobudziło... Zawsze ten sam; kochać go więcej nie mogę, jak go przedtém kochałem; ale uczę się w miarę nieszczęść naszych coraz lepiej poznawać jego charakter i jego cnoty!

Chwała Bogu, że Klementyna skończyła swoją karierę rozwódki. Ale co się z jój dziećmi dzieje? Wracając się do Tymoleona, nie tyle żałuję straconego przytułku dla Mamy, który nigdy nie mógł być serdeczny, skoro go taka drobnostka mogła odjąć Mamie, ile że mogło przyjść do kolizyi tego rodzaju; jednak postępek pani C... jest zadziwiający. Nie zgadza się to wcale z ową wysoką chrześciańską cnotą, o której kochana i dobra moja Mama tak wymownie i często opisała, a za którą ja i Kamil nieboszyk zasyłaliśmy dzięki niebu. Wszakże można było wyperswadować Pannie romanse, a nie wypowiadać schronienia Matce tylu dzieci, osobie tak poważnej, dobrej i nieszczęśliwej w skutek powszechnego nieszczęścia, wreszcie krewnej siostrze. — Otóż tego ja wcale nie pojmuję! Lecz *dom pod firmą Opatrzności*, jak się Mama wyraża w liście c), daleko dłużej będzie gościnnym dla Mamy jak Polanka, gdzie widać gościnność była tylko grzecznością chwilową dla oka, dla świata, gdzie upatrywano tylko byle jakiej okazji pozbycia się ciężaru z domu. Zaczynając ten list, miałem zamiar napisać go najobszerniej, ale to niepodobna. Dieta i pijawki tak mię osłabiły, że już mi ręce drżą i nogi, i znowu do łóżka pójść muszę. Za to wolę w miarę, jak mi zdrowie przybywać będzie, częściej odzywać się do kochanych Rodziców; teraz zaś uściskać tylko ich rączki i nóżki. Nota bene. Wszystkie starania o wynalezienie listu Papy były daremne; ponowię go jednak, jak tylko zupełnie wyzdrowieję. I to jest także rzecz niewątpliwa, że ja pisałem parę listów, których Papa nie odebrał. Cóż-

bym miał za racją tak upornie przytém obstawać? Pisałem te listy z ulicy Dauphine pod adresem zwyczajnym. Adres mój jeszcze ten sam, ale na zimę wyprawdę się ztąd, i zaraz jak się to stanie doniosę o zmianie pomieszkania mojego.

*Maurycy Mochnicki.*

#### Nota.

a) To co pisze Maurycy, powinno być drukiem ogłoszone do zbioru jego artykułów, gdyby było nam podobna przesłać ten list do tych, którzy zbierali jego pisma po śmierci drogiej pamięci syna mojego. Ponieważ cała emigracya, znajomi i nieznajomi, dawniejsi przyjaciele i późniejsi zawistni nieprzyjaciele, widząc Maurycyego mającego stosunki i zażyłość z tymi panami, na których w rewolucyi sarkał tak sprawiedliwie, jednogłośnie, wiedząc, że pisze Historją rewolucyi naszój; widząc, że mu rozmaici panowie, znając jego talent pisania, oddają sprawiedliwość i starają się robić uprzejme stosunki z sobą, których dla największej dokładności w historii Maurycy koniecznie potrzebował, więc zajedli się stali nieprzyjaciele, krzycząc, dowodząc, że Maurycy zmienił charakter, zmienił zdanie dla interesu własnego i tym podobne obelgi miotali na niego z największą zjadłością. Ztąd wyszedł ów list drukowany Nabelaka, w którym mści się jak szalony, bredzi jakby zapłacony, klei niedorzeczności niestychane; co większa, zapomina się, że on właśnie wyszedł na scenę tój rewolucyi jako uczeń tegoż samego Maurycyego, który uważając w nim odwagę, oswajał go z chlubną przyszłością. Nabelak w swoim nierozumnym liście używa nawet stylu, którego nauczył się od Maurycyego. Nie przeczę, że i pierw i teraz umieli i umieją pisać, lecz mieszkając w Warszawie i czytając wszystkie pisma ówczesne, każdy przyzna, że sposób najpiękniejszego wyrażenia się w stylu wziął początek prawie od Maurycyego; przynajmniej słowa Nabelaka, któremi czernić się odważył Maurycyego, wyszły z pod pióra Maurycyego, były prawie jego utworem. Nakoniec co za szal, jaka lekkomyślność, ciskać potwarze na tego, za którego przyjaźń i stosunki byłby może dawniej wiele, wiele dał Nabelak. Był też ukarany. Pogardzono tём piśmie w Galicyi. Powiedziano, że Nabelak stracił rozum, stracił głowę w nieszczęściu, której zapewne nigdy mieć nie musiał...

Uważać trzeba te słowa Maurycego: „Zawrót głowy opanował wszystkich, znak ogólny dekompozycji, która w biedzie okropnej, generalnej koniecznie nastąpić musiała. Nie poznają moich najlepszych przyjaciół; wszystko to wybiega ze swego kresu, jest do najwyższego stopnia ziryutowane, podejrzliwe i zgłupiało w nieszczęściu.“

b) Dalej pisze Maurycy i tak się tłumaczy z podejrzania, co na niego rzucali, jakoby zmieniawszy charakter dobrego Polaka rzucił się na stronę arystokracji, która po większej części była przyczyną zguby kraju. „Pisząc historią powstania musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucją rządili i zgubili, dawnymi nieprzyjaciółmi memi. Ci ludzie, licząc w to całą partią, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcej zimnej krwi, taktu i zdrowego rozsądku i sumienia, jak rewolucyoniści. Oni jedni z całej emigracji nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobrej komitywie; potrzebuję od nich materiałów do mojej historii, co jednak żadnego wpływu na dzieło moje nie ma i mieć nie będzie, bo ja piszę bezinteresownie.“

Otóż to właśnie, co chciałabym żeby drukiem ogłoszone było, jak się Maurycy tłumaczy przed rodzicami w przedostatnim liście swoim, jak gdyby potrzebował zdać sprawę za potwarze, które na niego ciskali owi to w nieszczęściu i w zawrocie głowy emigranci. Kiedy Nabelak swe paszkwile drukował na szlachetnego Maurycego, niestety, Maurycy chorował i był bez przytomności, co bardziej hańbi i potępia tego szaleńca w opinii wszystkich znających, czém był Maurycy. Nadewszystko Nabelak nie powinien był zapomnieć, że Maurycy nie był sierotą, że Maurycy miał familią, którą on znał, w której domu w Warszawie może mu się nie źle działo. Lecz nie warto i niegodna jest materia! błoto i nic więcej, z którego już Nabelak nie wylizie.

c) Pisałam w roku 1834. do Maurycego, mieszkając na Łyszakowie w domu Poniatowskiej. Niezmiernie skromne było to mieszkanie, pozwolone mi jako emigrantce przez wzgląd może bardziej na familią znajomą tej Pani. W miesiącu Marcu zimno było okropne, pokoiłki prawie pod dachem, trudno było wycierpieć. Zimno lży czasami z oczu wyciskało. Później znowu z powodu wielkich upałów było tam okropnie gorąco. Taka była moja pozycja, za którą jednak Bogu dziękowałam, że to przecie już nasz osobny był kącik: do stancyi jeszcze ofiarowała ta pani kwartę mleka na dzień, usługę i ogień na swój kuchni; do tego ja miałam jeszcze na miesiąc 20 reńskich m. a. Owoż tedy byłam już spokojną i pi-

sałam do Maurycego, że założyłam dom dla nas na nowo pod firmą *Boskiej Opatrzności*, co memu kochanemu Maurycemu tak się podobalo, że w tym liście swoim powtórzył: „Lecz dom pod firmą Opatrzności, jak się Mama wyraża w liście, daleko dłużej będzie gościnnym dla Mamy;...” i w rzeczy samej przepowiednia Maurycego ziściła się. Boska Opatrzność, w której najsilniejszą ufność położyłam, zarządziła odtąd losami naszymi tak, że stopniowo wzrósł mój domek na nowo i niedostatek nie dał się czuć więcej, co prawdziwie cudem się tylko dzieć mogło. Pod każdym względem zrujnowani zostaliśmy w skutek rewolucyi. Wprawdzie nieporozumienie moje z rodziną zadało mi cios bolesny; nie zasłużyłam na to bynajmniej. Traf ten nawet nie biorę im za złe, lecz przypisuję go fatalnym losom, które mię prześladowały podówczas. Co się tycze wyrażenia się Maurycego w tej materii, nie trzeba go brać dosłownie. Maurycy zażalony, rozdrażniony, o 300 mil nie znający osób, mógł zanadto w żółci pióro umoczyć. Cnoty pani C. są nieporównane. Jej szczerść, dobroć i uprzejmość, gościnność, jakiej dała nam dowody, były, są i będą nieskażone. Zły duch wojował w okoliczności zaszłych naszych nieporozumień. Dziś się kochamy jak dawniej; ale wówczas, dość podobno, by się drzewo ku upadku nachylać zaczęło, aby kozy po nim skakać zaczęły, jak to dawne przysłowie niesie. Emigrantka, musiałam także wówczas doznać losu emigrantów, tułać się i cierpieć różnego gatunku niedole. Zajęta jednak i synami za granicą i tą wielką naszą sprawą, tak nieszczęśliwie ukończoną, chorobą syna drogiego Kamila i potem jego śmiercią, żyłam w najsłodszych związkach i stosunkach z rodziną, zawsze u rodziny. Gdy się zaczęły bolesne nieporozumienia ni ztąd ni zowąd, czułam to i widziałam, że upadek domu naszego, fortuny, widoków w przyszłości, staje się właśnie powodem do tej nowej przykrości. Gdy więc mogłam znowu oddzielny domek założyć z moją familijką, dałam mu firmę *pod Boską Opatrznością* i dobrze się mnie dotąd w nim dzieje. Przy końcu Października przeniosłam moje mieszkanie na ulicę Ormiańską. Najęto mi parę pokojów i kuchnię porządną; opatrzyłam się w najistotniejsze sprzęty i chciałam koniecznie mego męża zaprosić do mieszkania z nami, który zawsze stał w mieszkaniu państwa Muszyńskich. Zbiegał czas na tych staraniach połączonych zawsze ze zmartwieniami. Powód wyprowadzenia się z ostatniego mieszkania była jakaś bojaźń trzymania emigrantów w domu pani Ponia.... Widoczna była jej chęć pozbycia się nas, mając wzgląd przypochlebiania się rządowi, który począł ścieśniać coraz bardziej wolność pobytu w Galicyi; już się ukosem patrzono na nas wszy-

stkich wyszłych z Polski, już się ogromnie rząd porozumiał z wolą nienawistną i mściwą cara. Powoli więc dano nam czuć, że nadal mieszkać nie mogą w domu pani Ponia..... chociaż do samej swojej śmierci miło i grzecznie w swoim mnie salonie przyjmowała. Drugi powód wyprowadzenia się na zimę ztamtąd był oddalenie zbyt dalekie od mieszkania mego męża, który codziennie nas odwiedzał. Zimową porą te przechadzki miałyby skutek najgorszy dla zdrowia jego delikatnego. Nakoniec już w Listopadzie odbieramy następujący list ostatni Maurycego.

### List ostatni Maurycego Mochnackiego do rodziców.

Dnia 6. Listopada 1834. Auxerres. Departement de Saône.

*Najdrożsi Rodzice!*

Jestem teraz w Burgundyi, w miasteczku Auxerres nad rzeką Saône, z kąd departament bierze swoje nazwisko. Jestem więc w tém samym miejscu gdzie raz nocowałem z Kamilem, odwożąc go do południowej Francyi, z kąd obydwaj pisaliśmy do kochanych rodziców. Powód mojego przeniesienia się z Paryża do Auxerres był nasamprzód, potrzeba wykurowania się w tutejszym klimacie górzystym z ostatków słabości, które mnie męczyły od Maja. Od miesiąca tu siedzę, i gdyby nie kaszel z kataru w piersiach, mógłbym powiedzieć, że jestem zdrow zupełnie, lecz to bagatela, która wkrótce zapewne przeminie. Drugą przyczyną jest, że tu druk o połowę mniej kosztuje, jako też w ogólności wszystko jest o większą połowę tańsze jak w Paryżu. I tak np. pomieszkanie moje ze ślicznym widokiem na rzekę, która pod oknami płynie, i na góry, które otaczają miasto do koła, złożone z jednego dużego salonu i przedpokoju, z meblami, z pościelą itd., kosztuje mnie franków 11. na miesiąc. Jest tu także depot Polaków złożone z najgodniejszych i najuczciwszych oficerów. Mamy więc w kil-

kunastu własny menaż, własnego kucharza Polaka żołnierza, którego pomocnikiem jest podoficer kuchta, i ja-damy razem. Obiad nasz przypomina zupełnie Polskę i kosztuje nas każdego na miesiąc z winem franków 18. Większej taniaści nie trzeba nawet szukać, ani podobna znaleźć w Polsce. Po obiedzie zwykle zgromadzamy się na wisku u majora Dębowskiego, prezesa zakładu, albo u mnie, i tym sposobem wieczór nam upływa. Pomyślałem sobie, kochany Papo! iżby to był właśnie rodzaj życia, któryby się najwięcej Papie podobał, i jeżeli gdzie to właśnie tu w Auxerres dałyby się zrealizować wszystkie plany snowane przez nas od lat dwóch, dążące do połączenia się z Papą. Tu za temi górami odetchnąłem cokolwiek; tak tu jest miło i cicho. Pozwolenie wzięłem z Paryża tylko na dwa miesiące, ale wezmę prolongacje i myślę tu zimować. Znając tyle Polonii osobście, nigdzie nie natrafiłem na ludzi bardziej uprzejmych, lepiej wychowanych jak tu.

W Emigracyi wojna domowa trwa ciągle. Mnóstwo partyi, rozjątrzenia coraz większe. Nie ma końca temu wszystkiemu. O co idzie? Coby to wszystko znaczyło? Na to odpowiedzieć trudno, i nigdy dostatecznie! Jest partja jedna co się chce nazywać demokratami, druga jest partja Dwernickiego, który się prowadzi Bóg wie po jakiemu, trzecia jest partja dyplomatyczna, do czwartej należą ci wszyscy, którzy nie chcą o niczem wiedzieć, i tylko w pokoju chcieliby się doczekać jakiejś pomyslniej pory. Te stronnictwa wojują ze sobą w gazetach, i pojedynkują się indywidualnie. Już mnie to wszystko znudziło do najwyższego stopnia. Jedni rzucają kłatwę na księcia Czartoryskiego, drudzy się temu opierają, i słusznie, bo kiedy ten człowiek mógł szkodzić sprawie naszej, pozwolono mu wszystko czynić w rewolucyi; dzisiaj kiedy jój już szkodzić nie może, a dopomódz chce, i ma potemu wpływy za granicą, nie widzę, dla czegoby go

miano dość późną i bezskuteczną zemstą od czi i wiary odsądzać. Takie jest moje przekonanie. I ja dzisiaj należę do jego obrońców, jakem należał kiedy był czas po temu w rewolucyi, do przeciwników jego najgwałtowniejszych.

Tom trzeci mego dzieła już gotowy, lecz jeszcze nie wydrukowany. Słabość moja trwająca ciągle przez pięć miesięcy jest tego opóźnienia przyczyną, teraz nawet rzecz idzie bardzo powoli, ponieważ sedenteryi jakiegś wymaga. Tak ogromne dzieło, zabiłoby mnie niewątpliwie. Oprócz tego interesa nasze publiczne wymagają tego, ażeby tu z Auxerres wychodził dziennik w którym ja wielki udział, główną redakcją wzięłem na siebie, co moje dochody znacznie powiększa.

Expedycja egzemplarzy dla moich prenumeratorów już jest przedsięwzięta, pomimo ogromnych przeszkód. Niechaj Papa będzie łaskaw napisać mi czy te dwa pierwsze tomy dobrze przyjęte zostały w kraju, bo tam entrepriza kilkaset tomów ze swój strony oddawna posłała.

Położenie moich drogich rodziców jest to, co mnie teraz najmocniej dolega. Od zgonu Kamila nie miałem większego nad to zmartwienia. Cóż to za rzecz okropna tułać się między swoimi, we własnym kraju być jakoby wygnańcem. Z tém wszystkiém ja powiadam, że na to złe nie masz tylko jedno lekarstwo, ażeby tu kochany Papa przyjechał. Z mojej strony ta rada możeby się wydawała egoizmem dla reszty familii. Wprawdzie co do mnie w mojem dzisiejszym sieroctwie, całe moje szczęście zależy na tém tylko, iż sobie myślę, że tu Papa przyjedzie; jednakże nigdybym Papie nie radził oddalać się od familii i opuszczać kraj, gdybym nie wiedział z pewnością, że Papa nie zniesiesz, bo nie może zniesć swego obecnego położenia. Nastawać na to, nastawać na to ciągle i koniecznie żebyś tu Papa przyjechał, jest to tylko chcieć ocalić zdrowie kochanego mego Papy,

za co mi cała familia wdzięczną być powinna. Tu ja-kożkolwiek bądź, jest wcale inne życie. Tu Papa znaj-dzie się natychmiast w swoim naturalnym elemencie, w ruchu, w czynności. Środki exystencyi nie interesują mnie bynajmniej, pomimo całego rygoru, z jakim nowo teraz przybywającym odmawiają żołdu. Ja go wyrobie dla Papy, ja, który zostaje teraz w stosunkach zgody z osobami mogącemi wszystko w rządzie tutejszym. Czego żołdem nie opędziemy, to będziemy okrywali dochodami pobocznymi. Będziemy mieszkali w prowincyi, naprzy-kład w Auxerres, gdzie utrzymanie się jest niezmiernie łatwe, z kąd do Paryża za godzin 17 zajechać można. Tu we Francyi zaręczam za jak najdłuższe zdrowie, za dobry humor, za spokojność kochanego Papy. Biorę to na siebie, na moje sumienie. W kraju nie jestem pewny ani jednej chwili. Zresztą lękam się moskiewskiego wpływu w Galicyi wszechmocnego. — Te są moje powody. A śro-dki do podróży, te kochany Papa znajdzie w prenume-racie na drugie dwa tomy mego dzieła. Po rozdaniu dwóch pierwszych adres mój: à monsieur Maurice Camille, Auxerres Departament de Saône en France. *Ulica na której mieszkam nie ma jeszcze nazwiska, ale to nic nie szkodzi bo mnie tu na pocztę znają, wreszcie mo-żna dodać u spodu na kopercie Chez Madame Turki.*

Poczawszy od tej daty, korespondencja nasza pójdzie swoim trybem regularnym. Rączki Papy i Mamy całują serdecznie, cioci i Olimpki. Kochanemu panu Janowi Henrykowi zasylam serdeczne uściśnienie. Jest to Opa-trzność naszego domu, jak te owe dobre duchy co kie-dyś czuwały nad pewnemi familiami. Do Tymoleona i kasztelana Bieńkowskiego napisałbym, lecz zginął mi adres ich.

*Maurycy Mochnacki.*

Koniec téj korespondency. — W dni kilka Maurycy zachorował, a wkrótce w gorączce utracił przytomność, tak, że nawet nie czytał naszego ostatniego listu. Taka była wola Twórcy naszego — Boże! przyjmij tę ofiarę nowéj krwawego serca rodziców próby dopustu i rezygnacyi. Wezwaleś, Panie, Maurycego. Serce jego i dusza brzydziły się występkiem, unosiły się jedynie dla cnoty. Wezwaleś go Panie i jest dotąd już szczęśliwym, bo taka była Maurycego i matki jego wiara, nadzieja, miłość i ufność w nieskończonym miłosierdziu Twojem. Ja nie straciłam dzieci moich. Bóg mi je wziął pod opiekę swoją świętą dla ich dobra, o które tu na ziemi téj za trudno było dla nich. Bóg dobry powoła i mnie matkę ich wkrótce już, by mnie oddał dzieci moje, by im oddał matkę, gdyż nie mam wyobrażenia innego szczęścia w przyszłości gdyby ten święty węzeł natury, który łączy matkę z jej dziećmi, mógł być tam rozerwany. Maurycy i Kamilu! Bóg nadzieja nasza, wiara i ufność. — Wkrótce, dzieci moje, będziemy połączeni.

31. Stycznia 1842.

*Marya M.*

#### Nota.

Nim zamieszczę kilka jeszcze listów wyjaśniających chorobę i śmierć Maurycego, dla pamiątki napiszę okoliczności moje domowe, w jakich podczas odbierania tych ostatnich listów znajdowaliśmy się. Pierwszy tom historii powstania, dzieło Maurycego, doszło w rzeczy saméj, ale nie wiem jakim sposobem do rąk ojca, bo już policya zaczęła je ściagać jako owoc zakazany. Jakież ta książka, ta krwawa praca, można powiedzieć Maurycego, robiła wrażenie na sercach rodziców, na umysłach tych wszystkich, którzy czytali prawdy dotąd w ukryciu przed światem zostające, trudno wyrazić. Pocięcha, smutek, łzy, uśmiech gorzki, podziwienie, zadowolenie z jasnej i czystej prawdy, której sami byliśmy świadkami, miały duszą naszą naprzemiennie. Wydzielaliśmy sobie tę książkę podówczas tak rzadką a tak ciekawą, by jedni czytali w dzień a drudzy w nocy, ja zaś przyciskałam ją do serca; lecz delectowanie się tym zbiorem wiadomości, pojęcie i zgłębienie treści odkładałam na później, bo za ciężko było na mój umysł skołatany, na serce podrażnione, na odurzenie, którego ciągle doświadczałam z powodu rozmaitych okoliczności a zawsze dręczących, by można ją czytać z uwagą. Do przykrości z powodu wprowadzenia się naszego z dworku pani Poniatowskiej, przyłączyła

się obawa utracenia najlepszego a jedynego przyjaciela naszego Jana Henryka S., który nagle w skutek ataku apoplektycznego, od Czerwca jeszcze długą i niebezpieczną chorobę przebywał; dal-  
sze niesnaski familijne, komaże z powodu zdarzeń zaszłych między nami najniewinniej, truły życie moje, ponieważ delikatność uczuć moich cierpiała niesłuchanie. W końcu ostatnia moja spokojność o los najmłodszego syna mojego Tymoleona zrujnowaną została przez śmierć nagłą otrutego, jak się zdaje kasztelana Bienkowskiego, który wziął Tymoleona na swoją opiekę, co właśnie stanowiło naszą spokojność o przyszłość syna. Bienkowski umarł, nowe udręczenie! Tak to podówczas ściagały nas kłopoty, jedne gorsze od drugich; wypoczynku żadnego, z tego powodu ja się znajdowałam prawie w stanie odrętwienia. Napisałiśmy nasz list ostatni do Franeyi na początku Grudnia 1834. r. i donieśliśmy o nowym naszym kłopotcie co dalej wypadnie robić z Tymoleonem. Tak zeszło jak mi się zdaje aż do 24. Stycznia 1835. r. gdy raz jednego przed samym obiadem, siedząc w drugim pokoiku naszego mieszkania, oczekuję mego męża aby zjeść razem z nim obiadek, bo jeszcze dla ciasnoty nie mieszkał z nami, lecz dla tego, że wygodniej i blisko pozostał u Muszyńskich. Postrzegam wchodzącego męża chwijającego się na nogach; blady jak śmierć, oczy gasnące, nie miał sił płaszcza utrzymać na sobie który o parę kroków włożył się po ziemi. Mąż mój pada na kanapę, Boże mój co to jest?... pytam się... milczy, westchnął ojciec, a ja wnet odgadłam: Maurycy nasz pewno już umarł... Nie żyje już Maurycy wyrzekł biedny ojciec.

Cóż nad to więcej powiedzieć! Już się więc od razu wszystko skończyło; wszystko ucięło. Śmiertelnym ciosem uderzona w samo serce potoczyłam się na ścianę, Zosia siostra moja, Olympia córka między nami. Łzy nawet nie płynęły, zatamowały się wszystkie arterye życia mego, zdawało się, że oddech ustaje, po długim wrzście jęku nas obojga, zapytałam: Zkąd ta wiadomość? Gdzie list? Kto o tém donosi? O Boże! może to fałsz jeszcze! Niestety! to nie fałsz, odpowiedział mój mąż, byłem w cukierni Pole jak zwyczajnie przeczytać gazetę, i wyczytałam, że Maurycy Mochnacki jeden z najznakomitszych pisarzy tegoczesnych, wychodźca z Polski, umarł 20. Grudnia w Auxerres. Zebrałem ostatek sił moich zerwałem się i oto tu przywlekłem się do was. Ktoś nawet z cukierni litując się nademną, szedł za mną i tu mnie aż na schody odprowadził. Dowiedzieliśmy się potem, że to był pocziwy, nieoceniony nasz autor Nowakowski.

Rzecz najszczególniejsza! dla czego ja od razu zgadłam wcale

nie przewidzianą i najmniej spodziewaną śmierć Maurycego? dla czego na żadną inną przyczynę nie złożyłam tego ogromnego smutku, w którym widziałam wchodzącego męża? Oh! ta śmierć syna musi mieć coś sympatycznego z jego rodzicami. Syn umarł, ojciec o tём się dowiedział i dość było pokazać się matce, by oczami, fizyognomją zakomunikować tę wspólną boleść.

Stanowczy ten cios w domku naszym zadał jakby śmierć ogólną sercom a nawet że tak powiem, władzom duszy naszej. Taczania się, jęki, wykrzywanie fizyonomii, chodzenie z kąta w kąt, pomięszanie, wszystko to było, ale łzy ani kropli. Ojciec leżał na sofie z głową na piersiach, rękami założonemi, czasami wybąknął tylko, Boże mój! któżby się tego nieszczęścia spodziewał, a ja czułam że mi siły ustają, że się oddech tamuje; żal z serca pochodzący jest boleścią, ściśnieniem nie do opisanania, nie do wyrażenia. W drugim pokoju padam na łóżko, zakrywam twarz rękami; na to wchodzi kochany nasz przyjaciel domu Jan Henryk S. spostrzega od razu, że coś okropnego zająć musiało, przechodzi koło męża mojego, idzie dalej, znajduje mnie na łóżku. Dla Boga! co się tu stało? rzecze, ja milczę... Co się tu stało? pyta powtórnie niecierpliwym, trzebaż powiedzieć! jeszcze pauza z mojej strony... Maurycy mój umarł! Co? to być nie może! to bajka, zkąd ta wiadomość? Ach! cichoż rzekłam, nie bajka, ojciec czytał o tём artykuł z Francyi w gazecie powszechnój. Oslupiał poczciwy Jan Henryk, lecz by się żalowi nie dać szerzyć, natychmiast szczerym swym charakterem postanowił wzmocnić ducha mego, azatém ze surową fizyonomją rzecze: Na śmierć niemasz rady, cios który was dotknął, dotyka i kochających was przyjaciół; strata ta nie tylko jest waszą, ale stratą kraju, a nawet stratą powszechną, tak pod względem charakteru jako tész i wielkich zdolności Maurycego. Lecz gdy umarli nie wstają z grobu, gdy każdy z nas umrzeć raz musi czy prędzej czy później; azatém nie widzimy w tész śmierci nic nadzwyczajnego. Biorąc mię za rękę, tak dalej rzecze: pokój niech będzie twojemu kochanemu Maurycemu, oddaj go Najwyższemu, lecz pamiętaj pani, coś winna mężowi, pamiętaj żeś go wspierać powinna i nie dawać mu upadać na siłach, w boleściach, i nie żywić w nim arcy słusznego żalu; masz porę okazać wyższość swój duszy; pamiętaj pani nakoniec... racz a to pamiętać, żebyś się nie stała niewdzięczną przyjacielowi waszemu, który przez całe życie zasługiwał się domowi waszemu. Jeżeli nie uspokoicie żalu, nadaremno już, jeżeli okropnością smutku dręczyć mię będziecie.. milczałam... ale ta mowa łzy mi wycisnęła, uczułam całą prawdę. Cóż to? rzecze, więc ja u was niczém nie jestem, niczém nie będę,

nie mam żadnych zasług, żadnych względów, o nie! tak być nie powinno... Zaklinam cię, pani, zrób tę ofiarę dla najszczerzego i najnieinteressowanego przyjaciela waszego, wstań, przyrzec, że pokonasz ten cios, i że dopomożesz mi do uspokojenia nieszczęśliwego ojca. Masz rację, rzekłam, chcę wszystkiego próbować. O Maurycy, mój drogi synu, pokój tobie! Bogu cię polecam...

Poszłam za wolą Jana Henryka, tego szlachetnego człowieka. Podałam mu rękę i odtąd jedynie zajęta byłam mężem moim wraz z nim i różnemi osobami, którzy powoli po rozgłoszeniu naszego nieszczęścia odwiedzać nas poczynali, niosąc udział żalu straty naszej i tamując o ile kto zdołał bieg ten krwawego bólu. Na noc odprowadzono i bardzo z sił opadłego męża mego do jego mieszkania. Położył się prędko. Jaka noc była, każdy pojmie. Jaka noc była moja, gdym się sama została? Oddałam się całej zgryzocie, przemyślałam o całej okropności tego zdarzenia, to modliłam się, to płakałam, to chodziłam, to znowu rzucona o pościel jęczałam. Ranek znowu powołał mię zobaczyć, w jakim stanie mąż mój nieszczęśliwy się znajduje. Poszłam do niego. Błady, milczący, zbolady, wyrzekł, że nie ma sił, by wstał z łóżka. Kleknęłam koło niego, utuliłam jak tylko mogłam, okazując moją rezygnacyą. Nakoniec to rzekłam: Pamiętaj, drogi mężu, zanim nasze dzieci zostały skarbem naszym, ja, ich matka, byłam dla ciebie wszystkiem, tak jak wzajemnie byłeś i jesteś najpierwszém dobrem mojem. Pamiętaj, że ja jestem sierotą, że jedynie w tobie i na tobie polega spokojność może i cały byt mój. Wiesz, żeśmy stracili cały majątek. Któż o twojej żonie, o Olimpii, o Zosi, o Tymoleonie myśleć będzie? Kto się opiekować nami będzie? Przysięgałeś nigdy mię nie opuszczać, a teraz niedbasz o życie, niedbasz o nas, oddając ostatek twych sił na pastwę żalowi. Chceszże nas do rozpacy przywieść? Temi słowy naprowadziłam to jego poczciwe serce. Uściskał nas, począł się ruszać, przyjął podaną kawę; w parę godzin rozmawialiśmy o tém już z rozwagą, jedno drugiemu podawało powody tego zdarzenia, oczekiwaliśmy listów z Paryża. Jan Henryk z swojej strony czuwał nad utrzymaniem sił moich; swojemi prośbami, groźbami jak mógł tak się stawał. Ja zaś czułam, że się jemu wdzięczność należała za tyle dowodów jego poświęcenia się dla nas. Lecz żal matki po stracie takich synów ma swoje prawa nadewszystko. Płakałam gdzie tylko mogłam. Moja dusza była rozdarta. Tak minęło dni parę, chodziłam do kościoła Dominikanów, modliłam się. W najgłębszych pomysłach dostała mi się książka pierwszy raz do ręki *l'Imitation de Jesus Christ*; czytywałam się w nią, nabierałam ducha, pokory, rezygnacyi; nabie-

rałam tego gorącego pragnienia stawienia się Bogu tak jako chrześciana prawdziwa; czytałam, modliłam się, czułam jakąś ulgę. Dnia jednego u stóp ołtarza bardzo rano po prawym ręku w kościele żal bardzo mocny ścisnął moje serce nachylone aż do ziemi jakby z losem moim pojednane, ukojone w żalu całą duszą w Bogu, zdawało mi się, że jakieś błogie uczucia wstąpiły powoli do serca mego. Nie mogę się podnieść; łzami zalana zostawałam czas jakiś. O Boże litościwy, pomyślałam sobie, Maurycy mój nie żyje, a ciężar tej straty zdaje mi się, jakby był lżejszym na sercu mojem. Idę do domu, mąż mój się uśmiecha: Oto masz list wprawdzie nie od Maurycego... zdaje się, że w tym liście Maurycy chociaż chory ale żyje jeszcze... czytajmy, czytajmy.... Czekaj, kochany mężu, wtenczas się odezwalam: ja aż nadto czuję, że Maurycy już nie żyje. Pamiętaj nie robić sobie nadziei z tego listu, cóżkolwiek on pomyślnego zawierać może. Serca nasze już razem śmiertelnym ugodzone, raz zabite, czyż mogą się ludzić? O! Maurycy już umarł, mężu mój kochany, bo ja, matka jego, to czuję. Lecz czytajmy. Adres listu zupełnie nieznanomój ręki.

### List Walewskiego, oficera polskiego z depôt w Auxerres.

Auxerres, 20. Grudnia 1834.

Zastanowi pewnie Pana D..., że nieznanomy odpisuje w imieniu Pana Maurycego. Chcę się więc dać poznać o ile to przy nieznaném imieniu potrafię. Pragnę się zalecić sercu ojca, kiedy mię syn zaszczyca swoim przywiązaniem i ściślejszą, śmiało to wyrzec mogę, przyjaźnią, jak kogokolwiek w naszej Emigracyi. Jeszcze w Warszawie, idąc raz z Maurycym, miałem szczęście widzieć się z Panem D., ale nie mam pretensyi, aby mąż tyle zajęty sprawami publicznymi, miał pamiętać tę drobną okoliczność wśród wielkich wydarzeń rewolucyi. Po upadku Warszawy zjechaliśmy się z Maurycym w Paryżu; odtąd był ciągle na mnie łaskaw. Od czasu po-

wrotu jego z Marly mieszkaliśmy zawsze razem w Dauphine à Champs Elisées. Z Paryża przybyliśmy do Auxerres. Tu znowu nierozdzielni wspólnie pracujemy, bawimy się i poważamy. Pewno już nic nas nie rozłączy, pochlebiać to sobie śmiem; bo nasz Maurycy tyle czuły, znany z charakteru swego, z swego najlepszego serca, tyle jest kochający; dobrotliwa jego dusza nic dla mnie nie ma skrytego. Nie jest mi obcy żaden stosunek jego familijny. Kocha ją nad wszystko. O niej najmiliej mu zemną rozmawiać, o niej też najwięcej zemną mówi, powierza mi wszystko i pozwala czytać wszystkie listy. — Gdy w połowie zeszłego miesiąca pojechał na dni kilka do Paryża, ja miałem zostać w Paryżu, ja miałem zostać w zakładzie; ale go odwiózł i przywiózł Janusz Woronicz, nasz przyjaciel, który niemniej jak ja jest troskliwy o dobro Maurycego i jego zdrowie. Upoważnił mię jak zwyczajnie do odbierania wszelkich listów, aby na ważniejsze odpowiedzieć, lub mu je przesłać do Paryża. List zaś każdy Pana D. miałem zatrzymać, a kopię przesłać do Paryża Maurycemu niezwłocznie. W istocie nadszedł w tym czasie przedostatni list Pana D. przysłano go z byłego naszego mieszkania w Champs Elisées. Maurycy bawiąc podczas swego pobytu w Paryżu u Woronicza, nie mógł mieć o tym liście wiadomości. Ja po przeczytaniu tego listu, chociaż w nim nic nie znalazłem zastraszającego, wahałem się jednak posłać kopię Maurycemu; bo nie wiedziałem w jakiej go zastanie dyspozycyi, a wiem jakie wrażenie nań robi każde familijne doniesienie, prócz tego miał za trzy dni powrócić. Zaraz za jego przybyciem przeczytałem mu ten list. W śmierci kasztelana Bienkowskiego widział nowy dowód nieprzeblaganego przeznaczenia, które prześladuje jego nieszczęsną rodzinę. Dla tego to, widząc go tyle skłonnego do smutku z powodu każdego wydarzenia, słabego przytém od niejakiego czasu, obawiałem się od-

dać mu list Pana D. z daty 4. Grudnia. Przeczytałem go sam wprzód, a znalazłszy go pocieszającym, miałem go już wręczyć, gdy mnie następne od tego odwiodły uwagi. Oświadczasz Pan D. życzenie, aby Maurycy kontynuował Historią, a porzucił Dziennik. Ja mu to samo ciągle powtarzałem; prosiłem, zaklinałem, aby porzucił piśmko, co mu goryczy narobić może, a nawet koniecznie narobić musi; lecz na prośby utrzymywał stałe, że podobny dziennik na zbawienie sprawy bezwątpienia wpłynie i nie dał się odwieść od przedsięwzięcia. Opponowałem przeciw temu jego poświęceniu się nowemu, wzywałem ku pomocy naszych przyjaciół, aby mu równie odradzali, nakoniec groziłem Maurycemu, że napiszę do Pana D., abyś ojcowską powagą odwiodł go od tego zamysłu; uczułem nareszcie, że moje naleganie bezowocne i nieprzyjemne Maurycemu. Postanowiłem nareszcie dysymulować i pochwalać zamiar dziennika i zająć się nawet jego pomocą. Podobało mu się to widocznie, nie chciałem więc okazaniem listu Pana D. wznawiać dyskusję w słabowitości jego położenia. Nie wątpiłby bowiem, że list ten na moją pisany prośbę; gniewałby się na mnie; a więcej, jak kiedy, potrzebna mi jego powolność, gdyż odemnie tylko przyjmuje lekarstwa. Mnie jednemu udawało się dotąd umiarkować znaną Panu D. niechęć jego do lekarzy. Drugi mnie jeszcze upoważnił do tego kroku powód. List Pana D. zakończony niewyraźnie położoną cyfrą, tak jakby nie był skończonym. Prócz tego w listach Pana D., które odbierałem z Maurycym, bywały zawsze karteczki. Obawiałem się więc, by przy swojej o familię troskliwości, nie miał podejrzenia, że kartki przykre doniesienie zawierające umyślnie wyjąłem. Do tego w dzień odebrania listu miał się gorzej, dziś znowu lepiej. Lekarze zapewniają jednomyślnie, że minęło przesilenie choroby, że odtąd powoli wprawdzie, ale ciągle będzie lepiej. Spodziewam się więc,

że mu za kilka dni będę mógł oddać list; własnoręczną jego odpowiedź przesłał natychmiast dla zaspokojenia Pana D. Tymczasem zapewniam Pana D., że chociaż ta słabość Maurycego więcej nas niepokoi jak poprzednia, żadnego jednak niebezpieczeństwa nie ma. Czuję wszelako, ile to niedostatecznie pocieszy troskliwego ojca, czuję własną winę, że przedtém nie pisując do Pana D., teraz wyrazom moim wagi dać nie umiem. Ale czyjżeż użyję powagi? Między będącymi w tutejszym zakładzie kocha Maurycy majora Dębowskiego, kapitana Olszewskiego, kocha wszystkich, bo wszyscy rodacy przywiązani, a on sam jest tyle kochającym, ale ci równie nieznani Panu D. Pan Michał w Paryż, nie pisuje teraz do nas, zmienił jak mi mówią mieszkanie. Piszę do niego i proszę, aby o wszystkiém doniósł Panu D., piszę i do Franciszka Grzymały. Co do pielęgnowania Maurycego możesz być Pan D. zupełnie spokojnym. Czuję ja mój obowiązek i pamiętam, jak Maurycy był niepokieszony, troskliwy podczas mojej słabości. Nasi w zakładzie tu są wylani dla Maurycego, gotowi własnego udzielić zdrowia. Nas dwóch nieodstępnych przy nim w dzień, trzech w nocy. Zezwalam na to więcej, aby dogodzić ich przywiązaniu, jak dla istotnej tego potrzeby. Municypalność tutejsza wezwała mnie, by przyjąć ofiarowane ich dla Maurycego posługi i starania kobiet tutejszego miasta kommissyi zdrowia. Szpitale, zakonnice, wiele prywatnych domów, wszystko się tu ubiega o pierwszeństwo w usłudze dla Maurycego; bo wiedzą kto jest ten Maurycy, a mieli czas poznać go i polubić. Mieszkanie mamy zdrowe, obszerne: trzy pokoje, własną kuchnię, swojego kucharza, szczerego Polaka do usług. Lekarzem jest pan Hirault, wielka figura przez ustaloną w biegłości w sztuce sławę. Był on lekarzem matki Napoleona, potem pierwszym lekarzem cesarzowej Francuzów. Na konsylium wzywa pięciu miejscowych lekarzy. Przez osobi-

ste przywiązanie do Maurycego zaprosił pan Mongé słynnego lekarza z innego departamentu. Na niczém nam nie braknie. Prefekt oświadczył mi, że jest reskryptem ministra upoważniony do dania wszelkiej pomocy, jakiejby stan chorego wymagał. Pieniądze mamy; przyjaciele nasi z Paryża nadesłali nam wszystkiego co potrzeba. Zesłali i polskich lekarzy. Książę Czartoryski, Władysław Zamojski, generał Dembiński oświadczyli gotowość do pokrycia wszelkich wydatków. Dębowski major, Karsznicki, Woronicz ofiarowali swoje kassy. Śmiało powiem, że w domu pod okiem rodziców nie mógłby mieć staranniejszej pomocy. Cała Emigracya, że tak rzekę, cała Francya zajęła się tą słabością. Buletyny zdrowia posyłamy na wyraźne żądanie codziennie do Paryża, do polskich zakładów, do miast francuzkich, gdzie żywotniejszy duch publiczny czuje, jakie to drogie zdrowie dla Polski, dla Europy. Z Anglii pisują krajowcy nasi. Do oddalonej Ameryki pisujemy o stanie zdrowia Maurycego; bo już wszędzie poznany i pojęty!

Jeżeli powszechny smutek ze słabości syna zdoła zmniejszyć żal obywatelskiego ojca, to zaświadczam, że niewidziana przedtém jednomyślność całej Emigracyi stłumiła namiętny głos partyi na widok niebezpieczeństwa. Gdyby ta słabość miała trwać dłużej, zapewne zamięniłaby wszystkich stronnictw żal na jeden i wspólny. Nigdy nikt z żyjących nie miał takiego wzięcia u ludzi jakie posiada dziś Maurycy. Buletynu zdrowia Panu D. nie posyłamy, bo jest w obszerniejszym nieco formacie. Ostatni podpisany przez wszystkich sześciu francuzkich lekarzy jest bardzo zaspokajający; ważniejsze w nim wyrażenia są: „Les symptômes alarments sont completement disparu.“ Co do natury słabości zgodzili się w jej oznaczeniu lekarze bez dyskusyi. Nie wątpię o rychłym wyzdrowieniu Maurycego, kiedy lekarze odgadli z precyzją to wszystko, na co się przez rok patrzyłem. Je-

szcze w Kwietniu pokazało się zapalenie, zapewne w skutek jednostajnego, ciągle pracowitego życia, a braku zmysłowej rozrywki. Odtąd miał się Maurycy już lepiej już gorzej; nigdy jednak zupełnie dobrze. Odrzucał rady ku zmianie życia i w takim stanie kończył tom drugi swego dzieła z niewypowiedzianem natężeniem. Po tego wykończeniu nastąpiły swary, zgryzoty; a na serce był zasłabł jeszcze roku zeszłego po śmierci Kamila. By przerwać zgryźliwe komentarze proponowałem wyjazd w okolice Paryża, mieszkanie jakie wiejskie na ustroniu, gdzieby nie było Polaka i sposobności do dyskusji. O tajemniczym tym pobycie na wsi nie miał nikt wiedzieć. Z radością przyjął Maurycy ten projekt. Zajęliśmy się przygotowaniem do podróży. Minister pozwolił mieszkać gdzie chcemy; płatnik miał sam odbierać dla nas nasze miesięczne gąze. Tymczasem nasi zgodzili się na wydawanie Dziennika, jak go Maurycy projektował. Ucieszony, że przywiedzie do skutku myśl ulubioną, postanowił wyjechać do zakładu. Nie dał się inaczéj skłonić, zapomniał o zdrowiu. Nie myślał, tylko o sprawie publicznej. Wyjechał do Auxerres, już nie dla odpoczynku, ale dla więkšej jeszcze pracy. Chciałem korzystać z przywiązania jego do mnie: groziłem, że zostanę w Paryżu, lecz musiałem uleść usilnym jego prośbom; zapewniał mnie, że za kilka tygodni wrócimy. W Auxerres rozpoczął polityczne walki; to go wiele kosztowało. Nie traciłem nadziei, że się da namówić do powrotu; w Paryżu, wnosilem, znajde więcej pomocy, w Auxerres prawda mógłby mieć więcéj rozrywki, a nadewszystko więcéj wypoczynku. Wszystko inaczéj poszło, pomimo wszelkich moich ostrożności i zabiegów; bo Maurycy wpadał coraz w gorsze zapaly przez dziennik, a z powodu słabości stawał się drażliwszym. Prosiłem więc Woronicza, żeby Maurycęgo na kilka dni do Paryża wywiózł i tam go zatrzymał z przyjaciółmi, gdyby się

nie bardzo usilnie opierał temu, a ja z rzeczami miałem sam nadjechać i sam go do zostania w Paryżu i do zerwania przykrój, zgryźliwej pracy ostatecznie przymusić. Napisano mi z Paryża, że Maurycy stale odrzuca tę radę, ale wzywano mię do przybycia podług umowy naszej. Obawiałem się jednak wystąpić ze zbyt uporczywą opozycją, chociażby ta była w jego interesie. Powrócił z Paryża, uczuł się być słabym. Nie rozpaczam wszelako, że go koniecznie nie zatrzymano w Paryżu; bo i w Auxerres ma wszelką pomoc, a po słabości swobodniejsze będzie miał miejsce do rekonwalescencji. O defekt, albo smutne jakie skutki téj słabości na przyszłość, nie ma żadnej obawy. Myślano wprawdzie z początku, że pierś ucierpiała, ale instrument nowego wynalazku, który jest w téj mierze nieomylną skazówką, którego używają do sądowania stanu choroby piersiowej, przekonał nas, że pierś zupełnie zdrowa. Ten jest wierny obraz położenia Maurycego. Obawiam się, aby czulość ojcowska nie wyprowadzała z tego niepokojących wniosków. Wołałem jednak za wiele raczój, jak za mało powiedzieć. Wiem, że każdy szczegół obchodzić będzie przywiązanego ojca; przez przywiązanie moje określiłem może przesadnie stan cierpienia Maurycego. Lecz ktoby z boku i przez zbieg naszych różnych okoliczności mógł smutniej tłumaczyć i groźniej wystawić Panu D. słabość Maurycego jak jest w istocie, upraszam Pana D., przyjąć najuroczystsze zapewnienie, że żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Rozważnie to mówię, rzetelnie, mówię do mężczyzny. Ukrywać stan istotnego złego, byłoby więcej szkodliwem, jak pomnażanie onego. Gdyby było niebezpieczeństwo i ugruntowana obawa o życie Maurycego, wołałbym raczój przygotować ojca, jak go niebacznie ludzi nadzieją niepewną.

Obywatelu bez ojczyzny! nieszczęśliwy ojcze! zniósłes już tyle publicznych, domowych i rodzinnych, ciężkich

przeznaczenia razów. Zniósłeś to mężnie. Obywatelowi tak godnemu, ojcu tak dobremu, doniosłbym wszystko, choć najokropniejsze; bo wiem, że to wszystko potrafiłbyś znieść jako mąż w całym znaczeniu tego wyrazu. Szczęściem, że tak nie jest. Ja żadnej obawy nie czuję, a jednak jestem tak blisko. Lekarze ani chcą słyszeć o niebezpieczeństwie. Będę często umieszczał buletyn o stanie zdrowia; w każdym razie, choćby i najgorszym, nic nie zataję. Adres do mnie ten sam, albo prosto do mnie: Antoin Walewski, officier polonais à Auxerres; lub téż: à M. Gracieux Faure Employé à Auxerres, département d'Yonne.

Jestem z najgłębszym uszanowaniem Pana D. sługa i przyjaciel Maurycego.

*Antoni Walewski.*

#### Nota.

Gdyśmy ten list odczytali, dziwne były nasze uczucia. O! Kochany, pocziwy Walewski!... Dzięki tobie za te wszystkie szczegóły tak interesujące, któreś raczył oddalonym rodzicom przysłać. Tu rodzaj pociechy wstąpił do umysłów naszych, tu data listu Walewskiego 20. Grudnia ta sama, którą w Gazecie Powszechniej położono jako termin śmierci Maurycego. Tu pewnoś, że Maurycemu nie zbywa na potrzebach, na pieniądzech, na lekarzach; tu chlubny sposób zajmowania się nim tylu osób prywatnych i władz nawet. Tu rodzaj szczególny zapewnienia o życiu Maurycego. Wszystko to zabłysło dla duszy mojej i zgasło. — Czułam, że śmierć Maurycego jest niezawodną, bo moje serce zabite było. — Umarli nie wstają, a ja odżyć nie mogłam. — Ah! nie łudźmy, się wyrzekłam. Dotąd Maurycy nie żyje już pewno, niech sobie pocziwy Walewski co chce pisze... Nikt z nas nie śmiał wierzyć temu listowi, jednakże chwymano go, czytano, admirowano, ciesząco. Dla mnie, wyrzekłam raz jeszcze, mój Maurycy nie umrze raz drugi... I znowu dni parę minęło. Wzmacnialiśmy się wzajemnie siłami naszymi, jedno dla drugiego siliło się być mężnym, mocnym. Ojciec najstarszy fizycznie, prawie ciągle na nogach się nie mógł trzymać. Ponawiałam zakłęcia, żeby chciał żyć dla mnie, dla nas, tak, jak

mi to zaprzysiągł przed urodzeniem Maurycego. Wystawiłam mu smutny mój stan sieroctwa i reszty jego familii. Często z westchnieniem powtarzał mi mój mąż kochany: „Wierzaj mi, wstydem jest przeżyć takich synów.“ Wprawdzie i ja to czułam. Co większa, tak się czułam upokorzoną od losu, że mi się zdawało, iż jestem biedną, najnikczemniejszą istotą, którą sam Bóg już opuścił, że dozwolił i odebrał dobro ojczyzny mojej, dopuścił by to wszystko co było chlubą narodu, zniknęło jak cień przed oczami naszymi, odbierając nam znaczenie, majątek, odwracając serca najbliższych naszych od nas aż do wymyślenia występków, tam, gdzie kiedyś cnoty jaśniały (to odnosi się do zdarzeń które mnie w famili spotkały) nakoniec odebrał ostatnią nadzieję moją, tych dwóch synów, którzy, śmiało mówić można, byli chlubą narodu. Tę ostatnią pociechę mieć wydartą z piersi kochających rodziców i tak już losem znękanych; tak niespodziewanie... Boże... oczywisty palec Twój nas dotyka! Pokora, rezygnacja wstąpiły do duszy mojej z Twego miłosierdzia, lecz uczucia wstydu mój nędzy, były jeszcze karą Twoją... O! przepuść Panie... Znowu ja do kościoła z moją książką *L'Imitation de Jesus Christ*. Pokora, pokora, miłosierdzie Boskie. Nadzieja i ufność odprowadzały mnie spokojniejszą. Weszłam tak usposobiona do męża mego, widzę go siedzącego przy stoliku między mnóstwem szpargałów, papierów starych, obcych. Ucieszyłam się, bo widziałam, że postanowił już pracować, aby żyć dla nas, i swoją pracą nam pomagać. Za parę dni znowu odebraliśmy list następujący, który okropną pewnością potwierdził, lecz więcej już nam szkodzić nie mógł. Jest to list odpowiadający na moje wezwanie do Auxerres.

### List Majora Dębowskiego z zakładu Auxerres.

Auxerres, 3. Lutego 1835.

*Madame!*

Dopełniając smutnego obowiązku, jakiego pani żądasz, donoszę z największą boleścią opis straty nieporównanej, niewynagrodzonej, którą dotknął rodziców, — ojczyznę, — przyjaciół, — i ludzkość. — Nie będę się rozwodził nad żalem, jaki ten cios zadał każdemu sercu

prawemu, bo wspomnienie tak świeżej rany zbyt jest okropne.

Maurycy w końcu Września opuścił Paryż i niegodnych przyjaciół. Przyjechał do Auxerres z Antonim Walewskim, wiernym i prawdziwym przyjacielem. On, podobno jeden z dawnych niby-przyjaciół, pozostał Maurycemu stałym. Przybycie Mauryciego Mochnackiego nader było chlubne dla naszego zakładu, bośmy znali całą wartość tego człowieka stanu. — Zdrowie jego nie było dobre. Ale życie spokojne w Auxerres, powietrze zdrowe i kuchnia polska, szybko powracały mu siły, tak dalece, że przy końcu Października cieszyliśmy się zupełnym jego zdrowiem; kaszel tylko lekki czasem nas niepokoił. Maurycy 7. wyjechał do Paryża, nie mogliśmy mu wyperswadować téj podróży. 23. Listopada powrócił do Auxerres znacznie osłabiony, z mocnym kaszlem. Przywiózł sobie proszki z Paryża, zapisane przez polskiego doktora Wołowskiego, które nazajutrz zaczął zażywać. W cztery dni kaszel zupełnie ustał, ale za to ból w krzyżach i głowie zaczął dokuczać. 29. Listopada chciał Maurycy jeść z nami obiad, siedział u stołu, ale widać było cierpienie na jego twarzy, i nic prawie nie jadł. 30. Listopada sprowadziłem mu doktora Francuza najslawniejszego, który był nadwornym przy cesarzowej, pod pretekstem, że mu wizytę robi, poznawszy go w wilią na naszym obiedzie. Doktor ten zyskał Mauryciego zaufanie, zaczął się go radzić, od tego momentu codziennie doktor ten go odwiedzał, zaręczając nas, iż ta choroba nie jest niebezpieczna. Buletyny zdrowia posyłałiśmy do Paryża, osobom tym które równie jak i my były troskliwe o jego zdrowie. 9. Grudnia doktor w wieczór wyegzaminowawszy Maurycego, oświadczył nam z radością, że się już choroba zupełnie skończyła, iż teraz tylko sił mu potrzeba. Maurycy zapytał doktora czyby nie mógł jeść ostryg, doktor pozwolił 12. sztuk, Maurycy chciał

więcej wytargować, i nazajutrz śniadanie miał jeść doktor z Maurycem. 10. Grudnia rano przychodzę do Maurycego i zastaję go zmienionego; o dziesiątej godzinie z rana przychodzi doktor a wyegzaminowawszy Maurycego, z pomieszczeniem oświadcza nam, że słabość pokazuje się znowu. Żądaliśmy natychmiast konsylium i czterech najlepszych doktorów w ten moment sprowadziliśmy, i do Paryża napisaliśmy, ażeby przysłali doktora polskiego, co uskuteczniło i przysłano Rostkowskiego, który zawsze leczył Maurycego. Doktorowie zdecydowali, że to jest zapalenie muzgu, i w ten moment puszczone krew i przystawiono pijawki, chociaż na początku słabości już mu doktor puścił krew i stawiał pijawki. Od tego czasu nie tylko ci doktorowie, ale jaki tylko przejeżdżający doktor się zdarzył, przychodzili sami i sprowadzali nowych, i ciągle były narady. Zawsze nam oni robili nadzieję, chociaż nie taili niebezpieczeństwa. Umysł Maurycego coraz w gorszym znajdował się stanie, i coraz mniej miał przytomności. Doktorowie osądzili za potrzebne puścić mu krew, i znowu postawili pijawki, synopizma i moczenie nóg. Niestety! nic nie polepszyło stanu zdrowia. Koledzy dzień i noc kolejno pilnowali Maurycego, każdy z nas gotów był poświęcić się, aby uratować męża tak potrzebnego ojczyźnie... Podobało się Najwyższemu dotknąć nas tą okropną klęską... 20. Grudnia o godzinie piątej po południu zakończył życie najspokojniej... Można powiedzieć, że zgasł wśród zebranych kolegów i doktorów... Żadnego nawet westchnienia nie wydał, kiedy czysta i szlachetna dusza jego do szczęśliwego i wiecznego przeniosła się życia....

Pogrzeb Maurycego odbył się wspaniale. Kościół Fary wybito czarnym kirem i rzęsiso oświecono, nabożeństwo wielkie, muzyka gwardyi narodowej, wszystkie władze, Prefekt, generał komenderujący z całym sztabem w wielkich uniformach, gwardja narodowa w paradzie. Ciało

Maurycego wynieśli z kościoła przez całe miasto na przemian koledzy. Francuzi, cywilni i wojskowi dobijali się, ażeby mogli nieść zwłoki tak znakomitego młodzieńca i meża; co kilkanaście kroków odbierali sobie jedni drugim, ledwo przy cmentarzu my mogliśmy odebrać im nasz skarb. W czasie téj exportacji muzyka wojskowa przegrywała i przerywała to głucho milczenie, które uszanowanie sprawiało. Strzelanie całego batalionu, który asystował temu smutnemu obrządkowi, ciągle powtarzano. Ludność kilkotysięczna tłoczyła się za ciałem Maurycego. Na cmentarzu Antoni Walewski przemówił w języku francuzkim. Mowa jego tak rozczuliła publiczność do najwyższego stopnia, że płacz był powszechnym; potem przemówił w języku polskim kapitan Olaszewski. Mowa jego była drukowana, w krótkich wyrazach oddał hołd cnotom, zasługom i talentom Maurycego, zakończył temi wyrazy: „Że Maurycy Mochnacki dość żył dla swojej sławy, ale zbyt krótko dla ojczyzny, której był mocnym filarem.“

Pamięć Maurycego będzie wieczną, bo jego dzieła mu to zapewniają. Ale my, chcąc się wywiązać z wdzięczności dla ziomka, sławą narodowi należącego, zatrudniamy się postawieniem mu pomnika. Serce jego jest zachowane, aby kiedyś w ojczystej znajdowało się ziemi, włosy wszystkie mu ostrzyżono i za relikwie rozebrano. Ja z mojej części udzieliłem pani Turqui, która je ma Pani D. przysłać, a w tym liście przylączęm także trochę, bo może który list nie dojdzie. Papiery spisaliśmy, i opieczetowane złożyliśmy w Paryżu towarzystwu literackiemu polskiemu, w którym są przyjaciele Maurycego. Listy wszystkie i papiery po świętej pamięci Kamila są nieprzeglądane i nieczytane. Między manuskryptami żadnej całości nie ma. Do trzeciego tomu powstania narodowego tylko kilka arkuszy wstępu się znajduje i to niepoprawne; są jednak myśli na małych świstkach

godne Maurycego. Nasz zakład jest opiekunem. Ja sam odwoziłem do Paryża te papiery, i bez wyraźnej woli państwa D. nikomu nie będą wydane, na co oczekiwać będziemy ich rozkazu. Jaki użytek z tych kawałków zawsze ważnych zrobić każecie, upoważnijcie kogo. Garderoba Maurycego była bardzo emigracyjna, wszystkie rzeczy spisane oddałem Walewskiemu w depozyt; nie bowiem nie było przedawane. List od ojca po śmierci przyszedł i odebrał go Walewski, przedostatni ja odebrałem podczas Maurycego bytności w Paryżu, w którym wyczytał, że brat najmłodszy słaby; mocno to uczuł i był bardzo niespokojny o jego los. Pocieszał się tylko nadzieją, że go ojciec odwiedzi, że razem żyć będziemy. Ta myśl nawet w chorobie dodawała mu siły, o tém lubił zemną najczęściej rozmawiać. Śmierci nie przewidywał, bał się tylko suchot, a on właśnie płuca miał najzdrowsze, ale serce, błona sercowa taka była cienka, iż choćby téj słabości nie miał, nie mógłby żyć nad rok jeden.

Chelmicki, wydawca jego *Historji*, myślę, że nie ma prawa żądać pozostałych papierów, kiedy nie dotrzymał warunków kontraktu i kiedy za życia Maurycego wojnę z nim toczył i narzucał mu kolor, w jakim autor miał pisać. Zdaje się, że teraz myśli Maurycego byłyby powyrzywiane. Jeżeli Pani D. zechcesz jakich informacji lub detali, zechć się tylko rozkazać, a dla mnie będzie najprzyjemniej dopełnić jój woli. — Mam honor pisać się z wysokiém uszanowaniem.

*Stefan Dębowski.*

## List Pani Turqui,

gospodyni domu w którym mieszkał Maurycy,  
razem przysłany z poprzedzającym w odpowiedzi na moje do niej smutne zgłoszenie się.

Auxerres, le 6. Février 1835.

**Détaille concernant la maladie et la morte de Monsieur Maurice.**

*Madame!*

A l'époque de la morte il y avait deux mois et demi qu'il avait quitté Paris pour faire sa residence à Auxerres. En cette ville il y fut environ un mois bien portant. A cette époque ayant voulu reconduire un de ses amis à Paris à son retour il tomba malade. Un de ses amis nommé Antoin a eu pour votre fils Madame tous les soins qui peuvent caracteriser la véritable amitié. Il a aide par messieurs les officiers polonaises, qui n'ont cessé de lui prodiguer les plus tendres soins. Le major de ses officiers s'également distingua par lassiduité de ses visites et de ses soins. Pendant la maladie de monsieur Maurice, un médecin polonais avec qu'il avait fait ses études, quitta Paris où il habitait et vint à Auxerres pour être à même de lui prodiguer tous le soins dont il pouvait avoir besoin. Il se reunit à quatre médecins de cette ville qui voyaient ce fils infortuné, ayant consulté ensemble le caractère de la maladie. Ils tomberent d'acord quelle était de plus graves, quelle ne laissait aucune espoire de guérison, en un mot, qu'ils etaient même surpris qu'il eut pu vivre aussi longtemps d'après la gravité de cette maladie et qu'il ne pouvait y avoir que les soins extraordinaires qui lui etaient données qui avaient pû retarder aussi longtemps le terme de son existence. Enfin le samedi 20. Decembre 1834 on eut la douleur de le voir expirer dans le 4 heure

du soir. Vous apprendrez avec plaisir qu'il est mort comme vous l'aviez élevé et comme il avait vécu *un bon chrétien*. Deux heures avant cet instant terrible il avait reçu les saintes huiles.

Après la mort de votre cher fils, Madame, le médecin polonais jaloux de conserver pour lui et pour ses compatriotes des tristes mais chères restes de ses dépouilles mortelles il se décida à l'ouvrir dans la présence d'Antoin, son intime ami, à reconstruit que la toilette qui enveloppe le coeur était criblée, et on pouvait apercevoir le jour à travers de son coeur. Sa cervelle se trouvait aussi endommagée. On croit que la principale cause de sa maladie était un chagrin de plus cruels. Il s'était persuadée que son père était arrêté. Mais quelqu'un lui ayant dit que sa mère, vous Madame, était morte, il ne put le croire. Alors il se décida à faire une tentative pour établir avec ses parents une correspondance, qui pourrait lui apprendre la véritable position de ses chères parents, dont la séparation cruelle était cause de son infortune. Alors il me fit la proposition que ce mêmes parents puissent m'adresser leurs lettres ce cela que je consentie de tout mon coeur.

Son cher ami Antoin conserve pour lui son crâne et le coeur de votre cher fils Madame, a été embaumé et envoyé à Paris pour les compatriotes. Ainsi à Auxerre on a arrangé toutes ces choses concernant de monsieur Maurice, pour que une fois ces amis d'ici et ces de Paris puissent vous le faire tenir chères parents comme le dernier gage et le plus cher qu'ils puissent vous procurer.

Son ami Antoin a voulu si il pouvez, après la mort de ce qu'il avait de plus cher, retourner à Paris. Il est bien malade en ce moment. Son enterrement a été de plus beau: la garde nationale, le général, tous les au-

torités civiles et militaires, une foule immense de la population d'Auxerres formaient son convoi. Il a été ainsi accompagné jusqu'à son dernière demeure, arrivé là au cimetière, son ami Antoin a prononcé sur la tombe son oraison funèbre en Français. Et c'est par ce dernier témoignage d'un sincère amitié que ce fidèle ami a fait connaître votre tendre fils Maurice; vous recevrez avec cette lettre des cheveux de ce même fils cheri que le major polonais qui a bien voulu m'en offrir une petite partie de ces qu'il a recueillir à l'instant de la mort. Il m'a même prié de vous annoncer qu'il aurait l'honneur de correspondre avec vous incessamment.

Maintenant que je vous ai fait et fourni tous les renseignements qui sont à mon pouvoir. Oserais-je Madame, vous adresser quelques mots de consolations? Je ressent moi-même, combien cette triste lettre a vous affligé, tout en vous donnant toutes les consolations possibles en ces douloureuses circonstances. Vous aviez un fils cheri. Je vous annonce sa perte... Quel coupe cruel pour une tendre mère!... Je le ressens... je la partage ce coupe... Mais ce fils était vertueux, il chrétien... Il a rempli ses devoirs de citoyen, de chrétien. Aussi bien que si la triste, la cruelle mort l'avait pris dans vos bras. Que de sujets de consolation pour un père et une mère. Offrez donc à Dieu ce sacrifice; autant qu'elle est grande. Il n'en sera que plus méritoire! et moi aussi, Madame, j'ai perdu ce qui pouvait me rendre heureuse sur la terre. Cette perte je l'ai fait il y a quelques mois... J'ai perdu un époux qui réunissait toutes les qualités, qu'un homme peut réunir. J'ai poussé de soupîres, j'ai versé des larmes le plus amères comme vous en versez... Mais après tout, que faire pour réparer cette perte... l'offrir à Dieu en commune avec vous... Recevez Madame, l'assurance des mes sentiments distingués et cro-

yez-moi avec le plus profonde respecte, Madame, votre  
très humbles et très obeissance servante

V. Turqui.

Mon adresse: V. Turqui, Rue de Vicilles Lannovie Nr. 2., Au-  
xerres, departement d'Yonne.

J'ai remis la lettre que vous m'avez fait l'honneur  
de m'adresser à monsieur le major, pour lui servir de  
renseignement pour le papier qui peuvent vous être ne-  
cessair. Quand aux papiers qu'on laissez monsieur votre  
fils à sa mort, ils ont étaient porté à Paris par ces amis  
et compatriotes afin qu'ils puissent être visiter par mes-  
sieurs les officiers et autres Polonais, qui s'interessent  
à sa famille. La lettre que vous l'aviez adresser à mon-  
sieur votre fils, n'est arrivé que le lendemain de la  
mort 21. Décembre. Dans ces papiers ils s'y trouvent deux  
volumes de votre dernière revolution, quand à ces ha-  
bilement, ils ont été envoyé à Paris avec son coeur.

#### Nota.

Odebrawszy te dwa autentyki, raz jeszcze krew ścięła się w ży-  
łach moich, nie dla tego, by zapewnienia o śmierci Maurycego  
były nowemi ciosy dla mnie — wszakże już byłam tego pewna —  
lecz te wszystkie detale już okropne, już łagodzące, już nieco po-  
cieszające, musiały na nowo rozdrażnić i ranić biedne serce ro-  
dziców. Już tedy poczciwy Michał Podczaszyński, pomimo że pisał  
do niego o tej śmierci Walewski, nie chciał lub nie mógł więcej  
pisać do nas. Wyobrazić sobie łatwo przy jego słabowitości, co  
to za raz okropny śmierć tego Maurycego, którego on tak cenił  
i kochał i który sam jeden w ich tułactwie był całą jego miłością  
nadzieją i podporą! Nie! Podczaszyński pewno nie był w stanie wię-  
cej korespondować z rodzicami Maurycego; ta okropność już była  
nad jego siły. Michał żył z Maurycem w domu naszym w War-  
szawie, znał nasze serce, nasz dom, skład wszystkich okoliczności.

Wiedział, że z Maurycego utratą wysilił się los nieubłagany w ciemieniu nas; wiedział, że nie ma pociechy, nie ma ratunku dla potępieńców losu. Cóż miał pisać? zamilczał. Napisał w dni kilka krótki rys biografii Maurycego; publikowana w Journalach paryskich wkrótce i do nas doszła. Lecz ta biografia jest tak piorem uszkodzoną, jakto powiadają, napisana, że widocznie coś i wszędzie jej braknie. Prawda, że Michał Podczaszyński zbiedzony i chorobą swoją i coraz większym niedostatkiem, ztetryczał, skwasił się przez różne swary pomiędzy emigrantami, słowem zmienił się w tej gorącej energii, z jaką pisywał do nas. Azatém, gdy jeszcze śmierć wydarła mu przyjaciela jedyne i ostatnie, nie wiele mu już w życiu i samego nawet życia pozostało. Ta biografia, którą tak niedołącznie napisał Maurycemu, podobno to już była ostatnia praca jego. Chorując i słabnąc już tylko żył kilka miesięcy.

Wracając się do stanu méj duszy w owych okolicznościach, byłam po odczytaniu listu pani Turqui rozrzuwioną, jak ta dobra Francuzka uczuła stratę matki i jakąż mi niesie sama biedna radę: „Offrez donc Madame à Dieu ce sacrifice, autant quelle est grand, il n'en sera que plus meriteiro.“ Pocziwa pani Turqui, doprawdy natraciła mi jeszcze jakąś wzniosłość upadłego już ducha. Ta myśl ofiary, godnej swoją wielkością bycia ofiarowaną Twórcy naszemu, miała coś dla mnie nadzwyczaj silnego. Mego Maurycego śmierć, jego stratę, boleść moją ofiarować. Tak jest, rzekłam, sam Bóg znał to jego serce kochające rodziców i ojczyznę; jego wielkie ofiary, które gotów był zawsze tym dwom celom poświęcić. Gdy mi go odebrał, zna dobrze i widzi wielkość naszej straty. Niechże wszelako będą błogosławione jego święte zamiary i wyroki! Wkrótce napisałam sobie oto tę modlitwę:

27. Janvier 1835.

Dieu! Vous m'avez lancé de nouveaux le coup, le plus douloureux et vous voyez mon ame déchiré. Mes entrelles fument des douleurs. Mais telle a étoit votre sainte volonté. Deignez voir une mère deplorée avec quelque pitieu. J'ai besoin, o mon Dieu! de toute votre assistance pour pouvoir suporté dignement c'est-à-dire avec toute resignation ordonne par vous cette nouvelle perd de mon fils chéri Maurice. C'est avec un coeur navrée de douleur. Une ame déchiré. Vous me voyez avec quelle ardeur je t'invoque, o mon Dieu! en me prosternant au pieux de vos autelles. O Dieu de misericorde! Deignez agréer l'offre de mes souffrances.... Et recevez l'ames des mes enfants Maurice et Kamille dans vos bras Paternelles. Et quel secour plus officiese puis-je procurer à mes chers enfants, ô mon Dieu! Que de vous offrir pour leurs saluts

le precieux sang de notre sauveur. Oui seigneur! voila le cas le plus important de profiter pour moi de l'acte de votre sainte amour pour nous. Indignes que nous somme, j'ose vous l'offrir donc ô nôtre Père commune pour mes enfans Maurice' et Kamille. Quelque dignes qu'ils soyent de chatiments. O! ouvrez leur aujourd'hui les tresors immenses des satisfactions de votre sainte justice, par le sang rependu de la mort sur le croi de notre sauveur Jesus-Christ. Et faites-leur trouver dans se sacrifice, dont la prix est infini de quoi acciter toutes leurs dettes envers vous. O grand Dieu! Createur de nos ames. Ayez donc pitieu de votre propre ouvrage. Père infiniment misericordieux, faites misericorde à vos enfans. Auteur de notre salut immolé pour nous. Applique nous les mérites de votre mort et de vos cruelles souffrances et de votre precieux sang rependu pour nous. Amen.

Tak ukończyłam zbiór tych listów, najdroższą, oraz najboleśniejszą pamiątkę po synach moich. Niech ta pamięć zostanie dla przyszłego pokolenia jako chluba familii, niech następnie synowie trzeciego brata Tymoleona, Kamil i Maurycy, przejąwszy się cnotami, charakterem i przymiotami dwóch swoich stryjów Maurycego i Kamila, starają się naśladować te wielkie wzory swój familii. Ja proszę, aby całe moje pokolenie odtąd zachowywało dla pamiątki imię Maurycego i Kamila, to jest, aby zawsze dwaj pierwsi synowie najstarszego z familii tak się nazywali. Tym sposobem żyć będą jeszcze przeszłością, jeszcze słodyczą pamięci wspomnień najchlubniejszych.

Nadto dołączę tu wszystko, co zebrałam dotyczącego się wypadków z życia lub pism moich synów. Życie ich tak krótkie, a nigdy długo na jedném miejscu nie dało sposobności, aby pióro zdolniejsze czyjeś zrobiło rys wyraźniejszy tych dwóch prawdziwie historycznych młodzianów; lecz to pewna, że obydwa byli oryginalni od początku, od urodzenia swego i sami z siebie i przez sposób, jakim byli prowadzeni. Ledwo że im nie przyznać należy szczególności nawet pomiędzy rówienikami, co się powoli wyjaśni później. Przytoczyć tu muszę słowa Maurycego w jednym z jego listów: „że łatwiej zdziałać doskonale rzecz jaką, jak ją doskonale opisać.“

## Wyjątki z wspomnienia o Maurycem Mochnackim,

zebrane z rozmaitych pism publicznych;

tudzież

wiadomości o jego wychowaniu i młodociannym wieku.

„Maurycy Mochnacki przepędził w Auxerres ostatnie dni życia, wytrawionego gorącym czuciem ojczyzny i namiętnością wszystkich sił wielkiego umysłu do jej ratowania, a następnie do nauczania Polaków, jak się z grobu dźwigać mają. Po śmierci Maurycego Mochnackiego, rozebrawszy ciało jego doktorowie, znaleźli serce jego rozszerzone, a wszystkie organa żywotne, pomimo najskromniejszego życia tak zużyte, jak u zgrzybiałego starca. Maurycy Mochnacki przed ostatnią słabością swoją przepowiedział swój bliski koniec. Nieraz w czasie przechadzki wpadał w rodzaj zachwyty i otaczającym go ziomkom gadał o cudach tamtego świata, które spozstrzegał w grze duchów. „Wy nie słyszycie tego,“ mówił on, „ale ja, co się wkrótce z nimi połączę, już je przeczuwam, już słyszę ich grę harmonijną, która świat napelnia.“ — Patrzali na niego w zadumieniu przyjaciele i wspólnie z nim przeczuwali śmierć jego. Maurycy Mochnacki w wylaniu się dla siebie tych przyjaciół, w tej czci narodowej, którą go otoczyli, w tej miłości, którą mu przy śmierci przez starania swoje około niego okazywali, widział wynagrodzone wszystkie prześladowania, które go niesprawiedliwość lub zawiść ziomków przez całe życie prześladowały.“

Oto jest co Michał Podczaszyński w kilka dni po śmierci przyjaciela swego Maurycego do pism publicznych napisał słabym już piórem skołatanego umysłu i starganych sił; bo słabym będąc, pra-

wie na schyłku życia, widocznie nie miał téj energii z jaką dawniej byłby wystąpił w przedmiocie tyle go obchodzącym. Podczaszyński albowiem, mąż wielce zasłużony literaturze ojczystej, pełen przymiotów niepospolitych, szczególnie posiadający dar podobania się pod względem charakteru i mocy duszy, przyjemnej postaci, miły w pożyciu domowém, zaledwie o kilka miesięcy przeżył przyjaciela swego. Umarł w Paryżu dnia 4. Lipca 1835. roku mając lat 34. Przyjaźń jego z Maurycym wzięła swój początek w r. 1821. Jedno serce, mała różnica wieku, geniusze odznaczające się, zaczęły sympatyzować od razu. Michał Podczaszyński rodem z Litwy, z Wilna, syn profesora uniwersytetu, człowiek piękny z powierzchowności, równie piękną, szlachetną, wzniosłą posiadał duszę. Przyjechawszy do Warszawy zasłyszał pomiędzy młodzieżą o zjawionym, świeżo przybyłym z Galicyi Maurycym Mochnackim, którego wkrótce poczęto dystygować, a młodzież poszukiwała chciwie. Michał po śmierci ojca swego, zabrawszy kilka, a może i kilkanaście tysięcy w spuściźnie, szczerze dzielił grosze pomiędzy tymi, których widział potrzebnymi, z tą niedbałością o pieniądze i własną przyszłość, jaka cechuje młodych ludzi, rachujących na swe zdolności, że im nie zabraknie nigdy na utrzymanie własnego życia. Wkrótce téż stracił szczupły swój fundusik; lecz nie można powiedzieć aby go zmarnował na zbytki; przyszło w końcu do tego, że w szczupłej swojej stancyjce słodko marząc o literaturze i poezyi, trzeba było samemu sobie w piecyku ugotować kaszę lub kartofle. Otóżto wtenczas jeszcze, jadając one razem z Maurycym, byli najszcześliwsi z siebie, kochali się mocno. Mój Maurycy nie znał niedostatku dotyczącego wygod domowych, nie znał téż i zbytku; widział, że strasznie było kuso już koło Michała; począł tedy przemyślać, jakby to Michała umieścić w swoim pokoju i zaprosić go do naszego stołu. Za mojem w końcu zezwoleniem, kochany Michał Podczaszyński stał się naszym domownikiem, z czego Maurycy był najszcześliwszym. Ci dwaj przyjaciele sympatyzując ze sobą, często odprawiali żwawsze dysputy, które dla łatwości komunikacyi pomieszkania dawały się mnie słyseć.

Tu poznawałam naturę obu: Michał, pełen rozsądku, żywy, wszystko co twierdził było jasne; Maurycy zaś głęboko odczytany, głębiej sięgając, z flegmą, głosikiem pół cichym pół cieniłym, wyłuszczał rzeczy z precyzyą niecofniętą nigdy. Michał się zapalał i grubym donośnym głosem hałasował. Czasami umilkli oba na moje wejście, albo na widok tacy z kawą, do której oba zawsze wdzięcznie się uśmiechali; a czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla

szybkości bez kapeluszków biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznią całej młodzieży, nawzajem oskarżali się i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszej młodzieży, która żyła w całym znaczeniu tego wyrazu, światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych: żyła talentami i zdolnościami wielkimi; zamiłowana w tego rodzaju pracy, zaledwo miała czas zasłyszeć o próżnościach i zabawach, balach lub wieczorach. Książki, polityka Europy, nieszczęście sprowadzone na swobody kraju przez rządy wyłącznie cesarzewicza Konstantego; bo nie powiem, aby przez szczególną złą wolę ku nam samego monarchy Aleksandra I., zajmowały całą młodzież podówczas. Teraz przystępuję do owego pismka Michała Podczaszyńskiego, o którego powodach niedołęzności wyżej wspomniałam.

### Wiadomość o życiu Maurycego Mochnackiego.

Paryż, 30. Grudnia 1834.

Maurycy Mochnacki, zmarły w Auxerres d. 20. Grudnia 1834. roku, urodził się w Galicyi, we wsi Bojaniec, cyrkule żółkiewskim, wsi dziedzicznej swoich rodziców. Całe wychowanie swoje odebrał w domu rodzicielskim; w żadnych szkołach publicznych nie był. W roku dopiero 1819—1820. chcąc być przyjętym do uniwersytetu warszawskiego, przez kilka miesięcy uczył się do szóstej klasy Liceum.

Od roku 1820—1823. był ciągle w uniwersytecie w wydziale prawa, kiedy jedna prawie nic nie znacząca okoliczność zmieniła wszystkie jego zamiary i na dalszy ciąg życia jego wpływ swój wywarła.<sup>a)</sup>

Na kilkanaście dni przed złożeniem magisterskiego egzaminu we własnym mieszkaniu napadnięty przez policyanta pijanego i zelżony, gdy uderzeniem go w twarz broniąc się tylko, chciał napaść poskromić i odeprzeć,

porwano go do więzienia z rozkazu wielkiego księcia Konstantego, przez 40 dni, pod gołym niebem, z największymi zbrodniarzami, przeznaczony był do robót publicznych w ogrodzie belwederskim.

Nie poprzestał jednak Konstanty na tém jedném okrucieństwie. Kazał go wykreślić z listy uczniów uniwersytetu, zabronił mu zdawać egzamin magisterski i dał rozkaz wszystkim władzom rządowym, aby go do żadnego urzędu publicznego nie przypuszczaly. b)

W kilka miesięcy później kommissya śledcza warszawska, dowiedziawszy się z zeznań jednego więźnia w Litwie, że Maurycy Mochuacki był członkiem gminy Akademickiej Towarzystwa Patryotycznego, szeroko wówczas rozgałęzionego po całej Polsce, wtrąciła go do więzienia Karmelitów. Maurycy w więzieniu jakkolwiek krótko wzięty, związku nie wydał, nikogo nie skompromitował, co mógł zaprzeczyć to zaparł i ledwo po dziesięciomiesięcznych mękach wypuszczony został na wolność. — Przed uwięzieniem swoim nic jeszcze nie pisał, prócz drobnych artykułów, które umieszczał w *Astrei* r. 1823.

Dopiero w roku 1825. wraz z zemną, Poczeszyńskim, założył pismo naukowe pod tytułem: *Dziennik Warszawski*; lecz do redakcyi jego tylko przez sześć pierwszych miesięcy należał. Później, gdy zakaz wielkiego księcia nie przypuszczania go do żadnych urzędów pomimo najusilniejszych starań rodziny i przyjaciół, nie mógł być cofniętym, Maurycy, chcący dawniej ćwiczyć się na drodze dyplomatycznej, c) powziął zamiar zostać adwokatem, aby w téj karyerze niezawisłej od kaprysów władzy rządowej mógł znaleźć środki dalszego kształcenia się w ulubionych sobie naukach. Ale i tu wola przeciwna wielkiego księcia stawiała mu zaporę. Nie pozwolono mu zdać egzaminu magistra, który, jak wiadomo, był głównym warunkiem dla starających się o tytuł adwokata. Co większa, groźbami nowego uwięzienia i prześladowania

nawet niewinnej Maurycego familii, gwałtem prawie wtrącono go do bióra cenzury; bo na téj tylko drodze rząd chciał otwierać Maurycemu drogę i pole do zasług.<sup>d)</sup> Własnoręczne pismo rady Stanu Szaniawskiego, głównego cenzora ówczesnego, ogłoszone i podane do gazet w czasie rewolucyi za dyktatury, dowiodło już, jakiej wagi nikczemniej były zarzuty nieprzyjaciół Maurycego, przypominających mu dwumiesięczne jego urzędowanie w cenzurze.<sup>e)</sup> Na tém urzędowaniu Maurycy albo nie przychodził wcale do bióra, albo z najnieprzykładniejszą niedbałością, albo robił wbrew zamiarom rządu, że go zrazu strofowano po kilkakroć na piśmie, a potem wygnano z bióra, jako niegodnego zaufania rządu.

Te wszystkie prześladowania zmusiły go do zajęcia się pracą, do której najmniej był usposobiony. W roku 1826, 27, 28, 29 i 30, należał do redakcyi Izdy Polskiej, pisma poświęconego przemysłowi i rolnictwu, najprzód jako tłumacz, a potem jako kollaborator głównego wydawcy, a tytułem dyet pobierający pensyę adjunkta wydziału fabryk w ministryum spraw wewnętrznych; bo nawet i na ten urząd wakujący nie mógł otrzymać nominacyi z woli wielkiego księcia. Rewolucya tedy zastała go pozbawionego możności piastowania urzędów krajowych, a kommissya wyznaczona przez dyktatora do papierów pozostałych w Belwederze po wielkim księciu Konstantym, znalazwszy między niemi kopię pisma karmelickiego, uznała także za rzecz stósowną ogłosić Maurycego za niegodnego piastowania urzędów w kraju.<sup>f)</sup>

Należąc do redakcyi Izdy Polskiej, Maurycy nie przestawał poświęcać się ulubionym sobie przedmiotom, to jest: filozofii i literaturze, uważając jedną i drugą jako jedyny w owym czasie środek zajęcia umysłu i utrzymania ich ciągle w stanie, jak on powiadał, insurekcyi. W tym duchu z Ksawerym Bronikowskim najprzód Gazetę Polską, której od 1. Grudnia 1827. do 1.

Grudnia 1829 był redaktorem, a potem zaraz Kuryera Polskiego, do którego codziennie prawie podawał artykuły aż do wybuchnięcia rewolucyi.

Pomijam liczne a bezimienne pisma, które podówczas ogłaszał. Najgodniejsze jest uwagi pismo jego pod tytułem: „Głos obywatela z ziemi zabranéj“, które w rękopiśmie po całym kraju w niezliczonych egzemplarzach się rozeszło i najbawienniejszy sprawiło skutek na umysły członków sądu sejmowego, do których to autor przemawiał. g) W ostatnich dniach przed wybuchnięciem rewolucyi wydał tom pierwszy swego dzieła o Literaturze. h)

Wśród tych zatrudnień naukowych, które za rozrywkę raczej uważał, nie przestawał z bratem swoim Kamilem, uczniem wówczas szkoły podchorążych, pracować we wszystkich spiskach jakie od koronacyi Mikołaja w roku 1828. młodzież wojskowa knowała. W dniu 29. Listopada 1830. z bronią w ręku wyszedł na ulicę i rozpoczął sprawę ową na starém mieście w Warszawie wraz z drugimi, jak to już wiadomo. i)

W pierwszych zaraz chwilach narodowego powstania świadek błędów ówczesnego rządu, w zarodku samym dostrzegł kontrewolucją chytrze przez księcia Lubeckiego ukartowaną. Utworzył więc natychmiast klub rewolucyjny z ramienia jego z bronią w ręku zasiadł w Radzie administracyjnej jako członek przybrany z głosem doradczym. k) Klub ten wprawdzie trwał tylko dni kilka, wyrzucił jednak trzy rządy, na ruinach których w dniu 5. Grudnia 1830. powstała Dyktatura. Ruch rewolucyjny tak dzielnie się objawiający wśród niesłychanych zapor które mu stawiano, w jednym Maurycym Mochnackim najwymowniejszy miał organ i najsprężystsze działacza, ale przewaga systemu reprezentowanego przez Lubeckiego, zadała mu cios śmiertelny. W chwili gdy umysły wszystkich zajęte były najwięcej sposobem ratowania

kraju, rozpoczęły się przez zawiść odznaczającego się geniuszu Maurycego, pokątne plotki systematyczne nań potwarze. Wtedy i pismo owo karmelickie wydobyło z akt, i bezczelne zarzuty należenia do cenzury rozgłaszano po gazetach końcem dyskredytowania jego opinii. A stronnicy tych samych ludzi, którzy ustąpić chcieli z rządu tymczasowego, a co prędzej pojednać się z carem, niby dla dobra jakiegoś mniemanego w ich trwożliwych sercach, oświadczały między sobą tajemnie jakoby była potrzeba usunąć się wtedy, jeżeliby Lubecki z rządu był oddalony. A tak w jednym Lubeckim ojca ojczyzny, a w Maurycem Mochnackim podle narzędzie Moskwy widzieli; co w istocie odwrotnie potrzeba było widzieć, jako w końcu wszyscy się o tém przekonali ze szkodą kraju całego. Potrzeba było wszystkiego złego, które na kraj spłynęło z systematu Lubeckiego, potrzeba było upadku Dyktatury, aby nie oni, ale lud przez nich zwiedziony, przyznał i oddał sprawiedliwość głębokim pojęciom Maurycego politycznym. Zaczęło się było wreszcie wyjaśniać niebo przez dni kilka, a widziano że ten tylko dobrze radzi, któremu jak najmniej kazano ufać z góry rządu; i zaczynały się jeszcze wznosić głosy wczesnego żalu. Wtedy Maurycy Mochnacki wystąpił z nowym dziennikiem, któremu dał tytuł nowój Polski, w duchu tych samych zasad, które pierwój na klubie i w radzie administracyjnój rozszerzał. Przez kilkanaście dni pisywał artykuły pełne prawdy i rad najzbawieniejszych: co poczynać w tak krytycznój chwili. I na nowo oburzył przeciwko sobie umysły tych, którzy nie sprzyjali bynajmniej owój wielkiej sprawie narodowej, i tych którzy ją zaślepieniem swoim i fałszywym zapalem gubili. Znowu tedy przypomniano mu cenzurę, a pismo karmelickie na liczne egzemplarze w biurach rządowych przepisano. Po domach prywatnych i po kawiarniach tłumnie zbierającym się słuchaczom na głos

czytano, a głos prawdy, głos wołający na puszczy nazwano (że tu użyję wyrazów historycznych) brzękiem rubli moskiewskich i talarów pruskich. Wśród takich wrzasków wojska nieprzyjacielskie wkraczają do kraju. Tu Maurycy składa pióro, a pomimo że bynajmniej nie był obeznany z orężem bierze się do niego. Wódz naczelny Radziwiłł żądającemu wniść w szeregi narodowe, przysłał patent oficerski, Maurycy go nie przyjmuje, i jako prosty żołnierz zaciąga się do pierwszego pułku strzelców.<sup>1)</sup> Jaka była jego konduita pod Grochowem, raport generała Szembeka i gazety zaświadcza. Z kontuzją w ramieniu i lekką raną w prawą nogę powrócił do Warszawy, a przepędziwszy na wsi w Krakowskim dni kuracyi, gdy ustalała ta desperująca wówczas nieczynność wojska, wstąpił nanowo w szeregi wojskowe, ale już jako oficer; mówiąc, będąc ranny już raz przeciwnie sobie już zasłużył swoją rangę. Był więc w bitwach pod Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą i pod Ostrołęką gdzie najniezwyklej przy obronie armat cztery ciężkie rany odebrał. W nagrodę męstwa ozdobiony został krzyżem złotym. Resztę czasu od bitwy Ostrołęckiej aż do upadku Warszawy już na kuracyi częścią w lazarecie, częścią w domu przepędził. Nie mogąc już bronią służyć ojczyźnie, w miarę jak mu siły wracały, pracował dla jej dobra piórem i radą. Pamiętne będą na zawsze jego pisma umieszczone w miesiącu Sierpniu i pierwszych dni Września w dzienniku powszechnym. Dowodził w nich, że do ostatka nie rozpaczal o losie ojczyzny, że do ostatka umiałby wynajdować sposoby jej wybawienia, które zawsze ze wzgardą tylko, podejrzliwością i urąganiem były odrzucane przez tych co krajem rządzą. Sprawiedliwie potem Maurycy mówi o sobie, że był prorokiem nie przeszłości, ale przyszłości... Obarczony zarzutami swoich przyjaciół politycznych, a szczególnie jednego z członków upadłego rządu narodowego,

że nieutrzymaniu się swemu w radzie administracyjnej, podczas kiedy był w niej umieszczony, winien był upadek swego systematu. Zaczął wreszcie poznawać Maurycy Mochnacki, że istotnie dobro kraju wymagało aby był miał jakikolwiek udział u steru rządu, starał się więc pod Krukowieckim wniknąć do rady. Chęć jego działania wzięto za ambicję fatalną dla kraju. Najprzód radczą stanu przeszkodzono mu zostać. A tak od początku do końca rewolucyi poczytywano za największy patriotyzm, zatykać uszy na wszystko coby mówił Maurycy, psuć jawnie lub podstępami coby mógł zdziałać, wynajdować wszelkie czernideł sposoby, na jakie tylko dowcip pełzających umysłów, wszelkich partyj politycznych mógł się zdobywać. Nastąpiła wreszcie Emigracja. Maurycy i tu nie milczał, ale i tu go ścigano. Za to co zdziałał, albo raczej co mu przeszkodzono zdziałać w rewolucyi, nazwano go ambitnym, niebezpiecznym dla kraju. Byli nawet i tacy, którzy, co się spodziewając zamieszek w Paryżu, zawczasu dla niego w imaginyacji swojej stawiali szubienicę, za to że od lat dziecinnych prawie konspirował przeciw nieprzyjaciółom Polski, że pismami swemi przez sześć lat ciągle przed rewolucją pracował nad oświeceniem i usposobieniem do rewolucyi umysłów młodzieży polskiej, nazwano go obскурantem. Zarzucano że przez pisma w więzieniu karmelickim chciał pogрузić naród w największej ciemności. Napróżno przez pisma swoje umieszczone w pamiętniku Emigracyi silił się nad ustaleniem i zdeterminowaniem wyobrażeń politycznych, już to o ostatniej naszej rewolucyi, już o przyszłej reformie społecznej Polski, już o duchu rewolucyjnym, który prędkiej czy później obali w feodalnej niegdyś Europie wszystkie podstawy instytucji społecznych wieków średnich. Napróżno w dziele swoim ostatniem: *Powstanie narodu polskiego* do cierpkości częstokroć posuwał ton prawdy, wszystkim partyom

politycznym dowodząc, że wszystkie zgubiły kraj dla tego że nie były rzeczywiście, i w żaden sposób nie mogły być prawdziwymi partjami, że były tylko koteryami lub dziecinnymi igraszkami w obec najpoważniejszych wypadków, od których los Polski i całej ludzkości był zawisł. Napróżno gdy ciemnota lub zła wola w umysłach tych ludzi, którzy krajem rządili, nie dozwoliła mu w rewolucyi odwrócić złego, które on sam jeden najdoskonalej widział, starał się aby przynajmniej potomność z opisanja błędów korzystała. Nigdzie jeszcze nie czytamy ani ocenienia jego talentów politycznych, ani okazałych zalet jego dzieła. Kiedy przeciwnie najłżejsze błędy, chwilowa słabość pasującego się z przeciwnościami umysłu, wśród cierpień fizycznych nie znaczące w massie tak ważnych zasług, tak jasnych i tak po mistrzowsku rozwijających się w jego pismach pojęć filozoficznych, historycznych i politycznych, poczytano mu za odstępowanie od zasad na których przyszłe szczęście ludów spoczywać będzie. Lecz przynajmniej potomność pewno o nim inny sąd wyda, <sup>m)</sup> a ci którzy go za życia rozumieli, oplakiwać będą zawsze tę gwiazdę jasną i tak dobroczynną dla narodu polskiego, zbyt wczesnie zgasłą.

Co do mnie, przez piętnaście lat uwielbiałem przymioty serca Maurycego Mochnackiego, umiałem cenić jego talenta, z nim młodość przepędziłem, byłem świadkiem jego prześladowania i jego nieszczęść; w każdym jego niepowodzeniu widziałem wróżbę dla wszystkiego co miałem najdroższego w świecie; dla tego kochałem go jak tylko można kochać człowieka. Nikt nademnie mniemanych jego zbrodni w więzieniu Karmelitów i cenzurze nie widział bliżej i jaśniej. Nikogo też bardziej nademnie nie oburzały zarzuty przewrotnych lub zaślepionych ludzi, z których żaden nie wytrzymałby ani jednej takiej próby, na jakie on przez całe życie był wy-

stawiony, a którzy jedno nic nieznaczące słabość młodego wieku, przez tyle lat w najohydniejszej wystawiali barwie, ażeby jasną prawdę, której on tyle razy w stanowczych dla narodu momentach jedynym był organem zasłoną błędu okryć, a chęć jego służenia poczciwie ojczyźnie za występłą ambicją podać. Wszystkie ich życzenia już się teraz spełniły. Pozostaje im tylko kazać wielbić pamięć proroka, którego za życia kamienowali.

#### Nota.

\*) Nieprzyjaciele Maurycego do śmierci nie mogli mu przebaczyć, że dręczony głodem i różnemi innymi mękami w więzieniu, jako to, że bez pościeli, łożka, światła, o kawałku chleba i wódzce po 48 godzin zostawiony, straszony szukając sposobu zatumanienia swoich indagaczy, udawał niby ducha nawrócenia się i okazywał wielkie jenialne pomysły. I tak ułożył niby, czyli podpisał, czy też tylko jak mówił, redagował plan konceptu innych prawdziwych służalców Moskwy, (których zgroza cytować żyjących, lecz można umarłych lub obwieszonych) Nowosielcowa, Hankiewicza, jakoby zatamowywania oświaty kraju przez urządzenia nowe edukacji publicznej; tak właśnie jak gdyby Rossja potrzebowała w tej mierze nauki osiemnastoletniego więźnia Maurycego Mochackiego, lub żeby opinie i rozumowania abstrakcyjne w więzieniu przymusem wyciśnięte, tak jak była wyciśnięta przysięga całego narodu na wierność carowi, były czynami pociągającymi za sobą hańbę u współobywateli. Po prostu, myśli w tym piśmie zawarte były myślami Nowosielcowa, albo raczej jego namiestników Szaniawskiego i Hankiewicza, którzy dla tego starali się skłonić Maurycego do przyjęcia za swoje i do przyjęcia ułożonego w ten sposób przez nich pisma, i do połączenia go wraz z podaną prośbą o uwolnienie go z więzienia, ażeby dowiedli cesarzowi Alexandrowi, że więzienie u Karmelitów, świeżo podówczas założone, na wzór pokutnych więzień Ameryki północnej, miało na celu poprawę moralną, naprowadzenie młodych umysłów na drogę którą rząd za zbawienną uważał. Ci jednak którzy ten krok Maurycego (w istocie dowód tylko niedojrzałości umysłowej) za zbrodnię ogłaszali, zapomnieli że pismo to wszelako nigdy nie było szkodliwe,

że owszem skazane było na zapomnienie wieczne w aktach komis-  
 syi śledczej. I gdyby konduita Maurycego za czasów dyktatora  
 nie była tak śmiałą i głośną jaką była w istocie, pewnoby o tém  
 piśmie nigdy świat nie wiedział, a jeśliby się dowiedział, za nicby  
 je uważał. Ale nieprzyjaciołom rewolucyi i generałowi Chłopickiemu  
 wówczas dyktatorowi szło o zdyskredytowanie osoby Maurycego,  
 o oczernienie jego, o zbałamucenie opinii publicznej, bo mniemano  
 na nieszczęście, że od tego zbawienie kraju zawisło. Uwiedziona  
 publiczność zawierzyła zrazu, że to co doradził Maurycy Mo-  
 chnacki w pierwszych dniach rewolucyi było tak szkaradne, jak  
 myśli Nowosieltcowa, Szaniawskiego i Hankiewicza w owém piśmie  
 zawarte... A tak przeciwnicy Maurycego zwyciężali.

*Michał Podczaszyński.*

#### Nota.

a) Dla pamiątki następnego pokolenia zamierzam porobić tu  
 wierne dodatki, w celu dopełnienia rysu życia syna mojego Mau-  
 rycego Mochnackiego.

Maurycy od urodzenia miał w sobie zawsze coś oryginalnego.  
 Z woli ojca chował się w następujący sposób: skoro się tylko uro-  
 dził dnia 13. Września zdrów zupełnie, wyniesiony był natychmiast  
 z pokoju na powietrze na 10. minut, potem skąpany w wodzie  
 zimnej pokojowej, która pół dnia czekała na niego, wcale grzana  
 nie będąc. Do lat trzech chodził boso, latem i zimą, i do tego wieku  
 mięsa prawie nie jadał, żywiony był kaszami wszelkiego rodzaju,  
 i zacierkami, chleba bardzo mało, nabiału jak najwięcej. Był szcze-  
 gólniej zdrów i ogromnie silny; oprócz trudności niejakięj przy wy-  
 rzynaniu się zębów, nie było z nim żadnego ambarasu; a pomimo  
 że w pierwszym, drugim, a nawet i trzecim roku życia chował się  
 we Lwowie, gdzie raz na raz widywał ludzi obcych w domu na-  
 szym, szczególniej był dzikim zawsze i nie można go było oswojić  
 z obcymi. Najbardziej kochał moją pannę służącą, która go wy-  
 chowywała nie dając nawet mamce piastować go na rękach, lecz  
 wszystko sama koło niego robiła. To też przywiązanie Maurycego  
 do owęj osoby nadzwyczajne było, wielką moc wywierające na  
 niego. Do lat 5 była w stanie prowadzić go sposobem najmoral-  
 niejszym, wszystko na nim wymogła, dla tego też Maurycy nie  
 miał żadnego nałogu. Później żył sobie swobodnie na wsi w Bó-

jańcu, i wzrastał najszcześliwiej pomiędzy młodszém rodzeństwem. Zdarzyło się w roku 1809. podczas wojny Francuzów z Austryą, gdy Polacy weszli do Galicyi, a obywatele rozebrali rządy pomiędzy sobą, że postanowili wyprawić ucztę w dniu 15. Sierpnia w cyrkułe Żółkiewskim i w samymże zamku Żółkiewskim, jako w dniu imienin wielkiego zwycięzcy Napoleona I. Uroczystość rozpoczynała się nabożeństwem w kościele katedralnym, gdzie z ambony czytana była rota przysięgi na wierność dla ubóstwianego podówczas monarchy, w którym nadzieję pokładano, że wskrzesi naród polski, oraz że sam będzie królem polskim. Z takim uczuciem i z taką nadzieją zbiegli się wszyscy obywatele do kościoła, rząd już był reprezentowany przez nich, wojsko polskie stanęło szpalerem, wiadze zaś i obywatele umieścili się przed wielkim ołtarzem, damy zasiadły wszystkie miejsca kanoników. Mąż mój odjechał podówczas do Wiednia z hrabią Ignacym Miączyńskim, jako sekretarz legacji do bawiącego tam cesarza Napoleona. Ja zaś, chcąc, by nasz Maurycy, dopiero w 6. roku będący, jakkolwiek zastąpił ojca swojego na tym tak wielkim i tak uroczystym obchodzie, ubrawszy go w strój biały i szarą niebieską, wzięłam go na kolana, a podniosszy jego rączkę i paluszek do góry kazałam mu powtarzać za księdzem i za sobą ową przysięgę wraz z całym gronem obywatelstwa. Takim sposobem Maurycy od dzieciństwa powziął wrażenie, by kochać swój kraj; przez tę tak solenną okoliczność i ucztę pojął, że to było wielkie Święto, które już się potem nigdy nie powtórzyło, a Maurycy rosnąc zawsze się o nie dopominał.

Do roku 1815. chował się na wsi. Początkowo miał nauczyciela bardzo łagodnego i dobrego. Spacery pieszo, czasem na koniku dawały mu więcej rozrywki niż pożytku; my zaś oboje pragnęliśmy dać dzieciom naszym jak najstaranniejsze wychowanie pod każdym względem: ten był upragniony cel życia naszego, na ten koniec wszelkie ofiary z nas samych, z majątku naszego chętnie poświęcaliśmy. Dla dania edukacji dzieciom naszym porzuciliśmy piękne nasze gospodarstwo wiejskie i wszelkie przyjemności życia wygodnego, wyjechaliśmy do Lwowa, przyjęliśmy nauczycieli i metrów i sami tam mieszkać postanowiliśmy. Maurycy jako najstarszy był najpierwszym celem życia naszego. Od ósmej godziny rano miał podzielone wszystkie godziny do nauk, pojmował z największą łatwością i wkrótce do rozkładu godzin i nauk tak przywykł, że nawet dobrowolnie nie chciał wychodzić z domu, trzeba go było przymuszać do spaceru. Z największą łatwością wyuczył się mówić po francuzku i po niemiecku, łaćniński język przyszedł mu jakoś niepostrzeżenie z powodu że sam ojciec dawał mu lekcje tego

języka; wkrótce uczył się na pamięć najpiękniejszych wyjątków z Wirgiliusza i innych autorów klasycznych, szczególnie podobała się Maurycemu historia grecka, czytywał Plutarcha, uczył się go na pamięć, pożerał z chciwością wszystko co miało charakter i cechę bohaterstwa. Wielcy ludzie, wielkie czyny, jedynie duszę jego zajmowali. Razu pewnego czytając Iliadę Homera zamknawszy się na klucz, zaczął deklamować głośno z największym zapalem tak, że gospodarz domu, stary, poczciwy Niemiec, idąc galerią pod oknem, zatrzymał się i przez ciekawość zajrzał. Cóż zobaczył? oto, jak Maurycy z największą zawziętością bombardował do pieca ciskając wszystko co miał pod rękami, książki, piłki linije, i tym podobne. W tym piecu wyobraził sobie męznego Achillesa, którego obalić postanowił. Stary Tiszer przestraszony wpada do nas: „Dla Pana Boga żywego! panicz musiał chyba zwaryować gdyż piec bombarduje, a szkoda pieca,“ poszłam i znalazłam Maurycego rozognionego, rozczewienionego, który zawstydził się i uspokoił, ale odtąd mocno się gniewał na poczciwego Niemca, i zawsze figle mu platał; z których jeden był takowy: Tiszer stojąc na dziedzincu poczuł od razu, że coś kropi go po głowie; poziera do góry, nie widzi nikogo, mruczy po trochu; znowu kropi po peruce aż krople wody na twarz spadają; no, to pewno te panicze z góry, poczekajcie Achillesy! lezie Niemiec na drugie piętro, wchodzi do pokoju Maurycego i pyta czy oni go kropili? „Ach uchowaj Boże, panie Tiszer, rzekli obydwaj Maurycy z Kamilem, toby nawet niegrzeczném było,“ Tiszer dał sobie wyperswadować zwłaszcza że nie widział ani wody, ani szklanki, ani kropidla, wiedział nadto że grzeczne chłopczyki mieszkają u niego na drugim piętrze. Lecz skoro przypadkiem podsunął się pod okno, znowu kropienie w dużych kropłach spadało na niego: „a to niepoczciwe chłopcy, zataili się jak myszy, dam ja wam,“ i stary lezie znowu, ale już na skargę do mnie: „Co to te panicze wyprawiają, dla czego moja peruka taka mokra, a to jak pod ich oknem stoję“... Idę ja z moim Tiszere do chłopców: dzieci, co wy tu za niedorzeczności wyprawiacie? pan Tiszer się skarży. Ej nie, moja mamó, rzecze Kamil z miną utajoną, oczyma wytrzyznaczonemi, a Maurycy tak zagłębiony w lekcji matematyki, że mnie zupełnie przekonali, iż kropienie nie od nich pochodziło; No ja przepraszam paniczów, rzecze Tiszer, ja sam wiedział, że być nie mogło aby te panicze kropili, ale, Herr Jezus, kto mię tak zawdy kropi! Zaledwo nasz Niemiec zlął na dół, aż tu Kamil wyciąga z kieszeni gębkę mokrą, wysadza rękę za okno by Tiszera pokropić i gębkę znowu chowa do kieszeni. Maurycy rzuca lekcją

i matematykę, kładzie się od śmiechu: otóżto mamó, za to taka przygoda Tiszzerowi, że mi nie dał zwalczyć Achillesa. Strofowałam ich mocno, oni się śmiali do rozpuchu, a Tiszzer aż do śmierci nie wiedział kto mu perukę kroił w jego własnym domu.

Maurycy wiedząc, że przypodoba się ojcu, przykładał się najusilniej do muzyki, a chociaż w początkach palce jego niezgrabne pokaleczone, pozacinane nożem, scyzorykiem, bo wiesznie coś majstrował, czyniły niepodobieństwo metrowi ułożenia jego ręki do fortepianu, chociaż w pierwszych miesiącach metr sumienny zapewniał mnie że szkoda czasu i pieniędzy dla takiego niezgrabjasa; wszelako Maurycy wkrótce zaczął zadziwiać pięknnością tuszu i słodyczą harmonii, która z pod tej nibyto niezgrabnej ręki i palców wychodziła. I w rzeczy samej, muzyka Maurycyego miała w sobie coś nadzwyczaj wzruszającego, doskonałego, coś tak melodyjnego, a najwięcej kiedy na dobrym swego wyboru fortepianie, rzucał się czasem do gry i improwizował co mi się często zdarzało zasłyszeć w Warszawie przed rewolucją, pewno wtenczas musiał harmoniować. Burzliwe, owe straszne, pełne niebezpieczeństwa czasy ze straszniejszą jeszcze przyszłością... Ach! nie zapomnę nigdy wdzięku i melodyi owój, która dla mnie miała coś nadzwyczajnego, poruszającego i wieszczonego. Gdyśmy przez cztery lata mieszkali we Lwowie, jedynie dla edukacji dzieci, wieczory nasze codziennie odprawiły się przy stoliku; ojciec czytywał dzieciom albo też Maurycy ze swoim metrem i skrzypcami siedział przy fortepianie. Zawsze Maurycy był celem przed innymi wszystkich starań, kazałam go uczyć tańczyć, ale tak był niezgrabny i głowę zawsze chował pomiędzy ramiona, tak dalece tych lekcji nie chciał, że szkoda było płacić za każdą po pół dukata pani Nolange.

Maurycy nie chodząc do szkół publicznych i mało z domu wychodząc nie znał ulic we Lwowie, ciągle uczył się w domu, bardzo wiele czytywał i korzystał, ale tak był sam w sobie jakby do innego świata należał. Dość dziki, nie umiejący sobie poradzić nie umiał bynajmniej żyć z ludźmi, ani ich szukał ani chciał o niczym wiedzieć; dom, rodzice, rodzeństwo, Bójaniec, metrowie, fortepian, a nuty jakiego lepszego autora i książki były wszystkiem dla niego.

Tak przyjechaliśmy do Polski w r. 1819. Tam mieliśmy folwark o cztery mile od Warszawy na Czersku. Ojciec w początkach sam jeden jeździł do Warszawy, a ja musiałam oddawać się domowemu gospodarstwu wyglądając czasu póki nie będziemy mogli razem tak mieszkać, dla ukończenia edukacji synów i sposobienia

ich na urzędników. Często pytałam Maurycego do czego by się chciał sposobić? Odpowiedź jego zawsze była jednostajna: ja będę się kierował na drodze dyplomatycznej, bo chcę i muszę coś więcej znać i rozumieć nad to co mam dziś przed oczyma, bo wszystkie prywatne, domowe rzeczy i okoliczności dla mnie są nader obojętne, ja czuję w sobie ducha, który wszystko chce pojąć co tylko jest do zrozumienia, widzenia i słyszenia. Gdy ja czasem zająć chciałam Maurycego gospodarstwem, poprostu dla tego by mnie dopomagał w tym moim trudnym dla mnie zawodzie, posyłałam go do stodoł by miał oko na robotę najemników i młocarzy, mój Maurycy rzecze ze słodką miną: dobrze kochana mamó i poszedł; nadchodzę później i widzę jak Maurycy obłożony do koła książkami deklamuje wiersze na osobności na snopkach; odtąd nie posyłałam go więcej, bo przekonałam się, że dusza jego nie harmoniuje ze snopkiem. Gdy pierwszy raz posłaliśmy Maurycego do Warszawy z poczciwym i zacnym Hanem, który był przez nas wybrany do prowadzenia pierwszej jego młodości, wziął go ze sobą w południe na obiad do restauratora, co było nowością dla niego, bo pierwszy raz jadł z obcymi i osobami których nie znał; miał przeto minę bardzo ciekawą, co się zwykle wyrażało przez mocne otwieranie i przymrużanie oczu i pewną niespokojność. Po obiedzie Han dobył pieniędzy by płacić za obiad, a to co? rzecze Maurycy, czy to taka grzeczność? w dawnej Sparcie nie płacono za to że kto jadł obiad; Han mocno się ucieszył z osobliwszego młodzieńca w 19. wieku. Ale ja matka rozumiałam Maurycego, on nie znał ani chciał nic innego znać prócz porządku życia domowego i familijnego, umysł jego zajęty dziejami jedynie przeszłości nie mógł nawyknąć do nowości życia teraźniejszego.

Przystąpiliśmy nakoniec do uporządkowania systemu edukacji szkolnej. Po raz pierwszy dowiedział się Maurycy, że potrzeba tak się przygotować aby zdać egzamin surowy z szóstej klasy, to go nie zastraszało bynajmniej, chociaż w życiu swoim nigdy egzaminów nie zdawał ani nawet prywatnych z klas początkowych. Posiadał języki, umiał gruntownie po łacinie, we wszystkiém przez ojca wyćwiczony najbardziej, i w kilka miesięcy tak był przygotowany przez zacnego Hana, że z podziwieniem wszystkich profesorów dano mu klasę szóstą. O doskonałej zaś jego znajomości języka łacińskiego dużo gadano, dziwiono się nawet jak taki młody chłopiec nie uczęszczający do szkół publicznych, mógł lepiej od innych umieć tyle rzeczy; zaszczyt ten przypisano oczywiście ojcu Maurycego, on zaś sam zwrócił na siebie uwagę ówczesnej młodzieży pełnej ambicji i oświaty o talenta i o geniusz. Odtąd mło-

dzień światlejsza uprzedzając Maurycego poczęła się z nim zaznajamiać i wciągać go w swoje gorące a tajemne plany. Nie miarkowaliśmy podówczas co to znaczy.

Maurycy zapisany na kurs pierwszoroczny prawa, uczęszczał do akademii, marzył o dyplomatyce, grywał na fortepianie, o żadne inne zabawy nie dbał. Chodził już samopas zupełnie po mieście, gdyż dochody nasze nie pozwalały płacić więcej gubernera a ktokolwiek bądź inny już był za mało dla Maurycego, któremu po egzaminie otworzyły się oczy i poznał, że coś więcej posiada niż drudzy. Chciałam go czasami brać ze sobą na wieczory do domów zacnych by go prezentować raz dla mojej własnej macierzyńskiej satysfakcyi, powtóre by go oswoić z towarzystwem wyższem, żeby go wprowadzić w stósunki moje, by go wcześniej nauczyć jak to potrzeba zaczynać starać się i zasługiwać na względy u ludzi, ażeby na później mieć jakieś prawo do ich pamięci. Ledwie parę razy udało się mnie mieć Maurycego na wieczorze u powszechnie naówczas poważanej starościny W., staruszki zachowującej wszelkie jeszcze dawnych polskich domów obyczaje; zabawne było to widzenie jak Maurycy ze swoją minką nieśmiałą gwałt sobie zadawał, chodził krok w krok za mną ani na moment nie odstępując mnie, a jak był niezgrabny w ukłonach często mi powtarzał: „Mamo chodźmy już,“ ale ta jego niezgrabność miała w sobie coś oryginalnego, coś miłego, ja wiedziałam co to znaczyło, bom całą jego duszę pojmowała, wiedziałam, że co jest czeze, próżne, co się zowie tonem lub etykietą, wszystko to nudzi go, gdyż jego umysł zawsze był zajęty ideałem bohaterów o których czytał i marzył, wszystko inne fraszkami nazywał. „Gdzież, mawiał mi, znajde w towarzystwie, które mnie tyle subiekcyi kosztuje, gdzie nie wiem nawet co robić, owych wielkich ludzi; którzy w książkach sami się mnie przedstawiają przed oczy? Ja z nimi wolę wiecznie obcować w duszy mojej, aniżeli drogi mój czas tracić na próżnych ukłonach i ceremonjach.“

Tak rzeczy szły powoli, ojciec zajęty urzędem publicznym już nie bardzo wglądał w czynności syna, zaledwo dla siebie znajdował chwile krótkiego czasu do wypoczynku. Tymczasem jedna z moich znajomych z której synem Maurycy razem mieszkał, ostrzegła mnie, że Maurycy czasami po pół nocy wraca do domu, że razu pewnego wszedłszy do mieszkania swego syna o godzinie czwartej rano, znalazła Maurycego śpiącego nierozeberanego i tak niedbale rzuconego na łóżku z pistoletem obok niego leżącym, który rurą sięgał aż poduszek. Z moich indagacyi w tym względzie śmiał się Maurycy odpowiadając: „Niech mama nikomu o tém

nie mówi, bo z tego kłopot, W. książę i co tak już młodzież prześlada, myślałby, że niewiedzieć co się robi.“ Chociaż przekonana byłam, że nie żadna lamparterja wyprowadza Maurycego z domu nocną porą, poczęłam jednak mocniej czuwać nad nim, lecz już więcej nie wychodził późno i zdawało się jakoby się wszystko uciżyło. Maurycy kochał ojca nadewszystko i szczególnie się go bał, było więc cicho; chociaż dostrzegać się dawało, że młodzież po swojemu namawiać chciała Maurycego na schadzki, z czém miał wielki kłopot niemogąc i nieśmiając zwierzyć się ani ojcu ani mnie zobowiązawszy się przysięgą na milczenie. Pewnego razu tak się zdarzyło: podczas obiadu wchodzi do nas niezajomy jakiś młodzian, pomieszany, pyta o Maurycego, szczęściem go nie było u stołu; ten młodzian, jak się później dowiedziałam z zeznań od jednego z więźniów stanu, był to znajomy Maurycego i współprzysiężony, którego rada czyli starsi wysłali z rozkazem poprowadzenia Maurycego na Bielany i tam z wysokiego stronnego brzegu wtrącenia go niby od niechcienia do Wisły. Był to więc wyrok śmierci na Maurycego za jego chęć wyłamania się z pod praw, pod które poddał się początkowie, a których, mieszkając z rodzicami, na żaden sposób nie mógł wykonywać zwłaszcza, że nie miał nigdy pieniędzy. Szczęściem nie znaleziono Maurycego w domu a wyrok ten śmierci z czasem odmieniono na wielką reprimandę.

Tymczasem nadszedł czas egzaminu z pierwszego roku akademickiego. Maurycy tak był pewnym siebie, że wcale nie chciał zachowywać formalności przepisanych przez Rektora dla uczni. Potrzeba było regularnie uczęszczać do akademii i co trzy miesiące niewać świadectwa od professorów, że się uczęszczało. Czas egzaminu nadszedł, a tu nie ma ani jednego świadectwa. Maurycy śmiało idzie po kolei do wpisu w godzinach przeznaczonych na egzamin. Zgromiono go i zapowiedziano, że utracił prawo do tego. Zagniewany Maurycy prosi, bym się za nim wstawiła. Zmartwiłam się; chodzę po professorach, nic nie pomaga. Trzeba było aż powagi ojca użyć, by wstawił się za synem do ministra oświecenia. To żenowało ojca, ale cóż robić? Minister przez wzgląd na ojca wydał rozkaz, by Maurycego natychmiast egzaminowano. Ten idzie zagniewany na professorów. Ja się martwię, truchleję, pewna, że przez nielaskę i nieukontentowanie, professorowie nie dadzą przejścia krnąbrnemu uczniowi. Godzina siódma wieczorem: Maurycy schodzi zmęczony i rzecze: „Otom się wygadał; ręczę, że 10 razy więcej niż kto inny; na gwałt ci panowie wynajdowali łapki na mnie, ale im się nie udało; oto masz, mamó:“ i poczyna wyciągać z kieszeni pogniecione attestata professorów różnych przedmiotów,

tak właśnie, jakby nie przykładał żadnej ceny do tak ważnych dowodów. Czytam. We wszystkiém stoi dobrze Maurycy: pomyślałam sobie w duchu, on ma racją nazywać wszystkie formalności głupstwami i wyszydzać je; bo oto nie mogli mu zaszkodzić, chociaż najwyraźniej im zawinił. Uściskawszy Maurycego prosiłam go, aby na przyszłość nie wystawiał rodziców na podobne ambarassy i dodałam: pamiętaj Maurycy, już masz własne doświadczenie. Ja na rok przyszyłam ani kroku nie zrobię wstawiania, ani upokarzających prośb za tobą nie uczynię; jesteś uczniem i powinieneś zachowywać wszelkie przepisy akademickie. Pójdź natychmiast zemną do rektora i przeproś go. Dobry Maurycy uczynił com żądała, po raz pierwszy ucałował rękę najgodniejszego swego rektora.

Od tego czasu rok przeminął, gdy znowu wypadało Maurycemu zdawać egzamin, dla którego najczęściej wychodził do swoich przyjaciół, bo skryptów własnych nie miał. Pewnego dnia wszedłszy do stancyi przyjaciela, zrzucił mundurek, nałożył małą fajeczkę i wysłał służącego po jakieś papiery potrzebne do nauk; w tém przypomina sobie, że trzeba dać dokładniejszą informacją służącemu względem owych rękopismów; w prędkości rozebrany jak był z fajeczką wybiega aż na dół do sieni wiodącej na ulicę, by zawołać służącego. Przechodzący podówczas komisarz policyi S., z natury grubianin i podpiły, znany przez młodzież jako złośliwy i niegodziwy człowiek, postrzegłszy Maurycego: dla czego palisz tytuń na ulicy, dla czego nie masz munduru? zawołał i jednocześnie porwał za fajkę, by ją wydrzeć z ust i szarpnął tak gwałtownie, że aż rozkrwawił usta Maurycemu; w okamgnieniu Maurycy na odwet za tę zniewagę uderzył w twarz komisarza, ale tak silnie, że go od razu powalił na ziemię, a sam zemknął do mieszkania. Rzecz ta narobiła wiele hałasu, doszła zaraz do wiadomości W. Xięcia Konstantego, który kazał wice-prezydentowi Lubowidzkiemu dostawić do siebie do Belwederu obydwóch i komisarza i obwinionego studenta. Lubowidzki wsadza obydwóch do jednego pojazdu, aby dwaj antagoniści mogli się z sobą porozumieć. Komisarz zmiękczony prośbami familii Maurycego, niby rozczulony, tak się pierwszy odzywa: „Panie Maurycy, Pan bardzo źle wyjdiesz za swoją popędliwość, ja zaś nie wiedziałem, kto Pan jesteś, bez munduru i z fajką w ustach, a palić fajki na ulicy nie wolno; jestem w randze komisarza i byłem oficerem w wojsku, a że Pan mnie uderzyłeś, przez to zgubiony jestem, dadzą mi dymisy, a ja mam żonę i dzieci. Najlepiej zaprzyj się Pan przed księciem i powiedz, że to fałsz, żeś mnie nie uderzył.“ Maurycy tą namową uradowany rzuca się komisarzowi na szyję i tak usposobieni stają w Belwederze. —

Niedługo szybkim a szerokim krokiem wpada W. X., twarz tygrysa rozjątrzonego, brew stercząca, oko straszne, głos chrapliwy; „Tyś to się odważył uderzyć cesarskiego urzędnika?“ Maurycy struchlały rzecze: „Nie, jam go nie uderzył.“ „Jakto, pyta się Xiążę zapalczywie komisarza, on cię nie uderzył?“ Na to komisarz rzecze: „Tak jest, ten oto młodzieniec uderzył mnie wczoraj w twarz za to, że mu chciałem zabronić palić lulki na ulicy.“ — Nie można sobie wyobrazić w jaką złość aż do wściekłości wpadł Wielki Książę. Rzucił się całą figurą swą na stojącego opodał Maurycego, porwał go za piersi, wstrząsł nim, jak młodem drzewkiem, podniósł go do góry, a mrucał jak niedźwiedź rozjuszony. Potem porywa za guziki, obrywa je, drze w pasy mundurek uniwersytecki. „Won z nim, rzecze do Lubowidzkiego, w kajdany! głowę ogolić na krzyż! włożyć suknie areztańskie i dać wikt areztański; niech wspólnie z arezstantami pracuje w taczkach i śpi razem z nimi!!!“ O Boże, co za okropność! Matce wolno jest zrobić tu uwagę, iż albo Bóg dla widoków niedocieczonych dał władzę takiemu człowiekowi, albo zły duch miał moc i wydał potworę w postaci uciemięzyciela ludzkiego.

Gdy Lubowidzki wyprowadzał znękanego takim wyrokiem Maurycego, łatwo sobie wyobrazić, co mógł czuć młodzieniec ten pełen ambicji. Wtém nagle W. X. jakby zreflektowany, woła Lubowidzkiego i pyta: „Kto jest ten uczeń?“ Lubowidzki odpowiada: „Syn obywatela i urzędnika w Komisji oświecenia.“ „Głowy nie golić, sukni areztańskiej nie dawać, ale niech robi w taczkach z arezstantami w ogrodzie belwederskim.“ Takie to Maurycy przechodził próby. Ja zaś podówczas byłam na wsi. Gdy się o tём dowiedziałam, jak lwica rozjątrzona puściłam się na całą noc do Warszawy, Bóg wie czém i po jakimu. W szaleństwie mojem dużo mogłabym była zaszkodzić i Maurycemu i mężowi i nareszcie sobie samój. Rozum mnie odstąpił zupełnie, a ktokolwiekbydź ważył się skrzywdzić moje dzieci, na tego całą siłą napaść, oczy wydrzeć, z króciocy do niego wypalić, zdawało się być świętą moją powinnością. Już czuвано nademną, dawano pilne baczenie, wystawiano rzeczy w innych kolorach: powiadano, że Maurycy się śmieje, że mają wzgląd na niego, że się tylko w południe przed generałem pokazuje z taczkami; że to jest nieszczęście powszechne, że się na to znajdują sposoby. Jeździłam do ministra oświecenia. Ten otworzył ręce na moje przyjęcie, przytulał mnie, cieszył, ledwo nie płakał, prosił o cierpliwość, mówiąc, że to nie sprowadzi żadnej hańby na Maurycego, każdego z nas to może spotkać, a Maurycy dobrze się znalazł. Jeździłam potem do generała Roźnieckiego, ale tego

człowieka aż na rozdrożach mieszkającego, z duszą zaprzedaną, bez serca, ledwo mojemui prawdami mogłam naprowadzić, co się mnie, jako matce, jako kobiecie, nakoniec jako synowicy jego dawniejszego przyjaciela należało. Ten zły człowiek chciał mnie szkodzić, ale nie mógł; skakał pod sufit ze złości, ale przecież odjeżdżającej podał rękę do karety i po błocie wyprowadził. Jeździłam takżo po radę do Lubowidzkiego; ten filut cieszył się jak mógł. W miesiąc później Maurycy już był przy nogach moich na wsi — przy moich piersiach. — Uwolnił go W. Xięzę; nawet nie wiem, jak się to stało. Najprędzej, że zasługi, wielka zdatność ojca jego jako urzędnika musiały dojść do wiedzy Xięcia, lub téż może i doszła do niego rzeczywista prawda, że komisarz był pijany i po brulasku postąpił z Maurycem.

Co się dalej działo na skutek tego wapaдку już Podczaszyński wymienił. Maurycy wykreślony z liczby uczniów uniwersytetu, skazany był na nieczynność, pozbawiony kierowania się przez urzędę: nudził sobą, grał tylko dużo na fortepianie; czytał i żył sobie swobodnie ze swoim nieocenionym przyjacielem Michałem Podczaszyńskim, który miał wiele mocy nad nim. Czytali, pisali, spacerowali, zawsze razem. Czas kilkomiesięczny przeleciał: my jeszcze nie znaleźliśmy sposobności zatrudnić Maurycego jakimś pożytkiem na przyszłość. Ważyliśmy tylko i rozważali tyrańską władzę W. Xięcia bez duszy i serca, który nie był w stanie pojąć jaką krzywdę, jaką boleść sprawia, jaką przykrość przynosi rozpacz niewinnym rodzicom, niszcząc ich najchlubniejsze nadzieje a najbliższe sercu, deptając nogami cały los, całą przyszłość ich synów, synów, dla których miłości rzekli się własnego mienia, poświęcili majątek.

W takim stanie byliśmy, gdy oto w Listopadzie r. 1823. o szóstej godzinie z rana dało się słyszeć pukanie u drzwi naszych: Kto to? — Otwórzcie, odpowiadają. Otwierają, — wchodzi dwóch policyantów z latarką. Lokaj się pyta: „pocoście tu zawitali?“ „Mamy rozkaz zabrać Pana Maurycego Mochnackiego, syna Pana tego mieszkania. Ta okropna wiadomość dochodzi do uszu ojca i do mnie. Skamieniałam na ten głos. Ojciec oddaje syna, bo inaczej nie może. Maurycy nieulekniony zapewnia, że o niczym nie wie, że musi być jakieś nieporozumienie; zaklina, byśmy byli spokojni, że powróci wkrótce. Ojciec sam idzie z nim do Lubowidzkiego, vice-prezydenta policyi. Niestety! dowiedział się, że mają rozkaz zaprowadzić Maurycego do więzienia u Karmelitów na Lesznie jako więźnia stanu. Dowiedział się zarazem o składzie całej komisji śledczej, na ten cel ustanowionej, złożonej z generała Kołzakoffa, jako prezydującego, Stankiewicza i trzech innych.

Nie potrzebuję opisywać smutku naszego domu. Kto jest ojcem i matką, pojmie go. Nakoniec nie w tém miejscu pisać o tém wypadku, lecz opiszę raczej nieszczęście syna, który zawsze z całą odwagą, z całą siłą duszy poddawał się swemu losowi, jak gdyby od dawna do tego był przygotowany. Tam więc u Karmelitów, wysiedział tam Maurycy owe 11 miesięcy, o których i jakim sposobem tam się sprawiał, by nikogo nie skompromitować a siebie wydobyć, wspomina Michał Podczaszyński. Trzeba było koniecznie oszukać Stankiewicza, Nowosielcowa i W. Xięcia.

Gdy byłem u generała Kozłakoffa, powinnam mu oddać całą sprawiedliwość, że najgodniejszy człowiek, serce miał czułe, robił prosto swoją powinność, nie mięszał owęj piekielnej chciwości potępiania, zawikłania obwinionych, jedynie dla widoków osobistych by się przysłużyć rządowi dla gratyfikacji, orderów lub stopnia, jak to powszechnie robiono za carewicza. Generał Kozłakoff przyjmował mię ze szczerością, z litością, tłumaczył się otwarcie, że Maurycy wpłątany, że odznacza się dobrą głową, charakterem i zdolnościami, że ten młodzieniec zadziwia całą komisję i robi honor rodzicom; że cóżkolwiekby on mi winszuje takiego syna. Nie było to pochlebstwo, bobym się była poznała na tém, albowiem Moskale cenili niezmiernie młodych ludzi oświeconych, czytanych, takich właśnie, jakim był Maurycy, co u nich było rzeczą arcyrzadką. Skarzyłam się poufnie dobremu generałowi, że carewicz zakazał Maurycemu kontynuować dalszych nauk, a to go pozbawia na przyszłość i urzędów i wszelkiego sposobu dystyngowania się. „Niech Pani o to będzie spokojna,“ rzecze generał, „ja ręczę za to, że jak z tym zakazem, lub bez takowego, Pan Maurycy będzie, bo już jest nawet tak uzdatnionym do wszelkich promocyi urzędowania, że poszukiwać go będą niezawodnie; potrafi służyć dobrze krajowi, chociaż egzaminów nie składał.“ Nie szczędził generał wszelkiej grzeczności ni uprzejmości dla mnie, dodając, że oszukiwać mnie nie będzie, obiecywać nic nie chce; że sprawa z W. Xięciem trudniejsza, jakby się to mogło zdawać; ale że mogę być spokojną, bo Maurycy sam siebie wydobędzie, a on go pewno nie potępi przed W. Xięciem. — Przeciwnie niegodziwy chytry Stankiewicz chciał korzystać z dobrej głowy Maurycego i postanowił zmusić go na swoją korzyść; straszyl go więc okropnie, zaprzysięgał, że jeżeli za kim brama raz się zamknie, wieczne go potem czeka zamknięcie i potępienie: „już światła nie zobaczysz, Panie Maurycy, jakem Stankiewicz, szukaj drogi do zbawienia, którą ci przedstawiam po ojcowsku.“ Maurycy uwierzył, i dla tego stawał się Stankiewiczowi powolnym; wtenczas to reda-

gował owo pismo karmelickie, za które później tyle był prześladowany. Stankiewicz zaś z Nowosiłcowem cieszyli się, że znajdują sposoby nawracania tyle uzdatnionych młodych ludzi. Jako dowód pismo to pokazywali W. Xięciu Konstantemu, a ten rzekł: „Wy duraki, on was oszukuje — ale niechaj i tak budiet”. Pokazuje się, że o tém piśmie najlepsze było zdanie carewicza. Te szczegóły słyszałam z ust samego Stankiewicza, który przedemną udawał niby na pochwałę Maurycego, jakoby i on sam tak myślał, co nieprawda; gdyż postępowanie jego po wypuszczeniu nawet z więzienia Maurycego było niegodziwe: zadawał sobie wiele pracy, jak prawdziwy lucyfer, żeby zdemoralizować Maurycego i nakłonić go na stronę moskiewską. A wszystko chytrze, surowo, dla wpojenia obawy, że jego władza nie ustała jeszcze. Przechwalał się, że Maurycy jemu jedynie zawdzięcza swoje wyjście z więzienia. Biedny Maurycy, znękany w więzieniu odjęciem wolności, męczony głodem, trzymany samotnie bez światła, bez zatrudnienia; straszony rozsiewaniem bajkami oprawców, widział jak jeden z więźniów powiesił się, słyszał jak po nocy wyniesiono trupa; w całej sprawie głucho, ciemno, czegóż się mógł spodziewać? czego się miał trzymać? Z drugiej strony dały mi się słyszeć od starego, poczciwego wojewody Grabowskiego wielkie pochwały znakomitych zdolności Maurycego; ten, lubo moim był przyjacielem, ale nieborak i ślepy i głuchy na wszystko, co się dotyczyło rozkwitającej się oświaty i wielkiej prawości pomiędzy młodzieżą, rozповідаł, że słyszał od Nowosiłcowa, z powodu owego pisma karmelickiego, jakoby Maurycy Mochnacki był człowiekiem wielkich nadziei, a chociaż nie miał jak tylko lat 18 wieku, posiadał więcej rozumu i wiadomości jak drugi najstarszy. Nie rozumiał on tych pochwał; moje zaś wszystkie usiłowania dążyły do tego, by jaknajprędzej syn był wypuszczony z więzienia na wolność. Nareszcie chwila ta szczęśliwa nastąpiła. Razu pewnego w południe zajeżdża przed dom doróżka, pozieram przez okno, aż tam coś jednym susem wskoczyło do sieni z pojazdu. Przecucie matki nie myli, zawołałam: Maurycy, synu mój! Wybiega ojciec, lecimy wszyscy na schody: był to w rzeczy samej Maurycy, który od chęci prędszego dostania się zgięty we dwoje, po dwa schody naraz bierze, w największym nieładzie, pada u nóg naszych i rzewliwie płacze, o Boże! jak to psie korzące się, skomlące u stóp swego pana. Wydieramy go sobie; ja padam na kolana, by go prędszej uchwycić i do piersi przytulić. Wielka to scena! rodzeństwo, siostry, brat najmłodszy, sługi, obcy ludzie, wszystko to się zbiegło od razu! O wy, którzyście widzieli tak jak ja syna wracającego z niewoli, z więzienia,

czasem bez nadziei oglądania go więcej — bo w Bogu tylko nadzieja — wy tylko ten obraz pojmiecie!...

Nareszcie uciszyło się wszystko. Maurycemu nie wolno było nic mówić: co, jak, dla czego? i na co się to wszystko stało, więc milczał; ale wzrok jego stał się ponury, zawsze bojaźliwy, chytry nawet jakiś, niedowierzający; światło trzeba mu zawsze palić we dnie i w nocy, tak nie lubił ciemności. Gdy mu powiadałam, jakie wieści o nim chodziły, ile pochwał słyszałam od wojewody Grabowskiego i od Szaniawskiego. „Ach! mamó kochana!“ zawołał, „na miłość Boską! niech mama nic o tych pismach nie wspomina, to hańba moja, nie chluba! Sami dyktowali mi te pisma, obiecali wypuścić, skoro przyjmę takie rzeczy za swoje. Dla tego też mnie wypuścili, ale raz jeszcze zapewniam mamę, że musiałem to pisać.“

Minęło znowu kilka czasów: Maurycy począł się nudzić, ponieważ żadnej czynności nie miał. Udałam się po radę do radzcy stanu Szaniawskiego, który mnie i nam wszystkim wyperswadował, że Maurycy póty będzie podejrzanym u W. Xięcia i wiecznie prześladowany, aż dopóki nie wejdzie do bióra Nowosilcowa lub do cenzury. Woleliśmy tę ostatnią; lecz niebawem Maurycy wyszedł z tamtąd, bo nie mógł przenieść tego na sobie. Zawołany na reprimandę od radzcy Stanu Szaniawskiego, za opieśzałość w ucześnieaniu do bióra, taką dał otwartą radzcy odpowiedź, że ledwo go samego nie zawstydził, że był głównym cenzorem. Uściskał go radzca po przyjacielsku i dał dymissyą. Mógł to Szaniawski zrobić łatwo, raz dla tego, że w gruncie przeciwny był temu swemu urzędowi; powtóre znał kto jest Maurycy; po trzecie był dobrym człowiekiem i przyjacielem naszym. Bynajmniej się nie gniewał, gdy mu Maurycy dał do zrozumienia, że w duchu owego czasu niebardzo jest bezpiecznie być cenzorem. Miał też zupełną racyą Maurycy, bo w kilka czasów później, gdy rewolucya dojrzała w królestwie polskiem, chciano powiesić pana dyrektora cenzury, co mogłoby być nastąpić, gdyby Maurycy nie dołożył wszelkiego starania by nawrócić Szaniawskiego do wzięcia urlopu i wyjechania na ten czas do Wiednia.

Maurycy porzuciwszy cenzurę, pracował następnie w komisji rządowej spraw wewnętrznych w wydziale fabryk i pisał Izydę, pismo techniczne. Nie robił to z zamiłowania, przeciwnie, nie cierpiał swojej czynności. Izyska, pismo rólnicze, pełne wyrazów technicznych, niezrozumiałych dla niego nudziło go śmiertelnie, lecz musiał przyjąć pierwsze lepsze wakujące zatrudnienie, jakie się nadarzyło, i to zamaskowane na etacie, by carewicz nie spostrzegł.

W takim stanie rzeczy doczekaliśmy się sądu sejmowego na

przestępców politycznych z roku 1826. pod prezydencją wojewody Bielińskiego ustanowionego. Wtenczaso Maurycy napisał bezmienne owo pismo tak dzielnie i stanowczo wpływające na uniewinnienie obwinionych pod tytułem: *Głos obywatela z ziemi zabranej*, które w dziele *Powstanie Narodu Polskiego* jest zamieszczone. Było to sztucznie i hazardownie napisane własną ręką; dał przepisać kuzynie, na dowód że ją najmocniej kocha; zwierzył się arcy-biskupowi Woroniczowi. Szanowny ten starzec pobłogosławił go. Pismo rozleciało się raniutko do wszystkich członków owego sądu. Czytano, dziwiono się, ktoby mógł być autorem takowego; przejęli się wszakże duchem onego. Oryginalny rękopism był u mnie w ukryciu; ja tylko słyszałam jak odgadywano autora.

Już się zbliżał koniec roku 1830. Maurycy był niezmiernie zajęty swoim dziełem o *literaturze*, zawsze mawiał: byłbym skompromitowany gdybym nie wydał tego com ogłosił; przypadnę gdy tego nie dokażę. A tu w rozwinięciu się rewolucyi lipcowej francuzkiej bohaterzy nasze pozachodzili w głowy by z czasu korzystać u siebie, biedny Maurycy nie mógł chcieć, nie mógł nie chcieć należeć do owych ważnych wypadków, jako człowiek liberalnych zasad, jako uznany z głowy i serca, jako patriota mógłże się usunąć? Ale widział nieporządek w systemacie, przewidywał całą okropność, gdy się nie uda, widział zgubionych rodziców. Nieraz czoło zachmurzone, oko łzą zasłone, wsparty na łokciu dumiał w swym pokoju gdzie stół zielonem suknem nakryty, miniatura Michała Podczaszyńskiego przysłana z Paryża, kazanie księdza Skargi, trupia głowa na murku wysoko, szafa wielka z książkami, na stole rękopisy różne i maszynka z czarną kawą i rumem znajdowały się; pisać bowiem, lulkę palić i pić czarną kawę z rumem, wieczne było Maurycyego zatrudnienie. Nieraz wchodzę do niego i pytam: mój Maurycy, czego ty taki zachmurzony jesteś? uśmiechnął się: o moja ty najlepsza mamó! ja się czasem w mój skórze pomieścić nie mogę, ani pogodzić różnych sprzeczności, które mam przed sobą. Nieraz kiedy Maurycy był wesół, z jakąś książką pod pachą, bo tak zawsze chodził, zgłodzony leciał na obiad do domu, wtenczas był nader miły a pogadanka familijna najprzyjemniejsza. Ja mówiłam mu: ożeń się mój Maurycy, zobaczysz jak cię żona pielegnować będzie; wtenczas Maurycy kłękał przy mnie: o moja dobra, piękna mamó! jak tylko znajdę taką kobietę jak ty jesteś; zaraz się ożenię, ale ja wiem dobrze takię ja nie znajdę, chciejże mi się sama poszukać i ożeń mnie, bo widzisz mama, że ja nie mam czasu o tych fraszkach myśleć, a potem ja muszę moją literaturę co tchu wydać... i znowu skoczył odemnie, swy-

wolił z rodzeństwem, że nieraz aż stawał się chaos w pokoju ze sprzętów.

Tymczasem był jakiś wielki ruch pomiędzy młodzieżą, widziałam jak do pokoju Maurycego wchodziło wiele nowych twarzy, słyszałam straszne dysputy, widziałam jak wyjeżdżali za miasto na obiady, rozumiałam, że się bawią. Maurycy kochał swoich przyjaciół Wołyniaków, Ukraińców i Litwinów, — nie wiedziałam, że rewolucja dojrzeva. — Ostatnich prawie dni Listopada wchodzi raz do mieszkania Maurycego i zastaje go przy zielonym stole piszącego, ale oczy mu się iskrzą, kawa na wpół niedopita, pisze a pisze, na mnie nie uważa, ja stoję pod piecem; nakoniec Maurycy po długim jeszcze pisaniu uśmiecha się, daje ostatnią kreskę piórem skrzypiącym, podnosi ręce do góry złożone, zakłada za głowę, łzy mu z oczu padają, O wielki Boże! zawołał, westchnął, zapłakał, rzucił pióro i przybył do mnie; Ach! kochana mammo, w tym momencie skończyłem moje dzieło o literaturze, ale to co teraz napisałem jest przedmowa krótka, tój mamie dziś nie dam do czytania, za dni kilka dzieło pójdzie do druku i będziesz mama czytała wszystko razem.

Tę przedmowę napisał Maurycy w duchu już rewolucyjnym; dla tego zaś zapłakał, że się okropnie passował sam ze sobą lekając się narazić kraj, tylu ludzi i rodziców na los śliski, niepewny. Zamieszczam tu ją dla tego, że w pierwszym wydaniu dzieła o literaturze mało gdzie się znajduje, ponieważ Roszianie po wejściu napowrót do kraju kazali ją powyrzynać, a książkę bez przedmowy w bieg puścić.

„Czas nareszcie przestać pisać o sztuce, co innego zapewne teraz mamy w głowie i w sercu, improwizowaliśmy najpiękniejsze pienie narodowego powstania! Życie nasze jest poezją. Zgiełk oręży i huk dział ten będzie odtąd nasz rytm i ta melodja.

Nie literatura polska, ale polski kraj szeroki, bujny z wszystkim ludem swoim, z łąkami i stepami, taki jaki był przed wiekiem niechaj nas przedewszystkiém zajmuje. Nie wielu znajdę czytelników, — cieszę się z tego. Ogłosiłem przed rewolucją wydanie niniejszego dziełka. W pisaniu rozszerzyło się nad zamiar autora, tak, że dwa tomy całość składać mają. Bóg wie kiedy wyjdzie tom

drugi. Z drzeniem w sercu, drżącą ręką kreśliłem ostatnią stronicę tego pierwszego tomu na dni kilka przed 29. Listopada. Były to chwile niepewności, niebezpieczeństwa, okowy brzęczały w słuchu moim, samotność, więzienie jak mgła szerzyło się w duszy mojej; niebo to wszystko na lepsze odmieniło! — Skończywszy pierwszą część, wszystkie exemplarze mego pisma na to skazuję, żeby butwiały w księgarniach, póki nie odzyskamy bytu politycznego.

Pisałem w Warszawie dnia 14. Grudnia 1830.

*Maurycy Mochacki.*

Dowiedziałam się później od niego, że postanowił naumyślnie zwlekać wybuch rewolucyjny, aż póki nie dokończy swego dzieła. Tak dalece obawiał się, aby na później odkładając dokończenie, nie znalazł przeszkód nieprzełamanych do wyjścia onego. Gdy go więc zastałam przy ukończeniu, zajęty był ową wielką myślą, że już tylko o dni kilka od rewolucyi i wtenczas to ze łzami w oczach nakreślił pierwsze linie tej przedmowy, którą później dokończył, już po rozpoczęciu owej wielkiej sprawy narodowej. Całował mnie Maurycy i rozrzewniał się; musiał zapewne żegnać mnie w tém rozczuleniu, czego się nie domyślałam. Winszowałam mu skończenia pisma od którego zawisło pierwsze jego wystąpienie na świat literacki i prawdziwy honor pisania; które to powołanie, jak miał, było jego żywiołem; w rzeczy samej pisywał rozmaite artykuły do gazet co mu przychodziło z łatwością. Pamiętam, razu pewnego napisał w gazecie pochwały dla naszego skrzypka Lipińskiego, a raczej zrobił rozbiór doskonałości gry jego na skrzypcach w koncertach; trzeba było dziwić się rozwinięciu w opisie tej doskonałości melodji i muzyki. Słyszałam mówiących znawców, że niewiedzieć, która sztuka jest doskonalszą czy wycechowanie na skrzypcach Lipińskiego muzyka? czyli téż wystowienie się Maurycyego malownicze, brzmiące, pełne nowych wyrażeń, przejmujące duszę? Ja sama natenczas zdumiałam się po raz pierwszy i ledwo wierzyć mogłam, że to arcydziełko jest pismem od niechcenia, lekkim rzutem pióra mojego syna.

Do wszystkich zalet pióra Maurycyego łączyła się nieporównana łatwość. Pisał szybko i od razu jak napisał tak drukował. Zdawało się jednak, że i całe ćwiartki nawet i arkusze przemazywał,

a kiedy mu znajomi wyrzucali, że przez to robi szkodę, odpowiadał; „Nigdy człowiek tego nie żałował co zmazał.“

Nakoniec nadeszła owa stanowcza, ale straszna chwila to jest: dzień 29. Listopada, Maurycy z przekonania, nie z szału poświęca powinnościom życie własne i los swoich rodziców, tłumi w sobie żal, trwogę, widzi niedoskonałość w układzie tego wielkiego dzieła, passuje się sam ze sobą, lecz nie ustępuje kroku; hazarduje wszystko, bo takie miał przekonanie o powinności służenia ojczyźnie i ratowania, którą nad wszystko przekładał. Rano wyszedł z domu ledwo się na mnie pojrzał, i nie było go przez dzień cały. Mówił mi potem jego przyjaciel Anastazy Dunin, że gdy się dowiedział, iż z 18. oficerów gwardyi strzelców konnych spiskowych cofnęło się 16. i tylko 2. pozostało przy spisku, na którąto broń najwięcej rachowano, tak się był zmartwił, że chciał się zastrzelić z rozpaczy, lecz Dunin zmusił go do wypicia szklanki wina starego aby go upoić dla zabicia czasu do wieczora, co się téż i udało. Obudzony Maurycy strasznie wymyślał na Dunina za ten podstęp lecz nie było czasu; o godzinie siódmej wieczorem poszedł ze związkowymi: Duninem, Kormańskim i siedmiu innymi na stare miasto gdzie rozpoczęli ową sprawę głośno przy bębnoch, a potem z ludem, który się przyłączył w momencie, poszli rozbić arsenał i broń zabrać.

Co się ze mną działo, matką trzech synów wplątanych w rewolucją?... O Boże! co za hałas, co za krzyk, bębny, pochodnie, całe ulice w ogniach, strzelają, arsenał zdobyty, cały lud uzbrojony. Dzieci moje! każdy strzał w sercu matki się odezwał; cóż o tém pisać! biegamy od okna do drzwi, od drzwi do kątów, po schodach, po galeryi słuchamy; ludzie wchodzą, wychodzą, nowiny straszne, szybkie jak błyskawica; dzieci moje! ja tylko o was myśleć mogłam. O północy wchodzi Maurycy z Duninem, twarz wypogodzona, pałasz w ręku; uśmiecha się jakby ciężar jaki zrzucił z siebie, rzuca się na kanapę i oddycha. Zbiegliśmy się wszyscy, opowiadają nam, że interesa dobrze idą, że generałowie, którzy poginęli to z własnej winy, niedługo wyszedł Maurycy, bo mówił mnie, że się niegodzi téj nocy w domu siedzieć, kiedy wszyscy skupieni są i działają... Ach Boże! to jeden syn mój, ale gdzież drugi i trzeci? nazajutrz dopiero o godzinie 8. z rana opowiada Dunin, że Kamila zostawił zdrowego przy armatach, aż tu niedługo i Kamil wchodzi w największym nieładzie, mundurek stary bo znajdując się rozebrany prawie na lekeji w szkole podchorążych, gdy na dane hasło wybiegł z koszar na ulicę nie było już czasu wracać się po ubranie; koszula rozpięta, wprawdzie zawi-

nięty płaszczem ale strasznie roztargany, twarzyczka jego zawsze miła, była niesłychanie blada, głos cichy, zmęczony; gdyż on był także wykonawcą planów przez siebie ułożonych, sam też o nich wiedział najlepiej. Zawołałam, kochany Kamilu! Jestem tu mamó, pozwól niech odetchnę... bo taką mam biedę z motłochem, podostawali sobie broni z arsenału i strzelają to w prawo to w lewo; obskoczyliśmy go, ja co prędzej podałam mu kieliszek wina, wypił, postawił karabin, „takżem zmarł, bom się nie miał czasu ubrać,“ pozapinał się, roztańił ręce, był szczęśliwy i swobodny. Po chwili cichym głosem, stojący znowu z karabinem w rękę, rozpowiedział nam ów sławny i cudowny swój pochód ze szkoły podchorążych aż do arsenału. To prawda, że szczególna odwaga, męstwo tych młodych podoficerów! Wkrótce też mój Kamil odszedł do wyznaczonej sobie powinności, zapewniwszy mnie, że Tymoleon z gwardyą grenadyerów w bezpiecznym stoi miejscu; przeto na ten raz zostałam spokojną o moich synów.

Dzień cały przeminął w największym nieładzie i niebezpieczeństwie, można się było spodziewać mordów strasznych, gdyby Carewicz chciał próbować wejść gwałtem do Warszawy napowrót; równie i na pijane pospólstwo z bronią w rękę nie wiele można było rachować, by noc spokojną zostawiło. Ja upadałam na siłach, uczułam się być osłabioną tak, że padłam na łóżko. Wieczorem o ósmiej wchodzi Kamil, ze zwykłą sobie roztropnością rzecze: dzisiejsza noc będzie trudniejsza, przyszedłem tu wartować moich kochanych rodziców, dano mi rozkaz pilnować żeby pijaki nie pozwalali sobie, ja też najprzód tu przyszedłem; i zaraz całą broń ponabijał i położył ją na stole, poszedł do piwnic wyszukać drzewa, zatarasował niemi drzwi, potem usiadł w nogach łóżka i prosił o zupełną spokojność. Leciwały godziny, pospólstwo strzelało na ulicy, chwilami tylko pokładano się u mnie, mówiono o wypadkach całodziennych, o nadziejach, o wojsku ściągającym się z prowincyi, o radzie administracyjnej, co postanowiła, jaką odezwę wydała, a z której nikt rozumnym być nie może; właśnie wszedł Maurycy gniewając się na radę administracyjną za ową pierwszą odezwę i na generała Chłópickiego, że się na nim zawiedli, ale, rzecze, jutro sam wydam odezwę, którą wstrząsę ich serca, ich mózgi, w tém postąpiwszy kilka kroków na środek improwizował z serca i z duszy bez namysłu mowę niby do narodu, lecz tak piękną, energiczną, pełną ognia, ale pisać jęj nie mógł, bośmy trzymali światło za parawanem z obawy, że pospólstwo strzelało z ulicy do okien na tych co w domu siedzieli. Dopiero ze dniem Maurycy

napisał tę oto odezwę pierwszą, lecz ona nie miała tej siły co pierwsza jego piękna improwizacja.

## Pierwsza odezwa do mieszkańców Warszawy

przez

*Maurycego Mochnackiego*

w dniu 2. Grudnia 1830. roku.

Za krew u obcych przelaną od ostatniego rozbioru Polski, za tułactwo i bezprzykładne poświęcenia, w nagrodę męstwa i cnoty walczących braci naszych, odzyskaliśmy na kongresie wiedeńskim tę część kraju, która się teraz nazywa królestwem Polskiem. Rodacy! Mianoż u nas w poszanowaniu te zaprzysiężone prawa i swobody? Nie. Od lat piętnastu przed naszymi oczyma, w obliczu narodu, codziennie prawie konstytucya gwałconą jest i nadwierzana w sposób przynoszący hańbę ludowi i tym, którzy go uciskali. Rozmnożyli się u nas wyniosli satrapowie świadomi intryg, stroiciele kabał, dalekim upominkiem na złe przywozili serca, mało statku mające. Mieliśmy słuźalców co nam rozkazywali; mieliśmy podszczuwaczów, którzy naród polski i cesarzowicza dla własnego zysku utrzymywali w rozdzieleniu wzajemnym i nienawiści; mieliśmy fakcyonistów i partyzantów na wysokich urzędach i w wojsku na pierwszych stopniach; mieliśmy szpiegów, którzy dobrą wiarę między uczciwymi Polakami i wzajemne zniszczyli zaufanie. Zapytajcie się stróżów potajemnych więzień, których pełno było w stolicy, a ci wam powiedzą, jacy ludzie cierpieli za swoje zdania i myśli w tymto kraju konstytucyjnym. Zapytajcie się młodzieży patryotów, a powiedzą wam, jakich dziwaństw i jak grubijańskiego przewodzenia azyatyckiej dumy na sobie doświadcza. Grosz publiczny marnowano i rozkradano; ścieśniano edukacją narodową; lud biedny uciśniony przywieść chciano ku ostatniej

ciemnocie zakazem myślenia, pisania i mówienia, a to, żeby o krzywdach swoich nie rozpamiętywał i skarg swoich nie rozwdził przed światem. Administracya ostatni krwawego potu zarobek wyciskała od obywatela i ról-  
nika. Pełno było nadużyć, wszędzie pełno sromoty i hań-  
by. Różne zanosiliśmy o to skargi do tronu, ale nigdy wysłuchanemi nie były. Nareszcie w ostatniej rozpaczcy nie mogąc tego wszystkiego przemódz na sobie, podnie-  
śliśmy oręż na dniu 29. Listopada 1830. roku w obronie praw i swobód naszych, dla pokazania tego przed całym światem, że chociaż ciemności obcą przemocą nie przy-  
szliśmy jeszcze ku temu spodleniu, żebyśmy krzywd na-  
szych i obelg nie znali, i dla położenia im tamy wszy-  
scy razem zginąć nie mieli odwagi. Ziomkowie! Bracia!  
Walczmy dla wolności myślenia i wyjawienia myśli na-  
szych; walczmy dla zachowania moralnego charakteru naszego, który spodlić i demoralizować w nas chciano!  
Walczmy dla usunięcia od rządu ludzi nieudolnych, za-  
przedanych; dla porażenia szpiegów, dla pociągnięcia do odpowiedzialności złodziejów, wezwawszy Boga, aby tej słusznej sprawie rozpaczającego narodu pobłogosławił.  
Walczmy nakoniec dla wspierania i utrzymania wojska naszego, które nam tak piękny przykład dało.

Napisawszy na prędce tę odezwę myślał Maurycy jakimby sposobem ją wydrukować, wiedział bowiem jakie napotka trudno-  
ści w każdej drukarni nawykłej do posłuszeństwa cenzurze. Tym-  
czasem trzeba było objaśnić rzecz ludowi i zdać niejako sprawę publiczności dla czego i co to się stało? zwłaszcza, że proklamacja dnia pierwszego po powstaniu wydana przez radę administracyjną, nie miała w sobie bynajmniej ducha powstania, owszem jako w imie-  
niu Mikołaja napisana bardziej do uległości zachęcała, niżli pod-  
nosiła ducha rewolucjonistów. Po krótkim namyśle o ważności swęj odezwy, biegnie Maurycy pomiędzy oficerów mówi im o co rzecz idzie, otaczają go i prowadzą do swego pułkownika Bogusławskiego, dowódcy 4. pułku liniowego. O co idzie rzecz? pyta pułkownik.

Oto napisałem odezwę do ludu, odpowiada śmiało Maurycy, i z determinacją, proszę pułkownika dać mi asystencją wojskową by ją drukować natychmiast. Oto jest, proszę czytać. A panu kto dał prawo takie rzeczy pisać i ogłaszać? i zmarszczył się okropnie zestarzałego systematu pułkownik, widząc co to znaczy. Na to Maurycy nie mając dłuższego czasu do tłumaczenia się, pokazuje pistolet i rzecze: „to są dzisiaj prawa ludzi kochających swój kraj.“ Wtem oficerowie obskoczyli pułkownika do koła, daj pułkownikowi rozkaz, bo inaczej być nie może. Ci panowie, jak widzę, dziś rządzą całym wojskiem. Bogusławski stulił uszy, wydał rozkaz, a Maurycy w drukarni znalazł posłusznych. Odezwa rozleciała się w momencie i odtąd każdy już wiedział, czego się miał trzymać.

Maurycy jednak rozpacział, gdy widział jak generał Chłopicki na którego całe wojsko rachowało, wyraźnie unikał, chował się. Gdy więc ktoś nadszedł oznajmując, że widział już generała Chłopickiego na koniu przed frontem wojska polskiego, którego dowództwo objął; natenczas Maurycy dostał z radości i z tej nagłej odmiany po raz pierwszy ataku opresyji serca, począł się śmiać konwulsyjnie, padł bez sił w miejscu gdzie stał i na przemian z okropnym śmiechem płakał. Tuliłam go, wodą oblewałam, dawano mu pić wodę, rękę wiązano, a ja umierałam ze strachu; Takie to ciosy ciągle mnie spotykały, a moja miłość macierzyńska tém mocniej wzrastała im bardziej poznawałam mego Maurycego. Wielka jego dusza często wynosiła go nad pomysły łatwiejsze do wykonania, rzucał się na wszelkie niebezpieczeństwa, nie lękał się śmierci bynajmniej jak gdyby już raz odważył swoje życie i ofiarował je dla miłości świętej, a mocniejszy nad wszystkie związki natury, to jest: dla miłości ojczyzny.

Nie zdołam opisać wszystkich operacji i narażeń się Maurycego; to wiem tylko z pewnością, że niewielu podobnych mu było a gdyby starsi posiadali taką energią, taką miłość ojczyzny, taką prawość serca i ducha, niezawodnie zdziwiona Europa musiałaby oddać sprawiedliwość, a car Mikołaj zostałby królem w dawnych granicach całej Polski bez najmniejszego swego uszczerbku.

Obrano Maurycego członkiem rady najwyższej wespół z drugimi, dla tego bo nie ufano radzie, nie ufano księciu Lubeckiemu. Wprawdzie Maurycy z wrokiem i przenikliwością sokoła był bardzo między nimi potrzebny, lecz postrzegł od razu, że ten nadzór na nic się nie przyda, zwłaszcza w tak młodym wieku nie czuł się na siłach poradzić wszystkiemu; niechęć więc robić zawodu patriotom, prędko postanowił obrać sobie inny punkt działalności, to jest głośny organ ogłaszania publicznie z mównicy prawd jak

rzeczy idą, ostrzegając od nieszczerości w działaniu generała Chłopickiego, który oburzył na siebie wojsko. Zginiesz Maurycy, zginiesz! wołali wojskowi obracając karabiny ku pierśm schodzącego z mownicy. Maurycy blady, milczący szedł dalej za interesami, które najlepiej rozumiał. Pewnego razu generał Chłopicki wpadł w niesłychaną passję po przemówieniu się z zuchwałym Krukowieckim. Dla czego generale Krukowiecki nie spełniłeś mego rozkazu, nie ściągnąłeś na godzinę z wojskiem, a przyszedłeś o dzień później? zawołał Chłopicki. Nie mogłem, odpowiada mu Krukowiecki, prędjéj stanąć, ale i pan generał sam nie stawileś się aż dnia trzeciego na czele pożądaném od wojska. Ta zuchwała odpowiedź Krukowieckiego wprawiła we wścieklą złość i tak z natury swój gwałtownego Chłopickiego mało apopleksyi nie dostał przez zburzenie krwi; drzwi roztrzaskał w passyi, wpadł w wielką słabość. Nieprzyjaciele Maurycego z téj okazji rozgłosili, że Maurycy na radzie administracyjnój dokuczył generałowi wyrzutami, które rozgłaszał publicznie, a że słabość generała stała się niebezpieczną, wojsko zatem tracąc dzielnego wodza poczęło szukać winowajcy. Akademicy, których równie Maurycy obraził (co niżej opiszę) z rozkazu swego dowódcy Szyrmy obstąpili nasz dom i poczęli go szukać w całym mieszkaniu plądrując wszystkie kąty, a wszędzie głosili: Maurycy, wielki winowajca przyjdzie pod sąd, zgubił wodza naczelnego swoją popędliwością. Tymczasem Maurycy na ulicy ostrzeżony, że go szukają, zamienił swój płaszcz z przyjacielem i dostał się na radę administracyjną, tam opowiedziawszy księciu Lubeckiemu o swoim niebezpieczeństwie, oddał się mu w opiekę; Lubecki musiał mu dać schronienie, ale nie zapomniał przymówić „jak niebezpieczno jest panie Mochnacki tak wysoko latać.“

Gdy generał Chłopicki postanowił osobą swoją naród oszukiwać, a rzeczywiście wraz z księciem Lubeckim zamyślał o układach z carem; tymczasem zaś dla powściągnięcia i utrzymania w spokojności zburzone umysły, szczególniej akademików, których było około dwóch tysięcy, a że najbardziej obawiał się téj dzielnej a porywczéj młodzieży, wziął ich więc jako guidów do swojego boku. Pochlebiał im Chłopicki, komendę nad nimi powierzył profesorowi Szyrmie; pozwalał, by cała ta zgraja otaczała go w pokojach, przedpokojach, sieniach i schodach, a czasem pomieścić się nie mogąc aż na ulicy kończyła się. Uboższym sprawiał mundur, niektórym nawet jeść kazał dawać. Razu pewnego Maurycy przechodząc koło mieszkania naczelnego wodza, widział próżnujących akademików, obtaczających, niewiedzieć dla czego, schody i wejścia do domu od ulicy, stanął i miał do nich mowę: „że ko-

ledzy bracia czas źle trwonią, że powinni raczej uczyć się mustry i prosić by ich do wojska zaciągnięto, a toby się uzdatnili do bliższego boju z nieprzyjacielem, nie zaś takie życie bezczynne prowadzić, krzywdząc młodzież dobrze myślącą, gdyż bez ogródki, mówię wam, że macie minę pieczeniarczy wodza naczelnego.“ Na to oburzyli się wszyscy akademicy, a że ich dowódzca pan Szyрма a nawet i sam naczelný wódz nie lubili Maurycego, zaczęła młodzież prześladować go; ztąd to wyszły zarzuty za owe pismo karmelickie i za cenzurę. Maurycy chciał osobiście rozmówić się z generałem Chłopickim, ale ten dumny z ciasnym pojęciem i wygasłą miłością ojczyzny człowiek, prowadzony chytrą Lubeckiego, dał sobie wprzód oszukać nim potrafił drugich oszukiwać. Nie życzył sobie by go oświecano w jego błędach, i chciał aby to co postanowili z Lubeckim poczytywano było za najzbawienniejsze dla kraju; utrudzał zatem widzenie się i unikał rozmów z patriotami, zasłaniał się Szyrmą i uwiedzioną młodzieżą akademicką. Słyszałam mówiących, że Lubecki przez swoich wpływał na aresztowanie Maurycego polecane Szyrmie. Maurycy miał naprzeciwno siebie tyle głosów, że przychodziło mu z największą trudnością wypełnianie obowiązków przez prawość nakazywanych. Razu pewnego stojąc w pokoiku moim przy oknie zobaczyłam tłumy ludzi, zgiełk straszny, a to wszystko dążyło wprost ulicą długą ku mieszkaniu naszemu w domu Paulinów na samym końcu ulicy położonemu, Maurycy rozebrany pisał coś szybko, patrz, mówię do niego, czego ci ludzie zbiegli się? Kochana mamó, rzece, oni tu prosto idą do nas, bardzo być może, że to po moją głowę, bo wiem, że są na mnie spiski. Ach dla Boga! Maurycy schroń się, zaklinam cię na miłość macierzyńską. Nie! dobra moja mamó, taki człowiek jak ja chować się nie powinien, owszem pierwszy wystąpić naprzeciwno niebezpieczeństwu. Ubrał się więc co prędzej wziął mnie za rękę i zaprowadził do salonu z zimną krwią, usiadł spokojnie oczekując owęj rzeszy, ale tak był błydy jak chusta. Na ten raz zgraja minęła dom nasz, a Maurycy śmiał się sam ze siebie, że tak solenną minę przybrał.

Niedługo potem, nie wiem w jakiej intencji, ale niezawodnie nieprzychylnéj dla Maurycego, ksiązę Adam Czartoryski i marszałek Ostrowski wyrobiwszy Maurycemu patent na oficera od naczelnego wodza, wyprowadzić go postanowili na Wołyń dla zanieśienia tam iskień powstania, ponapisywali mu listy wierzytelne z najpochlebniejszymi świadectwami, było tam: „wierzcie temu młodemu człowiekowi jak ewangielii, wierzcie jak nam samym i wykonajcie co doradzi.“ Przybiega mój Maurycy z owemi listami

i pieniędzmi na drogę: „jadę kochana mamó dopełnić najświętszego obowiązku mojego; wezwać braci naszych może dotąd śpiących, lecz wiem, że to dzieło połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem, jednakże chlubię się z tego i dam sobie radę. Dobra mamó! niech ja mam z łaski mamy na tę drogę jakiego pocziwego sługę, któryby o mnie miał staranie, jadę z Duninem Nastusiem Wołyniakiem, który mi drogę pokaże, a służący będzie trzeci z nami.“ W dni kilka byłam jeszcze śpiąca, kiedy mój kochany Maurycy ubrany w mundur stanął przedemną: już cię żegnaj najlepsza mamó, jadę na Wołyń, każą mnie się spieszyć; ale co za śliczny list dał mi do swoich znajomych kochany Ostrowski, lecz adju, adju kochana mamó; uściskał moje nogi, spieszę się jeszcze do Papy, i służącego nie biorę bo dyktator na ten koszt mojej podróży przyłączył jakiegoś akademika by tą okazją dostał się na Wołyń. Żle mi będzie i bardzo źle bez służącego lecz co robić? i zniknął. Ja biedna matka zapłakałam, nie wiedziałam podówczas, że to były łyzy stanowcze, zapowiadające, że już syna mojego nigdy więcej nie zobaczę. W istocie niedługo potem wyjechałam z Warszawy, Maurycy zaś powrócił już po moim odejździe, mocno się ucieszył, że mnie sądził być daleko od wszelkich ówczesnych niebezpieczeństw. Rozповідаł o rozmaitych przygodach swojej podróży, z przyczyny owęj missyi od rządu, niby tak zaszczytnęj dla niego, a to było najpodobnięj, ukartowana chęć pozbycia się niewygodnego jasnowidza. Naprzód, ów akademik razem posłany przyznał się w drodze, że był śpiegiem dyktatora na czyny Maurycego; powtóre, gdy Maurycy w Lublinie szerzył publicznie swoje prawdy i dodawał zachęty, publiczność oburzyła się w traktyerni, porwano się na Maurycego, wnet powstały dwie partje przeciwnie, za i przeciw niemu; z pomiędzy wrzawy wysliznął się szczęśliwie. Trzecia przygoda była najgorsza. Maurycy, nie wiem dla czego, oddał swoje listy wierzytelne komu innemu, sam zaś zatknąwszy chorągwie wolności na granicy, powrócił do Warszawy. Wkrótce Moskale przytrzymali owego nieboraka z listami i powiesili. Miało to podobieństwo jak gdyby taki sam los dla Maurycego był przygotowany, lecz Opatrzność Boska strzegła go, pełniąc może wyroki ukarania na kim innym.

Po powrocie Maurycego do Warszawy zatrudnieniem jego było ciągle działać z największém poświęceniem się dla sprawy publicznej, jako mówca miewał mowy publicznie, jako zdolny pisarz pisał śmiało artykuły, które zebrane razem wydane są w jednym tomie, pod tytułem: *Pisma rozmaite Maurycego Mochnackiego*. Otrzymał

Niedługo, gdy Moskale wtargnęli do kraju, Maurycy zaniechał swarów, rzuca pióro, bierze karabin do ręki i mundur na siebie, jako prosty grenadyer stawa w szeregu przy bracie swoim Kamilu, poruczniku podówczas w czwartym pułku strzelców pieszych, powtarzając z uśmiechem: „idę się bić z nieprzyjacielem, lecz to nie sekret, że prochu nie cierpię, wyraźny mam wstręt do niego.“

Ja byłam w Surowie u kuzyna mego Łosia, gdy mi przyniesiono gazetę, w której był długi artykuł: jako „Maurycy Mochnacki najpierwszy rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie, młody ten człowiek pełen zaślóg dowodzi, że nie tylko piórem i głową służyć umiał ojczyźnie, lecz na pierwszą potrzebę broni, nie zważając na małość praktyki w tej sztuce, rzucił się w niebezpieczeństwo dla przykładu z niesłychaną determinacją. Cześć temu młodzieńcowi niech będzie!“

Oblałam łzami radości tę gazetkę, chowam ją na pamiątkę u siebie. W batalii pod Wawrem dnia 19. Lutego, Maurycy po raz pierwszy był raniony w nogę i długo na placu bitwy leżał. Kamil również raniony, ale w rękę, spostrzegł wieczorem, że koło niego nie ma brata jak zwykle, a szukając go na pobojowisku, pomimo bolesnej swojej rany, natrafił szczęśliwie już zmrokiem na leżącego pomiędzy zabitymi. Dopomógł mu jedną ręką do powstania z ziemi, dał ratunek i pomalutku powlekli się oba ku domowi na Pragę do Warszawy. Tymczasem doszła już była wieść do Warszawy do stroskanego ojca, że oba synowie ranni; szedł więc na Pragę, szukał dzieci swoich od wozu do wozu pomiędzy ranionymi i wrócił do domu zdesperowany, bo nie się o nich dowiedzieć nie mógł. Chodzi po pokoju pełen rozpacz z siostrą moją Zofią, która jakby anioł opiekuńczy czuwała z nadprzyrodzoną siłą moralną we wszystkich naszych nieszczęściach, by najpierwsza mogła nieść pomoc, ukrywając czułość swoją wrodzoną. Około godziny 10. wieczorem drzwi się pomaleńku otwierają, wsuwają się dwaj bracia ranni, wsparty jeden na drugim, Maurycy na Kamilu. Ojciec przyjmuje obudwu w swoje objęcie; już się śmieją, byli szczęśliwi z ran odniesionych, że przynajmniej pozostali przy życiu i że dziś jeszcze mogli zaspokoić ojca, który natychmiast odwiózł ich do lazaretu. Przedemną nieszczęsną długo ukrywano gazetę oznajmującą o odniesieniu rany przez Kamila i dopiero gdy już oba byli zdrowi, doniesiono mi o tém. Wkrótce po wyjściu z lazaretu Kamil powtórnie był ranny: nowa zgryzota! lecz owego czasu dni wszystkie, co mówię, godziny wszystkie, tak we dnie jak i w nocy niosły na przemian dla mnie nowiny gorsze jedne o drugich. Życie moje było

ciągnęła katuszą i wieczną obawą o życie męża i trzech synów moich. Tu na granicy, gdzie byłam, trudność dostania się do Galicyi pod jakiś przecież dach przyjacielski; tu na granicy nieszczęśliwej Polski, ciągnęła obawa napadnięcia przez nieprzyjaciół; tu się snują kózki w bliskości; tu cholera grasuje i sprząta tysiące ofiar; niewygoda, szczury nakoniec w nieprzepłoszonej liczbie, zagnieżdzone na folwarku, w którym zajmowałam mieszkanie w alkierzyku, bo tam było więcej gości; tu niepomyślne nowiny z Warszawy od wojska; wodzowie zamiast walczenia, wdają się w układy z przemożnym panem. W takim położeniu rzeczy doczekałam się listu od męża z Warszawy, który mi donosi o bitwie pod Ostrołęką i o najniebezpieczniejszem ranieniu Maurycego, że dostał kulą, która przeznawszy się bokiem, nadwerczyła całą jego istotę, i znowu taż sama kula wpiła się pod pachę i przeszła ramię: jak nieopatrzony leżał długi czas bez życia; jak krew z płaszcza lała się; jak kula ze suknem była wtłoczona i z niem razem z ciała wyjęta;\*) i wszystkie dalsze okropności. Na tę wiadomość padłam bez duszy w ogrodzie, gdzie się schowałam; bo taki miałam zwyczaj; by mię nikt nie widział, gdy listy jakie czytałam; po cóż bowiem robić widowiska z siebie, a byłam już w Dobrusznie u pocziwój Urbańskiej. Przyszedszy do siebie czytałam dalej i zostałam pocieszoną: że Maurycy zdrów będzie; że gorączki nie ma; że rany się goją; że ciotka Zosia i ojciec zawsze są przy nim w lazarecie; że ma wszelkie wygody, zaniesiono mu nawet moje łóżko.

Oto taki to był koniec wojskowej karyery Maurycego; ozdobiony został krzyżem złotym wojskowym: *virtuti militari*, i zamknął usta wszystkim oszczercom.

Następujący kawałek wyjęty z jednej gazety, którą noszę w pugilaresie, przytaczam tu dosłownie:

#### Maurycy i Kamil Mochnacki.

„Dzienniki doniosły, że Maurycy i Kamil, bracia Mochnaccy, ranieni przybyli do Warszawy; lecz dzienniki

\*) Rana Maurycego Mochnackiego, otrzymana pod Ostrołęką, była szczególna i osobliwsza. Jedną kulą karabinową, zapewne ze sztuceła, aż pięć ran czyli dziur od razu w ciele zrobiła. Uderzyła z boku z ukosa z prawej strony, w sam środek pleców, pod kość paclerzową, rekoszowała, to jest odskoczyła od kości i wpiła się z drugiej strony stosu paclerzowego, tuż przy kości, przeszła popod żebrami, wyleciała bokiem pod pachę i nakoniec przeszła lewe ramię, gdzie z drugiej strony wyrznięta była, ale szczęściem nie uszkodziła kości. Wiadomość ta pochodzi od naocznego świadka, bo od lekarza ze szpitalu wojskowego oficerskiego w szkole aplikacyjnej, który opatrywał Maurycego i doglądał go przez ciąg jego choroby.

nie doniosły, że ci sami szlachetni obywatele dnia 19. Lutego również ponieśli blizny za wolność, za niepodległość. Dzienniki nie doniosły, że Kamila Mochnackiego już trzecia ozdobiła rana. Ludzie płochy czyli zły woli zarzucali braciom Mochnackim, a szczególnie Maurycemu, że zamiast walczyć, rozumieją, że mają dwuznaczny patryotyzm. Czemże odpowiadali swoim szkalownikom, swoim oszczercom? — Milczeniem. — Czém dziś zawstydzają? — Uczciwymi bliznami, poniesionymi w sprawie ojczyzny, a może i piękną śmiercią?

„Cóż czynią oczerniciele? Siedzieli spokojnie, i kiedy im zabrakło jednych, sięgali drugich złośliwymi potwarzami. — Sądziliśmy że po wypędzeniu Moskali znikną doniesienia, znikną potwarze, miotane na ziomek i na cnotę; lecz są potwarcy, są doniesienia; jest ten sam handel na cnotę.

„Przykład braci Mochnackich jest piękny; milczeli na wszystkie potwarze. Odwagi swój, nienawiści wrogów, patryotyzmu, dowiedli niewątpliwymi oznakami, walczyli, odnieśli blizny, są dekorowani krzyżami złotymi. Najpiękniejszym przymiotem człowieka jest, na złość i nienawiść odpowiadać nowymi zasługami, nowym cierpieniem i niczém niezachwianą miłością ojczyzny.“

Już nakoniec po bitwie pod Ostrołęką, gdzie tak ciężko raniony był Maurycy, przestano mu robić w pismach zarzuty i przekonano się powszechnie o jego zupełnym poświęceniu się na drodze najniebezpieczniejszej, na drodze krwawego boju. Odtąd Maurycy już niezdatny bić się za ojczyznę, chciał ję wszelkimi innymi sposobami pomagać do wydobycia się z gruzów. Co działał i pisał znajduje się drukowane w zbiorze pism jego porewolucyjnych. Nakoniec listy jego tu załączone do rodziców dowodzą, że jeszcze i we Francyi, oddając się jedynie opisaniu prawdy, dla pożytku narodu w przyszłość, dla odsłonięcia pozatajanych figurantów, dzia-

łających przeciwnie dobrej sprawie, a udających że tak być musiało, że tak nieszczęście zrządziło, gdy przeciwnie jasną jest rzeczą, że krajowi ani nie brakło na rękach, ani na pieniądzach, ani na mężnych i zdatnych wojownikach; lecz brakło na głowach u steru rządu, na sumieniu i na wielkości duszy.

Gdy więc za granicą jeszcze wzburzone rozmaite stronnictwa rozpoczęły na nowo prześladować Maurycego, gdy z listów jego pokazuje się, że on dla wydania swego dzieła niepodobne rzeczy siłą swą moralną, całym ogniem swój duszy, swego jestestwa popierać musiał. Gdy po rozebraniu ciała po śmierci jego doktorowie znaleźli, że były zniszczone organa jego życia, wytrawione, pomimo młodego wieku, i tak jak u starca już zużyte. Zkądże to pochodziło? Zdrowie Maurycego dobre, budowa najdoskonalsza bez żadnego defektu, życie bardzo skromne, bo ani złych nałogów nie miał, ani miał czas i sposobność nabrania ich, ani z natury swój do nich się poczuwał. Prowadzenie się jego zaraz od pierwszej młodości było wzorowe; lecz ogień geniuszu owe siły moralne przez wielkie zgryzoty od młodości, od pierwszego uwięzienia go w Belwederze, następnie wysilenie się w rewolucyi, dalej upadek kraju, upadek domu naszego, a na końcu najboleśniejsza choroba i śmierć oddalonego Kamila, ukochanego brata, to mu sprawiło wyczerpanie i zużycie sił, enerwacją, i ta była przyczyna śmierci Maurycego, męczennika politycznego. Załączam tu dwa artykuły, wyjaśniające jego kłopoty i najprzykrzejsze pożycie.

### List Maurycego Mochnackiego do Michała Hubego, Referendarza Stanu.

Paryż, 18. Sierpnia 1832.

W ciekawém dziele, które Pan ogłosił w języku niemieckim, pod tytułem: „Russisches Schreckens- und Verfolgungs-System“, wyczytuję na stronnicy 226. wyrazy następujące:

„Co do papierów znalezionych w archiwum W. Xięcia, nie mogę zamilczyć o projekcie, pisanim przez młodego Polaka, prześladowanego od despotyzmu moskiewskiego w więzieniu u Karmelitów, podczas indagacyi komitetu śledczego Nowosielcowa; tudzież o liście, który inny prześladowany pisał do W. Xięcia. — Projekt ten,

którego autor, hołdując obskurantyzmowi, zalecał nadać stosowny do tego kierunek edukacji młodzieży, tak dalece podobał się W. Xięciu, że go natychmiast królowi pruskiemu komunikować rozkazał, co też rzeczywiście uskuteczniłone zostało.

„Dowodzi ta okoliczność, że absolutne rządy moskiewski i pruski, poprzysięgały sobie dołożyć wszelkich starań dla stłumienia rozszerzającej się w Europie cywilizacji.

„Co się zaś tyczy wyżej wzmiankowanego listu, który zaraz po uwolnieniu swoim przed sąd sejmowy, ów inny prześladowany do W. Xięcia napisał, autor jego popadł w ciężkie podejrzenie obietnicą dania tyranowi materyalnych dowodów swojej dla niego usłużności, byle mu nadal wzgląd życzliwy zapewnił.

„Oczekuję od obydwóch wyjaśnienia téj rzeczy, a tymczasem nazwiska ich pokrywam milczeniem. Uczynić to już nakazuje ich własny honor i zkaźnąd niepokalana reputacja; albowiem w przeciwnym razie możnaby im zarzut zrobić, iż ich prześladowania były tylko pozorne i wynikało z planu, o którym na stronicy 113. wspomniałem.

„Komitet rozpoznawczy (utworzony po dniu 29. Listopada) uznał obydwóch za niezdolnych do sprawowania urzędów publicznych w Polsce.“

Te są twoje własne wyrazy, zacny autorze, a na stronie 113. dajesz do zrozumienia, że despotyzm moskiewski umyślnie i pozornie tylko pewne namówione prześladował indywidua, żeby po uwolnieniu swoim z więzienia, udając męczenników, ciągnęli łatwowiernych w samolówkę mniemanego patriotyzmu, który był tylko sztucznym rodzajem szpiegostwa.

Kilka dni temu oznajmiłeś mi Pan, iż to do mnie ściągają się wyżej przytoczone wyrazy, i że, jeżeli nie pospieszę z wyjaśnieniem więzienia mego u Karmelitów,

ogłosisz w następnych częściach pisma swego nazwisko moje i umieścisz mnie na liście osób, ulegających zarzutowi wspomnianemu na stronie 113.

Długo w tej materii milczałem, bo czułem wstępi i dziś jeszcze nieprzełamany do rozpisywania się o sobie samym. Nie odpowiadałem na zarzuty tego rodzaju w Polsce; nie chciałem bowiem, ażeby rozumiano, iż wyżej niżeli zasługują cenię je. Za granicą ulotne broszury, noszące na sobie wyraźną cechę paszkwilu, artykuły w gazetach niemieckich i pismo Szpazyra, równie jak pokątne usilnie rozsiewane plotki, napróżno mnie pociągnąć starały się w rozprawę z ludźmi, których za sędziów moich nie uznaję, o których złe czy dobre o mnie mniemanie wcale nie dbam. I teraz nierozumięj Pan, że mnie ton niejako urzędowy, który się przebija w wyrazach tu przytoczonych jego dzieła, z pogrózką zastosowania zarzutu na karcie 113. do napisania tego listu skłonił. Nie jestem jeszcze, chwała Bogu, delinkwentem. Wnioski z tego względu Komitetu, którego Pan byłś prezesem, ani mnie poruszyły, ani zatrważają. Komitet, jak Pan piszesz, uznał mnie za niezdolnego do sprawowania publicznych urzędów w Polsce. Ja uznaję Komitet za niewłaściwy trybunał w tej mierze, a jeśli wrócimy do Polski całej i niepodległej z bronią w rękę, to wtenczas założę apellacyą od zapadłego wyroku do wyższej instancyi.

Jeżeli tedy piszę, bądź Pan przekonany, że to bardziej czynię przez szacunek osobisty dla niego, niżeli w zamiarze wywiedzenia z błędnej, a niebardzo pochlebnej dla mnie opinii osób, dla których żadnego nie mam szacunku. Nie spowiadam się tu moim nieprzyjaciółom politycznym z grzechu, którego nie popełniłem, ale tylko rzecz wyjaśnię autorowi pisma, dotyczącego sprawy narodowej. Nie jest to tłumaczenie się, *qui s'excuse s'accuse*, mówią Francuzi, nie jest usprawiedliwienie, bo

nie poczuwam się do żadnej winy; jest to tylko po prostu wiadomość, z której Pan w drugim tomie swego dzieła możesz, jeżeli mu się tak będzie zdawało, zrobić stosowny użytek.

Lecz przystępuję do rzeczy. — Jako członek tajnego politycznego związku, którego celem była Polska cała i niepodległa, dostałem się był 1822 czy 1823, bo już tego dobrze nie pamiętam, razem z innymi członkami tego związku do więzienia Stanu. Trzy tygodnie minęło, nim mnie wezwano do indagacyi. Czytałeś Pan bezwątpienia akta kommissyi śledczej, azatém przyznasz, że ten szczegół jest prawdziwy. Prezesem komitetu był generał Kozłakoff, członkami: Stankiewicz, Podoski, Fałęcki, Superson i stary radzca Stanu, który jak się nazywał nie pamiętam. Całą operacyą kierował Nowosieltcow. Stan zeznań wszystkich niemal więźniów Stanu, kolegów moich, których w ciągu tych trzech tygodni, nim kolej na mnie przyszła, wysłuchano, był taki: 1. że było tajne towarzystwo pod tytułem Wolnych Braci Polaków; 2. że członkami towarzystwa są ci po nazwisku wymienieni, i wyliczono prawie wszystkich; nakoniec 3. co do mnie samego, że przyjęty zostałem do grona „Wolnych Braci Polaków“ szczególniej na zasadzie biegającej o mnie w tém tajnym towarzystwie pogłoski, jakobym należał do innych tajnych związków, któreby za obrębem jego działały; tudzież jakobym sam miał być twórcą jednego takiego związku, złożonego z uczniów klasy szóstej Liceum warszawskiego uniwersytetu. Pokazał mi Stankiewicz rezultat tego śledztwa, opatrzony podpisami moich kolegów, moich przyjaciół. Znalazłem się w krytycznym i niebezpiecznym położeniu. Tego co inni zeznali, co już miało na sobie charakter oczywistości, ani odwołać, ani osłabić nie mogłem. Zwykle więźniowie Stanu jedni o drugich to prawią, co wszystkich razem kompromituje. Chytry komitet Nowosieltcowa jedno ze-

znanie, Bóg wie jakimi wyludzone środkami, uważał za najlepszy sposób zyskania, a często wymuszenia następnych. W takim systemacie śledztwo zastosowane do umysłów młodych i niewdróżonych w szalbierstwo przebiegłego jurysty, umięjącego na pamięć jak pacierze wszystkie fortele i wykręty prawne, znającego jak Stankiewicz wszystkie kruczki moskiewskie, umięjącego korzystać z każdej chwili słabości, albo zawrotu, albo roz-targnienia, a częstokroć bojaźni (bo terroryzm niepospolitą grał rolę w klasztorze OO. Karmelitów). W takim, mówię, dedalowym labiryncie złej wiary i podejść ze strony inkwizytorów, nie wyszeptać, nie wykrztusić szczerą prawdę, było rzeczą prawie niepodobną; a zatem co do pierwszego punktu przyznałem, że był związek Wolnych Braci Polaków, ale pomimo całej przewrotności Stankiewicza, pomimo wszystkich jego usiłowań, stale do ostatka zaprzeczałem, że celem tego związku była rewolucya w sprawie politycznej niepodległości narodu polskiego. Nie wygrożono na mnie tego zeznania. Statecznie twierdziłem, że celem związku była tylko narodowość. Tą narodowością przez cały miesiąc bałamucilem kommissyą, która przez ten czas pół funtem chleba i kwartą wody dzienną żywności, nadaremnie starała się wytargować u mnie ściślejszą precyzją definicyi tego wyrazu. Jeżeli Pan z uwagą roztrząsałeś akta moje u Karmelitów, powiedz nieżyczliwym mnie osobom, czy jakiegokolwiek inne zeznanie moje pod tym względem stan rzeczy pogorszyło w opinii inkwizytorów? Co do drugiego punktu tych tylko wymieniłem członków, którzy razem zemną byli uwięzieni, którzy sami do wszystkiego się przyznali przed otwarciem mojego protokołu.

Tu się pana zapytuję jako prezesa komitetu do przeglądania podobnych papierów, czy kogokolwiek bądź z mojego zeznania aresztowano? Czy która matka, siostra, żona z mojego wielomówstwa opłakiwać musiała syna,

brata albo męża? Czy którejkolwiek rodziny spokojność zakłóciłem? Powiedz to, bo na tém bardzo wiele zależy. Mnie z daleka z głębi Litwy głos jednego z wtajemniczonych w to towarzystwo do więzienia wtrącił, ale nie miałem żalu do niego, bo z musu mówił. Ponieważ tedy nie byłem ani donosicielem, ani oskarzycielem, ponieważ żadnem słówkiem nieostrożnie wyrzeczonem nie powiększyłem liczby ofiar, ponieważ, krótko mówiąc, nie zdradziłem jak panu wiadomo nikogo w téj sprawie, musiałem więc z takimi ludźmi jak Stankiewicz, Nowosilcow, Załęcki, których pan znasz, bardzo przezornie postępować. Nie dosyć było żadnemu z współbraci moich związkowych nie zaszkodzić, trzeba było jeszcze samego siebie uratować, i bardzo wielu jeszcze innych, o których Nowosilcow nie wiedział. Żeby tego dokazać, trzeba było zyskać wiarę u Stankiewicza. A żeby u niego zyskać wiarę, trzeba go było przekonać, że w to co pierwój wierzyłem nie wierzę, że tego co pierwój miałem za święte i godne poważania nie poważam. Trzeci ów punkt tyła poparty zeznaniami: „że należałem do innych związków; że jednego sam byłem założycielem.“ Ten trzeci punkt wznecający takie podejrzenie, rokujący gdyby został objaśniony tak obfite żniwo Nowosielcowowi i Stankiewiczowi, otwierający im nowe pole do nowych śledstw, do nowych uwień, ten punkt, mówię, zaczął być dla mnie straszny. Odmienił w rzeczy samę całą rolę moją u Karmelitów. Z więźnia powołanego obcemi zeznaniami z ofiary cudzej szczebiotliwości, musiałbym sam zostać delatorem wypadków nieznanych jeszcze rządowi i sprawcą mnogich nieszczęść tylu rodzin. Co pan na to powiesz? Miałem wtenczas lat ośmnaście. Czyż godziło mi się ten wiek tak młody, tak niewinny, czarnym i krwawym piętnować znakiem, którego by nic nigdy potem nie starło, którego by rysy w siwiźnie, ku schyłkowi starości, tylko coraz bardziej się zaczerniały?

Do tego nie miałem odwagi. Niechaj co chcą mówią o mnie moi przeciwnicy, nie zdołają mnie jednak odsądzić od tytułu jednego z najstarszych konspirantów w Polsce kongresowej. Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojej młodości. Myśl, że prędkiej czy później Moskwę z jej petersburskimi carami zapędzimy w stepy azyatyckie, była jedyną poezią mego życia. Z tą wiarą się urodziłem, w tych pryncypiach byłem wychowany; innego przekonania politycznego nie mam. Zaczynałem rok piętnasty mego życia, kiedym po raz pierwszy przysięgał przed zamaskowanymi mistrzami, umrzeć dla téj prawdy. Nigdy mi nie wyszły z pamięci chwile, kiedym to ślubował w znak męki Zbawiciela, wyrytéj na szabli. W komnacie osłoniónej kirem, przy lampie, której drzące światelko ledwo migало z trupiéj czaszki: któż to odprawował te tajemnice, te prawdziwe eleuzyjskie misterye patriotyzmu w późnych nocnych godzinach? kto po księżycu w cieniach zapadłego zamczyska na wzgórzach dynasowskich ukrywał schadzki i zmowy? albo je nawet nieraz miewał w wilgotnych lochach tego gmachu? To byli studenci. I jaż to z owych koleżeńskich, małoletnich związków przyjęty do bractwa wolnych Polaków, rozleglejszego i dojrzałych w swoim zastępie liczącego mężów. Z tego bractwa osadzony we trzy lata później u Karmelitów, miałem wyszeptać przed Stankiewiczem te prawie dziecinne sprawy od początku do końca, i wikłać nietylko siebie samego, ale i drugich w śledztwo, któreby lat cztery, pięć a może i dłużej potrwało? Honor i sumienie nakazywały mi uspić podejrzenie wzniecone z tego względu w umyśle moich inkwizytorów. Jakiż był sposób wyparcia się tego wszystkiego? Jak przekonać Stankiewicza, że tak nie było? Stankiewicza, który ze skazówek, z pogłosek, z napomknien dorozumiewał się wiele rzeczy, a o wszystkiém chciał wiedzieć dokładnie? Powtarzam raz jeszcze, że

do tego celu tylko jedna droga prowadziła. Potrzeba było komisyją oszukać. Nieprzyjaciela albo mocą w niewecz obrócić, albo jeżeli to niepodobna, podejść w każdym czasie i miejscu, zdrowa polityka doradza. Ja się w ostatnim znajdowałem przypadku. Byłem w mocy najchytrzejszego z agentów Nowosielcowa. Chciałem także skrócić czas mojego więzienia, które się i tak do jedenastu miesięcy przeciągnęło. Wiadomo panu, jak się z nami obchodzono w tym klasztorze. Mnisza cela 4 do 5 łokci kwadratowych zawierająca, z oknem od dołu do góry kratą warownem i grubemi na zewnątrz zasutem deskami, tak zwanem pudełkiem wynalazku Roźnieckiego, gdzie dzień świta zimową porą o godzinie 10 z rana, a gruby zmrok zapada o drugiej po południu, gdzie potem przez 18 godzin doby nie dają ani książki ani światła. Otóż mieszkanie politycznych pustelników! Gdybym na jeden tylko miesiąc zamknął w takiej komórce kogokolwiek z członków komitetu, któremu pan przewodniczyłeś w rozpoznawaniu papierów karmelickich, ręczę, iżby przysiągł jak drugi Galileusz, że ziemia się nie rusza, jeśliby tego żądano. Wielu patryotów przed rewolucją, jako naprzykład szanowny sąsiad mój najstarszy karmelita Adolf Cichocki, lat kilka w takiej komnacie przesiedzieli. Życie ich upływało nakształt ciężkiego snu albo cienia, któremu wyszedłszy na świat zdawali się być podobniejsi niżeli ludzkiemu stworzeniu. Zaczny Adolf zaszczerpił był jednego razu krzewinę w ogrodzie, gdzie mu czasem z żołnierzem od warty używać przechadzki pozwalano, i doczekał się drzewa z téj delikatnej lato-rośli. Zapadłe policzki, cera twarzy żółta, śniada, jak robotnika ołowianych kopalni, chwiejąca się postawa, więźnia Karmelitów długo potem od innych odróżniały ludzi. Wielu za młodu przez czas niezbyt długi doczekało się schyłku lat męzkich na téj pokucie. Brzęk kłuczy, westchnienia za ścianą, modlitwa umierającego:

otóż muzyka klasztoru Karmelitów! W głuchej nocy przerażał czasem krzyk: „Strzeżcie się bracia, trują nas!“ Następowała potem cichość i słychać tylko było na dziedzińcu albo na kurytarzu turkot bębna, tłumiący kona-  
jącego przestrogę. Tak Zyc umierał pod numerem 12. Dostał jak mówią pomieszania zmysłów, w kilka godzin znaleziono go powieszzonego na haku od kraty. Kogoż to wynoszą po nocy cicho na marach przy latarni? mieszkańcy Leszna szepczą jeden drugiemu. To więzień Karmelitów! Kogoż to potem grzebią na rozstajnej drodze? Ofiarę Karmelitów!

Czy pan wchodziś w tę psychologiczną prawdę, że podobne sceny dziwne wrażenie sprawić mogą na młodych umysłach? W takim miejscu trzeba nieraz więcej odwagi, więcej rezygnacyi, niżeli na placu bitwy. Ja to mówię z doświadczenia.

Żeby się uwolnić, szczególnież atoli, żeby nie być przymuszonym do wyśpiewania całej historii poprzednich rzeczywiście mało ważnych związków, i nie mających nic wspólnego z towarzystwem Wolnych Braci Polaków, ale mogących komitetowi Nowośielcowa nastreścić sposobności do nowych śledztw, a Stankiewiczowi i jego pomocnikom wskazać perspektywę nowych zatrudnień, nowych nagród, przyjąłem był za zasadę, że tak powiem, polityki mojej u Karmelitów, udawać żałującego, poprawionego. To się bardzo komitetowi podobało. Powiedziałem i zapisałem to w protokule, jak pan zapewne postrzegłeś, że jeżeli wyjdę z więzienia zostanę księdzem. Nic bardziej jak to nie trafiało w myśl Stankiewicza. Łączył on w charakterze swoim obłudę świętoszka religijnego z fanatyzmem politycznym. Pochwalił mój zamiar, rzekł jednak: „Potrzeba, żebyś pierwój pracował w cenzurze Szaniawskiego. Pod sterem tego męża, mówił, odczujesz się wszelkich kacerstw politycznych i religijnych.“ Obiecałem być cenzorem, jakem obiecał, że

księdzem zostanę. Ztąd moje późniejsze stosunki z Kan-tem polskim. Coraz bardziej wypogodzało się czoło Stankiewicza; widocznie ostygła w inkwizytorskim ferworze. Systema obludy zdawało mi się być tak dalece potrzebne wtenczas, że mówiłem to co nigdy w myśli mojej nie powstało, i pisałem co tylko się Stankiewiczowi podobalo extra materiam, to jest, za obrębem sprawy, za którą byłem uwięziony, i związków dawniejszych, których ślad zatrzeć było głównem mojem usiłowaniem. Ile razy tej rzeczy dotknąć chciano, po tylekroć zbijałem trybunał Nowosielcowa z tropu teoryami mojego nawrócenia, które inkwizytorów mamili, a nikomu nie szkodziły, a mnie wywodziły z krytycznego położenia.

Najfałszywsze tedy maxymy polityczne, najprzewrotniejsze utopie, utopie, z których się w duchu śmiałem, zapełniają mój protokół od początku niemal do końca. W inną zupełnie sferę udało mi się przenieść rzecz śledztwa. Nie znajdziesz tam pan faktów; inkwizycya ustala; rozpoczęto długą dysputę. Nieraz całe sessye zbywałem teologiczno-politycznemi rozprawami, w których żadnego sensu nie było. Stankiewicz rządził samowładnie losem więźniów stanu. Tylu umorzył! Mnie mógł lat kilka, gdyby mu się podobalo, trzymać w więzieniu bez potrzeby. Ja sobie tego nie życzyłem. Nie chciałem być jak Łukasiński, Dobrogojski i inni męczennikiem związków, które się same rozbiły bez skutków. Obskurantyzm był à l'ordre du jour u Karmelitów, w Belwederze w komisji oświecenia. Czyż mi wypadało liberalnie rozmawiać z Stankiewiczem, pytam pana? Coby ztąd za pożytki wypłynęły dla polskiego liberalizmu?

Zostałem więc, bo mi trzeba było zostać obskurantem w klasztorze Karmelitów, księdzem, cenzorem. To tylko jedno i tym sposobem mogły się otworzyć dla mnie drzwi mojego więzienia. Tym tylko sposobem mogłem przekonać komisję, iż prawdę mówię, twierdząc, że moje

związki dawniejsze nie były polityczne, że nie zasługiwały na uwagę rządu. Uwierzono mi, dopiąłem więc zamierzonego celu. Co pan w dziele swoim nazywasz *projektem*, nie było nim rzeczywiście. Żadnego komisji śledczej nie podawałem *projektu*, ale odpowiadałem tylko na kwestye zawsze prawie polityczne, ogólne, które mi Stankiewicz rozstrzygać kazał protokularnie. Przyniósł już je z sobą ułożone najczęściej i zapisywał w aktach. Widać, że takie miał polecenie. Przytaczam dla wiadomości pana niektóre z tych zapytań. I tak naprzykład: „Co jest przyczyną tylu tajnych towarzystw w Polsce? Jak zapobiedz szerzeniu się ducha rewolucyjnego?“ i t. d. Jeżeli nie tak odpisywałem w tych przedmiotach, jak sobie życzyła komisya a raczej jak chciał Stankiewicz, wtenczas bez namysłu zmieniano protokół. Pismo, które pan nazywasz niewłaściwie *projektem*, trzy razy takiej zmianie podpadało. Czemuż komitet, któremu poruczono akta karmelickie, tych brulionów nie wynalazł? Byłby tam postrzegł rękę Nowosielcowa i Stankiewicza, ich uwagi, liczne poprawki i odmiany. Mnie tylko redakcyi starania zostawiono. Trzy razy musiałem przepisywać tę dziwną utopią absolutyzmu, trzy razy w coraz inszym kolorze wystawiać pomysły nie moje, i niejako stylizować tylko koncepta głowy takich serwilistów, jakeimi byli dla przypodobania się W. księcia Nowosielcow, Hankiewicz, Fałęcki. Jakkolwiek daleko w stosunkach moich z tym komitetem prawdziwych łotrów posunąłem był obłudę, wreszcie jakkolwiek zręcznie mogłem grać dla omylenia ich sądu rolę nawróconego, wyrzekającego się dawnych zasad; trudno mi jednak było osiągnąć w tym względzie kresu przez nich zamierzonego. Wspominasz pan w dziele swoim, że to pismo bardzo się podobało w. księciu i że je królowi pruskiemu komunikował. Ztąd wnosić można, jaką do tego wagę przywiązywano u Karmelitów. Hankiewicz miał manią prozelityzmu polity-

cznego, chciał przekonać w. księcia, że w jego szkole za jego staraniem więźnie stanu nabywają prawdziwego wyobrażenia o rzeczach. Przykładem tego miało być wyznanie mojej wiary politycznej. Ileż to razy on powtarzał: „że z przytrzymania u Karmelitów najzbawieniejsze skutki wynikają dla prawdziwej moralności, dla tronu i ołtarza.“ Niewątpliwie musiał mieć zamiar całe pokolenie młodzieży polskiej zreformować na takiej pokucie. Był to misyonarz absolutyzmu, apostoł poddaństwa.

Dodać tu powinienem uwagę, że najmniejsze z mojej strony przeciwienie się, opór w przyjmowaniu odmian proponowanych przez komisją, wznęcały do najwyższego stopnia w toku redakcyi tego pisma oburzenie Stankiewiczza. Groził mi nietylko przedłużeniem do niezmiernego czasu więzienia, ale nadto troskliwie zalecał mieć baczną uwagę na los mojej rodziny. Mój ojciec był osiadłym w Polsce kongresowej obywatelem, sprawował urząd. Wiadomo panu, jakie i od kogo w tej materii listy odbierałem w więzieniu za pośrednictwem komisji Nowosielcowa. W tej mierze powołuję się na świadectwo komitetu, którego pan byłeś prezesem.

Tymto w kształtem w skutku przyjętego przezemnie trybu postępowania z komisją Nowosielcowa, w duchu prawdziwego matactwa, którym jedynie z mocy ludzi zaprzędanych rządowi, z mocy urzędników wszystko podówczas mogących wyrwać się starałem, sporządzony został przez tę komisją, a przezemnie podpisany ów akt pamiętny, znany pod tytułem pisma u Karmelitów. Zaręczam panu, iż gdyby którykolwiek rząd poważał się wykonać szczególne pomysły tej kolosalnej parady despotyzmu, zostałyby wyrócony we dwudziestu czterech godzinach. Jeżeli, jak pan twierdzisz, w. książę posłał ten dar w ofierze gabinetowi berlińskiemu, żałuję bardzo, że pruska polityka nie przyjęła tego pisma za zasadę działań swoich. Jużby podobno dotychczas i rządu

pruskiego i Prus nie było na tym świecie. Śmiało to mówię. Bitwa jenejska mniej była niebezpieczna dla pruskiej monarchii, jak zamienienie w systema rządowej władzy tego państwa utopii, kreślonej w więzieniu pod wpływem terroryzmu moskiewskiego, poprawianej przez Nowosielcowa i Stankiewicza, pochwalanej przez w. księcia i Szaniawskiego.

Dzisiaj jeszcze trwam w tém przekonaniu, iż żadnemu despotycznemu rządowi pożyteczniej dla dobra ludzkości radzić nie można, jak to mu zalecać najusilniej, czemby natychmiast rozbity został. Nadużycia szkodziły wolności, podały w niesmak najpiękniejszy kształt politycznego porządku, rzeczpospolitę. Czemużby excesa nie miały także zgubić i na wieki osławić jedynowładztwa? Żadna instytucya nie ginie bez wewnętrznego zepsucia, każda sama się pierwój zepsuć musi nim upadnie. Umiarkowanie, łagodność, rozsądek podpierają, ustalają i na nie-szczęście popularyzują władzę nieograniczoną. Starać się, żeby z własnej wybiegła sfery, jest to, zdaniem mojem, do jój ruiny się przyłożyć.

Pod tym względem *utopia* podpisana przezemnie u Karmelitów, jeżeliby któremu ministrowi pruskiemu, austriackiemu albo moskiewskiemu podobało się zastósować do użytku praktycznego absolutnej władzy, przyniosłaby ważniejsze korzyści sprawie wolności i sprawie polskiej, niżeli najbujniejsze teorye liberalne.

Z tego wszystkiego pokazuje się: 1. że aktu, który pan projektem nazywasz a Szpazier planem, ja autorem nie jestem; 2. że go podpisać musiałem, bo to było ultimatum Nowosielcowa i *conditio sine qua non* mojego uwolnienia; nakoniec 3. że ten akt interesowi despotyzmu moskiewskiego i pruskiego nietylko żadnej nie przyniósł korzyści, ale w niweczby obrócił te obadwa rządy, gdyby jego zasady rozwinięto w systemacie władzy wy-

konawczój. Tak ogromna dozys politycznego nierozumu rozsądziłaby instytucją jedynowładztwa.

Te są objaśnienia, które pan żądałeś odemnie w tój materii, pod rygorem zarzutu pozornego tylko przesładowania. Mnie się zdaje, że komitet pod przełożeniem pana rozstrzygający akta karmelickie w Warszawie, byłby daleko właściwiej postąpił sobie, gdyby był zażądał tych objaśnień przed odsądzeniem mnie od prawa sprawowania publicznych urzędów w Polsce.

Zarzuty w dziele pana zniewalają mnie do porównania zasług moich z zasługą osób tęg magistraturę składających, która na mnie taki wyrok wydała. Ja młode moje lata trawiłem w tajnych związkach patriotycznych. Członkowie komitetu, którego pan byłeś prezesem, nigdy nie konspirowali. Ja byłem trzy razy uwięziony pod Belwederem. Przez czterdzieści dni pracowałem w kajdanach w ogrodzie belwederskim. W. książę kazał mię wykreślić z liczby uczniów uniwersytetu i zabronił urzędowym reskryptem złożyć egzamin na magistra, azatém także odsądził mnie od prawa sprawowania urzędu.

U Karmelitów a pierwój na ratuszu, członkowie komitetu za podobne sprawy nigdy w więzieniu nie siedzieli. Kiedy się zebrał sąd sejmowy, ja wpływałem na jego radę tajemnymi pismami; które swój skutek sprawowały, które w innym duchu było kreślone, niżeli mniemane wyznanie wiary u Karmelitów, które całą Polskę obiegły, jak zaświadczą moi koledzy, znajomi, przyjaciele. Szczególniej pismo moje puszczone w obieg pod tytułem: *Głos obywatela z W. Xięstwa Poznańskiego*.

Członkowie komitetu pańskiego takich pism nigdy nie byli autorami. Kurjer polski a pierwój gazeta polska pod moją i Xawerego Bronikowskiego redakcją, były to w swoim czasie dzienniki bardzo patriotyczne. Za dówód w tój mierze niechaj posłużą napomnienia, że ich nie powściąga, dawane cenzurze przez Szaniawskiego

i Nowosielcowa, napomnienia zamieszczone w urzędowy protokół Łubkowskiego. Członkowie komitetu, dzienników sposobiących młodzież do powstania, redaktorami nie byli. Ja niemały miałem udział w czynnościach ostatniego związku wojskowego, skąd noc 29. Listopada wyniknęła. Żaden z członków komitetu do tego nie należał. Gdy rzecz rozpoczęto 29., ochwiewała kabała nastrojona przez Lubeckiego. Broniełem wtedy sprawy ojczystej publicznie i jawnie, z narażeniem sławy szarpanej przez wrogów kraju i życie stawiałem na niebezpieczeństwo; członkowie komitetu wtedy milczeli. Wnioski, żeby rozbroić W. księcia, uwięzić jego i rozbroić gwardję, dalej bezbronną wówczas zająć Litwę; te trzy główne narodowego powstania desyderya obwieściłem w swoim czasie. Kiedy carewicz mógł opanować stolicę, popierałem te prawdy z bronią w ręku w obec Moskali za rogatkami obozujących. W imię tych prawd zawierających w sobie Polskę, wdarłem się był mocą na czele ludu do rządowej władzy. Członkowie komitetu podobnych wniosków nie wymyślali, ani razem ze mną nie pokutowali za śmiałe i wczesne zadanie nieprawdy całej opinii publicznej, kiedy ślepo wierzyła Chłopiickiemu, temu kolosowi podówczas powszechnego zaufania. Nie byłłem w tym względzie prorokiem przyszłości? Gdy Moskale wtargnęli do kraju, komitet i ci którzy mnie z nim razem obwołali w Warszawie wrogiem ojczyzny, nie odbywali kampanii z bagnetem w ręku, nie walczyli jak ja pod Okuniewem, Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą, Ostrołęką, nie wskażą ran i blizn, które ja w bojach odniosłem, znak krzyża polskiego ich piersi nie okrywa!

Z tego przeto wynika, że komitet zawczasie i bez rozmysłu w rzeczach takiej wagi odsądził mnie od prawa sprawowania publicznych urzędów w Polsce. Nigdy cudzej poczciwej sławie nie ubliżyłem, ale mojej bronić

w tym liście dla użytku dalszych części dzieła pańskiego za rzecz potrzebną osądziłem. List ten niechaj dobrej harmonii między nami nie zrywa, tak jak jój dotąd nie zerwały zarzuty przez pana czynione.

Proszę przyjąć z mojej strony zapewnienia rzetelnego szacunku, z którym mam honor zostać i t. d.

*Maurycy Mochnicki.*

#### Nota.

Trzeba zawdzięczyć Michałowi Hubemu, że swemi zaczepkami zimno, nierozważnie poczynionemi podbudził ognistego ducha Maurycyego, zmusił go poniekąd a bardziej znudził, że aż napisał swoją obronę i list ten ogłosił drukiem, będący jasnym dowodem prawdy i aż nadto wystarczający do zbitcia wszelkich pozornych zarzutów przeciwko Maurycemu, który inaczej nigdyby nie był pisał o sobie zwłaszcza dla tłumaczenia się z mniemanój winy, która żadną nie była jak tylko jedynym środkiem do ochronienia drugich i wydobycia siebie z więzienia. Stało się najpomyślniej, gdyż owym listem zamknął usta raz na zawsze wszelkim potwarzom, zwłaszcza, że istnienie Maurycyego na téj ziemi od owego listu nader krótkie już było.

Oto jest jeszcze inny artykuł Maurycyego téj samój niemal treści wyjęty, z pierwszego tomu jego dzieła: *Powstanie narodu.*

„Sądzę, że tu jest najważniejsze miejsce odpowiedzieć na liczne zarzuty, które mnie przed rewolucją, po rewolucyi i w emigracyi czyniono, z powodu mojej opinii i zachowania się mojego w związku. Od chwili wejścia mojego do spisku jedna mnie tylko myśl zajmowała, kto będzie kierował powstaniem?

Nie wątpiłem, że w Warszawie i województwach wszystko się porwie do broni za daniem pierwszego hasła, ale zarazem byłem przekonany, że nie tak to ła-

two rządzić rewolucją jak ją zacząć. Wysocki ciągle był tój opinii że tylko o zaczęciu myśleć należało, a resztę zdać na naród i Opatrzność. Ja przeciwnie starałem się przekonać Wysockiego, że w naszym położeniu zaczęcie było mniejszej wagi, że lepiej nie zaczynać jak nie módz, albo nie umieć po temu, co się zaczęło, nadać kierunku zamierzony. Z tego to powodu między mną i Wysockim, między mną i innymi związkowymi przychodziło nieraz do żywych sporów, nawet do nieporozumień, które chociaż znowu zgodzone, mogły nakoniec osłabić i zerwać wszelkie stósunki między nami. W odnoszeniu się Wysockiego i podchorążych do sejmu pod względem władzy kierować mającej powstaniem, widziałem słabość, nie bezinteresowność. W abnegacyi podchorążych, którzy zawsze mówili: „Chcemy zacząć, a potem zniknąć ze sceny aby nie powiedziano żeśmy zaczęli dla własnego wyniesienia się,“ widziałem zgubę sprawy, bo któż ją mógł lepiej bronić, jeżeli nie ci sami co dla niej życie poświęcili? Nie mogąc przewieść mego zdania, iż koniecznie należało wystąpić na scenę z rządem dla wyrażenia myśli rewolucyi, dla oddalenia w pierwszej zaraz chwili osób, które jej dla położenia i interesu swego sprzyjać nie mogli, zacząłem powątpiewać o wszystkiém, były nawet chwile, w których ciężko żalowałem żem wszedł do związku mającego dość odwagi do zaczęcia rewolucyi, ale niedosyć żeby opanować potem w niej władzę. Więziony kilka razy przed 29., trzymany przez jedenaście miesięcy u Karmelitów, zbyt ciężko pokutowałem za nieład i nieroztropność tajnych związków, że bym nie miał słusznych powodów lękania się podobnego rezultatu i w spisku podchorążych; gdzie rzeczy tak szły jak właśnie trzeba było żeby po tylu poprzednich przesładowaniach skończyć cały zawód na rusztowaniu albo Syberyi.

W spisku podchorążych byli po większej części lu-

dzie młodzi, oficerowie, podporucznicy, najwięcej kapitanowie, z cywilnych mało kto miał sposobność z imienia, z majątku, z wpływów lub głowy dać się poznać krajowi; gdyż jak wiadomo, w królestwie kongressowem przed 29. i w innych częściach Polski życia publicznego ani politycznego nie było. Na téj zasadzie polegając, mniemali spiskowi: „że rewolucja byłaby stracona gdyby oni sami stanęli na jej czele,“ ponieważ tak zawsze mówili: kto nas zna, kto nam zaufa, kto pójdzie za nami? Ile razy starałem się naprowadzić związek na myśl rządu, potylekroć zbijano mnie podobnemi argumentami. Rozumowanie moje polegało na innych maxymach, cóż ztąd, mówiłem spiskowym, że nas nikt teraz nie zna w kraju, ale czyliż się nie damy wszystkim poznać przez samo zaczęcie rewolucyi? a po rewolucyi rozpoczętej, czyliż pierwsze kroki rządu złożonego z nas spiskowych, nie uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu? Wystawcie sobie wrażenie, które sprawimy przez uwięzienie W. księcia, przez rozbrojenie jego gwardyi, przez rzucenie jednej kolumny wojska do Litwy i zajęcia Wilna, przez rzucenie drugiej kolumny do Brześcia i poruszenie Wołynia? Jeżeliby te pierwsze kroki, te pierwsze czyny nadzwyczajne nie uczyniły nas wielkimi, głośnymi i popularnymi w narodzie, toż zapytuję was: Cóż już jest w stanie nas wsławić? Jeżeli naród nie zaufa tym wielkim czynom, jeżeli nie zaufa naszój energii, naszój śmiałości, czemuż nakoniec ufać będzie. Jeżeli po zajęciu Wilna pošlemy do cara list otwarty z tém wyrażeniem, że głowę Konstantego rzucimy pod stopy pierwszych kolumn moskiewskich, któreby posłał dla stłumienia pierwszych powstań naszych, czyliż rozumiecie, że rząd tak działający i tak przemawiający nie znajdzie kredytu w Polsce? Nakoniec starałem się przekonać spiskowych, cywilnych i wojskowych, że władzę w pierwszój chwili choćby dla tego tylko należało

mieć w rękę, żeby ją zdać komu innemu. Jeżeliby tego wymagały naglące okoliczności, że inna jest rzecz zostawić ją na bruku i potem się po nią schylać lub wydierać ją tym co ją pierwsi uchwycą; inna zaś przyjąć z gotową już rzeczą i targować się o nią.

To rozumowanie nie trafiało do ich przekonania, oburzyło tylko wielu naprzeciwno mnie. Nazywano mnie ambitnym i posądzono o chęć wyniesienia się osobistego. Zaliwski szczególniej korzystał z tego żeby mnie oczernić przed innemi, rozumiejąc, że ja usiłuję postawić Wysockiego na czele rządu, przydać mu Lelewela i Zwierzkowskiego, ażeby na ten triumvirat wywierać wpływ nieograniczony. Nie mogę dostatecznie wypowiedzieć ile mnie to, nie te zarzuty, ale to jedynie dręczyło, iż myślano jakoby zbrodnią było mieć ambycją w spisku.

Taki był pod tym względem stan wyobrażeń w związku podchorążych aż do rewolucyi lipcowej w Paryżu. Po dniach lipcowych gdy się i u nas gorliwiej poczęto krzątać około powstania, ponawiałem moje przelożenia lecz jako i dawniej bez żadnego skutku. Naszą powinnością zacząć, naród przystąpi do rewolucyi, sejm postanowi władze. Taka była wtenczas powszechna loika. Wysocki dręczony zazdrością Zaliwskiego żył tylko w sejmie. Moje opinie wpadały w coraz większy dyskredyt, moja usilność udyscyplinowania spisku przybierała w przekonaniu Wysockiego i w przekonaniu innych, charakter coraz jawniejszej ambicyi i miłości własnej szkodliwój sprawie. Jednego razu wchodzi do mnie Wysocki i powiada: „Wszystko już jest gotowe, zacznijmy rewolucją; jakie jest twoje zdanie? odpowiedziałem: nie zaczynać bo nie mamy jeszcze rządu! Te słowa tak dalece rozgniewały Wysockiego, iż wyszedł nie pożegnawszy się ze mną. Od tego czasu on mnie, ja jego unikałem. W téj porze panowały największe nieporozumienia w spisku. Było to na początku Października. Po-

stanowilem się usunąć od wszystkiego, miałem nawet zamiar wyjechać za granicę, w tém przekonaniu, że chociaż spiskowi zaczną rewolucją, podadzą tylko głowy swoje w ręce kata, a kraj narażą na największe nieszczęście. Wszystkie skutki ulicznego rozruchu pokonanego natychmiast przez rząd stanęły mi natychmiast przed oczyma. Ani prośby brata mego, jednego z założycieli związku podchorążych, ani późniejsze przedstawianie Wysockiego nie mogły mnie odwieść od tego zamiaru. Stroniłem od spiskowych. I słusznie ktoś o mnie napisał teraz za granicą, że drzwi moje przed nimi zamykał. Tak było w istocie. Miałem ich za marzycieli, którzy cały swój dowcip wysilali żeby zrobić burdę, bo zdaniem mojem, burdą zostać mogła rewolucja zaczęta bez rządu. Więcej powiem, gdy się trzydziestu kilku oficerów związkowych zgromadziło w hotelu francuzkim na ulicy długiej, jak przypominam sobie 8. Października, wezwany w ich imieniu przez Wysockiego, żebym poszedł na to zgromadzenie, odpowiedziałem, że nie pójdę i mam całą sprawę za straconą, prosiłem także Wysockiego aby powiedział tym oficerom między którymi był i Zaliwski, że lepiej dać pokój wszystkiemu, niżeli tak nierozumnem postępowaniem narażać sprawę publiczną na pewny upadek. Ta odpowiedź narobiła mi jeszcze więcej nieprzyjaciół. Nie usprawiedliwiając ję przytaczam com mówił i jak myślałem powiadam.

„W kilka dni temu rozeszła się była wiadomość, że car z carową i następcą tronu miał zajechać do Warszawy i zimować w Warszawie. Korzystałem z téj okoliczności, żeby znowu wejść w stosunki z Wysockim. Otworzyłem mu zdanie moje. Spróbujmy jeszcze jednego środka, mówiłem mu. Spróbujmy, czy się nie uda zrobić teraz tego, czegośmy nie zrobili podczas koronacyi. — Wysocki odpowiedział, że i on ten zamiar ponowić pragnie i że większa część spiskowych byłaby za tém. Sta-

nęło więc między mną i nim na tém, że rewolucya zaczęła się, tak jak przed rokiem miała być zaczęta, na Saskim placu. W rzeczy samej ta opinia przez kilkanaście dni panowała w związku. Ja tuszylem sobie, iż chociaż nic względem rządu nie postanowiono w spisku, wszelako podobny akt, zrywając od razu wszelkie stosunki Polski z Moskwą, nadałby rewolucyi stanowczy charakter, albowiem nie byłoby się z kim układać, ani nikogo obawiać.

„Nie wstydzę się żadnej opinii, którą wtenczas popierałem. Dzisiaj ukrywać ich nie mam żadnego powodu. Że nie ufałem rewolucyi, przystępując do dzieła z taką lekkomyślnością, jest szczerą prawdą; żem odradzał zaczęcie dla powyższych względów. Lecz nie zasługują na odpowiedź moją ci ludzie, co głoszą teraz, jakobym po tém wszystkim przestał działać i należeć do spisku. — Przeciwnie i o tém raport Wysockiego wspomina. Gdy nadeszła chwila niebezpieczeństwa, gdy przeto opuszczać go byłoby nikczemnością, wyrzekłem się wszelkich moich opinii. I jakkolwiek bez żadnego ładu rzeczy dobiegały do swego kresu, jakkolwiek wszystko działo się Bóg wie po jakiemu, a nie tak jakbym ja sobie życzył, dzieliłem jednak pracę związkowych. Nareszcie z bronią w rękę wyszedłem na ulicę. — Ci co mnie dzisiaj spotwarzają, niechaj przypomną sobie com wtedy mówił: „Wszystkoście źle zrobili, ale rzeczy przysły do tego stopnia, że wolę zginąć z wami, jak dla przewidzenia mojej opinii odstąpić teraz od związku.“

Oto jest jeszcze list od Antoniego Walewskiego, opisujący chorobę Maurycego, z którego wyjątki są drogiem mi śladem tego syna, którego nigdy zapomnieć nie mogę, o którym każde wspomnienie, każde słowo jest dobrem mojem najmilszym.

## List Antoniego Walewskiego do ojca Maurycego.

Paryż, 20. Kwietnia 1835.

*Kochany Ojcze!*

Chcę używać prawa, którém mnie obdarzyłeś, Panie! Chcę być, kiedy mi pozwalasz twoim synem; bom osierocony, bo straciłem przez śmierć Maurycego prawdziwego ojca, co mnie kochał, nauczał, prowadził. Nie zdołaliśmy ubłagać niebios, aby zachowały drogiego nam obywatela! Powołały wcześniej w dni 12., jakby Opatrzność okropnością i nagłością straty chciała zagłuszyć cierpienie stroskanój rodziny. Burzliwe życie zakończył mąż wielki spokojnie w naszym objęciu dnia 20. Grudnia. Tkliwa jego dusza miała tę pociechę, którój nie miewają ludzie wysokiego powołania. Nie ujrzał obok śmiertelnego łoża obojętnój twarzy. Gdy list do Pana D. pisałem już wprzód na dni kilkanaście, nie ukrywaliśmy sobie klęski, która nas spotkać miała. Jeszcze dnia 8. Grudnia wątpiono o życiu Maurycego. Wyraźnie oświadczyli lekarze, „że niepodobna ocalić to drogie dla Polski życie.“ Bywały chwile nadziei, ale nie dla mnie. Ja jeszcze w Paryżu wątpiłem o życiu Maurycego. Wielką w nim spostrzegłem zmianę od pierwszej słabości, w którą był wpadł po śmierci Kamila. Jak przyjeżdżał z Marly, gdzie się miał najlepiej, jak się zdawało, jak sam mawiał, uważałem, że się czémkolwiek faizgował, idąc na piętro odpoczywał, oddech miał krótszy, brał się często za serce. Przyznawał się, że mu bardziej bije serce; że go we śnie nawet często budzi. Przypisywał to swojój ranie. Lekarzy radzić się nie chciał. Gdy razem zaczęliśmy mieszkać na ulicy Dauphin, miał zgryźliwe stosunki z posłem Chełmickim i Chłędowskim, z powodu funduszków na swoje dzieło i z powodu opinii. Po każdój takowój utarczce, a te bywały częste, miał się gorzej na

zdrowiu, nie skarząc się jednak na żadną boleść wyraźną. Odmianę humoru przypisywał brakom i stosunkom z tymi ludźmi. Wszelako już wtenczas uważałem, że była skłonność do słabości. Nazywał się ocieżałym i powtarzał, że już jest niezdolnym do działania, że mu życie jest obojętne. Nie chcę bronić tych panów, ale muszę wyznać, iż często ulegali Maurycemu, ale jednak było zawsze coś drażliwego w jego zdrowiu. Razu jednego wrócił w wieczór z obiadu. Czuł się mniej słabym, mniej rannym jak mawiał. Rozmawiał nadto, co się mu rzadko trafiało; w guście męzkim, bardziej wolnym, przyznał się, że się zabawiał z dziewczętami. Na drugi dzień tak zasłabł, że lekarz pijawkami obłożyć musiał i wkrótce ta słabość minęła. Wyprowadził się na Champs-Elisées, już dla tego, że to zdrowsze miejsce, i aby być bliżej tych, co mu mieli dostarczać materyałów. Ja zostałem się jeszcze na dni kilka w dawném mieszkaniu. Podczas tego czasu dostał od Pana D. pieniądze. Chodził wiele, robił małe sprawunki. W nowém mieszkaniu znalazłem go bardzo korzystnie zmienionego. Powiedział mi, że się zupełnie czuje zdrów, nawet, jeżeli mam prawdę wyznać, wyznał mi lekką męzką lampateryą, jak mówił, do czego pewno był wciągnięty. Ta odmiana miejsca i osób w kilka dni jednak okazało się, że mu nie wyszła na dobro. Znowu zapadł na zdrowiu; widno było, że osłabienie wracało za każdą okazją. Zaczął się leczyć, ale bardzo niedbale; schowało się złe znowu, miał się już zupełnie dobrze przez tydzień, ale wróciło pierwsze zapalenie. Leczone go; tak jak wprzódy, pijawkami, lecz już trudniej z nim było i to trwało dłużej. Jak tylko mógł wychodzić, chodził wiele, nie zważając na przepisy i zdawało się nam w końcu, że już znowu jest bardzo dobrze. Wtém bez najmniejszej przyczyny, bo ciągle byłem z nim razem, zasłabł mocniej. Leczył się znowu przez całe sześć tygodni z największą dokładnością. Już

go od téj słabości ani na chwilę nie odstępowałem i nie nie pozwalałem, co lekarze zabraniali. Kąpiele brał w domu. Prócz naszych polskich lekarzy przyjeżdżał jeszcze pan Riccard, jeden z pierwszych lekarzy paryzkich. Zaczął być bardziej niecierpliwym i już mocniej narzekał na brak zdrowia. Ciągłe dowodził, że popsuty jego organizm nie da się zupełnie wzmocnić nigdy; że widzi, iż wkrótce umrzeć trzeba, i że chciałby tylko jak najprędzej umierać. Lekarze nie mogli się wydziwić czém się ta słabość tak opiera i nie pojmowali z kąd pochodzi, kiedy nie było istotnej przyczyny. Radzili kuracją radykalną, odmianę życia wyjazd do wód i t. d. W takim stanie kończył tom drugi swego dzieła. Odbierał wizyty tych pół-przyjaciół, co go więcej gryźli, drażnili, jak jawni przeciwnicy. To pisał, to leżał, a miał się to lepiej, to gorzej; gdy wtém dostał gwałtownego kaszlu, wielkiego bólu głowy, znowu jak się zdawało bez żadnej wyraźnej przyczyny. Ten symptom najbardziej go zstraszył, myślił tedy, że ma suchoty. Przekonali go doktorowie, że ma piersi zdrowe. Uwierzył, ale nie chciał dopuścić, żeby mógł żyć jeszcze. Znowu powtarzał, że jest jakieś zepsucie w w organizmie, kiedy najmniejsza słabość tak się rozwija gwałtownie i trwale. Już był odtąd więcej zmienionym; najchętniej rozmawiał o grobie, o przyszłości, o Kamilu! i o przedmiotach równie smutnych. Od tego czasu mniej już miałem nadziei o nim; bo wierzyłem w przenikliwość tego bystrego ducha! Przed wyjazdem do Auxerres wyszedł, można było powiedzieć, ze słabości; ale w chodzie, w mowie, w twarzy, było coś większego jak zwyczajne osłabienie po chorobie. — O postępie słabości, to zdrowia, w Auxerres, już donosiłem Panu D. i polemice, jaką tam rozpoczął. Czy jednak ta drażliwość pochodziła z choroby, czyli dalsza choroba z téj drażliwości? nie wiem; to jednak rzecz pewna, że ta irytacja wcale mu nie była na pożytek, cho-

ciaż w Auxerres miał swobodne chwile. Chciał tam koniecznie zaprosić Pana D.; cieszył się, jak widział obok siebie kolegów, lecz zaledwo wyszli, zaraz mnie wołał na spacer, albo do łóżka obok siebie kłaść się kazał i jak zwyczajnie, rozmawiał o śmierci, o religii i t. d. Gdy wrócił z Paryża stracił kaszel, co go bardzo pocieszało, ale wydawał nam się znacznie słabszym. Ból głowy postępował, a 29. Listopada już był okropnym. Rano mógł jeszcze czytywać, ale już nie trwale, 2. Grudnia, że mu dzienniki są niezrozumiałe, że dużo wyrażień, i t. d. Tu pierwszy raz dojrzałem osłabienie umysłowe, ale fantazyja była jeszcze żywa, więcęć mówił jak zwyczajnie, był czulszym, więcęć wzruszonym, gdy mówił o rodzinie, o Polsce, jak przedtém podczas zdrowia. Było jakieś omylenie w jego głosie, jakaś powolność w dyskusyi przy pozorze najgłębszego uspokojenia, tu znowu najsmętniejsze pomysły, co niezmierny sprawiało na nas efekt i nadzwyczajnie boleśny, trudny do opisanja. Potrzebą mu się stało sprawiać artystowskie wrażenia, szukał niemal sposobności do tego, ale nie lubił, żeby było wielu przytomnych, najczęściej dawał mi do zrozumienia, aby inni wyszli, i wtenczas długo był zwykł mówić. W tém co on mówił, była własność, najlogiczniejszy nawet związek; ale niezawsze mnie się zdawało być stósownie do położenia. Rozmowy poważniejszej, rozumowań unikał, mówił, że go to morduje. Najprzyjemniej mu było gdy sam z nim byłem i gdy go mówiącego słuchałem. W nocy po kilka razy mnie budził, zdawało mu się, że już jest ranek i długo mówił, ale zawsze o duchach, o religii i t. d.

Pewnego wieczora chciał koniecznie, abym gdzie wyszedł rozerwać się. Już było późno, nie miałem kogo zaprosić, a nie chciałam go zostawić samego, Maurycy zaś nalegał koniecznie, abym sobie poszedł. Wyszedłem, alem się nie oddalił, chodziłem tylko około domu. Wi-

działem jak światło zgasił i wróciłem natychmiast. Zastąpiłem go śpiącego, ale się natychmiast obudził; spytał „gdzieś był i co słycać?” odpowiedziałem, że się wzmożła burza i że się wrócił od kościoła: „Wiatr zawsze bywa większy koło kościołów,” zaczął mówić Maurycy, Są to duchy zmarłych, a w powietrzu wydają tony. — Chciałbym, żeby prędko i moja dusza była takim powietrznym tonem. Ja wierzę w duchy, w najmiłsze ich tony, rozmawiam się z Kamilem, z moim ojcem widuję się często przez sen. Zachodzi spółnictwo między duchami, jeżeli są sobie podobne. Ja do ciebie przyjdę po śmierci, jeżeli w duchy wierzysz itd.” Trzymał mnie silnie, ścisnął mnie kilkakrotnie, rozczulał i rozrzewniał nadzwyczajnie. Położyłem się na kanapie koło jego łóżka. Ale on nie spał, tylko ciągle gadał, już teraz sam do siebie i najczęściej od rzeczy. To była pierwsza obserwacja, zasnął dopiero koło ósmej z rana, sen miał mocny; o 9. przyszedł Pan Hirauld, za głośno przemówił, raptem się zerwał Maurycy, miał już wejrzenie niespokojne, tak jak obłąkane; rozmawiał bardzo obojętnie z doktorem, chociaż zwyczajnie bywał z nim bardzo grzecznym, pieszczotliwym nawet. Uderzyło to pana Hirauld, prosił Maurycygo, aby wstał z łóżka i poszedł do komina na pogadankę. Maurycy nie chciał, powiedział, iż mu się podobna zostać w łóżku itd. Uprosilimy go, aby wstał. Przyniesiono ostrygi, nie chciał jeść, chociaż o nie ciągle przedtém prosił. Nalewał wino na ostrygi, rozkładał je po stole itd. Wrócił do łóżka i powiedział mi cicho do ucha, żeby sobie doktor odszedł. Opowiedziałem doktorowi co było w nocy. Nie wątpił, że to już najwyższe osłabienie mózgu i że nie masz sposobu uleczenia kiedy kilkokrotne puszczenie krwi nie pomogło. Powtórnie zwołana rada lekarska potwierdziła ten okropny wyrok. Odtąd już był prawie ciągle nieprzytomnym. Od 10. Grudnia już nie miał nigdy zupełnie wolnych zmysłów, po-

znawał wprawdzie osoby, zdawało mi się, że mnie do końca poznawał, ale to już było więcej mechaniczne jak rozważane. Mało sypiał, nic nie rozróżniał co jadł. Jadł wiele, ciągle miał pragnienie, nieustającą gorączkę, ból w całym ciele, krzyczał gdy go podnosiłem; sam żadnej siły nie miał, nieustannie gadał niezrozumiale, ale nigdy furiozo. Przy końcu mówić przestał, ustami tylko poruszał, palce jeden po drugim oglądał, wpatrywał się w przytomnych, uśmiechał się, ale nie odpowiadał na żadne zapytanie, pił co mu podano, ale już był bez czucia, ciągle połykał, chociaż mu szklankę od ust odjęto. Na 24 godzin przed śmiercią poszedł o własnej sile na łóżko, powołał mnie znakiem, silił się, jak gdyby chciał być coś mówić, ale już nic nie wymówił, ścisnął mnie tylko nadzwyczajnie silnie, i tak zasnął, trzymając mię za rękę. Widzieliśmy z twarzy, że się gorączka wzmacniała. Przybyli lekarze, ale już nic nowego nie zapisali. W nocy marzył, gadał mocniej jak zwyczajnie, ale niezrozumiale; wymówił nakoniec moje imię, zawołali na mnie, ale mnie już nic nie powiedział, gdzieindziej spoglądał i marzył. W parę godzin potem podałem mu wody, wpatrywał się we mnie i zawołał znowu po imieniu, całował mnie, ścisnął ale już nic wymówić niemógł. Od godziny 6 z rana 20. Grudnia już był jak w stanie niezycia. Oczy miał na wpół zamknięte, głośniejszy oddech, czasem stękał, wpadł potem w zupełne odurzenie i nieczułość tak, że żadnego znaku życia nie dawał. Długo nie wiedzieliśmy czy żyje czy nie żyje, westchnął nakoniec kilka razy i skonał.

Zgodzili się wszyscy Polacy na to aby otworzyć ciało, szczególniejsię lekarze tego domagali. Znalezione że siatka, która okrywa serce, a która u zdrowego człowieka jest zupełnie gęstą i grubą, była tak rzadką i wyćienzoną, że się stała przezroczystą; z tego uznali lekarze, że nie było środka ratunku, kiedy najpotrzebniej-

szy organ do życia był nadwreżonym. Serce to najlepiej zachowane z czaszką razem zostaje w bibliotece polskiej w Paryżu. Polacy w Auxerres chcą przynajmniej serce przesłać rodzinie, kiedy ciało w obcej spoczywać musi ziemi, a czaszkę gdy będziemy wracali przywieść do Polski. Wezwali mnie jednak abym wprzód spytał o pozwolenie Pana D., nie wiem jakie wypadnie, ale mam ufność, że Pan D. nie zganisz postępowania kolegów, którzy w zapale szacunku dla pamięci Maurycego odstąpili może od zwyczajów w Polsce. Przyznam się iż mocno żałuję, że pozwoliłem otworzyć ciało, kiedy w mojej mocy było zabronić tego, ale byłem sam słaby, żal przywoził mnie do rozpacz, nie mogłem opierać się. Widzieliśmy wszyscy razem połączeni w tym kroku tylko część dla niego najwyższą, kiedy ci co go za życia i po śmierci szarpali, przezywają ten nasz postępki w dobrej wierze uczyniony kumibalizmem. Chcę uprzedzić Pana D., że nasi nieprzyjaciele piszą przeciw temu z obfitym dodatkiem oszczerstwa i niedorzeczności, i dla tego nie obawiamy się, że oni nas zowią winowajcami, wszak oni w każdym kroku przychylnym Maurycemu za życia jeszcze jego zawsze upatrywali zło. Ale żałujemy żeśmy się nie zastanowili jakie to zrobić może wrażenie na matkę, na siostry! Pociesz nas Pan D., nie ukrywaj jak to przyjąłeś! Przebacz dobrym chęciom jeżeliśmy co przekroczyli, bo zresztą nic nie zaniedbaliśmy co jest zwyczajem w Polsce.

Pan Gracieux, dając na to słowo honoru, zaprosił księdza który oddawał Maurycemu ostatnie sakramenta o ile brak przytomności dozwalał. Obok ciała odprawiały się modlitwy. W dzień pogrzebu zanieśliśmy go w trumnie do kościoła, gdzie się odprawiało za niego uroczyste nabożeństwo. Duchowieństwo wyprowadzało ciało na cmentarz ze wszystkimi obrządkami. Nie mówię tu o pompie, o okazałości, która była taką jaką nigdy je-

szcze wprzódy nie widziano w Auxerres, bo i władze i mieszkańcy starali się nadzwyczajnie o wystawne oddanie ostatniej usługi Maurycemu, ale chcę tylko powiedzieć żeśmy w niczem nie ubliżyli religijnej ustawie dla ciała. Na cmentarzu równie zachowano porządek kościelny. Prosililiśmy potem o żałobne nabożeństwo za duszę zmarłego. W dni kilkanaście odprawiono Exekwie w Paryżu za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego i generała Dębińskiego. I to właśnie najbardziej zgorszyło przeciwników i nie podobało się zawistnym.

Ciało spoczywa na cmentarzu w suchém miejscu, które sami obraliśmy. Dziś najwięcej zajmujemy się składką na pomnik, który mu na grobie postawimy, porobione są już inskrypcje wynoszące 800 franków, rzeźbiarz pewien sam się ofiarował bezpłatnie wykonać dzieło. Plan i napis pomnika mnie powierzono. Względem planu wezwałem artystów by go ułożyli, napis pewno mi pan D. wskażesz, a przynajmniej jeżeliby ojcu wybór był trudny, doradzić zechcesz jaki jest stósowniejszy, łaciński czy polski. Wizerunek został zrobiony jak najdokładniejszy, jeszcze roku przeszłego, przez Oleszczyńskiego. Zrobiony także z drugiego dnia po śmierci odcisk od twarzy, zrobiono przeszło sto biustów w Paryżu, w Lipcu rozkupili Polacy i Francuzi. Starać się będę aby ci, co na pomnik zbierają pieniądze, tym kosztem kazali marmurowych kilka biustów zrobić, byłbym szczęśliwy przesłać je Panu D....

Tu następuje opis zostawionych papierów, mnostwo wyraźnych manuskryptów, korespondencje, charaktery, plany, a to wszystko w ogromnej ilości, oraz porządek téj ich tam komissyi dla opisu przechowania, oddania co się komu należy, i nawet jakie pieniądze były, jaki wydatek. Poczciwy Walewski najporządniej działający odwołuje się z resztą do Michała Podczaszyńskiego, który obiecał pisać do nas, lecz widać, że nie miał serca, siły i odwagi pisać o już nie egzystującym Maurycem.

Dalój Walewski tak kończy swój list.

Proszę Pana D. racz mi donieść czy aprobujesz nasze wszystkie czynności. Całe życie zarabiać będę na względy ojca tego, którego kochałem, szanowałem, poważałem, z którym to drogim Maurycym tyle miłych chwil przepędziłem! Jak długo ta jego szlachetna dusza istniała, najmilszą była dla niego rozmowa zemną o rodzinnych stósunkach, o domie, o rodzicach. Ja też już słabego pocieszałem jak mogłem i tak uzyskałem jego kochanie, obiecywał mi wynagrodzić, mówił: jak wrócimy do kraju będziesz dzieckiem naszej rodziny. Zrozumiałem ja ostatnie jego wejrzenie na mnie, zdawał mi się mówić: pozdrów moich rodziców!...

Jestem z najgłębszém uszanowaniem

*Antoni Walewski.*

Dopiero później dostały się do nas w listach gazety, wyjątki drukowane z roczników lub broszurek, podobno z roku 1836.

### **Pomnik Maurycego Mochnackiego.**

Polacy zakładu Auxerres w których gronie nieodżałowanej straty Maurycy Mochnacki ostatnie chwile szacownego dla sprawy i literatury polskiej życia przepędził, podali myśl dla uczczenia jego pamięci stósownym grobowcem. Myśl ta przyjętą została przez Emigracją, ale jój szczupłe fundusze nie dozwolily długo jeszcze złożyć na to potrzebnej sumy. Wszelako Aleksander Jallowicki, któremu wykonanie téj myśli zostało powierzone, zajął się czynnie włożonym na siebie obowiązkiem, i w téj chwili pomnik Maurycego Mochnackiego już jest ukończonym. Stanowi go popiersie odlane z brązu

w kolosalnej wielkości, wyniesione na kolumnie z kamienia ośm do dziewięciu stóp wysokości. Popiersie to bardzo szczęśliwie wykonanem zostało przez Władysława Oleszczyńskiego. Koszta tego pomnika wyniosły 1100 fr.

Rodacy mieszkający w Paryżu mogą widzieć w księgarni polskiej Rue des Marais St. Germain Nr. 17. model popiersia odlany z gipsu. Popiersie to sprzedaje się po czterdzieści franków.

Księgarnia polska w Paryżu chcąc się przyczynić do wystawienia pomnika Maurycemu Mochnackiemu własną jego pracą, a razem oddać literaturze i historii ojczyściej niepospolitą przysługę, postanowiła zebrać i wydać wszystkie pisma Maurycego Mochnackiego, zaczawszy od dnia rewolucyi, rozrzucone po rozmaitych dziennikach i broszurach. Wydanie to jest ozdobione popiersiem Maurycego Mochnackiego na stali rytowanem przez Antoniego Oleszczyńskiego. Książka zaś ma tytuł: Pisma rozmaite Maurycego Mochnackiego, oddział porewolucyjny.

### **Polacy zakładu Auxerres do Emigracyi polskiej.**

„Śmierć Maurycego Mochnackiego jest klęską narodową! Straciliśmy w nim żołnierza co krwią swoją pola Ostrołęki skropił, straciliśmy najlepszego pisarza. Maurycy Mochnacki w pośród nas ostatnie chwile szacownego dla sprawy i literatury życia przepędził. Nauczyliśmy się cenić go jako najlepszego Polaka, jako jednego z tych wyższych ludzi, których opatrność zsyła na oświecenie narodu. Strześliśmy dni jego z największą troskliwością, ale zabiegi nasze nie pokonały, lzy nasze nie przeblagały choroby, która Maurycego Mochnackiego Polsce wydarła. My pierwsi oplakaliśmy niewynagrodzoną tę stratę. My odprowadziliśmy Mochnackiego do grobu, i do nas należy wskazanie jego grobu przechodniom polskim.

Dla tego wzywamy was bracia do oddania czci należnej zasługom Maurycego Mochnackiego przez wystawienie mu pomnika. Nie jest on bynajmniej potrzebnym dla sławy Mochnackiego, bo ją sobie sam wypisał dziełami swojemi, ale jest potrzebnym dla nas jako świadectwo, że za zasługi narodowe odplacać umiemy. Niech pomoc tułaczów polskich skromna jak ich ubóstwo, pospieszy wykonać tę myśl naszą zgodną z uczuciem waszém.  
(Tu następują imiona tych, którzy dawali pieniądze do składki.)

Do zebranych tu pamiątek dodam jeszcze ostatnie artykuły Maurycego pisane w Auxerres. Umieszczam zaś je z powodów następujących: wyjaśniają najprzód sposób widzenia, stan Emigracji która zbałamucona, zawichrzona w nieustannych dyskusjach pomiędzy sobą i potępieniach samych siebie, ściągnęła nagarę powszechną; powtórę dowodzą śmiałość i determinacją młodego człowieka, który jak ów misjonarz poświęca się, a rządzony przezcuciem, że dni jego krótkie są i policzone, chociaż słaby, występuje i pisze prawdę generałowi Dwernickiemu, pomimo, że go dawniej kochał, że wielbił w nim odwagę, dzielność i bohaterstwo. Dalej, ostatnia jego odezwa do całej emigracji, lubo łącznie z innymi, jak podpisy mnogie świadczą, jest raczej testamentem Maurycego jako Polaka do Polaków, przekaz jego gorącej wyobraźni i ostatniej myśli razem. Ja mam przekonanie, że to ostatnie pismo jego mało co więcej nad jeden miesiąc przed śmiercią pisane było, bo ma charakter wieszczcy, jest w niem tak coś dzielnego, mocnego i wyraźnego, że mi się wydaje być nadzwyczajnym obok zdeorganizowanych już zupełnie sił fizycznych. Młody człowiek w całej sile duchowej umierający, nie z przypadkowych okoliczności, nie z suchót lub innego defektu, ni wady w organizmie, długo musi ustępować z pola, długo umierać; tak właśnie jak Maurycy świadczy ta długo i często ponawiająca się słabość od śmierci Kamila, której nie mógł przeżyć. Nakoniec i dla tego jeszcze kładę tu ostatnie jego pisma, że ostatni tom pism porewolucyjnych z którego te artykuły wypisuję, staną się wkrótce bardzo rzadkimi i trudnymi do nabycia, z powodu że rządy obecne starają się by je z Francji nie dopuścić zarówno do wszystkich części Polski, i zapobiedz rozszerzaniu wielkich myśli młodego Polaka. Mnie zaś

jako matce niechaj będzie wolno dla imienia mego, dla pokolenia zachować tę pamiątkę geniuszu, charakteru i wielkich cnót mego syna. Miło jest każdej familii przechowywać cnoty przodków swoich, niemi się chlubić i na ich fundamencie rozpościerać nadzieje pięknych przykładów dla potomności. Niech pamięć Maurycego służy w najodleglejsze lata moim za światło i ozdobę, nie namawiam nikogo by go naśladował; bo wszelkie naśladownictwo, podług mnie, w dziełach lub charakterach mistrzowskich jest niedołęztwem, Maurycy był oryginalny w swoim rodzaju we wszystkim co tylko stanowiło jakąś wyższość, że jemu samemu tylko przystało i najlepiej było z tém co działał, a co nie w jednym przypadku zdawało się ludziom, że bezpotrzebnie zdziałał. Nie radzę nawet iść za jego przykładem w tém tak wielkiem przedsięwzięciu, a tak stanowczém około dobra naszej ojczyzny. Zostawmy raczej zupełnie Opatrzności przyszłe losy naszej ulubionej, z piersi matek wyssanej myśli miłości ojczyzny! Jeżeli święte wyroki Boskie i wola jego ku nam skłonione będą, zrządzi niechybnie spełnienie żądz naszych prawych. Lecz jestem zdania, że nie przez mądrość ludzką, ani przez poświęcanie się namiętne, ale z potrzeby, z przekonania ludów Polska równowagą Europy być powinna i kiedyś nią być musi. Zresztą w każdym stanie i pod każdym panowaniem pełnijmy obowiązki nasze, prowadzące do wszelkich cnót. Boże niech się zawsze stanie, według woli Twojej Panie!

*Marya M.*

### List do generała Dwernickiego

od oficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres.

Auxerres, dnia 17. Października 1834.

*Jenerale!*

Z prawdziwą boleścią w sercu przychodzi nam wynurzyć ci opinię naszą o twojem, jenerale, oświadczeniu, ogłoszonym pod datą 27. Września, którym (bo inaczej tego nikt nie uważa) tak wyraźnie przystąpiłeś do aktu zdziałanego w Poitiers, uznającego Xięcia Czartoryskiego za nieprzyjaciela kraju i emigracyi. Krok ten z twój stro-

ny, jenerale, jest nadto stanowczy; skutki jakie ztąd dla emigracyi, w części i dla kraju wyniknąć mogą, są nadto widoczne, ażebyśmy ci z całą naszą żołnierską i obywatelską otwartością przełożeń naszych w téj mierze uczynić nie mieli!

Sądziłeś, jenerale, w prostocie serc naszych, że pierwszym twym obowiązkiem będzie, najsurowiej skarcić zabiegi kilku indywiduów, działających przeciwko interesowi emigracyi, a chcący wmówić w emigracyą, jakoby działały w duchu jój większości. Spodziewaliśmy się, że przez wzgląd narodowy, z powagą właściwą twojój randze, twemu wiekowi; nareszcie zaufaniu, jakim cię zaszczycała większość rodaków, powstaniesz szczególniej na zgorszenie, którego się dopuszczono, wytaczając przed sąd cudzoziemców machinacye przeciw Czartoryskiemu, dzielącemu nasze tułactwo, będącemu u celu nienawiści i zemsty cara moskiewskiego; lecz twe oświadczenie wywiodło z nas tego błędnego o tobie mniemania. Jenerale, zamiast użyć twój powagi dla zapobieżenia nadal przynajmniej podobnym postępkom, cudzoziemców nawet oburzającym, sam do klątwy rzuconej w Poitiers, swoją przydajesz klątwę, sam uznajesz wyraźnie Czartoryskiego za wroga emigracyi i kraju, sam przeto całą powagą swoją utwierdzasz czyn równie niemoralny w zasadzie, jak niepolityczny w skutkach.

Jako człowiek wyższego znaczenia, jako polityk, powinienś był, jenerale, pierwój zgłębić konsekwencye, jakie koniecznie prędzej czy później wynikną z twego przystąpienia do tak złej sprawy, z sankcyi udzielonej przez ciebie tak złemu przykładowi. Dzisiaj osądzono Czartoryskiego. Za dni kilka, za kilka tygodni, na mocy tegoż samego prawa ty, jenerale, osądzony i wyklęty zostaniesz. Wyroki! wyroki infamii będą więc po sobie szybko następowały. Niesława powszechna stanie się prawem publiczném, żywiołem emigracyi. Każda zasługa

igraszką intrygantów, a ty, jenerale, nie będziesz mógł powiedzieć do siebie w czystości własnego sumienia: „Czyniłem co mogłem, żeby zapobiedz temu złemu.“

Jako żołnierz postawiony na czele żołnierzy, wyraziłeś jeszcze tém potwierdzeniem aktu w Poitiers, odstąpiłeś, jenerale, od właściwego tobie charakteru. Pozwól, ażebyśmy ci przypomnieli okoliczności, wśród których przybyłeś do Francji, które towarzyszyły twemu, jenerale, wyniesieniu na stopień prezesa emigracji. Emigracja była natanczas niepokojona zabiegami komitetu pod prezydencją Lelewela, który się chciał koniecznie utrzymać, — który niewzględny na to, że domowe tylko niezgody przywiodły do upadku ostatnie narodowe powstanie w Polsce, i siedmdziesiąt tysięcy wojska polskiego przmusiły broń złożyć na własnej ziemi; obmyślał środki, jakby przedłużyć te niezgody za granicą. Ajenci rzeczzonego komitetu psuli jedność braterską w zakładach; rzucano początki partii pomiędzy wojskowych, puszczano w obieg niepolityczne maxymy, że, ażeby Polskę wydzwignąć z jarzma, trzeba najpierw zacząć od rewolucji krwawej, społecznej. Emigracja odrzuciła jednomyślnością te maxymy przez odrzucenie komitetu, który zdawał się je reprezentować; a uważając, że jest sama tylko częścią wojska narodowego, ciebie, jenerale, jako żołnierza insurekcyi postawiła na swém czele.

To przejście od komitetu pod prezydencją Lelewela i pod wpływem zgromadzeń na ulicy Taranne, do twego komitetu, jenerale, miało w sobie głębszą rozagę polityczną. Było to dość wyraźne ustanowienie, bardziej wojskowego, niżeli cywilnego porządku w emigracji. Była to skazówka, czego się nadal trzymać mamy. Władza twoja była jasna, jenerale; widziano w tobie tylko walecznego żołnierza Boremla, i posadzono na miejscu ówczesnego naczelnika sekty społecznej Lelewela.

Wtedy, kiedyśmy się wszyscy rzucili w twoje objęcie,

jenerale, któżby był pomyślał, że przed upływem dwóch lat w ten sposób zawiedziesz nasze zaufanie? Że zacierając w samym sobie święty charakter i powołanie twoje, z żołnierza, z bohatera, zechcesz nakoniec przeobrazić się na *sektarza*, na reformatora społecznego? Albowiem takie jest, nie inne, prawdziwe znaczenie twego, jenerale, akcesu do aktu zdziałanego w Poitiers, obwionego w pozory, które nas jednak — nas przynajmniej nie łudzą.

Tak jest, jenerale! zacząłeś być członkiem sekty, która tu przybrała nazwisko Towarzystwa Demokratycznego, i zachwiałeś przez to swoich dawnych kolegów, starych żołnierzy, opinią o sobie. Powtarzamy ci raz jeszcze. Ten krok jest stanowczy i dla emigracyi i dla ciebie samego, jenerale. Tém uważnij, tém silniej czynić go potrzeba.

Pomijamy to, jenerale, że przystępując do deklaracyi w Poitiers, uznajesz Czartoryskiego za nieprzyjaciela kraju i emigracyi, to jest: że uznajesz w obliczu inaczéj przekonanej Polski i Europy, zbrodniarzem stanu człowieka, którego Moskwa za usługi położone w kraju i w jego sprawie, także za zbrodniarza uznała, a który właśnie dla tego ostatniego wyroku (nieco sprawiedliwszego zapewne, niżeli komisya Poitierska) stał się dzisiaj niezmiernie popularnym, a zatem silnym w opinii całego kraju naszego. Pomijamy i to także, jenerale, że nie wzięłeś ani od narodu, ani od wojska żadnej misyi do wydawania klątw tego rodzaju za granicą; bo naród i wojsko widziało w tobie swego wodza i obrońcę, a nie kryminalnego sędziego. Na to wszystko, jakokolwiek jest ważne, nie mamy względu; lecz pominąć tu nie możemy, że nadając swoją sankcyę dekretowi tajnego jakiegoś, nieznanego nam trybunału, dekretowi, którego podpisów dotąd nikt nie śmie objawić. Związałeś, generale, ściśle, pod pewnym względem solidarne, przez ten jeden

czyn stósunki z ludźmi, składającemi bardzo drobny ułamek emigracyi; z ludźmi, którzy wyosobniwszy się z ogółu, stanęli w jawnej sprzeczności nietylko ze sposobem myślenia całej emigracyi, ale także z duchem i pierwszymi interesami dwudziestu milionów Polaków — co większa, z interesami i środkami przyszłego powstania narodu polskiego!

Nie to tylko, jenerale, że osobiście okazałeś się niesprawiedliwym względem Czartoryskiego, zasługuje na wzgląd pierwszy w tém wydarzeniu; lecz i to równie nas zasmuca, że wszedłszy we współność z autorami urojonego dekretu komisji Poitierskiej, zaszкодziłeś samemu sobie w opinii kraju i emigracyi, że naraziłeś się na niebezpieczeństwo stracenia nabytej w Polsce, a za granicą utrzymanej więtości, która nam była tak potrzebną.

Polska, jenerale, jest to kraj, który, gdy odzyszcze swą niepodległość, niewątpliwie będzie potrzebowała wielkiej reformy społecznej na korzyść i w interesie ogromnej większości narodu. Pod tym względem, w takim sensie my wszyscy jesteśmy demokratami, i biada temu, kto by nim być nie chciał! lecz zarazem, jenerale, Polska jest to kraj, który i przed dokonaniem tej reformy, taki jak jest dzisiaj, koniecznie przez nas szanowany i kochany być winien. W tej Polsce jeden stan wyłącznie wszystko jeszcze może, bo w nim wyłącznie koncentruje się jeszcze własność i oświata, dwa główne elementa siły publicznej. Ten stan jest więc dotychczas potężny. Powstawał tyle razy, i wiele razy jeszcze zechce, cały lud za sobą do broni powoła. Takie jest rzeczywiste położenie naszego kraju. Jedna klasa ma tam najwięcej wpływu i najwięcej w różnych okolicach Polski charakteru narodowego. Tego stósunku my dziś przed odzyskaniem niepodległości odmienić nie potrafimy! To więc jak jest, trzeba przyjąć i uważać jako faktum exystujące. Wyrażamy myśl naszą w krótkości. Nie o to jeszcze idzie,

jaka ma być przyszła Polska, ale o to jedynie, aby poruszyć do własnej obrony tę Polskę, jaka jest dzisiaj. Cóż mówią i piszą dzisiaj ci ludzie, którym ty, jenerale, podałeś rękę? Ludzie, którzyby sobie równym prawem przywłaszczyć chcieli tytuł demokratów, jak gdyby kto chciał sobie tylko wyłącznie przywłaszczyć tytuł uczciwego w towarzystwie człowieka. Oto wszystkie ich pisma i mowy zmierzają do tego: „Trzeba szlachtę w pień wyciąć, majątek jój odjąć i między lud rozdać.“ Czy rozumiesz, jenerale, że tej polityce kilku mgłych głów, gdzie zaledwie zaświtać poczyna poranek nowszej cywilizacyi, czy sądzisz, jenerale, że tej polityce kilku zepsutych próżniactwem nieuków, albo najętych przez moskiewskich szalbierzy, nie udzieliłeś żadnego wsparcia przez twe oświadczenie z dnia 27. Września? Jeżeli tak sądzisz, jenerale, to nie wiesz, coś uczynił; gazeciarsze sekty lepiej to wiedzą i już obwołują cię za swego. Z naszej strony powiedzieć ci to, było powinnością ojczyzny!

Lecz idźmy dalej, jenerale! W Polsce lud prosty czytać jeszcze nie umie; czyta prawie sama szlachta. Owe więc pogrożki tak zwanych demokratów nie trafiają do massy, bo ona jest umarła dla ich gazet, azatém nie poruszają massy. Trafiają tylko do szlachty, którą to oburza, w części i zniechęca. Jenerale! dotykamy tu najistotniejszych interesów przyszłego powstania Polski. Jedyny środek insurekcyi, jedyny środek poruszenia ludności krajowej są właściciele ziemscy. Zechcą powstać, gdy postrzegą takich jak ty mężów, jenerale, na czele lub wpośród sekty, zapowiadającej Polsce rzeź i rabunek w nagrodę powstania? Nie! ta polityka nie może być zbawienna, która obraża mogących i chcących powstać, a żadnego natomiast sposobu poruszenia mass krajowej ludności nie wynalazła. Zerwałaby ona tylko wszystkie związki emigracyi z narodem. Ten jeden kolor

uczyniłby nas więcej nienawistnymi krajowi, niżeli Moskale, Austriacy i Prusacy. Są rzeczy, o których nawet mówić jest niebezpiecznie, która z tém wszystkiém powiedziane i wydrukowane przez indywidua albo nikomu, albo mało komu znane, niczyjby uwagi na siebie nie zwróciły. Póki ta osobliwsza demokracja sama w sobie i drukiem derezonowała, milczeliśmy, nie sądząc być dla nas rzeczą przyzwoitą wchodzić w zapasy z tém, co, jakożkolwiek głośno krzyczało, było jednak i małe i przemijające; ale co innego teraz, gdy twe imię, jenerale, przybyło niejako w pomoc sekcyi. Ten wypadek odmienia całą kwestyę. Do kilku zér przybyła jedność, i ztąd powstała liczba.

Miejsce wysokie, jakie dotychczas zajmowałeś, jenerale, w emigracyi, powinno cię było oswoić z obowiązkami i widokami człowieka stanu. Stałeś na czele emigracyi, przeto należało ci mieć na pieczy ogólne interesy narodu, który emigracja prezentuje za granicą. Jakiękolwiek znaczenie nadać zechcesz twemu oświadczeniu z daty 27. Września, zawsze ono będzie z twój strony, jenerale, pogwałceniem tych ważnych, ogólnych interesów narodowych. Zawsze będzie ono nosiło na sobie cechę związku (ściślejzego, niżeli honor twój i nasz mógł zcierpieć) z towarzystwem, którego mowy i pisma dotąd nie prawie nie znaczące, nabyły pewnej wagi przez twój akces do robót i machinacyi w Poitiers.

Piórem naszym, zawierz jenerale, kieruje tylko wzgląd zimny na dobro ogólne znacznie uszkodzone w tym wypadku, i wielka waga którą do twój sławy wojskowej przywiązujemy. Nie wchodząc dzisiaj w rozbiór czynności Czartoryskiego, nie możemy ukrywać przed tobą, jenerale, że go uważamy za człowieka mającego w kraju uważanie powszechne i stosunki rozleglejsze niżeli ty jenerale, niżeli którykolwiek z nas, za człowieka z nie-

małemi wpływami, także za granicą, a zatem za człowieka Emigracyi i narodowi potrzebnemu. Cóż ztąd za korzyść upatrzyłeś dla sprawy naszej jenerale, że go chcesz wydrzeć powszechnemu zaufaniu? Potępiać dzisiaj tego męża bez żadnych dowodów, jest to się osłabiać, jest to, jenerale, rzucać się na ostatnią może komunikacją, jaka nam została z własnym krajem. W dzisiejszych okolicznościach nie na osłabianiu krwawo zarobionej, uczciwej sławy, ale owszem na mocowaniu każdej reputacyi, każdego znanego imienia, każdego wpływu zależy dobrze zrozumianej Emigracyi i narodu interes. Uderzyło nas szczególnie, że na samego tylko Czartoryskiego powstała taka zawziętość, kiedyż przecie on nie był samowładnym w rewolucyi, kiedy zostawał pod wpływem i rozkazami sejmu, kiedy w rządzie tyle tylko znaczył co i każdy z jego kolegów, kiedy wreszcie przed upadkiem sprawy, zupełnie się od wszystkiego uchylił.

Sposób w jakim go potępiasz jenerale, za czynności w rewolucyi, zdziwił nas i zasmucił. Piszesz, że „wyszędłszy z swym korpusem za zakres granic kongresowego królestwa, nie byłeś obecny działaniom księcia Czartoryskiego, a zatem czynionych mu zarzutów przez kilka tysięcy rodaków naocznych świadków, tych działań zaprzeczyć nie możesz.“ Ten manewr jenerale nie jest godzien ani twego sędziwego wieku, ani twego żołnierskiego powołania, które tchnąć powinno szczerością. Najpierw dla czegoż mówisz o kilku tysiącach, kiedy ledwo kilku tylko znalazło się takich, co się o to starają, aby Czartoryskiemu te zarzuty były przez wszystkich uczynione? A potem, wieleż to tysięcy rodaków nie było obecnych twoim naprzykład działaniom w ostatniej wojnie, a jednak nie zaprzeczało pochwałom, gdyś na nie jenerale za twe pomyslnie wyprawy zasługiwał? Gdyby się w Warszawie trzymało zasady, nieświadczona zatem czego się nie widziało, czyżbyś był jenerale

kiedykolwiek zasłynął w Polsce? Uwielbiano cię z powieści jenerale, z gazet, z raportów, a ty dzisiaj rzucaś podejrzenie na charakter księcia Czartoryskiego, dla tego, że nie byłeś świadkiem naocznym jego czynności! Z drugiej strony, wielu to rodaków nie było obecnych, gdyś pierwszy składał oręż na ziemi polskiej, a jednak złość nawet ludzka umilkła w tém zdarzeniu, każdy opłakiwał to nieszczęście, a nikt ci nawet nie wytknął tego pierwszego zgubnego przykładu, przez wzgląd na interes publiczny, przez wzgląd na to, że nawet w nieszczęściu trzeba umieć szanować każde znane i zasłużone imię. W Emigracyi oskarżasz jenerale Czartoryskiego za wyprawę Portugalską, za legią Algierską, a zatém za rzeczy, które nie wzięły żadnego skutku, a zatém za myśli, za projekta, które przed żadnym trybunałem na świecie nie stanowią winy. Gdyby książę Czartoryski był człowiekiem namiętym, gdyby ci chciał oddać wet za wet i nawzajem ciebie publicznie potępić, czyliby z twój nieszczęśliwej katastrofy w rewolucyi nie mógł wyciągnąć ciężkich zaskarżeń? A w Emigracyi, czyliby nie mógł powstać na szkodliwsze niżeli legia Algierska i Portugalska, bo rzeczywiste wyprawy do Szwajcaryi, do kraju, wyprawy z których tyle okropnych skutków wyniknęło, a które miały miejsce w czasie twego urzędowania w komitecie, a których ty jenerale chociaż nie byłeś autorem, jednak z obawy krytyki gazetiarzów ani im zapobiedz ani ich potem przykładnie zganić nie śmiałeś. Gdyby Czartoryski nie miał względu na potrzeby szanowania więtości, czyliby ci nie innego nie znalazł do zarzucenia w twoim jenerale systemacie emigracyjnym? Mógłby ci on powiedzieć, że wybrany prezesem Emigracyi, pozwoliłeś zacierać w około siebie systematycznie sławę tylu znakomitych, wyższych oficerów, twych towarzyszy broni, równie jak ty zasłużonych krajowi. Mógłby ci dać do zrozumienia, że tolerując potwarz na

około siebie i nie ujmując się za niczyją sławą, starałeś się częścią pobłażać, częścią nawet pochlebiać każdej przemijającej, namietnej opinii w Emigracyi, żeby tylko nie utracić téj popularności, jaką mniemasz posiadać i módz zachować, choćby téż kosztem dobra publicznego.

Daruj jenerale, że ci to przypominamy kończąc ten list dla nas boleśny. Lękasz się niepotrzebnie artykułów i krytyk w gazetach. Oświadczenie twoje z dnia 24. Września było skutkiem téj obawy, o tém przekonani jesteśmy. Lękając się potwarców, mniemasz zapewne że oni ogółem kierują, i w tém się mylisz. Chcąc się podobać ogółowi, rozumiesz, że najlepszym środkiem popularności jest pobłażanie kilku, i w tém się także mylisz. Tylko słowa prawdy, słowa ostre w potrzebie, tylko gotowość powstania w każdej chwili, nawet na ogół gdy błądzi, zachowują ludzi przełożonych nad ogółem w szacunku u ogółu; to tylko prawdziwą popularność utrwalić jest w stanie.

Auxerres dnia 14. Października 1834.

Podpisy.

Stefan Dębowski, major strzelców. Antoni Olszewski, kapitan. Leon Wołicki. Józef Bniński. Bernard Stępczyński. Adam Groza. Józef Skorutoski. A. Szmiz. Izy. Gużkowski. Dominik Renkiewicz. Jan Płachecki. Roman Kłobukowski. Maurycy Mochacki. i t. d.

## PISMO OKÓLNE.

**Oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres do rodaków w Emigracyi.**

### *Rodacy!*

Od pierwszej chwili przybycia naszego do Francyi uczuliśmy wszyscy tę prawdę, że aby módz coś zdziałać jeszcze w interesie nieszczęśliwej ojczyzny naszej, potrzeba nam było nasamprzód ustanowić władzę, któraby z naszego upoważnienia w tym duchu działała. Nie tylko w interesie Emigracyi, lecz w interesie całego kraju polskiego, który teraz w nas tylko widzi reprezentantów swój sprawy, chcieliśmy się urządzać za granicą, lecz na nieszczęście dotąd nasze usiłowania pod tym względem wszelkie były daremne. Emigracja czyniła różne próby, stanowiła różne władze, wpadała na różne pomysły, nakoniec znalazła się w stanie zupełnego bezrządu. Ten bezrząd szanowni rodacy przy rozproszeniu emigracyi po całej Francyi, po całej Europie jest największém nieszczęściem, jakiego doczekać się mogliśmy, jest tém złém, które usunąć (aczkolwiek przyjdzie z niemalą trudnością) każdy dobry Polak za pierwszy swój obowiązek względem ojczyzny poczytuje.

Nie rozszerzając się nad skutkami zbyt widocznymi jakie już wyniknęły z tego stanu, sądzimy, że wartoby się zastanowić nad tém szczególniej, dla czego dotąd żadna władza przez nas obrana, ani położonemu przez nas zaufaniu w sobie odpowiedzieć ani nawet utrzymać się nie zdołała? Wyjaśnienie tego mogłoby nas doprowadzić do widoków prawdziwszych, którychby się trzymać należało w ustanowieniu jakiegokolwiek władzy emigracyjnej, władzy centralnej.

„Pozwólcie szanowni ziomkowie, abyśmy zdanie nasze w tej mierze poddali pod waszą rozagę. Piszemy do was w sprawie publicznej, a zatem mamy prawo sądzić że choćbyście nie podzielali naszego przekonania, jednakże wyrozumieć i wysłuchać nas zechcecie.

Dotąd w znacznej części rodaków składających Emigracją panowało i panuje wyobrażenie, że Polskę dźwigną z upadku ludu europejskie, na drodze rewolucyi społecznej, powszechniej, w dniach lipcowych nagle wznowionej, po długiej przerwie i równie nagle zatrzymanej. Znaczna część Europy tak myślała i tak myśli jeszcze. Sam postęp wieku, podług ich mniemania, miał nas wrócić ojczyźnie. Przeciwnie znaczna mniejszość sądziła, że taka rewolucja jest jeszcze daleka, albo niepodobna, i że prędzej Polska powstanie na drodze wojny rządów z rządami, gabinetów z gabinetami, bez powszechnego wstrząśnienia społecznego.

Pierwsza opinia przemogła w Emigracyi, ztąd wychodziliśmy jako z zasady fundamentalnej w ustanowieniu naszych komitetów, w ich organizacyi, w wyborze nawet osób, któreśmy do nich powoływali. Rewolucja ludów przeciwko tronom zajęła nas całkiem w naszym szczupłym obrębie, w tym wielkim, świetnym widoku staraliśmy się zawczasu jako Emigracja, oznaczyć położenie nasze tak w obec rządów jako téż nieprzyjaznych im stronnictw, ledwo nie na każdym punkcie w Europie. W nadziei bliskiej rewolucyi powszechniej działo się dotychczas wszystko prawie, co się tylko działo w Emigracyi. Pod tym wpływem dla ludzi z żywą imaginacją wszechmocnym, miały miejsce, wyprawa do Szwajcaryi, wyprawa do Polski; nakoniec pod tym wpływem, uwaga wielu współbraci obróciła się na stan społeczny Polski. I na tej to drodze powstała sekta między nami, która przybrała nazwisko Demokracji, sekta która zdaje się wierzyć w to, że jest pożytecznie i politycznie zalecać

dzisiejszej Polsce rewolucją społeczną bez żadnego środka poruszenia ludności mass krajowej, które jej nie rozumieją, a z narażeniem i obrazą jednych, jakie pozostały, środków insurekcji. Jakiegokolwiek jednak konsekwencje mogły wypłynąć z tego, dotąd w Emigracyi przeważnie utrzymującego się wyobrażenia o rewolucyi społecznej, powszechnej, nie chcemy go bynajmniej osłabiać. I my wierzymy w postęp czasu! ale nie sądzimy aby ten postęp dał się naprzód oznaczyć i z jakążkolwiek wyrachować pewnością. Być może, że rewolucja ogólna europejska nada w mgnieniu oka inny kształt tej części świata, ale być także może, że to nie tak prędko nastąpi, bo to co jest powszechne i niezmienne zdaje się potrzebować dłuższych przeciągów czasu.

Podług nas pomoc ludów jest równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak wiara w pomoc rządów.

Powtarzamy raz jeszcze te obydwie opinie same w sobie uważane, mogą mieć swoją prawdziwość i sumienność, której im nie zaprzeczamy, lecz rozum nie dopuszcza przyjąć jedną lub drugą za prawidło postępowania naszego w Emigracyi. Dla Polski i Emigracyi szanowni ziomkowie, trzeba czegoś prędszego, trzeba czegoś pewniejszego. Dzieło zagłady narodu szybko postępuje. Ciemiężcy Polski wynajdują codziennie środki zniszczenia gwałtowne, wprost do celu trafiające; a my środki ratunku mielibyśmy odkładać na lata i dziesiątki lat?

W położeniu dzisiejszem narodu polskiego jest równie nieużytecznie, równie niebezpiecznie oczekiwać pomocy ludów, jak oglądać się na wojnę między rządami, i na skutki jakieby ztąd dla nas wyniknąć mogły. Inne ludy chociaż ujarzmione mają jeszcze o czém dotrwać do chwili wybawienia swego, my Polacy nie! My się w innym położeniu znajdujemy, nasze godziny są policzone,

my musimy się prędzej zbawić nizeli inni, bo prędzej daleko uledez możemy pod ciężarem naszej niedoli.

Ojcowie nasi przed rozbiorem Polski wierzyli, że interes równowagi europejskiej nie dopuści zniknąć Polsce z rządu mocarstw niepodległych. Była to więc wiara w pomoc i sympatię polityki całej oświeconej Europy. Ta wiara rosła w Polsce w miarę wzrostu potęgi Moskwy, Prus i Austrii, i Polska podzieloną została. Dziś wierzymy, że Polsce po tylu bezskutecznych powstaniach nie da umrzeć wielki interes rewolucyj społecznej powszechnej. Miałoby być w charakterze naszym pierwój upadać, a teraz nakoniec zginąć w skutku tego samego nigdy niepoprawionego błędu?

Komuż bardziej jak nam rodacy, przysłałoby wyrzec z całą dumą, jaką nas tylko nieszczęście natchnąć może, z całą godnością naszej niedoli: „Niczyjój pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy.“

Wiara niegdyś w politykę równowagi pozbawiła nas udzielnego bytu, wiara w politykę rewolucyj pozbawia nas teraz środków ratowania się w ostatecznej niemal zagładzie. Spróbujmy więc, nauczeni okropnym doświadczeniem, nie spuszczać się na nikogo, ani na ludy, ani na rządy, na ludy dla tego, że ich cząstkowe i powolne na drodze rewolucyj poruszenia, zbyt wiele czasu zostawują tyranom Polski do wytępienia ze szczętem całego narodu naszego; na rządy dla tego: iżby w każdym wypadku, wtedy nawet gdyby wojnę ze sobą prowadziły, okazały się łatwe i gotowe poświęcić interes exystencyj naszej innym pobocznym względom, jak tego mieliśmy już tylokrotne przykłady.

Rodacy! wszystko co do was mówimy w tym przedmiocie zmierza do okazania, że przyszedł czas, w którymby nakoniec należało położyć kres marzeniom. Marzeniem jest wszelkiej natury obca pomoc w obec środków, jakich używa święte przymierze przeciwko naro-

dowi polskiemu. Z tego względu jest marzeniem, nie tylko dyplomatyka, jest równem marzeniem rewolucja powszechna.

Daleko mędrzej, daleko bezpieczniej powiedzieć narzecie samym sobie, powiedzieć poraz pierwszy od lat stu: rachujmy na wszystko co wypaść może, ale się na nic nie spuszczajmy i nie wierzymy w nic, tylko w samych siebie. Naród, który nie przestał być jeszcze narodem, który jeszcze chce być narodem, w jakimkolwiek stanie się dziś znajduje tylko sam siebie uratować może. My szanowni ziomkowie, wierzymy w siłę i w życie narodu polskiego, wierzymy w to, że dla kilkudziesiąt milionów Polaków gdy chcą jednę rzecz nie masz nic niepodobnego, nawet w dzisiejszém choć tak okropnym położeniu!

Powiedzcie nam bracia, czy podzielacie z nami te przekonania? Dotąd insurekcje w Polsce były daremne, ale dla tego tylko żeśmy z regularnymi wojskami nieprzyjacielskimi prowadzili wojny regularne, systematyczne. Geniusz Polski wynajdzie dla jęj zbawienia inną nieznaną jeszcze wojnę. Niezmiernemu uciskowi wyrówna wtedy niezmierny opór, a historia powie o nas w swoim czasie, że jarzmo królów przymusiło naród najłagodniejszy i najoświecześniejszy Słowiańszczyzny do środków wojowania godnych Atylli i Dżengiskona. Lecz lepiej żeby cała ziemia nasza spustoszała w takiej obronie, jak pod jarzmem i okrucieństwem świętego przymierza. Napiszcie nam bracia, czy i to przekonanie z nami podzielacie?

Rzucone tu myśli zbieramy w jedno, i dla łatwiejszego porozumienia się z wami rodacy, tłumaczmy się w ten sposób:

Polityka zagraniczna zdziałała wszelkie zło, które trapi Emigracją. Ona nadała swój kolor wszystkim czynnościom naszym. Ona nas rozdzieliła. Ona nas oderwała od źródła naszego, od ziemi rodzinnęj. Jedni zbyt cennie

zaufali ludom, drudzy w liczbie niezmiernie mniejszej, zbyt często zaufali stanowi rzeczy obecnemu, a wszyscy razem zapomnieli o własnym kraju, o narodzie polskim, jako o sile mogącej zerwać obce pęta bez cudzej pomocy. Nie jest naszym zamiarem zaczynać wojnę papierową z inaczéj od nas myślącymi. Nie ustanawiamy tu nowej nauki, nie wprowadzamy żadnej nowej ani partyi ani sekty. To co mówimy nie uwłacza żadnej opinii sumiennie wyznawanej, nie walczy z żadną opinią. Wszelako sądzimy, że wszyscy dobrzy Polacy w Emigracyi jakkolwiek zresztą ich polityczne i społeczne wyobrażenia bardzo różne być mogą, zważywszy, że z niesnasek i rozdziwienia wyniknęła trzechletnia zgubna bezczynność nasza, powinni dla wyjścia z téj bezczynności, połączyć się z sobą, w imie téj świętej prawdy, że naród nasz ma jeszcze wolą i siłę dostateczną do powstania przeciwko obcym ciemiężcom.

Osądźcie Bracia! Czyli nie moglibyśmy na téj drodze zostać jedną całością? przyjść do jakiejś organizacyi za granicą, do utworzenia pewnego centralnego zarządu, do ukojenia pomiędzy sobą prywatnych uraz i publicznych niezgód? wśród których zmaleliśmy, które sparaliżowały całą energię emigracyi, które głęboko zasmuciły kraj nasz ojczysty!

Dotąd nic nam się nie udawało w emigracyi dla tego jedynie, żeśmy nie mieli pierwszego względu na siłę i życie narodu dwudziestomilionowego, której się nic oprzeć nie zdoła, gdy zostanie poruszona, którą jednak trzeba umieć poruszyć.

Teraz spróbujmy wyjść z téj zasady i zaczniemy działać. Żeby módz działać, trzeba mieć pierwéj swój rząd. Pominąwszy kilku indywiduów, których interes osobisty zniewala do podsycania niezgody domowej między nami, któryż Polak w emigracyi nie chciałby się przyłożyć do utworzenia władzy pojętej w celach insurekcyi, opartéj na zasadach insurekcyi?

Emigracya na téj drodze wyjdzie z anarchii, która jój bytowi we Francyi zagraża. Interesa nasze emigracyjne prócz powszechnych narodowych, zmaglają nas, zmuszają, Szanowni Rodacy, do myślenia o samych sobie. Kiedy my czcze rozbieramy kwestye, kiedy się osławiamy w obcych nawet gazetach, kiedy jedni drugich za zdrajców ogłaszamy, kiedy rozjątrzenie między nami do tak wysokiego dochodzi stopnia, że nawet niektórzy z pośród nas zapominają, co się honorowi narodowemu należy, wróg nasz, car moskiewski, tymczasem bynajmniej o nas nie zapomina. Wiecież, że przysłał do Paryża ajenta swego Lubeckiego. Celem missyi Lubeckiego nie są ani mniemane likwidacye, ani mniemane pożyczki, któremi Moskale przybycie tego ministra do Francyi zasłoniłby chcieli. Prawdziwym celem jego missyi jest emigracya. Odjąć żołąd emigracyi, to jest, wyjednać w rządzie, ażeby odjęty został, a potem wyjednać, ażeby na mocy prawa z 21. Kwietnia przeciwko wygnańcom. Polacy przymuszeni zostali do przyjęcia amnestyi, a tém samém do opuszczenia Francyi. Otóż pomysły godne gabinetu petersburgskiego, otóż projekta rzeczywiste cara, które wykonać podjął się minister Lubecki. Przypuszczać bowiem, żeby tu miał przybyć dla uskutecznienia likwidacyi lub pożyczki, byłoby to tylko nie znać chytrości tego gabinetu. Kto pojął naturę monarchii lipcowej, wie, do jakiego punktu w pewnych okolicznościach dochodzi tu potrzeba ulegania natarczywości obcych mocarstw. — W razie, gdyby ministrowie poświęcić nas chcieli téj natarczywości, gdyby tego chcieli koniecznie, znalazłaby się większość w Izbach gotowa, zadosyć uczynić temu żądaniu. To zaprzeczeniu nie ulega. Zresztą nie czynmy sobie illuzyi. W Izbach ściśle już obliczono miliony, potrzebne na nasze utrzymanie. Dary obce ani wieczne, ani długie być nie mogą, a lepiej wiedzieć to zawczasu, niżeli doczekać się tego niespodzianie. W razie tedy osta-

tecznym, Rodacy, w razie najgorszym: rozsypani na takiej przestrzeni, bez porozumienia się wspólnego, bez wiedzy o samych sobie, bez żadnych stosunków z własnym krajem, bez żadnych środków materialnej ekystencji, jakżebyśmy sobie zaradzili?

Prosty rozsądek dyktuje, że w największym nieszczęściu, równie jak na wypadek nieprzewidzianych pomyślności, lepiej jest być urządzonymi i zgodnymi, jak w stanie zupełnego rozprzężenia.

Te powody skłoniły nas odezwać się do was, Szanowni Rodacy! Idzie tu o los kraju i emigracyi. Każdy Polak ma prawo myśleć i działać w sprawie narodowej swojej. Powinnością naszą jest donieść wam, Bracia! żeśmy się, aczkolwiek nieliczni w zakładzie naszym w Auxerres, zawiązali w zgromadzenie, które ma na celu wnieść w stosunki bliższe pod tym względem ze wszystkimi zakładami podobnie jak my myślącemi.

Pierwszą rzeczą, do której po ukonstytuowaniu się naszym zwróciliśmy uwagę, jest potrzeba ustanowienia władzy ogólnej centralnej. Jest to dużo opóźniona i zapewne ostatnia chwila, w której jeszcze tego dokazać i o tém myśleć możemy....

Powiedzieliśmy wam, z jakich zasad wychodzimy co do utworzenia takiej władzy. Rozumiemy wszelako, iż zniesienie się na drodze częścią publiczną, częścią prywatną między zakładami co do zasad i celów tej władzy, poprzedzić powinna sama jej organizacja i wybór osób do sprawowania oniej mogących być powołanemi. Naznaczcie przeto, Szanowni Ziomkowie, miejsce, któreby się stać mogło ogniskiem tych wspólnych, wzajemnych porozumień. Podług nas trzeba wynaleść władzę dla insurekcyi i w duchu zasad insurekcyi, azatém władzę, której pierwszym charakterem powinna być możność zawiązania stosunków z narodem. Ten warunek wszystko w sobie obejmuje.

O wielu rzeczach publicznie ze sobą rozmawiać nie możemy. Pozostaloby więc część, i to nie mało ważną, tych porozumień się, powierzyć prywatnej korespondencji; lubo zresztą nie byłoby w tém nic ani nowego, ani sekretnego dla świata, że ludzie, którzy z bronią w ręku powstali, o powstaniu tylko i o wyjarzmieniu kraju swego myślą i rozmawiają. Gdyby inaczej o nas trzymali nieprzyjaciele nasi, czyniliby nam krzywdę.

Auxerres (Sonne), dnia 23. Października 1834.

Stefan Dębowski, major. Leon Wolicki, kapitan. Antoni Olszewski, kapitan. Roman Kłobukowski, podporucznik. Józef Bajerski, kapitan. Adolf Groza, podporucznik. Izydor Gużkowski, kapitan. Bernard Stempczyński, porucznik. Antoni Walewski, porucznik. Maxymilian Zagórowski, porucznik. Józef Skorutowski, podporucznik. Ignacy Mokrski, porucznik. Teodor Jasiński, podporucznik. Telesfor Kiersz, porucznik. Józef Zagórowski, podporucznik. Franciszek Zagórowski, podporucznik. Dominik Rentkiewicz, oficer. Hryzostom Bogucki, żołnierz. Julian Żukowski, podp. Jan Płachecki, major. A. Szmidt, lekarz batalionowy. Teofil Żukowski, podporucznik. Maurycy Mochnacki, porucznik.

KONIEC.

Pisałam to i ukończyłam dnia 7. Marca r. 1842. Prawdziwy ten testament ostatniej woli Maurycego.

*Wyjatek z dziennika paryzkiego.*

**Wzmianka o Kamilu Mochnackim, i artykuły pisane jego ręką,**

dnia 6. Kwietnia 1833.

Ten artykuł dołączam jako pamiątkę po drugim synu, nader drogą sercu memu.

„Jako pamiątkę po tym młodzieńcu, szanowanym powszechnie dla łagodności charakteru, gorącej miłości oj-

czynny i nieporównanej w boju waleczności, jest to jedyne pismo, które po Kamilu Mochnackim pozostało. — Snać widząc wysoką zdolność pisarską w bracie swoim starszym Maurycem, z którym wszystkie usiłowania o przywrócenie bytu narodowego Polski połączył, nie potrzebował pisać tego, co na drodze politycznej razem układali, ale całą usilność swoją ku temu skierował, aby wspólne pomysły razem wykonać. W spisku, który przygotował rewolucyą, Kamil Mochnacki wówczas podchorąży w batalionie saperów, był jednym z najczynniejszych i jednym z tych pierwszych kilku, którzy ją stworzyli. On im napisał przysięgę. W nocy 29. Listopada był jednym z najwaleczniejszych. W całej kampanii r. 1831. był jednym z najwytrwalszych, chociaż raniony razy kilka. Wysłany na zwidzenie obozu Dybicza przez wodza ówczesnego księcia Michała Radziwiłła, nietylko że się z największą radością podjął tój najniebezpieczniejszój missyi, lecz przebrany za chłopą, ukryć potrafił swoją naturalną delikatność. Usmarowany wozik się z krupami i słoniną, lichą szkapą i wózkiem wpośród obozu nieprzyjacielskiego. Wszystko najdostateczniej obejrzał zrysował, i oddał wodzowi, za co najczulej uściskany czuł się wtenczas najszcześniejszym. Nakoniec w tułactwie był najwierniejszym, najrozsądniejszym synem ojczyzny. Nie szukając żadnego wyniesienia się, żadnego ze stopnia podchorążego, w ciągu kampanii doszedł do stopnia majora i uzyskał ozdobę krzyża wojskowego. Odniesione rany, tęsknota za krajem, za rodziną, a mianowicie dojmująca boleść upadku sprawy narodowej przyspieszyły zgon tego szlachetnego młodzieńca.“

### Sprawa Jenerała Jankowskiego

opisana przez Kamila Mochnackiego.

Jenerał moskiewski Rydygier wymknął się Jankowskiemu, zabrawszy mu 30 wozów amunicyi i kasę. Opinia głośno obwiniała Jankowskiego po części o wyraźną zdradę, po części o opieszałość, w skutek której korpus Rydygiera prawie o połowę mniejszy, nietylko nie był zniesiony, lecz nadto wojsko narodowe pod kómendą tego jenerała poniosło niemałą szkodę. Wódz naczelny w trudném ujrzał się położeniu. Dał on wprawdzie Jankowskiemu rozkaz, żeby Rydygiera pobił, lecz we dwa dni później, powziąwszy od jenerała Skarzyńskiego fałszywą wiadomość o ruchu całej armii moskiewskiej ku Pradze, posłał mu drugi rozkaz, zamykając w treści, „aby Jankowski z swoim korpusem w jak najprędszym czasie stanął pod Pragą.“ Całą odpowiedzialność nieszczęść, jakieby wyniknąć mogły, gdyby w skutek opóźnienia się korpusu Jankowskiego wódz naczelny zmuszony był przyjąć bitwę od nieprzyjaciela i przegrał ją, wkładał ten rozkaz na Jankowskiego. „Tylko niezawodna pewność pobicia i zniesienia do szcztu korpusu Rydygiera, mogłaby upoważnić Jankowskiego do niewykonania tego rozkazu.“

Rozkaz ten był złożony w kopii w aktach komisji rozpoznawczej. Oryginał jego zostawał u Jankowskiego.

Wiedział wódz naczelny, że Jankowski, oddany pod sąd wojenny, uniewinniłby się tym rozkazem co do wyprawy pod Łysoboki. W takim razie cała wina na niego spaśćby musiała i zawziętość opinii publicznej przeciwko niemuby się obróciła. Lecz wiedział także Skrzynecki, że Jankowski może uleść karze śmierci nie za wypuszczenie Rydygiera, ale za utratę amunicyi, dla tego téż nie życzył sobie oddać Jankowskiego pod sąd i jak mógł tak to odwlekał, rozgłaszając w pismach i rozkazach, że

Jankowski jest strzeżony; i że zasłużoną karę odbierze. Wtenczas właśnie przybył do Warszawy Zarczyński, obywatel z Podola. Miał on list od niejakiéj pani Cybulskiej, mieszkającéj na pograniczu Galicyi, we wsi swojej siostry, żony pana Inesa. List ten był adresowany do naczelnego wodza. Zarczyński komunikował go Tyszkiewiczowi, Tyszkiewicz Horodyskiemu, a ten pana Zarczyńskiego z listem prezentował Skrzyneckiemu.

Przed wręczeniem listu wodzowi naczelnemu położył Zarczyński za warunek, aby jego imię w téj sprawie było zatajone; co gdy mu przyrzeczono, oddał list. — Pani Cybulska donosi naczelnemu wodzowi: „Że w Warszawie knuje się ogromna konspiracya naprzeciw rządowi narodowemu i rewolucyi; że na czele tego spisku stoi Hurtig; że Jankowski sprzedał się Moskalom, (notabene list był pisany przed rozprawą Jankowskiego z korpusem Rydygiera); że Krukowiecki silnie intriguje i zbiera partyą, która ma mu poruczyć zwierzchnią władzę w kraju; że Lessel, cukiernik, ma u siebie kasę spiskowych, a jenerał Sałacki koresponduje z Moskwą.“ Denuncyacya ta, chociaż niedokładna, bo pani Cybulska nic z pewnością nie donosiła, powtarzając tylko, co sama słyszała, przypadła w sam raz, w najdogodniejszą porę dla wodza naczelnego i wybawiła go ze wszystkich kłopotów względem Jankowskiego. Skrzynecki tak mówił: zdrada kraju jest wyższém uchybieniem jak przestępstwo militarne. Pierwéj tedy trzeba oddać Jankowskiego pod sąd nadzwyczajny w obleżoném mieście; a jeżeli ten sąd uzna jego niewinność co do zdrady stanu, dopiero wtedy sąd wojenny ukarze go za to, że Rydygiera nie pobił. Kazał więc natychmiast zwołać sąd nadzwyczajny, który miał się składać z osób mogących zaspokoić troskliwość opinii i gazet głośno wołających o prędkie ukaranie oskarżonych. Powołano do sądu na prezesa: jenerała Emilianą Węgrzeckiego, na członków: kapitana Adama

Przeradzkiego, kapitana Drzewieckiego, porucznika Mochnickiego (to jest mnie), podporucznika Tomasza Ostrowskiego, syna wojewody, i podporuczników: Rupniewskiego i Bieczyńskiego. Sąd ten złożony z samych prawie aktorów 29. Listopada, miał być dla publiczności rękojmnią, że zdrada kraju udowodniona, przykładowo będzie ukarana.

Nie tego żądał w duchu Skrzynecki. Szło mu, bo tego krytyczne jego położenie wymagało, aby ta sprawa ile możności jak najdłużej potrwąć mogła. Denuncyacyi nie wierzył, czego najlepszym jest dowodem, że Krukowieckiego, którego także obejmowała, pod sąd oddać nie kazał. Nic bardziej takiej polityce wodza naczelnego nie mogło zaszkodzić, jak prędkie uniewinnienie Jankowskiego przez sąd nadzwyczajny, gdyż w takim wypadku Jankowski musiałby być oddany pod sąd wojenny, a wtedy odkryłoby się, kto rzeczywiście winien, iż Rydygier nie został pobity? Umyślił przeto zawikłać zdradą stanu sprawę, odejmując sądowi wszelką możność wyjaśnienia w krótkim czasie zarzutów objętych w denuncyacyi.

Narobiwszy więc dużo hałasu po pismach i rozkazach, gdzie tak przemawiał, jakby faktum zdrady kraju nie podlegało żadnej wątpliwości, oddał pod sąd Hurtiga, Sałackiego i Lessela, jako wyraźnie wskazanych przez denuncyację, a Fenshawe Słupeckiego i panią Bazanów, jako połączonych z pierwszymi stosunkami, bądź familijnymi, bądź ściślejszą przyjaźnią. Gubernator stolicy sporządził akt zaskarżenia, a sąd rozpoczął działania, nie mając nic na udowodnienie zbrodni obwinionym, prócz niedostatecznej, urywkowej denuncyacyi i papierów zabranych oskarżonym, które poprzednio przejrzałe przez komisję rozpoznawczą, żadnego spisku nie odkryły.

Skrzynecki przewidując, że sąd znajdujący się w tak dziwnym położeniu względem opinii publicznej, spraw-

dzić zechce denuncjacją i sam się weźmie do zgromadzenia materiałów, mogących wyjaśnić tę sprawę. Nic nie mówiąc ani sądowi ani rządowi narodowemu, posyła adjutanta swego Zamojskiego na pogranicze Galicyi do pani Cybulskiej celem, jak później powiadał, zasięgnięcia bliższej wiadomości od niej o stanie rzeczy, mianowicie zaś ażeby porwać Inesa i żywcem go do sądu dostawić. Adjutant czy to że ściśle się trzymał danej sobie instrukcyi, czy to, że zręczniejszemu w tém zdarzeniu poradzić nie umiał, nie tylko od pani Cybulskiej niczego się więcej nie dowiedział, ale nadto przez nierozważne wybadywanie się ostrzegł Inesa o niebezpieczeństwie, które mu zagrażało, tak że zaraz téj samej nocy Ines umknął w głąb Galicyi, a może do Moskalów. Zdawało się Zamojskiemu, że ofiarą 200 czerwonych złotych, śpiega obładowanego złotem moskiewskiem, czy w rzeczy samej Skrzynecki wyprawiając tak niezręcznego agenta, zamierzał pozbyć się Inesa, czy to w dobrej wierze uczynił, tego nie wiem. To tylko pewna, iż w skutku téj missyi odjęta została sądowi jedyna sposobność udowodnienia zbrodni, lub uniewinnienia Jankowskiego. Sąd nic nie wiedząc o delikatnej missyi Zamojskiego, wkrótce po rozpoczęciu prac swoich delegował Kamila Mochnackiego do rządu narodowego, z propozycją aby rząd obmyślił środki sprowadzenia do Warszawy Inesa z pogranicza Galicyi, a panny Sałackiej z Krakowa. Prezes rządu narodowego wskazywał nieprzełamane trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, mówił, że narażać się rządowi austrijskiemu gwałtownym porwaniem poddanego z jego państw, byłoby niepolitycznie, że ta missja nigdy się nie uda, że może za sobą pociągnąć smutne konsekwencje i t. d. Toż samo i względem panny Sałackiej mówiono w rządzie, i względem niejakiego pana Fiorentiniego, mocno skompromitowanego. Prezes rządu narodowego nadmieniał i co do

do rzeczy pospolitój, że ktokolwiek szuka tam schronienia zostaje pod gwarancją traktatu, i że takiego gwałtu nie można się dopuszczać. Nadaremnie delegowany przedstawiał rządowi narodowemu, że tylko od tych dwóch osób Inesa i panny Sałackiej sąd prawdy dowiedzieć się może. Po długim ociąganiu się i rząd nakoniec zezwolił aby tylko papiery panny Sałackiej i jej matki były zabrane w Krakowie. Jeden z członków rządu pan Barzykowski oświadczył urzędownie, że do dostawienia sądowni tych ważnych papierów kroki stósowne zostały przedsięwzięte. Dopytywał się sąd troskliwie jakiej natury te kroki być mogły, i kto został przeznaczony do tej misyi, obawiając się, aby jak pierwsza, ze szkodą dla sprawy nie była. Rząd starał się zaspokoić w tej mierze troskliwość sądu.

Odczytywał sąd pisma i listy zabrane uwięzionym pilnie odznaczając każde niejasne wyrażenie. Listy panny Sałackiej tchnęły wielką niechęcią przeciwko sprawie narodu, co jednak na żadną uwagę nie zasługiwało, ponieważ przed rewolucją jeszcze były znane Warszawie związki domu Sałackich z Moskałami. Sałacki równie niechętny sprawie, był jednak w rewolucyi przez Chłopickiego użyty, jako generał inżynierii miał sobie powierzone wydatkowanie prochu i amunicyi. Jeszcze Moskałé nie weszli do kraju gdy tajemną zawiązał korespondencją z generałem Knoryngiem od kirasjerów. Córka piływała listy z Krakowa na ręce ojca, ten je przesyłał różnemi sposobami Moskałom. Po wkroczeniu nieprzyjaciela uważano Warszawę w stanie oblężenia, każda korespondencja, każda komunikacja mieszkańców z nieprzyjacielem, w takim stanie rzeczy zasługiwała na karę śmierci. Z tych tedy listów, które były złożone w sądzie pokazało się, że Sałacki korespondował z Dowrem generałem moskiewskim w Petersburgu, że wyraźnie nie sprzyjał rewolucyi, i uważając ją za karę zesłaną od

Boga, niecierpliwie oczekiwał przytłumienia powstania. Przekonywał się sąd coraz widoczniej, że między panną Sałacką a Knoryngiem ciągnęła się i trwała korespondencja, liczył przeto wiele na papiery, które w Krakowie matce i córce miały być zabrane, rozumiejąc, że z nich jeśli nie wykryje zdrady knowanej w murach stolicy, to przynajmniej znajdzie objaśnienie mogące sprawę przeprowadzić do końca.

Wtenczas dyrektor policji pan Czarnocki przysłał do sądu zawiadomienie, że Fiorentini już jest w Warszawie pod strażą policji, wzywał przytém sąd, aby delegował dwóch członków do przejrzenia zabranych mu papierów. Sąd bez zwłoki wyznaczył do tego mnie i Rupniewskiego; udaliśmy się natychmiast do mieszkania dyrektora policji, gdzie się Fiorentini znajdował, lecz przejrzawszy jego papiery nic w nich nie znaleźliśmy. Niemożna było nawet dostrzedz śladu, że między nim a Sałackim były stósunki, o których wiedzieliśmy z papierów Sałackiego, obróciwszy się więc wtedy do pana Fiorentiniego zacząłem z nim rozmowę z której następujące tylko pytanie i odpowiedź przytaczam:

„Kiedy pan przyjechałeś? Przed godziną wysiadłem z deliżansu. Sam? Po co pan przyjechałeś do Warszawy? Tego nie wiem, bo pan dyrektor policji w liście pisanim do mnie tego nie wyraził, kazał mi tylko jak najprędzej z papierami przyjeżdżać do Warszawy, wzięłem tedy papiery i przyjechałem, oto jest list, którym mnie wezwano.

Przeczytawszy list dyrektora policji, rzekłem do Rupniewskiego zajętego jeszcze przeglądaniem papierów, że może zaprzestać téj roboty, bo pan Fiorentini miał dosyć czasu sam przejrzeć swoje papiery, i zapewne nic takiego nie przywiózł coby go przed sądem skompromitowało. Wzięłem potem na bok dyrektora policji i za-

pytałem go, dla czego z taką niedbałością sobie postąpił w dostawieniu papierów i osoby Fiorentiniego?

Wiedziałem o tém, odpowiedział dyrektor policyi, ale nie sądziłem aby papiery Fiorentiniego albo on sam mogły się na co przydać sądowi, zresztą instrukcja, dodał, rządu narodowego była taka a nie inna... niestósowność przedsiębrania w obecnym czasie gwałtownych środków... jednym słowem wierzaj mi pan, ale mogłem sobie inaczej postąpić. Więc tą samą drogą i papiery Sałackiego zamysłasz pan dostawić sądowi? zapytałem.

Co do Sałackiego, odpowiedział Czarnocki, to nie tak łatwa sprawa, dobrze się już panna musiała przygotować, gdyż wie, że jój ojciec jest w więzieniu. Jednakże napisałem ja do pana S. przyjaciela ich domowego, aby się starał wysledzić działania i zamiary skryte panny, a jeśli się uda, to żeby i listy przejmował. Powiedział to z bardzo misterną miną. Jakto, zawołałem, przez przyjaciela domowego chcesz pan tego dokazać? A cóż robić, odpowie Czarnocki, nie mogłem znaleźć inszego lepszego agenta, zresztą sądzę, że każdy Polak przenosi teraz interes i dobro kraju nad wszystkie względy przyjaźni i stósunki domowe.

Z téj rozmowy przekonałem się, że sąd żadnej pomocy nie otrzymał od rządu i że rządowi nic na tém nie zależało, aby ta sprawa w prędkim czasie została ukończona. Jakże inaczej pojąć postępowanie jednego z głównych agentów téj władzy dyrektora policyi? Myśl napisania do osoby ciężko skompromitowanej przed sądem wojennym, żeby przybyła do stolicy ze wszystkiemi papierami, prawdziwie oryginalna, doskonale wyświeca naturę interesu, którego główniejsze szczegóły tu wyłożyłem.

Położenie Jankowskiego było godne litości. W szóstym tygodniu śledztwa przybywają obywatele z pod Sie-dlec, i pod przysięgą zeznają, iż Moskałe przechodząc

tamtędy przechwalali się jakoby ze znakomitymi Polakami mieli porozumienie. „Jak ma wasza sprawa iść dobrze, mówili, kiedy macie między sobą zdrajców jenerałów, np. Jankowskiego.“ Toż samo zeznanie potwierdzali przed sądem inni jeszcze obywatele z tych okolic później przybyli. Rosły mnogie podejrzenia. Okazywało się jednak z dat owych zeznań, że Moskale o tém co mówili obywatelom, mogli wiedzieć z gazet warszawskich, które o wszystkiém uwiadomiały nieprzyjaciela, kiedy mieszkańcy okolic przez niego zajętych czytać ich nie mogły. I położenie sądu było bardzo krytyczne. Opinia w nieszczęściach jest więcéj jak kiedy łatwowierna. U nas nikt nie tłumaczył klęsk publicznych nieudolnością, błędami, wszyscy wyprowadzali je ze zdrady, wyobrażenia tak przystępnego pojęciu najciemniejszego gminu. Nie potępić tych, których rząd narodowy i wódz naczelny za zdrajców ogłosił, na jedno wtenczas wychodziło co uledez zarzutowi zdrady. Sąd znajdował się w podobnym przypadku i trzeba było całej mocy charakteru, nieugiętości szanownego prezesa tego sądu, żeby bezstronność zachować, i nie dać się unieść popędowi opinii już ledwo nie powszechnej. W towarzystwie patrijotyczném zaczęto oczerniać członków sądu nadzwyczajnego, ztąd rozchodziły się wieści dla podburzania pospólstwa, że sędziowie równie są zdrajcami jak i oskarżeni. Tym potwarzom przypisać potrzeba, że później w nocy 15. Sierpnia jenerał Węgrzecki prezes sądu, tylko co nie zginął od wystrzału z pistoletu w bramie zamkowej.

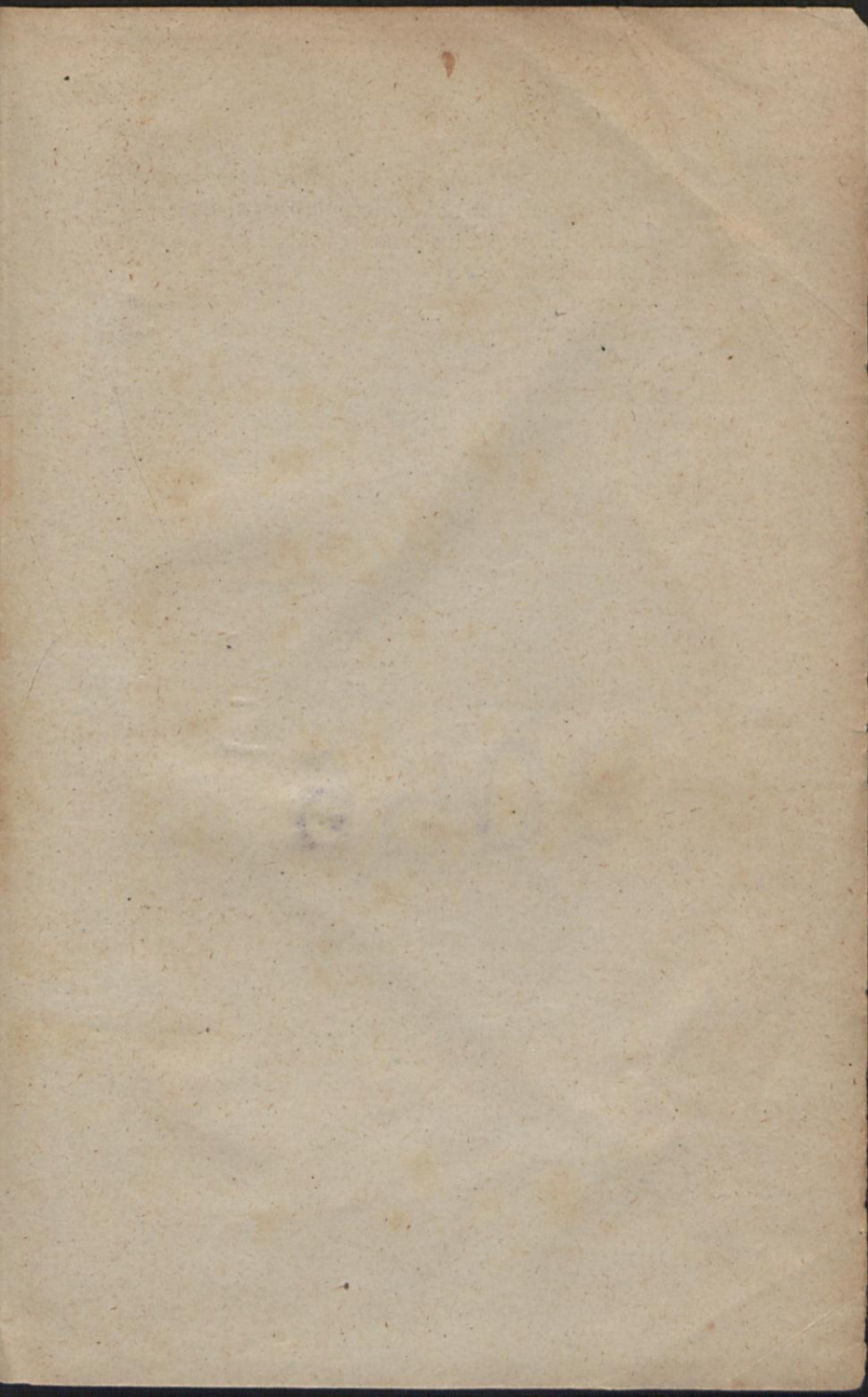
Sąd nie mając żadnej pomocy od rządu w sprawdzeniu zarzutów czynionych Jankowskiemu, nie mogąc go wśród tych okoliczności ani uniewinnić, ani potępić, okazał go jako zostającego pod zarzutem zdrady stanu na destytucją, i na cały czas kampanii poddał pod dozór policyjny. Wyrok natychmiast 8. Sierpnia wydrukowano, niewiadomo jednak dla czego tylko sto egzemplarzy ka-

zano odbić, a i te sto prawie w mgnieniu oka gdzieś się podziały, tak że tylko sześciu członków sądu dostało po jednym egzemplarzu, a publiczność o tém wszystkim ani wiedziała.

Po zapadłym wyroku wypadło tedy Skrzyneckiemu oddać natychmiast Jankowskiego pod sąd armii, pod sąd właściwy, do rozpoznania jego wykroczeń w wyprawie przeciw Rydygierowi. Dla czego natychmiast tego nie uczynił, dla czego aż do złożenia przez siebie dowództwa naczelnego od 8. do 11. Sierpnia, zostawił Jankowskiego w więzieniu sądu nadzwyczajnego, chociaż mu sąd nadzwyczajny w tych trzech dniach czynił kilkakrotne z tego względu przełożenie, nietrudno dociec. Jankowski padł ofiarą polityki Skrzyneckiego i rządu narodowego. Dzisiaj można rzecz śmiało, że był niewinny, ponieważ w sprawie za którą go aresztowano, żadnego przestępstwa dowieść mu nie było można, a wódz naczelny do ostatniego momentu zwłoczył zwołanie sądu armii, któryby go niezawodnie uznał za niewinnego co do wypuszczenia Rydygiera stósownie do wyraźnego rozkazu wodza naczelnego, a karę śmierci mógłby wymierzyć tylko za stratę amunicyi i kassy.

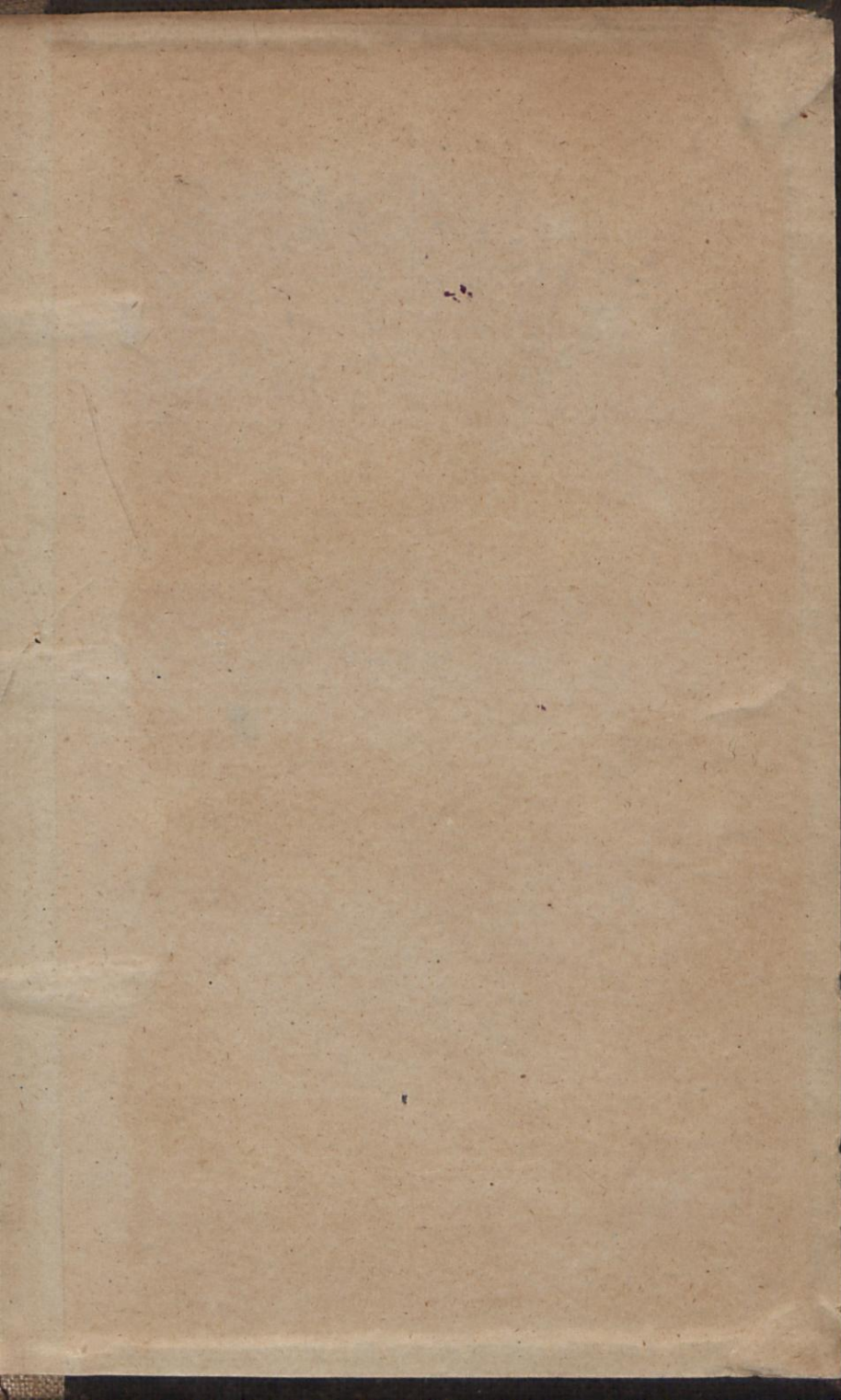
KONIEC.





1347

~~3055~~



Księgozbiór BP



10081276

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna